

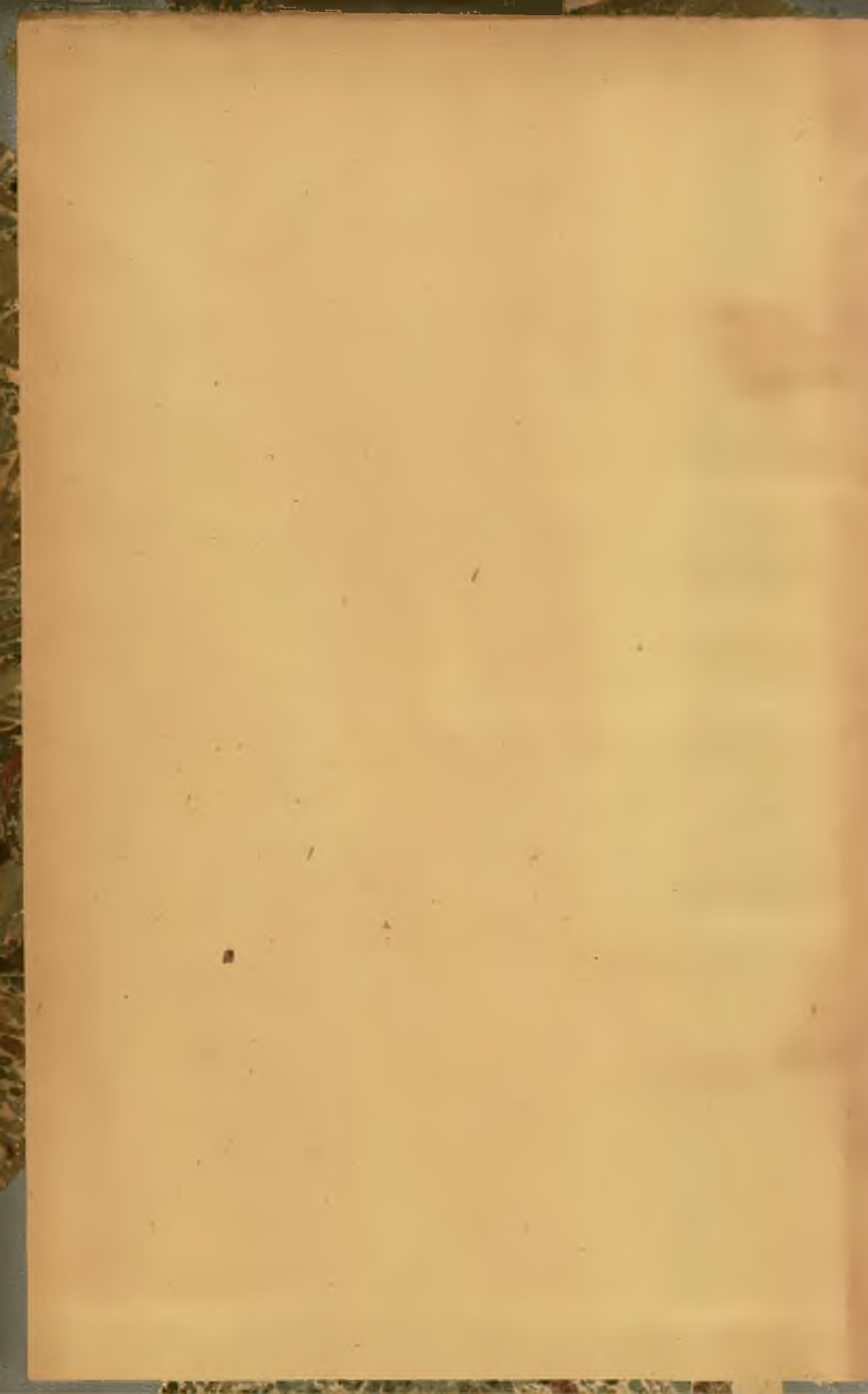
Województwo Śląskie

4501/80

1911

145





2/10/19/45.4

PRZEGLĄD POLSKI.

Rok XLV.

Kwartał IV.

(Kwiecień, Maj, Czerwiec).

Ogólnego zbioru tom 180.

(Zeszyty od 538 do 540).



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“.
1911.

4501. 1911. 45.4

II

X-11253
4501 / II

4. kw.

45/1911



30.000 / -



SPIS RZECZY

zawartych w tomie IV rocznika XLV.

	Str.
Canossa, przez Dr. Zdzisława Morawskiego	1, 173, 332
Zamek na Wawelu. Dzieło Dr. Stanisława Tomkowicza (z 2 rycinami), przez Stanisława Peszkę .	26
Sceptyczne i mistyczne pierwiastki w filozofii Pascala (dokończenie), przez Stanisława Wędkiewicza	57
Alfred Tennyson. Jego życie i dzieła, przez Dr. Romana Dyboskiego	78, 224
Jeneral Ignacy Prądzyński w świetle własnych pamiętników, korespondencyj i nowszych badań, przez Dr. Augusta Sokołowskiego	145, 344
Senator Nowosilcow i cenzura za Królestwa Kongresowego. (1819—1829). Ze źródeł archiwalnych, przez Aleksandra Kraushara	199
Homer zmartwychwstały, przez Dr. Tadeusza Sinkę	279
Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec, przez Dr. Józefa Flacha	305
Kronika literacka	90, 243, 365
J. Hulewicz: Dyalogi estetyczne. — M. Treter: Typy ludowe Franciszka Tepy.	
Apulejus: Amor i Psyche. Przekład L. Rydla.	
Z literatury powieściowej. G. Hauptmann: Der Narr in Christo Emanuel Quint. — C. de Pomairols: Ascension. — R. Hichens: Ogród Allaha (tłómaczenie).	
Stulecie <i>Gazety Lwowskiej</i> . T. I (pod redakcją W. Bruchnalskiego). — I. T. Baranowski: Inwentarze pałacu Krasińskich później Rzeczypospolitej. — T. S. Grabowski: Romantyzm polski wśród Słowian.	
F. Wittels: Tragische Motive.	

<i>Z literatury powieściowej.</i>		
M. R. Wierzbiniński: Książ i Księżna. 2 t. — J. A. Teslar: Gawędy duszy. Rabbi Johanan. Z mojej włóczegi. 3 t.		
K. Makuszyński: Dusze z papieru. 2 t. — E. Łuskiua: W obronie piękności kraju.		
W. Fred: Literatur als Waare.		
<i>Z literatury powieściowej.</i>		
F. Werner: Der Paddenhof. — F. von Hohenegg: Operettenkönige. — E. A. Poë: Kruk (tlóm. B. Beaupré). Teatr krakowski, przez A. E. Balickiego. — Muzyka w Krakowie, przez Dr. Zdzisława Jachimieckiego	110, 260,	385
Przegląd polityczny, przez * * *	130, 272,	397
Maryan Sokolowski. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego		137
Jan Popiel. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego		405

Tom 180.

Nr. 538.

13001

PRZEGLĄD
P O L S K I.

ROK CZTERDZIESTY PIĄTY.

Zeszyt X. Miesiąc Kwiecień 1911 r.



W KRAKOWIE,

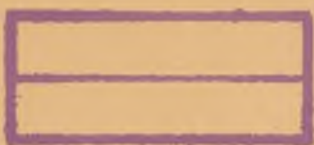
EKSPEDYCYA W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

1911.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Canossa, przez Dr. Zdzisława Morawskiego	1
II. Zamek na Wawelu. Dzieło Dr. Stanisława Tomkowicza (z 2 rycinami), przez Stanisława Peszkę.	26
III. Sceptyczne i mistyczne pierwiastki w filozofii Pascala (dokończenie), przez Stanisława Wędkiewicza	57
IV. Alfred Tennyson. Jego życie i dzieła (ciąg dalszy) przez Dr. Romana Dyboskiego	78
V. Kronika literacka	90
J. Hulewicz: Dyalogi estetyczne. — M. Truter: Typy ludowe Franciszka Tępy.	
Apulejus: Amor i Psyche. Przekład L. Rydla.	
<i>Z literatury powieściowej.</i> G. Hauptmann: Der Narr in Christo Emanuel Quint. — C. de Pomairols: Ascension. — R. Hichens: Ogród Allaha (tłómaczenie).	
VI. Teatr krakowski, przez A. E. Balickiego. — Muzyka w Krakowie, przez Dr. Zdzisława Jachimeckiego	110
VII. Przegląd polityczny, przez * *	130
VIII. Maryan Sokolowski. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego	137





CANOSSA.

I.

Wczesnym rankiem pogodnego dnia wrześniowego wyjechałem z Parmy do Reggio. Odwiedzając kolejno ów szereg miast, pełnych pamiątek, które łączy starożytna *Via Aemilia*, rzucona wstęgą od Piacenzy, przez Parmę, Modenę, Bolonię, aż po wybrzeże Adryatyku pod Rimini, nie mogłem pominąć dawnego *Regium Lepidi*, dzisiejszego Reggio. W drodze rozpamiętywałem wrażenia z kilkudniowego pobytu w Parmie. Snuty mi się po głowie te charakterystyczne postacie Farnesów, ostatnich na stopniach papieskiego tronu wyrosłych nepotów większego pokroju; stawał na przemian przed oczyma to ambitny a rozwiązyły syn Pawła III, pierwszy książę na Parmie, Pierluigi, niesława raczej aniżeli sława domu, to znów zwycięzki zawsze tegoż wnuk, Alessandro, lub prawnuk, ponury i okrutny Ranuccio, założyciel słynnej farnezyjskiej rezydencji, Pilotty, to wreszcie Francesco i Antonio, owi dziwaczni epigonowie wielkiego rodu, zwyrodniali fizycznie, unieruchomieni potworną otyłością, z którymi dom Farnesów w pierwszej połowie XVIII wieku gaśnie. Blade sylwetki biorących po nich schedę Burbonów hiszpańskich nie zdołają już budzić zajęcia, a nie budzi go z pewnością więcej ta bezbarwna postać późniejszej, z laski traktatu w Fontainebleau, pani na Parmie, która po strąceniu małżonka z najwyższego tronu świata, tu, na niskiem książęcem krześle, wśród prozy prowincjonalnych rządów, niewczesne, a co gorzej przedwczesne zawierała śluby.

Obok wspomnień historycznych ścigały mnie oczywiście i wrażenia artystyczne wywiezione z Parmy, a przede wszystkim owa wizya zaróżowionej od młodych ciał rajskiej bacchanalii ze stropów katedry, tego skłębionego wiru szalejących aniołków czy amorków, które zdają się rozsadzać w lotnym zapędzie kopulę, aby strzelić w niebiosy; dalej zaś postać skłaniającej się przed Bożym Synem z precudnym wyrazem rozmiłowania *Incoronaty*, o najpiękniejszej może twarzy kobiecej, jaką Odrodzenie włoskie wydało; wreszcie blask, bijący z promiennego *Giorno*, z ową przytuloną do stóp Madonny wdzięczną i wdzięczącą się Magdalena. Correggio, to w Parmie *genius loci* i kto go tam nie widział, nie zdoła go dokładnie poznać. Dziwny malarz, który manierą zniecierpliwci czasem, ale świetnością zawsze olśni i wdziękiem zniewoli; malarz, stwierdzający zresztą tak dobitnie, że i w sztuce wszystko kołuje i wraca, sposoby i rodzaje, typy i prądy, bo niejedna z jego subtelných i zalotnych postaci kobiecých odrodzi się jakby żywcem na płótnach wielkich mistrzów francuskich z XVIII wieku, a i ta tuląca się do pokuty złocista Magdalena z Parmy, pokutować będzie jeszcze po dwóch przeszło wiekach, prawda że już tylko za „Stłuczony Dzbanek“ i zamiast do Betleem, gotować się do „Odjazdu na Cyterę“.

Inny *genius loci* — bo każde miasto włoskie chlubi się własnym — wabił mnie do Reggio. W pamięci brzmiały mi pod świeżem wrażeniem odczytanego niedawno poematu dźwięczne oktawy, opiewające

Le donne, i cavalier, l'arme, gli amori,
Le cortesie, l'audaci imprese...

więc chciałem odwiedzić miasto, z którego wyszedł, i przechowywany jak relikwia dom, w którym się narodził Ariosto. Tylko nigdzie trudniej o ścisłe wykonanie przygotowanego z góry programu podróży, jak we Włoszech, gdzie każda droga zasiana tyłu pomnikami, gdzie każdym gościńcem toczy się i tłoczy historia, przykuwając przechodnia co krok inną, z innej epoki pamiątką. Czasem sąsiadują te pamiątki ze sobą, to znów splecą się i zrosną w fantastyczną całość,

jak w owym słynnym łuku tryumfalnym w Perugii, dźwigniętym za Augusta na ciężkich podwalinach jakiejś budowy Etrusków, a uwieńczonym przewiewną loggią z XV-go czy XVI wieku. Myśl za okiem skacze wśród wędrowek po tej czarownej ziemi ze starożytności w czasy Odrodzenia, to znów wstecz w wieki średnie; płaczą się epoki, piętrzą na sobie cywilizacje, zlewają religie, ludzie poprzez wieki biorą się za ręce, Dante i nadal wędruje w parze z Wergiliuszem i woła do Boga chrześcijańskiego: *O sommo Giove!*

I mnie za przyjazdem do Reggio ułożony naprzód program zaraz się pomieszał. Wyszedszy z wagonu, zdążyłem powoli ku miastu, orientując się w Baedekerze wedle domu Ariosta, a udając, że nie widzę ani słyszę jadącego krok w krok za mną jedyne go ze stacyi fiakra, który znanym zwyczajem fiaków włoskich, sykał na mnie coraz natarczywiej, wymieniał wszystkie z kolei *curiosità* miasta, a szybkim ruchem palców liczył należące mu się taksy i *mancie*. Nakoniec podniósł już tylko jeden palec do góry, zapewne symbol jednego franka, a gdy i to nie pomogło, zeskoczył nagle z kozła, zatorował mi w poprzek drogę i zapytał znieznacka: *Signore, vuol andar à Canossa?*

Wyznaję, że stanąłem jak wryty, bom ani przypuszczał, że Canossa gdzieś blisko Reggio leży, a sama już jej nazwa magiczny jakiś wpływ na mnie wywarła. Ileż to bowiem razy w życiu idzie człowiek do Canossy, w powrocie z przesądów, uporów lub przywidzeń! A tu nadarzała się nagle sposobność wstąpienia do prawdziwej Canossy, nie lada gratka dla miłośnika historii, a z całej historii szczególnie właśnie tych nieprzerwalnych dziejów ostającego się cudem wśród powodzi wieków papiestwa. Założyłem był sobie dzień o nastroju literackim, w towarzystwie Ariosta i jego barwnej świty, złożonej z Ruggiera i Bradamanty, z Rodomonta i Marfizy w pełnym świetle i blasku Odrodzenia. Ale bez wahania porzuciłem wyśnioną epopeę dla żywego dramatu, który się rozegrał wśród zmroków średniowiecznych pomiędzy Henrykiem IV a Hildebrandem — i zgodziwszy mego *vetturina*, ruszyłem do Canossy.

Jakże mi zawsze żal tych stereotypowych turystów, trzymających się ściśle wielkich linii kolei żelaznej i wiel-

kich miast, którzy okolicę widzą tylko z okna mknącego szybko pociągu i którym się jeszcze na dobitkę zdaje, że kraj dobrze widzieli i dobrze poznali! Kto nie skręcił nigdy w bok od gościńca, pieszo, powozem lub konno, bez biletu Cooka i recepty na wrażenia z drukowanego przewodnika, ten nie spoufali się z krajem, a we Włoszech nie pozna tej zdumiewającej powszedniości pamiątek, tego zbytku sztuki, która wszędzie wycisnęła swoje piętno. Prócz szczególnego uroku, ma zaś taka wycieczka w odleglejsze zakątki na domiar i swoją bardzo zabawną stronę, bo przyjazd rzadkiego *forestiera* staje się pierwszorzędnym wypadkiem dla odwiedzanej miejscowości. Już z daleka dojrzy go zwykle lokalny przewodnik ze złotym napisem *guida autorizzata* na czapce, wybiegnie po niego z dobry kawał drogi na gościniec, powita, w opiekę weźmie i do miasteczka wprowadzi. Tam odrazu robi się cicho, życie uliczne na chwilę zamiera: kowal przestaje kuć, szewc rzuca szydło, praczka upuszcza bieliznę we fontannę, w której pierze, siedzące przed domami szwaczki składają robotę na kolanach, a niejedna, ładniejsza, poprawi różę we włosach; z wszystkich okien wyglądają zaciekawione głowy, a na przyzbach rozlega się stłumiony szept z żarliwą wiwisekcyą przybysza. *Guida autorizzata* spieszy naprzód, zamienia od czasu do czasu, nie zatrzymując się, kilka słów z *compadrem*; słyhać tylko ciche pytanie: *Un Tedesco?* i równie cichą odpowiedź: *No, un Inglese*, albo naodwrot; a tymczasem z tyłu zbiera się chmara na wpół ubranych dzieciaków, puszcających się w trop za gościem i dotrzymujących mu kompanii już przez dzień cały; respekt przed przewodnikiem trzyma ich zwykle w aryergardzie, tylko niekiedy przerwą ten porządek, ruszając n. p. do gwałtownego szturm na zamknięte drzwi kościoła, żeby obudzić drzemiącego zwykle wewnątrz zakrystyana. I podróżny bieży za przewodnikiem, ale ledwo wydażyć zdola, bo co krok coś go zatrzyma, tu jakiś wiekiem poszczerbiony, kwiatami z papieru prawie zasłonięty, lecz dobrej epoki sięgający Chrystus lub św. Franciszek z terracotty, wmurowany w ścianę; tam nawpół zatarty fresk w zakratowanej framudze, przed którym pali się lampka wieczysta, wyzłacając migotliwym płomykiem błady profil Madonny; dalej znów fasada pałacu

z XV-go lub XVI wieku, gdzie przez wybite szyby ogromnych okien wygląda często upadek i nędza w prozaicznej formie wietrzących się poduszek lub suszącej na sznurach bielizny, lecz gdzie wielkie tarcze herbowe, jak dawniej, strzegą wejścia; wreszcie jakiś kościół, podupadły na pozór, bo ze śtarych liści akantu na gzymsie puszczają świeże trawy polne, a zwinne zielone jaszczurki kryją się w gęstych szczelinach popękanych murów, gdzie przecież wewnątrz zdumiewa znów bogactwem marmurów, cennym obrazem lub freskiem, albo nagrobkiem o wspaniałym napisie, jakim epoka Odrodzenia tak wymownie wielbiła swych zmarłych. Podróżny zwiedza, patrzy, spostrzega rzeczy, o których się Baedekerom i Murrayom nie śniło, co ma właśnie swój urok specjalny, zaprzyjaźnia się z miejscowością, z jej ukrytymi pamiątkami i z tą dziwnie cichą, jakby zapomnianą grobową przeszłością, aż wreszcie zasiada w ocienionej sali jakiegoś *Lion d'oro* lub jakiej *Croce bianca* do smacznego zawsze *risottu* i do butelki wina *del paese*, której długa cienka szyjka sterczy z pękatego koszyczka. Dla mnie, wśród częstych podróży do Włoch, przygodne takie wycieczki z dowolnymi popasami, jak z Rzymu do Subiaco, gdy tam jeszcze kolej nie dochodziła, jak z Treviso do Maser, z Poggibonsi do San Gimignano, lub z Modeny do Carpi, niezwykle uroczem zostaną wspomnieniem i w tym jedynym wypadku najsilniej zawsze bliźnich do zboczenia z prostej drogi namawiać będę. A równie niezapomnianą zostanie mi i ta jazda do Canossy.

Mój automedon zapewniał, że pojedziemy szybko, bo ma wprawdzie jednego tylko konia, ale *un cavallo doppio*, konia „podwójnego“, czyli łączącego w sobie wszystkie zalety pary koni. Bardzo umiarkowany trucheik, którym ruszył i którego trzymał się już wytrwale przez dwadzieścia i kilka kilometrów, nie świadczył o owych zachwalanych zaletach, ale dłużyć się na tej drodze nie mogło, bo droga śliczna. Najpierw, po przebyciu mostu na rzeczce Crostolo, otwiera się piękny widok na Reggio, szeroko rozbudowane wśród łąk i zielonych pastwisk, a uwieńczone wieżami i kopułami licznych swych kościołów, z których największy, wspaniała Madonna della Ghiara, króluje nad miastem. Potem zbaczamy ze starożytnej *Via Aemilia*, nowy gościniec skręca na

zachód w kierunku Massy, Reggio powoli znika w muślinowej mgłę wstającej z łąk i droga zapuszcza się w głąb bujnej i żyznej okolicy, zamkniętej w dali pasmem Apenninów. Wokoło zboża dawno pokoszone i ściernie zarosły już gęstą lucerną, a wśród nich wytknięte długie rzędy drzew, splecionych pomiędzy sobą girlandami z wina, skaczącego z konarów na konary w zielonych wstążkach, które rozwijają się u podnóża Alp i spajają swą żywą siecią całe niemal Włochy. Kiedy mgła poranna lub opary wieczorne zasnują w półświecie te drzewa otulone gęstym liściem winnym, przybierają one jakieś fantastyczne kształty ludzkie, zdają się po przez pola podawać sobie girlandami ręce i gonić w dal w wesołym korowodzie. Istna to wizja Horacyuszowska, gdzie *gratia cum nymphis geminisque sororibus audet, ducere nuda choros...* Wzdłuż drogi gęsto rozsiane wille zamniejszych mieszkańców Parmy i Reggia, zamknięte zwykle w ochronnym czworoboku smukłych cyprysów, których powiewne kity szalejący tu śnać często *sciocco* stale ku północy nachylił. O kilkaset kroków dalej mniejsze znów gospodarstwa okolicznych ziemian, białe, nieocienione domki, podslane jakimś złocistym i migotliwym kobiercem: to rozścielony na murowanem klepisku zbiór tegoroczny *granturca*, dojrzewającej w pełnym słońcu żółtej, gruboziarnistej kukurudzy. Ale w tej chwili zabudowania puste, bo wszystko ruszyło na inny, najważniejszy zbiór, na winobranie. To też na szosie co chwila z gęstej kurzawy wylania się klasyczny zaprząg: para białych jak mleko wołów o rozłożystych zakręconych rogach, spojonych ciężkiem jarzmem i ciągnących leniwie krótki dwukołowy wóz. Wóz ten zatrzymuje się co stają i z pola schodzą rzędem kobiety, niosące na głowie kosze pełne winogron. Z lewą ręką podtrzymującą ciężar, prawą podpartą w bok, a z piersią wygiętą naprzód, linia ciał przypominają one w swym rytmicznym pochodzie starożytnie rzeźby, wyglądają na zbudzone nagle, żywe karyatydy. Każda opiera się plecami o wóz, głowę z koszem w tył podaje, a mężczyźni odbierają kosze i tłoczą je na wozy. W powietrzu rozlega się silna, gorąca woń ciekącego z nabrzmiąłych jagód wina, kobiety z pustymi koszami wracają na pola, słysząc przeciągły okrzyk woźnicy, białe rogate łby podnoszą

się ciężko z pod jarzma w górę i wszystko znowu w nowym tumanie kurzu niknie.

Zwolna i okolica zmienia charakter. Po gruncie twarzym, skalistym gościniec zaczyna się zlekka podnosić, winnice rzadną a natomiast ciągną się wzdłuż drogi suche, słońcem wypalone pastwiska. Mijamy jeszcze jedno większe *borgo*, na pół wieś, na pół mięscinę, zwaną San Polo d'Enza, niegdyś kwitnące i zaludnione miejsce obronne medyolańskich Viscontich i ferraryjskich Estów, złupione i zburzone w r. 1526 przez dzikie żołnierstwo Bourbona, idącego na Rzym. Za San Polo wjeżdża się już w podgórze. Na prawo, na samotnym pagórku, sterczy wysoka żółta baszta, a pod nią, na skłonie, stare zamczysko. To Guardasone, dawniej Guardia d'Azzone, w XIV wieku rezydencya Azza da Correggio, tyrana Parmy, który tu w r. 1341 ugaszczal Petrarke. Poeta wywdzięczył się za gościnność szumnym łacińskim wierszem umieszczonym na bramie twierdzy, chlubiącej się, że ją wznosił: „*Corrigiae splendor, fulget quo principe Parma, Bellipotens Azzo...*“ Stąd także odwiedzał Petrarca leżącą w pobliżu lesistą Selvapianę, którą, jak później słynną Arkę w górach Euganejskich, pokochał za podobieństwo do umiłowanej wraz z Laurą i przez Laurę Vautluzę i za nowe natchnienia, które mu wśród tych zielonych lasów „zimną pierś rozgrzały“*Scaldarmi il freddo petto, Sentii da febeo fuoco....* Po lewej zaś stronie drogi wznoszą się na wydłużonym garbie podnóża apennińskiego w czterech równych odstępach ruiny starszych, bo XI wieku sięgających zamków. Są to Quattro Castella, twierdze, należące niegdyś do hrabiny Matyldy, z których trzecia, Bianello, służyła za ostatni popas Henrykowi IV wśród pokutnej jego pielgrzymki. To już dziedzina Canossy.

Po dwugodzinnej jeździe stajemy w Cianello, małej, niepokazanej wiosce, skąd szosa dalej dolinami Enzy ku Carrarze biegnie, ale gdzie już drogi powozowej w kierunku Canossy niema. Canossa jeszcze daleko, a słońce porządnie piecze, więc najmuje jakąś nędzną szkapinę i konno z przewodnikiem stromą ścieżką zaczynam piąć się pod górę. Zrazu idzie dość ciężko, bo ścieżka pełna kamieni i wybojów, a moja biedna Rossinanta cierpi na astmę, co chwila przystaje, bo-

kami robi i rzeży przeraźliwie. Powoli więc tylko wdrapujemy się na szczyt, a raczej na rozległą górską płaszczyznę.

Stamtąd widok wspaniały. Od wschodu na zachód piętrzą się stopniami skalne terasy, sterczą kamienne ściany, strzelają w górę spiczaste szczyty i roztacza się w półkole długie pasmo północnych Apenninów. W górach włoskich nie znajdzie nigdy tego malowniczego kontrastu widoków alpejskich, z białą zimą wierzchołków, podszytą na stokach zieloną wiosną lasów. Góry te nagie i martwe, jakby ze świeżem jeszcze piętnem groźnego kataklizmu, który je stworzył. Ale słońce, ów wielki czarownik stref południowych, łagodzi tę grozę, zlewając w pełnym blasku zbyt ostre kontury, złączając światła i wysrebrzając cienie. Wiatr rozwiał był właśnie mgły poranne, rozścielił je po dolinach i odsłonił daleko to skłębione morze skał i głazów. Po prawej stronie, za pagórkami Selvapiany, ciemna i przepaścista ściana z wydłużonym grzbietem: to Bismantova, którą wspomina Dante w czwartej pieśni *Purgatoria*, kiedy po rozmowie z cieniem Manfreda stromą szczeliną skalną wspina się za Wergiliuszem na pierwszy krąg Czyśćca. Może smętna jego postać snuła się po tych przełęczach, gdy wśród wygnańczej tułaczki siedł od Malaspinów z Lunigiany ku Reggio, gdzie, wedle tradycyi, odwiedzał Gwidona da Castello, *il semplice Lombardo*, jak go w *Boskiej Komedyi* nazywa. Dalej, na lewo od Bismantovy, pośród dolin Enzy i Secchii sterczą wysmukłe szczyty Ventazza i Selli i ciężka rozłożysta kopuła Orsara. Bliżej zaś, na pierwszym tarasie, po obu stronach przeryniającej go w pośrodku przepaści, pełnej szarych i brunatnych wulkanicznych głazów, wznoszą się dwa regularne, jakby ręką, ale ręką olbrzymów ze skalistych zrębów usypane kopce. Pierwszy z nich, dźwigający u szczytu stary, zamieszkały jeszcze zamek, to Rosenna, niegdyś twierdza Pallaviccinich, Correggiów i słynnego współzawodnika Sforzów, Ottobuona Terzi, dziś własność hrabiów Ratti-Opizzoni z Parmy. Na drugi, dalszy, najeżony już tylko szczybami murów, wskazuje mój przewodnik ręką, dodając z tą miłą poufalością włoskiego ludu, u którego żywa tradycja zaciera odległość wieków: *Ecco dove stava la Donna Matilde*. To Canossa.

Jeszcze spora godzina żmudnej drogi w spiekocie słońca, na krawędzi wulkanicznego urwiska, aż wreszcie stajemy pod stromem wzgórzem Canossy. Tam konia z przewodnikiem zostawiam na dole, a sam puszczam się prowadzoną w zyg-zag ścieżką na szczyt, do ruin zamku. Na stokach kilka małych chatek wieśniaczych wśród ubogiej wegetacji, która gdzienie-gdzie skarłowaciałą krzewiną lub kępką usychającej trawy na wpół zieleni, na wpół żółci szare, skaliste ściany wzgórza. U szczytu płaszczyzna, długa na jakie osmdziesiąt metrów, szeroka na trzydzieści, zasłana wszędzie gruzami. Ruiny zachowały się względnie najlepiej po stronie południowej, gdzie sterczą jeszcze poważne mury, szczątki starego opactwa, które w połowie X wieku Azzo Alberto, założyciel Canossy, równocześnie z zamkiem fundował; rozpoznać można wyraźnie dawną kryptę świątyni św. Appolloniusza, z wystającymi z trawy dwoma kadłubami kolumn i ciężkim czworokątnym głazem, który może służył za ołtarz. Wokoło kilka mniejszych komnat, o zachowanych nieźle ścianach, porosłych mchami i bluszczem; potem długi podziemny krużganek, niedawno rozkopany, gdzie się mieściły niegdyś spiachrze zamkowe; wreszcie, po stronie północnej, już tylko same gruzy, bezkształtne złomy i ślady fundamentów, urwanych nagle wraz ze skałą, której część runęła w przepaść w XVI wieku, kiedy wnuk Pawła III, Ottaviano Farnese, zatoczył pod twierdzę działa i zburzył niemal doszczętnie broniony przez załogę ferraryjską zamek. Opodal w małym, zbudowanym przed kilku laty domku, założono skromne muzeum, w którym zebrano z pietyzmem wszystkie pamiątki dotyczące Canossy, a więc kilka odkopanych tam kapiteli i gzymsów, szereg monet znalezionych w rumowisku, a oprócz tego plany ruin i idealnej ich rekonstrukcyi, ryciny zamku z rozmaitych epok i domniemane wizerunki Grzegorza VII i Matyldy. Nie brak oczywiście i nieodzownych kart pocztowych z widokami. Z wystawionych zaś tablic chronologicznych z dziejów Canossy dowiaduję się między innymi, że w r. 1502 był kasztelanem zamku z ramienia Estów i mieszkał tam dłużej Ariosto i że opis w *Orlandzie* skały i twierdzy Atlanta... *Vi sorge in mezzo un sasso, che la cima — D'un bel muro d'acciar tutta si fascia...* jest podobno wspomnieniem Canossy.

Obejrzawszy pobieżnie te skromne zbiory i posiliwszy się równie skromnym, zabranym ze sobą prowiantem, zasiadłem w cieniu ruin, wpatrując się w nieporównany widok na okolicę. Z jednej strony rozległe panorama Apenninów których szczyty nauczył mnie już rozeznawać mój przewodnik po drodze z Cianello, z drugiej szeroka, żyzna dolina Padu, wyglądająca z góry jak ogromny trawnik, posiany gęsto białymi mrowiskami: to błyszczące wśród winnic w słońcu Parma, Guastalla, Reggio, Modena i Carpi. W jasnych dniach zimowych można podobno stąd nawet dojrzeć na przeciwnych flankach daleką Cremonę i sterczącą nad Bolonią słynną Madonnę di San Luca.

Właśnie było południe, powietrze drgało od gorąca, wiatr usnął i nadchodził ten nieznanym mieszkańcom północy wielki spokój południowych godzin, gdzie życie staje i cała przyroda jakby wółmartwa drętwieje. Z dolin dolatywały przez chwilę nawoływania schodzących z pola robotników i rozlegał się jakiś daleki śpiew. Potem wszystko umilkło i dokoła zaległa cisza, zaledwie czasem przerwana szelestem suchych traw, trąconych przez migające błyskawicą małe jaszczurki, te tajemnicze, zakłète duszyczki ruin. Mnie zaś, kiedym po tych ruinach okiem wodził, przypomniał się przeczytany co dopiero w muzeum napis, biadający już w XVI wieku nad gruzami Canossy... *quae, ut res humanae sunt, vix nomen retinet...* — „z której, zwykłą rzeczy ludzkich koleją, za ledwie imię pozostało“ — a gdzie przecież rozegrał się jeden z największych, bo o sumieniu ludzkim rozstrzygający dramat. Ale jak w pięknej legendzie greckiej Amfion lirą swoją budził głazy, spajające się same w mury Teb, tak historia dopomaga wyobraźni wśród gruzów, aby i one „w olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły“. Więc i dla mnie, gdym się cofnął myślą o lat z górą ośmset, powiało nagle życie przez ruiny Canossy i zbudzony ze snu wieków zamek zaludnił się wielkimi postaciami Hildebranda, Henryka IV i Matyldy.

II.

W panteonie i pandemonium *Boskiej Komedyi*, w tym tłoku cieniów średniowiecznych o tak mglistych nieraz nazwach, że komentatorowie nad wytłómaczeniem ich historycznym głęwy sobie łamią, brakuje nazwiska największego papieża z tej epoki, nazwiska Hildebranda. A to nie zapomnienie lub przypadek, którego nieubłagana logika namiętnego wieszca nie dopuszcza, lecz dobrowolne, rozmyślne pominięcie. Bo w tej „pieśni, co uweselała gniew tułaczego Ghibellina“,

. il carme
Che allegró l'ira al Ghibellin fuggiasco

jak nazywa *Boską Komedję* Ugo Foscolo, nie było i nie mogło być miejsca dla twórcy systemu, który był antytezą ideałów politycznych Dantego. Prawowierność nie dozwoliła pocie stracić do piekieł papieża, którego Kościół w rządzie świętych na ołtarzu postawił, ale do swojego „Raju“, raju żywego. bo pełnego żywych wzgard i miłości, wpuścić go nie chciał,

Soleva Roma, che il buon mondo feo
Due soli aver, che l'una e l'altra strada
Facean vedere, e del mondo e di Deo..¹⁾

to był ideał znacznej części społeczeństwa chrześcijańskiego w wiekach średnich, od XII wieku hasło obozu Ghibellinów, system monarchii uniwersalnej o dwóch głowach przy współrzędności berła i pastorału, władzy cesarskiej i papieskiej. Złudzenie szczytne, ale złudzenie tylko, sztuczna fikcyja ciągłości imperium rzymskiego pod skrzydłem nierzymskich orłów — słowo, które stawało się na chwilkę ciałem przez mądrość Karola Wielkiego, dzielność pierwszego z Ottonów i marzy-

¹⁾ Rzym, który wyrwał świat wiecznemu wrogu,
Dwojgiem słońce rzucił w dwoje dróg swe blaski,
W drogę ku światu i w drogę ku Bogu.
(*Czyścic. XVI*, w tłóm. E. Porębowicza).

cielstwo jego wnuka, lecz system, który bankrutował z kolei i wśród rozkładu Karolingskiej monarchii i za wygaśnięciem cesarskiej dynastji Sasów, a którym wstrząsnąć miał już w XI wieku Grzegorz VII, stawiając naprzeciw zasadzie dwójga słońce tę zasadę inną: że światem rządzą dwa światła, większe słońce i mniejszy księżyc; apostolska władza jest słońcem, królewska księżycem; jak księżyc bierze światło od słońca, tak cesarze, królowie i książęta są nimi z mocy papieża, bo on jeden jest z mocy Boga. Ztąd, z tej fundamentalnej zasady wywodził on cały swój program życiowy, program uwolnienia i wywyższenia Kościoła.

Kościół ten zaznał był w czasach największego upadku, kiedy młodziankiem z rodzinnej Sovany w Toskanii, z ziemi możnego rodu Aldobrandeschich, skąd niektórzy nazwisko jego Hildebrand wywodzą, przybył na naukę do Rzymu, do starych klasztorów na Awentyńskim wzgórzu. W ich wnętrzu tliła jeszcze iskra prawdziwego ducha kościelnego, żył niedawny przykład bogobojnego opata Leona i świeża pamięć jego przyjaciela, wielkiego apostoła Północy, św. Wojciecha, który na kilkadziesiąt lat przedtem wychodził ztamtąd w świecie wracającego do Niemiec Ottona III na ostatnią wędrówkę, zakończoną męczeństwem. Ale z zewnątrz dolatywały do tych awentyńskich ustroni groźne echa burzy, miotającej Rzymem i papieństwem, o które wiedli nieustanne spory następcy Ottonów i patrycyat rzymski. Wśród tych sporów zanikała nie tylko niezawisłość, ale i godność papieństwa. Ilekroć nowy zatarg ścigał cesarza na południową stronę Alp, stawał się on na gruncie włoskim, po krwawych odwetach, panem Stolicy Apostolskiej i Rzymu. Skoro wracał do Niemiec, wszczywał się odrazu nowy bunt szlachty rzymskiej, sobie przywłaszczającej władzę. Nadszedł najsromotniejszy może okres z dziejów papieskich, panowanie trzeciego z kolei papieża z domu owych hrabiów Tuskułańskich, którzy, jakby rodowem dziedzictwem, zawładnęli tyarą. Benedykt IX, dziecko prawie, wyuzdany szaleniec, zgrozą i zgorszeniem napełniał świat, *Magi potius Simonis, quam Simonis Petri vestigia sectatus* — „krocząc raczej śladami Szymona Maga, aniżeli Szymona Piotra“ — jak o nim mówi w swych Dyalogach późniejszy papież Wiktor III. Szlachta z Kampanii, lud rzymski

i wszyscy nieprzyjaciele Tuskulańskiego rodu, sprzysiężeni przeciw Benedyktowi IX, obrali papieżem Jana, biskupa z Sabiny, który przyjął imię Sylwestra III. Wkrótce wobec tych dwóch stanął trzeci: Jan Gracyan, archidyakon kościoła św. Jana a Porta Latina, człowiek zresztą, wedle świadectwa współczesnych, uczony i poważny, nie wahał się wśród spowzednienia symonii kupić od Benedykta IX pontyfikat i nazwał się Grzegorzem VI. A sprzedawczyk na domiar zamętu i po sprzedaży do pontyfikatu prawa sobie rościł. Trzech więc papieży naprzeciw siebie, walki ich stronnictw w Rzymie, po za Rzymem zaś, w Kampanii, napady na ciągnących do Grobów Apostolskich pielgrzymów, wszędzie rozboje i mordy, a w tym bezrządzie poniewierka miejsc świętych i spodlenie najwyższego dostojęstwa duchownego — to był obraz, na który z zacisza klasztornego patrzył młody Hildebrand.

Una Sunamitis nupsit tribus maritis,
Rex Henrice, Omnipotentis vice
Solve connubim, triforme dubium...¹⁾

temi słowy wołał wedle Annualisty Saskiego jakiś świętobliwy pustelnik o ratunek z po za Alp i wnet do dotychczasowych wrażeń przybyło nowe, o przyszłości Hildebranda rozstrzygające, kiedy żelazna ręka cesarza Henryka Czarnego zaciężyła nad Rzymem, zgmiotła papieży i antypapieży, poskromiła patrycyat i uspokoiła Rzym, ale spokojem, w którym zniknąć musiał i ostatni cień niezawisłości papiestwa. Hildebrand z dawnym swym nauczycielem, złożonym z urzędu Grzegorzem VI, poszedł za cesarzem na północ, odwiedzał z kolei Kolonię, Spirę, Wormacyę i poznawał ustrój i stan Kościoła w Niemczech. Również i tam znalazł wszystko w rozkładzie, bo system feudalny przegryzł był do szpiku organizację kościelną i duchowne dostojęstwa zamieniły się w ciągu ostatniego stulecia w proste lenna. Biskup lub opat był wassalem

¹⁾ Sulamitka jedna — trzech aż mężów jedna.
O Henryku Księżę — przez Cię niech rozwiąże
Bóg to mylnie stadło — trzygłowe dziwadło...

królewskim albo książęcym, przed obiorem i zatwierdzeniem ze strony duchownej, przez wręczenie pastorału i pierścienia z ramienia świeckiego mianowany i na świecką takim piętnem skazany zależność. Zależność ta ubezwładniała go zupełnie, zdawała na łaskę lub niełaskę panów świeckich. Już zresztą samo rozporządzanie przez nich pastorałem i pierścieniem, więc symbolami wyłącznie duchownymi, było wtargnięciem w dziedzinę kościelną, wyłomem w murze rozgraniczającym obie władze. Jednocześnie zaś z ustrojem feudalnym wpajał się w ciało Kościoła ustrój ten oddawna toczący rak: na modłę kupna urzędów świeckich szerząca się w sferze kościelnej symonia. Jak lenna świeckie, tak biskupstwa, opactwa i inne urzędy duchowne stawały się prostym towarem z kramów dworskich. Pościąg za tym towarem w duchowieństwie wyższem, waśnie i walki w tem współzawodnictwie pomiędzy dostojnikami kościelnymi, srogi wyzysk poddanych, aby starczyć na nowe świętokupstwa, a na dole, w duchowieństwie niższem pod takim przełożnictwem i za takim przykładem rozluźnienie obyczajów i w skutek porzucenia bezżeństwa kapłańskiego wszędzie i po wszystkie czasy idące zwyrodnienie kleru – to był obraz drugi, obraz Kościoła na Północy, który stanął przed oczyma młodego mnicha, przybyłego za cesarzem Henrykiem III do Niemiec.

Wedle tradycyi zamknął się on w tym okresie w klasztorze w Cluny. Że nie była to jednak, jak u dawnych anachoretów, ucieczka i odgraniczenie się od świata, o tem świadczy już sam wybór miejsca. Cluny było bowiem od chwili założenia przez pobożnego Wilhelma, księcia Akwitanii, a więc już od wieku przeszło, prawdziwem gniazdem reformy kościelnej, ograniczającej się zrazu na wskrzeszaniu pierwotnej dyscypliny benedyktyńskiej, ale zataczającej z czasem coraz szersze koła. Tam uczył się Hildebrand systemu tej reformy, aby potem na jej modłę podjąć się większej, ogólnej naprawy i potężnem ramieniem podeprzeć walący się Kościół. A myśl chętnie zatrzymuje się na tej najmniej znanej, najcichszej chwili jego życia, kiedy zdała od dworów i stolic, gdzie go widok upadłej społeczności chrześcijańskiej zahartował zgorzzeniem, tu w tem odległym ustroniu gotował się na późniejsze walki i w przeddzień czynów, mających wstrząsnąć swia-

tem, stał jak owa dusza z „Czyścica“ Dantego. samotny i wyniosły, *a guisa di leon quando si posa...*

Ze złożonym z urzędu przez Henryka III Grzegorzem VI opuścił był Rzym, zznaczonym na Stolicę Apostolską przez tegoż cesarza Leonem IX miał tam powrócić. I zaraz na wstępie zaznaczył się jego wpływ, kiedy Leon IX w pielgrzymiej szacie stanął pokornie u bram Rzymu. aby pomimo nominacji cesarskiej, poddać się wprzód wedle starodawnej modły wyborowi przez kler i lud rzymski. Rzym zastał Hildebrand w srogim upadku. Kampanię rozboje baronów i szlachty zamieniły w pustynię, a w mieście panowała taka nędza, że jak zapisuje współczesna kronika, lud w rok później cisnął się po jałmużny rozdawane hojnie przez pątnika przybyłego z dalekiej Północy. Pątnik ów był królem Szkocyi i nazywał się Makbet.

Trzeba było wszystko na nowo budować, naprawiać i dźwigać, tak w dziedzinie duchownej, jak świeckiej. Pięciu następujących z kolei po sobie papieży, Leon IX, Wiktor II, Stefan IX, Mikołaj II i Aleksander II, podjęli się tego zadania, a chlubne ich rządy, torujące drogę dla pontyfikatu Hildebranda, były niejako szczeblami dojrzewających jego reform. Bo on sam stał niewzruszenie przy boku tych papieży, zrazu jako archidyakon, potem jako kanclerz Kościoła, przelotnie tylko opuszczając Rzym w legacyach do Niemiec lub Francyi.

Wpływ dzielił z pokrewnym mu wspólnością celów i żarliwością ducha, świętym Kamedulą, Piotrem Damiani. Dopelniali się oni nawzajem: Hildebrand zawsze na widowni i na przedzie, zajęty głównie polityczną stroną kościelnych rządów, stosunkiem papieżstwa do państwa, mąż stanu i mąż czynu, cierpliwie, a z żelazną wytrwałością znosił cegłę po cegle pod budowę potężnego gmachu hierarchii; Piotr Damiani, odludek i asceta, wbrew woli, z posłuszeństwa tylko przyjmujący kapelusze kardynalski i biskupstwo w Ostyi, krył się zresztą najchętniej w umiłowanem ustroniu, w zacisznej Fonte Avellana, „pustelni poświęconej tylko chwalebnie Boga“ — *ermo che suole esser disposto a sola latría* — jak mówi Dante, kiedy go w „Raju“, w sferze Saturna, wśród kontemplacyjnych duchów spotyka, ale czy w cichej pustelni

czy na dworze papieskim walczący zawsze ognistem słowem lub piórem ze zwyrodniałym klerem, a to z taką siłą inwektywy, że mu w niej chyba jeden Savonarola po czterech wiekach dorównał. Nic lepiej nie określa różnicy charakteru obu tych współczesnych sobie i współdziałających reformatorów z XI wieku, jak ich podpisy, widniejące obok siebie na bulli papieża Aleksandra II, ogłoszonej z powodu odnalezienia zwłok św. Benedykta. „Ja, Hildebrand, ktokolwiek jestem, archidyakon Kościoła Rzymskiego“, podpisuje się małym stanem, „ja, Piotr grzesznik, biskup Ostyi“ pisze pokorny mnich. To też mnich męża stanu nie zawsze rozumiał, nie pojmował głębi jego politycznych zamiarów i wytykał mu w swych wierszowanych listach, że ponad samego papieża wyrasta, że papieża panem, papież jego Bogiem zrobił — *tu facis hunc Dominum, te fecit ille Deum*. — Ale i on, jak wszyscy, korzył się przed Hildebrandem i w podziwieniu tej jakżeby demonicznej jego siły, zwał go w prostocie ducha i stylu swym „świętym szatanem“.

Zwoływane w tym okresie coraz częściej synody, potępiające symonię i zaostrzające przepisy o obowiązku bezżeństwa kapłańskiego, noszą na sobie niezatartą cechę wpływu Hildebranda. Reforma Kościoła musiała atoli sięgać samego szczytu, więc należało przedewszystkiem zabezpieczyć wolny wybór papieża. Dotąd wybór ten spoczywał w ręku ludu i kleru rzymskiego, a z kolei wyrobił się przywilej cesarski potwierdzania wyboru, przywilej, nadużywany często przez cesarzy w ten sposób, że zamiast potwierdzenia wybranego, mianowali z góry wybrańca. Wszystkie trzy czynniki wyboru były niepewne: kler zepsuty, lud chwiejny, cesarz samowolny. A na domiar złego, właśnie w połowie XI wieku spory i niepokoje w Rzymie i ostra interwencja cesarza Henryka III sprawiły, że lud rzymski przelał faktycznie swe prawo na niego, że więc znikł wybór i została prosta nominacja cesarska. Tym sposobem stał się cesarz istotną i rzeczywistą głową Kościoła. Rozumowi Henryka III i czujności Hildebranda zawdzięczał Kościół, że kilku z rzędu mianowanych papieży godnie sprawowało najwyższe duchowne rządy, ale ustalenie tego zwyczaju prowadziło do zupełnego sparaliżowania władzy duchownej. Niebezpieczeństwu temu położył

tamę synod lateraneński, zwołany w r. 1059 przez Mikołaja II. Na tym synodzie unormowano wybór papieski, który surowym dekretem zastrzeżony został wyłącznie gronu kardynałów. Lud i niższy kler rzymski mieli mieć odtąd już tylko czysto formalne prawo zgody na dokonany wybór, a synod pozostawiał wprawdzie i nadał cesarzom przywilej zatwierdzania wybranego papieża, ale przywilej ten ograniczał warunkiem, że każdy cesarz osobno go od papieża otrzymać musi, że więc osobie a nie dostojęństwu przynależy i jest od łaski papieskiej zależnym.

Był to pierwszy wyłom w dotychczasowej wszechwładzy cesarskiej, a zarazem początek konfliktu między Hildebrandem a państwem. Chwila dla Kościoła była o tyle dogodna, że cesarz Henryk III leżał już w grobie, a na tronie niemieckim zasiadało nieletnie chłopię, syn jego Henryk IV. Nad młodzieńczym królem czuwali jednak opiekunowie, biskupi niemieccy, pilnujący zazdrośnie prerogatyw cesarstwa wobec Rzymu. To też przy następnym wyborze papieskim, po śmierci Mikołaja II, przyszło natychmiast do starcia. Szlachta rzymska, dotychczas wiecznie skłócona z cesarstwem, buntująca się kolejno przeciw Karolingom i Ottonom, a trzymana w karchach przez Henryka Czarnego, teraz, mszcząc się na papieżstwie za odjęcie jej przez dekret synodu lateraneńskiego czynnego przy wyborze papieskim udziału, stanęła po stronie młodego króla Henryka i nadała mu patrycyat rzymski z prośbą o naznaczenie nowego papieża. Z tą chwilą występuje po raz pierwszy na ziemiach włoskich zszeregowane stronnictwo cesarskie, zarodek przyszłego Ghibellinizmu, mającego przez pięć stuleci dzielić Włochy na dwa wielkie obozy. Lecz Hildebrand nie uląkł się nowych wrogów, a widząc, że na niemieckim dworze namową nie wskóra, przeciął węzeł, zwołując kollegium kardynalskie i za jego wpływem a wedle świeżych dekretów wyborczych obrano papieżem biskupa z Lukki Anzelma, który przyjął imię Aleksandra II i objął w posiadanie Lateran. Przeciw takiemu wyborowi podniósł się od razu gwałtowny protest całych Niemiec. W obecności młodego króla synod w Bazylei uznał dekrety synodu lateraneńskiego i wybór Aleksandra za nieważne i za sprawą buntowniczego kleru z Lombardyi, po-

pierającego swe żądania dziwnie brzmiącym argumentem, że nowy elekt winien pochodzić z Włoch północnych — *ex paradiso Italiae* — obrany został Cadalaus, biskup z Parmy, który nazwał się Honoryuszem II, jako papież z ramienia Henryka IV ruszył do Rzymu i zajął warowny zamek św. Anioła. Między papieżem i antypapieżem wybuchł długoletni spór, przechodzący w krwawe walki, kiedy na pomoc zagrożonego Lateranu jawiły się w Kampanii i w Rzymie awanturnicze zastępy, wiedzione przez najmłodszych lenników papieżstwa, owych dzielnych książąt normandzkich, synów Tankreda z Hauteville, którzy zdobywali sobie właśnie na zniewieściałych Grekach i półdzikich Saracenach pięćdziesiąt po pięćdzi południowych ziem włoskich. Schizma rozdarła znów świat i znów, lecz poraż ostatni w tak rozstrzygający sposób, ważyły się losy Kościoła, jego niezawisłości lub niewoli. Zwycięstwo Honoryusza II byłoby zniweczyło zamiary Hildebranda, zgięło znów Kościół pod jarzmo świeckie. Ale cichy i świętobliwy papież Aleksander II mimo prześladowań i upokorzenia, kiedy mu wśród murów Wielkiego Cyrku przed wysłannikiem antypapieża prawowitości własnego wyboru bronić kazano, trwał cierpliwie na swem stanowisku, choć ubezwładniony bezrzędem w Kościele i w Rzymie. Popierali go w wytrwałości Piotr Damiani, dobiegający już kresu swej ziemskiej wędrówki i Hildebrand, którego cel życiowy, wyzwolenie Kościoła, stawał się od utrzymania prawowitego elekta na Stolicy Apostolskiej zawisły. Zabiegi ich, błagalne prośby, niesione przed tron króla Henryka, a groźby zwrócone do Honoryusza, nie osiągały przecież pożądanego skutku i sromotne rozdarcie Kościoła trwało latami, aż wreszcie powrót do wpływu na dworze niemieckim potężnego arcybiskupa z Kolonii, Hannonna, przechylił szalę na stronę Aleksandra. Hanno przybył do Rzymu, aby zażegnać schizmę. Wnet przyszło do starcia pomiędzy nim a Hildebrandem. Pierwszy przykładami z dziejów bronił praw cesarskich przy wyborze papieża, drugi powagą Ojców Kościoła roszczenia te zwalczał. Pozostawiono rozstrzygnięcie soborowi, zwołanemu w Mantuy, a zebrani biskupi, zjednani pokorą i powagą Aleksandra, za którym się na końcu i sam Hanno oświadczył, rozstrzygnęli rzecz na jego korzyść.

Pierwszy punkt programu Hildebranda, zasada wolnej kościelnej elekcji papieża, był więc uratowany, ale z cięciem zadaniem cesarstwu. A los zrządził, że nowy ten porządek przy jego własnym wyborze przez miłość Rzymian, którą sobie z biegiem lat zdobył, na nową miał być wystawiony próbą. Bo gdy w kwietniu 1073 r. po śmierci Aleksandra II kardynałowie, biskupi i opaci szli w solennej procesji do bazyliki św. Piotra na przepisane trzydniowe egzekwie za zmarłego papieża, zgromadzony przed świątynią lud i kler rzymski przyjął żałobny orszak jednogłośnie okrzykiem: „Hildebranda obieramy papieżem!“ Sam Hildebrand rzucił się w tłum i jał uspokajać rzesze, ale jak później pisał: *Quasi vesani in me insurrexerunt* — jak obłąkani na niego napierali — i w wzrastającym zgiełku lud obwoływał go papieżem. Wtedy wystąpił z orszaku kardynał Hugo Candidus i obwieścił ludowi, że i grono kardynałów jednogłośnie Hildebranda papieżem obiera. „Piotr dał go nam na pastera“ — odpowiedział lud i wnet przybranego w purpurę i ukoronowanego tyarą wybrańca posadzono na tronie, a kardynałowie dla zawarowania dekretów Mikołaja II przystąpili bezzwłocznie w obecności obwołanego elekta do formalnego wyboru. Jeszcze raz zwrócił się dziekan św. kolegium do ludu z obwieszczeniem, że Hildebrand papieżem został i imię Grzegorza przyjął. — „Chcecie go i zgadzacie się?“ — brzmiało przepisane zapytanie. — „Chcemy i zgadzamy się!“ — odkrzyknął lud.

Z chwilą wstąpienia na Stolicę Piotrową, już nie radą i wpływem, ale rozkazem mógł Grzegorz VII wcielać swoje myśli. Z bogatego epistolaryusza, pozostałego po nim, z krótkich jędrnych zdań wylania się górne pojęcie, jakie miał o najwyższem swem posłannictwie. Na fundamencie zasady, że nie dwa słońca rządzą światem, jak mniemała po jego czasy społeczność chrześcijańska, lecz większe słońce — władza apostolska, — i mniejszy, od słońca światło biorący księżyc — władza królewska — budował zasady dalsze, że jako Boży Namiestnik wznosi się papież ponad wszystko, a władza jego wystrzela ponad trony i stolice ziemskie; Kościół, jako wspólna matka, ma prawo rozkazywać cesarzom i królom, tak jak rozkazuje biskupom i opatom; świeckie

i duchowne sprawy należą przed trybunał papieża, który ma nauczać, napominać, karać, naprawiać, rozstrzygać i sądzić; nieprawość zawładnęła światem, wiek jest żelazny, Kościół w ucisku; słudzy jego żyją w grzechu; od głowy Kościoła musi wyjść naprawa i odnowienie; papież musi wszelkie zło zwalczyć i wytępić i pokój na świat sprowadzić; uciesnionym za prawo i cnotę ma się stać obroną, ciemnizyńcy Kościoła winien zaś wygnać ze społeczeństwa chrześcijańskiego; Kościół musi być wolny, a w nim wszyscy prawi i czyści.

Wszystko w tym systemie Grzegorza składało się na pełną i ścisłą konstrukcję. Bo o współrzędności obu władz, duchownej i świeckiej, zwątpił był Hildebrand wśród doświadczeń swej młodości, kiedy patrzył to na zatargi cesarstwa z Kościołem, to na przewagę pierwszego nad drugim. Zresztą warunkiem takich idealnych współrzędów mogła być tylko jednolita władza świecka, ciało o jednej głowie, jakim było dawne imperium rzymskie. Tymczasem bystre oko Grzegorza nie mogło nie dostrzedz przeobrażeń, które się właśnie w całym świecie dokonywały. Bo ziarno, rzucone wśród wędrówki ludów na gruzach starego rzymskiego państwa, przyorane do czasu równającym wszystko pługiem Karolingów, poczynano teraz wschodzić i rozrastało się w różnorodne i odmienne gatunki. Budziły się narody i spajały w odrębne ciała, łamiąc dotychczasowe granice i rozsadzając stare formy. W samym jądrze cesarstwa, w Niemczech, małoletność Henryka IV rozluźniała twarde, spajający porządek, który bezwzględna energia zaprowadził był Henryk Czarny. Dwa rozległe kraje, Saksonia i Turyngia, dwa bitne szczepy, zbuntowane przeciwko dynastji, pomiatającej dziedzicznymi ich prawami, rwały się do walki za wolność, a równocześnie książęta niemieccy podnosili hardziej dumne karki, pogięte przez zmarłego cesarza i ciągle ich knowania lub zdrady wstrząsały podwalinami Salickiego tronu. Na Zachodzie natomiast, ze spuścizny po ostatnich Karolingach, dzielni władcy niewielkich ziem pomiędzy Loirą i Aisną, lepili nowy twór państwowy, wedle ich dziedzicznego księstwa Francją zwany. Trzech królów z rodu Kapeta położyło już było fundamenty, a czwarty, współczesny Grzegorzowi VII, śmiały i rzutki Filip I rozpoczął właśnie budowę przyszłej wielkiej, królew-

skiej Francyi. Tymczasem lennik jego, książę Normandzki Wilhelm, w bitwie pod Hastings zdobywał inną koronę, spajał przez długie walki Saksonów i Duńczyków rozdartę państwo i stwarzał w podbitej Anglii monarchię dla swego rodu, którego krew po dziś dzień w żyłach jej królów płynie. Na południu zaś od nowej, rozkwitającej Francyi, na półwyspie Iberyjskim, z rozpadnięciem się po trzechwiekowem blisko istnieniu kalifatu z Kordowy, słabła potęga Maurów, a miecz zwycięski bohaterskiego Cyda rozszerzał dzierżawy chrześcijańskich królów Kastylii. Ale równocześnie straty po tej stronie Śródziemnego morza nagradzał sobie Półksiężyc na Wschodzie; Soliman zajmował Niceę i pod jego naporem kurczyło się i rozpadało w proch stare Bizancyum. Tak we krwi i znoju przeistaczał się cały dawny kształt świata, bo nawet tam, na dalekiej Północy, za zasługą Kazimierza Odnowiciela i przez dzielność jego syna wschodził właśnie na nowo posiew Chrobrego, zniszczony zawiścią pierwszego cesarza z dynastyi Salickiej, i gdy niebawem cesarza tego wnuk korzył się przed papieżem w Canossie, równocześnie miał Bolesław Śmiały wkładać na skroń błyszczącą w nowym blasku koronę Piastów.

W takich warunkach zasada monarchii uniwersalnej stawała się mrzonką, a z niemożności współzrądu z jedną władzą lub oparcia się na tyłu, wynikała dla Kościoła konieczność wytworzenia sobie wolnej i własnej podstawy. Z tej zasady wysnuwał zaś Grzegorz VII i tę dalszą, którą zresztą już i z natury Namiestnictwa Chrystusowego wywodził, że wobec zaniku uniwersalności cesarstwa a trwania jej w Kościele, Kościołowi nie współrzędność, ale przewaga nad tronem i państwem należy. Dla dopięcia tego celu potrzeba było najpierw wyrwać Kościół z ciała państwowego i przeciąć więzy, któremi go pętała władza świecka, a więc odgraniczyć kler od kupnego lenna i wyzuć go na zawsze z węzłów rodzinnych. Z symonią walczył już Kościół oddawna i nakazywał wielokrotnie bezżeństwo kapłańskie, bezpośredni zaś poprzednicy Grzegorza VII w coraz ostrzejszych dekretach potępiali świętokupstwo i łamanie celibatu. Ale tak trudna w owych czasach kontrola wykonania, udaremniała skutki. Teraz dopiero miały zapaść w tej mierze wyroki stanowcze,

a niezłomna wola Hildebranda poręczała ich przeprowadzenie. Zebrany w r. 1074 synod w Rzymie zakazał nabywania dostojności i urzędów duchownych w drodze kupna i groził najcięższą karą kościelną zarówno kupującemu, jak sprzedającemu; kto w nieprawy sposób urząd kościelny nabył, miał być z niego złożony; każdy zaś ubiegający się o urząd kościelny, miał wprzód ślubować bezżeństwo; kapłan żonaty, lub obcujący z kobietą, musiał natychmiast związku te zerwać, albo z urzędu ustąpić. Wysłannicy papiescy roznieśli odrazu dekrety synodu na wszystkie strony świata, dekretem zaś towarzyszyły surowe pisma Grzegorza, nakazujące szybkie i bezwzględne ich spełnienie. Wyroki te wnikały w cały ustroj społeczny, wzniecały zawiść królów i książąt, którzy sprzedają duchownego lenna najsilniej przykuwali świętokupców do tronu; wstrząsały stolicami biskupów i opatów, z których większość urzędy swe nieprawnie posiadała; gasiły ogniska domowe kapłanów, łamiących celibat, a zmuszonych teraz zerwać nagle najbliższe i najściślejsze związki; budziły wreszcie sumienie mas, do którego papież appellował, zakazując wiernym żądać Sakramentów lub przyjmować je z rąk żonatych księży i świętokupców. Skargi, gniew i żale odpowiadziały zewsząd na te orędzia papieskie. Przedewszystkiem dekret o bezżeństwie wzburzył umysły. W Niemczech wśród niższego kleru przyszło do buntu. Siegfried, arcybiskup moguncki z synodu w Erfurcie ledwo z życiem uszedł; przeciw papieżowi stanęło czoło episkopatu niemieckiego, potężni biskupi ze Spiry, Strasburga, Bambergu, Trewiru, Bremy; we Francyi synod, zwołany w Paryżu, bez rozpraw odrzucił dekrety, a jedyne go ich w całym zebraniu obrońcę sponiewierano, zawleczono przed króla i wtrącono do lochów; w Hiszpanii nie chiano nawet słuchać legatów; słowem wszędzie, gdzie dotarło słowo papieskie, odważniejsi skupiali się w jawnym oporze, mniej śmieli próbowali wykrętów lub targów.

Podnoszący się zewsząd groźny pomruk, bił jednak nadaremnie o twarde mury Lateranu. Hildebrand nie łudził się, aby zamiary swe łatwo mógł spełnić, lecz stawiane mu przeszkody mierzył wielkością celu i to mu starczyło. Owszem, z tą chwilą wzrosła jeszcze jego energia i zdawało się, że

mu pilno wszystkie swe żelazne myśli naraz w ogień wszech-
tej walki rzucić, żeby je tem prędzej przekuć na stał. Jakoż
jął przyspieszać wypadki: elekcya papieska była wolna; de-
krety z r. 1074 miały wyrwać kler ze sfery świeckiej,
nagiąć go pod wyłączny wpływ kościelny. Pozostawał ostatni
punkt programu, najdonioślejszy: sprawa inwestytury. I teraz
postanowił papież zadać państwu cios stanowczy. Już w lutym
zwołał nowy synod w Rzymie, na który wezwał biskupów
z całego świata. Synod potwierdził najpierw poprzednie de-
krety, a następnie uchwalił zakaz nielegalnej inwestytury.
Każdemu, brzmiał dekret, kto by na przyszłość przyjął bi-
skupstwo lub opactwo, albo niższe dostojęństwo i urząd ko-
ścielny z ramienia świeckiego, ma być wstęp do Kościoła
wzbroniony; cesarz zaś, król lub książę, któryby się powa-
żył inwestyturę biskupstwa lub innego kościelnego dostojen-
stwa nadać, popada pod te same kary.

Był to powrót do dawnych praw i zwyczajów kościel-
nych, kiedy biskupów wybierało duchowieństwo i lud każdej
dyecezyi, zaczem ich papież potwierdzał; ale zarazem był to
przewrót oddawna zakorzenionej i tradycją ustalonej formy,
przewrót, który oznaczał zupełne oderwanie Kościoła od
państwa. Zdobywając się na ten krok stanowczy, przewidywał
Grzegorz VII, jaką burzę wznieci i wiedział, jakich ofiar od
świata żąda, ale przedewszystkiem siebie samego składał za
ziszczenie swej myśli w ofierze, jak świadczy pełen głębo-
kiego smutku list, pisany w owym czasie do przyjaciela i po-
wiernika, opata Hugona z Cluny. „Gdybym zdołał — pisał pa-
pież — chciałbym ci dać poznać w pełni i to brzemień trosk, co
mnie uciska, i ten z dnia na dzień wznawiany znój, od któ-
rego mdleję. Często wołałem do Pana, żeby mnie z tego pa-
dołu odwołał, lub sprawił, aby wspólna Matka przezemnie
pożytek miała. Boleść niezmierna i sroga żałość rozdziera mi
serce, że Kościół wschodni za sprawą nieprzyjaciela od wiary
katolickiej odpadł; a kiedy wzrok na zachód zwrócę, na
południe czy na północ, ledwo że gdzie dostrzegę jeszcze
biskupa, któryby urząd swój prawnie był nabył, prawy ży-
wot wiódł i nad ludem chrześcijańskim z Chrystusową mi-
łością rządy sprawował. Między świeckimi zaś książęty nie
znam żadnego, któryby Bożą cześć ponad własną i spra-

wiedliwość ponad zyski stawiał. Ci, wśród których mieszkam, Rzymianie, Lombardowie i Normannowie, są — jak im to powtarzam — gorsi może od Żydów i pogan. A kiedy wejść w siebie, natenczas ciężar własnego działania tak mnie przygniata, że już i nadziei zbawienia nigdzie nie zajrzę, chyba w jednym miłosierdziu Bożem. Bo gdybym nie ufał w poprawę i w pożytek Kościoła świętego, wtedy — Bóg mi świadkiem — nie pozostabym ani chwili dłużej w Rzymie, gdzie z przymusu już przez dwadzieścia lat żywot ten wiodę. Ztąd w bólach, odnawianych co dnia, a z nadzieją, która niestety za daleko sięga, wśród nadsciągającej zewsząd nawałnicy, jakby w ciągłym konaniu żyję“.

Pierwszy grom z tej nawałnicy miał niebawem w papieża uderzyć. W wilię Bożego Narodzenia tegoż roku 1075 odprawiał on o północy Mszę świętą w kaplicy Żłóbka bazyliki Santa Maria Maggiore. Burza szalejąca nad miastem sprawiła, że szczupła tylko garstka wiernych zebrała się na nabożeństwo i kościół był prawie pusty. Ale po Podniesieniu jakieś tajemnicze, zakapturzone postacie jęły zapelniać przedsionek i właśnie Grzegorz i otaczający go kapłani przyjęli Ciało Pańskie, kiedy zgraja siepaczy, zbrojnych w oszczepy i miecze, wtargnęła do wnętrza, runęła przed ołtarz i uderzyła na celebującego papieża. Odartego z pontyfikalnych szat, sponiewieranego i ugodzonego w skroń przywódca zgrai, Cencyusz, syn byłego prefekta Rzymu, a za panowania Aleksandra II poplecznik antypapieża Honorjusza i skrył go w obronnej wieży nad Tybrem. Ale w mieście wszczął się popłoch. Uderzono we wszystkie dzwony i zbudzony ze snu potworną nowiną o porwaniu papieża lud ruszył na Kapitol. Inni stanęli u bram miejskich, strzegąc, aby złoczyńcy nie uprowadzili Grzegorza z Rzymu. Wreszcie gruchnęła wieść, że go Cencyusz więzi w swej znienawidzonej przez lud wieży, którą wznosił był sobie u progu mostu wiodącego do św. Piotra, żeby napadać i łupić ciągnących do Grobów Apostolskich pielgrzymów. Pod tę wieżę ruszyły teraz tłumy. Kto mógł chwycił za broń, i wśród przekleństw na sprawcę zbrodni rozpoczęto szturm. Zuchwały Cencyusz myślał zrazu o obronie, ale gdy tłumy oblegających rosły i gdy wnet całe miasto wyległo na odsiecz, zwątpił o wy-

granej i błagając o przebaczenie, padł do nóg papieża. Papież obiecał darować go życiem, a sam zbliżył się do okna, ukazał ludowi i dał znak, że mówić będzie. Lecz lud rozumiał, że Grzegorz o ratunek woła i z podwojoną zaciekłością uderzył na mury. W mig wywalono bramę i tłum wtargnął do wnętrza. Jedni puścili się w pościg za Cencyuszem, który zdołał się ukryć i zbiegł. Drudzy otoczyli papieża i wśród radosnych okrzyków powiedli go w tryumfalnym pochodzie napowrót na Eskwilin, do bazyliki Liberiańskiej. „A że był od dnia poprzedniego na czezo — mówi pobożny kronikarz — więc odkrył kielich na oltarzu i o zmroku wieczornym dokonał ofiary, rozpoczętej z pierwszym pianiem kura“.

Cencyusz, jeden z tych rozzuchwalonych baronów rzymskich, jakich w ciągu wieków nigdy w Rzymie nie brakło, był tylko narzędziem. Za nim stał Wibert, arcybiskup owej tradycyjnie o prymat rzymski zazdrosnej Rawenny, zrazu przywódca nieprzyjaciół Grzegorza i Grzegorzowej polityki wśród kleru włoskiego, później z ramienia cesarskiego przeciwko Grzegorzowi mianowany antypapież. Celem spisku było ujęcie Hildebranda, złożenie go z urzędu i wydanie na łaskę i niełaskę Henryka IV, podnoszącego w tej chwili właśnie hardziej głowę przeciw duchowej Stolicy, która po raz pierwszy śmiała naruszyć dawne, uświęcone zwyczajem roszczenia cesarstwa. Czy sam Henryk IV był wtajemniczony w spisek, czy wiedział o przygotowanym zamachu, tego dociec trudno. Ale Grzegorz VII wśród takich niebezpieczeństw i wobec tylu wrogów, musiał szukać sprzymierzeńców. Na młodych lennikach papieżstwa, książętach Normandzkich, na razie polegać nie mógł, bo głowa ich, późniejszy biez Boży Rzymu, Robert Gwiskard, poróżnił się był właśnie ze Stolicą Apostolską. W inną stronę więc papież o pomoc się zwrócił. A jak niegdyś Opatrzność na ratunek świątyni wybrała Judytę, tak teraz znów obronę jej złożyła w ręce niewieście — na wiadnię dziejową wstępuje Hrabina Matylda.

Zdzisław Morawski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAMEK NA WAWELU.

»Teka Grona Konserwatorów Galicyi Zachodniej«. Tom IV.
1) *Wawel*. Tom I. *Zabudowania Wawelu i ich dzieje*, opisał Dr. Stanisław Tomkowicz. — 2) *Wawel Atlas planów, widoków i zdjęć architektonicznych z XVII, XVIII i XIX wieku — do tomu i dzieła Wawel*, wydał Dr. Stanisław Tomkowicz.
(Kraków, 1908).

I.

Któż oglądając zamek królewski na Wawelu, lub myśląc o nim, nie zadawał sobie pytania: jak tu być mogło? Jak on wyglądał za Piastów przed Władysławem Łokietkiem, jak za Kazimierza Wielkiego, za Jagielly i Jadwigi, lub wreszcie za owych jego największych fundatorów, znawców i opiekunów sztuki Odrodzenia, obu Zygmunatów? Jak mieszkali tutaj ci, którzy byli głowami narodu i wodzami jego? Jacy byli budowniczo wie, którzy go budowali i kamieniarze, którzy go zdobili? Tysiące było pytań, tysiące zagadek. Rozwiązawali je różni, ale tylko w zakresie swych badań i stosownie do czasu, w którym żyli i pracowali; obrazu całości, według wymagań dzisiejszej nauki, nie dał nam do niedawna nikt. Po raz pierwszy i odrazu na szeroką skalę zrobił to Dr. Stanisław Tomkowicz w swem monumentalnem dziele o Wawelu.

Skoro pewną i głośną stała się wiadomość, że zamek królewski na Wawelu przestanie być koszarami wojskowemi, a zostanie przywrócony do dawnej godności rezydencji mo-

narszej — wyłonił się pomysł owego dzieła. Na posiedzeniu Grona Konserwatorów Galicyi zachodniej w dniu 28 stycznia 1902 r. uchwalono poświęcić osobną publikację wyłącznie zamkowi królewskiemu na Wawelu. Wydawnictwo, którego program zaraz ustalono, miało w pierwszej swej części zawierać zarys dziejów zamku, jego plany i widoki dawne i nowsze, a wśród ostatnich w szczególności zdjęcia architektoniczne ś. p. Tomasza Prylińskiego, dokonane w latach 1880 — 1882. I tę oto część dzieła, wraz z dodanym do niej *Atlasem planów widoków i zdjęć architektonicznych z XVII, XVIII i XIX wieku* już przeszło od roku mamy przed sobą. Drugą część przeznaczono na zbiór materiałów źródłowych i archiwalnych, jak inwentarze dawniejsze zamku i rachunki jego budowy.

Przedsięwzięcie tak zakreślone wymagało olbrzymiej pracy i wielkiego funduszu. Grono, nie rozporządzając takimi zasobami, udało się z prośbą o znacznieszą zapomogę do Sejmu krajowego, mając to silne przekonanie, że kraj, który już tyle poświęcił dla sprawy oswobodzenia zamku z wojska, a gotów był kłaść miliony, by restauracya wypadła jak najlepiej, by została opartą o pewne podstawy źródłowe i dziejowe, nie poskąpi zasilków pieniężnych na takie właśnie dzieło, którego celem ma być dokładne zbadanie i opisanie zamku. Sejm, uznając potrzebę publikacyi, na której mógłby się oprzeć i kierujący budową architekt i konserwator, z którejby wreszcie mógł skorzystać i szerszy ogół zajmujący się sprawą Wawelu, przyznał subwencyę i dopiero wtedy umożliwił autorowi podjęcie pracy. Zaczęły się wówczas długie badania i poszukiwania. Materiał znalazł się obfity, ale i rozprószony — trzeba było przeszukać biblioteki, archiwa i muzea publiczne, tajne i prywatne w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Wiedniu, Berlinie, Dreźnie i Petersburgu. Tu i ówdzie napotykał autor wielkie trudności, które z całą siłą musiał przelamywać — a nie łatwą była sprawa szczególnie w wypadkach, w których chodziło o zbiory zagraniczne i to wojskowe. Pokonawszy to wszystko, zebrał autor plon obfity. Po raz pierwszy również zgromadzono razem średniowieczne źródła archiwalne, odnoszące się do historii zamku, których zestawienie posłużyło do ważnych i ciekawych rezultatów.

Gdzie w braku dokumentów nie można było przedstawić dobrego i prawdziwego obrazu historii zamku, tam musiał się Dr. Tomkowicz odnieść do analogii i metody retrospektywnej. Im bliżej nas, tem materiałów więcej. Z XVI wieku znalazło się bardzo wiele rachunków dworu królewskiego, niejednokrotnie podwójnie prowadzonych. Do przedstawienia sobie dokładniejszego obrazu zamku i jego urządzeń dopomogły wreszcie inwentarze i lustracye zamku z różnych czasów, opisy podróżników obcych, którzy zamek zwiedzali, wreszcie różne opisy dworskich uroczystości. Zwłaszcza ważnym okazał się materiał historyczny zawarty w raportach i memoriałach władz wojskowych austriackich, które w latach 1796 — 1809 przerabiała zamek królewski na koszary wojskowe. Co do rysunków i planów, to tych z dawnych czasów zupełnie brakuje. Były jakieś, ale zaginęły za czasów Stanisława Augusta. Dało się jednak odszukać wiele planów sytuacyjnych z XVIII-go i początku XIX wieku. Z owych czasów pochodzą także odszukane widoki i ryciny zamku, wykonane przez różnych polskich artystów, które oprócz postaci właściwego zamku, przechowały nam wygląd wielu dziś nie istniejących już gmachów. Z porozbiorowych wreszcie czasów pochodzą najlepsze zdjęcia architektoniczne, jakie dziś posiadamy. Nakoniec nie tu miejsce i nie sposób wymieniać autorów i tytułów rozpraw ogłoszonych bądź osobno, bądź w różnych publikacyach naukowych, a tyczących się Wawelu, które autor zna i z których korzysta.

Na podstawie tych tak różnorodnych materiałów powstało niniejsze dzieło, zawierające zarys historyczny dziejów budynków zamkowych. Oprócz 100 ilustracyj zdobiących sam tekst, dodano jeszcze wielki „Atlas“, stanowiący uzupełnienie części ilustracyjnej; w nim znalazły pomieszczenie wszystkie plany i widoki większych rozmiarów, a ozdobę i chlubę jego stanowią zdjęcia architektoniczne ś. p. Tomasa Prylińskiego, robione w tej myśli, że kiedyś posłużą do robót restauracyjnych, których autor niestety nie dożył.

Nadmienić należy, że do pomocy Dr. Tomkowiczowi dodano komitet, złożony z pp. radców budownictwa prof. Sławomira Odrzywolskiego i Tadeusza Stryjeńskiego, dyrektora Zygmunta Hendla, kierownika restauracyi zamku, prof. Dr.

Stanisława Krzyżanowskiego, radcy górniczego Leonarda Lepszego i Adama Chmiela, archiwaryusza m. Krakowa.

I oto dziś są już odpowiedzi na wszystkie mniej lub więcej wątpliwe pytania — rozwiązano prawie wszystkie zagadki. W dzieło to włożył autor ogromny zasób wiadomości wiarygodnych i pewnych. Zdziwiwać to winno tem bardziej, że materyał tak skąpy i rozprószony tyle nastęrczał trudności. Z cierpliwością wprost zdumiewającą, z benedyktyńską pracą zebrano i wzięto pod uwagę każdy szczegół, każdy drobiazg. Za temi zaletami idzie dalej ścisłość tak w kombinacyi, jak i w dowodzeniu. Najważniejszą zaś zaletą dzieła, tak naukowego i ścisłego, gdzie daty i liczby, nazwy techniczne i nazwiska osób na pierwszym stoją planie, jest to, że nie nuży, nie jest suche; żywość opowiadania przy matematycznej ścisłości sprawia, że czyta się z zajęciem od pierwszej strony do ostatniej, po zamknięciu której czuje się żal, że uczta duchowa skończona. Do takiego zajęcia przyczynia się też niewątpliwie olbrzymi wprost materyał ilustracyjny, tak wśród tekstu, jak i w „Atlasie“, w którym wszystkie ryciny są świetnie dobrane i pięknie wykonane.

A teraz jaki cel dzieła, jaka zeń korzyść? Te są i będą wielkie. Dzieło restauracyi powinno odpowiadać całkowicie dawnemu przeznaczeniu zamku, a winno być dokonane z całym pietyzmem, jakim dawną rezydencję królewską otacza cały naród. Nie może się to stać bez dokładnego i doskonałego poznania pomnika; i oto zadaniu temu odpowiada w zupełności dzieło Dr. Tomkowicza. Ono w pierwszym rzędzie ułatwi naukowe poznanie najcenniejszego narodowego zabytku — potem będzie miało to praktyczne znaczenie, że kierującemu odbudową architekcie ułatwi w znacznym zakresie doprowadzenie do skutku tak ważnego zadania. W rękach ogółu wreszcie stanie się wyczerpującym przewodnikiem historyczno-kulturalnym po najdroższej sercom polskim narodowej pamiętce. Takie cechy tego cennego dzieła o Wawelu — takie zalety jego. A oto z kolei krótka jego treść — wszystko tu jednakowo ważne, tak, iż chciałoby się podać najwięcej, jednym słowem przepisać nieledwie wszystko.

II.

W X wieku miasto Kraków — tak zowie Kraków żydowski podróżnik Ibrahim-ibn Jakub — było osadą znaczną, stacją handlową między Rusią a Zachodem, a zarazem naczelnym grodem większego obszaru. Wśród osady nabiera wielkiego znaczenia miejsce wyniosłe, skała, położona nad Wisłą, a zwana później Wawelem. Natura sama uczyniła z niej bezpieczne schronisko podczas częstych wojen, zaburzeń i powodzi. Nic dziwnego, że już bardzo wcześnie, bo w XI wieku wzgórze to — jak chce Gallus — zostało obrane na rezydencyę królewską.

Niemale warunki obronności posiadał zamek krakowski w XII wieku, skoro mógł stawić opór Mieszkowi Staremu i jego stronnikom zdobywającym Kraków, skoro ci usadowiwszy się w mieście nie myślą zdobywać zamku, ale budują sobie nowy, na niższej połowie wzgórza. Po walkach domowych, w których zamek przechodzi z ręki do ręki, kuszają się o niego Mongołowie, a tylko nie wiadomo, czy go niszczą, czy nie. Doświadczenie, choć ciężkie, wyszło jednak na dobre, bo naprawiono wtedy zamek i umocniono jego obwarowanie. Wawel w tym czasie, to symbol panowania nad Polską; walczą o niego wszyscy, którzy mają jakąkolwiek pretensyę do korony, aż w końcu zdobywa go Władysław Łokietek. W r. 1319 odbywa się w katedrze na Wawelu pierwsza koronacya. Kraków staje się miastem koronacyjnem królów polskich, a klejnoty koronacyjne przechodzą się odtąd na Wawelu.

Jak więc wyglądała ta rezydencya królewska w tym czasie? Nie wiadomem to zupełnie, prócz tego, że była drewniana, a dziś możemy dodać, że na kamiennem podmurowaniu. O wiarogodności tego twierdzenia mówią mury zachowane w piwnicach wschodniego skrzydła zamku w pobliżu gotyckiego pawilonu.

W czasach Bolesława Wstydliwego cały Wawel był zupełnie odcięty od miasta, które się kończyło nie dalej jak na ulicy Poselskiej. Tuż po za miastem stały trzy kościoły: św. Andrzeja, obok św. Marcina (dziś zbór ewangelicki), a tuż

pod samym Wawelem św. Idzi. Między kościołami szła droga, prowadząca przez Kazimierz na Spiż. Po obu jej stronach rozciągały się bagna. Droga więc Spiska, to jedyne połączenie miasta z grodem i stąd nazwa ulicy „Grodzkiej“. Chcąc się z niej dostać na Wawel, należało zboczyć koło kościółka św. Idziego. Bliższa od tej, również „Grodzką“ zwana, bo od niej wychodząca, prowadziła przez dzisiejszą ulicę Kanię. Po północnym stoku góry wychodziło się na jej szczyt, przedstawiający dziś formę elipsy, utworzonej w ciągu wieków przez ustawiczne nasypywanie i równanie. W średnich wiekach powierzchnia była znacznie mniejszą i przedstawiała plac pod budowlę mniej odpowiedni, ale za to zdalny pod średniowieczne budowle fortyfikacyjne. W miejscu najwyższym, w kącie północno-wschodnim stały zapewne budowle tak kościelne, jak świeckie. Wśród fortyfikacji, jak zresztą wszędzie w Europie, stał „palas“ zwykle sam jeden, podłużny, czasem piętrowy, murowany, częściej drewniany. Główną częścią wnętrza takiego budynku była wielka sala, zarazem rycerska, służąca także za jadalnię. Koło niej były rozmieszczone poszczególne komnaty mieszkalne. Takie „palatium“ otaczała fosa, wysoki wał, częstokół, a może nawet „mur“ z grubych tramów drewnianych. Jeżeli w dodatku zamek taki stał na niedostępnej górze, miał zwodzony most, brzoję żelazną i był zabezpieczony basztami i wieżycami, był nie do zdobycia. Obronność potęgował prawie zawsze „stołp“, wyniosła wieża, stanowiąca ostatnie schronienie, a zarazem skarbiec. Naturalnie nieodzowną częścią składową pałacu była kaplica. Studnia znajdowała się czasem wewnątrz samych budynków mieszkalnych.

Tak zapewne wyglądał i Wawel, najważniejsza twierdza w państwie. Warunki wyżej wymienione posiadał wszystkie. Stał na skale, nie wysokiej wprawdzie, ale mało dostępnej. Szeroki pas błotnistych nizin Okołu razem z Wisłą czyniły go już z góry trudnym do zdobycia. Samego wstępu na górę bronił zamek niższy, którym przypuszczalnie mógł być silnie obwarowany kościół św. Andrzeja. Zamek niższy obejmował dwa kościoły, cały zastęp domów mieszkalnych, kapitulnych i w ogóle księży, więc kuryę biskupią, mieszkania kanoników, zagadkowy, bo tylko w XIII wieku

wzmiankowany klasztor, następnie szkołę, podrzędne budynki królewskie, a wreszcie domy prywatne.

Przy narożniku południowo-wschodnim dochodziło się do zamku wyższego. Tutaj do murów obwodowych przytykały budynki mieszkalne. Miejsce „stołpu“ może oznaczać studnia w piwnicy części gotyckiej koło Kurzej Stopy. Tak mieszkali pierwsi Piastowie na Wawelu.

Pożar 1305 r. niszczy katedrę, a wraz z nią zamek. Czy zostało zeń co, nie wiadomo zupełnie. Dowiadujemy się potem, że już w r. 1312 podczas buntu wójta Alberta mury Wawelu były tak silne, iż nie mógł ich zniszczyć Bolesław ks. Opolski. To nie dziwne. Łokietek, utrwalając swe panowanie nad Polską, zakładając podwaliny monarchii, musiał także myśleć o silnej rezydencji, gdzie mógłby się oprzeć przeciwnikom i złożyć insygnia koronne, przeniesione wówczas z Gniezna do Krakowa. Nie mogąc jednak łożyć zbyt dużo na odbudowę i wyposażenie samego pałacu mieszkalnego, zamienił dom wójtowski przy ulicy Rzeźniczej¹⁾ na zamek, w którym zamieszkał. Zamek ten, mimo zamiany na klasztor, nosi nazwę „Gródka“. Z czasem „Gródek“ nazywał się już „Starym zamkiem“, z czego wniosek, że rezydencja królewska została przeniesiona na Wawel; na przyjęcie gości, przybyłych z okazji koronacji, trzeba było przygotować komnaty mieszkalne i sale bankietowe.

Zadanie przeprowadzenia dzieła budowy do końca przypadło w udziale Kazimierzowi Wielkiemu, który w zamku Łokietkowym zaraz po jego śmierci odprawił koronację. Wspaniałą musiała być budowla Kazimierza W., kiedy Janko z Czarnkowa w swej Kronice zapisał następujące słowa: „Velut alter Salomon magnificavit opera sua, civitates, castra, domos muravit; imprimis castrum Cracoviense mirificis domibus, turribus, sculpturis, picturis, tectis nimium decoris exornavit“. A informacje te, to nie pochwały wyssane z palca, ale prawdziwe dane, boć Janko z Czarnkowa to podkanclerzy i bliski powiernik króla. I tu dopiero po raz pierwszy występuje nazwisko budowniczego zamku, Waclawa z Tęczyna, poufnego doradcy królewskiego, a jak się zdaje za-

¹⁾ Dziś ul. Mikołajskiej.



WIDOK WAWELU W PIERWSZEJ POŁOWIE XVII WIEKU.

Z współczesnego portretu konnego Władysława IV, w zbiorach hr. Władysława Branickiego w Suhej.

pewne duchownego. Na nieszczęście nie wiemy, jak ten zamek Kazimierzowski wyglądał. Długosz, opisując wesele wnuczki Kazimierza W. Elżbiety z cesarzem Karolem IV, zaznacza, że wszystkim królom, którzy na tę uroczystość do Krakowa zjechali, przeznaczono na zamku osobne mieszkania i sypialnie pysznie przybrane purpurowymi tkaninami, makatami, złotem i kosztownościami; na wesele przybyli tacy goście, jak cesarz Karol Luxemburski, królowie Ludwik Węgierski, Piotr Cypryjski, Waldemar Duński, wielu książąt i legatów. Tu w r. 1370 w małej niskiej sali, *ad meridiem* położonej, umarł fundator nowego zamku, Kazimierz Wielki. Panowanie Ludwika Węgierskiego nie pozostawiło po sobie, jak i wszędzie indziej, żadnego śladu na zamku.

Dopiero znacznie później król Władysław Jagiello podczas zatargów Witolda na Litwie z Krzyżakami, niezadowolony z niskich murów zamkowych, kazał je w górę wyprowadzić. Z rachunków dworu, które nas doszły z owego czasu, można sobie wyrobić pojęcie o zdobności wnętrza ówczesnego pałacu. Do artystycznej wyobraźni króla, wychowanego na Litwie w otoczeniu przeważnie ruskiem, przemawiać musiała sztuka ruska. Nie chcąc się z nią rozstać, sprowadził z Wilna do Krakowa ruskich malarzy i kazał im wymalować na sposób bizantyński sypialne komnaty na Wawelu. Jako szczególniejszą ozdobę zamku wymieniają również wiersz łaciński, który został umieszczony na jego murach na pamiątkę zwyczajstwa pod Grunwaldem.

Z ilości i godności uczestników goszczonych na zamku podczas wesela Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Austriaczką, córką cesarza Albrechta II, można wnioskować, że zamek na Wawelu nie był wówczas zbyt poślednią rezydencją. Nie wykonano wprawdzie za jego rządów nic nowego, tylko same naprawy czysto gospodarczej natury, bo skarb wyczerpany zupełnie nie mógł na to pozwolić, a stary monarcha skołatany zatargami, niepokojami i licznymi kłopotami rządów, zamkiem się wcale nie zajmował. Około r. 1460 zbudowano tylko wieżę Sandomierską.

Jedyną częścią zamku z czasów przedrenesansowych, która zachowała swą cechę średniowieczną, jest Kurza Stopa, zwana wtedy „Kurzą Nogą“. Tradycya co do innych części

zamku dziś zatarła się zupełnie; co do niej nie przerwała się nigdy, owszem z biegiem wieków oplotła ją wieńcem poetycznych legend, które się przyczyniły do jej spopularyzowania. Z nią łączy się jeszcze dzisiaj krakowskie ludowe przysłowie, że z początkiem wiosny „przybywa słońca na Kurzą Stopę“. Tu miała, według podania, mieszkać Jadwiga, a później umrzeć Barbara Radziwiłłówna. Kiedy powstał ten budynek i jakie było jego przeznaczenie, nie wiadomo. Wzmianka historyczna o nim sięga najdalej czasów panowania Kazimierza Jagiellończyka. A jeżeli już o Kurzej Stopie mowa, należy wspomnieć o budynku o cechach gotyckich, występującym ryzalitowo tuż obok niej ze wschodniej ściany pałacu. Aczkolwiek przerabiany, sięga on swym początkiem XIV wieku i jest żywym świadkiem zmiennych kolei, jakie w ciągu stuleci przechodził zamek krakowski. Tu w partezie znajduje się „sala Jadwigi“ z jej herbami. Niedaleko, bo po przeciwnej stronie Kurzej Stopy, jest druga sala, której sklepienie, wsparte na jednym słupie, ma na czterech zwornikach wyryte imię *Ka-zy-mi-rus*. Obie sale otaczające z obu stron Kurzą Stopę, ze swemi oknami wysoko umieszczonemi, z ławami kamiennymi w ich framugach — przenoszą nas w średnie wieki i dają pojęcie, jak wyglądał ówczesny gotycki budynek zamkowy. W takich to salach żyli zapewne dwaj ostatni Piastowie, tu zabawiali się i załatwiali sprawy państwa, tędy po schodach kręconych schodzili na dół, tędy sprowadzano więźniów do podziemnych lochów. Oprócz innych mniej ważnych i mniej zrozumiałych fragmentów — to wszystko, co pozostało dziś ze średniowiecznej budowli zamkowej.

III.

Na reszcie góry stały inne budynki świeckie i duchowne: kościoły, mieszkania księży, a także mieszkania urzędników dworskich, stajnie, spichrze, budynki gospodarskie królewskie, mieszkania dla rodziny królewskiej i dla przyjęcia gości, a wreszcie i osoby prywatne miały tam także swoje zabudowania.

Oprócz katedry, której wyczerpującą, znakomitą monografię dał prof. Tadeusz Wojciechowski, istniało na zamku trzy kościoły. Pierwszy kościół „S. Michaelis in castro“ miał zbudować z drzewa Bolesław Chrobry, z muru Kazimierz Wielki, przyozdabiając go równocześnie kosztownościami i wspianiałem sklepieniem; zburzono go w pierwszym dziesiątku XIX wieku. Kościółek drugi, fundowany powtórnie przez Kazimierza W., pod wezwaniem św. Jerzego, swym początkiem sięga czasów bardzo dawnych. Gdzie stały kościółki św. Gereona, Najśw. Panny Maryi i św. Maryi Egipcjanki i czy istniały w ogóle — dziś nie da się stanowczo dowieść. W tej części góry stał także dom biskupi, a obok wieży Złodziejskiej małe domki wikaryuszów z osobnemi ogródkami. Tam, gdzie dziś mieści się Muzeum dyecezyjalne, mieszkali Mansyonarze i Rorantyści, a w miejscu części wielkiego szpitala wojskowego, przy samej wieży Sandomierskiej, wznosiła się Psalterya, fundowana przez Jagiełłę i Jadwigę, zniesiona w r. 1856; erekcyjną tablicę gotycką umieszczono w fasadzie narożnego domu przy ulicy Kanoniczej. W miejscu, gdzie teraz znalazło pomieszczenie archiwum katedralne, mieszkali wicekustosze; gdzie kapitularz, był dom, zajmowany w początku XV wieku przez księżnę Ziembicką. Po licznych naturalnie przeróbkach w ciągu późniejszych wieków, dochował się do naszych czasów dom kapitulny po Koniecpolskich, darowany w r. 1441 przez Władysława Warneńczyka Janowi z Koniecpola, kanclerzowi koronnemu. Obok wielu jeszcze innych domów, należących do kapituły, zasługuje na szczególniejszą uwagę seminaryum duchowne, fundowane przez kardynała Radziwiłła około r. 1600.

Od najdawniejszych czasów historycznych istniała w Krakowie, podobnie jak i w innych większych miastach, szkoła katedralna; jako świadka cudów św. Stanisława tuż przed kanonizacją, wspominają Benedykta scholastyka teższe szkoły. Uczono w niej *septem artes liberales* i teologii, a śladem nauk była biblioteka, której katalog znany jest z 1110 r. Uczniowie tej szkoły urządzili w r. 1229 głośny napad na klasztor tyniecki. Po założeniu Uniwersytetu i po otwarciu w nim wydziału, teologiczna szkoła zaczęła znacznie upadać, jak-

kolwiek tutaj miały się odbywać pierwsze wykłady uniwersyteckie.

Oprócz wyżej wymienionych budynków, należących do duchowieństwa, istniało na Wawelu całe mnóstwo domów prywatnych. Musiały to być lichy, drobne i mizernie stawiane budynki, kiedy Hozyusz, radując się z powodu ich spalania, nazywa je pogardliwie *sacra tuguria* — „przekłętę chałupy“.

Po za właściwą rezydencją królewską, mieszczącą się na wschodniej połowie Wawelu, czyli na zamku wyższym, nabywali królowie różnemi czasy place i domy na zachodniej części wzgórza, przeznaczając je na różne cele. I tak naprzeciw południowej bramy katedralnej stał Gród, mieszkanie starosty krakowskiego, przez pewien czas dom królowej Elżbiety, a następnie dom królewien. Jako bezstyłowe zamknięcie dziedzińca arkadowego stoją do dnia dzisiejszego budynki kuchni i stajen królewskich. Blisko bramy Grodzkiej u wschodniego podnóża góry stał „Rurmus“, inaczej „Rurhaus“, budowa z przyrządami wodociągowymi dla zaopatrywania zamku w czystą wodę z ramienia Rudawy, które podpływało pod północną i wschodnią stronę zamku. Niedaleko Rurmusa, także u stóp Wawelu, gdzie dziś stoi dom prywatny, była królewska łudwisarnia, czyli lejarnia dział. Stoki góry pokrywały ogrody i winnice. Własnością królewską była także Smocza jama, użytkowana różnie za dawnych czasów; Cellari w opisie Polski wspomina, że u jej wejścia szynkowano wino i piwo — *in cujus introitu vinum et cerevisia propinantur*.

Cała góra zamkowa była od czasów najdawniejszych obwarowaną. Początków fortyfikacyj murowanych trzeba szukać u schyłku XIII wieku. Wtedy dopiero dzięki Czechom otrzymało miasto pierwsze mury obronne, a wraz z nimi obwarowano pewnie i Wawel. Mury, postawione staraniem Łokietka, wystarczające jeszcze za Kazimierza Wielkiego, nie mogły już zadowolić Władysława Jagielly, wtedy bowiem zaczęto na dobre używać broni palnej. Ponieważ dawne mury nie dawały zupełnego bezpieczeństwa, musiano je wzmocnić i pogrubić. Za panowania Kazimierza Jagiellończyka powstały na Wawelu pierwsze wieże obronne, które stanowiły

siłę i nadawały cechę średniowiecznym zamkom i twierdzom. Wzmianka pochodząca z r. 1465 nazywa wieżę Sandomierską „nową“, kolo tego więc roku musiano ją zbudować. Między nią a Senatorską przy samym murze stały wieże: Tęczyńskich, Szlachecka i Panieńska, służące za więzienia dla szlachty. Z powodu starości lub lichiej budowy, wszystkie trzy zostały zwalone lub rozsypały się same w pierwszej połowie XIX wieku. Wieża Złodziejska miała istnieć pod tą samą nazwą za panowania Jana Olbrachta. Dzisiejsza Lubranka, wychodząca skośnie ze wschodniej fasady pałacu i murami swemi nie przewyższająca jego murów, stanowiła dawną granicę obwodu zamku w tej stronie, jego południowo-wschodni narożnik. Gdy w XVI wieku rozszerzano pałac królewski, posunięto się ku południowi po za wieżę, którą pozostawiono na miejscu, tak, że wrzyna się w pałac pomiędzy Izbą poselską a sąsiednimi pokojami. Najwyższą ze wszystkich, wieża Senatorska, zachowała do dziś dnia w głównym zrębie swą dawną postać i dzisiaj jeszcze wskazuje, że była kiedyś wieżą fortyfikacyjną i więzienną.

Brama zamkowa, stanowiąca główny, a przez długi czas jedyny może przystęp i dojazd do zamku, znajdowała się od początku w tem samym co i teraz miejscu, przy południowo-zachodnim narożniku katedry, niedaleko wieży zegarowej, tylko, że dawniej całkiem inaczej się przedstawiała. Nazywano ją „pierwszą“, „niższą“, dla odróżnienia od „wyższej“ wewnątrz obrębu Wawelu, tworzącej przejście z zamku niższego, czyli dziedzińca kościelnego, do zamku wyższego, właściwej rezydencji królewskiej. Dostępu do bramy strzegły od końca średniowiecza murowane wieże wojenne; bastyon murowany poniżej wieży zegarowej był nieco wyższym i miał strzelnice. Przez kompleks wież i zabudowań przy górnem zakrzywieniu dojazdu, ciągnących się łukiem o wielkim promieniu, wchodziło się na plac przed główną fasadą katedry. Dziś pozostała tylko sama brama, która niegdyś była ostatniem ogniwem zabudowań wjazdowych na Wawel. Drugie małe wyjście, raczej furta, było na południowym stoku obok wieży Senatorskiej. Oprócz tego są jeszcze ślady korytarzy wycieczkowych, wymagających specjalnego zbada-

nia. Dzisiejszy dojazd ze strony południowej urządzono dopiero około r. 1840.

Tak tedy już od końca wieków średnich warownie zamkowe przedstawiały się suto i okazałe. Składały się ze znanych nam już wież, zabudowań, bramy i muru obronnego, który je ze sobą łączył i w jedną ujmował całość, obiegając jak wstęgą do koła, z wyjątkiem niektórych tylko miejsc, gdzie same mieszkalne budynki, odpowiedniami opatrzone obronami, stanowiły granicę zabudowanego obrębu Wawelu. Przeglądając dawne drzeworyty, przedstawiające średniowieczne zamki, dochodzi się łatwo do wniosku, że zamek krakowski prawie niczem nie różnił się od ówczesnych zamków niemieckich, a tylko był wśród nich jednym z najrozleglejszych. Długosz w XV wieku określa ogólne wejście zamku w ten sposób: „*Arx saxo imposita et in coronae modum muris, palatiis, turribus caeterisque propugnaculis emunita*“. Dodajmy do tego rozmaitość kształtów, wysokość wież i wzorzysty układ dwubarwnych cegieł, a otrzymamy wspaniały obraz średniowiecznego życia i malowniczości.

Zygmunt I przebudował nietylko domy mieszkalne i gotyckie „palatia“ na wspaniały budynek renesansowy, ale przeprowadził także znaczne rozszerzenie zabudowanego obwodu zamku. Renesans włoski wymagał wielkiej okazałości, dużo sal i krużganków zgrupowanych około jednego dziedzińca, na którym mogłyby się odbywać huczne zebrania, zjazdy, uroczystości dworskie i turnieje. Wtedy musiano posunąć zabudowania pałacu od Lubranki dalej ku wschodowi, gdzie robiono sztuczny nasyp, ażeby uzyskać więcej miejsca. Znikły także mury fortyfikacyjne od wschodu, a od północy dodano nowe podmurowanie. Ze średniowiecznych murów obronnych dochowała się tylko mała część, stanowiąca dziś zewnętrzną ścianę katedralnego kapitułarza; z powodu ulepszeń broni palnej, mury te straciły swoje znaczenie, tak, iż Władysław IV zaczął obwarowywać zamek na sposób nowoczesny.

Najazdy szwedzkie poczyniły na zamku także i w fortyfikacjach wielkie zniszczenia. Podczas ostatnich lat istnienia Rzpltej zamek wawelski przechodził z rąk do rąk, a przygodni jego panowie gospodarzyli w tej mierze nie lepiej, jak

dawniej Szwedzi. W tym czasie robiono nieco koło fortyfikacyj, ostatni zaś raz naprawiano mury w przededniu drugiego rozbioru Polski pod kierownictwem generał-lejtnanta ks. Ludwika Wirtemberskiego.

W styczniu 1796 r. wojska austriackie zajęły Kraków, a z ich wejściem na zamek wybiła dla niego ostatnia godzina świetności i wolności. Zaraz potem scharakteryzowano górę zamkową, jako twierdzę, bronioną wieżami i ujętą mocnymi murami, ważną tak wobec nieprzyjaciela zewnętrznego, jak i w razie możliwej rewolucyi wewnętrznej. Casteler proponuje, by uczyniono tutaj *Militär-Depot* i w tym celu rądzi wzmocnić tylko bramy i flankowania wjazdu, tudzież poczynić małe zmiany wewnętrzne. Z tych robót i przeróbek żadna nie została nawet rozpoczęta. Zajął się tem dopiero rząd Wolnego Miasta Krakowa. Gorliwie wzięto się wtedy do pracy, zwłaszcza, że zamek groził ruiną. Usunięto najpierw wiele gruzów i poburzone stare budynki, oczyszczając w ten sposób dziedziniec zachodni. Zabrano się także do wież, gdyż i te przedstawiały opłakany obraz zniszczenia i groziły zawaleniem. Sam zamek otoczono plantacyami, a na stronie południowej założono ogrody i winnice. Taki stan utrzymał się jednak nie długo. W r. 1846 zamknięto dla publiczności wstęp na zamek; ogrody i plantacye zniesiono. Po stronie południowej i zachodniej rozbierano mury, a zburzono je do reszty kiedy zaczęto budować szpital wojskowy. Nowe austriackie mury obwodowe z nowożytnej cegły stanęły w części na starych fundamentach. Całkiem nowy jest mur od wieży Senatorskiej do Sandomierskiej, oraz cztery zewnętrzne bramy wjazdowe.

Instytucją od najdawniejszych czasów ściśle z zamkiem związaną był Skarbiec koronny, który do czasu budowy renesansowej nie miał stałego pomieszczenia. Dopiero później odstąpiono na ten cel dwie izby sklepione na parterze pałacu, jedyne pozostałości ze średniowiecznej budowli, obejmujące z obu stron Kurzą Stopę i narożną wieżę Zygmunta III. Oprócz klejnotów koronnych przechowywano tam także i akta koronne, podczas gdy archiwum aktów grodzkich i ziemskich znalazło pomieszczenie również na parterze, na

lewo od bramy wjazdowej, w dwóch sklepionych izbach starej budowli gotyckiej.

W miejscu rezydencji królewskiej, w samym pałacu albo w Grodzie odbywały się sądy królewskie; od czasów Kazimierza Wielkiego także wyższy sąd prawa magdeburgskiego, który dotrwał do końca Rzpltej. Tu odbywał się również sąd najwyższy, do którego sam król wyznaczał po dwu rajców z sześciu miast: Krakowa, Sącza, Bochni, Wieliczki, Kazimierza i Olkusza. Z sądami stoją w związku więzienia i miejsce tracenia skazanych. Na więzienia używano na Wawelu wież i piwnic pod mieszkaniem; miejsce tracenia znajdowało się koło wieży Sandomierskiej, w wieku XVI na zewnątrz obwodu murów niedaleko wieży Senatorskiej.

IV.

Stara siedziba królewska, zajmująca do końca XV wieku górną powierzchnię Wawelu, miała postać średniowiecznego grodu, zabudowanego niesymetrycznie i nieregularnie, zbiorowiska pojedynczych domów, budynków, służących do różnych użytków, mało rozległych, ciasno i bezładnie skupionych, różnemi wysokościami strzelających w górę, najeżonych szczytami ząbionemi, wyskokami i wieżyczkami. Wśród tego sterczały w górę swojemi dachami i wieżami małe zamkowe kościółki i kaplice, których początkowo było więcej, a które znikaly w miarę powiększania się rezydencji królewskiej; były też, średniowiecznym zwyczajem, wieże należące do domów mieszkalnych, był może „stolp“, główna i najsilniejsza wieża obronna wnętrza zamku. To wszystko otaczał pierścień muru obwodowego, wysokiego, przynajmniej częściowo blankowanego i najeżonego wyższemi wieżami obronnemi. Całość tych zabudowań, wieńczących górę skalistą o nierównej powierzchni, piętrzyła się małowniczo ku górze; jej znamioną cechą była przewaga pionowych linii murów, stożków i ostrosłupów, dachów, w ogóle kierunku wertykalny, dążący do góry coraz cieńszymi kończynami, a wynikiem tego sylweta nastrzępiona, niespokojna, pełna fantastycznego i romantycznego uroku. Fizyognomii zewnętrznej odpowiadał w zu-

pełności obraz budynków wewnątrz. Domy i domki stawiane na Wawelu bez jednolitego planu, w miarę zmieniających się i rosnących potrzeb, czasem nawet potrzeb chwilowych, były małe i niewygodne, mieszkania niewielkie, ciemne i ponure, bo ich okna służyły także za strzelnice; szkło było wówczas drogie i niezbyt w użyciu. Na przestrzeni, okolonej murem o jak najmniejszym dla ułatwienia obrony obwodzie, brakowało obszernych dziedzińców i placów.

Nadchodził wiek XVI, wiek złoty Odrodzenia i miał zmienić w ciągu kilkunastu lat prawie zupełnie postać rezydencji królewskiej.

Południe i Zachód Europy żyły już od szeregu lat pod wpływem nowych prądów. Hasła kultury klasycznej zmieniły szybko ideały i potrzeby ludzkie. Ówczesni Włosi lubują się w zabawach życia dworskiego, w hucznych uroczystościach, pochodach i przedstawieniach teatralnych, potrzebujących szerokiego miejsca i odpowiednio pięknego tła. Miejsce zacieśnionych domów i zamków zajmują teraz pałace o obszernych podwórzach, otoczonych ze wszystkich stron wspaniałymi krużgankami. Architekturę gotycką, strzelistą i nastrzępioną, wypiera renesansowa, szeroka, spokojna i pompatyczna.

Polska była wtedy potężnym państwem. Na dwór królewski w Krakowie spowinowacony z pierwszemi rodami monarszemi Zachodu i na Uniwersytet krakowski przybywają humaniści z Włoch, Hiszpanii i Niemiec. Sami Polacy zaczynają coraz częściej podróżować, przywożąc ze sobą nowe zapatrywania i wiadomości o przepychu monarszych i książęcych dworów i o ich obyczajach, które często poznawali sami.

Obeo musiało być ludziom, owianym duchem Odrodzenia, w starych, romantycznych murach. Nieswojsko było także Zygmuntowi I, wówczas jeszcze królewiczowi, w zamku wawelskim, a do pragnienia nowej siedziby przyłączył się także opłakany stan zamku za panowania Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Aleksandra; w samym końcu XV wieku spłonęła Kurza Stopa i część zabudowań mieszkalnych.

Zaczyna się tedy nowy ruch budowlany na Wawelu; zrazu słaby, dochodzi w latach 1512 — 1536 swego najwię-

kszego napięcia. Znikają kościoły, domy mieszkalne, a miejsce ich zajmuje powoli pałac nowy, z wysokimi i przestronnymi salami, jednolity gmach, zbudowany regularnie dookoła rozległego, splantowanego, czworobocznego podwórza, włoskiego *cortile*. W plan nowej całości weszły także i stare budynki, jak Kurza Stopa i brama wjazdowa, które, aczkolwiek zewnątrz przerobione do niepoznania, kryją jeszcze do dnia dzisiejszego ślady gotyckiego pochodzenia.

Ruch budowlany zainicjował Zygmunt, wtedy jeszcze królewicz, który swą młodość w znacznej części spędził za granicami kraju, a w szczególności na dworze w Budzie, gdzie poznał artystyczny ruch Odrodzenia; stąd, z Węgier, przyszli następnie pierwsi włoscy artyści do Polski.

Przy opisie historii powstania renesansowego pałacu skoryzystał Dr. Tomkiewicz po raz pierwszy ze szczegółowych rachunków budowy z XVI w., rozrzuconych w rękopisach różnych zbiorów publicznych i prywatnych. Zapiski wydatków krakowskich dworu królewicza Zygmunta z r. 1502 wspominają, że Franciszek Włoch *murator* zgodzony był w połowie lutego i miał dostawać 100 zł. rocznie. A więc nie po r. 1510, jak dotychczas utrzymywano powszechnie, ale już w r. 1502 zaczęły się nowe roboty około zamku. Sądząc po obramieniu grobowca Jana Olbrachta, które fundował królewicz Zygmunt, a wykonał wspomniany wyżej Franciszek Włoch, był tenże uczniem Ambrogia da Milano, twórcy ornamentów Palazzo Ducale w Urbino. Ukończywszy roboty nad pomnikiem, zabrał się wkrótce do pierwszych prac około pałacu królewskiego. Do dzieł jego na zamku należy niewątpliwie obramienie bramy wjazdowej na dziedziniec arkadowy zamku, łuk dzielący się wjazdową na dwie części, obramienie okna na drugim piętrze również na zachodnim skrzydle zamku i wykusz (erker) obok niego, powtarzający motyw pomnika Jana Olbrachta.

Zygmunt I, chcąc dorównać w świetności dworom książąt zagranicznych, które poznał w swoich podróżach lat młodości, zaraz w pierwszych miesiącach po wstąpieniu na tron rozpoczął dokładną przebudowę zamku. Dochody na ten cel czerpano głównie z żup wielickich i bocheńskich, którymi zarządzał Jan Boner, wielkorządca i żupnik krakowski, prawa

ręka króla. Robotami miał kierować Franciscus Italiens, pracujący na czele pięciu towarzyszy, sprowadzonych z Budzina. Co w tym pierwszym okresie zrobiono, nie da się ściśle określić. Pracowano z pewnością około zachodniego skrzydła pałacu, przyozdabiając je w duchu wczesnego Renesansu szkoły lombardzkiej.

W r. 1510 obejmuje kierownictwo robót Franciszek della Lora, Florentczyk rodem, już nie rzeźbiarz, jak Franciszek, ale w całym tego słowa znaczeniu architekt. Teraz postępuje budowa tak prędko, że w r. 1515 Jan Konarski, kanonik krakowski, przemawiając przy powitaniu króla wracającego z Litwy, mógł już porównać zamek wawelski z rzymskim Kapitołem. Wykończono wtedy skrzydło zachodnie i północne. Historyk dworski, Decius, opisując nowo powstały pałac, nie ma słów na przedstawienie jego przepychu, a pochwały dla Zygmunta, który urządził wszystko z artystycznym zmysłem i z ładu królewską wspaniałością. W ciągu lat kilkunastu zmieniła się gruntownie dawna postać królewskiego zamku. Miejsce starych, luźnych i niesymetrycznych zabudowań, zajął pałac rozległy, jednolity, o czystej, cudnej architekturze renesansowej, właściwie dwa skrzydła pałacu, który miał zamknąć prostokątne podwórze. Nie stanęły one całe nowe od fundamentów, gdyż skrzydło zachodnie przerobiono z budynku dawniejszego, a i w skrzydle północnym, na parterze, znajduje się wiele murów średniowiecznych i gotyckich fragmentów. Skorzystano przy budowie z reszty budynków dawniejszych, a łącząc je, dopełniając i ujednostajniając, utworzono całość na pozór jednolitą i organiczną.

Franciszek della Lora, obejmując kierownictwo, nie zadowalała się przeróbkami i uzupełnieniem, ale szuka efektów, proporcji i rytmu, a chcąc działać kontrastami, potrzebuje przestrzeni. Robi plan na cały zamknięty prostokąt dziedzińca i zaczyna go urzeczywistniać, ujednostajniając wymiary dwóch skrzydeł i obwodząc je kruzgankami arkadowymi, przeprowadzonymi przez cały parter i oba piętra. W ten sposób zakreślił program i zapoczątkował gmach wspaniały, godny rezydencji potężnych i możnych władców, a — jeżeli weźmiemy pod uwagę dziedzińce arkadowy — pałac, jakim mogła się poszczycić mała która z ówczesnych stolic euro-

pejskich. Mięszaninę zaś stylów, którą dziś szczególniej podziwiamy, można wytłómaczyć tem, że wezwany z zagranicy architekt, Włoch, dając zarys nie tylko całości, ale i jej szczegółów, posługiwał się przy wykonaniu tychże kamieniarzami miejscowymi, którzy, wychowani w tradycjach sztuki gotyckiej, wprowadzali teraz jej motywa do Renesansu. Tak więc della Lora był właściwym twórcą pałacu renesansowego na Wawelu i tegoż dekoracyi, on dal jego plany i wprowadził galerie arkadowe, on, projektując całość, wielką jej część wykonał sam — resztę jego godni następcy.

W rok po śmierci Franciszka della Lora przybywa do Krakowa twórca „największego dzieła Renesansu z tej strony Alp“, budowniczy kaplicy Zygmuntońskiej, Bartłomiej Berrecci, rodem z Val de Sieve, człowiek wysoko wykształcony, biegły w filozofii, artysta, który, według wyrażenia królewskiego, „Fidyaszową sztuką wyrabia kamienie“. Ten, skoro ściany kaplicy przy katedrze były doprowadzone do kopuły, musiał się zabrać do dalszego prowadzenia budowy zamku, jakkolwiek robotami przez czas dłuższy kierował Benedykt Sandomierzanin. Teraz zaczęto dawać ceglane posadzki i dachówki różnych kształtów i kolorów. Z początkiem r. 1531 wykończono wnętrza apartamentów. Dawano hełmy na wieżach, szklono wszystkie okna szkłem weneckim, stawiano piece, obijano drzwi żelazem, robiono nowe kamienne kanały.

Wtedy powstał również zewnętrzny portal wjazdu obok katedry, roboty może Berrecciego, nad którym umieszczono na sześciu sztabach żelaznych herby, przeniesione później do wnętrza sieni wjazdowej. Współczesna zapiska rachunkowa mówi o 32 ankrach do przytrzymania posągów kamiennych na galerji niższego piętra. Pierwsza to i jedyna dotąd wiadomość o takiej ozdobie galerji. Wówczas powstał także fryz malowany pod stropem drugiego piętra. Dlaczego nie wykonał go Hans Dürer, który był już w Krakowie i w służbie królewskiej, lecz malarz Dyonizy Stuba? Jeżeli tego to fryzu resztki znalazły się dzisiaj na galerji arkadowej drugiego piętra, to Dyonizy był niepoślednim dekoratorem, a malowanie jego istotnie „kraśne“ i złożone z ornamentów, spłotów i popiersi portretowych, może dać niejakię pojęcie o fry-

zie Hansa Dürera, który między innymi motywami mieścił także i głowy ludzkie.

Pałac był prawie skończony w granicach wówczas zakreślonych, a w tych mniej więcej zarysach i rozmiarach stoi do dnia dzisiejszego. Cztery jego skrzydła otaczały wprawdzie podwórze, ale dokładnie go nie zamykały; przerwę stanowił dawniejszy budynek kuchni, ciągle przerabiany, a w skutek tego tak jak dziś bezstylowy. Lekkie galerye z przejrzystą balustradą i pięknymi kolumnami obiegały go dookoła. Na nie wychodziły okna i drzwi, obramione rzeźbionym kamieniem w stylu renesansowym lub gotycko-renesansowym. Wysokie dachy z pięknie rzeźbionymi kominami po stronie zewnętrznej lśniły kolorami tęczy w promieniach słońca. Główną ozdobą fasad zewnętrznych były hełmy wież, zakończone baniami i powietrznikami, górny gzyms koronujący i obramienia wielkich trójdzielnych okien. W tak urządzonym pałacu odbyła się uroczystość weselna Jadwigi, najstarszej córki Zygmunta I i Barbary Zapolyanki z Kurfürstem brandenburskim Joachimem I.

W r. 1536, podczas nieobecności króla w Krakowie powstały pożar zniszczył dachy, drugie a może i pierwsze piętro na dwóch skrzydłach pałacu nowo powstałego. I teraz dopiero miał stanąć na czele budowy Berrecci, ale skrytobójcza śmierć przeszkodziła mu w doprowadzeniu do skutku swoich planów i zamiarów. Kierownictwo robót objął po nim Mikołaj Castillione. Ten nie zaczynał nic nowego, tylko wykończył pałac i zacierał resztę śladów pożaru.

Umarł Zygmunt I w 1548 r., a z jego śmiercią zamknęła się wielka doba budowy pałacu renesansowego na Wawelu. Wspaniałe dzieło Renesansu na północy, rezydencya, mogąca stanąć obok podobnych najwspanialszych pałaców włoskich, dzieło ulubione i wypieszczone przez starego Zygmunta, było już skończone, oprócz skrzydła zachodniego, do którego budowy nigdy niestety nie przyszło. Podziwiali go swoi i obcy, opisywali z uniesieniem cudzoziemcy; wzmianki o nim znajdujemy w prozie i poezji. Syn wielkiego budowniczego, Zygmunt August unikał Krakowa, przebywając najczęściej na Litwie lub na Podlasiu. Na Wawel przyjeżdżał rzadko, bawił nie długo, nie więc dziwnego, że chociaż znawca

i miłośnik sztuki, nie wiele się o niego troszczył. Z tych czasów znanych jest kilka nazwisk majstrów, jak Tomasz Włoch, Tomasz Lwowczyk, Galeacius vel Galeaci, Antonius murator, Joannes de Senis, Pietro Mezzo i kilku innych zajętych drobnymi robotami i naprawkami na zamku. W r. 1565 krużganki strony południowej otrzymały dach pulpitowy i atykę wieńczącą główną ich ścianę. Do r. 1595, w którym dwa pożary większą część zamku obrócili w perzynę, niszcząc nietylko dachy i wewnętrzne urządzenie, ale uszkadzając nawet samą architekturę pałacu, nie zrobiono na zamku nic nowego, z wyjątkiem małych naprawek. Wtedy to zatraciła się po raz pierwszy, a niepowrotnie, wspaniała i jednolita całość pałacu włoskiego, wzniesionego w samym rozkwicie Renesansu, a świadczącego świetnie o wysokiej kulturze i zamiłowaniu piękna przez dwóch ostatnich Jagiellonów.

Jak wyglądał z kolei, pałac ten renesansowy wewnątrz? W okresie poprzednim całe umeblowanie średniowieczne dopełniały skrzynie, pulpity do czytania lub pisania, szafki drewniane i częste w owym czasie szafy w murach. W ogóle mieszkania i wnętrza tamtej epoki cechował pewien brak względu na wygodę, sztywność, surowa powaga, coś jakby z ducha klasztornego, który nadawał piętno całemu życiu i ówczesnym zapatrywaniom. Zupełnie inny wygląd przybrały apartamenta zamkowe w nowym renesansowym pałacu. Posadzki dawano ceglane lub kamienne, na ścianach malowano obrazy, stawiano piękne rzeźbione kominki, kładziono drewniane stropy, podzielone na profilowane skrzyńce, wypełnione pięknie rzeźbionymi rozetami. Meble były odpowiednie do dekoracji ścian i sufitów, barwne, niekiedy złożone jak tamte, między którymi zawieszano wspaniałe flandryjskie arasy i kotary. Wprawione w okna kolorowe szyby i witraże potęgowały wrażenia przepychu i powagi.

W r. 1529 rozpoczyna na zamku swoje dekoracyjne roboty malarskie Hans Dürer, brat i uczeń wielkiego Albrechta. On pokrywa swemi freskami stropy Kurzej Nogi i drugiego piętra, maluje fryzy obiegające ściany kilku izb również na drugim piętrze; w motywy jednego wchodziły jakieś twarze czy portrety, gdzie zaś tego szczegółu nie do-

dano, były fryzy, zapewne czysto ornamentacyjne, złożone z motywów roślinnych lub innych arabesków, skrętów i grotesków.

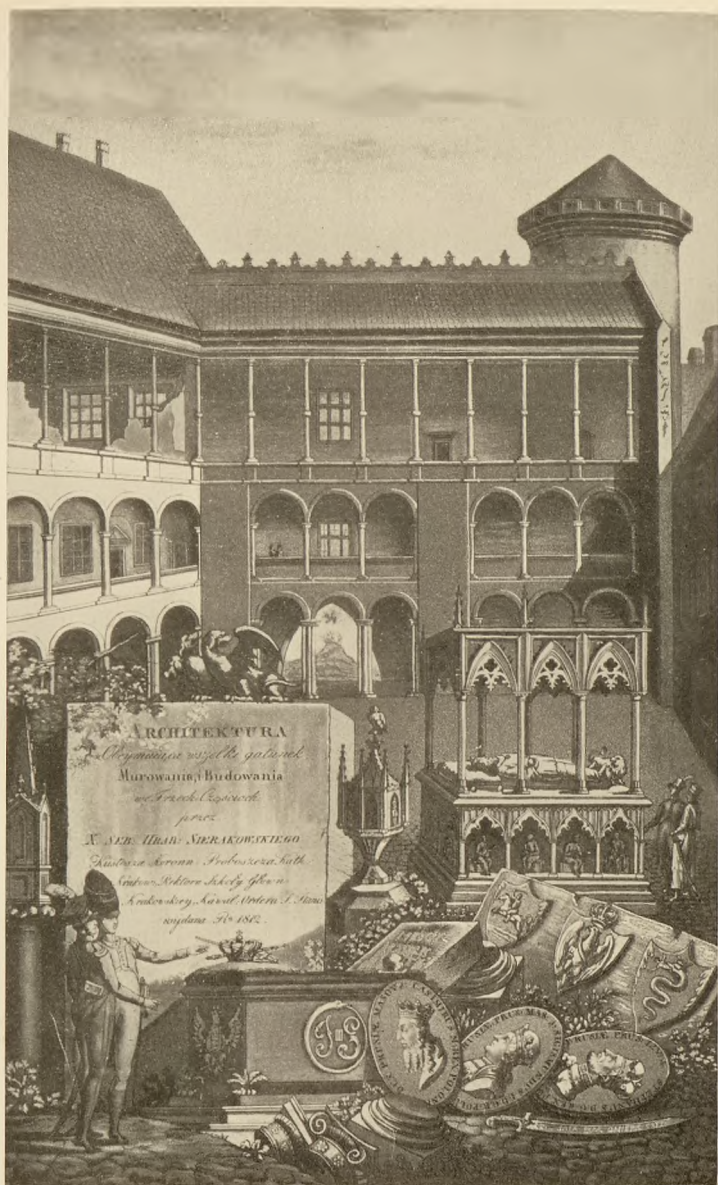
Z rachunków tego czasu (1530 r.) dowiadujemy się o wydatkach na malowane i złożone piece, na drzwi żelazne i drewniane, na okucia do drzwi i okien, na klamki, blaszane latarnie, brązowe świeczniki, złożone pająki i na płócienne franki do okien, na stoły kamienne i drewniane, lawy służące do siedzenia dla króla i królowej, na łóżko dla młodego króla Zygmunta Augusta i łożę z frankami dla królowej.

W tych też latach pojawia się coraz więcej nazwisk artystów pracujących na zamku. Warto wymienić kilku: Stanisław Szczerba *pictor* jest używany obok Dürera do delikatniejszych szczegółów dekoracyjnych, „Piotr malarz z Krakowa“ maluje 140 herbów, jużto na drzwiach, jużto na blachach, które przytwierdzano nad drzwiami; Jerzy, stolarz z Nissy, robi drzwi wykładane różnobarwnem drzewem *ex flader cum stuckphark do atrium* przed altaną i do „wielkiej stuby“ od strony Bernardynów, „Sebastyan stolarz“ robi wspaniałe drzwi do wielkiej komnaty od strony Bernardynów, za które bierze bardzo wielką na ówczas zapłatę 50 grzywien. Drzwi te podziwiano tutaj jeszcze w końcu XVIII wieku, a istniejąca wówczas legenda mówiła, że były dziełem rąk króla Zygmunta Augusta.

W ostatnich wreszcie latach panowania Zygmunta Staroego wykończono strop wielkiej izby drugiego piętra od strony Bernardynów, ze słynnemi głowami w drzewie rzeźbionemi, izby, która nosiła potem nazwę „główniej“, „pod Głowami“, *stuba ubi capita* lub izby „Poselskiej“. Z późniejszych opisów wiadomo, że było tam przeszło 190 głów, jak można sądzić z nielicznych zachowanych egzemplarzy, prawie naturalnej wielkości, artystycznie snycerską robotą wyrobionych z drzewa, wystających ze środka każdego kasetonu na wygiętej i wydłużonej szyi, tak, że z dołu była widoczną całą twarz. Robotą miała cechy Renesansu niemieckiego. Niektóre z nich były idealne, inne charakterystyczne, prawie karykaturalne, były także i portretowe. Jedna z nich n. p. wśród sześciu, przechowywanych dzisiaj w zbiorach hr. Stanisława

Tarnowskiego, prezesa Akademii Umiejętności, przedstawia typ Habsburgów z XVI wieku, o twarzy podłużnej, cienkiej, o naprzód podanej brodzie, długim nosie i wysuniętej a grubej i odwróconej wardze dolnej. Głowy te były polichromowane, żywość barw dodawała im życia i podnosiła siłę wrażenia, jakie wywoływały, a które ilustruje związana z nimi legenda. Raz o zmierzchu, kiedy król Zygmunt August przechodził po salach zamkowych i szedł na wielką salę „Poselską“, zdawało mu się, iż jedna z głów przemówiła do niego słowy: *Rex Auguste indica iuste*. Sala ta służyła nieraz do udzielania ceremonialnych posłuchań posłom zagranicznym.

Najwspanialszą artystyczną ozdobą mieszkań królewskich był zbiór arrasów, znanych powszechnie pod nazwą „*Potopu*“. Orzechowski, który je opisał i opowiedział treść scen figuralnych na nich przedstawionych, podnosi w górnych słowach bogactwo i wspaniałość tych tkanin, jakich nie posiadali inni monarchowie zachodni. Były one przetykane złotem, „podziwu godne tak dla drogocennego materiału, jak dla rzadkiej sztuki, z jaką sceny z Pisma św. były na nich igłą wyrażone, jak gdyby najsubtelniejszym pędzlem, tak, że myślałeś, iż jesteś świadkiem samej rzeczywistości, że patrzysz na żyjące ludzkie postaci tam odmalowane“. W łóżnicy królewskiej było ich 9 sztuk, a dalszy ciąg scen (6 sztuk) umieszczono w sali poprzedzającej przedpokój łóżnicy. Prócz tego cyklu, przedstawiającego sceny z *Genesis*, był jeszcze drugi, ilustrujący księgę *Exodus*, który zdobił sam przedścionek, a składał się z 4 lub 5 sztuk tkanin bogato złotem przetykanych. Świadczyły one o znakomitym „umyśle króla, którym Zygmunt był wyposażony“; kiedy zostały kupione, trudno dziś dociec. Z biegiem czasu różne przechodziły koleje, a wiadomości o nich znikły po r. 1764. Dopiero w latach 1860 — 1861 wyszukano je i wydobyto z pośród całego mnóstwa arrasów, złożonych od czasów Katarzyny II w pałacu Taurydzkim. Cykl „*Potopu*“ został wtedy przewieziony do pałacu cesarskiego w Gatchynie, gdzie się do obecnej chwili znajduje. Arrasy te, według zdania wszystkich znawców, którzy je widzieli, są znakomitym wyrobem flandryj-



WIDOK WNEŹRZA DZIEDZIŃCA ARKADOWEGO
ZAMKU KRAKOWSKIEGO Z POCZĄTKU XIX WIEKU
Z FANTASTYCZNYMI I ALLEGORYCZNYMI DODATKAMI.

Litografia według rysunku Michała Stachowicza, stanowiąca kartę tytułową dzieła „Architektura“
X. Sebastjana Sierakowskiego, wydane w r. 1812.

skim, a kartony do nich były dziełem jednego z wielkich mistrzów pełnego włoskiego Renesansu.

Oprócz stropów, drzwi, pieców, fresków, rzeźb, makat, arrasów i pewnej ilości porozmieszczanych na ścianach obrazów, o których, prócz tego, że były, nie wiemy nic — ozdobę apartamentów królewskich stanowiły także kosztowności i srebra. Prócz wielkiej ilości sprzętów, naczyń stołowych, świeczników, miednic, kielichów, zegarów, krzyżów, relikwiarzy, nalewek, kubków, solniczek i flaszek, były także rzeźby kute i lane, emalie, filigrany, przedmioty „roboty norymberskiej“ i „węgierskiej“. Z biegiem czasu bogactwa te topniały coraz bardziej; rabowali je obcy, a przedewszystkiem Szwedzi w XVII wieku, niszczył ogień, a to, co pozostało nierozgrabione lub nierozdane w braku pieniędzy jako nagroda służbie, to znikło zupełnie podczas rozbiorów Polski.

V.

Kiedy za Zygmunta III dwa pożary zniszczyły pałac wawelski wraz z urządzeniem wnętrza, musiano się zabrać do naprawy, która dość gruntownie miała zmienić jego wygląd. I tak poprzednie barwne pokrycie dachu zastąpiono miedzią, darowaną przez kardynała Radziwiłła; przerabiano fasady zewnętrzne, a w narożniku Kurzej Stopy postawiono wieżę, której wnętrze zostało połączone z oboma piętami głównego budynku. Nieco później dostawiono drugą, odpowiadającą pierwszej, tuż przy skarbcu katedralnym.

Jak dwaj ostatni Jagiellonowie lubowali się w Renesansie, budując i ozdabiając wszystko w tym stylu, tak Zygmunt III, zwolennik i wielbiciel nowo powstałego barokku, skorzystał ze sposobności i dał pałacowi prawie całe urządzenie według swoich upodobań i według smaku owego czasu. Jego dziełem jest w pierwszym rzędzie wspaniała klatka głównych schodów w części północnej, obszerna i widna, z pięknem wejściem na parterze i z barokkowymi obramieniami drzwi, prowadzącymi do przyległych sal. Jako materiału na schody, posadzki, odrzwia, kominy i okładki ścian, użyto teraz marmura; szczegółów tych było dawniej bardzo

dużo, ale do dziś dnia zachowało się tylko kilka odrzwi i wspinały komin z marmuru w kilku odcieniach w jednej ze sal drugiego piętra. Wytrzymałszy od marmurów okazały się piękne dekoracje stiukowe, których znaczna liczba jużto w całości, jużto we fragmentach, dotrwała szczęśliwie naszych czasów.

Jako naczelnego architekta tej ostatniej przebudowy i jako tego, którego dziełem jest postać zamku z XVII wieku w jakiej dotrwał do teraźniejszych czasów, wymieniają rachunki i księgi miejskie Jana Trevano, Włocha, pochodzącego z miasta Lugano. On jest niewątpliwie owym „Dziannim“, który miał brać udział w budowie kaplicy św. Stanisława w katedrze na Wawelu. Wspominany wówczas jako malarz Jan Battista Petrino, był później bardzo wziętym budowniczym, pracującym na zamku wraz z Kasprem Arcconim przy zakładaniu fundamentów. Razem z Trevanem pracował także Ambrogio Meazi, ten sam, który wykonał podium i stopnie przed wielkim ołtarzem katedry. Jego roboty ma być istniejący jeszcze komin marmurowy w pokoju „nad Alchemią“.

I oto dopiero teraz, za panowania Zygmunta III, gorącego miłośnika malarstwa, spotykamy się w Krakowie z malarzem weneckim, uczniem Antoniego Vasillacchiego i twórcą obrazu przedstawiającego cześć Najświętszego Sakramentu w Pałacu Dożów, z Tomaszem Dolabellą. Sprowadzony przez króla około r. 1600, maluje on w swej pracowni na zamku liczne portrety i wielkie płótna historyczno-dekoracyjne¹⁾, między którymi było przedstawione zdobycie Smoleńska. W poezyach Wespazyana Kochowskiego spotykamy znacznie później ważną wzmiankę, przypominaną niedawno przez prof. Jerzego Mycielskiego, że Rubens miał malować na zamek fantastyczny portret Kazimierza Wielkiego, który tam znajdował

¹⁾ Obrazy te, według nieogłoszonej jeszcze drukiem pracy o twórczości Dolabelli p. Mieczysława Skrudlika, zostały później przeniesione do zamku warszawskiego, gdzie pozostawały do czasu Augusta II, który je podarował carowi Piotrowi W., a ten, nie mogąc znieść widoku obrazów przedstawiających zwycięstwa polskie nad Moskwą, kazał je spalić.

się w drugiej i trzeciej ćwierci wieku XVII, ale o którym nie posiadamy żadnej innej wiadomości.

Kiedy stolicę królewską przeniesiono do Warszawy, zamek wawelski, tylko rzadko zamieszkały, zaniedbany, a przynajmniej niestarannie utrzymywany, naprawiany niedbale i bez żadnego artystycznego dozoru, zaczął się powoli chylić ku upadkowi. Od czasu do czasu zabierano i przewożono gdzieindziej te lub owe sprzęty, makaty i obrazy, które ozdabiały sale i pokoje. Po koronacyi Jana Kazimierza spłonęła Kurza Stopa, a w sześć lat później Szwedzi, zalawszy Polskę, dotarli do Krakowa, zajęli zamek, niszcząc i psując wszystko, co było pod ręką. Po ustąpieniu Szwedów stan zamku był opłakany. Przez dachy zaciekała woda, grożąc całości pięknych ozdób wewnętrznych. Kolumny krużganków ujęto w żelazne pręty, wzdłuż i wpoprzek dla wzmocnienia. Gorzej było wewnątrz; arrasy poszły w zastaw, meble gdzieś poznikały. Król, przybywając do Krakowa, zajeżdża już nie na zamek, ale „pod Krzysztoforę”. Później zapewne musiano się postarać o lepsze umeblowanie, skoro już w r. 1674 Jan III, zjechawszy do Krakowa na koronację, miał w zamku zamieszkać, odbywając narady i sądy.

Ale mimo to zamek przedstawia ruinę. O takim jego stanie wiedziano powszechnie, ubolewano nad tem, lecz długo nic nie robiono, nic nie naprawiano. Król Jan III, widząc, co grozi pałacowi, polecił zrestaurować części „do ruiny skłaniające się”, a dbając o wewnętrzne utrzymanie komnat, mianował swego nadwornego malarza, Jana Triciusza, dozorcą „pokojów ozdobniejszych, w których są obrazy” i polecił mu restaurować zniszczone starością „sztuki malarskie”; jeszcze wtedy były więc na zamku obrazy wartościowe i pamiątkowe. W jakiś czas później Senat uznał za stósowne wyrazić królowi wdzięczność, „że co za antecessorów jego w pałacu i rezydencyi zamku krakowskiego *ad ultimam* już wszystka prawie *machina vergebat ruinam*, to J. K. M. Pan nasz.. *liberali sumptu suo* restaurować *cum augmento decorum* raczył“.

Pożar w r. 1702, po zajęciu zamku przez Szwedów po bitwie pod Kliszowem, kładzie ostateczny kres świetności pa-

łacu. Spustoszenie straszne. Przepaliły się sufity, belki, okna i podłogi w niektórych miejscach przez oba piętra, popękały od gorąca marmurowe odrzwia, kominki i kolumny, zawaliły się kamienne kominy, czyniąc swym ciężarem jeszcze większe spustoszenie. Co nie poszło z dymem, to uległo rabunkowi; ocalały tylko niektóre dolne sale i mała część wschodniego skrzydła. Szkoda była olbrzymia i niepowetowana, bo z tej ruiny zamek całkowicie się już nie dźwignął. Polska, wyniszczona wojnami, stała otworem dla ościennego nieprzyjaciela, który doprowadził zniszczenie do reszty.

Przez 27 lat stały mury zamkowe nienakryte, jako pustka. Dopiero w r. 1726, dzięki poparciu ze strony Sejmu i zajęcia się sprawą biskupa Szaniawskiego, zabezpieczono jako tako mury zamkowe. Wśród tego zaczynają się czasy najsmutniejsze; wojska rosyjskie i pruskie grasują w kraju, dopuszczają się gwałtów, niszczą i plądrują wszystko. August III umiera. Jego następca przypomni sobie czasem zamek, każe coś naprawić, ale o restauracyi ani mowy niema, bo i pora nie po temu i pieniędzy brak zupełny. W powrocie z Kaniowa wstępuje Stanisław August na jakiś czas do Krakowa, na Wawel. Na ten czas odrestaurowano bardzo pospiesznie drugie piętro północnego skrzydła, porobiono niezbędne naprawy w całości i zajęto się jeszcze fortyfikacyami. To ostatni pobyt króla polskiego na Wawelu. W r. 1794 zajmują zamek Prusacy, niszcząc reszty urządzenia wewnętrznego. Wtedy spełniono także oburzający akt wandalizmu, włamując się przemocą do skarbcza koronnego i rabując resztki klejnotów i insygniów koronacyjnych. Sprawę ukrycia czy wywiezienia „Szczerbca“ i korony komentowano po niezliczone razy, jednakże bez realniejszego skutku. Dzięki gospodarce pruskiej, zamek stanął zupełną pustką.

Po trzecim rozbiore Polski i zajęciu Krakowa przez wojska austriackie, cały zamek z pałacem królewskim oddano wojskowości, która miała ponieść kosztą adaptacyi na koszary. Według projektu i pod osobistym kierunkiem Jana Markla poprawiono mury, zwężono otwory okien zewnętrznych, a niektóre wewnętrzne zamurowano. Pokoje niektóre podzielono ściankami, zaprojektowano nowe wiązania dachowe.

Wtedy, a może już i dawniej, zaczęto powoli usuwać fragmenty spróchniałego stropu izby Poselskiej, zabierając je, po części przez pietyzm, po części dla zysku. W ten sposób dostały się do rąk prywatnych i do zbiorów publicznych. Obecnie ze 190 głów, 11 sztuk znajduje się w Krakowie, a z tych 6 w pałacu hr. St. Tarnowskiego „na Szlaku“ i 5 w Domu Matejki, 28 zaś w Moskwie w Muzeum Rumiancowa. Kilka rozet, jakoby z zamku pochodzących, zachowało się również w Krakowie, częściowo w zbiorach prywatnych, częściowo w publicznych.

Niszcząc i przerabiając zamek na koszary dla wojska, miano na celu złamanie wszystkich patryotycznych nadziei, usunięcie raz na zawsze z przed oczu Polaków widomego znaku dawnej potęgi i królewskości. Powyrzucano z niego i poniszczono wszystko, co przypominało jego dotychczasowe przeznaczenie; miejsce rzeźb, złocień, marmurów, herbów i malowań zajął teraz tynk i wapno. Z siedziby królów zrobiono grób pobielany.

Ta wandalska czynność miała jednak i swoje dobre strony. Uszanowano bowiem obramienia okien, a co najważniejsza, wzmocniono arkadową galeryę przez obmurowanie kolumn na parterze i obu piętrach; podobnie postąpiono z przeczeczami balustrad. Były to istotnie roboty konserwatorskie, które się przyczyniły do zachowania najpiękniejszych cech królewskiego pałacu. O restauracyi na szerszą skalę zaczęto myśleć dopiero za Rzpltej krakowskiej. W tym celu utworzono w Krakowie osobny komitet do zbierania składek, na które uzyskano pozwolenie nawet od rządu rosyjskiego, a sam car Mikołaj I ofiarował na ten cel 10.000 złp. Projekt restauracyi, powiedzmy raczej zupełnej przebudowy, wykonał architekt, głośny wtedy, Lanci; na szczęście nasze i potomności, przebudowa nie przysłała do skutku.

Tymczasem w pustych salach zamku pomieszczono Dom schronienia ubogich Krakowskiego Towarzystwa Dobroczynności, Towarzystwa Przyjaciół muzyki i Dom pracy przy-musowej; w obwodzie zamku założono fabryki sukna na potrzeby ubogich. Prócz wymienionych wyżej instytucyj, znalazło także w zamku samym pomieszczenie wojsko austriyac-

kie, osadzone w Krakowie w imieniu trzech opiekuńczych mocarstw; kilka sal zajęła milicya krajowa.

Nadszedł wreszcie rok 1846, a z nim ostateczna utrata niepodległości i powtórne zajęcie Wawelu przez wojska austriackie. Wojskowość zabrała się szybko do pracy; porobiono zdjęcia, zaczęto przygotowywać plany przebudowy, której dokonał znany później architekt Feliks Książarski. Przeróbka była radykalna i zniszczyła więcej, niż pożary i wojny; uratowanie tego, co do naszych dochowało się czasów, jest zasługą wspomnianego już Książarskiego.

Zamek wawelski stał się od tej chwili budowlą bezstylową, pozbawioną ozdób, wywierającą wrażenie jedynie swą masą i świetną ongiś przeszłością. Dalszemu a ciągłemu niszczeniu stanęła na przeszkodzie reorganizacya urzędów konserwatorskich w r. 1873, a gdy stało się wiadomem, że zamek ma być znowu zamieniony na rezydencyę monarszą, poczęły i władze wojskowe objawiać pewną ostrożność, a nawet dobrą wolę; piękniejsze sale zamieniono na składy, rzeźby obito deskami i zarządzono nawet nibyn aprawę sztukateryj. Mimo to nie obeszło się czasem bez mniejszych lub większych uszkodzeń.

Na wniosek prezydenta miasta Krakowa, Dr. Mikołaja Zyblikiewicza, Sejm galicyjski, nie wchodząc w prawną stronę rzeczy, postanowił wysłać do Cesarza, przybywającego w r. 1880 do Krakowa, deputacyę, któraby mu ofiarowała zamek na rezydencyę cesarską; deputacyę wysłano, Cesarz dał przychylną odpowiedź. Polegając na tej obietnicy, Wydział Krajowy powierzył budowniczemu Tomaszowi Prylińskiemu przygotowanie planów restauracyi. Studya, robione przez niego na miejscu, przyniosły obfity plon; plany wtedy zdjęte na 60 tablicach zostały oprawione w trzy teki i złożone w Dworskiej Kancelaryi w Wiedniu. Przez następnych lat 20 robiono pertraktacye, gdyż trzeba było uregulować stosunek prawny i stosunek z wojskowością. Ostateczna umowa stanęła w lipcu 1903 r. Kraj przy poparciu Krakowskiej Kasy Oszczędności i miasta Krakowa miał wystawić odpowiednie koszary — wojskowość w zamian za to zgodziła się opróżnić najpierw historyczną część zamku, za co miała jeszcze otrzymać ratami 1,600.000 kor. Cały więc Wawel, z wyjątkiem części nale-

żących do duchowieństwa, został zaintabulowany na własność kraju Galicyi i Lodomeryi z W. Księstwem Krakowskiem.

Z tą chwilą zamknął się smutny, przeszło stuletni okres degradacyi zamku. Z kolei przystąpiono do prawdziwej restauracyi. Twórca jej planów już nie żył — trzeba było wyszukać następcę i ustanowić artystyczny nadzór nad tak trudnem dziełem. Przy Wydziale Krajowym utworzono komitet restauracyi, złożony z wybitnych obywateli i znawców sztuki. Cesarz jeszcze przed opróżnieniem zamku wyraził swoje zadowolenie z powodu podjęcia kroków przedwstępnych, oznajmiając równocześnie, że z funduszów dotacyi nadwornej będzie się przyczyniał do restauracyi rocznym udziałem 100.000 kor. Komitet swoją uchwałą powierzył kierownictwo robót p. Zygmuntowi Hendlowi, byłemu dyrektorowi Szkoły przemysłowej.

Na tem kończy się praca Dr. Tomkowicza i jego zadanie — reszta należy do przyszłości. Schliemanowską pracą nazywa autor, przy końcu swego dzieła, odszukiwanie i odkrywanie tych skarbów architektury i ornamentacyi różnych stylów, które wieki nagromadziły na Wawelu, a które odszukać musieli jego obecni restauratorowie — Schliemanowską możemy nazwać pracę Dr. Tomkowicza, który nam ich dzieje, wartość i piękność w wyczerpującem przedstawił świetle.

„Tak więc w tych ponurych dniach — kończy autor swe dzieło — kiedy historia współczesna nagromadziła nad narodem polskim czarne chmury klęsk politycznych, kiedy cios po ciosie spadając godzi w najgłębsze narodowe uczucia i niemal zupełną grozi nam zagładą, pokoleniu naszemu nie brakło idealnej, ale bardzo wzniosłej i krzepiącej pociechy. Po latach degradacyi przygnębiającej, zapomnienia grobowego, zmartwychwstać ma w naszych może jeszcze oczach ten symbol naszej przeszłości i jedności: zamek na Wawelu — a razem z wstępującem weń życiem staje przed nami i nabiera wyrazu jego przeszłość, będąca przypomnieniem dawnej wielkości i potęgi narodu. Zdaje się jakby rozszerzyć i rozjaśnić się miały przed nami widnokreśli, zarazem wstecz i naprzód“.

„Oby dauem nam było dożyć jeszcze tej podniosłej chwili!“

Oby dauem było dożyć jej i autorowi, który swem cennem dziełem wiele wyświecił, wiele odkrył i w ten sposób położył niespożytą zasługę około należytego przeprowadzenia zaczętej restauracyi zamku na Wawelu.

Stanisław Peszko.

Sceptyczne i mistyczne pierwiastki w filozofii Pascala.

(Dokończenie).

Widzieliśmy poprzednio, że uczuciowe poznanie dokonywa się na innych podstawach, niż to się dzieje za pośrednictwem rozumowej analizy: i to w zupełności wystarcza dla danej jednostki — w zakresie potrzeb własnego jej umysłu. Nasuwa się pytanie, czy można drugiej i trzeciej osobie udzielić przekonanie, uzyskane drogą indywidualnych doznań wewnętrznych, czy można wpłynąć na otoczenie w kierunku wyrobienia pewnych uczuciowych przekonań. Pascal odpowiada twierdząco i przedstawia osobny rodzaj postępowania: *l'art de persuader*, który ma na celu oddziaływanie przez wolę na rozum i — nie badając uciążliwej kollizyi wszystkich *pro* i *contra* — każe wybierać to, co w wyższym stopniu odpowiada naszym dążeniom, co nas bardziej pociąga, co nam jaśniej tłómaczy trudności. Tak działać powinien człowiek, jeżeli pragnie pozyskać większy zastęp ludzi dla swoich ideałów, jeżeli chce w tłumach wyrobić niezłomne przekonanie i zmusić je do czynów, konsekwentnie wypływających z danych raz za pewne uznanych założeń.

Bohaterowie Carlyle'a nie zdobywają serc zwolenników za pośrednictwem logicznego uzasadnienia swego punktu widzenia; tak jak sami wydobyli z głębi ducha pewien intuicyjny pogląd na świat, podobnie starają się wnikać w usposobienie otaczających ich osób i — drogą uczuciowej by-

pnozy — natchnąć ich do wiary w te same ideały, w ten sam cel najwyższy.

L'art de persuader Pascala wyczerpuje psychologię wielkich reformatorów ludzkości: Mahomet czy Savonarola, Kalwin czy Saint-Cyran z Port-Royalu — wszyscy nieinaczej postępowali; w darze przekonywania leży tajemnica ich wielkich zdobyczy. A Pascala *Provinciales*? Wiemy, że nie wszędzie zgodne z prawdą, nie zawsze głębokie i dokładne w cytowaniu źródeł; ale napisane z tak namiętną siłą, z tak gwałtownym wybuchem obrzydzenia i nienawiści, że działały piorunująco i do dnia dzisiejszego nie przestają wywierać poważnego wrażenia. Lamennais — spadkobierca entuzjazmu Pascala — wywalczył sobie ogromną popularność przez znane *Paroles d'un croyant*. Dlaczego? czy użył tam mistrzowskich środków dyalektyki, czy umiał wydobyć niezbite dowody rozumowe? Owszem, opuszcza dawny sposób dowodzenia i odwołuje się do uczuć, zagina niejako „palec pod serce“ tłumów; oświetla jeden jaskrawy fakt, że chrześcijaństwo jest prawdziwą religią właśnie dlatego, że jest tak demokratyczną, tak liberalną, tak dostosowaną do cierpień ludzkości.

I oto argument bardzo popularny: nie dziw, że — według świadectwa Sainte-Beuve'a — zdobywa Lamennais dla swoich doktrynerskich sądów naprzód zecerów w drukarni, a później wielu, zbyt wielu zwolenników, i to właśnie tych, którym logiczny tok encykliki *Singulari nos* nie przemawiał do serca.

Ale Pascal, konstatując możliwość i uprawnienie wyżej wspomnianej metody, zdaje sobie sprawę, że ona może być i jest nadużywaną dla celów partykularnych, dla illuzyj osobistych, niejednokrotnie dla fałszu i zbrodni. Przy nawróceniu tedy religijnem — a ono jest właśnie najważniejszą formą kształtowania się przekonań wewnętrznych — potrzebnym jest czynnik stalszy, pośrednik pewniejszy, któryby gwarantował przedmiotową prawdę przyjętych dogmatów. Jednym słowem, jak wytłómaczyć jednolitość wierzeń całej grupy, całych tłumów ludzi, uznających jedne i te same prawdy metafizyczne? Pascal przyjmuje bezpośrednie pośrednictwo Boga, który za pomocą łaski rozstrzyga o prawdzie artykułów chrześcijań-

skiej religii i wyrabia w duszy człowieka niezłomne przekonania: *Deus cooperando perficit, quod operando incipit.* (Aug. *De grat. et lib. arb.* 17, 33)¹⁾

Łaska jest warunkiem mistycznego nawrócenia, jej czynność wyprzedza skrucę i osobiste zabiegi grzesznika. Choć więc człowiek w zasadzie wolną wolę posiada, ale Bóg, otwierając przed oczyma jego duszy obrazy prawdy i nieskończonej rozkoszy, pociąga jego wolę ku sobie i przykuwa do planów swojej mądrości: *Quod enim amplius nos delectat, secundum id operemur necesse est*²⁾.

Źródło takiej koncepcji przemian religijnych przekonań człowieka leży w znacznej mierze w dziele Janseniusza *Augustinus*. Czytamy tam bowiem wyraźnie: *Liberatio voluntatis non est peccati remissio, sed relaxatio quaedam delectabilis vinculi concupiscentialis, cui innexus servit animus quoad per gratiam infusa coelesti dulcedine ad suprema diligenda transferatur*³⁾.

Podobne przekonania głosił Saint-Cyran z ambony, podobne pojęcia rozwija i Pascal, opisując proces nawracania się grzeszników. Czytajmy ustępy w *Provinciales* (szczególnie V na str. 53 i XVIII na str. 202: *Dieu change le coeur de l'homme par une douceur céleste qu'il y répand*), czytajmy piękny traktat: *Sur la conversion du pécheur*; najważniejszem jednak dla nas jest to, co o tem wiemy z *Mysli* przy sposobności omówionego poprzednio dowodu prawdopodobnego istnienia Boga. Skończywszy swoje rozumowanie, Pascal mówi

¹⁾ Newman: *Grammar of Assent*, str. 370: »Przeciwieństwa w wierzeniach ludzi nie zaprzeczają istnienia prawdy obiektywnej, ale każą przypuszczać, że jest jakiś czynnik głębszy wśród różnic naszych przekonań, czynnik niezależny od przypadku i zewnętrznych okoliczności; każą przypuszczać, że nam potrzeba interwencji potęgi wyższej od nauk ludzkich i ludzkiego doświadczenia, abyśmy doszli do prawdziwej wiary i jednolitości przekonań«.

²⁾ Powyższy cytat św. Augustyna przytacza sam Pascal.

³⁾ *Augustinus* był dla mnie niedostępnym; znam go tylko w wyjątkach zamieszczonych w dziele Sainte-Beuve'a; tekst przytoczony zaczerpnąłem z L. Ranke: *Die römischen Päpste*, 5 Auflage. (Leipzig, 1867, III tom na stronie 136).

w następujący sposób: „Pracujcie tedy nie przez rozczytywanie się w rozumowych dowodach wiary, ale przez zmniejszanie waszych namiętności... czyńcie, jakbyście byli wierzącymi katolikami; żegnajcie się wodą święconą, słuchajcie Mszy i t. d. *Naturellement même cela vous fera croire et vous abêtira*“.

Ostatni wyraz wywołał burzliwą dyskusję. Cousin po prostu ośmieszył Pascala, jako rzekomego głosiciela „pobożnej ignorancyi“; inni krytycy próbowali autora *Mysli* obronić. Ale czyż on sam najlepszego komentarza nie pozostawił? Powołał się na jedno tylko zdanie: „Religia chrześcijańska, jedynie prawdziwa, nie przypuszcza za swe dzieci ludzi, którzy w nią wierzą bez wzlotów natchnienia; nie znaczy to, aby wykluczała rozum i zwyczaj: owszem należy otworzyć umysł na zrozumienie dogmatów, ćwiczyć się w nich przez przyzwyczajenie ¹⁾, ale przedewszystkiem oddać się dziełom pokory i natchnienia, które mogą wyrzucić — one jedne tylko — skutek prawdziwy i zbawczy“ (XXIV, 43).

Wobec wyznania samego filozofa, można przyjąć za Jules Lemaitre'm ²⁾ następujące zdanie L. Veuillota, jako trafną ocenę słów *abêtissez-vous*: „Pascal, jako prawdziwy katolik i jako prawdziwy filozof, zwraca się do dumnego człowieka, znużonego ciągle wątpieniem, radzi mu opuścić mgliste systemy, upokorzyć się i modlić, aby łaska, przychodząc z pomocą tej lepszej części rozumu decydującej się na wiarę, dokonała dzieła nawrócenia“... ³⁾. Z drugiej strony sąd G. Bourgeta, wspominającego, że przez *abêtir* Pascal nie rozumiał odrzucenia rozumu, ale „chodziło mu o ciszę umysłu, wśród której rozlegnie się głos samego Boga“ ⁴⁾, znajduje swoje uzasadnienie w słowach francuskiego mistyka: *Humiliez-vous, raison impuissante; taisez vous, nature imbécile... écoutez Dieu.* (G. VII, 7).

¹⁾ T. j. przez praktyki religijne; por. u Carlyle'a: »Conviction is worthless till it converts itself into conduct; doubt of any sort cannot be removed except by action«. (*Sartor Resartus*, str. 139).

²⁾ J. Lemaitre: *Les Contemporains*, tom VI, str. 17.

³⁾ L. Veuillot: *Mélanges*, tom I, str. 371.

⁴⁾ Cyt. art. str. 17.

Mistyczna tedy pokora stanowi zasadniczą treść komentowanego wyrazu. Dodam, że jest on może oddźwiękiem hasła Saint-Cyрана: *S'humilier, souffrir et dépendre de Dieu est toute religion chrétienne*¹⁾.

Jeżeli Pascal przyjmuje konieczność pomocy nadprzyrodzonej łaski dla należytego poznania prawdy absolutnej, jeżeli apodyktycznie stwierdza, że „bez pośrednictwa Boga nie można odczuwać prawdziwej wiary“ (XIII, 6), to przez te i inne jeszcze zastrzeżenia składa dość wyraźne świadectwo, że powoli zbliżał się do mistycznych uogólnień, które święcą tryumfy w systemie Malebranche'a. Jest to oczywiście tylko przypuszczenie, ale tem prawdopodobiejsze, że św. Augustyn wręcz mówił o „Bogu²⁾“ jako o świetle, w którym dusza widzi wszelką jasność duchową“.

Jeden fakt jednak nie ulega wątpliwości: *Mysli* nie ogarniają wszystkich stron mistycyzmu Pascala, któremu śmierć nie pozwoliła dokończyć wielkiego przedsięwzięcia i dołożyć ostatniej cegły do gmachu podniosłych rozważań.

Z mistycznej teorii poznania naszego pisarza wyłania się — jako logiczne następstwo — jego ascetyczna etyka. Słowa św. Augustyna: *Fecisti nos, Domine, ad Te, et inquietum est cor nostrum, donec requiescat in Te* (*Conf.* I, 1, 1) — obiera Pascal niejako za motyw przewodni całej swojej *Apoloگیi* i razem z ich autorem głosi, że uczucie powinno przekształcić tradycyjnie przejętą wiarę w umysłowe oglądanie Boga. Chwila zachwycenia, której opis znajdujemy w dziewiętej księdze *Wyznań*, powtórzyła się w życiu samotnika z Port-Royalu podczas listopadowej nocy 1654 r. W ekstazie ujrzał przedmiot długich poszukiwań, aktem wiary wznosił się ponad sceptycyzm i usłyszał głos Chrystusa: *Je pensais à toi, dans mon agonie, j'ai versé telles gouttes de sang pour toi* (*Mystère de Jésus*). I wtedy pojął cel życia ludzkiego i razem z św. Augustynem powtórzył: „Bóg jedynym przedmiotem,

¹⁾ Por. Fr. Coppée: »Oh! la douceur d'être humble, d'avoir confiance et obéir« (*La bonne souffrance*, str. 114); por. nadto w sprawie pychy rozumu, jako głównej przeskody do nawrócenia, u św. Augustyna: *De Civit. Dei* X, 29.

²⁾ Por. *Solil.* I, 1, 3 i traktat *De magistro*.

który godnie wypełnia nasz pęd ku nieskończoności“ (VIII, 1). Wobec tego możliwym jest tylko jedno określenie cnoty: cnota — *summus Dei amor*. (*De mor. eccl.*, I, 25, 46)¹⁾.

Ale Pascal nie zatrzymuje się na tem i stawia za regułę prawdziwego katolika następujące prawidło: „Należy miłować tylko Boga, a nienawidzieć tylko siebie“ (XXIV, 59). Chodzi mu tutaj — aby posłużyć się rozumowaniem Vine-ta²⁾ — o zwalczanie „indywidualizmu, przeszkody i negacyi w rozwoju społeczeństw, ale nie myśli potępiać indywidualności, której społeczeństwo zawdzięcza cały blask swojego postępu“.

Że tej ostatniej nie odrzuca i nie głosi poświęcenia wolności osobistej na ołtarzu kolektywizmu, o tem nas przekonywa choćby następujący fragment, wchodzący w skład *Myśli*: „Panowanie nad sobą jest naszą chwałą — hańbą jest tylko niewola“ (XXV, 5). Być może, że wyszczególnienie Vine-ta — jak zauważył Brunetière³⁾ — jest zbyt subtelne i raczej da się odnieść do nowożytnych zapasów, które staczał Lamennais z egotyzmem Cousina i B. Constanta. Prościej i przystępniej należałoby i tutaj dopatrywać się wpływu etyki stoickiej⁴⁾ i w „nienawiści własnego ja uznać prze-jaskrawioną parafrazę znanych słów Montaigne'a: *Il se faut prêtre à autrui et ne se donner qu'à soi même*“ (*Essais*, III, 10).

Bądź co bądź, Pascal stara się podnieść wysoko objektywność zapatrywań, a przez to staje się z jednej strony dyktatorem ultra-skromnego sposobu pisania Jansenistów⁵⁾,

¹⁾ Por. *De Imitatione Christi* (III, 5), przytoczone ustępy, wraz z komentarzem, w *Génie du Christianisme* (Part II, livre III, chap. 8).

²⁾ *Études sur Pascal*, rozdział zatytułowany: *Pascal — non l'écrivain, mais l'homme*.

³⁾ *Essais sur la littérature contemporaine*, str. 127.

⁴⁾ Por. podobne zapatrywania Marka Aureliusza (IV, 29—VII, 9—VIII, 34). J. Lindsay: *The ethical philosophy of Marcus Aurelius* (*Archiv für Gesch. de Phil.*, tom XVI, str. 283).

⁵⁾ Por. ciekawe uwagi o załamku osobowym w *Grammaire générale et raisonnée de Port-Royal*, p. 59.

z drugiej mistrzem francuskiego klasycyzmu, którego cechą dominującą stała się przedmiotowość formy.

Jeszcze donioślejsze znaczenie powyżej przytoczonej myśli przewodniej etyki Pascala wyraża się w jej odniesieniu do zrozumienia ducha chrześcijańskiej religii. Trudno powstrzymać się od uwagi, że Pascal wyrobił sobie zbyt ciasne, zbyt średniowieczne, zbyt ascetyczne pojęcie roli chrześcijaństwa, któremu wyznacza zadanie reformy wewnętrzznego usposobienia jednostek, a zapomina zupełnie o ważnym i najważniejszym celu każdej religii, o jej znaczeniu socyalmem, o jej charakterze regulatora, a w dalszem następstwie właściwego modelu wzajemnych stosunków ludzkich; zapomina o najwymowniejszym argumencie uprawnienia chrześcijaństwa, o jego niezaprzeczalnej misji kulturalnej. I dlatego dla zdrowych i czynnych działaczy „arystokratyczny“ mistycyzm Pascala nie wystarcza — do nich przemówi raczej hałaśliwy potok słów agitatorskiej piersi Lamennais'go ¹⁾.

Wszystko to ma moc obowiązującą dla suchej teorii; ale w praktyce? Wiadomo, że *Brand* Ibsena — najpiękniejsza ilustracja ascetycznych teorii Kierkegaarda — głosi zaparcie się siebie i tyranję straszego Boga, który żąda dla siebie wszystkich sił żywotnych człowieka i nie zezwala na żadne ustępstwa, przypominając ustawicznie jansenistyczne wprost: *enten-eller* — grzech albo cnota — niema kompromisu, niema słabej kazuistyki, „należy miłować tylko i tylko Boga“. Atoli zakończenie dramatu, zwyczajne hasło: „On jest *deus caritatis!*“ grzebie w gruzach cały nienaturalny, przesycony przesadną askezą budynek średniowiecznych aforyzmów i stawia u stóp Chrystusowego krzyża niezaprzeczalne prawa człowieczeństwa ²⁾.

Coś podobnego zaszło i w duszy Pascala: jego ponurej, sekciarskiej, jansenistycznej moralności zadaje kłam świetlana, łagodna, pełna miłości dla ludzi postać Zbawiciela w *My-*

¹⁾ O ogromnem znaczeniu społecznego momentu dla teoryj etycznych por. piękne uwagi u Höffdinga: *Etyka*, rozdz. III i VIII.

²⁾ Owoce takiej ciasnej, ascetycznej i dodajmy egoistycznej koncepcyi prawdziwej drogi do zbawienia przedstawia A. Daudet w powieści p. t. *Evangeliste*.

stère de Jésus. Co więcej: Pascal sam, przez swoją *sainteté* (według wyrażenia Sainte-Beuve'a), przez dzieła miłosierdzia, które charakteryzują schyłek jego życia — stwierdził najlepiej, że w chrześcijaństwie nie chodzi o kontemplacyjne zachwycenia, ale o „czynów stal“.

Takie są rysy zasadnicze Pascala etyki, zasadniczo różnej od zapatrywań Goethego, który — dziwić się nie można — zupełnie nie rozumiał Pascala i wypowiedział o jego dziele sąd uderzająco paradoksalny ¹⁾. Wielki „Olimpijczyk“ uczuwa skłonność do starożytnego naturalizmu i do klasycznego geniuszu — chciałby wyzwolić człowieka z gotyckich form religijnego mistycyzmu i przelać nowożytne pojęcia w kształty helleńskiej estetyki: dowodem duchowa ewolucja przekonań nieśmiertelnego Fausta. Za nim idzie drugi surowy sędzia naszego filozofa, Fryderyk Nietzsche, stawiając na miejsce wiary tłumów, etyki słabych i posłuszeństwa pokornych, ideał pseudomoralności rycerzy silnej pięści.

Po zaznaczeniu najbardziej charakterystycznych punktów mistycyzmu Pascala, należałoby w kilku słowach omówić jego historyczne znaczenie.

Nie on pierwszy rzucił pomysł *inspiration* (XXIV, 43), natchnienia, jako środka poznania prawdy. Treść platońskiej dyalektyki zasadzała się nie na suchej analizie rozumowej Sokratesa, ale na wzlotach duszy, na ekstazie, na spotęgowaniu uczuć, na intuicji. Teoria poznania szkoły Epikura mówiła o trzech kryteriach rzeczywistości: spostrzeżeniach, wyobrażeniach i uczuciach. Entuzjasta-filozof Giordano Bruno głosił, że tylko *furioso eroico*, myśliciel-poeta, może dotrzeć do jądra prawdy. Mikołaj z Kuzy opiera się na filozofii Platona i otwiera nową drogę bezpośredniego wniknięcia w treść istoty Boga przez swą mistyczną *intuitio intellectualis*. Jego *raptus, visio sine comprehensione, unio, filiatio*, czy jak jeszcze jedno i to samo pojęcie nazywa, nie są niczem innym, jak *inspiration* Pascala.

Z tych wszystkich autorów, nie wyłączając Platona, mało albo wcale nie nasz filozof nie czerpał. Natomiast nie-

¹⁾ »Surowy i chory Pascal zaszkoził moralności i religii znacznie więcej, aniżeli Voltaire, Hume, La Mettrie, Helvetius albo Rousseau«.

wątpliwie odnawiał tradycję św. Augustyna; zaśluga *Mysli* streszcza się właśnie w przypomnieniu zapomnianych teoryj i to w chwili największego ich upadku.

Nie chcę przez to twierdzić, jakoby XVII stulecie zaniedbało zupełnie uwydatnić ważnej funkeyi, jaką wola w życiu człowieka spełniać powinna. Descartes, którego całe rozumowanie spoczywa prawdopodobnie na intuicji bezpośredniej¹⁾, uznawał bierność intelektualnych aktów w porównaniu z nieustannie czynnym działaniem woli, Boga zaś pojmował jako wolę nieskończoną, absolutną, wyższą ponad logikę człowieka.

Ale zważmy, jak tę wolę i jej zadanie rozumiano. Z jednej strony heroizm, typy męczenników prawdy i nieskazitelnych wyznawców obowiązku, postaci tragedji Corneille'a; z drugiej strony bezprzykładny optymizm Descartes'a, który naiwnie się wyrażał, że „mało jest ludzi słabych i niezdecydowanych, którzyby siłą rozumowych sądów nie opanowali swoich namiętności“²⁾ i że „nawet osoby o najslabszych zdolnościach duszy mogą uzyskać bezwzględne panowanie nad namiętnościami, jeżeli się je podda pod sumienne kierownictwo wychowania“³⁾.

Jeżeli Pascal konstatuje, że „wewnętrzna walka rozumu z żądzami sprawiła rozdział na dwie sekty ludzi żądnych pokoju: jedni postanowili odrzucić namiętności i stać się bogami, drudzy woleli wyrzec się rozumu i zejść do rzędu zwierząt“, to pod tymi dumnymi, co chcieli zrobić się bogami, rozumie zwolenników kartezyańskiej teoryi.

On sam ani pierwszego kierunku nie pochwalał, ani na drugi zgodzić się nie chciał: przynosił kilka zasadniczych twierdzeń, które dla ówczesnej filozofii przedstawiały wartość świeżych zupełnie zdobyczy.

Św. Augustyn, a za nim Pascal, akcentowali oczywistość wszystkich objawów naszej świadomości, szczegółowo

¹⁾ O ile nie uznamy: *cogito ergo sum* za skrócony i niezbyt logiczny syllogizm; por. P. Vailet: „*Je pense donc je suis*“. *Introduction à la méthode cartésienne*. (Paris, Alcan, 1907).

²⁾ *Traité des passions*, art. 48.

³⁾ *Ib.* 50; por. Spinozy przedmowę do V części *Etyki*.

ujmując ich całość w następujące trzy określenia: *esse, nosse, velle* (*De civ. Dei*, XI, 26) — Descartes po długich rozważaniach doszedł tylko do uznania myślowych czynności umysłu za kryterium pewności poznania.

U św. Augustyna, a stąd i u Pascala czytamy, że *rationali praecolitur fides* (*De utilit. credendi*, 17, 35) — Descartes porządek stanowczo odwraca.

Kartezyusz marzył o „jasnych i wyraźnych“ pojęciach — Pascal na ich miejsce wprowadza swoje: *Credo, quia absurdum*, mniejwięcej mówi to samo, nad czym miał się rozwodzić Kierkegaard: prawda, zależna w znacznej części od uczuciowego napięcia woli, przedstawia często (dla przedmiotowego badacza) mniej albo więcej wyraźny paradoks. Wreszcie Pascal uwydatnia nieznaną dla autora *Metody* prawdę, że wartość człowieka nie zależy od stopnia jego wykształcenia, ale od czystości jego woli.

Rzecz dziwna, wiek Encyklopedystów zupełnie o tem zapomnieli; w filozofii zjawia się to przekonanie, dzisiaj chyba nie podlegające wąpliwości, późno, bo poprzez Rousseau'a dopiero u Kanta.

Ale wymawiając nazwisko twórcy pierwszego krytycznego systemu, należy się mieć na ostrożności. Jest prawdą, że z Kantem¹⁾ bankrutuje racjonalizm, że razem z jego „krytyką praktycznego rozumu“ powraca pascalowy refren: *Le coeur a ses raisons...* ale nie należy identyfikować poglądów obu myślicieli. Fałszem jest, jakoby słowa: *Ich musste also das Wissen aufheben, um zum Glauben Platz zu bekommen*, pokrywały się z okrzykiem: *Abêtissez-vous*.

Nie wierzymy zdaniu Nietzschego, że *Pascals Glaube sieht auf schreckliche Weise einem dauernden Selbstmorde der Vernunft ähnlich*²⁾ — w *Myślach* niema mowy o rozumie i uczuciach, o wiedzy i wierze, jako dwu wrogich sobie dziedzinach, jako dwu wzajemnie wykluczających się czynnikach.

1) Szczególnie Renouvier chętnie porównuje Pascala z Kantem; pomijam tu jałowe zupełnie dochodzenia, o ile Pascal za pośrednictwem Rousseau'a i Jacobiego mógł wpłynąć na niemieckiego filozofa.

2) *Zur Genealogie der Moral*. (Leipzig, Naumann, str. 70.

Autor wspaniałego hymnu na cześć *roseau pensant*, uczeń św. Augustyna¹⁾, nie mógł zaprzeczać i nie zaprzeczał niezaprzeczalnych praw rozumu.

Nie rozum potępia Pascal, ale racjonalizm.

Jeżeli zaś wyraża życzenie: „Dalby Bóg, abyśmy mogli jak najrzadziej uciekać się do rozumu, a poznawali wszystkie rzeczy przez instynkt i uczucie“ (VIII, 1), to widzę w tem jedynie życzenie, uzasadnione zresztą poprzednią charakterystyką powolności logicznych wywodów w porównaniu ze zdumiewającą sprawnością „serca“ — ale nigdy nie dostrzegam w niem stwierdzenia, że tak się przy dzisiejszym stanie naszej natury dźiać może albo dźiać powinno.

Pascal żył i tworzył pod wrażeniem wielkich ideałów średniowiecza, które przez usta swych najdzielniejszych przedstawicieli głosiło wiarę w możliwość pogodzenia dziedziny religijnych dogmatów z obszarami naukowego badania.

A teraz z kolei rzut oka na całość mistycznych pierwiastków w filozofii Pascala. Ich rola objawia się na dwóch zasadniczych polach: w zakresie metafizycznych zagadnień i w dziedzinie teorii poznania, gdzie czytamy o uczuciu jako kryterium przeniknięcia prawdy. Natomiast nie jest mistycyzm Pascala poezją wiedzy i nie nadaje fizycznym zjawiskom nadnaturalnych konturów.

Już we wczesnem dziele, w *Nouvelles expériences*, przestrzega się, że „słabość człowieka, który nie odkrywa prawdziwych przyczyn, każe mu wprawdzie wyszukiwać przyczyny iluzoryczne i nadawać im fantastyczne nazwy, miłe dla ucha, ale puste dla umysłu“, on jednak „nie przypisze naturze *horror vacui*, bo byłoby to przyznaniem nieżywotnym przedmiotom uczuć istot żyjących“²⁾. Gdzieindziej zaś śmiało oświadcza, że „działania cieplne, przejmowanie dźwięków, przesyłanie światła³⁾ wydają się czemś cudownem, ale w rzeczywistości

1) O stosunku wiary do wiedzy w filozofii św. Augustyna por. Willmann: *Geschichte des Idealismus*, II, § 63, 4 i § 75, 2.

2) Por. Descartes: *Principia phil.*, IV, 187.

3) Por. Descartes: *Dioptrique* (III, 3): „Chcę, abyście wiedzieli, że światło nie jest inną rzeczą w ciełe, nazy-

jest to czemś bardzo pospolitem i zupełnie naturalnem“ (*Pensées*, XXV, 11).

Mistycyzm Pascala jest tedy wcale umiarkowanym i bardzo zrównoważonym: dosięga zadań nadzmysłowych, dla rozumu niedostępnych, dla nauki nie dość ścisłych i pozytywnie uchwytnych, ale nie rozciąga się na zagadnienia bliższe, bardziej zrozumiałe, pozwalające na eksperyment albo matematyczną dedukcję; przypomina stanowisko św. Augustyna, który mimo całej skłonności do marzycielskich wzlotów, nie wahał się potępić nienaukową astrologię Manichejczyków (por. *Conf.* IV, 3 — 4 i V, 7, 12).

W wiarę Pascala w cuda wchodzić bliżej nie będą: zgadza się ona zupełnie z nastrojem jego filozofii, a doznaje spotęgowania przez osławiony *miracle de la Sainte-Epine*¹⁾. Wydaje mi się jednak rzeczą niewątpliwą, że nie mógł nasz pisarz dopatrywać się w cudzie objawu, wyłamującego się z pod ogólnych t. zw. praw przyrody; wiek Kartezjusza, a zresztą i czasy późniejsze²⁾, uznawały niezachwiany, plastyczny niemal byt takich praw niezmiennych. Spinoza widział się zmuszonym zaprzeczyć, na tej zasadzie, możliwości wydarzeń „cudownych“; Pascal zapewne nie inaczej myślał o odwiecznych schematach wszechświatowych procesów. Najprawdopodobniej należałoby i u niego przyjąć objaśnienie Malebranche'a, który uważa cuda za wypadki zgodne z ogólnymi prawami, ale z prawami stojącymi ponad znaną nam sferą ludzkiej obserwacji.

Mistycyzm, przewijający się przez fragmenta *Myśli*, nie wychodzi niemal nigdy po za granice względnej trzeźwości poglądów. Za późniejsze zawroty romantycznej poezji, która z chęcią powołuje się na Pascala, jako na swój doskonały pierwowzór, on sam oczywiście odpowiadać nie powinien.

Do końca życia nie stracił nasz mistyk spokojnej roz-

waniem świetlnem, jak pewnym ruchem albo działaniem bardzo szybkim, które uderza w nasze oczy za pośrednictwem powietrza i innych ciał przezroczystych«.

1) Por. ciekawą uwagę u L a p l a c e'a: *Essais phil. sur l. prob.*, str. 149 — 150.

2) Ale por. Boutroux: *La Contingence des lois de la nature.*

wagi i praktycznego zmysłu ¹⁾, a jeszcze w r. 1658 ogłosił konkurs naukowy (*Problemata de cycloide*).

Kolportowana przez Voltaire'a wiadomość, jakoby Pascal umarł w obłąkaniu, należy w zupełności do krainy legend, z palca wyssanych opowieści.

V.

Po szczegółowym rozpatrzeniu pierwiastków filozofii Pascala pozostaje kilka pytań ogólnych, które z konieczności nasuwają się pod uwagę i powinny być wyjaśnione w należyty sposób: jak pojąć całość jego zapatrywań? jakie zająć stanowisko wobec domniemanego pesymizmu jego przekonań? czemu przypisać dzisiejszą aktualność *Myśli*? w czym uznać realną wartość poglądów w nich wypowiedzianych?

Niektórym wydaje się trudną do pogodzenia okoliczność, że obok częściowego sceptycyzmu występuje mistycyzm religijnych uniesień, obok odrzucenia możliwości rozumowego uzasadnienia dogmatów zjawia się korna, niemal ślepa wiara. Jest jednak faktem, że połączenie tych dwóch pierwiastków wylania się z niejednego systemu, stanowi niezaprzeczone tło dla poglądów niejednego filozofa. Wspomnę kilka tylko przykładów.

Mikołaj z Kuzy w najwyraźniejszym stopniu łączy wątplenie z zapalem entuzjastycznych wzlotów; Wilhelm du Vair przeszedł mniejwięcej identyczną ewolucję przekonań z autorem *Myśli*.

A rozumowanie Kanta? a neo-kantyzm francuski? Ten ostatni kierunek, znużony krytycyzmem, podporządkowuje pewność naukową pod postulatory wiary, stawia na miejsce spekulatywnych dowodów praktyczną chęć poznania i nie zważając na rozumowe wątpliwości, czyni prawdę zawisłą od wyboru wolnej woli. Powstaje „metoda moralna“ ²⁾, której

¹⁾ N. p. pomysł przedsiębiorstwa omnibusów (Strowski, III, str. 346)

²⁾ Por. Fouillée: *La crise actuelle de la métaphysique*. (*Revue des Deux Mondes*, tom 87, str. 141).

treść główna zasadza się na złamaniu ciasnej obręczy sceptycyzmu przy pomocy aktu religijnej wprost wiary. Nie inaczej i A. J. Balfour, wglądniejszy w problematyczną tylko wartość naukowych założeń, posuwa się od wątpienia ku stwierdzeniu uprawnionej roli chrześcijaństwa.

Otóż tak samo pojmuje genezę pojęć Pascala Wiktor Cousin. Według niego: „Francuski filozof właśnie dlatego, że był sceptykiem, tem silniej przyłgnał do religii Chrystusa, jako do ostatniego azylu, ostatniej pociechy ludzkości wobec niemocy rozumu i gruzów prawdy naturalnej“¹⁾. Taka koncepcya, poparta poniekąd istotnym biegiem ewolucyi zapatrywań w życiu św. Augustyna“), absolutnie utrzymać się nie da. Należy porządek odwrócić i — raz jeszcze powtarzam — uznać genetyczną uprzedniość mistycyzmu przed częściowym sceptycyzmem Pascala. W latach młodzieńczych swojej naukowej twórczości i on zmierzał do bezwzględnego, optymistycznego dogmatu racjonalistycznej szkoły Kartezjusza; skoro jednak raz przyjął dogmat zdeprawowanej natury ludzkiej i zdegenerowania umysłu człowieka, w logicznem następstwie uznanej teoryi musiał odrzucić mniemanie, jakoby rozum był jedynem, nieomylnem, wszechwiedzącem kryterjum prawdy. Jednem słowem: *Le doute de Pascal est un regard de la foi*³⁾.

Jeżeli zaś zapytamy o myśl główną, o ostateczną syntezę, o końcowy wynik długich i żmudnych dochodzeń znamienitego myśliciela, to wydawałoby się, że zdanie, rzucone w odmiennej chwili i z innego zresztą punktu widzenia, najlepszą nam daje odpowiedź.

Brzmi ono w następujący sposób: „Niech serce złączy się z rozumem, niech filozofia pójdzie razem z religią, a wtedy ludzkość, narody i jednostki spełnią swe przeznaczenie na ziemi“⁴⁾ — ta piękna myśl, którą największy poeta ujął

¹⁾ *Des Pensées de Pascal*, Préface, str. VII.

²⁾ Por. *Conf.* V, 14, 25.

³⁾ A. Suarès: *Visite à Pascal*. (*Revue des Deux Mondes*, tom 160, str. 117).

⁴⁾ E. Vaucherot: *La Démocratie libérale*, str. 316; w tem samem dziele (na str. 310) piękna charakterystyka Pascala.

w formę życzenia: *Grosse Gedanken und ein reines Herz, das ist's was wir uns von Gott erbitten sollten*. Do tego zaś dołączmy, jako nadpis konieczny, słowa samego Pascala: „Należy wątpić tam, gdzie należy, wierzyć w pewność tam, gdzie wolno, a poddać się pod majestat powagi tam, gdzie tego potrzeba“.

To wszystko jednak jeszcze nie tłumaczy nastroju zapatrywań francuskiego mistyka, subiektywnego charakteru jego rozważań. Przychodzi nam w pomoc Brunetière i formułuje swój sąd w bardzo kategoriyczny sposób: „W całej historii filozofii nie znam bardziej przekonanego i szczerzego pesymisty od Pascala“¹⁾. *Ipsissima verba* znakomitego krytyka, wyprzedzone już rozumowaniem Vineta²⁾, a poparte szczególniejszemi motywami: „Jest pesymistą, bo rozumowi przypisuje niemoc decyzji w kwestyach najbardziej żywo-nych dla człowieka; jest pesymistą, bo uznaje jansenistyczną doktrynę; jest pesymistą, bo jest chrześcianinem, a przestałby nim być, gdyby wierzył w naturalną dobroć człowieka i w wartość doczesnego życia“. Sąd Brunetière'a i przytoczone przez niego dowody polegają, jak miemam, na nieporozumieniu.

Naturalnie przytoczyć można cały szereg ustępów, przemawiających za podobnem pojmowaniem filozofii Pascala; chciałbym na niektóre zwrócić uwagę. I tak obraz doczesnego życia: „Wyobraźmy sobie zastęp ludzi skutych łańcuchami i skazanych na śmierć; codzień jeden z towarzyszy niedoli ginie uduszony w oczach reszty skazańców, którzy oczekują w beznadziejnej boleści na swoją kolej — oto obraz przeznaczenia człowieka“ (IV, 4)³⁾. Albo: „Rozkosz jedynie pociesza nas wśród cierpienia, ale ona sama jest naszym największem nieszczęściem“ (IV, 1). Albo: „Być może, że ta druga połowa życia, która nam daje złudzenie rzeczywistości, jest snem, od zwykłego różnym, ale niemniej niestałym i kru-

¹⁾ Art. cyt. str. 419.

²⁾ Por. nadto E. Caro: *La maladie du pessimisme au XIX siècle*. (*Revue des Deux Mondes*, 15 nov. 1877).

³⁾ Por. podobne porównanie u A. de Vigny w *Journal d'un poète*. (Paris, Delagrave, VIII, str. 30).

chym“ (III, 20; VIII, 1) ¹⁾. Albo wreszcie: „Przeznaczenie człowieka streszcza się w niestałości, niepokoju i nudzie“ (VI, 46).

Można się powołać na Schopenhauer'a, który każe człowiekowi oscyllować między boleścią i nudą, wolno zestawiać pascalową teorię przesyty i zniechęcenia (n. p. XXV, 26) z pesymizmem Leopardiego²⁾; nikt jednak nie uzna ducha filozofii Pascala za pesymistyczny, jeżeli rozważy, że nie stanowi ona systemu bezwzględniego zła (jak u Schopenhauera albo Hartmanna), że nie można w niej wyróżnić pierwiastków religijnego sceptycyzmu, jakie występują w pesymizmie Heinego, że los doczesny człowieka przedstawia tak samo katolicka religia, a nasz pisarz ani na krok nie odstępnuje od Ewangelii, każąc nam cierpieć bez wyjścia w ten życiu, ale obiecując pozagrobowe szczęście.

Jest to tedy „pesymizm“ religijny, albo raczej ascetyzm chrześcijański, przypominający klasztorne wzloty autora *Nasładowania Chrystusa*, przypominający okrzyk Ekklezyasty: *Vanitas vanitatum*.

Pascal, tak jak chrześcijańska religia, nie mówi, że tylko zło jest pozytywne — owszem wspomina o Opatrzności, tłómaczy źródło złego, twierdzi, że cierpienie jest czynnikiem ożywczym, narzędziem doskonalenia człowieka³⁾.

Pascal nie idzie tak daleko, jak Józef de Maistre; nie mówi o Bogu, jako sędzi niesprawiedliwym w czasie, ale sprawiedliwym w wieczności, nie buduje wstrętnej teorii nieustannej walki o byt między ludźmi, walki, przyjętej w porządek stworzenia⁴⁾; owszem głosi miłość, a pamiętajmy, że

¹⁾ Porównanie ogromnie banalne; por. u współczesnych: Descartes: *Discours de la méthode*, I i u Cyrana de Bergerac (*Oeuvres diverses*, 1741, II, 366): »Nous pourrions entrer en défiance que notre vie serait un songe continuel«.

²⁾ M. Losacco: *Il sentimento della noia nel Leopardi e nel Pascal*. (Torino, 1895). Por. nadto Michele Scherrillo: *Illustrazioni ai Canti di G. Leopardi*. (Milano, 1900, str. 283).

³⁾ »L'homme est un apprenti, la douleur est son maître«.
(Musset).

⁴⁾ Por. *Appendice do Soirées de Saint-Petersbourg*.

l'amour et l'admiration sont les deux grands remèdes de la désespérance: aimez et vous voudrez vivre ¹⁾).

Mniej albo bardziej nieoptymistyczne wynurzenia naszego autora podciągnąć można pod zdanie Fénelona: „Smutny jest stan ludzkiego bytu, ale mądre zrządzenie Opatrzności, która chce złamać nasze przywiązanie do życia doczesnego, a nakłonić nas do tęsknoty za życiem przyszłym, gdzie człowiek nie będzie podlegać człowiekowi, ale najwyższej mądrości“. (*Essai sur le Gouvernement civil*, ch. XI). A nadmienić trzeba, że ów pesymistyczny charakter jest właściwie podłożem każdej poważniejszej etyki, która stawia za punkt wyjścia nieodwołalne prawo moralne, kategoryczny imperatyw, od aspiracyj jednostek zgoła niezależny. Optyzm natomiast panuje w zapatrywaniach starożytnych Greków, dla których najwyższym etycznym modelem była natura — w nas i po za nami — owa „wykwintna doradczyni i kierownicza prawowierności cnotliwego człowieka“ ²⁾).

Jeżeli więc Brunetière nazywa Pascala pesymistą z tytułu jego chrześcijańskich przekonań, to powtarza sąd Schopenhauera, który upatrywał główny powód powodzenia nauk Buddy i Chrystusa w pesymistycznym charakterze obu tych religij. Na sąd taki nie każdy jednak musi, nie każdy może się zgodzić.

Ale wspomniany krytyk wywodzi pesymizm Pascala z innego jeszcze źródła — z jansenizmu. I rzeczywiście, gdybyśmy przyjęli twierdzenie, że *Myśli* są „czystym wykwitem jansenistycznej doktryny“ (*le plus pur du jansénisme*), to trzeba by zdanie Brunetière'a uznać za słuszne, albowiem predestynacya i fatalizm sekty są wyrazem rozpaczliwej rezygnacyi ludzi, zdecydowanych ewentualnie na bezwarunkowe potępienie. Nie wydaje się mi przecież rzeczą bezpieczną po-

¹⁾ Guyau: *L'irreligion de l'Avenir*, str. 412.

²⁾ Renan: *St. Paul*, str. 205; nie chcę przez to twierdzić, jakoby t. zw. pesymizm był zupełnie obcym pierwiastkiem greckiej literaturze: wystarczy powołać się na często cytowane zdanie Homera (*Ilias*, XVII, 446 — 447), albo na słowa Menandra: »Ulubieniec bogów umiera zazwyczaj za młodu«, które są mottem wiersza Leopardiego: *Amore e Morte*.

wtarzać razem z Schererem, jakoby „Pascal był najbardziej ciasnym i najbardziej fanatycznym z pomiędzy samotników Port-Royal’u“. Już dwie ostatnie *Provinciales* znacznie odstępują od nauk Janseniusza, a w *Myślach* roi się od odmiennych zgola przekonań. W delikatną kwestyę stosunku Pascala do dogmatów sekty nie mogę tu wchodzić, ale pozwolę sobie zwrócić uwagę, że cały szereg krytyków pojmuje tę kwestyę w sposób, o! Brunetière’a wręcz różny ¹⁾.

W rezultacie trzebaby sąd o domniemanym pesymizmie Pascala przedstawić w następującej formie: punkt wyjścia jego filozofii pozostaje istotnie w przeciwieństwie do naiwnego optymizmu szkoły kartezyańskiej ²⁾, ale jej wynik oddala się nieskończenie od zgrzytów mizantropii La Rochefoucauld’a i głosi nagrodę za trudy, spoczynek po pracy, obfite żniwo po uczeiwym zasiewie.

Pamiętajmy zresztą, że pierwowzorem naszego myśliciela był św. Augustyn, który pesymistą nie był i syntezę swoich spostrzeżeń ujął w piękne zdanie: *Naturae omnes, quoniam sunt et ideo habent modum suum, speciem suam et quandam secum pacem suam — profecto bonae sunt.* (*De Civ. Dei*, XII, 5) ³⁾.

Co więcj — w myśl wywodów Pascala — człowiek zna-

¹⁾ Vinet: »Nie można zaprzeczyć, że Pascal był w swych pismach równocześnie katolikiem i jansenistą; był jednym i drugim na swój sposób i nie zawsze tak, jakby tego sobie życzyli jego przyjaciele«. (*Etudes sur Pascal*). — S. Sequestra rozwija w cytowanej broszurze podobne uwagi o »dualizmie religijnym« naszego mistyka. Giraud poświęca tej samej kwestyi kilka stron swojej książki (*Pascal e. t. c.*, str. 153 — 156). Strowski (III, 371) oświadcza, że *Pascal domine sa secte et il est toujours resté maître de soi*.

²⁾ Wyłączam Malebranche’a, który mniemał, że odwieczne prawa rządzące wszechświatem są możliwie najlepszymi ze względu na naszą niedoskonałość, ale nie są zgoła absolutnie dobrymi: Bóg nie sprawia złego, ale na nie pozwala.

³⁾ Przypomina to zdanie formułę Guyau’a: »La vie, pour subsister, a besoin d’être une perpetuelle victoire du plaisir sur la douleur«. (*Pages choisies*. Paris, Colin, str. 204).

leść może szczęście jeszcze tu na ziemi, jeżeli prawdę objawioną uzna, za nią walczyć będzie i stósownie do jej wskazówek urządzi swoje życie. „Są trzy rodzaje ludzi: jedni znaleźli Boga i służą Mu; drudzy szukają Go, ale znaleźć nie mogą; inni ani Go nie szukają, ani Mu nie służą. Pierwsi są rozsądni i szczęśliwi; ostatni szaleni i nieszczęśliwi; ci w pośrodku nieszczęśliwi, ale roztropni“ (XXIV, 50). Pascal sam należał do tych pierwszych „rozsądnych i szczęśliwych“.

Nie wierzy tedy w *intéstine tragédie du doute, tourment et horreur* ¹⁾ autora *Mysli*, nie dopatrujemy się z Chateaubriandem ²⁾ romantyka i poety w uczonym i trzeźwym myślicielu. Legenda o złamanej duszy filozofa, wpatrzonego w rozwartą przepaść potępienia, szarpanego strasznemi myślami i nieustannem wątpieniem — traci rację bytu wobec okrzyku samego Pascala: *Certitude, certitude, sentiment, joie, paix!* ³⁾. Woń i urok marzycielska jego dzieł na takiej koncepcyi traci, ale prawda zyska.

Nie jedna zresztą legenda, ale więcej i jeszcze mylniejszych, krąży dziś o podziwianym do przesady religijnym mistyku. Objawia się tendencya uznawania w nim największego, nieprześcigniętego mistrza literatury francuskiej. Przykładów bezgranicznego entuzjazmu dałoby się przytoczyć wiele — ograniczę się do kilku najwymowniejszych.

„Któryż człowiek we Francyi — pisze A. Suarès ⁴⁾ — dorównał geniuszowi Pascala? On był największy. Poeta, święty i uczony w jednej osobie; człowiek, który widzi, człowiek, który wie, człowiek, który myśli“. „Niech cień Pas-

¹⁾ Stapfer: *Montaigne*, str. 177.

²⁾ »I dlaczegoż odzierać Pascala ze sceptycyzmu?... Lubię wyobrażać go sobie na kolanach: twarz ukrył w dłoniach i rozpaczliwie woła: »Wierzę!«, ale równocześnie mówi słowa wyrażające coś całkiem przeciwnego... Walka serca z rozumem« (przytoczone u Sainte-Beuve'a w *Portraits contemporains*, tom V, str. 213 — 214).

³⁾ Por. Ravaisson art. cyt. str. 427 i wiersz Ludwika Ackermanna p. t. *Pascal* (przytoczony przez Haussonville'a w *Revue des Deux Mondes* 15 novembre, 1891).

⁴⁾ *Visite à Pascal*, str. 112.

cała — zaświadcza Sully-Prudhomme ¹⁾ — nam wybaczy, jeżeliśmy nietrafnie pojęli myśl jego dzieła, niech nam wybaczy ze względu na nasz pobożny wysiłek zrozumienia jego ducha, ze względu na cześć pokorną, żywioną przez nas dla jego wielostronnego geniuszu“. Brunetière, zachwycony głębią katolickiego ascetyzmu, który drga w każdym fragmencie *Myśli*, nie umie należycie ocenić kulturalnego znaczenia Descartes'a i z sił całych stara się stanowisko tego ostatniego obniżyć. Czy słusznie?

Krytycznie na rzecz patrząc, trudno nie przyznać, że niemal wszystkie rzuty pióra francuskiego filozofa nie są czemś uderzająco nowem: częścią Epiktet, częścią Montaigne, częścią Janseniusz, a przedewszystkiem św. Augustyn powiedzieli przed Pascalem prawie to samo i doszli do tych samych przekonań i wniosków. On sam ani nie tworzy nowych działów nauki ścisłej (jak n. p. Kartezyusz), ani nie przedstawia nowych filozoficznych koncepcyj.

Znaczenie jego twórczości polega na czemś innym. Dzieło Pascala jest jakby syntezą różnych czynników życia ówczesnego społeczeństwa, stapiając w harmonijną całość racjonalizm Descartes'a i mistyczno-religijne prądy po-reformacyjnej epoki. Na niem jednym badać można bujny rozkwit klasycznej literatury francuskiej, z jego pomocą dochodzić do źródeł odrodzonej myśli nowożytnego człowieka.

Pascal dalej jest przedstawicielem wyższych aspiracyj ludzkiego sumienia i Nietzsche z pełną ufnością oświadcza: „*Um zu erkennen und festzustellen, was für eine Geschichte das Problem von Wissen und Gewissen in der Seele der homines religiosi gehabt hat, dazu müsste einer vielleicht selbst so tief, so verwundet, so ungeheuer sein, wie es das intellektuelle Gewissen Pascals war*“ ²⁾.

On wreszcie nie jest owym profesorem filozofii (jak go sobie Schopenhauer wyobrażał), który przy wygodnem biurku wylewa na papier dytyramby najwznioślejszych myśli, a za

¹⁾ *Examen du Discours*, str. 336 — ustęp obrany przez Girauda za motto jego pięknej, ale również zbyt jednostronnej książki.

²⁾ *Zur Genealogie der Moral*, str. 69.

chwile zajada smaczne kąski i zabawia się w niezbyt wzniosłym stylu; Pascal — podobnie jak Sokrates albo Spinoza — przedstawia piękną jedność teorii i praktycznego życia ¹⁾).

Wiele uroku i świeżości dodaje postaci Pascala aktualność jego zapatrywań, ogólny interes współczesnych badaczy, zajętych egzegezą jego filozofii.

Skąd ta aktualność? Ponad różne motywy wybija się jedna najistotniejsza i najbardziej jaskrawa przyczyna, tem ważniejsza, że w niej się streszcza cały kierunek pewnego, dziś znacznego, odłamu francuskiego narodu. Jest bowiem faktem, że dzisiejsza Francya — a podobno nie Francya tylko — przeszła już krwawą chwilę zwrotu od tradycyjnej wiary do nowych pozytywistycznych przekonań: odbywa się w niej wielki powrót do dawnej, głębokiej, mistycznej niemal wiary. Bourget, Coppée czy Huysmans i wielu innych jeszcze daje tym prądom żywy literacki wyraz.

Nadszedł czas, kiedy wolno nam patrzeć na Pascala, jako na doskonały wykładnik, jako na piękny symbol pragnień i dążeń, poruszających szerokie warstwy dzisiejszego społeczeństwa.

¹⁾ Por. Raoul Richter w *Archiv für Gesch. der Philos.*, tom XII, str. 68 i nast.

Stanisław Wędkiewicz.

ALFRED TENNYSON.

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA.

(Ciąg dalszy).

IV.

1850 — 1855.

Poeta laureatus. — „Maud“.

Jeżeli kiedy, to po wyjściu *In Memoriam* utwierdzić się musiało u ogółu współczesnych Anglików przeświadczenie, że Tennyson jest najwłaściwiej narodowym poetą ery królowej Wiktoryi; nie zabrakło też niebawem zaszczytów i odznaczeń, dających wyraz temu przekonaniu narodu. W roku publikacyi *In Memoriam* zakończył długi żywot najpopularniejszy wtedy, jak i dzisiaj, poeta doby romantycznej, William Wordsworth, nieśmiertelny odkrywca piękności i poezyi potocznego życia i powszedniej przyrody angielskiej, i Tennyson po nim jako najgodniejszy następca otrzymał honorowy tytuł „poety-laureata“; w pięknym wierszu, dziękując królowej za ten chlubny dowód uznania, przyjmuje te laury, „świeższe i zieleńsze, bo ze skroni tego, co nigdy pieśni swej niezem niegodnem nie skalął“¹⁾. Za dworem poszedł uniwersytet oxfordzki, który w r. 1855 nadał poecie honorowy sto-

¹⁾ This laurel greener from the brow
Of him that utter'd nothing base.

pień doktorski i w którym do dziś dnia z większą może, niż gdzieindziej, żywotnością kwitnie kult Tennysona, jako prawdziwego klasyka poezji o nieskażonej doskonałości formy i zawsze szlachetnej i podniosłej treści ¹⁾.

W ślad za sławą i dostojenstwami szło i materyalne powodzenie: owe niepokoje i skrupuły sumienia, jakie w nieproduktywnych latach zacisznego życia w domu rodzinnym nieraz poetę dręczyły, ustąpić musiały, gdy *In Memoriam* okazało się i pod względem księgarskim jako największy dotychczasowy sukces autora i po długich latach wytrwałego czekania umożliwiło mu małżeństwo z wierną narzeczoną. Odtąd żyje poeta w dostatku, niebawem nabywa piękną willę Farringford na wyspie Wight, która na zawsze pozostanie owianą czarem wspomnień o jego osobie; potem drugą jeszcze siedzibę wiejską, zamek Aldworth, na wyżynach Haslemere w hrabstwie Surrey, na południowy zachód od Londynu; wreszcie w r. 1875 wspaniałą dom w najwykwintniejszej zachodniej dzielnicy samego Londynu, gdzie spędza pierwsze trzy miesiące każdego roku. Odtąd też może z całą swobodą oddawać się tej najmiłszej dla Anglika przyjemności: podróżowaniu. Zaraz w r. 1851 jedzie z żoną do Włoch: garść wspomnień z tej podróży złożył we wdzięcznym wierszyku *The Daisy (Stokrótko)*; a w następnych dziesięcioleciach aż do Norwegii na północy, do Portugalii na południu prowadzą go turystyczne wędrówki po Europie.

W r. 1852 narodził się poecie syn, na cześć dawnego przyjaciela nazwany imieniem Hallam — późniejszy biograf ojca. Pojawienie się nowej istoty w naszym ludzkim świe-

¹⁾ To stanowisko akademickiego Oxfordu wobec Tennysona znalazło piękny wyraz w przemówieniu, jakim setną rocznicę jego urodzin uczcił w tejsamej sali (*Sheldonian Theatre*), gdzie niegdyś odbyła się jego uroczysta promocya, naczelny dygnitarz uniwersytetu, wice-kanclerz Tomasz Herbert Warren (*The Centenary of Tennyson*, Clarendon Press, 1909). Tegoż autora wspomniane już drobniejsze pisma (*Essays of Poets and Poetry*, London, John Murray, 1909) w trzech rozprawkach (*Virgil and Tennyson*, *Tennyson and Dante*, *In Memoriam after Fifty Years*) składają hołd wielkości poety, postawionego tu na równi z największymi mistrzami ubiegłych wieków.

cie przejmuje poetę całym dreszczem świętej grozy przed majestatyczną nieskończonością tych nieznanych głębi, skąd ten nowy duch się wynurzył, przed tym „wewnątrz widzialnego światem prawdziwym, którego nasz świat ziemski jest tylko krańcem i wybrzeżem“. Wierszem *De Profundis* wita swe dziecko, wygnane, jak my wszyscy, w tę sferę odłamków i odbłasków nieskończonej „rzeczywistości“, i jak wszyscy preznaczone wejść niegdyś w nową fazę tego wiekuistego doskonalenia się, które, według niezachwianej wiary poety, jest treścią nieśmiertelnego życia duszy.

Do oficjalnych niejako obowiązków „poety-laureata“ należało uświetniać swym wierszem wielkie i uroczyste chwile w życiu narodu. Takim momentem był w r. 1852 pogrzeb zgasłego w sędziwym wieku „żelaznego księcia“ Wellingtona, niegdyś zwycięzcy nad Napoleonem i wybawiciela Anglii. Tennyson żegna go nie pieśnią żaloby, lecz rozgłośnym hymnem tryumfu, hymnem dumy całego kraju i podzięki Bogu za tak wielkiego syna. W Panteonie westminsterskim, gdzie spocznie na wieki, godny go wita towarzysz: admirał Nelson, potężny na morzu obrońca ojczyzny, jak on na lądzie; i myśl o tych dwóch wielkich ludziach dobywa z piersi poety potężne słowa rady i przestrogi do tych, co teraz kierują losami państwa, by pomni takiego przykładu, chronili je przed upadkiem z tej wysokości potęgi, na jaką się wzniosło dzięki tym wiernym sługom, by hasło tylu sławnych mężów, dla których „droga obowiązku była chwały drogą“¹⁾, pozostało hasłem Anglii, a za jej przewodem stało się hasłem świata. W końcu uderza poeta znowu, jak tylokrotnie, w strunę tej niezmiennej wiary w coraz wyższą doskonałość nieśmiertelnej duszy: ezemś innem już i dla nas niepojętem stał się teraz ten zmarły bohater, i większe tam gdzieś zapewne czekają go i zajmą sprawy, niż te wszystkie boje i zwycięstwa, za które go sławimy na ziemi.

1) Not once or twice in our fair island-story
The path of duty was the way to glory.

.....
Till in all lands and thro' all human story
The path of duty be the way to glory.

Takim był pierwszy występ Tennysona jako laureata; odtąd jest stałym heroldem narodu. W tym samym jeszcze roku 1852 protest opinii angielskiej przeciwko ujarzmieniu republikańskiej Francji przez ambicję Ludwika Napoleona postawił Anglię w obliczu wojny z nowym cesarstwem. Izba Lordów napominała do umiarkowania; na to Tennyson w gwałtownym wierszu odpowiada, że Anglii teraz milczeć nie wolno, że Anglia „to nie żadne małe niemieckie państewko“, ale ten jeden potężny głos w Europie, co musi się odzywać za wolnością ludów, choćby się to światu całemu niepodobać miało. Począł się budzić wojenny entuzjazm: Tennyson podnieca go pieśniami patryotycznymi, w płomienistych refrenach wzywającami cały naród do szeregu: *Brytyjczycy, strzeżcie swego!* (*Britons, guard your own!*)¹⁾.

Nadeszła wojna krymska; każdy pułk odchodzący na Wschód żegnały tłumy ludu; z zachwytem witano każdą wiadomość o powodzeniach angielskiego oręża. Dnia 25 października 1854 r. wyczytał Tennyson w dzienniku *Times* sprawozdanie o bohaterskiej szarży brygady lekkiej kawalerii angielskiej pod ogniem dział rosyjskich w bitwie pod Balaklawą²⁾; była to jakby Somo-Sierra brytyjska, zapaliła też odrazu wyobraźnię poety i w jednej chwili powstały mistrzowskie zwrotki *The Charge of the Light Brigade*, melodyą słów i rytmu wspaniale odzwierciedlające tętent tej szalonej jazdy sześciuset nieustraszonych przez dolinę śmierci. Wiemy dziś³⁾, że wiersz tego utworu wzorowany jest na balladzie Draytona (poety okresu Szekspira) o zwycięstwie Henryka V pod Agincourt — i tembardziej podziwiać musimy wielki artyzm poety, który z kosztownych brył swego bogatego odczytania z taką gotowością rzeźbić umiał nowe arcydzieła. Zachęcony powodzeniem tej

¹⁾ Trzeba jednak dodać, że do autorstwa tych kilku polemiczno-politycznych wierszy, gdy wyszły w czasopiśmie *The Examiner*, »poeta laureatus« się nie przyznawał.

²⁾ Opisowi tej bitwy poświęcił A. W. Kinglake cały V tom swego dzieła: *The Invasion of the Crimea* (1877, str. 347).

³⁾ Choć Tennyson swoim sposobem wyraźnie temu zaprzecza w rękopiśmiennej nocie do poematu.

ballady, którą i między żołnierzy w obozie angielskim na Wschodzie w licznych egzemplarzach rozdawano, spróbował potem Tennyson raz jeszcze opowiedzieć w tym samym tonie podobny epizod (atak szkockich dragonów na kawaleryę rosyjską, także pod Balaklawą); ale już tu niema tej odruchowej potęgi, co w tamtem migawkowem niejako zdjęciu chwili najwyższego natchnienia. Znamieniem jest, że w osobnym epilogu do tej drugiej ballady musiał się Tennyson bronić od zarzutu, iż zbyt gloryfikuje barbarzyńskie okrucieństwa wojny; i tutaj, mówiąc o znikomości wszelkich laurów, jakie poezya dać może, potrąca o swój ulubiony temat nieskończonego pochodzenia ducha ludzkiego ku wyżynom doskonałości.

Raz jeszcze zadrgała ta struna marsowego entuzjazmu na lutni poety: w r. 1859, gdy wciągnięcie Anglii w szalejącą na kontynencie wielką wojnę zdawało się nieuniknionem, Tennyson do ochotniczego zapалу narodu, który nie zna obowiązkowej służby wojskowej, gorąco zaapellował *Pieśnią wolnych strzelców (Riflemen, form!)*¹⁾ i *Pieśnią marynarzy (Jack Tar)*.

Ale „pokój ma swe zwycięstwa, sławą równe wojnie“²⁾: te słowa purytańskiego wieszczka i Tennyson sobie uświadamiał. I oto, gdy w r. 1862 otwarto w Londynie jedną z pierwszych wielkich wystaw międzynarodowych, Tennyson w natchnionej kantacie inauguracyjnej najpierw oddaje cześć pamięci zmarłego niedawno małżonka królowej, którego plany i pomysły to dzieło pośmiertnie urzeczywistniało, potem z całym zachwytem zwraca się ku temu świetnemu przeglądowi kulturalnego dorobku ludzkości i w zadumaniu nad tym bogatym plonem pomysłowego ducha znów, jak zawsze, unosi się w sferę rojeń o dalszych tego ducha postępach: „Czyż da-

¹⁾ Tę przedrukował potem w ostatnim zbiorze swych poezyj (1892 r.), gdy praktyka dobrowolnej służby wojskowej w »ochotnikach« (*Volunteers*) — dziś zastąpionych przez »armię terytoryalną« — była już w pełni rozpowszechnienia.

²⁾ *Peace hath her victories — No less renowned than war* (Milton w sonecie do Cromwella, 1652).

leko od nas cel? Daleko, jak daleko, język powiedzieć nie zdoła; śnijmyż dziś choć jasne sny!¹⁾

Już w ostatniej strofie tego śpiewu, z uniesieniem głosząc ideal światowej wolności handlu, Tennyson otacza blaskiem naczelną i niepodzielnie wtedy jeszcze panującą zasadę polityki angielskiej. Hasło to ogólnoludzkie, i nieraz w tych latach liberalizmu poezya Tennysona wzniosłemi słowy głosi braterstwo ludów; we wspomnianym epilogu do żołnierskiej ballady, zarzekając się przesadnego umiłowania wojny, przyjacielskie otwiera ramiona Słowianom, Teutonom i Keltom zarówno; w poemacie *Mand* są pełne współczucia alluzye do powstania polskiego w r. 1848 i węgierskiego w r. 1849; wyswobodzenie Czarnogóry, uznane przez mocarstwa na kongresie berlińskim, powitał sonetem wielbiącym to zwycięstwo „potężnego rodu górali“ nad półksiężycem.

Pod koniec życia poeta, którego ręka przez pół wieku wciąż była na pulsie narodu, wyczuł nowe tętno: coraz silniej budzić się począł patryotyzm imperyalistyczny, coraz głośniej odzywało się pragnienie jak najściślejszej jedności całego światowego państwa brytyjskiego. Usposobieniu temu, które do dziś ożywia naród angielski i po bolesnych klęskach wojny boerskiej w naszych dniach manifestuje się udziałem Kanady i Australii w zbrojeniach morskich — Tennyson daje wymowny wyraz w kantacie na otwarcie wystawy produktów Indyj i wszystkich kolonij angielskich między r. 1880 a r. 1890; pouczający ona stanowi kontrast do owej pieśni inauguracyjnej na międzynarodową wystawę londyńską w r. 1862; w miejsce gloryfikacyi wolnego handlu, tu spotykamy zachwyty nad potęgą, jakaby się stał cały kompleks kolonij w nierozdzielnym istotnym zjednoczeniu z krajem macierzystym; w miejsce braterstwa ludów hasłem teraz „jedno życie, jedna flaga, jedna flota, jeden tron“²⁾ w największej z monarchij na ziemi refren zaś pieśni w dosadnym przeciwieństwie do

1) Is the goal so far away?
Far, how far no tongue can say,
Let us dream our dream to-day.

2) One life, one flag, one fleet, one throne!

marzeń o bezgranicznej swobodzie handlu mówi już raczej słowami tych, co dziś domagają się systemu cel ochronnych: „Brytyjczycy, brońcie swego!“ (*Britons, hold your own!*).

Jeszcze bardziej bezpośrednio wypowiadają się imperyalistyczne ideały w pieśni biesiadnej o refrenie *Hands all round!* (*Dajcie ręce wszyscy wkoło!*). Tu wznosząc toast na cześć królowej, zjednoczonych pod jej berłem narodów całego świata i pełnego wiekowej chwały parlamentu angielskiego, poeta wprost i bez ogródek powiada, że „ten jest najlepszym kosmopolitą, kto najlepiej kocha swój kraj ojczysty“¹⁾.

Równolegle z popularnością programu imperyalistycznego wzrasta entuzjazm dla floty i gotowość do ofiar na tę główną ostoję potęgi brytyjskiej, a zarazem powszechna czujna uwaga na jej administracyę. I o tem opowiada nam poezya Tennysona; w jednym z ostatnich tomów jest kilka zwrotek o flocie, wzywających do bacznego o nią starania i kulminujących w aforyzmie, że „flota Anglii, to jej wszystko we wszystkim“²⁾. W nocie pod tekstem poparł poeta to swe ostrzeżenie wyjątkiem z mowy *speakera* Parlamentu w r. 1886, dosłownie podobnej do wielu rzeczy, które się dziś wciąż powtarza zarówno w Westminster, jak w parlamentach kanadyjskim i australskim.

Najwspanialej pod względem artystycznym odezwał się imperyalizm w poezyi Tennysona, gdy uczcił uroczystą odą pięćdziesięciolecie panowania królowej Wiktorji (1887 r.). Utwór ten, jedno z jego arcydzieł metrycznych, mistrzowsko naśladuje rytmy chórów w tragediach greckich, a w gorącym apelu do wszystkich przeróżnych ludów rozległego imperyum, by się łączyły w holdzie dla czciogodnej władczyni, z całą już siłą rozbrzmiewa powstającą wtedy, a dziś prze-

1) The man's the best Cosmopolite
Who loves his native country best.

Oba te wiersze, to późniejsze i charakterystycznie zmodyfikowane wersje utworów ze wspomnianej powyżej gwałtownej seryi anti-napoleońskiej r. 1852 r. Tam w duchu Gladstona wielbił Anglię, jako opiekunkę wolności politycznej u wszystkich ludów Europy — tu głosi ideały Beacousfielda.

2) The fleet of England is her all-in-all.

wodnią myślą o wszechobejmującym państwie „Większej Brytanii“. I tutaj zresztą jeszcze te marzenia o hegemonii własnego narodu łączą się z niewygasłymi starymi nadziejami „złotego roku“, „jubileuszu przyszłych wieków“ dla całego rodu ludzkiego.

Z tym wierszem zeszedliśmy w niższą nieco sferę oficjalnej twórczości Tennysona jako laureata, bo między utwory, którymi czuł się zobowiązany towarzyszyć donioślejszym wypadkom osobistym w rodzinie królewskiej. Dwa razy witał w kraju obce księżniczki, przez małżeństwo wchodzące do dynastyi, dwa razy składał wiersze jako dar ślubny księżniczkom angielskim; najpiękniejszym może z tych epitalamiów jest melodyjny hymn powitalny dla duńskiej księżniczki Aleksandry, dzisiejszej królowej-wdowy — kulminujący w udanym komplemente, że wszystka mieszana krew angielska, z celtyckich i saskich, duńskich i normandzkich żywiołów złożona, cała duńską się staje w tym dniu radosnym.

Nietylko wesołym, ale i żalobnym wypadkom w domu panującym złożyła Muza Tennysona swój trybut kwiecista; te może poeta, doświadczony w żalu, żywiej i głębiej odczuwał: zobaczymy, jak w największe swe dzieło wcielił wspomnienie o świątym księciu Albercie i jak jeszcze w ostatnich chwilach żywota śmierć członka rodziny królewskiej kojarzy mu się z własnymi rozmyślaniami o nadchodzącym końcu.

Z patryotyczno-polityczną kategorią tych okolicznościowych utworów, przez treść zarówno swych początkowych, jak końcowych partyj, łączy się najbliższy większy poemat Tennysona *Maud*, wydany w r. 1855. „Monodramatem“ nazwał poeta tę dziwną kompozycję¹⁾; w istocie jest to szereg lirycznych głównie, a w części tylko opowiadających monologów w przeróżnych formach wiersza, ukazujących nam całą skalę wirtuozyi rytmicznej Tennysona. Osobliwą jak całe ujęcie jest geneza dzieła: pierwszym jego zawiazkiem była

¹⁾ Dlatego, jak powiada, że »poszczególne fazy namiętności u jednego człowieka zastępują miejsce rozmaitych osób dramatu«.

nlotna fantazyja na temat obłąkania w skutek nieszczęść miłosnych; ta potem została włączona do całości, jako rozdział przedostatni, tak, że poemat właściwie pisany był od końca ku początkowi.

W pierwszym rozdziale, w długich wierszach i prostych czteroliniowych zwrotkach podającym niejako ekspozycję tragicznej historii, poznajemy bohatera głęboko zniechęconego do społeczeństwa przez smutne wypadki rodzinne. Ojciec jego padł ofiarą bezsumiennego spekulanta i straciwszy majątek, rzucił się w przepaść za pobliskim lasem; syn w rozpacz przyklina fałszywy dobrobyt kapitalistycznego ustroju socyalnego, w którym najniższe warstwy cierpią głód i nędzę, i nad błogosławieństwa takiego pokoju przekładałby najstraszliwszą wojnę, bo wstrząsałaby tronem wszechwładnego Bogactwa: tu więc już widoczna styczność z ogólnym zapalem wojennym po r. 1850. Z tajemniczą jakąś obawą patrzy bohater na przygotowania w zamku, gdzie niegdyś mieszkał krzywdiciel jego ojca, a teraz mieszkać będzie jego córka, piękna Maud. Pierwszy jej widok budzi całą gorycz wspomnień i prawie że odrazę do dawnej towarzyszki złotych dni dzieciństwa; rani go boleśnie wyraz dumnej obojętności, jaką zdaje się czytać w jej twarzy przy pierwszym spotkaniu, i pragnąłby gorąco uciec od widoku wszystkich krzywd, jakie go w tym świecie otaczają, wszystkich namiętności, a głównie szalonego kochania, w dziedzinę apatycznej rezygnacyi odludnego filozofa. Ale napróżno — czar piękności działa z fatalną siłą i miłość do Maud owłada nim wkrótce zupełnie; od tego miejsca i rytm utworu z długich i spokojnych wierszy reflektująco-opowiadających przechodzi w krótkie skowronkowe wzloty lirycznego uniesienia. Maud śpiewa jakąś balladę w ogrodzie pod domem: głos jej nieprzepartą potęgą ujmuje za serce; Maud na ulicy wioskowej z uśmiechem podaje rękę dawnemu przyjacielowi: zakochany dręczy się myślą, czy to może prosta ludzka litość tylko; Maud rumieni się na jego widok w kościele, a jemu po głowie chodzą wspomnienia rozmowy ojców w dawnych szczęśliwych latach, jak sobie układali połączyć niegdyś swe dzieci. Wreszcie i zazdrość przytyka swą płonąca pochodnię do tego zarzewia: bohater widzi swą Maud na przejażdżce konnej z bo-

gatym młodym lordem z sąsiedztwa: znów się odzywa gwałtownymi słowy nienawiść do możnych i bogatych, a wraz z nią drga odrazu i ta struna zapалу dla wojny jako jedyne go zbawienia uciśnionych. Zyskuje w końcu bohater nad wszelkie spodziewanie wzajemność swej ukochanej, i wykwita całe to utajone szczęście miłosne szeregiem wdzięcznych piosenek, pełnych słońca i kwiecia i świergotu ptactwa i szumu drzew i łagodnego blasku gwiazd. Jeden tylko rozdźwięk wciąż złowróźnie mąci tę radosną symfonię: oto brat Maud z pogardą patrzy na zubożalego sąsiada i o zgola innym małżeństwie zapewne myśli dla siostry; urządza wielkie przyjęcie dla swych przyjaciół politycznych, na którym Maud musi błyszczeć urodą i klejnotami; ale w tejsamej świetności obiecała w nocy po balu w ogrodzie ukazać się kochankowi — i serenada jego w mroku poranku wśród krzewów różanych pod oknami rozbawionego zamku jest kulminacyjnym punktem miłosnej liryki poematu.

W części drugiej jesteśmy po katastrofie: brat zaskoczył kochanków na schadzce i w godzinę później legł w pojedynku z ręki bohatera; ten z grozą w sercu ucieka za morze do Bretanii; bo oto od owej chwili, gdy usłyszał jej krzyk rozpaczy nad trupem brata, nieodłącznie towarzyszy mu widmo kochanki. Za morzem dosięga go wiadomość o jej śmierci i gasi resztę nadziei; zrazu żal serdeczny płacze miękkimi tony wspomnień i utęsknienia za połączeniem w ziemskim szczęściu i spokoju; ale wnet rozbija się znękany rozum o twardą rzeczywistość, i stajemy się świadkami majaczeń obłąkanego, który siebie samego mieni niepochowanym trupem.

Część trzecia łagodzi to posępne wrażenie obrazem ostatecznego ukojenia i odzyskanej równowagi: bohater, wyleczony, stanął na pokładzie jednego z okrętów odchodzących na Wschód, na wojnę, i oto wśród okrzyków ludu, żegnającego żołnierzy, ulatuje gdzieś w przestworza północnego nieba to okrutne widziadło, co go dotąd tak nieubłaganie dręczyło; pozostaje sam, wyzwolony, w zgodzie z Bogiem i życiem, pełen radosnej ufności, że wichur wojenny oczyści nareszcie powietrze kraju ze stęchlizny chciwości i materializmu. Raz jeszcze więc, i najpotężniej, rozlega się tu ta nuta

nadziei moralnego odrodzenia narodu w ogniu sprawiedliwej wojny, po nazbyt długim zastojem w ciasnym kole kramarskich ideałów.

Poemat o tak liberalnej tendencji, wypowiadający tak namiętny protest przeciwko kupieckiemu kultowi pieniądza i małodusznym socyalnym konwenansom, nie mógł oczywiście liczyć na sympatyczne przyjęcie u wielkiej części publiczności brytyjskiej; istotnie popadła ona wobec niego w jeden ze swych „peryodycznych paroksyzmów moralnego oburzenia“ (*periodical fits of morality* — jak je doskonale określił Macaulay w rozprawce o Byronie). Wszczęła się zawzięta dyskusya o właściwą interpretacyę poematu, w której z wielu stron ze skończoną hipokryzyą przedstawiano go jako utwór ciemny, niezrozumiały, o zgoła nieuchwytnej treści, tak, że w końcu sam poeta, by ten wybieg udaremnić, wypracował jako komentarz krótkie streszczenie prozą, które znaleźć można w wielkim dziele biograficznem syna¹⁾. Dziś, gdy echa tej walki dawno przebrzmiały, podziwiamy w dziele — najzupełniej zresztą jasnem i zrozumiałem we wszystkich szczegółach — przedewszystkiem te perły lirycznego i rytmicznego artyzmu, z jakich składa się cała część środkowa; zapamiętali wielbiciele określają te pienia miłosne jako najdoskonalsze w poezyi angielskiej od czasów nieśmiertelnych florencyjskich kochanków w młodocianej tragedyi Szekspira; a w każdym razie zaprzeczyć nie można, że sięga w nich najwyższych szczytów melodyi ta zdolność do „pieśni bez nut“,

¹⁾ Z innej strony zaatakował poemat Gladstone, który zresztą także sądził, że »*Maud*, to rzecz trudna do zrozumienia i nie bardzo warta, żeby się tak nad nią mozolić«; nie podobała mu się przedewszystkiem gloryfikacya wojny jako środka moralnej sanacyi społeczeństwa; w obszernym artykule walczy przeciw temu wyobrażeniu argumentami, które i nam dzisiaj sprawiedliwe a nawet oczywiście wydać się muszą. Odwołał co prawda później tę swą polemikę, ale nie z merytorycznych powodów, lecz z tem skromnem uzasadnieniem, że nie pamiętał o tem, iż ma do czynienia z dziełem wyobraźni poetyckiej, a nie z traktatem politycznym (John Morley: *Life of W. E. Gladstone*, Lloyd's popular edition, 1908; I, 612; II, 590 — 592).

jakby ją nazwać można, w której nie dorównał Tennysonowi żaden ze współczesnych; serenadę *Pójdź do ogrodu, Maud* (*Come into the garden, Maud*) sam poeta i w późniejszych latach z upodobaniem recytował swym gościom, jakby czując, że tu stał bezwątpienia na wyżynach swej sztuki.

W początkowym i w końcowym ustępie poematu historyk ery królowej Wiktorji zawsze z ciekawością odczytywać będzie psychologiczne dokumenta owego dziwnie nie-angielskiego marsowego ducha, którym płonął cały naród w latach wojny krymskiej, owego niezadowolenia z materyalizmu czy sto handlowej polityki, z którego zrodził się nowożytny socyalny liberalizm; w postaci zaś bohatera samego, tej przeczulonej ofierze społecznych przesądów i klasowego egoizmu, oglądamy plastyczną ilustrację licznej wówczas grupy nadmiernie wrażliwych poetów, samolubnie pogrążonych w kontemplacyi stanów własnej jaźni i dekadentycznie spragnionych wyzwolenia absolutu osobistej duszy z pod powłok gromadzkiej kultury. W historyi literatury najbardziej typowo tę „spazmatyczną szkołę“ (*Spasmodic School* — jak ją w parodji *Firmilian* nazwał Szkot, William Edmondstone Aytoun) reprezentują Filip Jakób Bailey, autor niezmiernie poczytnego faustowskiego dramatu p. t. *Festus*, Sydney Thompson Dobell, twórca podobnego dzieła p. t. *Balder*, oraz Aleksander Smith przez swą *Historyę duszy poety* (*A Life Drama*). W literaturze powieściowej energiczną ich karykaturę nakreślił Kingsley w *Two Years Ago*. Tennyson przedstawia tu stan tych zboliałych duchów zupełnie poważnie jako chorobę wieku, którą potrosze może i sam odczuwał, i w sile zapału dla wielkiej sprawy wojennej snąć rzeczywiście upatruje lekarstwo dla zakażonej umysłowości nienajgorszych jednostek w narodzie.

Dr. Roman Dyboski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka.

— Jerzy Hulewicz: *Dyalogi estetyczne*. (Skład główny M. Niemierkiewicza w Poznaniu, 1910, str. 135). — Autor zapewne pomylił się w tytule — chciał napisać: dyalogi o estetyce, lub o estetycznych zagadnieniach, napisał krócej: dyalogi estetyczne. Czy te rozmowy między dwiema osobami są naprawdę »estetyczne«, czy nie — w to nie wchodzimy. Wiemy tylko tyle, że jest ich ośm, a mówią o rozumie i uczuciu, o pedagogii artystycznej, o sztuce i kobiecie, o sztuce i przyrodzie, o artystach i publiczności (ten rozdział ma »ciąg dalszy«), o portrecie, o krytykach i krytyce. Tytuły rozmów dość i naprawdę obiecujące, a zagadnienia w nich poruszane są istotnie ważne, zawsze ciekawe i do dyskusji się nadające.

Nie wystarczy atoli dyskutować, nie wystarczy mówić i tylko mówić. Trzeba koniecznie dać także i rezultat rozmowy, wynik swych badań i rozmyślań. Ten wynik i ten rezultat może być mylny, może wywołać sprzeczne sądy i własne bankructwo, ale być musi i to oryginalny, jeżeli się chce powiedzieć coś naprawdę. Bo młócić zboże już raz i dwa wymłócone — czas to i zachód stracony, lepiej przez ten czas pójść na przechadzkę, lub z innej estetyki coś porządnego przeczytać.

Autor książki powyższej miał chęć i wolę dobrą. Wydaje się nam atoli, że p. J. Hulewicz nie posiada jeszcze tej wprawy i tej nieubłaganej konieczności ścisłego myślenia, która pozwala dany materiał opanować i przebić przez niego ścieżkę jasną i prostą. Autor gubi się nieraz w słowach i mało ważnych zdaniach, zbyt wiele zwraca uwagi na rzeczy podrzędne, a często traci z oka cel główny i zasadniczy. Zdaje nam się dalej, że forma dyalogu, aczkolwiek ponętna i dla czytelnika przyjemna, przecieź autorowi zbyt nie odpowiada. To, co autor ma do powiedzenia, krócej i jaśniej byłby powiedział w rozprawce od siebie wprost.

Przytem rzecz jeszcze jedna. Gdy się tego rodzaju rzeczy pisze, to albo podaje się w nich rezultat własnych myśli bez względu na to, czy je ktoś już wypowiedział, czy nie, albo też przystępuje się do takich roztrząsań z całym naukowym aparatem i to aparatem poważnym. Nasz autor natomiast zdobywa się zaledwo na zacytowanie Lessinga, Wilde'a, no i... p. Jaroszyńskiego, którego rozprawka wprawdzie bardzo dobra, ale rozmyślnie pisana tylko dla warstw szerokich, a więc rozprawka tylko »popularna«.

Książkę powyższą w każdym razie przyjąć należy z życzliwością, tembardziej, że u nas na ten temat pisze się bardzo mało i wstrzemięźliwie. »Nowości« atoli wielkich w tomiku tym nie znajdziemy. Zresztą trudno autora »krytykować«, bo oto, co mówi o »naszych« krytykach jedna z rozprawiających osób:

»Czy sądzisz, że nasze krytyki zdolne są cośkolwiek uczynić?«

»Prócz reklamy, która dobrą jest dla płótna ukształtowanego w piękną koszulę lub t. p., ale nie dla płótna, rozpiętego na ramię w przestrzeni o górnem oświetleniu«.

»Reklama tu zbyt uczynna, a jeśli chodzi o niereklamowane wskazówki *pro* i *contra* dla samego artysty, wtedy, oj wtedy ostrożniej winien stapać krytyk, niż po szpilkach«.

»A przedewszystkiem wpiery od siebie winien zacząć, czy jest wart sądzić, choćby najpodlejszego artystę...«

»Nie podnosiłbym tej kwestji w innych warunkach«.

»Mianowicie w otoczeniu tak kulturalnem, że ono samo z siebie wydaje najlepszą ocenę dzieła; w takim otoczeniu nie miałbym nie przesiwko krytykom o pokroju błaznow«.

»Ale u nas tacy macą wodę, potoczne mając względy na oku i t. d...!!«

O słuszności tego ustępu niech sądzą... krytycy i autor sam po przeczytaniu krytyk innych. *A. E. Balicki.*

— Dr. Mieczysław Treter: *Typy ludowe Franciszka Tepy*. Z sześcioma reprodukcjami. (Lwów, Gubrynowicz i Syn. 1911, str. 24). — Przyczynki do historii nauki w Polsce, wychodzące z pod pióra Dr. M. Tretera, posiadają zawsze istotną wartość. Widać w nich i gorące zamiłowanie przedmiotu i pracę uczciwą a sumienną i smak dobry i co najważniejsze, oryginalne, własne zdanie, o które dziś wszędzie, zwłaszcza zaś w krytyce, tak trudno. Tym razem opowiada nam p. Treter o Tepie, jako malarzu »etnograficznym«, którym stał się głównie w ostatnim okresie twórczości, kiedy to życie całe spędzał głównie na wsi, będąc częstym gościem u Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego w Pieniakach lub Poturzycey.

W tym to okresie maluje Tepa głównie twarze i postacie wiejskiego ludu. Zamiłowanie do tej gałęzi malarstwa obja-

wiło się u Tepy nie teraz dopiero. Już podczas podróży na Wschód zajmował się Tępa głównie mieszkańcami tego Wschodu, jako typami o odmiennej rasie, różnym charakterze i wyrazie twarzy. Wróciwszy z podróży, zwrócił Tępa główną i baczną uwagę na typy swojskie.

Stało się to — jak słusznie p. Treter przypuszcza — głównie za wpływem oryginalnej rozprawki Pola *O malarstwie i żywiołach jego w kraju naszym*, na którą baczną uwagę zwrócił już prof. Jerzy Mycielski, pisząc swe podstawowe dzieło: *Sto lat dziejów malarstwa w Polsce*. Ale nie ta tylko rozprawa wpłynęła na zajęcie się malarzy wsią i jej mieszkańcami. O to dopominali się już romantycy, a zwłaszcza »cyganerya warszawska«, do której należał i Lenartowicz i Norwid. Gdy p. Treter wylicza poprzedników Tępy lud malujących, o Norwidzie przepomina. A jednak był on jeden z najpierwszych, którzy wierszem i farbą wiejski lud malowali. Od roku mniej więcej 1824, od najbujniejszego rozkwitu romantyzmu, niemal wszyscy polscy malarze o polską wieś i polski lud potracają, co zresztą p. Treter trafnie podkreśla, wyliczając najwybitniejszych w tym kierunku artystów.

Samego Tępę określa autor spokojnie, życzliwie, lecz sprawiedliwie. Słusznie zarzuca mu »sztywność pozy«, słaby rysunek stóp i dłoni, podnosząc natomiast zalety istotne i wybitne. Nie wielka to broszura, ciekawe w niej jednak i sumienne wiadomości. Daj Boże, aby tych przyczynków dał nam autor jak najwięcej, a z czasem dzieło o naszym malarstwie wielkie, będzie skończone.

A. E. Balicki.

— Apuleius: *Amor i Psyche*. Przekład I. Rydla. (Kraków, S. A. Krzyżanowski, 1911). — Niemcy najczęściej, Polacy najmniej mają przekładów z obcej literatury. I zapewne oba te zjawiska są z sobą w związku. W dwóch dzielnicach przyzwyczailiśmy się dać kulturze niemieckiej wodzić się na pasku. Było nam z tem bardzo.. wygodnie, tak, że do niedawna nie razilo nas wcale, żeśmy n. p. Ibsena tłómaczyli dopiero z niemieckiego przekładu, a Czechowa poznali dopiero wtedy, gdy Niemcy go »odkryli«. I trzeba było aż najnowszych patryotycznych prądów, abyśmy się ocknęli. Naprzód w teatrze: dzisiaj przekłady n. p. z angielskiego języka na polski za pośrednictwem niemieckiego pojawiają się na scenie jeszcze, ale już wstydliwie. Przypomnieliśmy sobie, że podobno my właśnie, Polacy, mamy większą niż inne narody łatwość uczenia się obcych języków, a zrozumieliśmy, że nawet dobrego oryginalnego poetę nie hańbi praca tłómacza, średniemu zaś większą może przynieść chlębę od samodzielnej twórczości.

Mamy już dzisiaj cały szereg takich tłumaczyw; więc pp. Butrymowicz, Cieglewicz, Kasprowicz, Porębowicz, Rydel, Żeleński. Ten spis nazwisk wykazuje, że ze szczególnem zamięłowaniem tłumaczy się z literatury klasycznego świata i to zarówno dla potrzeb teatru, jak i dla wymagań czytelnictwa. Objaw to bardzo pożądanym: możemy ubolewać, że w szkolnictwie średnim ciągle jeszcze za wiele młodzieży garnie się do gimnazjów, za mało do szkół realnych, lecz o ile chodzi o istotne wykształcenie humanistyczne, nigdy go nie będzie za wiele, ale pośrednictwa przekładów potrzebują tutaj niemal w równej mierze ci, co z »humanistycznych«, jak i ci, co z realnych zakładów naukowych wyszli.

Do tego, zawsze jeszcze szczupłego zasobu książek przybywa p. Lucyana Rydla przekład Apuleiusa *Amora i Psyche*, baśni, stanowiącej część większej całości romansu *O złotym osle*. Nie po raz pierwszy ukazuje się polski przekład tej opowieści: poprzednikami p. Rydla byli p. p. Kawczyński, Swiba i Stankiewicz. Ale tamte przekłady miały przedewszystkiem znaczenie naukowo-praktyczne, ten i to i jeszcze poetyckie. Nie umiem powiedzieć, czy p. Rydel tłumaczy wiernie — inni, lepsi odemnie znawcy to stwierdzają — ale wiem, że tłumaczy tak, iż rzecz czyta się w istocie jako utwór prawdziwego poety tak, że odtąd *Amor i Psyche* uchodzić może za przybrane dziecko i naszej literatury, w której zresztą niejednym już odezwał się echem, że wspomni się tu tylko p. Żuławskiego poemat dramatyczny *Eros i Psyche*. Kto chce obok tej miłej lektury mieć jeszcze wiadomości o samym starożytnym autorze, znajdzie je w przejrzyście napisanej biografii Apuleiusa, dołączonej do przekładu, a kto niektóre mniej zrozumiałe szczegóły pragnie widzieć wytłumaczonymi, sięgnie do zamykających książkę »przypisów« — chociaż ta część tomu zapewne najmniej mieć będzie czytelników.

Książka p. Rydla nietylko podaje piękną treść, ale ubiera ją także w piękną szatę. Osobiście wprowadzi mam przekonanie, że do zewnętrznej piękności książki wystarcza piękny druk, że illustrowanie poetyckich dzieł jest zbędnym, ale jeżeli już konieczne musiały być »obrazki« — obok bardzo wytwornego druku — to reprodukowane fresków Rafaela w pałacu Farnesiny w Rzymie są oczywiście miłsze, niż n. p. widok *Amora i Psyche* Canovy. Zamieszczone na każdej stronicy boczne listwy według ornamentyki Rafaela w Loggiach watykańskich są może mniej potrzebne, bo i za dużo zajmują miejsca i niczem z treścią utworu się nie łączą i wreszcie z konieczności za często się muszą powtarzać.

Gdy już te słowa były napisane, przesłano sprawozdawcy egzemplarz recenzyjny drugiego przekładu tegosamego dzieła, dokonanego przez p. Józefa Jankowskiego i również ozdobbnie

wydanego (w Warszawie, u St. Sadowskiego). Porównania obu książek nie przeprowadzamy, zwracamy tylko przy sposobności uwagę na dziwny, prawie że dziwaczny fakt, dający się dostrzedz w naszym obecnym ruchu księgarskim. Oto pomysł, lata całe, czasem dziesiątki lat leżący na uboczu, przez nikogo nie tknięty, nagle podejmowany jest przez kilku naraz ludzi. Tłómaczy Arystofanesa p. Cieglewicz, tłómaczy go zaraz i p. Butrymowicz, a teraz Apuleiusa przekładają równocześnie i p. Rydel i p. Jankowski. Uważamy to nie za objaw jakiegokolwiek chwalebnej czy zdrożnej konkurencyi, tylko poprostu za nieogłędne marnowanie sił, bo przecież zamiast dwa razy jednego autora tłómaczyć, lepiej przelożyć dwóch. Jakieś porozumienie pisarzy pomiędzy sobą byłoby bardzo wskazaniem, a dokonywać mogłoby się n. p. za pomocą uprzednich zapowiedzi w *Przewodniku bibliograficznym* lub w *Książce*. Bez tego ktoś niepotrzebnie przetłómaczy n. p. przelożonego już Apuleiusa, zamiast bardziej pożądanego n. p. Owidyusza.

Dr. J. Flach.

Z literatury powieściowej.

— *Der Narr in Christo Emanuel Quint*. Roman von Gerhart Hauptmann. (S. Fischer, Verlag, Berlin, 1910). — Jeszcze ta powieść nie była ogłoszoną, a już pisało się o niej bardzo wiele w dziennikach i czasopiśmie niemieckich. Tak zresztą jest od kilkunastu lat z wszystkimi dziełami Gerharta Hauptmanna. Poprzedza je zawsze rozgłos, przyczem zauważyć niestety trzeba, że jeśli mają one w ogóle rozgłos wywoływać, to stać się to może tylko przed ich ogłoszeniem, bo po nim jakoś od dłuższego czasu już nie wiele się o nich mówi. W tym wypadku zaciekawienie było tem silniejsze, że Hauptmanna dotąd znało się tylko jako autora dramatycznego; prawda, wydał on także dwa »nowellistyczne studia«: *Dróżnika Thiela* (napisanego w r. 1887) i *Apostoła* (z r. 1890), ale oba te epiczne utwory nie zniewały bynajmniej do liczenia się z nim jako z powieściopisarzem. Aż wreszcie ukazał się ten zdawna zapowiedziany romans, a ukazał w formie zaiste imponującej, bo jako gruby tom o przeszło pięciuset stronicach, drobno zadrukowanych. I zaraz nasuwa się pytanie: czy i tym razem rozgłos poprzedzać będzie tylko dzieło, a nie iść za nim również? Odpowiedzi w formie potwierdzenia pytania lub zaprzeczenia dać nie można, trzeba ją raczej tak wyrazić: *Der Narr in Christo* (nie mam odwagi przelożyć tego tytułu dosłownie na język polski), będzie dużym kamieniem rzuconym w głęboką wodę; zrazu na jej powierzchni widocznym będzie

ruchliwe falowanie, ale rychło wszystko się uspokoi, a kamień spoczywać będzie na dnie, nie zwracając niczyjej uwagi.

Dla przeważnej części polskich, a może i niemieckich czytelników, nie obeznanych dokładnie z pewnymi prądami duchowemi w ojczyźnie autora, które i przez niego przepływają, powieść będzie czemś niezrozumiałem, niemal że literackiem *curiosum*. Sprawozdawca pojmuje właśnie swój obowiązek w kierunku nie tyle oceny samego dzieła, ile powiązania go z owemi, nam dość obcemi, objawami. Przypomnieć tu trzeba naprzód, że Hauptmann urodził się na Szląsku (pruskim), gdzie była niegdyś kolebka wielu dawnych niemieckich mistyków, z których dwaj, Jakób Böhme i Angelus Silesius, i do naszej literatury pośrednio (przez Mickiewicza) weszli; że dalej, poeta w dzieciństwie i w pierwszej młodości podlegał wpływom mistycznego i pietystycznego otoczenia; że później, jako twórca tym poglądom niejednokrotnie dawał artystyczny wyraz, czasem nawet w bardzo naturalistycznych dramatach: więc n. p. w postaci starego Hilsego w *Tkaczach*, w *Biednym Henryku*, w *Gryzeldzie*; podkreślić wreszcie trzeba, że ów *Apostoł* był psychologicznym studjum o człowieku, któremu się przywidziało, że »postać Chrystusa przechodzi w jego własną«. Ale mistycyzm niemiecki w ogólności, a Hauptmanna w szczególności, to dopiero jedno ze źródeł *Emanuela Quinta*. Drugie wytryska w pobliżu tamtego, także na gruncie religijnych nastrojów niemieckiego społeczeństwa, zwłaszcza tego, które jest jego typem: protestanckiego. Teologia protestancka, ogromnie pracowita, wychodząc z zasadniczych podstaw swego wyznania, i Chrystusa uważa za »problem«, dopuszczający i wymagający nawet ciągłych badań. Renana *Życie Jezusa Chrystusa* jest w literaturze francuskiej i w temacie i w tendencji dziełem odosobnionem — w piśmiennictwie niemieckiem natomiast takich książek pojawia się kilka na rok. Co więcej: skłonność do badania tego »problemu« ogarnęła tam i belletrystów, i to w dwóch kierunkach: albo pisze się wprost powieści, dramaty, poematy epiczne z Chrystusem, jako wyraźnie wymienionym bohaterem, albo też tworzy się belletrystyczne utwory, w których Chrystus wprost osobiście nie występuje, ale gdzie jest umyślna analogia pomiędzy Nim a jedną z osób danej powieści lub dramatu. W pierwszym kierunku, obok licznych utworów jeszcze jako tako szanujących uczucia religijne, wymienić trzeba jako typowy przykład, dokąd taka dążność może doprowadzić, Roseggera *Das ewige Licht*, gdzie więzień w kaźni spisuje »poprawną« biografię Chrystusa — w drugim kierunku idąc, natrafi się i na Hauptmanna, którego *Nieznajomy z Hamusi* jest przecież właściwie samym Chrystusem. Mamy więc już dwa składniki *Emanuela Quinta*: zrodzony z mistycyzmu bohater *Apostoła* dorasta pod wpływem teologii protestanckiej

do godności przedstawiciela Chrystusa. Dodać trzeba jeszcze jeden tylko czynnik. Mistycyzm sam przez się jest raczej arystokratycznym prądem duchowym: ożywione nim będą umysły wybrane, stojące na pewnej bardzo poważnej wyżynie intelektualnej; filozoficznie głęboko uświadomione. Ale mistycyzm niemiecki zrodził się wśród maluczkich i wśród maluczkich zawsze najwięcej liczył zwolenników. Był nie kwiatem, koroną rozwoju duchowego, ale ucieczką strapionych, pocieszeniem ciemżonych, jedynym marzeniem tych, którym tutaj na ziemi ciężko, bardzo ciężko się działo, był cichą skargą krzywdzonych, był jedynym dziedzictwem wydziedziczonych. Stąd w czasach najnowszych kwitł on najbujniej w latach 1880 — 1900, kiedy to z jednej strony wzbogacony miliardami francuskiej kontrybucyi wojennej niemiecki przemysł fabryczny rozwinał się niesłychanie, stwarzał wielkie bogactwa, ale i wielką nędzę, wywołał i rozognił walkę kapitału z pracą, fabrykantów z robotnikami, klasy posiadającej z proletaryatem, z drugiej zaś strony literatura niemiecka, wówczas naturalistyczna, kwestyę socyalną podjęła i stanowczo w obronie słabszych głos podniosła. Tak w Maxa Kretzera głośnej swego czasu (1897) powieści w pogrzebowym pochodzie nieszczęśliwego proletaryusza ukazuje się *Wizya Chrystusa*, taksamo i w hauptmanuowskich *Tkaczach* (1892) mistyczne pojęcie Chrystusa jest jedynym pocieszeniem tych, którzy na wyzysk fabrykantów nie chcą odpowiadać rzucaniem kamieni w ich okna.

Powiedziałem na wstępie, że pisać chcę nie tyle ocenę powieści Hauptmanna, ile wyjaśnienie jej powstania i złączenie jej z pewnemi objawami wśród społeczeństwa niemieckiego, jak i u samego poety. To już się stało. W r. 1910 ogłoszony, ale r. 1890, a więc owej naturalistycznej epoki sięgający *Emanuel Quint*, jest wytworem scharakteryzowanych tu socyalnych dążności mistycyzmu i literackiego upodobania w stwarzaniu belletrystycznych analogij do Chrystusa. Rzekomy syn biednego szląskiego stolarza, w rzeczywistości dziecko księdza i późniejszej stolarzowej, z rozkazu powieściopisarza przeżywa los podobny Chrystusowemu od pierwszych kroków apostołskich aż do zamknięcia go w więzieniu i wyszydzenia przez motłoch. Hauptmann nie myśli zaś tu bynajmniej ani o wyśmianiu samozwańca, ani o przedstawieniu go jako chorobliwego maniaka. Bo chociaż tytuł powieści Quinta nazywa *Der Narr in Christo*, to w sądzie poety »głupcami« są ci właśnie, którzy Emanuela bądź lekceważą, bądź prześladują. Podobnie i po śmierci Tolstoja Hauptmann pisał w jednym z berlińskich dzienników: »Jedyny wielki chrześcianin tego czasu już nie żyje. Kościół go przeklął... Znowu musiało się stać, co jest napisanem. Znowu prawdziwy Chrystus jest kamieniem obrazy.

Viele haben Tolstoi für einen Narren gehalten. Auch Jesus, den Heiland, hielt man dafür“.

Co jeszcze dodać, gdy się nie chce ani dokonywać artystycznej analizy powieści, ani wypowiadać tego, co odczuje każdy, przynajmniej każdy katolicki czytelnik książki: zgorzsenie, na widok popełnionego przez poetę nadużycia? Chyba to, że te kilkaset stronnic druku jest lekturą bardzo ciężką i nużąca, głównie dla swego zamglonego niejako i rozmyślnie stonowanego w barwach stylu. Drugi raz do tego tomu nikt nie wróci, a wielu nawet przedwcześnie z rąk go opuści. Kto w Hauptmanna-poetę dramatycznego wierzyć przestał, po tylu klęskach ostatnich jego sztuk, ten nie przejmie się wiarą w Hauptmann-powieściopisarza teraz, gdy stało się to, czego od lat wielu oczekiwano: gdy wyszła jego pierwsza powieść.

Dr. J. Flach.

— Charles de Pomairols: *Ascension*, Roman. (Plon-Nourrit., ed. Paris, 1910). — Karol de Pomairols, jako poeta długo pozostawał w cieniu. Jego idealizm szlachetny, nie hołdujący żadnym przemijającym prądom lub hasłom czasu i wyżyny moralne, w których myśl jego najchętniej przebywa — to warunki, nie zawsze dla ogółu przystępne. Obecnie poznano się lepiej na zaletach jego poezji, w której odkryto, obok wzniosłości nastroju, głęboką uczuciowość, wielką miłość natury i ludzi, zwłaszcza najbliższej niej żyjących, oraz szlachetne, w swej klasycznej prostocie piękno formy. Karol de Pomairols ubiera w nią swe uczucia, natchnione z jednej strony przywiązaniem do rodzinnej prowincyi i ziemi przodków, którą zamieszkuje i uprawia za ich przykładem, wspólnie z ludem wiejskim, z którym łączy ród jego odwieczne węzły — z drugiej zaś przez poetę nadewszystko przezeń uwielbianego, Lamine'a.

Jest on tedy poetą-ziemianinem, poetą kultu, tradycyi i życia rodzinnego, nawet poetą »własności«, bo nikt tak, jak on, nie potrafił odczuć i wyrazić wartości moralnej własności, rozumie się nie tej własności bezimiennej, jaką jest kapitał, ale żywej, jak ziemia, do której człowiek przywiązuje się z tylu względów, niezależnych od jej wartości materyjalnej, na której, wkładając w nią swą pracę, odbija swoje piętno, z którą, tem bardziej jeśli jest dziedziczną, łączy go tyle głęboko w sercu wyrytych wspomnień; własność, która nie tylko zapewnia byt jemu i jego najbliższemu, ale jest też pożyteczną uboższemu sąsiadom, dając im pracę, stawia go w bezpośrednią styczność z ludem, pozwala mu nieść pomoc potrzebującym. Bo instynkt posiadania u człowieka nie zawsze jest tylko niską i egoistyczną żądzą zysku, ale ma także pobudki szlachetniejsze, wyższego rzędu i tak też przejawia się on w poezji Karola de Pomairols.

W *La Nature et l'Âme*, w *Paysans*, w *Regards intimes*, znajdujemy całą gamę uczuć głębokich i szczerych, myśli szlachetnych i podniosłych, pełnych swojskiego wdzięku obrazów natury, wyrażonych w rysach prostych i zwięzłych.

W *Œuvres* sławi poeta cuoty małżeńskie swych prababek, podobnie jak już w *Regards intimes* opiewał miłość małżeńską i szczęście domowego ogniska. W *Naiades*, w *Perséphone*, w *Apolon hyperboréen*, w *Kalléméra* — myśli, uczucia i wrażenia własne ubiera w formy mitologiczne. Ale gdzie sięga najgłębiej i zarazem najwyżej, gdzie dobywa z tajników swego ducha akcenty najszczęsze i najboleśniejsze, gdzie jest może w literaturze francuskiej najbardziej oryginalnym, to wtedy, gdy rozwodzi się w nieograniczonym żalu po utracie swej trzynastoletniej córeczki, przypominając tem naszego Jana z Czarnolasu.

Z tem wszystkiem, Karol de Pomairols, jeżeli przypomina romantyków subiektywnością swej twórczości, to jednak różni się zasadniczo od nich tem, że nie szuka natchnienia w nadzwyczajności, w wyolbrzymieniu uczuć, w sztucznej deklamacji. Przeciwnie — piękno ideału widzi on w uczuciach i wrażeniach codziennych, ale wyszlachetnionych własną szlachetnością i zawierających w sobie całą skalę wzruszeń ludzkich: od naiwnej radości dziecka, od artystycznego wyczuwania harmonijnego piękna przyrody i przywiązania do ziemi rodzinnej właściciela, który nie zadowalnia się uprawą, przynoszącą mu pożytek osobisty, ale sadzi dęby dla przyszłych pokoleń, do głębokich bólów śmiertelnie zranionego serca i najwyższych porywów w krainę ducha. Zresztą i subiektywność liryczna tego poety jest innej natury, niż ta, którą odznacza się romantyzm, bo chociaż jego poezya jest zupełnem odbiciem nie tylko jego uczuć, ale i jego życia, to przecież nie stawia na pierwszym planie jego własnej indywidualności i nie czyni z niej centrum świata. Jednem słowem, subiektywność jego nie jest egoistyczną.

W powieści *Ascension*, która jest pierwszym utworem Karola de Pomairols w tym zakresie, znajdujemy wszystkie powyższe jego właściwości i zalety: tę samą podniosłość uczuć i myśli, ten sam wysoki, szlachetny nastrój, też same dążenia do osiągnięcia wyższego stopnia moralnej doskonałości, wreszcie ten sam rodzaj subiektywizmu. Bo historia, zawarta w *Ascension*, jest niewątpliwie prawdziwą i przeżytą przez autora, jeżeli nie ściśle w tych samych okolicznościach, to z pewnością jako historia uczuć i dążeń moralnych, oraz jako portret idealny głównej postaci.

Stefan Destève, dziedzic rodowego majątku Daumière w prowincyi Rouergue, którego skłonności wrodzone czynią przywiązanym do miejsc rodzinnych, życia wiejskiego i pracy na ojczystym zagonie, ale zarazem ciągną też z równą siłą do życia umysłowego, ma to rzadkie szczęście, iż te dwie rozbieżne

dażności swej natury może pogodzić, zostaje bowiem profesorem umiłowanej przez się literatury przy uniwersytecie w Tuluzie, od której jego majątek jest tak blisko położony, że każdej chwili może doń dojechać.

Pierwszą część powieści, której autor nadal formę zwierzeń profesora koledze i przyjacielowi, jest historią Destève'a; część druga jest historią z moralnym portretem jego córki Lucylli.

Ze zwierzeń owych Destève'a dowiadujemy się tedy, iż został profesorem nie bez oporu ze strony rodziców, zwłaszcza ojca, który chciał go widzieć oddanym wyłącznie pracy na roli. Ale prawdziwe powołanie młodego człowieka zwyciężyło. Wkrótce potem na swej drodze, bo w najbliższem sąsiedztwie o miedzę, spotkał istotę idealną, pannę Teresę Issalys, która oczarowała go zarówno pięknością swych wdzięków, jak szlachetnością duszy. Ale Teresa, pomimo swych uczuć dla Stefana, została jego żoną więcej ulegając życzeniom matki i jego pragnieniom, niżeli z własnego przekonania, czuła się bowiem powołaną do wyższych zadań życia duchowego. Jej żywa wiara i głęboka pobożność ciągnęła ją raczej do zupełniejszego zespolenia się z Bogiem, zdala od uciech, trosk i dążeń ziemskich, w mistycznej kontemplacji klasztornej ustronia. I widocznie nie było jej przeznaczonem życie wśród świata, bo po roku małżeństwa, Bóg powołał do siebie jej czystą duszę. Ale umierając, została zrozpaczonemu małżonkowi córeczkę na pociechę. Odtąd głównym celem życia biednego wdowca stało się wychowanie małej Lucylli, tak, by ją uczynić godną swej matki. Z początku Destève przyjął na siebie to zadanie w przekonaniu, że spełnia przedewszystkiem obowiązek względem ukochanej, którą tak szybko i niespodzianie utracił, ale z czasem zawsze żywe jego dla niej uczucia skupiły się na córce, miłość małżeńska, wyszlachetniona i odnowiona przez rozdział mogiły, stopiła się z miłością rodzicielską w jedno idealne uczucie, wszechwładnie wypełniające jego duszę i to tem bardziej, im więcej Lucylla stawała się podobną fizycznie i moralnie do swej matki, do tej, która w jego oczach była pierwowzorem doskonałości, naturze ludzkiej dostępnej. Istotnie dziewczynka w serdecznej atmosferze ojcowskich uczuć rosła jak kwiatek o wiotkich i wątplych nieco wdziękach rośliny cieplarnianej, która nie zaznała prawdziwego ciepła macierzyńskiego serca, a jednocześnie rozwijały się w niej przedwczesne przymioty umysłu i nad wiek poważne cnoty. Była kochająca, pobożną, dobroczynną. Lubiała i umiała wywierać dobry wpływ na dzieci młodsze od siebie i krnąbrne, jak jej mały kuzynek, lub wychowane niedbale, jak dzieci wieśniaków, niegdyś rówieśników i towarzyszków zabaw jej ojca. To też wszyscy ją kochali, a ojciec drżał tylko, by jej nie utracić. Tymczasem lata prędko upływały, Lucylla.

z dziewczynki stała się panienką. Destève kształcił jej umysł, wpajał w nią poczucie piękna w przyrodzie i sztuce, uczył ją kochać to, co sam umiłował — literaturę ojczyzną, a zwłaszcza poezję, tę mowę duszy, którą szczególnie uwielbiał w dziełach Lamartine'a. Z przyjemnością też spozierał w jej naturze połączenie swych własnych skłonności ze skłonnościami Teresy: usposobienie kontemplacyjne — większy pociąg do świata myśli i ducha, niżeli do świata czynu i materji, wielką wrażliwość uczucia przy umyśle otwartym, pochopność do poświęcenia własnej wygody lub przyjemności dla dogodzenia drugim, a zwłaszcza dla ulżenia niedoli i cierpieniom bliźnich. Wkrótce Lucylla, będąc mu coraz droższą i nieodstępną towarzyszką, stała się dlań pomocą i wyręczeniem czy to na wsi, w sprawach gospodarskich i w stosunkach z ludem wiejskim, którego był opiekunem i dobroczyńcą, czy to, w roli sekretarza, przy jego pracach literackich i profesorskich. Ona też swą umiejętnością trafienia zarówno do rozumu, jak i do serc ludzkich potrafiła oszczędzić mu bardzo przykrej dlań alternatywy rozstania się albo z profesorstwem, któremu poświęcił się z zamiłowania, albo z rodzinną ziemią i domem, którą ukochał, gdy w zarządzie ministeryum oświaty postanowiono, bez żadnego do tego powodu, przenieść go z Tuluzy do Caen. Dzięki jej to wstawiennictwu, rektor, suchy i bezwzględny formalista, postarał się o zmianę tego rozporządzenia. Wśród tego, Lucylli i jej ojcu groziło z innej strony poważniejsze jeszcze niebezpieczeństwo. Oto niejaka panna Sartran, śpiewaczka niezwyklej piękności i większej jeszcze kokieterji, postanowiła usidlić profesora i wytrawna w tej sztuce potrafiła zbudzić w nim instynkty uspione siłą woli i podporządkowane idealnym wspomnieniem zmarłej oraz realnym obowiązkom i uczuciom względem córki. Destève, pomimo oporu, blizkim już był sprzeniewierzenia się wytkniętej sobie drodze i ideałom przez zawarcie związku z kobietą, której pojęcia i uczucia tak bardzo różniły się od jego własnych, której upajające wdzięki miały coś szatańskiego w porównaniu do anielskiej piękności tej, której nie przestał w duszy miłować i oplakiwać. Szczęściem dla niego, nieustanna obecność Lucylli, przypominając mu jego względem niej obowiązki i przywiązanie, wzajemnie ich łączące, uwolniła go od niezdrowego czaru, który go wiódł na pochyłość. Destève uniknął spotykania niebezpiecznej piękności i odzyskał chwilowo utraconą równowagę moralną. W szczęśliwej monotonii życia uczciwego i pracowitego, nad którym zawisł przezroczysty cień żaloby, zamienionej obecnie na smętne uczucie pobożnej czci dla idealnej istoty, zamieszkującej nadziemskie krainy, jedna tylko troska wkradała się do serca profesora, gdy myślał, że nadchodzi czas, kiedy ten skarb jedyny, jego Lucyllę, wypadnie oddać młodzieńcowi, który zgłosił się poń niechybnie i potrafi nań

zasłużyć. Destève wyrzucał sobie tę troskę, jako egoistyczną, ale nie umiał się jej oprzeć. Czyżby przeczuwał, że czekało go rozłączenie o wiele zupełniejsze, o wiele boleśniejsze, niż to, które mógł przewidywać? To też, jak gromem rażone drzewo, uczył się zachwianym w głębi swej istoty, gdy pewnego dnia Lucylla oświadczyła mu postanowienie zostania zakonnicą. Długo walczył ze sobą, zanim potrafił stłumić rozdzierający głos serca, protest wewnętrzny przeciwko okrucieństwu losu, który pozbawia go znowu istoty najdroższej i uczyni dalsze jego życie zimnem i pustem, beznadziejnym dążeniem do kresu, po drodze, nie opromienionej już najmniejszym błyskiem żywego uczucia, życiem wśród mogił i wspomnień, okrytem kirem podwójnej żałoby. Skorzystać ze swej władzy rodzicielskiej, zadać gwałt pragnieniom jej duszy — o tem Destève nawet nie pomyślał. Wiedział, że nie jestto przemijający kaprys, bo, przed wyznaniem mu swego życzenia Lucylla przeszła też przez wszystkie fazy zmagania się w swem sercu ziemskiego uczucia przywiązania do ojca, któremu miała sprawić tak wielką boleść, przeciwko wezwaniom mistycznej miłości Chrystusa, który powoływał ją, by ją podnieść do nieporównanej godności swej oblubienicy. Czyż mogła się temu oprzeć? Nie, nie mogła i nie powinna — przyznał w duchu Destève, który ujrzał w powołaniu córki wypełnienie dążeń jej matki wzniesienia się na wyższy stopień duchowej doskonałości. Wtedy uczył, że córkę nie tylko kocha, jak własne dziecko, ale ma dla niej cześć i podziw, jako dla istoty moralnie wyższej od niego i od tej nawet, której dusza była tak czystą. I odtąd przestał sprzeciwiać się, nawet w myśli i sercu, temu, w czem uznał tajemniczą wolę Boską, znajdując pociechę i siłę do wytrwania w gorzkiej wprawdzie, ale uszlachetniającej i podnoszącej rozkoszy wyrzeczenia się i poświęcenia osobistego szczęścia.

Ale był to tylko początek. W niedalekiej przyszłości czekały go dalsze poświęcenia ze wszystkiego, co w życiu ukochał, ze wszystkich dążeń i planów, jakie sobie był ułożył, aż do zupełnego zaparcia się siebie. Lucylla złożyła śluby zakonne, pod imieniem Siostry Leonii, w skromnym klasztorze Najświętszej Panny, położonym w sąsiedztwie majątku jej ojca Daumière. Wybór tego klasztoru, zgubionego w cichym zakątku, nie błyszczącego wielkimi tradycjami, ani wysokimi stosunkami, bo zamieszkujące go zakonnice były to córki chłopskie z najbliższej okolicy, które prócz modlenia się za grzeszników, miały za jedyne zadanie uczyć i wychowywać dzieci wiejskie, był dowodem, że Lucylla w powołaniu swem nie kierowała się żadnemi innemi względami, prócz woli całkowitego oddania się służbie Bożej i pomocy bliźnim. Wybór ten Destève przyjął z radością, bo nie mogąc zachować córki dla siebie, wolał ją mieć tu, w pobliżu, gdzie chociaż rzadko i z za kraty, ale bę-

dzie mógł ją czasem widzieć, a w każdym razie nad nią czuwać i dla niej zajmować się sprawami zgromadzenia. Majątek swój, który byłby się stał dziedzictwem Lucylli, postanowił zapisać klasztorowi, aby w ten sposób choć pośrednio pozostał jej własnością. Zresztą klasztor zgromadzenia Najświętszej Panny nie był obcym jego rodowi: przodkowie jego niejednokrotnie go obdarzali (czy też nawet go fundowali?), a jedna z jego prababek była tegoż przełożoną. Lucylla zatem jest tutaj prawie jak w domu, jak w rodzinie, a gdy klasztor odziedziczy Danmière, będzie mogła widywać, a może nawet zamieszkiwać dom, gdzie się urodziła i wychowała. Myśli te i postanowienia uspokoiły Destève'a i pozwoliły mu łatwiej pogodzić się z losem i znosić osamotnienie, które w tych warunkach wydawało mu się tylko częściowem.

Tymczasem nadeszła chwila barbarzyńskich prześladowań. Tyrani republikańscy od lat trzydziestu w wojnie przeciwko Bogu, postanowili wygnać z kraju Jego sługi, których zbrodnią było podtrzymywanie w narodzie wiary i moralności. Przyszła kolej i na klasztor Najświętszej Panny, gdzie schroniła się Lucylla. Zgromadzenie postanowiło wynieść się do Brazylii i tam prowadzić dalej swe posłannictwo, dopóki ojczyzna, uwolniona od tyranii wrogów Boga i narodu, nie powoła ich z powrotem do siebie. Iskierka nadziei wstąpiła w serce Destève'a: teraz, gdy Pan Bóg, którego drogi są niezbadane, za pośrednictwem bluźnierców swych i kacerzy, sam widocznie tak rozporządził, Lucylla powróci pod dach ojcowski. Ale Destève niebawem myśl tę odsunął, bo nie mógł swych pragnień opierać na tem, co było nieszczęściem i hańbą dla całego narodu, co dotyczyło też do głębi jego córkę, która wołę Bożą inaczej pojmując, postanowiła zgromadzenia w nieszczęściu nie opuszczać i wraz z niem pojechać do Brazylii. Cóż było robić? Destève nie chciał i nie mógł przystać, by odtąd, prócz kraty klasztornej, dzielić go miał od córki Ocean. Zatem wyrzekł się profesorstwa i zdecydował na opuszczenie już nie tylko rodzinnych kątów, ale i kraju, i pojechał sam pierwszy do Brazylii, aby tam przygotować zakonnicom nowe schronisko. Siostry znalazły tu obszerne pole działania. Musiały zająć się wychowaniem licznych rzesz dzieci, które bez nich pozostałyby, z powodu zupełnego braku szkół, w stanie pół-dzikim. Wkrótce zyskały sobie u miejscowych mieszkańców tak wielkie zaufanie, że na ich prośby musiały powiększyć pomieszczenia szkolne i założyć oddzielny pensjonat dla panien z wyższym zakresem nauk. Siostra Leonia (Lucylla), która wtedy została przełożoną, skrętnie się tem zajęła. Ale to wszystko musiało pociągnąć duże koszta, na co klasztor funduszków nie miał. Destève wiedział o tem i domyślał się wewnętrznych pragnień córki, a więc po tylu wyrzeczeniach czyż miał cofnąć się przed ostatniem?

Majątek jego przecież i tak należeć będzie do córki i miał zostać własnością klasztoru, wprowadzie w postaci niezmięionej, t. j. w ziemi i z tą pociechą dla Destève'a, że Lucylla, nawet będąc zakonnicą, nie opuści rodzinnego miejsca. Ale kto mógł przewidzieć podobne okoliczności? Destève nie waha się długo, pomimo bólu serca, który mu to sprawia — pisze list do szwagra z poleceniem sprzedażży tej ziemi przodków, którą ojciec na łożu śmierci polecił mu zachować.

Na tej smutnej ostateczności kończy się powieść. I z całej tej historii wieje dziwny smutek, który, jak to mogliśmy zauważyć, cechuje również dwa ostatnie wyróżniające się utwory powieściowe francuskie, osnute na tych samych motywach wysokich ideałów moralnych wiary lub szlachtetnych tradycyjn narodowych i rodowych, jak *La Barrière Bazin'a* i *L'Emigré Bourget'a*. Czyżby wiara i szlachtetny idealizm, czyżby przywiązanie do ojczyzny i jej przeszłości, czyli innymi słowami to wszystko, co zwano niegdyś cnotą, miało być źródłem nieszczęścia? Niewątpliwie błędem byłoby tak sądzić, chociaż nie zapominajmy, że droga cnoty nie jest usianą różami, lecz kolcami i że moralnego wzniesienia nie można osiągnąć bez wyrzeczenia się wielu warunków, które zdają się ułatwiać i uprzyjemniać byt doczesny, że całkowite spełnianie obowiązku, jakimkolwiekby on był, wymaga częstokroć uciążliwych lub bolesnych poświęceń, prawdziwego stoicyzmu. Przytem pamiętajmy również, że za tło tym powieściom służą czasy i okoliczności, w których zwłaszcza w warunkach politycznych Francyi tryumfuje więcej niż kiedykolwiek brutalny i bezczelny egoizm, gdy cnota jest deptaną i prześladowaną już choćby dlatego, że samo jej istnienie jest jego potępieniem. To też przyczyn rozterki wewnętrznej, w jakiej znalazło się tyle jednostek szlachtetnych, rozterki, która, jak w wypadku Destève'a, postawiła w sprzeczności zasady i dążenia współrzędne, w warunkach normalnych harmonizujące się, szukać należy w barbarzyńskiej tyranii polityków, którzy dzięki najfałszywszej zasadzie powszechnego głosowania, uzurpowali władzę i korzystając z takowej, by ją najlepiej dla siebie wyzyskać, zasiali niezgodę i nienawiść wśród narodu, podzielili go na wzajemnie zwalczające się obozy i wytworzyli kategorię obywateli pozbawionych praw, emigrantów we własnym kraju lub zmuszonych do emigrowania zagranicę.

Przy całym swym idealizmie autor *Ascension* nie jest pozbawiony realnego widzenia rzeczy, gdy ukazuje na przykładzie, iż nie można liczyć na to, że lud wiejski, stanowiący liczbę, a zatem element pozornie rozstrzygający w systemie powszechnego głosowania, choćby nawet był w zasadzie przeciwny niesprawiedliwości i gwałtom, dokonywanym przecież na jego własnym sumieniu i odwiecznych obyczajach, wpłynie na zmianę takiej polityki. Nie uczyni tego, bo do takiego zada-

nia nie dorósł ani umysłowo, ani moralnie i chociaż stanowi masę, to jednak sam przez się nie jest siłą, bo brak mu spójni, kierunku i inicjatywy i dlatego tak łatwo ulega demoralizującym wpływom, które opanowują go tembardziej, że sięgają jego bezpośrednich interesów materyalnych.

Idealizm wszakże p. de Pomairols jest nieco jednostronny. Dla oceny wartości człowieka ma on kryterium specjalne, wedle którego dzieli ludzi na dwie kategorie — niższą i wyższą. Do pierwszej zalicza tych, którzy wolą życie czynne od umysłowego i kontemplacyjnego — do drugiej zaś tych, którzy przekładają myśl i kontemplację nad czyn. Sąd taki nie da się usprawiedliwić inaczej, jak tylko osobistemi predylekcjami autora. Bo jeżeli istotnie świat myśli i uczuć wyższego rzędu dostępnym jest tylko jednostkom duchowo wyżej rozwiniętym, to jednak wyższą w zupełnem tego słowa znaczeniu będzie dopiero istota, łącząca w sobie w odpowiednim stopniu zdolność myślenia i odczuwania ze zdolnością czynu. Takie tylko istoty są w stanie, wraz z osiągnięciem pełni własnego rozwoju, poprowadzić ludzkość ku dobremu, bo tylko czyn, t. j. przykład żywy, może mieć prawdziwy wpływ na masy. Z takich to istot powstał bohaterowie i z pośród nich także wyszli najwięksi święci. Zatem rozdzielanie tych dwóch właściwości natury ludzkiej i przeciwstawianie ich sobie wzajemnie jest co najmniej nieścisłe; nadto zniechęcanie jednostek szlachetniejszych do czynu, znaczy to, w warunkach dziś we Francji istniejących, poddać się dobrowolnie pod władzę jednostek czynnych, ale nie szlachetnych, moralnie i umysłowo niżej stojących, co właśnie ma miejsce obecnie i nad czem autor ubolewa.

Ascension jest, jako powieść, utworem zupełnie niezwykłym, tak ze względu na swe wysokie dążenia idealne, oparte na głębokiej, bezwzględnie niezachwianej wierze, nie ukrywającej się wstydliwie przed dogmatami negacyi, jak i na piękno stylu, nadające mu prawdziwą wartość literacką i artystyczną, pomimo pewnej rozwlekłości i niejednorodności kompozycyi, przedstawia bowiem trzy różne formy — zwierzeń i wspomnień, opowiadania bezpośredniego i listów. K. O.

— Robert Hichens: *Ogród Allaha*. Powieść. Tłomaczenie z angielskiego. (Warszawa, Wende i Sp., 1910, str. 644). — Ciekawa to powieść. Zrazu czyta się ją z pewnego rodzaju znużeniem — zbyt szczegółowo bowiem opisuje autor każdy najmniejszy drobiazg, nieomal każdy ruch napotkanej osoby — wnet jednak zainteresowanie czytelnika zaczyna wzrastać, stopniować się, aż wreszcie ciekawość dochodzi do granic najwyższych. Pytania: co to za ludzie? jak się ułożą ich stosunki pomiędzy sobą? do czego oni dążą i jacy są naprawdę? — niepokoją umysł czytającego coraz natarczywiej. Ostatnie dopiero karty dają zupełną i zadawalającą odpowiedź.

W tem utrzymaniu uwagi czytelnika na ciągłej uwieży, widzimy pierwszy dowód talentu autora. A talent to nie mały. Jeśli się zważy, że powieść ma sześćset z górą stronnic druku bitego, że zaledwo cztery osoby występują w niej jako główne i pierwszorzędne — to zaiste przyzna każdy, iż wiele potrzeba mieć literackich zdolności, aby czytelnika od książki nie odepchnąć, do niej nie zniechęcić. Warto też zastanowić się, jakimi środkami autor tak niezwykły sukces odnosi.

Przyczyną powodzenia powieści pierwszą — to nieznaną nam Europejczykom tło powyższej książki, tło, którem jest nie innego, jak tylko głębia Afryki z pustynią Saharą i oazami na niej zasianymi. Nie wielu z podróżników poszczycić się może znajomością tamecznych okolic i to znajomością głównie na badaniu naukowem opartą. Cóż dopiero mówić o literatach, którzy tam szukali odżywczych soków dla własnej twórczości, dla swego natchnienia! W każdym razie rzadki to wypadek. Angielski zaś pisarz zna te strony istotnie, co więcej umiał wchłonąć w siebie ich bezsprzeczne piękno bardzo silnie i bardzo głęboko, umiał je potem oddać na zapisanych przez siebie kartach. Z tych kart bije też żar południa prawdziwy, bije namiętność pierwotna, nieokielznana, a jednak urocza i powabna, tryska dziwna melancholia pustynnej nocy lub cichej, barwnej oazy. Arab nazywa pustynię *Ogrodem Allaha*, za taką ją też uważa autor, a za nim rozmarzony i opisem Sahary przejęty czytelnik.

A nie tylko na piękno przyrody wrażliwy jest angielski pisarz. Owszem, w jego książce odzwierciedla się również w równomiernym stopniu pustynne ludzkie życie. Obyczaje i zwyczaje Arabów, ich codzienne zajęcia i prace, ich modlitwy i zabawy, wszystko to znalazło odpowiedni wyraz w omawianej powieści. Że zaś — powiedzmy raz jeszcze — i przyroda tamtych stron świata i ludzie tamtejsi mało nam znani, nie więc dziwnego, że *Ogród Allaha* już przez to samo zaciekawia i zajmuje.

To jednak nie wszystko. Na tem tle rozgrywają się dzieje dwojga ludzi, dzieje proste, bo sercowe, a jednak jakieś dziwne, jakieś dalekie od codziennej banalności i pospolitości. Na pustynię tę, do osady Beni-More przyjeżdża kobieta, Angielka rodem. Postać jej powabna i piękna, budowa silna, niemal atletyczna, rysy twarzy dosadne, niecodzienne. Przyjeżdża dla ciszy i spokoju, wprowadzić w jej panięńskim życiu nie było dotąd ani burz, ani nawałnie, ale stosunki domowe wyczerpały ją podostatkiem. Między jej rodzicami trwał przykry spór na tle religijnem, któremu koniec położyła dopiero śmierć ojca. Panna Domini (bo takie imię Angielki) jakkolwiek pozostała prawowitą katoliczką, wyrosła przecieź pod wpływem tego sporu na religijne sprawy dość obojętną. Osiągnąwszy wreszcie samodzielną, postanowiła przebyć gdzieś z daleka od ludzi pe-

wien przeciąg czasu, aby »wejść w siebie« i do harmonii doprowadzić rozstrojony umysł. Przyjeżdża tedy na pustynię, do Beni-More.

Ciekawy i głęboko psychologiczny jest jej obecny stosunek do siebie, świata i Boga. Domini pod wpływem pustynnego nieba, jego ciszy i pogody niezamąconej zatracą zwolna ową dotychczasową obojętność na sprawy religijne i mimowolnie, coraz silniej poczyna przejmować się przywiązaniem do Boga i Jego nauki. Drobnym, drewniany kościółek katolicki, jedyna ostoja chrystyanizmu w Beni-More, przyciąga ją do siebie coraz mocniej, coraz goręcej. Wreszcie przychodzi Domini do wniosku, że Boga czcić i rozumieć — można tylko w szerokiej pustyni, zdala od marmurowych kolumn i złoconych oltarzy. Jej przywiązanie do wiary wzmagą się tem silniej i goręcej, że oto widzi w Beni-More człowieka, który od Boga ucieka jak istny potępieniec. Dziwny to człowiek. Silny jak Herkules, wspaniale pod względem fizycznym rozwinięty. Ręce jego zgrubiałe, twarz surowa, usta zaciśnięte, wzrok ponury. Szorstki on i nieokrzesany w obejściu. Traf zrządzil, że jechał do Beni-More tym samym pociągiem, co Domini, traf zrządzil, że zamieszkał w tym samym, co ona, hotelu. Zrazu oboje nie zwracają na siebie uwagi. Zwolna atoli, jedno poczyna interesować się drugim, śledzą wzajemnie własne ruchy i czyny. — Podczas tego wzajemnego śledzenia się, zauważyła Domini, że człowiek ten z wściekłością unika kościoła, z drogi schodzi jego zarządcy, katolickiemu księdzu (trzecia główna osoba powieści), co więcej, razu pewnego zerwał ze swej szyi krzyż drewniany i z passją rzucił go w płynącą wodę. Domini nie rozumie obcego, lecz to całe jego zachowanie się ciągnie ją przemocą ku niemu Ostrzegają Angielkę przed tym obcym i ksiądz z Beni-More i hrabia Anteoni (właściciel cudownego ogrodu — czwarta główna postać), lecz Domini idzie w ogień na ślepo! Coś ją ku temu człowiekowi ciągnie przemocą, a przytem bohaterka nasza pragnie go wrócić do stóp krzyża. Czuje to bowiem instynktownie, że w piersiach obcego wre jakaś straszna, rozpaczliwa tragedia.

Wreszcie poznali się. On — nazwisko jego Androwski (warto zauważyć, że coraz częściej w zagranicznych powieściach pojawia się polskie nazwisko!) — jest wobec Domini więcej pokorny i uległy, niż wobec kogokolwiek innego. Kocha ją! Mówi o tem wyraźnie niedomówionem słowem i spojrzeniem. W końcu postanawiają się zaślubić. Drży ksiądz w Beni-More niewytlómaczonym przerażeniem, gdy ma tym ludziom obrączki na palce włożyć, burza w pustyni szaleje okrutna, krucyfiks w kościele pod wiewem wichru upada na ziemię. Pobierają się. Domini pogodna, odważna, on, jak dotąd, zamknięty w sobie,

ponury. Po ślubie, w burzliwą noc jadą w pustynię jeszcze dalej, jeszcze głębiej.

Zdarzyło się raz podczas tej wędrówki, że spotkali w drodze karawanę z oficerem francuskim na czele. Pod chwilową nieobecność męża pani Androwska oficera tego zaprosiła do swego namiotu. Wśród przyjęcia postawiła na stole likier, t. zw. likier mniszcy, wyrabiany przez Trappistów w Afryce. Ten likier oficer znał. Opowiada tedy pani Androwskiej, że umiejętność wyrabiania tego trunku posiada zawsze tylko jeden z Trappistów; przed śmiercią wyjawia tajemnicę wybranemu przez siebie następcy. — »Lecz teraz — mówi oficer — likieru tego Trappiści wyrabiać już nie będą, zakonnik bowiem, znający tajemnicę jego wyrobu, uciekł z klasztoru«. Po chwili wszedł do namiotu Androwski. Na widok oficera zmieszal się i popadł w dawną oschłość i wściekłość.

Te i tym podobne szczegóły zachowania się męża doprowadziły wreszcie Domini do tego, że zażądała od niego, by jej wyjawił przyczynę swojej rozpacz i rozstroju. Długo wahał się Androwski, wreszcie wyznał jej wszystko. Oto on właśnie był tym zakonnikiem Trappistą, który po dwudziestu latach porzucił śluby klasztorne i uciekł w świat, po prawdziwe życie. Opowiadanie jego, jak walczył z pokusą, jak wił się z tęsknoty za światem, należy do najciekawszych ustępów książki. Oto wyjątek: »Było — opowiada żonie — w tem coś wprost fizycznego. Czulem, jak gdyby członki moje były obdarzone myślą i iż te myśli, które były uśpione, naraz się obudziły. Nie sądź, Domini, żem nie walczył z temi pierwszymi drgnieniami mojej przyrody, która była uśpiona tak długo! Całemi dniami odmawiałem sobie patrzenia po za mury ementarne. Chodziłem ze spuszczonei oczyma, patrząc jedynie na krzyże, które znaczyły mogiły mnichów. Spędzałem czas na bawieniu się z czerwonoookimi gołębiami. Pracowałem. Atoli oczy moje wkońcu się wzburzyły. Rzekłem sobie: »Nie masz zakazu patrzenia«. I znówu żagle, wody i grady, góry i chmury były, jak głosy szepczące kusząc: »Czemu nie chcesz nas nigdy poznać bliżej, przyjść do nas? Czemu nie chcesz zrozumieć, co znaczymy? Czemu pragniesz na zawsze pozostać nieświadom tego, co do poznania tu na ziemi stworzonem dla człowieka zostało?« — I oto męka moja stała się prawie nie do zniesienia. Nocą nie mogłem sypiać. W kaplicy odbiegała mnie modlitwa. Patrzałem na mnichów dokoła mnie, z których do większości nie przemówilem był nigdy słowa i myślałem: »Czy oni też tęsknotą taką trawieni? Czy oni też żądzą poznania ruszeni?«

Po tem wyznaniu, w którem zamknęło się całe życie i wszystkie jego przejścia, uczył Androwski spokój i ciszę w sercu. A Domini? Ją to odkrycie złamało, ale nie przybiło. Dla niej

ważniejszą daleko rzeczą było nawrócenie męża na drogę wiary i miłości Boga, niż szczęście osobiste, własne. Dlatego z rezygnacją i heroicznym spokojem sama odwozi męża z powrotem do wrót klasztornych, ciesząc się, »że tego, który od Boga i od modlitwy uciekał temu Bogu wróciła,« — a wróciła lepszym, szlachetniejszym. Sama z jednym synkiem (owoc miłości z Androwskim) osiadła na stałe w Beni-More, w cudnym ogrodzie hr. Anteoniego, który, przyjąwszy mahometanizm, osiadł w jeszcze dalszej głębi Afryki.

Dziwna to i oryginalna powieść. *Psyche* rozpostarta tu przed oczyma czytelnika naksztalt jednej, wielkiej karty, na której wypisał i zanotował autor nawet najdrobniejsze przejścia, najładniejsze myśli, słowem całe duchowe życie Domini. Wspaniała jest ten rozwój gorącego uczucia wiary, zaczynającego się napozór od drobnostek, szczegółów małej wagi, a dochodzącego do największego bohaterstwa i najwznioślejszej rezygnacji.

Inna rzecz, że dziś o takie jednostki trudno; ale jeżeli istnieją, to z pewnością Domini jest ich wcieleniem i typem. — Nie mniej udaną pod względem psychologicznym postacią jest sam Androwski. — Młodzieniec, wstępujący do klasztoru o regule bardzo twardej i ostrej, żyjący tam w cmentarnej glucho-cie i obumareciu lat dwadzieścia, nagle po tych dwudziestu latach już jako mężczyzna tęskniący do poznania świata, »który przecież Bóg dla człowieka stworzył«, walczący z pokusą, nie tyle z początku zmysłową, ile duchową, objawiającą się jako żądza poznania i wolności, ten człowiek, decydujący się wreszcie na ucieczkę, nienawidzący wszystkiego, co po za nim (w klasztorze), a nie rozumiejący tego, co koło niego i przed nim, ten człowiek, który winę swego nieszczęścia składa na Boga i bluźni Mu, kochający się wreszcie w kobiecie szlachetnej i energicznej i odzyskujący pod jej wpływem pokój w duszy i pojednanie z Bogiem, ten człowiek, któremu na imię Androwski, jest bardzo nieszczęśliwy, lecz bardzo człowieczy, bardzo prawdziwy. W jego życie, w jego fotografię winno się wielu wpatrzeć, wielu takich, którzy nieopatrznie, pod jedno-razowym wpływem jakiegobądź zdarzenia, wstępują w cremickie progi, składając Bogu wieczyste śluby.

Prawdziwe i doskonale narysowane to postacie, drugi rzetelny powód, dlaczego *Ogród Allaha* cieszył się i cieszy szerokim uznaniem. Są jednak podług nas w powieści powyższej cienie, a cienie dosyć grube, ponure. Oto, mimo tak pięknego i jasnego zakończenia powieści, przecież budzi się coś naksztalt niesmaku, czy niezadowolenia, że ten Androwski, to właśnie ksiądz, koniecznie zakonnik! Prawda, że przez to tragedia większa (i oryginalniejsza), ale czy piękniejsza? Wyobraźmy sobie, że zamiast zakonnika Trappisty, mamy przed sobą człowieka świeckiego, niemniej potężnego i żywiołowego

człowieka, który od urodzenia widział plucie i sam pluł w oblicze Boga, i że człowiek pod wpływem miłości miękkości kobiecego serca łamie się, kruszy i w pył swą hardość i nienawiść rozwała, zaiste, jeszcze większym bohaterem byłby taki człowiek, jego tragedia byłaby jeszcze bardziej groźniejszą i smutniejszą — a dla autora do napisania aczkolwiek trudniejszą, przecież o wiele wdzięczniejszą? A byłaby taka z tej prostej przyczyny, że ten zakonnik Trappista ma w sobie zgryzoty i wyrzuty sumienia, wynikłe z polamania przysięgi, do której tamten przez nas wyobrażony obowiązany nie był i takiej nigdy nie składał. To raz; powtóre, ten klasztornik Trappista, choć nienawidzi chwilowo Boga, przecież ku Niemu zwraca się ciągle i zwracać się musi, gdyż ten Bóg, to jego dwudziestoletni nałóg! Nie rzuca się i nie zapomina się prędko tego, z którym się żyło lat z górą dwadzieścia. To też nawrócenie Androwskiego łatwiejsze od nawrócenia człowieka, który z tym Bogiem nigdy nie do czynienia nie miał.

Jest dalej w tem wszystkim pewna doza sztucznego patosu, a nawet teatralności. Byron, gdyby żył, mógłby z Androwskiego zrobić bohatera jednej z poetyckich powieści. Tajemniczość i groza, południowy świat, wina i pokuta, klasztor i cmentarze, ucieczka i śluby — wszystko to, aczkolwiek łączące się z sobą w harmonijnie uzasadnioną całość, przecież zbyt proste nie jest. Jest wzruszające, jest ładne, ale jest wyszukane. Dlatego śmiało autora wraz z jego książką zaliczyć trzeba do szkoły romantyków, romantyków, w których ducha tełnał nieśmiertelny duch Byrona.

I jeszcze jedno, co, choć piękne i wzniosłe, powieści powyższej pod względem artystycznym, zdaniem naszym, niemało szkodzi. Oto zbyt wyraźna książka tej tendencya i przeznaczenie. W Anglii walka między katolicyzmem i innowierstwem wre ciągle po dziś dzień. Nie tylko ambony, lecz najwybitniejsze pióra pisarzy świeckich starają się katolicyzmowi zapewnić trwałe i wielkie zwycięstwo. *Ogród Allaha* — tak się nam wydaje — między innemi i tej także sprawie służy. Służy dobrze i pięknie, to prawda, lecz poziom artystyczny wszelka tendencya bodaj trochę obniżyć musi zawsze.

Oto pokrótce zebrane uwagi, powyższej powieści dotyczące. Ciekawa ona i oryginalna. W powodzi dzisiejszej belletrystyki, często złej i brudnej, często banalnej i głupiej, a tak rzadko odżywczej i z talentem pisanej, wyróżnia się sama świetnie i poważnie. Stoi, jak złom granitu, pewna siebie i trwała, czysta, jak czysta woda górskiego strumienia, obok której tem silniej cuchną brudne kałuże lub lepkie trzęsawiska.

A. E. Balicki.

TEATR KRAKOWSKI.

Po lekkim przeważnie repertuarze miesiąca stycznia i lutego, ujrzeliśmy na naszej scenie w miesiącu marcu nowości i wznowienia o wyższej wartości artystycznej i literackiej. Rozpoczęła je wystawiona dnia 4 marca baśń dramatyczna w czterech aktach Juliusza Zeyera p. t. *Legenda z Erynu*, w pięknym przekładzie Z. Przesmyckiego (Miriamy). Któż jest ten autor, jeden z najwybitniejszych poetów czeskich doby współczesnej?

Dr. Arne Novák (docent uniwersytetu pragskiego), pisząc swą *Współczesną literaturę Czech*, powiada, że Zeyer wraz z Vrchlickým należą do najwybitniejszych przedstawicieli »kosmopolityzmu w poezji czeskiej«. Tradycje narodowe przeszłości, dążności społeczne i polityczne, którym wiernie służyła literatura czeska zeszłej doby, opatrzyły się i spowszedniały. Młode pokolenie postanowiło rozejrzeć się po za sobą dalej, objąć widnokrąg szerszy, oprzeć się nie tylko na podstawach rdzenia rodzimych, lecz na zagranicy i jej twórczości. Ruch na tem polu zapanował gorączkowy. Obce wpływy poczęły napływać teraz szerokim strumieniem, przynosząc młodym adeptom sztuki nowe poetyczne formy, nowe poglądy estetyczne, nową treść, nowe pomysły i zagadnienia. Zeyer poddał się im od pierwszej chwili, niemal bez zastrzeżeń. Pochodząc z bogatej rodziny (czeskiej wprawdzie, lecz o przymieszce krwi niemiecko-żydowskiej), miał sposobność czerpać »świeże powietrze« nie tylko z rozlicznych, chciwie przez siebie czytanych książek, lecz mógł osobiście czerpać u źródła przez liczne a dalekie nieraz podróże i badania. Z tych podróży i z tej lektury wyniósł w pierwszym rzędzie korzyść jedną, mianowicie nowe i oryginalne poglądy estetyczne na sztukę w ogólności, na poezję zaś w szczególności.

Do tej ostatniej pociąg miał wrodzony. Usposobienia cichego, melancholijnego, żył życiem tylko górnem i chmur-

nem, zdala od ziemskiej codzienności i powszedniości. To nieporozumienie z rzeczywistością realną spotęgowały w pocie jeszcze dociekania i zagłębiania się w teozofii i mistycyzmie, głównie na religii katolickiej opartym. Nie dziwnego, że w duszy jego zapanowało rozdwojenie, którego naturalnym skutkiem i wpływem było zupełne odosobnienie się od otaczającego poetę świata, zupełny pesymizm i zgorzkniałość. Ulgi szukał Zeyer tylko w wykwintnych o wyższym polocie towarzysztwach (kobiet zwłaszcza) i rzecz prosta — w poezyi.

Poezya była dla niego wszystkim: ostoją w zwątpieniach, pocieszycielką w smutkach, matką i przyjaciółką w samotności, a nadewszystko treścią jego życia i pracy. Jak zaś niespokojnym był umysł poety, jak skwapliwie nowych szukał źródeł natchnienia i wytchnienia, wystarczy zaznaczyć, że niema chyba gałęzi w literaturze pięknej, którejby się Zeyer nie imal, w którejby nie próbował swoich sił. I nie to tylko! Temata, które miały stanowić osnowę jego dzieł, również z najrozmaitszych stron pochodzą, a ojczyzny ich prawie zawsze tak odległe od siebie, jak Zeyer od środowiska, w którym żyje i pisze. Średniowieczna Francya, to znów Japonia i Chiny, Włochy i o zamierchłej przeszłości Irlandya, stare, pełne podań i baśni Czechy, to znów gorąca, o rycerskiem piętnie Hiszpania, oto źródła, skąd czerpał poeta temata do swoich utworów. Podobnie, jak już wspomniano, ma się rzecz z formą tworzenia zewnętrzną, o czem Dr. Novák tak pisze: »Wie die poetischen Stoffe, so wechseln bei Zeyer auch die litterarischen Kunstgattungen: neben einem wild abenteuerlichen episch durchaus überfüllten Roman erzählt er eine naive Legende in dem primitiven Stile des kirchlichen Mittelalters; nach einer gewaltsam verwickelten Intrigennovelle bringt er ein äusserst ehrliches autobiographisches Bekenntnisbuch; auf eine frei improvisierte Verserzählung folgt ein grosses Heldenepos in fragmentarischer Ausführung. Zu einem pathetischen Deklamationsdrama spät klassizistischen Schnittes gesellt sich ein zartes, duftiges Proverb; ein kinderhaftes Märchen ist mit einem raffinierten Dokument der modernen Seelenkunde gepaart».

Takiego to autora wystawiono baśń dramatyczną: *Legenda z Erynu*. Zwyczajem Zeyera osnowę powyższego utworu stanowią dzieje starej, bo jeszcze pogańskiej (III wiek) Irlandyi. Żyje tam król Erynu, Kormak, który ma cudną córkę Granię. Od pewnego czasu, a stało się to od chwili, gdy Grania na popisach rycerskich ujrzała młodego woja Dermata, popadło to dziewczę w ciche obłąkanie. Nie wie o tem Finn, król Finnów, który do Kormaka poselstwo wyprawia, by ten, jako ojciec, dał mu (starcowi już) Granię za żonę. W poselstwie tem znajduje się młody Dermat. Na jego widok Grania wraca

do przytomności, lecz po to tylko, by dowiedzieć się, że ma zostać żoną starego Finna.

Lecz miłość zwycięża przeszkody. Grania sama zrywa przyrzeczenie ojca i rzuca się w objęcia Dermatowi, żądając, by ten z nią uciekał na zawsze. Dermat zrazu się wacha, nie chce bowiem i jako poddany i jako przyjaciel zawieść zaufania króla Finnów. W końcu atoli ulega bezbrzeżnej miłości Granii i przy pomocy życzliwych towarzyszy uchodzi z nią w miejsce odludne. Wściekły z gniewu Finn ściga ich zapamiętale. Na jego jednakże życie nastaje niejaki Midak, który sądzi, że król Finnów ojca mu zabił. Już Midak ma zadać Finnowi cios śmiertelny, gdy na pomoc przybywa mu ścigany Dermat. Młody rycerz i kochanek rozbijają walczących, Finn zaś obiecuje mu zapomnieć zniewagi i uprowadzenia przyszłej żony; przyrzeka nawet Dermatowi, iż go w zamku odwiedzi. Szczęśliwy Dermat wyrusza teraz z Granią do swego zamczyska, by godnie przyjęcie Finnowi zgotować. Grania przeczuwa nieszczęście, nie wierzy królowi Finnów, mimo to Dermat pospiesza sam jeden naprzeciw przybywającego króla. W lesie spotyka go Midak, który tymczasem nabrał przekonania, że to ojciec Dermata jego zabił ojca. Pomsta za krew być musi, równa zapłata za śmierć. Midak zabija Dermata. Na to wchodzi król Finnów z synami. Widząc krew broczącego Dermata, nie może powstrzymać się od wyrazów radości i zadowolenia. Na prośby atoli syna i wnuka postanawia przywrócić nieszczęśliwemu życie, a to zapomocą wody ożywczej. Już ma iść po nią, gdy z ust umierającego dobywa się słowo: »Granio! Granio!« To wołanie kochanki tak roznamiętnia starca, że pozwala obojętny Dermatowi skonać. Grania na widok męzowego trupa zabija się sama, kamiennego zaś starca, króla Finnów, w pogardzie porzucają rodzony syn i wnuk.

Oto »treść« baśni — a jej idea? Powszechnie uważają *Legendę z Erynu* za symbol walki między obowiązkiem a miłością. Dużo prawdy w tem jest. Midak zabija przyjaciela Dermata tylko dlatego, że jego obowiązkiem jest pomścić na synu wroga krew ojca. Dermat ocala wrogowi Finnowi życie, gdyż obowiązkiem poddanego dać własne życie za króla. Grania znów depce posłuszeństwo względem ojca, gdyż wyżej stawia miłość ponad chłodnym rozumem podyktowany obowiązek. Słowem: co chwila mamy walkę tych dwóch pojęć czy uczuć. Po za tem jest jeszcze rzecz jedna, zgodna z usposobieniem i biegiem myśli poety — a nią: rozłam między krainą marzeń i szczęścia a rzeczywistością. O szczęściu a szczęściu w samotności roją i marzą Dermat i Grania — rzeczywistość przyciąga ich z powrotem ku ziemi, popycha w błędne koło wypadków i przeznaczenia, skutkiem czego oboje młodzi giną w tej walce na zawsze.

Ale jakimże ten utwór jest pod względem artystycznym, literackim? Powiedzmy szczerze, że przedmiotowo a życzliwie ocenić go można tylko w czytaniu, a i tu razi swym nienaturalnym pathosem, zbyt skwapliwie szukanym i wyszukanym koturnem, nieznośną wprost miejscami affektacją i napuszystością. Nie ujmujemy w niczem wielkości Zeyera, lecz zdaje się nam, że jego poezya pod względem formy wywiera wrażenie czegoś arcyprzedniego i wykwintnego, ale zimnego, sztucznego i obrachowanego. U nas przedstawicielem tego rodzaju poezyi jest właśnie p. Zenon Przesmycki, wyborny tłómacz Zeyera. Nie jego wierszom zarzucić nie można, są pod względem obróbenia wprost doskonale, a jednak, jak zimne, jak rażą sztuczną i bezkrwistością!

Taką też wydaje nam się poezya Zeyera. Za mało stonkowo znamy tego autora, abyśmy mogli o nim bezwzględny sąd wydawać, ale stanowczo sądzimy, że dzieła jego dramatyczne na scenę się nie nadają, a już najmniej *Legenda* ≈ *Erymu*. Utwór ten w teatrze wprost nuży i męczy, napuszona bowiem i patetyczna deklamacya (świetna zresztą co do formy i języka) nie zastąpi braku ducha i żywych ciał, które na scenie, w teatrze być muszą. Że tak jest, mamy na to rozliczne dowody, zwłaszcza na naszej scenie. Ileż to razy wolano, że utwór tego lub tego poety »padnie« w teatrze, gdyż jest »nie sceniczny«, lecz »książkowy«! A jednak, ile razy wystawiono dzieło choćby t. zw. »deklamacyjne«, lecz dzieło, w którym żyją ludzie, zawsze przedstawienie udało się niemal w zupełności. (*Vide*: Słowacki, Mickiewicza *Dziady* i t. p.).

Niektórzy porównują Zeyera ze Słowackim. Zapewne, że jakieś podobieństwo i życia i poglądów na sztukę i sposobu tworzenia między nimi jest. Lecz, bez szowinizmu narodowego i bez wszelkiej przesady mówiąc, zestawieniem tem krzywdzimy po części poetę naszego. Słowacki — to pan słowa i pióra, to ogień, to żywioł, jego ludzie, choćby z obłoków na ziemię ściągnięci, przecież pełni ludzkich cech, wad, zalet i namiętności. Poezja Zeyera nie zdaje nam się tak wysoka, tak gorąca i tak serdecznie wulkaniczną. Zresztą niechaj ją określi jej znawca istotny, cytowany już Dr. Novák: »Doch Zeyers Gestaltungskraft und Kompositionskunst kann sich mit seiner kühnen Phantasie und seiner feinen Kultur keineswegs messen; selten gibt er mehr als eine freie Paraphrase seiner geschickt ausgesuchten Vorlage; sein poetischer Stil ist eintönig und ermüdend (czy taki u Słowackiego?), da er immer dieselben pathetischen und koloristischen Mittel anwendet; seine Motivierung ist ebenso naiv wie in seinen Quellen« i t. d.

Naszem zdaniem nie widzimy powodu, dla którego Dyrekcyja teatru dramat ten na scenie wystawiła. Wprawdzie sami niejednokrotnie zwracaliśmy na to uwagę, że powin-

no się ze sceny poznawać nie tylko produkcję dramatu rosyjskiego, lecz i innych Słowian (uczyniono tak, wystawiając *Trylogię Dubrownicką*), lecz, jeśli się już jakiś utwór grać ma, to niechże ten utwór będzie istotnie wartościowym, wiele mówiącym i charakterystycznym, czy to dla autora, czy też danego narodu lub epoki. Tymczasem u samego Zeyera można znaleźć utwory znacznie lepsze i typowsze — niż monotonna *Legenda z Erynu*.

Wystawiono ten utwór pod względem dekoracyjnym bardzo starannie. I sala starodawnego grodziska królewskiego i widoki przyrody (las, pola kwietne) ujęte były w całość, naprawdę barwną i artystyczną. Mniej natomiast zadawała nas gra aktorów. Wprawdzie wszyscy grali bardzo starannie, jednakowoż u większości zgoła niepotrzebne było owo nienaturalne pathos, ów ekliwy koturn, za pomocą którego chciano ze zwykłych śmiertelników porobić poetycznych herosów. Tylko p. Wysocka i p. Stanisławski, oraz p. J. Węgrzyn uniknęli tych wszystkich sztucznych nienaturalności, dając kreacye naprawdę »po ludzku«, a przytem poetycznie pojęte. P. Wysocka, jako Grania, świeciła tryumf prawdziwy i subtelną grą i pięknem mówieniem wiersza. P. Stanisławski wzorowo odegrał rolę Midaka, dobrze podkreślając cichą a ciężką walkę między obowiązkiem zemsty a przyjacielską przyjaźnią. P. J. Węgrzyn nie wielką rolę Ossyana zagrał bez zarzutu. Na koturnie stapał p. Jednowski, odtwarzając postać Kormaka. W wielki dzwon uderzył również p. Sosnowski, grając mściwego króla Finnów. Nieco za ekliwym był p. Maryński w roli kochanka Dermata. Nie winujemy atoli tych artystów za takie a nie inne pojęcie ról; prawdopodobnie myślała reżyserya, że poematy tego typu, co Zeyera, w ten a nie inny sposób uplastyczniać należy. Zapatrywanie zgoła mylnie.

W sobotę dnia 11 marca ujrzeliśmy trzyaktową komedję Tristana Bernarda p. t. *Nieznajomy tancerz* (przekład Emilii Śliwińskiej). Pomysł miał autor bardzo szczęśliwy i powabny. Chciał przedstawić miłość dwojga osób, nieznających się »bliżej« zupełnie, a przeczuwających, że warić są sobie i kochać się będą zawsze głęboko. Dzięki pewnym zakłanianiom oboje młodzi oddalają się od siebie, po to tylko, by po krótkim czasie przekonać się, że im życia prócz tej miłości nic już wypełnić nie potrafi.

Temat nie nowy, ale miły i w dobrem obrobieniu zaw sze nie tylko pociągający, ale nawet poetycki. Autor zepsuł go atoli, a zepsuł przede wszystkim niezdecydowaniem się, co lepiej napisać: komedję czy farsę? — następnie zgoła nieszcześliwym i naciągniętym rozwiązaniem całej komedyi. Przytem dobór sfery i ludzi, wśród których akcja się rozgrywa, stoi w pewnej sprzeczności z tematem i założeniem. Prawda, że

najszczerzą poezję znaleźć możemy i w chacie rolnika i w stancy robotnika — tu atoli, w tej sztuce ci rentierowie i reprezentanci fabryk, te składy mebli i inne niepotrzebne dodatki nie tylko, że rażą, ale nawet nie stanowią pożądanego do kochającej się pary kontrastu. Są — bo są, ale po co? — nie wiadomo!

Osnowa jest zatem następująca. Na jakimś weselu, gdzie moc nieznanym ludzi było, zjawił się niejaki Henryk Calvel, młodzieniec przystojny i zgrabny, o umysłowym polocie i kulturze, ale biedny, »goły« jak święty turecki, będący niczem więcej, jak tylko zwykłym agentem fabryki. Henryk poznaje na tem weselu Bertę, córkę Gontiera, milionowego fabrykanta czy przemysłowca. Zaczyna się między nimi dyalog obcesowy, żywy, barwny i śmiały, którego rezultatem: rozkochanie się wzajemne obu stron. Henryk bierze to zrazu pół żartem, pół seryo, scenę całą uważa początkowo jako flirt, gdy jego przyjaciel Barthazard przyrzeka mu wprost, że za parę miesięcy dostanie Bertę za żonę. Za swą fatygę żąda tylko odpowiedniej sumy, na którą Henryk wystawia mu weksel. Barthazard słowa dotrzymuje. Ojcu Berty przedstawił Henryka jako bogacza, jako reprezentanta milionowych fabryk, pannę samą zasypuje (imieniem Henryka) kwiatami i cukierkami, i już byłby po zwycięstwie, gdyby nie Henryk sam, który grę całą psuje doszczętnie. Oto, jemu, naprawdę szlachetnemu człowiekowi, nie podoba się własna rola, fałszywa i obłudna. Przyjaciel każe mu kłamać, bogatego udawać, on tymczasem niema nic, prócz gorącej miłości dla Berty. Dlatego zrywa stosunki z domem Gontierów i wstępuje jako subjekt do magazynu mebli. W domu rodziców Berty przerażenie i desperacya. Berta płacze i rozpacza, gdyż przekonana jest, iż Henryk tylko na jej majątek polował. Wnet jednak sytuacya się wyjaśnia. Siostra czy kuzynka Berty, Ludwika, urządza »przypadkowe« spotkanie się Henryka z Bertą. Na tej schadzce Berta poznaje, że Henryk ją kochał już wtedy, nim wiedział, kto ona z domu, że winien wszystkiemu jest tylko Barthazard. To też z rozkoszą ofiarowuje kochankowi swoją rękę, na co zgadza się i ojciec i cała rodzina.

Gdyby ten temat był opracowany w całości tak zręcznie, jak akt pierwszy, a zwłaszcza główna w nim scena rozmowy między Henrykiem a Bertą, komedya powyższa liczyłaby się mogła do bardzo miłych i charakterystycznych. Zepsuta jest atoli i zbanalizowana temi wekslami, meblami i t. p. różnościami. Zaprzeczyć atoli nie można, że mimo to, dość interesuje, a ma parę scen i postaci bardzo zabawnych i oryginalnych.

Grano ją ogółem dobrze, lecz stanowczo za wolno. Tego rodzaju sztuki muszą mieć tempo żywe, rażne, a nie wolne lub co gorsza, nawet ospale. Henryka Calvela grał p. Leszczyński, a grał wybornie. W akcie pierwszym niezrównany był w tem

podnieceniu szampanem i Bertą, w ostatnim »bajecznie« komiczny jako frasobliwy subjekt, meble sprzedający, a raczej, wszystko czyniący, byle ich nie sprzedawać. Milutką, pełną wdzięku i szczerości Bertą była p. Jarszewska, kapitalnym Thibaudellem (przyjacielem Henryka) p. Siemaszko, zupełnie dobrym Barthazardem p. Kosiński. Osobna wzmianka za wyborny typ służącego Renny'ego należy się p. Stępowskiemu. Ludwikę, kuzynkę Berty, grała p. Morozowiczówna. Rola sama w sobie niezbyt duża i ważna, dużą i ważną stała się w krakowskim teatrze, gdyż p. Morozowiczówna urządziła publiczności arcy-pożądaną niespodziankę. Oto wystąpiła w tej sztuce w sensacyjnej »jupe-culotte«. (Dwa dni przedtem tak samo ubrała się p. Górską w *Królu*). Uciechy i zainteresowania się w teatrze było moc, pewien szept, ba, nawet brawa, to znów leciuchne syknięcia ozwały się w audytorium. »Być albo nie być«, nosić »jupe-culotkę« — czy nie? — Oto pytanie, jakie panie zawzięcie obrabiały. A temat po temu był tem obfitszy, że p. Morozowiczówna w każdym akcie miała »culotkę« innego systemu. My nie odważylibyśmy się nigdy sądu w tak zasadniczo-zasadniczych kwestyach wydawać, powiemy więc tylko tyle, że pleć piękna, zawsze do »dobrego smaku« pretensyę mająca, ten dobry smak w »culotki« zupełnie schowała... Ładny był bez kwestyi kostyum artystki w akcie trzecim, ale to nie strój, lecz tylko kostyum! Między zaś jednym a drugim — różnica gwałtowna! Zresztą kwestyę stanowczo rozstrzygnęła p. Krysińska, która, przechodząc do składu mebli (w sztuce powyższej) jako gość, przyszła również w »jupe-culotte«, ubrana według ostatniej mody od stóp do głów. Teatr konał ze śmiechu. I dziś, jeśli »culotki« po Krakowie grasować nie będą — w znacznej mierze winna temu p. Krysińska, która radykalnie je ośmieszyła. — Inne role w sztuce były wagi mniejszej, odegrano zaś wszystkie również z humorem i starannie. Za wolne tylko było owe tempo, nad czem się u nas stale biada — prawie zawsze bez skutku!

Od »jupe-culotte« do Eurypidesa przestrzeń niedługa, bo tylko jednego tygodnia, po którego upływie ujrzeliśmy trzyaktową tragedję z prologiem p. t. *Hippolytos-Fedra*, w przekładzie Bogusława Butrymowicza, o ilustracyi muzycznej Bolesława Raczyńskiego. — Kto był Eurypides? Ostatni z wielkich tragicików greckich. Jak we wstępie do swego tłómaczenia objaśnia p. Butrymowicz — był to »twórca« nowoczesnego dramatu, Szekspir — przed Szekspirem. Eurypides gigantyczny pathos Ajschylosa, »wzorową« tragiczność Sofoklesa sprowadza do nagiej prawdy rzeczywistego życia, pokazuje ludzi takimi, jacy są: królów z duszami żebraków, nędzarzy z królewskim duszy gestem. Umęczona dusza ludzka poczyną po raz pierwszy drgać na scenie, dusza ludzka, przepelniona

namiętnością i bezsilnością, nie już wobec *fatum* gdzieś w wyżynach niebieskich władającego, ale wobec własnych tajemniczych mocy, których nie ma, w pierścieniu których się szamoce i upada w końcu z jękiem i krzykiem. Ten krzyk duszy rozpaczliwy, który brzmi dzisiaj i będzie brzmiał jutro, w ateńskim teatrum po raz pierwszy był słyszany. Wyniki i zasady ówczesnej filozofii, sofistyczna dyalektyka stylu, doprowadzona do niesłychanego mistrzostwa, to, co często uważa się za charakterystyczną cechę dramatu eurypidesowego, to tylko środki pomocnicze, które posługuje się wielki znawca tragedji serca ludzkiego. I tę tylko pragnie wydobyć, tę, którą sam nosi w sobie, tej nadać artystyczny widomy kształt w szablonie formy dramatycznej. Rozwlekle opowiadania, próby, epilog, rozcinięcie wężła dramatycznego przez wprowadzenie boga, czyli t. zw. *deus ex machina*, to wszystko dowody, że dramatyczny rozwój akcji jest u Eurypidesa stroną raczej drugorzędną. Ucieleśnienie konfliktu wewnętrznego, pokazanie psychy dygocącej bez samej siebie, wstrząśnięcie tym krwawym obrazem dusz innych aż do bezdna ich istoty — to główny cel, a raczej to wspaniała bezcelowość, która jest celem dla siebie samej: *wydobycie i ujawnienie samego siebie*. W tem, co zda się być ostatnim wyrazem sztuki człowieczej, jest Eurypides zaprawdę najpierwszy! Starożytni nazywali go *τραγικώτατος*, najtragiczniejszym i jest to sąd zarazem najkrótszy i najprawdziwszy.

Sąd powyżej przytoczony należy u wielbicieli Eurypidesa do najczęstszych. Słuszności w nim wiele — największa ta, że Eurypides zajmował się istotnie w pierwszym rzędzie człowiekiem i jego duchową walką. Nie można atoli zaprzeczyć, że zajmował się tem wyłącznie. Wszak i u niego nieszczęścia ludzkie wypływają bądź to z przeznaczenia, bądź też z woli bogów, a katastrofa przychodzi prawie zawsze za ich wiedzą i postanowieniem. Postęp u Eurypidesa polega głównie na tem, że za osnowę dramatu bierze jakąś jedną główną człowieczą namiętność, za którą ludzie sami są odpowiedzialni i win swoich świadomi. Sofoklesowski król Edyp zbrodni swej nie winien, Fedra winna i żądz swoich świadoma — oto zasadnicza różnica w zapatrywaniu się na bieg życia ludzkiego obu tych twórców. Nie można też nie pamiętać o formie zewnętrznej dramatu Eurypidesa. Prawda, że odgrywa ona rolę drugorzędną, ale jest dowodem istotnego upadku artystycznych i literackich wymagań i pojęć. Sofoklesowski *Edyp* zaciekawia od początku, tamuje oddech z każdą sceną coraz gwałtowniej, odkrycia następują dla słuchacza nieprzewidziane, katastrofa nie przeczuta — w *Fedrze* chodzi tylko o analizę namiętności Fedry i stałości Hippolytosa; jako »sztuka«, dramat nie interesuje,

choćby dlatego, że już z prologu widz i słuchacz dowiaduje się o całym przebiegu i wyniku sprawy.

Rzecz prosta, że błędy te — kompozycyji dzieł tyczące — okupione zostały mistrzowską analizą *psychy* bohaterów, w *Hippolytosie* i *Fedrze* niedostatki formy wynagradza świetny obraz namiętnej miłości macochy do pasierba... Wogóle Eurypides jest pierwszym, który w tej formie miłość opisuje. Podobnego bólu i szalu nie widzimy długo przedtem ani potem, aż chyba w Wergilim, w jego *Didonie*, za Eneaszem szalejącej.

Jak wspomniano, w dramacie tym chodzi o miłość macochy do pasierba. Hippolytos jest młodzieńcem na wskróś prawym i czystym, nie uznającym władzy i wdzięków Afrodyty. Dlatego też bogini ta postanawia zgotować mu zgubę.

Otom jest — mówi — ja, Kipyryda, której głośne imię
Wypełnia ziemię całą i niebo olbrzymie,
Pokąd swe na śmiertelnych śle promienie słońce,
Aż po ostatnie morza atlanckiego końce,
Szczęście tym daję, którzy moje wielbią moce,
Pyszne zasię zuchwalce korzę i druzgocę.
Albowiem i niebieskich bogów serce szczytne
Cieszą istot śmiertelnych hołdy czołobitne.
Prawdziwości słów swoich dowód dam niepłony:
Syn Tezeusa bowiem zrodzon z Amadzony,
Hippolyt, w Pitteosa świętej chowan pieczy,
Gardzi szczęściem małżeńskim, chuci lubej przeczy
I pośród troidzeńskich tu obywateli
On jeden z bóstw najgorszą *mnie* mienić się śmieli.

Wrogięgo mi młodziana niechybnie roztrzaska
Piorun kłątwy ojcowskiej, którą spełni laska
Władcy mórz Posejtona...

Fedra zapłonęła tak gwałtowną miłością do Hippolytosa, że leży niemocą złożona. Oto, jak o tem śpiewa chór (jeden z najpiękniejszych w dramacie):

Z pod krzesanicy skalnych ścian,
Z okeanowych pono mórz,
Tryszce śród grania szumnych pian
Zdrój, kędy hojnie czerpa kruż.

W tej fali rosę zanurza

Tkań purpurową,

Wczora, miła mi druża

I rozpościera na skalistej otoczy

W słonku: stąd pierwszej wieści mam słowo

Jak straszna dola Fedrę tłoczy:

W zgryzocie spędza — niesie głos —
 Na łożu męki całe dnie,
 A rozpuszczony płowy włos
 Ciemnieje na pościeli tle.
 I trzecie dzisiaj już płoną
 Na niebie świąty,
 Jak, poszcząc, przeczy pono
 Ciału kraśnemu Demetery plonu,
 Bo łaknie dobić w żalobie skrytej
 Onej posępnej mety: skonu.

Nad niedolą Fedry lituje się jej piastunka. Kiedy odgadła, skąd smutku i bólu przyczyna, postanowiła Hippolytosa do pani nakłonić. Lecz ten i ją i Fedrę zelżył w oburzeniu. Tej hańby Fedra przeżyć nie może. Wiesza się więc w domu, ale przedtem jeszcze uwiadamia męża Tezeusa, że Hippolytos jej pożądał. Zślepiiony Tezeus syna wyklina i z państwa wygania. Hippolytosa unoszą spłoszone konie i ciężko ranią. Przy jego śmierci zjawia się Artemis, która przedstawia prawdę zrozpaczonemu Tezeuszowi, błogosławi zaś Hippolytosa:

Sluchaj, acz w mroczne odchodzisz podziemie,
 Nie będzie niepomszczony msty piorun zaciętej.

Tobie zaś, o niebogi, za żywota kłęski,
 Czią zapłaci najwyższą gród on troidzeński:
 Gdyż, w przededniu zaślubin, dziewczki pełne krasy
 Tobie obcinać będą włos swój w późne czasy
 I nad tobą zawodzić długo i boleśnie,
 Zawszy na dziewic wargach smętne rodzić pieśnię
 Niedola będzie twoja; nie zbędiesz imienia:
 Miłość Fedry ku tobie przetrwa pokolenia!!

Pokolenia przetrwała nietylko jako mit, jako podanie, lecz jako źródło natchnienia dla wszystkich późniejszych wieków. Temat powyższy obrabia Eurypides, obrabia Seneka, w czasach naszych i nowożytnych niema chyba narodu, któryby na tem tle utworu nie posiadał.

Uznanie należy się Dyrekcyi teatru za wprowadzenie Eurypidesa na naszą scenę. Brak jego byłby się dal uczuć stanowczo, zwłaszcza po przedstawieniach Arystofanesa, przy którym mówiło się i pisało wiele, że wrogiem był i Sokratesa i Eurypidesa, których uważał za bezwzględnych niszczycieli »starego porządku«, za jakichś ateuszów i wątpliwej wartości »postępowców».

Tłómaczenie p. Butrymowicza zasługuje na uznanie tem większe, że przekłady dawniejsze (n. p. Arystofanesa) były

dziwnie sztywne i drewniane, mimo, że były poprawne i wierne. W przekładzie *Fedry* widzimy wiele życia i rozmachu, prawdziwy przytem poetycki wdzięk, który tak wybitną odgrywa rolę w doskonałych tłumaczeniach p. Cieglewicza. Obecnie zarzucilibyśmy p. Butrymowiczowi rzecz jedną, a to zgoła (zwłaszcza przy Eurypidesie!), zgoła niepotrzebne archaizowanie języka. Jeśli Eurypidesa będziemy tłumaczyli archaicznym polskim językiem, to jakimże językiem przekładać będziemy Homera?? — Po za tą uwagą i jeszcze tą, że tu i owdzie dany wyraz na lepszy zamieniłby można, nie tylko, iż tłumaczeniu niczego zarzucić się nie da, lecz owszem cenić je i chwalić rzetelnie należy.

Wystawienie i odegranie *Hippolyta-Fedry* było zupełnie przyzwoite. Scena, w myśl żądań autora, przedstawiała miejsce przed frontonem królewskiego palacu, przed placem zaś tym umieścił się Chór troidzeńskich niewiast. *Fedrę* grała p. Wysocka. Główną uwagę zwróciła na palącą ją żądzę i namiętność, również pilnie podkreśliła nienawiść i chęć zemsty na Hippolicie za zniewagę, wyrządzoną przez niego jej uczuciu i stanowisku jako kobiety. Rola ta utrzymana była w całości na wybitnym artystycznym poziomie. — Nieszczęśliwego pasierba Hippolytosa pięknie i dobrze odtworzył p. J. Węgrzyn. Młodzieńcowi temu nadał ten artysta wiele uroku i wdzięku w akcie pierwszym, rzetelną siłę i grozę oburzenia w scenie następnej, moc bezmiernego żalu i bólu w akcie ostatnim. Majestatycznym i potężnym władcą Aten, królem Tezeuszem był p. Sosnowski. — Opowieść o smutnem poranieniu Hippolytosa barwnie wygłosił p. Stanisławski. — Na osobne uznanie zasługuje Chór niewiast, który pod przewodnictwem pp. Barwińskiej i Morozowiczówny równo i rytmicznie recytował lub śpiewał pełne namaszczenia strofy i antistrofy. — Prolog mówiony przez boginię Kipridę zupełnie poprawnie wygłosiła p. Broniczówna. Słowa zaś Artemidy mówiła p. Turowiczówna.

Ilustrowana barwną i zupełnie do nastroju całości zastosowaną muzyką p. Raczynskiego, zyskała Eurypidowa *Fedra* na naszej scenie sukces zupełny, świadczący dowodnie, że publiczność krakowska tęskni nietylko za.. farsą lub swawolną pseudo-komedią, lecz z ochotą dąży na widowiska o treści i formie jak najpoważniejsze.

Dnia 24 marca (w piątek) wznowiono w naszym teatrze cztero-aktową komedię Józefa Blizińskiego: *Rozbitki*. Dawno jej już nie grano, to też wznowienie powyższe powitano w Krakowie z żywą radością i niekłamanem zajęciem. Bliziński zyskuje bowiem z każdym dniem jako komedyopisarz pierwszorzędowego talentu, bogatej galeryi typów i indywidualów, którego przytem humor jest dziwnie swojski i naturalny, nie wymuszony, swobodny, a tchnący istotną prostotą i urokiem.

Po Fredrze, w naszej ubogiej literaturze co do komedyi, — Blizińskiego wspominamy najochotniej i najserdeczniej. Nie długo, a będziemy mówili o jego »stylu«, tak, jak mówimy i żądamy dzisiaj »stylu fredrowskiego«.

Nie rozpisujemy się obecnie szerzej i o autorze i o *Rozbitkach*. Powyższe bowiem przedstawienie było jakoby generalną próbą przed gościnnymi występami dawno w Krakowie niewidzianego a tak wysoko cenionego artysty, jakim jest p. Kamiński, który w komedyi tej gra kapitalną rolę Kotwicza Czarnoskalskiego; ograniczymy się tylko do uwag, tyczących gry naszych artystów. — Powiedzmy z góry, że większość z nich »zabrała się« do Blizińskiego tak, jak n. p. do współczesnej, francuskiej komedyi. I to jest pierwszy błąd, nad którego usunięciem musi reżysera pilnie popracować. Powtóre trzeba dać całości tego przedstawienia piętno swojskie i rodzime, i to tak w grze aktorów, jako też w dekoracjach. Wreszcie zwrócić należy uwagę niektórym z grających, że albo grają swe role zbyt przesadnie (z pewnego rodzaju szarżą), albo też grają je za wolno i za »tragicznie«.

P. Sobiesław szambelanica Czarnoskalskiego gra wzorowo pod względem pozycy, gestu i znużonej wielkopańskiej miny. Przydałaby się tylko tu i ówdzie większa żywość słowa. Rola jednak doskonała. — P. Wolska, z niewielkiej roli Szambelanowej stwarza pierwszorzędą postać poczciwej żony a zwłaszcza matki. — P. Stanisławski i p. Zarzycka (Maurycy i Gabriela, dzieci szambelanów), choć grają poprawnie i bardzo starannie, przecież jacyś oboje monotoni i bez silniejszego wyrazu. Ich postacie w pamięć się nie wrzynają. — P. Siemaszko odtwarza figurę Dziendzierzyńskiego charakterystycznie i ciekawie. Maski jednak twarzy i sposób mówienia coś Geldhabem traci. Tych resztek żydowskiego zaciągania i akcentowania musi się p. Siemaszko w roli tej wyzbyć koniecznie. — P. Kosiński, jako Władysław Czarnoskalski, dobry, lecz również za zimny i błąd. Więcej życia rola ta potrzebuje koniecznie. — Wielką postać Strasz gra p. Leszczyński. Rola to bardzo trudna i bardzo odpowiedzialna. Koło tej postaci skupia się interes i bohaterów w sztuce i publiczności w teatrze, nie też dziwnego, że od artysty, odtwarzającego tę postać, żąda się ostatniego wyrazu gry i charakteru. P. Leszczyński pomysły i momenta miał niektóre bardzo dobre, świadczące, że przy staraniach z roli tej zrobi kreację pierwszorzędą; dziś całość jeszcze nie dopisuje. Za wiele w niektórych scenach »komizmu cyrkowego Augusta«. Strasz może razieć w zestawieniu z elegancją Czarnoskalskich, nie może natomiast przedstawiać się raz jako idyotyczny fornal, to znów jako aktor, rozmyślnie galeryi »dowcipy« robiący. Jest atoli wszelka nadzieja i prawo do twierdzenia, że postać Strasz za-

liczy kiedyś p. Leszczyński do pierwszorzędných swych krea-cyj. — Bardzo dobrze Lechcińską zagrała p. Słubicka, pełna swobody i naturalnego humoru. Rola to jedna z najlepszych. Na wzmiankę dodatnią zasługuje p. Kopczevska za miłą rolę Zuzi. — Pole, córkę Dziendzierzyńskiego, z wdziękiem i ujmującą szczerością zagrała p. Janiczówna, słusznie na pierwszy plan wysuwając prostotę wiejskiego dziewczęcia i nieznaną światowej obłudę. — Kotwicza Czarnoskalskiego powierzono grze p. Jednowskiego. Roli tej p. Jednowski nie zepsuł, a to już wiele; owszem, w niektórych scenach miał bardzo szczęśliwy ruch, lub wiele mówiący wyraz twarzy. Całość raziła tylko pewnemi nawykniemi, które (a tyczą one i chodu, i gestów i gry oczyma) powtarzają się u tego artysty stale, sprowadzając potem słuszny zarzut manierowania się, rutyny i »szablonu«.

Tak w ogólnym zarysie przedstawiały nam się gra artystów w *Rozbitkach*. Udoskonalić ją trzeba koniecznie, gdyż wart tego i Bliziński i jego *Rozbitki* i te w nich popisowe krecyje.

Pod koniec marca przyjechała do Krakowa na gościnne występy p. Irena Solska. Do tej pory wystąpiła w *Lilli Wenedzie*, *Cydzie*, *Sędziach*, *Chorym z urojenia* i *Norze*. Dalsze występy są zapowiedziane na miesiąc kwiecień. Omówimy je ryczałtem wspólnie; na razie notujemy, że wybitną tę artystkę przyjęła publiczność serdecznie, spiesząc ochotnie na powyższe wznowienia. Szkoda tylko, że w dotąd dla p. Solskiej zapowiedzianym repertuarze, tak mało znajdujemy utworów »konwersacyjnych«, lecz niemal wyłącznie poetyckie. W tych ostatnich bowiem niema p. Solska tyle sposobności do pokazania całego swej gry wirtuozostwa, co w utworach współczesnych, typu t. zw. konwersacyjnego.

A. E. Balicki.

MUZYKA W KRAKOWIE.

W prawdziwym *embarras de richesses* wrażeń, które przedstawia długi szereg koncertów z ubiegłych dwóch miesięcy, szuka pamięć wrażenia najsilniejszego, najgłębszego i najtrwalszego, aby oddać pierwszeństwo artyście, co je wywołał. Był nim tym razem Fryderyk Kreisler, skrzypek. Patrząc na grę jego z odległości minionych kilku tygodni, więc bez egzaltowania się, w które łatwiej popada kronikarz-recenzent codzienny, nie mogący także uchronić się przed kapryśnem niezadowoleniem, musimy sztuce jego przyznać miarę najwyższą. Gra jego łączy w sobie prawdziwie męską wielkość

z najsubtelniejszym kobiecym wdziękiem. Przedziwna miękkość jego tonu rośnie do zadziwiającego ogromu, nie tracąc nic ze swojej wewnętrznej wartości. Styl gry Kreislera, to najszlachetniejszy romantyzm, to najzupełniejsze wyzyskanie praw indywidualności. Kreisler, grając utwory XVIII stulecia, nie staje się zimnym, historycznie obojętnym stylistą – gra je z niemięszą dozą temperamentu, jak kompozycje nowoczesnego programu, gdyż z temperamentem grało je przecie w epoce jedwabnych fraków. Kiedy więc Burmester i inne snoby muzycznego antyku wybierają najdrobniejsze miniatury i emaliowane puderka, Kreisler gra ogniste Preludium i Allegro G a e t a n a P u g n a n i ' e g o , gra z nieopisanym, wprost porwijającym zapalem. Jest poeta i malarzem znikającego przedmieścia wiedeńskiego, kiedy gra stare walec z r. 1820. W sonacie Haendla i utworach Bacha wywołał wspomnienie Ysaya, którego istotnie przewyższa w każdym kierunku. W pamięci ludzi naprawdę wrażliwych na piękno muzyczne i niekategoryzujących wrażeń estetycznych w myśl jakichś urojonych norm, zapisał się koncert Kreislera tak silnie, jak koncert Casalsa. Akkompaniował znakomicie p. Ernest Grósz z Budapesztu; w solowym występie zjednał sobie poważny sukces.

Towarzyskiem *clou* tegorocznego sezonu koncertowego, *pendant* do dawniejszych występów pani Selmy Kurz, był koncert śpiewaczki panny Lucille Marcel, ze współudziałem b. dyrektora Opery wiedeńskiej, Felixa von Weingartnera. Panna Marcel w czasie niedługiego należenia do składu Opery wiedeńskiej wyrobiła sobie głośne nazwisko w świecie muzycznym, jako nieporównana Elektra Ryszarda Straussa, Tosca Puccini'ego i t. d. Uczennica Jana Reszkego, była panna Marcel pierwszą artystką, niosącą w świat sławę swojego *maître*. Głos jej o wybitnie mezzo-sopranowem zabarwieniu, idealnie równy, bez najmniejszej skłonności do tremola, o prawdziwie zmysłowem pięknie brzmienia, podatny jest zarówno do kompozycji z zakresu lirycznego, jak dramatycznego. Wielki kunszt *bel canto* panny Marcel święci tryumf w arjach Hrabiny z *Wesela Figara* Mozarta. Przeszedłszy z opery do sal koncertowych stała się panna Marcel w pierwszym rzędzie interpretatorką pieśni Weingartnera, z którym przedsięwzięła wszystkie podróże artystyczne. Żalować musimy, że w Krakowie ograniczył się współudział tego wielkiego artysty jedynie do akkompaniamentu fortepianowego. Jeden z najznakomitszych dyrygentów współczesnych, wspaniały w każdym calu artysta, przedstawił się Weingartner w Krakowie jednostronnie tylko, w najciaśniejszem polu swojej działalności. Nie mógł dyrygować orkiestrą symfoniczną z nieporównanym swoim *élan* i tem wzięciem, które mu zjednało słuszny ze wszech miar przydomek *grand seigneur'a* między dzisiejszymi dyrygentami; nie przedstawił tu ani swoich

poematów symfonicznych, ani opery, ani scen dramatycznych, ani symfonij. W kilku pieśniach nie mógł Weingartner pokazać, ile miał i ma do powiedzenia jako twórca. Samo zestawienie ich było może trochę jednostajne, gdyż niemal wszystkie należą do zakresu drobnego malarstwa muzycznego (*musikalische Kleinmalerei*). Nie tak głęboki, jak genialny Hugo Wolf, ani tak efektowny, jak Ryszard Strauss, kroczy Weingartner jako pieśniarz śródkową drogą między kierunkiem radykalnie postępowym a ściśle zachowawczym, starając się, aby pieśni jego były wyposażone w szeroką frazę melodyjną, aby były naprawdę śpiewne. W Krakowie i podobno we Lwowie zajmował publiczność, tłumnie na koncercie zgromadzoną, może raczej prywatny stosunek, zachodzący między panną Marcel a Weingartnerem, mniej zaś strona artystyczna tej świetnej w każdym kierunku produkcji.

Drugi śpiewak, którego występ odbył się w lutym, to słynny w całej Europie piosenkarz szwedzki, Sven Scholander. Nie ma on ani pięknego głosu, ani nie olśniewa techniką śpiewacką, jest to śpiewak z łaski Bożej, *ein Natursänger*, który braki wokalne pokrywa humorem lub głębokim wyrazem. Scholander ma w świecie dużo przyjaciół; byłiby nimi wszyscy, co go słyszeli, gdyby występował w małych salach kabaretowych, gdyż na estradzie, gdzie zwykliśmy słuchać orkiestrę symfoniczną, lub pozwalamy niedorostkom muzycznym partaczyć poważne dzieła i w skupieniu w partactwie tam uczestniczymy, niechętnem okiem patrzymy na sztukę wesołą, ale sztukę w całym tego słowa znaczeniu. Że ten sam Scholander w wielkiej sali wiedeńskiego Towarzystwa Muzycznego do zupełnego uznania jedna sobie wszystkich, nawet tych, co entuzjastycznie piszą o Casalsie, nas to nietylko nie obchodzi, ale nawet gniewa, bo wesołość (n. b. po za Szopką krakowską) jest pokarmem niestrawnym w niewesołym Krakowie. Sven Scholander, to drugie wydanie Yvetty Guilbert, tylko że tu znika ten cień perwersyi, usymbolizowany w białej sukni i długich czarnych rękawiczkach, a zastępuje go dziarska, rumiana świeżość, lubo okolona siwą czuprynką. Scholander sam sobie akkompaniuje na starej, zapomnianej lutni; akkompaniament ten nie przeszkadza mu w ruchach, pełnych żywości, dosadnie ilustrujących śpiewane pieśni. Objawia się w nich i w mimice poważny talent aktorski. Program Scholandra obejmuje pieśni ludowe szwedzkie, francuskie i niemieckie, zarówno jak kompozycje piosenkowe poważnych muzyków. W zestawieniu programu tkwi prawdziwa myśl artystyczna. Od subtelnych pieśni francuskich, jak *Le roi a fait battre tambour*, *Deux amants près du lac bleu*, *Le joli tambour*, z których dwie pierwsze toną w smutnym nastroju, trzecia zachwyca filuternością i lekkim humorem, a wszystkie pełne są poezyi, przeszedł Scho-

lander do pieśni dziecinnie zabawnych, następnie do komicznych, oddanych z zupełnym weryzmem. Zaciekawiały nas szczególnie wesole pieśni szwedzkie, wśród nich zaś jedna *A jänta a ja* (Dziewczyna i ja), oparta na rytmie *polske danse*, przeniesionego bezpośrednio z naszej muzyki tanecznej. Głęboki sentyment udzielił się z pieśni p. t. *Dzwon*, wykonanej przez Scholandra po mistrzowsku; artysta wprawił lutnię w ruch, naśladowujący ciągnięcie sznura od dzwonu i w pięknym obrazku rodzajowym oddał całą melancholię poezji tej pieśni. Aktorska strona występu Scholandra nie odniosła u wielu sukcesu. Jedni byliby woleli, aby gestykulacja zupełnie odpadła, inni pragnęli jej w formie dyskretniejszej. Scholander maszerował po estradzie, kiedy śpiewał o żołnierzu, drobił krok, śpiewając o zakonnicach ze szpitala, lub składał się lutnią jak strzelbą, mówiąc o polowaniu kuma Guilleri. Tej gestykulacji i mimiki wymaga właśnie piosenka, to przywilej i warunek tego rodzaju, który nie chce być uważany za pieśń. Yvette Guilbert robi na estradzie rękoma ruchy, jakich wymaga pływanię; robi je na całym świecie, ale w Krakowie niech się nie waży robić to samo... Przyjęcie Sven Scholandra było jednak bardzo ciepłe, za co artysta odwdzieczył się kilkoma dodatkami.

Towarzystwo Muzyczne urządziło trzy koncerty. Na jednym z nich wystąpił znany i osłuchany w Krakowie Willy Burmester, u którego w miarę powiększania się przekonania o własnej wielkości następuje zmniejszanie się artyzmu. Pierwsze przedsięwzięcie Towarzystwa Muzycznego w roli agencji koncertowej miało zapewnione powodzenie kasowe, nie powinno być ono jednak zachętą do ryzykownych bądź co bądź prób dalszych na tem polu, te bowiem nie są uwzględnione zarówno w statutach Towarzystwa, ani też nie dla tych celów otrzymuje Towarzystwo Muzyczne subwencye. Przestrogi w tym kierunku daly się słyszeć ze strony bardzo poważnej, mamy więc nadzieję, że Towarzystwo Muzyczne nie będzie sobie samo przeszkadzało w pracy, która jest głównym celem jego istnienia. Drugi koncert poświęcony był dziełom Beethovena. P. Nowowiejski zaprodukował na nim (dyrygując z pamięci) uwersturę p. t. *Weihe des Hauses* i VIII. Symfonię. Sumiennie przygotowane, wypadły oba dzieła szczęśliwie, co z całym uznaniem podnosimy. Jako solista wystąpił w koncercie tym p. Edward Nowowiejski, młody pianista z Berlina. P. Nowowiejski grał Beethovena Koncert *G-dur*, poważnie interpretując, z techniką poprawną. Niewypolerowane jeszcze objawy temperamentu w grze i zachowaniu się na estradzie znikną pewnie niedługo. Chcąc sprostać wymaganiom stawianym dziś wirtuozom, musi p. Edward Nowowiejski niemal jeszcze popracować nad palcami. Bez porównania wyższym,

a jak na młodą pannę bardzo wysokim, jest rodzaj gry panny *Janiny Familierównej*, uczennicy Michalowskiego i Friedmanna. Młodziutka Warszawianka jest talentem muzycznym pierwszej klasy; gra z taką barwnością i lekkością techniki, że słucha się jej z przyjemnością prawdziwą. Zrazem i wdzięczność odczuwało się dla młodej pianistki, że przypomniała zajmującą *Etudę* zapomnianego kompozytora polskiego, Juliusza Zarębskiego, jednego z tych nielicznych pianistów polskich, którzy przed Paderewskim zdołali trwalej zainteresować sobą szersze koła muzyczne Europy. Zarębski, uczeń Liszta, pisał też w duchu jego wirtuozyjnego stylu; dzieła to nie bardzo może głębokie, ale dla pianistów bardzo wdzięczne, kryjące w sobie ponadto niejednen śmiały czynnik harmoniczny. Może najlepszem określeniem gry panny *Familiierównej* będzie uznanie, które musimy jej złożyć za możliwie najbardziej interesujące wykonanie *Walca Mefista* Fr. Liszta, tej najbardziej nieinteresującej kompozycji fortepianowej wielkiego, potężnego twórcy poematów symfonicznych. Gra panny *Familiierównej* już nie jest podstawą do silnej nadziei, że pianistkę tę czeka świetna przyszłość, jest bowiem dziś wykładnikiem wielkiego kapitału talentu i pierwszorzędných zalet wirtuozyjnych.

W tym samym koncercie wystąpił Kwartet krakowski, złożony z pianistki pani Ablamowicz-Meyerowej i p. p. J. N. Hocka, Wierzechowskiego i Skarżyńskiego, odtworzywszy Kwartet fortepianowy Brahmsa. Prof. Skarżyński wykonał kilka utworów wioloncelowych, dając chlubne świadectwo swojej technice, zarazem zaś stwierdzając, że repertuar koncertowy tego instrumentu jest dzisiaj dziwnie ubogi.

Fortepian miał w sezonie bieżącym rolę mniejszą, niż w ubiegłych. Obok dwóch koncertów *Słiwńskiego*, przyjmowanych jak zawsze z wielkim zapalem, mimo stale powtarzających się programów świetnego pianisty, wystąpił po raz pierwszy w Krakowie *Ernest Dohnányi*, którego imię zarówno jako kompozytora, jak pianisty, jest już świetnie zapisane w świecie muzycznym. Dohnányi nie stara się o zewnętrzny efekt; mimo posiadania wielkiej techniki, nie umieszcza w programie utworów ściśle technicznych, darzy natomiast słuchacza *Appassionatą* Beethovena, odegraną bez tej sztucznej powagi, ciężkiej i zimnej, która jest w Niemczech warunkiem koniecznym, lub prowadzi go w zaciszne ustronie prawdziwej poezji »*Scen dziecięcych*« *Schumanna*, gdzie przebywa z widoczną rozkoszą. Dohnányi ma pomiędzy obecnymi pianistami sławę znakomitego Chopinisty; w Krakowie, może przeczuwając wymagania nasze, nie umieścił w programie żadnej kompozycji Chopina. Dopiero kilka nadprogramowo zagranych utworów Chopina przekonało słuchaczy, że sława ta

jest słuszna. Jako kompozytor, przedstawił Dohnányi cztery swoje Rapsodye. W utworach tych barwnych i wirtuozyjnie bardzo efektownych przemawia talent Dohnányiego może słabszymi pomysłami, niż w innych większych kompozycyach, n. p. w Kwintecie, Symfonii i granym niedawno w Krakowie Kwartecie.

Po kilkuletniej przerwie odwiedził nas Kwartet czeski (Hofman, Suk, Herold, Vihan). Świetny zespół odtworzył program w całości słowiański. Żaden kwartet współczesny nie zagra tak Czajkowskiego i Smetany, jak Czesi. Dzieła te są ich właściwą domeną. Dobrze, że Beethovena, Mozarta, czy Debussy'ego i Francka zostawiają Brukselczykom, przynajmniej u nas, bo z porównania z nimi nie mogliby wyjść pierwszymi. Daleką im jest ta niebiańska przesubtelność stylu, która czyni, że Brukselczycy są dziś stanowczo pierwszym Kwartetem, że gra ich, to brylant o niebieskawym połysku. Gra Czechów jest więc cennym rubinem. Bardzo zajmującą nowością dla Krakowa było Scherzo Borodina o efektownem triu z sordynkami, brzmiaćem dziwnie lekko, sennie. Koncert Czechów był prawdziwą biesiadą muzyczną pośród licznych wieczorów solistycznych.

Dowody znacznego postępu złożyli dwaj znani z dawniejszych lat skrzypkowie, p. Wacław Kochański i p. Szwarzenstein. Prof. Jerzy Lalewicz grał na własnym koncercie piękne Waryacje symfoniczne Francka i Koncert Mozarta. Silnie rozstrojony fortepian psuł wrażenie subtelnej gry p. Lalewicza, który w tym dniu odniósł sukces wielki jako pedagog. Dwaj najdojrzałsi uczniowie prof. Lalewicza, p. Podolski i p. Rosenblum, okazali w Koncercie Liszta i trzecim Rachmaninowa, jak poważne mają za sobą studia fortepianowe i ile talentu. P. Podolski jest dziś już tegim technikiem fortepianu, p. Rosenblum zaś zarówno w kierunku technicznym, jak czysto muzycznym, rokuje artystę o głębokich zaleczeniach. Gra jego, mimo młody wiek pianisty, jest szczęśliwym aliażem indywidualnego odruchu i artystycznej refleksyi.

Ostatnim koncertem w marcu był koncert kompozytorski p. Michała Świerzyńskiego. P. Świerzyński jest jednym z nielicznych kompozytorów polskich, którzy owoce swej pracy przedstawiają na własnych koncertach; koncert ostatni był w szeregu lat już trzecim z rzędu. Odbył się on pod znacznie szczęśliwszymi auspicyami od poprzedniego. Złożyły się na to względy czysto zewnętrznej natury, n. p. sama sala Starogo teatru, o tyle odpowiedniejsza, niż niegdyś sala Saska, i natury czysto artystycznej, w koncercie bowiem współdziałały poważne siły muzyczne naszego miasta. P. Wanda Hendrichówna oddała na usługi kompozytora swój dźwięczny i ciepły głos, wykonując szereg pieśni p. Świerzyńskiego, o wdzięk-

cznej i swojskiej fizygnomii muzycznej. Uroczym wyglądająca panna Michalska, w zastępstwie prof. Lalewicza, odegrała trzy zgrabnie pomyślane kompozycje fortepianowe, może mniej efektowne od *Petite suite*, ale o ujmującej fakturze. Chór akademicki raz pod batutą kompozytora, drugi zaś raz pod kierunkiem stałego swojego dyrygenta, prof. Bolesława Walleck-Wallewskiego, odśpiewał poważną w myślach muzycznych i silną w budowie Kantatę na uroczystość Mickiewiczowską, napisaną w r. 1894, w niczem nie ustępującą najnowszym kompozycjom p. Świerzyńskiego, będącą więc pięknym dowodem, jak jednostajnie świeżym od samego początku pracy był jego talent i jak bardzo sobą samym pozostał kompozytor. Przeszły obok niego różne prądy muzyczne, nurtujące i niepokojące w ostatnich dwudziestu latach młode talenty kompozytorskie, przeszła sztuka Wagnera, Brucknera, Brahmsa, Ryszarda Straussa i Debussy'ego, nie zdołały one jednak nagiąć w tę lub ową stronę indywidualności p. Świerzyńskiego. Wierny swojej muzycie, służy p. Świerzyński muzyce polskiej tak, jak mu każe natura, jego organizacya psychiczna, nie komplikując środków technicznych, nie motając inwencji w nici polifonii, nie zapuszczając się w trzęsawiska dyssonansowe. Wobec niesłychanego wprost wyrafinowania środków wyrazu muzycznego, które zdaje się być ostatecznym celem przeważnej części powstających dzisiaj dzieł muzycznych, mogą się wydać kompozycje p. Świerzyńskiego ubogie i naiwne, blahe i nieinteresujące, ale nawet wobec tych możliwych zarzutów nie ulega kompozytor pokusom z zewnątrz, słuchając tylko głosu własnej inwencji, który dyktuje mu proste melodie i harmonie. W szerokich ramach tematów porusza się talent p. Świerzyńskiego; jako pieśniarz chce służyć także tym, którzy w pieśni mają niejako życiową potrzebę, wybiera więc stosowne teksty poetyckie, jak: »Z listów miłosnych«, »Przepis na caluski«, »Calus«, »Lubię różę« i t. d. Gdzie jednak przemawiać może niezem nie skrepowany, tam uderza w tony poważne, malując n. p. *panneau* symfoniczne p. t. *Raj utracony*. Po wyjątkach z tego dzieła, zaprodukowanych na drugim koncercie, zaciekała nas już III Symfonia kompozytora odegrana na ostatnim. Kompozycya ta zostaje w dość luźnym związku z pojęciem, kryjącem się pod terminem symfonii; dlatego też nazwał ją p. Świerzyński *quasi una phantasia*, jak n. p. Beethoven swoją Sonatę *cis-moll* (księżycowa). Po krótkim pierwszym ustępie, zaczynającym się dość lekko, lecz przechodzącym w drugim temacie w nastrój patetyczny, niemal jak u Czajkowskiego, następuje dłuższe solo skrzypcowe, jako część druga. Grał je z uczuciem prof. K. Wierzuchowski. W części trzeciej i czwartej mamy dwa Scherza; wymagałoby się od nich trochę więcej życia, wartości rytmicznej, ale tej nie dal im kompozytor,

pragnąc pewnie zestroić ich charakter z ogólnym tonem kompozycji. Finale nie jest także konsekwentnie związane z całością, ale zajmuje swym własnym przebiegiem. W kierunku instrumentacyjnym uderzało przede wszystkim jaskrawe używanie instrumentów perkusyjnych. Symfonia została odegrana jędrnie i barwnie, w czem zasługa dyrygenta p. dyrektora Nowowiejskiego, który kompozycję tę sumiennie przygotował. Zarówno budowa symfonii, złożonej z pięciu oddzielnych części, jak zalety muzyczne uwertury do *Noclegu w Apenninach*, wykonanej na czele koncertu, mówią nam, że talent p. Świerzyńskiego obraca się swobodnie w formach mniejszych, nie wymagających spekulacji, że tak powiem, nie polegających na wszechstronnem wyczerpaniu materiału tematycznego. Życzymy więc p. Świerzyńskiemu dalszego, pomyślnego rozwoju, zgodnego z naturą jego talentu.

Dr. Zdzisław Jachimecki.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 marca.

Co się dzieje w Austrii? co w Rosji? Te dwa pytania były w ubiegłym miesiącu dla nas najważniejsze. W Austrii odbyła się sesja delegacyj wspólnych spokojnie; omawiano sprawy polityki zagranicznej rzeczowo, bez namiętności, bez partyjnych zawiści, z punktu widzenia polityki europejskiej. Można powiedzieć, że tym razem stały obrady delegacyi austriackiej na wyższym stanowisku, jak obrady delegacyi węgierskiej, podczas gdy w dawniejszych latach działo się przeciwnie. Delegacye wspólne przyjęły żądania ministerstwa wojny, wydatki na budowę *dreadnoughts*, ratyfikowały kierunek polityki zagranicznej, jednym słowem, były dla żądań ministrów wspólnych nadzwyczaj względne. Można powiedzieć, że zadowolenie, jakie wyraził Cesarz z przebiegu delegacyj wspólnych, było usprawiedliwione; mocarstwowe stanowisko Austro-Węgier znalazło w delegacjach poparcie i uznanie.

Po delegacjach było potrzeba, ażeby część nowych finansowych i wojskowych żądań została wprowadzona w życie za pomocą uchwał pojedynczych parlamentów w obu państwach monarchii. W parlamencie węgierskim szły rzeczy bardzo gładko bez oporu; w parlamencie austriackim trafiło ministerstwo bar. Bienertha na otwarty opór ze strony Unii słowiańskiej, głównie Czechów, i na mały brak poparcia ze strony większości. Nie tyle może nawet cicha obstrukcyja, jakiej chwycili się Czesi, jak bierność stronnictw większości

była powodem, że ministerstwo bar. Bieniertha znalazło się w trudnem położeniu. Chodziło o rozstrzygnięcie nad sprawą pożyczki i nad prowizorycznym budżetem. Czesi oświadczyli, że tylko pod tym warunkiem te dwa przedłożenia przyjmą, jeżeli nastąpi „zmiana systemu“, a więc, właściwie mówiąc, rekonstrukcyja ministerstwa. Rekonstrukcyja mogłaby nastąpić przez utworzenie ministerstwa urzędniczego, skoro obecny skład ministerstwa uważany był przez Czechów za anomalię. Są w tem ministerstwie reprezentanci Niemców i Polaków, tudzież jeden urzędnik Czech, p. Marek, tego ostatniego nie uważają jednak Czesi za swojego przedstawiciela. „Zmiana systemu“ nie mogłaby w ogóle nastąpić bez zmiany osobistości, ten system reprezentujących.

Ten sposób widzenia rzeczy podzielali i inni członkowie Unii słowiańskiej, tak, że opozycyę prowadzili nietylko Czesi, ale i Słoweńcy, Kroaci i t. d. Walka toczyła się w komisji budżetowej. Generalna dyskusya nad prowizoryum budżetowem została przeprowadzona; chodziło o dyskusyę specyjalną, do której zapisało się przeszło 20 mowców, którzy za pomocą formalnych wniosków mogli dyskusyę *in infinitum* przedłużyć. O przyjęciu prowizoryum budżetowego do 1 kwietnia nie mogło być więc mowy. Po 1 kwietnia musiałby rozpocząć się stan *ex lex*, na który ministerstwo nie mogło się zgodzić.

Oprócz prowizoryum budżetowego stały jednak na porządku dziennym tak ważne sprawy, jak 75-cio milionowa pożyczka, jak kontyngent rekrutów, jak cały budżet w ogólności.

Zaczęły się rozmaitego rodzaju układy pomiędzy ministerstwem a opozycyą, w których stronnictwo większości, mianowicie Polacy, odgrywali ważną rolę. Układy nie doprowadziły do rezultatu. Zdawało się przez dni kilka, że nastąpi tylko odroczenie, a nie rozwiązanie Izby; ale odroczenie byłoby tylko odłożeniem tych samych trudności na później. Parlament został tedy rozwiązany.

Czy rozwiązanie to doprowadzi do żądanych wyników, czy nowe wybory dadzą rządowi lepszy skład Izby, jak obecny, trudno dzisiaj osądzić. Jedno jest pewnem. Żadne ministerstwo w Austrii nie występowało podczas wyborów z pewnym

stałym programem, żadne nie wywieszało jakiegoś sztandaru popularnego, pociągającego za sobą masy. Skutek był więc zawsze ten, że walka toczyła się nie jak w innych krajach pomiędzy programem rządowym a programem opozycyi, ale pomiędzy pojedynczemi frakcyami stronnictw politycznych lub pomiędzy pojedynczemi narodowościami. Ponieważ ta walka nie miała naprzeciwko sobie ogólnego programu państwowego, reprezentowanego i bronionego przez rząd, więc nigdy w walkach wyborczych austriackich ostatnich dziesiątek lat nie rozstrzygały ogólne hasła, hasła państwowej lub europejskiej polityki, ale zawsze zaściankowe drobne spory polityczne, religijne lub narodowościowe. W tych walkach przeważały zawsze prądy skrajne, tak, że z każdej prawie walki wyborczej wychodziły stronnictwa umiarkowane zdziesiątkowane, stronnictwa radykalne wzmocnione. Zniknęła powoli większość liberalnej lewicy, zniknęła większość katolickiego konserwatyizmu, zniknęli Staroczesi, zniknęła większość konserwatyizmu polskiego — w miejsce ich weszli radykalni Niemcy, radykalni Czesi, w części i radykalni Polacy. Do tego przystąpiła silna przymieszka socyalistów, tak, że Izba austriacka stała się rodzajem *olla podrida*, gdzie wszystko jest pomieszane ze sobą, bez wyraźnego ogólnego celu i bez wyraźnych wspólnych idei kierowniczych.

Ministerstwo bar. Bienenrtha znajduje się obecnie o tyle w lepszych warunkach, że posiada pewien program: program pracy pozytywnej, bez kierowania się wpływami stronnictw politycznych lub narodowościowych. Chce ono usunąć wpływ polityki na administrację, wpływ prądów parlamentarnych na rząd. W gruncie rzeczy jest to tylko inną formułą dla starej hr. Taaffego maksymy: *Über den Parteien stehen* i jest w praktyce tak trudnem do przeprowadzenia, jak Taaffego metoda. Ale faktem jest, że w wielu i to obszernych kołach ludności, ta formułka ministerstwa bar. Bienenrtha znajduje poklask, faktem jest, że wielkie masy ludności znużone są tym parlamentaryzmem dla parlamentaryzmu, że chciałyby spokojnej pracy, pracy pozytywnej. Gdyby się bar. Bienenrthowi udało oprzeć na tych masach, mógłby wynik walki wyborczej być dla niego korzystnym. Ponieważ jednak to ministerstwo jest w gruncie rzeczy ministerstwem urzę-

dniczem, ponieważ żadne takie ministerstwo nie posiada w sobie ani siły, ani fantazyi, porywającej masy, ponieważ dalej Austria składa się z tylu różnorodnych części, w których zawsze rozstrzygają tylko sprawy i interesa, dla tych części specjalnie interesujące, ponieważ więc trudno jest wystąpić wszędzie z tem samem hasłem, przeto można uważać za pewne, że na wynik walki wyborczej ministerstwo bar. Bienenrtha jako takie, nie potrafi wywrzeć wpływu. Najmniej zaś uda mu się wywrzeć taki wpływ w Czechach, gdzie jest obecnie w grze upór narodowościowy, wrodzony Czechom, ów znany *dicker böhmischer Schädel*. Można więc uważać za najprawdopodobniejsze, że przy nowych wyborach ich wynik nie odpowie w obecnej chwili ani zamiarom, ani nadziejom ministerstwa. Kto wie, czy nie będzie nawet nowa Izba gorsza, niż stara?

Jeżeli kiedy, to dzisiaj musi się bar. Bienenrth trzymać starej zasady: *Quidquid agis prudenter agas ac respice finem*.

Inne przesilenie ministeryalne przeszła Rosya. Tam chciał p. Stolypin utrzymać się u rządów i uzyskać większość w Dumie za pomocą polityki, zwanej narodowościową, nacyonalną, która w gruncie rzeczy jest polityką eksterminacyjną. Pod hasłem tej polityki stała ustawa finlandzka, zwrócona przeciwko Finlandczykom, i ustawa o ziemstwach w guberniach zachodnich, zwrócona przeciwko Polakom. Chodziło w tej ostatniej ustawie, według oficjalnego komentarza, o wytworzenie kuryj narodowościowych. Ponieważ jednak Polacy stanowią tam przeważnie wielką posiadłość ziemską, przeto chciano wzmocnić żywioł rosyjski przeciwko polskiemu, ale bez powiększenia wpływu chłopów rosyjskich na niekorzyść posiadłości ziemskiej; w ten sposób spodziewał się p. Stolypin pozyskać dla siebie nie Dumę, ale Radę państwa, w której konserwatywne żywioły mają przewagę. W tem obrachowaniu p. Stolypin się przeliczył; właśnie stronnictwo konserwatywne, stronnictwo prawicy głosowało przeciwko projektowi, tak, że tenże upadł. Powodem była intryga członków, mianowicie pp. Durnowa i Trepowa, którzy w ten sposób obcieli wysadzić p. Stołypina z siodła. Innych jeszcze intryg użyli podobno ci dwaj panowie przeciwko Stołypinowi, ażeby odebrać mu zaufanie cara. Jednak nietylko

w Radzie państwa, ale także i w Dumie nie posiadał p. Stołypin większości. W kilku drobniejszych sprawach pozostał w mniejszości, tak, że wieść o jego dymisji, jaka się nagle rozszerzyła, wydawała się bardzo prawdopodobną. Już nazwisko jego następcy, jakim miał zostać obecny minister finansów, p. Kokowcew, rozeszło się po Europie. P. Kokowcew używał, jako dobry finansista, niemałej sławy. Udało mu się po wojnie z Japonią przyprowadzić skarb rosyjski do porządku, tak, że w ostatnim budżecie wykazana była przewyżka 40 kilku milionów rubli. P. Kokowcew miał zostać prezydentem ministerstwa, którego kierunek miał być więcej jeszcze narodowościowy, jak p. Stołypina — kiedy nagle rozeszła się wieść, że udało się p. Stołypinowi przekonać cara o intrygach, jakie przeciwko niemu prowadzili pp. Trepow i Durnowo, i pozostać nadal prezydentem ministrów. Durnowo i Trepow mieli zostać oddaleni z Rady państwa, a prawie równocześnie ogłoszone zostały dwa carskie dekreta, przez które Rada państwa i Duma zostały odroczone na trzy dni, od 25 do 28 marca. To przerwanie posiedzeń obu reprezentacyj parlamentarnych nastąpiło w tym celu, ażeby dać rządowi sposobność wprowadzenia w życie ustawy o ziemstwach, odrzuconej przez Radę państwa. Istnieje bowiem w prawodawstwie rosyjskiem § 87, podobny do naszego § 14, dający rządowi prawo do wprowadzenia w życie ustaw za późniejszą ich ratyfikacją przez Dumę, jeżeli obie reprezentacje parlamentarne nie są zebrane.

W półurzędowym dzienniku *Rossija* wyraźnie oświadczono, że przerwanie posiedzeń instytucyj prawodawczych nastąpiło w tym celu, ażeby dać rządowi sposobność do wprowadzenia ustawy o ziemstwie za pomocą § 87 ustawy konstytucyjnej. To postępowanie było, jak oświadczyła *Rossija*, z jednej strony dowodem, że „najwyższy urząd“ stale chce się trzymać zasad polityki narodowej. Z drugiej strony chciał przez to rząd, według *Rossii*, dać ludności zachodnich gubernij, która była moralnie zamięszana i zaniepokojona, „potrzebne uspokojenie“. Za pomocą ukazów carskich została ustawa, dotycząca ziemstw, równocześnie ogłoszona.

Skutek tego postępowania był ciekawy. Frakcyja Październikowców Dumy odbyła w dniu ogłoszenia ustawy o ziemstwach

posiedzenie, na którym Guczkow oświadczył, że składa swój urząd jako prezydent Dumy. Październikowcy postanowili głosować przeciwko ustawie o ziemstwach, w chwili, w której ta ustawa zostanie przedłożona Dumie do ratyfikacji. Oprócz tego zaczęli rozstrzygać myśl, czyby nie powinni złożyć swoich mandatów do Dumy.

Tak sprawa ustawy o ziemstwach, oraz połączone z nią intrygi przeciwko Stołypinowi doprowadziły do walki pomiędzy Dumą a rządem, a właściwie do walki pomiędzy Dumą a prawem konstytucyjnym Korony, prawem do wprowadzenia tego, co napotyka na trudności w ciałach prawodawczych, za pomocą własnego rozporządzenia w życie. Walka przeniesiona tak została z obszaru walki przeciwko pojedynczemu ministerstwu na obszar walki zasadniczej pomiędzy carem a ciałami prawodawczymi.

Jaki będzie ostateczny wynik, to łatwo przewidzieć. Car właściwie nie zrzekł się swojej władzy autokratycznej, władzy samorządów, a więc także i władzy wydawania rozporządzeń, miasto ustaw. Jeżeli istnieje Duma, to istnieje ona tylko na podstawie woli nieograniczonej cara; ograniczenie tej woli sięga tak daleko, jak car chce. Jeżeli więc Duma wkracza w tę dziedzinę woli cara, jej los jest rozstrzygnięty. Być może, że za jakiś czas nastąpią starania, ażeby nie doprowadzić do otwartego konfliktu, ale jeżeli te pozostaną bez skutku, to rozwiązanie Dumy i rozpisanie nowych wyborów zdaje się najprawdopodobniejszym. Ażeby jednak nowe wybory przyniosły inny rezultat, jak stare, będzie zapewne zmiana ustawy wyborczej potrzebna, tak, że Rosya wśród ciągłych przerabiania maszyny parlamentarnej do żadnego dodatniego nie dochodzi celu.

Równocześnie z przesileniem parlamentarnem w Austrii i w Rosyi, odbyło się także przesilenie i we Włoszech. Ubiegający miesiąc był miesiącem kryzys ministerstw. We Włoszech ustało ministerstwo p. Luzzatti'ego, pomimo, że miało większość. Upadło w sprawie reformy wyborczej. W gruncie rzeczy upadło, albowiem Giolitti, który już cztery razy był prezydentem ministrów i właściwie Izba za kulisami rządu, tego upadku sobie życzył, ażeby po raz piąty przyjść do rządów.

Ta kryzys włoska o tyle jest interesująca, że po raz pierwszy mają wejść w skład nowego ministerstwa socjaliści, na wzór Francji, a więc dać Europie nowy przykład, jak z socjalistów robią się praktyczni politycy.

Wśród tych zająć wewnątrz pojedynczych państw, wi-
siała jakiś czas nad światem groźba wojny pomiędzy Rosją
a Chinami. Rosya wystósowała do Chin rodzaj *ultimatum*,
w którym żądała bezwarunkowego przyjęcia żądań, posta-
wionych w ostatniej nocy z 16 lutego. Widmo wojny wkrótce
zniknęło, albowiem rząd chiński odpowiedział, że przyjmie
wszystkie żądania Rosji. Pomimo to nie wypada tego na-
prężenia pomiędzy Rosją a Chinami spuszczać z oczów. Jest
to chmura, z której kiedyś wybuchnie burza.

* * *

MARYAN SOKOŁOWSKI.

Wspomnienie pośmiertne.

Znowu zamknęła się jedna karta historyi Krakowa, historyi Uniwersytetu, historyi polskiej kultury, bez przesady rzec można. Karta cała zapisana od góry do dołu, szczerze, skrzętnie — a pięknie i dobrze. Treść jej niby w jednym polu zawarta, jednej sprawie czy nauce poświęcona — ale trzymając się stale tej jednej, ona przechodzi szranki i granice i łączy się z całym cywilizacyjnym stanem naszego narodu i czasu. Polem pracy, powołaniem, zawodem Maryana Sokołowskiego była sztuka i jej historia; ale wielki miłośnik i czciciel sztuki wiedział, że ona także ma swoje powołanie, że działa na uczucia i na wyobraźnię, że podnosi, kształci, uszlachetnia umysły i dusze, ludzi i narody — a kiedy słowem czy pismem tłumaczył jej naturę lub opowiadał jej dzieje, to słowem czy pismem pomagał jej do spełnienia tych powołań. Tłumaczył, uczył znać i rozumieć, służył sztuce; ale po nad nią służył temu celowi wyższemu, którym jest kształcenie, podnoszenie, cywilizowanie ludzi, a przede wszystkim tych, co najbliżsi, tych, za których każdy w swoim zakresie odpowiada, to jest swoich, swojego narodu. Pełnił tę służbę długo i bez wytechnienia, świetnie i nie bez skutku.

Kiedy poczuł w sobie to powołanie? Zamiłowanie piękności musiał mieć wrodzone; ale w pierwszej młodości musiał widzieć przed sobą inną służbę, przed Polską inną przyszłość. Jak wszyscy w jego pokoleniu, wyglądał jakichś wypadków ważnych a szczęśliwych; gdy przyszły, zapewne nie

przewidywał, do jakiego stopnia będą nieszczęśliwymi. Dał się niemi porwać, jak wszyscy. Pod koniec r. 1863, w początkach r. 1864, sprawował z ramienia ówczesnego Rządu Narodowego jakieś urządowanie we Lwowie. Nie znaleźmy go w tym czasie; od wspólnych przyjaciół tylko słyszeliśmy pochwały i piękne o nim nadzieje. Zawarł wtedy przyjaźni, które zostały już na całe życie. Koniec! Co dalej robić? Do Królestwa, do rodziców, wracać niepodobna. W Galicyi, gdyby nawet uniknąć uwięzienia, co robić? do czego się wziąć? Nastaly wtedy lata nauki i wędrówki, które wychowały i wykształciły uczonego, a wyrobiły i ustaliły powołanie. We Włoszech, w Atenach, miał rewelacyę tej piękności, którą dotąd marzeniem kochał; zobaczył, poznał, co to jest, a z wykładów znakomitych uczonych w Paryżu, w Heidelbergu, w Wiedniu, nabrał tej wiedzy, której u nas znaleźć nie mógł, a kiedy wrócił i osiadł w Krakowie, był już gotowy. Może nie zupełnie jeszcze ustalony co do przedmiotu swojej pracy. Pierwsza rozprawa, która go dała poznać, *Ruiny zamku na ostrowie jeziora Lednicy*, zrobiła mu stanowisko w świecie uczonym, a podejmował te badania z wielkiem zajęciem i ze szczególną skrzętnością. Ale ta prawie przedhistoryczna archeologia nie mogła mu wystarczać, nie mogła mu odpowiadać na zawsze. Żeby się do przedmiotu zapalić, żeby mu się oddać całą duszą, potrzebował, żeby w tym przedmiocie była artystyczna piękność, żeby pociągała do niego forma, a przemawiała z niego indywidualność, dusza twórcy. Gdzie to znajdował, tam był w swoim żywiole, na swoim polu. Odwrócił się od archeologii, a całą duszą rzucił się do sztuki i jej historii.

Znajdował grunt nie zupełnie nieuprawny, odłogiem zostawiony, ale nie dość głęboko zorany, nie dość nawożony, żeby się trywialnie po gospodarsku wyrazić. Lucyan Siemieński zasiewał hojnie, i zasiewał dobre ziarno znajomości i zamiłowania sztuki: miał ogólną wiadomość, miał doskonały smak i zmysł, ale nie miał własnych specjalnych studyów i badań; pracował jak bardzo wykształcony i świetny dyletant, ale jednak trochę jak dyletant. Podobnie — w kierunku archeologii głównie — Łepkowski. Łuszczkiewicz, od obu może ściślej w badaniu, był więcej uczonym, jak pi-

sarzem działającym na drugich. To nie ujmuje zasługi i sławy, ani wartości ich pracy; ale to sprawia, że oni jeszcze historii sztuki u nas nie doprowadzili do zupełnego wyrobienia, choć ją bardzo znacznie naprzód posunęli i podnieśli — na prawdę oni ją pierwsi u nas dobrze znali i uprawiali.

Sokołowski przyszedł po nich i dopełnił co w ich dziele jeszcze brakło, wznosił swoją naukę na stopień, na jakim stać powinna. Miał potemu warunki i przymioty nieodbitie potrzebne, ale rzadko w jednym człowieku tak szczęśliwie połączone. Miał wielką erudycję: znał, czytał wszystko, co się sztuki tyczyło, od największych i najdawniejszych dzieł aż do bieżących sprawozdań w pismach peryodycznych. Miał szeroki a wolny od uprzedzeń czy predylekcyi zmysł artystyczny, zdolny ocenić i podziwiać każde dzieło sztuki podług jego rodzaju, przeniknąć ducha i właściwy wdzięk każdego, od figurki tanagryjskiej do *Mojżesza*, i od Fra Angelika do Boucher'a. Miał wrodzony smak, czujny i trafny, a wykształcił go znakomicie. Miał nadewszystko miłość sztuki gorącą, rzetelną, zdolną poznać i uczuć piękność w jakimkolwiek kształcie czy stopniu. Starożytność czy najmłodsza sztuka dzisiejsza, Bizancyum czy włoskie Odrodzenie, średnie wieki czy wiek XVIII, wszystko to obejmował nietylko swoją nauką, ale swoją miłością znawcy, sprawiedliwego a życzliwego sędziego, gorąco przywiązanego wielbiciela. W tej miłości i służbie pierwsze miejsce zajmowały dzieła i dzieje sztuki na ziemi polskiej. Pojechać do Azji Mniejszej, jeździć we Włoszech po różnych mało znanych miasteczkach, to był przyjemny dodatek badań i pracy — ale jej pole główne było tu. Kraków dostarczał wiele sposobności i materiału. Wychodziły jedne po drugich te rozprawy, które można nazwać rozdziałami historii sztuki w Polsce. Niby to o Kulmbachu tylko, albo o jakim dziele Stwosza, a naprawdę około tych imion i dzieł skupia Sokołowski i wyklada średniowieczne cechowe malarstwo, średniowieczną rzeźbę; kaplica Jagiellońska da mu sposobność do wytlómaczenia czytelnikowi samej istoty i cech sztuki XVI wieku. Nie zamyka się w geograficznych granicach, ani w granicach epok: gotów jest badać i objaśniać sztukę bizantyńską i jej wpływ na kulturę ruską; z zapalem ogląda i studjuje sztukę sta-

rożytną w nowych odkryciach (wyprawa hr. Karola Lanckorońskiego do Azji Mniejszej), nawet w drobnych zabytkach (*Wazy greckie — Dwa złote skarby*) — ale przede wszystkim i nad wszystko obchodzi go to, co sztuka do Polski przyniosła, co w niej zrobiła, co zostawiła, owe *Wpływy włoskie na sztukę Odrodzenia u nas*, nie mniej jak obrazy lub rzeźby współczesne, jak ich wystawy, jak różne okolo nich powstające kwestye i spory. Staje nam żywo w myśli jego głos mądry — nie usłuchany — a świetny, chwilami ironiczny i złośliwy, w sprawie pomnika Mickiewicza.

Jak zaś miło jest, i jak zaszczytnie, wspomnieć i zapisać, że wiele z tych rozpraw wychodziło w tem naszym piśmie, że Sokołowski przez długie lata należał do jego redakcyi!

Ale pisanie było tylko częścią, i raczej mniejszą częścią jego czynności. Pisał wiele — ale więcej mówił i działał. Mówił i działał z katedry naprzód, i w tem seminaryum, gdzie nauce swojej sposobił adeptów, gdzie wychował całą szkołę młodych historyków i badaczy sztuki. Mówił i działał w Akademii, jako przewodniczący, jako twórca rzecz moźna Komisyi historyi sztuki. Jej prace rozciągały się na przeróżne przedmioty i na dalekie przestrzenie ziem polskich; jej wydawnictwa, wzorowe pod naukowym, jak pod artystycznym względem, mają powagę i sławę w całym europejskim świecie uczonym. Ale nie na tem koniec: Sokołowski działał przez to, co stwarzał, co organizował. Znakomity znawca, musiał oczywiście być powoływany do narad i decyzyj w sprawach czy budynków i zabytków, czy zamierzonych i powstających instytucyj. Spotyka się go tu we wszystkich przedsięwzięciach tego rodzaju. Czy chodzi o największe, najśmielsze, o kościół Panny Maryi albo o restauracyę zamku królewskiego na Wawelu — czy o mały wiejski drewniany kościół ładny i ciekawy, a zagrożony ruiną, nie może być bez jego rady, bez jego nauki, bez jego smaku, bez jego głowy i serca. Mówimy z umysłu „bez jego serca“, bo to serce było żywem uczuciem dla każdego zabytku, dla każdej pamiątki: znawca oceniał lub podziwiał, ale kochał je Polak.

A jakież piękne, wiekopomne dzieła, jakie ozdoby i chluby tego miasta i kraju, stworzył sam — nie własną tylko

ręką lub groszem, ale własną myślą, inicjatywą, popędem. Gabinet archeologiczny w Uniwersytecie zastał, odziedziczył po Łepkowskim; ale go urządził, uporządkował, zbogacił, pomnożył, nadał mu organizm umiętny, a pozór, powierzchowność artystyczną, estetyczną. Nabytek zbioru gemm i kamei Schmidta-Ciążyńskiego dla Muzeum Narodowego, doszedł do skutku głównie za jego sprawą, jego staraniem i namową. Dom Matejki, to już zupełnie jego zasługa. On wymyślił, on pierwszy uczulił dał uczuć innym, że wdzięczność dla wielkiego malarza i chwała własna nakazują nam przechować ten dom jak relikwię, przechować go ile możności na zawsze takim, jakim go miał, jakim go zamieszkiwał i zostawił Matejko. Wydział Krajowy, Marzałek, ks. Eustachy Sanguszko, z Sokołowskim oddawna zaprzyjaźniony, przyłgnął do tej myśli i dostarczył środków, ale myśl była Sokołowskiego i jego było urządzenie dzieła, stworzenie go, zgromadzenie w niem wszystkiego, co się zgromadzić dało, i tych niezliczonych, nieocenionych skarbów, jakimi są Matejki rysunki.

Ks. Władysław Czartoryski postanowił przenieść do Krakowa to, co się dało uratować ze zbiorów puławskich, co sam do nich dodał, założyć Muzeum, ubezpieczyć je na ordynacyi. Szczęśliwem natchnieniem wybrał po śmierci Łepkowskiego Sokołowskiego na dyrektora tego Muzeum. Zbiory były pyszne; ale też umieszczenie i urządzenie było ich godnem. Włożyć w to więcej rozumu i wiedzy, więcej zamiłowania i smaku, jak włożył Sokołowski, nie potrafiłby nikt. Miał materyał wspaniały, ale umiał z niego skorzystać, i z tych nagromadzonych skarbów zrobił jeden wielki skarb narodowy, zakład, jakiemu równego w rękach prywatnych trudno by znaleźć, zakład, który cudzoziemcy odwiedzają z podziwieniem i podziwem (nie zawsze bez zazdrości może), a zakład u nas w tym rodzaju najwspanialszy, jedyny. Muzeum jest wielką zasługą i chwałą imienia Czartoryskich, ale imię Sokołowskiego ma prawo i powinno zapisaniem być w pamięci potomnych, jako organizatora i wykonawcy tego dzieła.

Po za Krakowem ile podjętych przejazdów, badań, ile zdobytych wiadomości, notat do historii sztuki w Polsce! Z takich najświetniejszą pamiątką będzie zapewne opis zamku

i zbiorów hr. Działyńskiej w Goluchowie. Jak bardzo Sokołowski dbał o badanie takich zabytków i o monografie im poświęcone, dowodzi choćby to, że już chory, z narażeniem zdrowia, jeździł z uczniami i pomocnikami do Podhorzec, myśląc o dziele, któreby ich było godne.

To, co było naszym życiem, to dziś jest już starym Krakowem, starym Uniwersytetem i schodzi z pola. Daj Boże, żeby nowsze były lepsze. Ale te stare miały swoje dobre strony, swoje dobre chwile, swoje postacie piękne; a gdzie spojrzeć w ten stary Kraaów, tam ujrzy się Sokołowskiego z rzewną tęsknotą i żalem. Na Zamku, u Panny Maryi, w Muzeum Narodowem i w Muzeum Czartoryskich, w Bibliotece Jagiellońskiej i w Collegium Novum, wszędzie, na każdym miejscu i w każdym wspomnieniu staje on w otoczeniu innych pięknych postaci. Paweł Popiel i jego czwartkowe zebrań, Klaczko, Matejko, Kossak, Eustachy Sanguszko, Władysław Czartoryski, wszyscy łączą się z nim we wspomnieniu, jak w życiu łączyli się w przyjaźni, w miłości tej samej sprawy, w miłości także cywilizacyi, piękności, sztuki. W Uniwersytecie także, w tych latach, które były istotnie szczęśliwe, bo dla nauki dobre, a nie zamęczone żadną rozterką między profesorami a uczniami, lub między profesorami tylko, w tym wydziale filozoficznym zwłaszcza, który był przez lat czterdzieści rzadkim obrazem i wzorem wzajemnego rozumienia się i harmonii, widzi się Sokołowskiego w codziennej pracy i w wyjątkowych uroczystych chwilach, przy otwarciu Collegii Novi jak się trudni dekoracją sali, jak rozwiesza obrazy; przy pięćsetnej rocznicy jak ze swoim wytwornym smakiem przysposabia kościół św. Anny na obchód, a przy nim ten, co już także znikł, Emmanuel Świeykowski, i Ludwik Puszet, oba jego uczniowie.

Wszystko to przeszło. Ufajmy, że nie przejdzie Sokołowskiego pamięć, a cieszymy się, że nie może przejść jego zasługa. Umiał wytworzyć szkołę, umiał wykształcić takich, co nie dadzą upaść jego tradycyi, nie zaniebają jego nauki. Niechże ta tradycya żyje, niech żyje i krzepi się ten duch miłości ojezyny, miłości cywilizacyi, miłości tego, co piękne nie w sztuce tylko, artystycznie, ale co piękne w życiu, moralnie, po polsku, po chrześcijańsku piękne. Ta nadzieja nie

może być pociechą po jego stracie, ale może być i jest ulgą, a jeżeli się spełni, to stanie się dla niego pomnikiem najlepszym i tym, któryby mu był najmiłszym. Postawmy mu ten pomnik, a tak pokażmy, że drugi nosimy w naszych sercach, że go dochowamy wiernie i późniejszym po sobie przekażemy.

St. Tarnowski.



NOWE KSIĄZKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

»Biblioteka dzieł chrześcijańskich«. Zeszyt 106. X. J. Bączek: *Zarys historyi filozofii*. (Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp., 1909, str. 255).

Bronisław Chlebowski: *Stowucki i Szekspir*. Odbitka ze sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. (Warszawa, druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego, 1909, str. 82).

Marie von Ebner - Eschenbach: *Ausgewählte Erzählungen*. 3 tomy. (Berlin, 1910, Gebrüder Paetel, str. 280, 246 i 179).

Ein historisches Märchen aus Kujawien, von August Baraniecki. (Berlin-Leipzig, 1910, Modernes Verlagsbureau Curt Wigand, str. 48).

Heinrich Heine: *Briefe*. Herausgegeben von Hans Daffis. Neu durchgesehene Volks-Ausgabe. (Pan-Verlag, Berlin, 1911, str. XIX i 447).

Dr. M. Bienenstock: *Das jüdische Element in Heines Werken*. Ein kritisch-aesthetischer Beitrag zur Heine-Frage. (Leipzig, Verlag für Literatur, Kunst und Musik, 1910, str. 253).

Kainx. Gesehenes und Gelebtes. Von Otto Brahm. (Berlin, Egon Fleischel & Co., 1910, str. 53).

Der Seefall, von Bengt Berg. (Verlag Albert Ahn, Bonn, 1910, str. 229).

Deutschtum und Polentum in politisch-konfessioneller Bedeutung. Im Auftrage der Deutschen Vereinigung verfasst von Dr. Johannes Altkemper. Mit einem Geleitwort des Vorsitzenden der Deutschen Vereinigung Graf zu Hoensbroech - Haag. (Leipzig, Duncker & Humblot, 1910, str. XVI i 252).

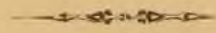
Tom 180.

13001
Nr. 539.

PRZEGLĄD
P O L S K I.

ROK CZTERDZIESTY PIĄTY.

Zeszyt XI. Miesiąc Maj 1911 r.



W KRAKOWIE,

EKSPEDYCYA W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

1911.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Jeneral Ignacy Prądzyński w świetle własnych pamiętników, korespondencyj i nowszych badań, przez Dr. Augusta Sokołowskiego	145
II. Canossa (ciąg dalszy), przez Dr. Zdzisława Morawskiego	173
III. Senator Nowosilcow i cenzura za Królestwa Kongresowego. (1819 — 1829). Ze źródeł archiwalnych, przez Aleksandra Kraushara	199
IV. Alfred Tennyson. Jego życie i dzieła (ciąg dalszy), przez Dr. Romana Dyboskiego	224
V. Kronika literacka	243
<i>Stulecie Gazety Lwowskiej.</i> T. I (pod redakcyą W. Bruchnalskiego). — I. T. Baranowski: Inwentarze pałacu Kraszińskich później Rzeczypospolitej. — T. S. Grabowski: Romantyzm polski wśród Słowian.	
F. Wittels: Tragische Motive.	
<i>Z literatury powieściowej.</i> M. R. Wierzbiński: Książ i Księżna. 2 t. — J. A. Teslar: Gawędy duszy. Rabbi Johanan. Z mojej włóczegi. 3 t.	
VI. Teatr krakowski, przez A. E. Balickiego. — Muzyka w Krakowie, przez Dr. Zdzisława Jachimeckiego	260
VII. Przegląd polityczny, przez * *	272



Adres Redakcyi: Rynek główny, Nr 43, I piętro.

JENERAŁ IGNACY PRĄDZYŃSKI

w świetle własnych pamiętników, korespondencji i nowszych badań.

Pamiętniki Jenerała Prączyńskiego. Opracował Bronisław Gembarzewski. Tom wstępny pod tytułem: *Geneza Powstania listopadowego*, napisał Jerzy Moszyński. Tomów cztery i tom wstępny. (W Krakowie, Odbito w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej, 1909).

I.

Opłakany upadek Powstania listopadowego i klęski, jakie ten poryw, lekkomyślnie wszczęty, a później tak świetnie się rozwijający, na kraj sprowadził, dotknęły boleśnie całe społeczeństwo polskie, zwłaszcza zaś tych, co w tej najwspanialszej epopei porozbiorowej przewodnie zajmowali stanowisko i na których oczywiście cała spadała odpowiedzialność.

Czuli oni dobrze ogrom ciężącej na nieb winy, przed oczyma stawały im żywo popełnione błędy i uchybienia, a straszny los narodu, wydane na pastwę najdzikszej zemsty, napełniał ich serca goryczą i boleścią, powiększał cierpienia tułactwa. Na obcą rzuceni ziemię, trawieni tęsknotą za krajem, truli się oni wspomnieniami i rozpamiętywując przeszłość, szukali dla siebie rozgrzeszenia i pociechy nie tyle w uznaniu własnych błędów i skrusze, ile we wzajemnych rekryminacjach i oskarżeniach.

W ten sposób powstała literatura w swoim rodzaju, polemiczna, ostra i zjadliwa, przybierająca nieraz charakter pospolitego pamfletu. W *Pielgrzymie*, wydawanym początkowo przez Eustachego Januszkiewicza, ukazała się *Rozmowa pułkownika Zaliwskiego z ks. Lubeckim* (Załuski), w szczegółach nieprawdopodobna, a nawet, o ile sądzić można, zmyślona; następnie artykuł samego Zaliwskiego o zdradzie i przekupieniu generała Skrzyneckiego przez rząd rosyjski, wierutna bajka, niezręcznie ułożona; wreszcie odezwa Komitetu Narodowego emigracji polskiej do belgijskiego ministra wojny, p. Evain, wymierzona przeciw generałowi Chrzanowskiemu, który miał być powołanym do służby belgijskiej.

Jeżeli dziwić się można redaktorowi pisma polskiego na obczyźnie, że umieszczał podobne oszczerstwa lub samochwalstwa przyszłego wodza „nieopatrznej“, według Mickiewicza, partyzantki z r. 1833, to zdumień się wprost trzeba nad „objaśnieniem“ Komitetu, podpisanem przez Dwernickiego, Umińskiego, Sierawskiego, Teodora Morawskiego, Jana Ledóchowskiego, Franciszka Wołowskiego, Aleksandra Jełowickiego i Michała Hubego.

Jakiegokolwiek bowiem byłyby winy Chrzanowskiego, to podobne wywlekanie brudów domowych przed forum opinii publicznej, takie piętnowanie człowieka, który zblądził w niejednym względzie, ale ani sprzedawczykiem, ani zdrajcą nie był, żadną miarą usprawiedliwić się nie da.

Tłómaczy je chyba ów stan rozdrażnienia, w jakim się emigracya znajdowała, owa boleść i żal przejmujący serca w nadziejach swoich zawiedzione i świadomość winy własnej. Dążąc do usprawiedliwienia siebie i swoich czynów, co z ludzkiego stanowiska łatwo usprawiedliwić można, wyszukiwał każdy tych, którzy, według jego widzenia rzeczy, sprawie narodowej w ten lub w inny sposób szkodzili. Kwestye ogólnego znaczenia przybierały charakter osobisty. Każda książka, traktująca o historyi powstania, każdy artykuł dziennikarski, roztrząsający ostatnie wypadki, dawał więc powód do polemiki. Dzieło Romana Sołtyka, w kilku ogłoszone językach, *Historya Spaziera*, Michała Hubego *Russisches Schreckens und Verfolgungssystem*, nawet biografia generała Rybińskiego, wywoływały protesty, sprostowania i wyjaśnienia, po-

żądane wprawdzie dla dzisiejszego historyka, ale podniecające wtedy do dalszej walki roznamiętnione umysły i obrażone ambicje.

Bezwzględna krytyka, uprawiana przez pokolenie młodsze, przez dawnych członków Towarzystwa Patriotycznego, przez uczestników spisku Wysockiego, przeniesiona z gruntu warszawskiego na bruk paryski, uderzała przede wszystkim w Rząd, w jenerałów, w Sejm, była dalszym ciągiem tego fermentu, który stworzył krwawą noc 15 sierpnia. I jeżeli wtedy, od Łysobyckiej zwłaszcza wyprawy na Rüdigera, zdrada chodziła w biały dzień po ulicach „Syreniego grodu“, to tu, na tułactwie, stała się ona codzienną strawą emigracyi, faktem nie ulegającym prawie wątpliwości.

Zrewolucjonizowana opinia, poniewierając lub obalając uznane przez kraj i społeczeństwo powagi, stawiała na ich miejsce ludzi nowych o zszarżanej przeszłości i o wątpliwych charakterach. Z głębi wzburzonych żywiołów emigracyjnych wypływali na powierzchnię Gurowscy, Krępowieccy lub Zaliwscy; notoryczny natomiast dziś zdrajca i sprzedawczyk, Ramorino, znachodził jeżeli nie obrońców, to przynajmniej łaskawych sędziów¹⁾.

Prywata i zaciekłość dochodziły do tego stopnia, że wynoszono marne osobistości nie z przekonania o ich zasługach i znaczeniu, lecz dla demonstracyi. Obrażeni na Bema bracia Mochnacy uczcili Zaliwskiego obiadem, na którym wręczono mu pałasz honorowy, chociaż równocześnie Maurycy w swojej *Historji powstania* charakteryzował go jako „człowieka ordynaryjnego, tępego i małego pojęcia, pokątnego intryganta i kłamcę“ (II, 82), a Maurycemu wtórował brat, Kamil. „Zaliwski — tak pisał do matki²⁾ — rzeczywiście nie był wart takiego zaszczytu, uczyniliśmy to, aby pokazać Bemowi i innym jenerałom tu przytomnym, również Niemojewskiemu i innym, że umiemy cenić zasługi, i że choć Zaliwski nie wielkie ma zdolności, położył jednak dla kraju zasługi wię-

¹⁾ Por. J. N. Janowski: *Les derniers moments de la Révolution de Pologne*, str. 107.

²⁾ *Listy Maurycyego i Kamila Mochnackiego*. (Poznań, 1863, str. 45).

ksze, jak oni“. Lelewel poszedł jeszcze dalej. Wystąpił „z oracyą, długą jak kazanie, w której wystawił Zaliwskiego większym i sławniejszym, niżeli którykolwiek z bohaterów wieków starych, średnich i nowych. Zrobił go największym wojownikiem, największym politykiem, prawdziwym i jedynym reprezentantem rewolucyi i rękojnią przyszłego bytu Polski. Rozumieliśmy, że żartuje sobie z Zaliwskiego. Sam Zaliwski słuchał za stołem z największem podziwieniem i sam nie wiedział nawet, że go mają za tak sławnego człowieka“. A je dnak uwierzył w końcu pochlebstwom i postanowił zbawić Polskę według swojej metody.

Ruch przybierał charakter demokratyczny i radykalny, zwracał się nie tylko przeciw hierarchii, ale i przeciw szlachcie; gdy zawiodła dyplomacya, dążył do przymierza z ogólnoeuropejską rewolucyą, dla „skruszenia pęt“ gotów był „wzwać same piekło“.

Młodziutki podporucznik Ludwik Mierosławski (ur. w r. 1813), występując pierwszy raz z mową 29 listopada 1832 r. w Besançon, wołał: „Feudalizm runie pierwszy pod naszymi ciosami i głowy zimnych samolubów, którzy w XIX wieku nie umieją jeszcze rumienić się na samą nazwę arystokracji, posłużą za podnóżki bohaterom plebejuszowski“. W tym duchu działał też odtąd bez wytchnienia, ze zdumiewającą wytrwałością i z wzrastającym wciąż na szkodę Polski powodzeniem.

Gdy przedwczesna śmierć wytrąciła pióro z ręki Maurycyego Mochnackiego, postanowił dzieło przez niego rozpoczęte dalej prowadzić. Oparłszy się na skromnej, lecz sumiennej pracy Brzozowskiego pod względem militarnym i przyswoiwszy sobie jego poglądy, zaczął zbierać skrzętnie materiały wśród żyjących uczestników powstania, słuchał ich opowiadań uważnie, notował szczegóły i przyjmując wszystko, co mu mówiono bez krytyki, stworzył z tego chaosu, z tej mieszaniny prawdziwych faktów i plotek, nie historię powstania, lecz wielki akt oskarżenia przeciw całemu jego kierunkowi.

Styl dziwaczny, lecz błyskotliwy, dosadne wyrażenia, jakich używał, bezwzględność w sądach, jaskrawość przekonań, przewyższająca o całe niebo umiarkowane poglądy Mo-

chnackiego, jednały Mierosławskiemu licznych zwolenników wśród emigracyi. Jan Ledóchowski, poseł jędrzejowski, ten sam, co na Sejmie 1830 r. ubił wniosek Szanieckiego o zniesieniu pańszczyzny, wydał własnym nakładem dzieło Mierosławskiego ¹⁾.

Autor, z powołania wojskowy, poświęcił uwagę swoją głównie działaniom wojennym, wykazał, co nie było rzeczą trudną, cały szereg błędów, popełnionych przez Skrzyneckiego i rozmaitych jenerałów polskich, ale uniesiony zarazem swoim temperamentem, potępił wszystko i wszystkich, nie zostawiając, jak to mówią, suchej nitki na nikim.

Człowiek, który, według wyrażenia się Garibaldiiego, „o nikim nigdy pocziwego słowa nie powiedział“ ²⁾, nie mógł oczywiście być bezstronnym i znajdował szczególniejsze upodobanie w poniewieraniu takich, co współczesnych, a i jego samego przewyższali zdolnością, rozumem i charakterem.

Rybińskiego nazwał więc „paralitykiem oglupiałym“ ³⁾, Kołaczkowskiego „pedantem i dłubaczem“ ⁴⁾, Bema „paroksyzmalnym passyonatem i szulerem, gotowym stawić całe miemie ojczyzny, jak swoje własne, na jedną kartę“ ⁵⁾, Prądzyńskiego „osłupiałym przeniewiercą“ ⁶⁾, Milberga, Andrychiewicza i Wronieckiego „pretoryanami“ ⁷⁾. Jeden tylko „stary huzar“ ⁸⁾ Umiński, zapewne z tytułu swego „kuzynostwa“ z autorem, przedstawia się, mimo pewnych usterek, jako „serdeczny patriota“ i „zdolny dowódzca odrębnego korpusu“.

Najcięższe zarzuty spadają jednak na Prądzyńskiego. Mierosławski, w sądach swoich lekkomyślny, w badaniu i używaniu źródeł nie krytyczny, raz tylko jeden oddaje sprawiedliwość Prądzyńskiemu, kiedy musi przyznać, że jego plan

1) *Powstanie narodu polskiego w r. 1830 — 1831*, przez Ludwika Mierosławskiego, wydane nakładem posła Jana Ledóchowskiego. (W Paryżu, 1845).

2) Władysław Mickiewicz: *Emigracya polska (1860—1890)*. (Kraków, 1908, str. 17).

3) *Bitwa warszawska*. (Poznań, 1888, I, 126).

4) Tamże, str. 3.

5) Tamże, II, str. 2.

6) Tamże, I, str. 77.

7) Tamże, str. 33.

8) Tamże, I, str. 129.

uderzenia na Geismara miał „oczywistą wyższość teoretyczną nad współzawodniczącym konceptem Chrzanowskiego“ (*Powstanie narodu polskiego*, I, 480), ale w następnych już tomach nazywa go tylko „genialnym pedagogiem bez żadnego charakteru i bez żadnej pilności“, a mistrzowskie wprost prowadzenie bitwy pod Iganiami przypisuje wyłącznie dzielności wojska, które „wśród chmur bojowych czytało opodał migi, snujące się pod czaszką sternika“.

Spazier z drugiej strony uważa wprawdzie Prądyńskiego za największy może geniusz wojenny swego czasu, zarzuca mu jednak zarazem próżność i gadulstwo. Barzykowski, usiłując bronić Skrzyneckiego, zwłaszcza za klęskę Ostrołęcką, przypisuje część winy, bodaj czy nie największą, Prądyńskiemu, Dembiński wyraża się o nim niechętnie, podejrzywa go o intrygi; Kołaczkowski wreszcie przypisuje niepowodzenia, jakie spotykały generalnego kwatermistrza, słabości charakteru, wyegzaltowanemu przywiązaniu do żony i powierzchowności zgoła nie wojskowej.

Wszystkie te sądy, których przesadę lub bezpodstawność później będziemy się starali udowodnić, miały wspólne swoje źródło w osobistej niechęci, jaką budzi zwykle w popolitych umysłach wyższe uzdolnienie, we wzajemnej emulacyi i w usposobieniu hierarchicznem starszyny wojskowej.

Mierosławski i Spazier opierali swoje poglądy na działalność Prądyńskiego na relacyach jego przeciwników, Kołaczkowski, acz zaprzyjaźniony z nim, wysnuwał swoje ujemne wnioski z drobiazgowych okoliczności. Raziło go n. p., że Prądyński nosił kaftanik różowy roboty żony, widoczny pod surdudem mundurowym, że na głowie (dnia 15 sierpnia) miał czapkę czworograniastą, nie wojskową i siedział na ogromnym koniu, chudym jak koń Apokalipsy¹⁾, co według jego opinii miało razić żołnierzy, jak gdyby ci żołnierze nie pamiętali, że ten sam Prądyński z szaloną odwagą prowadził ich w najcieńszym ogniu pod Iganiami do zwycięstwa, jak gdyby go nie widzieli wśród gradu kul na polach Ostrołęckich i Grochowskich.

¹⁾ *Wspomnienia Generała Kołaczkowskiego*. (Kraków, 1902, V, str. 26).

Całkiem odmienne zdanie mieli też o nim obcy. Puzyrewski mieni go najzdolniejszym i najbieglejszym ze wszystkich wojskowych polskich, podziwia nadzwyczajny wprost dar orientacyjny i przenikliwość Prądyńskiego w najtrudniejszych okolicznościach¹⁾, ale dodaje zarazem, że jego plany albo odrzucano, albo też marnowano przez niedołężne wykonanie. To samo niemal powtarza Smitt²⁾ i Spazier, a wszyscy trzej, nie znając oczywiście stosunków ówczesnych, zarzucają Prądyńskiemu brak tęgości charakteru.

Nic dziwnego, że pod wrażeniem niesprawiedliwych wyroków, ostracyzmem własnych ziomków dotknięty, czuł Prądyński nie tylko potrzebę oczyszczenia siebie z zarzutów, ale także i odsłonięcia właściwych przyczyn upadku sprawy narodowej.

W tym zamiarze układał on swoje przedstawienie do Rządu Narodowego po klęsce Ostrołęckiej, ogłoszone przez niedyskrecyę w dziennikach współczesnych (w *Dzienniku powszechnym*)³⁾, z tą myślą wyjeżdżał z Warszawy na miejsce zesłania swego, do Wiatki, w styczniu 1832 r.

Wstrzymany w drodze chorobą, spędził cztery miesiące⁴⁾ w Jarosławiu i tam, a prawdopodobnie już i poprzednio w Warszawie, zaczął pisać, z gorączkowym widocznie pośpiechem, swoje pamiętniki, które dal do odczytania zesłanym do tego miasta generałom Michałowi ks. Radziwiłłowi i Krukowieckiemu, a drugiemu zostawił nawet kopię, własnym opatrzoną podpisem. Była to rzecz bszerna i zawierała szczegóły dla współczesnych dość drażliwe, kiedy Krukowiecki wątpił, aby to dzieło „przynajmniej nie z wolą autora, dzień zobaczyło,

1) Puzyrewski: *Der Polnisch-Russische Krieg im Jahre 1831*. Tłómaczenie niemieckie kapitana Mikulina, t. II, str. 294.

2) Friedrich Smitt: *Geschichte des polnischen Aufstandes in den Jahren 1830 und 1831, nach authentischen Quellen dargestellt*, (Berlin, 1848).

3) *Uwagi Jenerała Prądyńskiego nad ówczesnym stanem rzeczy w Polsce*.

4) Wyjechał stamtąd do Carskiego Sióła 15 maja 1832 r. Korespondencya Prądyńskiego w Archiwum Akademii Umiejętności w Krakowie. List do matki, pisany dnia 14 maja.

bo jest sprzeczne z dziennikiem, który dla cesarza napisał, a z którego Smitt cytacye na nasz uszczerbek robi¹⁾). Jakoż nie myślał Prądzyński wcale o wydaniu pamiętników. Kiedy go osadzono w Gątczynie i kiedy tam, na rozkaz cesarza Mikołaja, napisał znany *Memoryał o wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831*, a jakiś księgarz zamierzał później ten pamiętnik drukiem ogłosić, Prądzyński udał się do przyjaciela swego, Piotra hr. Moszyńskiego, z usilną prośbą, aby do publikacyi nie dopuścił, bo uważał wydanie pism swoich, dotyczących r. 1831, za przedwczesne. Moszyński wykupił znacznym kosztem rękopis, i Prądzyński uspokojony zabrał się dopiero do układania właściwych swoich pamiętników. Za podstawę służył mu niewątpliwie ów pierwszy rzut w Warszawie i w Jarosławiu napisany, o którym wspomina jako o oryginale w manuskrypcie, będącym własnością Jerzego hr. Moszyńskiego²⁾), z niego dyktował kopiście, Antoniemu Kamińskiemu, nauczycielowi historii literatury polskiej w gimnazyum św. Anny w Krakowie i bibliotekarzowi Piotra Moszyńskiego, i uzupełniał tekst pierwotny własnoręcznymi dopiskami.

Tak powstała całość, obszerna wprawdzie, ale nie zupełna, bo urywająca się na konferencyi z Dannenbergiem, w przededniu szturm na Warszawę, a więc w chwili dla Prądzyńskiego najkrytyczniejszej, kiedy miał wystąpić właśnie w oplakanej roli pośrednika pomiędzy Paskiewiczem a Krukowieckim i ściągnąć na siebie brzydkie, nawiasem powiedziawszy, zgoła nieuzasadnione podejrzenie odstępstwa i zdrady.

Znużony trudami ośmiomiesięcznej kampanii i bezustanną swoją walką ze Skrzyneckim, znękany chorobą, uczuł on nader boleśnie lekkomyślne zarzuty, jakimi go obarczało społeczeństwo i dawni towarzysze broni i postanowił u schyłku swego życia odkryć istotne przyczyny upadku sprawy narodowej i swoją działalność we właściwem przedstawić świetle.

¹⁾ Por. *List Krukowieckiego do kapitana Forstera. Powstanie narodu polskiego 1831 r.* (Berlin, 1873). Część druga XXVI. Wnuczka jenerała Krukowieckiego na moje zapytanie oświadczyła, że posiada tylko papiery ogłoszone już przez Forstera.

²⁾ Por. wstęp do tomu I, str. XLIII.

Ostatni cel był rzeczą całkiem naturalną, pierwszy zaś służą. Kto tak, jak Prądzyński, miał sposobność wnikać w tajniki ówczesnego położenia, znać ludzi najwyższe zajmujących stanowiska, na tym ciążył obowiązek, przekazać potomności to, na co patrzył i w czem brał udział, nie oszczędzając nikogo i nie krępując się żadnymi względami. Tak uczynił Prądzyński i tem się tłumaczy, że pragnął, aby pamiętniki ogłoszono dopiero po jego śmierci, wtedy, kiedy będą mogły stanowić „materiał dla bezstronnego historyka“. Czy pisał prawdę, czy nie, czy unosiła go zanadto miłość własna i niechęć do tych, co niweczając lub wypaczając jego genialne pomysły, przywiedli powstanie i kraj do upadku, na to możemy dziś już odpowiedzieć łatwo.

Na podstawie licznych pamiętników z owego czasu, na podstawie krytycznych rozbiorów wojny i obfitych materiałów rękopiśmiennych, stwierdzić należy, że przedstawienie rzeczy Prądzyńskiego jest zupełnie wiarogodnem, w szczegółach jedynie tu i ówdzie może nie całkiem dokładnem. Ale i to uchybienie, którego wcale ukrywać nie myślimy, da się usprawiedliwić już to względami osobistej natury, od czego nikt chyba wolnym nie jest, już to zanikiem pamięci, już to wreszcie upadkiem sił fizycznych autora, trapionego nieuleczalną chorobą, złamanego niepowodzeniami, upadającego pod ciosami przeciwnych losów.

Mimo to zachował on do ostatniej niemal chwili zadziwiającą świeżość i bystrość umysłu. Dowodem tego są nie tylko pamiętniki obecnie wydane, ale także, w wyższym jeszcze stopniu, rozbiór kampanij polskich przedstawiony krótko, zwięźle i jasno w książce, ogłoszonej przez Ignacego Moszczeńskiego pod tytułem *Cztery wodzowie polscy przed sądem historyi* ¹⁾.

Znajdują się tam, obok krytycznych uwag nad działaniami wojennymi, w rozmaitych czasach, poglądy ogólne, świadczące chlubnie o podniosłych uczuciach i wytrawnym sądzie autora. Gdy na bruku paryskim, wśród tułactwa naszego toczyły się zawzięte spory o formę rządu w przyszłej Polsce, gdy wychodztwo polskie — że użyjemy tu słów Mic-

¹⁾ Poznań, 1865 r.

kiewiczza — „napadła adresomania i proklamacyomania i gorsza jeszcze mania teoryj przyszłych konstytucyj“, wystąpili przeciw tej „chorobie“ otwarcie najwybitniejsi i najrozumniejsi patrioci, między nimi szczególnie: Mickiewicz i Prądzyński. Pierwszy zwalczał w *Pielgrzymie* demokratów w rodzaju Gurowskiego i Krępowieckiego, którzy „w szale francuskim chcieliby pomagać Mikołajowi do wytępienia szlachty polskiej“, drugi ostrzegał, że „zajmowanie się formą rządu dla jakiego kraju, zanim istnienie jego niepodległe jest zapewnione, jest to zaczynać budowę gmachu od dachu, zapomniawszy o fundamencie“, a gorzkim doświadczeniem nauoczony, wołał: „O! dla Boga! zaniechajmyż raz dzielić się pomiędzy sobą tak czczemi, bo przedwczesnemi kwestyami. Wszystkie siły narodowe niechaj połączone będą i zmierzone ku temu jedynemu a wielkiemu celowi, odzyskania bytu politycznego; inne zajęcia mogą nas tylko osłabiać i oddalać. Odzyskawszy ten byt i utwierdziwszy go na niezachwianych zasadach, wtedy dopiero zajmujemy się kwestyami polityki wewnętrznej, formą rządu i jeżeliby to już bez tego być nie mogło, wadźmy się nawet pomiędzy sobą. Wtedy nawet najkrwawsza wojna domowa nie będzie dla ojczyzny tak okropną, jak jest dzisiaj stan jej potworny“¹⁾.

W tych kilku zdaniach zawiera się polityczne wyznaczenie wiary Prądzyńskiego, w nich odbija się jego charakter i wzniosły sposób myślenia. W wyjarzmieniu Polski, w odzyskaniu dla niej bytu politycznego widział on główny cel życia swego, a jeżeli, zniechęcony przeciwnościami, chwilowo odrywał się od niego i pragnął szukać szczęścia i osłody w życiu rodzinnem, to na pierwsze wołanie ojczyzny stawał pod sztandarem narodowym i służył sprawie publicznej z godną podziwienia wytrwałością i z największem poświęceniem.

Dziś, gdy w zmateryalizowanem społeczeństwie uczucie miłości ojczyzny jeżeli nie ocblódkło, to znacznej uległo modyfikacyi, gdy miejsce patryotyzmu zajął t. zw. nacjonalizm, gdy działania nasze i dążności, przy odmiennych warunkach bytu narodowego, odmienne też, nie co do celu, lecz co do kierunku, przybrały kształty, zrozumienie owej epoki, tak bli-

¹⁾ *Czterej wodzowie*, str. 25

skiej naszym sercom, a tak dalekiej od wyobrażeń i pojęć obecnego pokolenia, wymaga głębokiego wniknięcia w stosunki nietylko polityczne, ale szczególnie społeczne i rodzinne, tam, gdzie duch narodowy przechowywał się w nieskażonej jeszcze czystości i skąd wychodziły idee, poruszające całe społeczeństwo. Nie wolno zaś nam, wzbogaconym gorzkimi doświadczeniami całego stulecia i przygnębionym klęskami, potępiać tych, co wśród innych zrodzeni i wychowani warunków, inaczej od nas myśleli i działali, ani też, ulegając zwątpieniu, szukać pociechy w rezygnacyi lub w dobrowolnem a małodusznem zrzekaniu się ideałów przeszłości.

Pamiętniki Prądzyńskiego, wydane staraniem i kosztem Akademii Umiejętności, stanowią pierwszorzędne źródło do poznania i zgłębienia prądów, przenikających ówczesne pokolenie, jakoteż do zbadania przyczyn upadku listopadowej rewolucyi. Przedstawiają one plastyczny obraz wypadków i ludzi, imponujący ogromem poświęcenia, zapału i bohaterstwa, ale przygnębiający zarazem słabością charakterów, zupełnym brakiem energii i doświadczenia politycznego.

Wielogłowy i gadatliwy Sejm, Rząd, nie mający właściwie władzy, istna „komisyja prowianeka“, a ponad niemi wódz Naczelny, rodzaj hetmana z czasów Rzeczypospolitej, zasiadający w Rządzie, od tego Rządu niezależny, wszystko razem wzięte, machina konstytucyjno-republikańska, ciężka, do sprężystego działania niezdolna, na bierność z góry skazana i w bierności od początku do końca trwająca.

Zdrowy instynkt narodu, przykład insurrekcyi Kościuszkowskiej, cała natura przedsięwzięcia, zalecały skupienie władzy w jednej osobie — dyktaturę. Ale i ten środek, użyty w początkach, okazał się zawodnym.

Chłopicki, acz dzielny żołnierz, był zanadto żołnierzem, aby objąć i zrozumieć położenie, lub uwierzyć w możność zwycięstwa. Pragnął więc wojny uniknąć, w razie przeciwnym zaś, „wykropić się dobrze“, „dać Moskwie tęgiego kulaka“, nie skończyć „po neapolitańsku“. Po za takie wykropienie się myślą nie sięgał, sprawę powstania uważał z góry za przegraną. Tak a nie inaczej sądzili także członkowie Rady Administracyjnej, ks. Lubecki i ks. Czartoryski, nawet, z pe-

wną modyfikacją, i Lelewel¹⁾). Na tem złamała się siła powstania.

Przebieg dalszych wypadków przedstawiają nam najdokładniej pamiętniki Prądyńskiego.

II.

Prądyński pochodził z dawnej rodziny szlacheckiej, osiadłej w Wielkopolsce i w Prusach Zachodnich. Ojciec jego był rejentem wschowskim, a następnie, chodząc dzierżawami, rządem, pracowitością i oszczędnością dorobił się uczciwego majątku. Ignacy, urodzony w r. 1792, otrzymał staranne wychowanie, najpierw w domu pod kierunkiem emigranta francuskiego X. Tylmana, a następnie w Dreźnie, gdzie objął nad nim opiekę kanonik kujawski, X. Jezierski, przyjaciel ojca, wygnany z kraju za udział w powstaniu Kościuszkowskim. Edukacya, do ówczesnych pojęć zastosowana, nie była systematyczną. Młodzi — oprócz Prądyńskiego, jeszcze dwaj bracia Gorzeńscy — uczyli się łaciny, geografii, historii, rysunków, architektury wojskowej, geometryi, jazdy konnej, fechtunku, musztry, nawet muzyki, ale wykształcenia gruntownego nie nabyli. X. Jezierski, „zagorzały patryota“, wykladał im historję i geografję i budził oczywiście w uczniach swoich uczucie miłości ojczyzny. Zbytecznym to było dla Prądyńskiego, który z tradycyi domowej i z opowiadań wuja swego, Łaszczyńskiego, konfederaty barskiego, czerpał zasady, ożywiające uczestników Barszczyzny i insurekcyi Kościuszkowskiej. Wszystko to zaszczerpiło w jego umyśle „gorącą miłość do nieszczęśliwej ojczyzny i nienawiść ku jej ciemiężcom“.

To też kiedy w r. 1806, po bitwie pod Jeną, pojawił się w Wielkopolsce generał Dąbrowski i dał hasło do powstania, wstąpił Prądyński natychmiast do tworzącego się wtedy 11 pułku piechoty, brał udział w kampanii pod Gdań-

¹⁾ Protokół posiedzeń Rady Administracyjnej. *Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu*, 1870 — 1872, str. 427 — 459.

skiem i uzyskał za swoją gorliwość i uzdolnienie stopień adjutanta-podoficera. Po wojnie zapisał się do szkoły aplikacyjnej wojskowej, założonej świeżo w Warszawie, zdał świetnie egzamin i posunięty na podporucznika, został przeznaczony do korpusu inżynierów, gdzie pełnił służbę adjutanta przy podpułkowniku Mallecie. Tu jednak nie próżnował, nie zamykał się w ciasnym obrębie służby, lecz usilną pracą i niemałym kosztem nawet kształcił się w swim zawodzie. W dzieciństwie zajmowała go *Iliada* Homera, którą w tłumaczeniu Dmochowskiego czytywał głośno wieczorami ojciec, później obudził w nim *Robinson Kruzo* zamiłowanie do fortyfikacyj, od X. Tylmana, emigranta, nabył gruntownej znajomości języka francuskiego, X. Jezierski zapoznał go z historią i geografją. Nie zadowolnił się jednak temi okruciami wiedzy. Gorącą miłością ojczyzny ożywiony, pomny może słów Napoleona, że „naród zgnieciony przez swoich sąsiadów, może się tylko podnieść z bronią w rękę“, przejęty wiarą w tego „Boga wojny“, co świeżo „brzydkie Prusactwo“ zdeptał, a jednej części Polski nadał byt niezawisły, pragnął on wydoskonalic się w rzemiośle wojennem, aby skutecznie służyć sprawie, której całe życie swoje poświęcić zamierzał i w istocie poświęcił.

Przeniesiony jako porucznik do artylerji pieszej w r. 1809, skorzystał z chilowego pokoju i wraz z Klemensem Kołaczkowskim uczył się pilnie geometrii wykreslnej, rachunku różniczkowego, integralnego i geometrii analitycznej, od profesora matematyki Liveta, płacąc po pół dukata za godzinę, a równocześnie pracował z obowiązku służbowego nad ufortyfikowaniem Modlina, mając pod swoim dozorem 3000 kopaczy, 200 murarzy i 200 cieśli. Toż dzień cały schodził mu na wytykaniu i profilowaniu, połowę nocy zabierały projekty i rachunki. Ale młodzież ówczesna pojmowała inaczej swoje powołanie! Chłapowski, o kilka lat starszy od Prądzyńskiego, będąc już adjutantem Napoleona, nie wachał się wcale słuchać kursów w szkole politechnicznej w Paryżu i pracować tam niemal bez wytchnienia.

Kursa — tak opowiada Chłapowski — trwały od 8-ej do 11-ej, potem śniadanie bardzo krótkie; od 12-ej do 5-ej znowu kursa, o 5-ej obiad, a od 7-ej do 10-ej korepetyto-

rowie powtarzali z uczniami to, co na kursach wykładano¹⁾. I nikomu przez myśl nie przeszło narzekać na przeciążenie, bo „każdy był przekonany, że doświadczenie jest potrzebne, ale że doświadczenie bez nauki przygotowawczej jenerała nie wykształci“.

Tak rozumiała i spełniała wtedy obowiązki swoje młodzież. Natchnienie i siłę dawały jej ideały, które przechowywała w swoich sercach, które ją podnosiły i uszlachetniały, wskazując jako cel życia: poświęcenie i sławę, a nie dobrobyt i karierę. Wobec wielkich wypadków, wstrząsających światem, potężniał duch ludzki. Wśród grzmotu dział nie było miejsca dla jałowych dyskusyj; życie wymagało hartu, energii i zdolności do czynu. I tem się tłómaczy, że ówczesne pokolenie wydało z pośród siebie tyle charakterów silnych, tylu prawdziwych bohaterów, tylu ludzi szlachetnych i do poświęcenia skłonnych, a tak mało Buchmanów.

Nie z fantazyi rycerskiej, nie dla zadowolenia ambicyi osobistej przelewano krew polską na wszystkich pobojowiskach świata, lecz w przeświadczeniu, że skoro „jest sława, to będzie i Rzeczpospolita“. W tem pojęciu wojaczka stawała się powołaniem, a nie rzemiosłem, i stąd poszła owa gorliwość w służbie, ścisłość w pełnieniu obowiązków i wytężona praca nad wykształceniem zawodowem.

Ona też stworzyła właściwie z Prądyńskiego żołnierza. Człowiek na wskrósł uczuciowy, najlepszy syn, tkliwy mąż i ojciec, uzdolniony pisarz, o powierzchowności wcale nie wojakowej, z temperamentem łagodnym, z sercem otwartem, z wyobraźnią żywą, o zakroju poetyckim, nie przywykły do rozkazywania, wyrobił on się mimo to, pod wpływem idei, na znakomitego oficera i genialnego planistę. Słabego zdrowia, znosił wytrwale trudy obozowego życia, na polu bitwy okazywał pogardę śmierci i zadziwiającą odwagę, w najtrudniejszych okolicznościach umiał zachować zimną krew i przytomność umysłu.

Ukształcenie swoje i wyrobienie zawdzięczał własnej pracy i wrodzonym zdolnościom, ale także i pomyślnym sto-

¹⁾ Jenerał Dezydery Chłapowski: *Pamiętniki*. (Poznań, 1899, str. 28).

sunkom. Odbył bowiem, już w stopniu kapitana saperów, kampanię moskiewską i kampanię 1813 r. pod okiem Napoleona I, gdzie nabrał doświadczenia i praktycznej znajomości sztuki wojskowej. Przeznaczony do dywizyi jenerała Dąbrowskiego, odznaczył się w potyczce z jenerałem Ertelem, w bitwie pod Borysowem i podczas przeprawy przez Bezezynę.

Przebywszy w domu rodzicielskim chorobę, której się nabawił w odwrocie z Moskwy, podążył Prądyński do korpusu ks. Józefa Poniatowskiego w Krakowie. Była to z wielu względów decydująca dla sprawy polskiej chwila. Chodziło zwłaszcza o to, jak Polacy mają się zachować wobec pogromu Napoleona i zmienionej przez to zupełnie sytuacji politycznej: czy nie należałoby im naśladować Prusaków i Niemców w ogóle, odstąpić upadłą wielkość i szukać porozumienia z koalicją rosyjsko-pruską, do której usiłowano także wciągnąć Austryę. Czynił w tym kierunku zabiegi ks. Adam Czartoryski. Doradzał ministrom Księstwa Warszawskiego¹⁾, aby zawarli traktat z Aleksandrem I, zapewniał, że car jest takiej kombinacji przychylny, że można, polegając „na sekretnych zaręczeniach“, ogłosić go królem polskim i „połączyć się z resztą braci, pod berłem rosyjskiem już będących“.

„Tymczasem — tak kończył — korzystajcie panowie z ugodności już uczynionych, jeżeli możecie zostać w Warszawie, to zostańcie, jeżeli nie, to przynajmniej na ziemi polskiej; wojska od siebie nie puszczajcie, od cudzoziemców oswobodźcie się pod pretekstem, że sami ten punkt bronić będziecie“.

Rzecz jest godna zastanowienia, że rada, jaką podawał swoim ziomkom doświadczony dyplomata i znawca stosunków politycznych, zgadzała się niemal zupełnie z opinią młodziutkiego, zaledwie dwudziestoletniego kapitana Prądyńskiego.

Prądyński sądził także, że Książę Józef powinien był pozostać w kraju, ale, jako wojskowy, wyobrażał sobie dalsze działanie Poniatowskiego inaczej.

¹⁾ List pisany z Dubna dnia 12 marca 1813 r. Rkp. Biblioteki ks. Czartoryskich, Nr. 5442.

Księżę, mając 12.000 wojska, złożonego z samych weteranów, mógł rozbić obserwacyjny korpus rosyjski Sackena ¹⁾ i oparty o Zamość, prowadzić wojnę na tyłach armii sprzymierzonej, z największą szkodą dla koalicji, a z niemalą korzyścią dla Napoleona. Zważyć bowiem należy, że oprócz Zamościa, miały załogi polsko-francuskie także twierdze: Modlin, Toruń, Gdańsk, Szczecin, Głogów i Kistrzyn i że w Krakowie znajdowało się mnóstwo nadliczbowych oficerów, których można było użyć do tworzenia nowych pułków. Wojna na tej podstawie rozpoczęta i prowadzona z energią tak, jak w r. 1809, nadawała sprawie polskiej zupełnie inne znaczenie. Rozumiał to doskonale Napoleon, kiedy rozkazywał ks. Józefowi, aby starał się zrobić powstanie w Polsce, rozumiał niemniej i nieprzyjaciel, który usiłował przez ks. Antoniego Radziwiłła skłonić Poniatowskiego do ugody z koalicją, do opuszczenia Napoleona. Rycerski charakter ks. Józefa nie pozwolił mu odegrać roli Yorka, ale z drugiej strony wrodzona słabość i otoczenie odwozili go od ryzykownego, jak sądził, powtórzenia kampanii z r. 1809.

Obecny w Krakowie minister Matuszewicz doradzał porozumienie z Aleksandrem I, szef sztabu armii polskiej, generał Różniecki, chłodny patriota i, jak przyszłość okazała, człowiek nizekzemny, nie dodawał Księżu zapewne otuchy, Austriacy, pragnąc się pozbyć wojska polskiego, które dotąd rzekomo osłaniali przed pościgiem Rosyan, podsuwali myśl konwencji.

Jakoż na tem stało. Ks. Józef przeprowadził przez Szląsk, Morawy, Czechy korpus swój do Saksonii, gdzie połączył się z Wielką armią i dzielił jej losy aż do bitwy lipskiej. Prądyński, ozdobiony krzyżem legii honorowej, mianowany pod Lipskiem szefem szwadronu i przydzielony do dywizji generała Dąbrowskiego, nie brał już udziału w kampanii 1814 r., bo został wysłany do Torunia, aby stan tej twierdzy zbadać i zdjąć plany fortyfikacyj. Wywiązawszy

¹⁾ Według obliczeń Kołaczkowskiego, miał Sacken 6000 ludzi (*Wspomnienia*, II, str. 6); według jen. Horsetzky'ego (*Kriegsgeschichtliche Übersicht der wichtigsten Feldzüge in Europa seit 1792*. Wien, 1905. Sechste Auflage) 10.000 ludzi.

się znakomicie z tego polecenia, przeszedł do sztabu generalnego kwatermistrzowstwa armii polskiej.

Była to chwila, kiedy na Kongresie Wiedeńskim rozstrzygały się losy Polski, kiedy wszyscy z naprężeniem oczekiwali wyroku i ludzili się nadzieją odbudowania całej ojczyzny pod berłem Aleksandra I. Groźna odezwa W. Ks. Konstantego do wojsk polskich (2 grudnia 1814 r.), głuche wieści o nieporozumieniach pomiędzy monarchami, zgromadzonymi w stolicy austriackiej, wiara zresztą w obietnice Agamemnona koalicji i wpływy ks. Czartoryskiego utwierdzały Polaków w mniemaniu, że spełnią się ich nadzieje i że z morza krwi, przelanej na tyłu pobjawiskach, powstanie wreszcie Polska od Dźwiny aż do Odry, chociaż z dynastją Romanowów na tronie.

Złudzenie nie ustało nawet po utworzeniu Królestwa Kongresowego, bo podtrzymywał je sam Aleksander nowemi obietnicami o przyłączeniu „prowincyj zabranych“, bo oddając w r. 1819 „władzę cesarską“ bratu Konstantemu ¹⁾ nad guberniami wileńską, grodzieńską, mińską, wołyńską, podolską i obwodem białostockim i tworząc korpus litewski, zdawał się dążyć rzeczywiście do spełnienia najgorętszych życzeń narodu polskiego.

Obok tego jednak stosunki wewnętrzne przedstawiały obraz całkiem odmienny i budziły wielkie niezadowolenie w społeczeństwie. W. Książę brutalnem swoim postępowaniem, wybuchami swego gwałtownego charakteru zrażał umysły, stawał się wprost postrachem ludności, szczególnież oficerów i żołnierzy. Szemrało wojsko, złożone z weteranów napoleońskich i z kwiatu intelligencji, nie przywykłe do barbarzyńskiej dyscypliny i dziwactw Konstantego, zżymała się młodzież, którą W. Książę chciał do wojskowej przyzwyczaić subordynacyi.

Mimo swobód konstytucyjnych — bo należy przyznać, że konstytucya Królestwa była na owe czasy wcale liberalna — panowała w administracyi dowolność. Zgrzybiały Zajączek, mianowany namiestnikiem, nie miał znaczenia. Cała

¹⁾ Karnowicz: *W. Ks. Konstanty. Zarys biograficzny.* (Warszawa, 1899, str. 32).

władza spoczywała właściwie w rękach W. Księcia, a zwłaszcza w rękach pełnomocnego komisarza cesarskiego, Nowosilcowa.

Może być, że chłodny rozsądek nakazywał znosić cierpliwie te przykrości i lepszych czekać czasów, ale społeczeństwo, w odmiennych źródzone i wychowane warunkach, myślało i czuło inaczej. Sięgając pamięcią epoki Wielkiego Sejmu, żyło ono i oddychało nadzieją odzyskania niepodległości.

„Pragnienie rewolucyi — tak pisał generał Chłapowski w r. 1832 — istniało w Polsce od czasu rozbiorów zawsze i istnieć będzie tak długo, dokąd nie odzyskamy niepodległego bytu“¹⁾; a Prądzyński, który może i nie znał broszury Chłapowskiego, powtarza niemal słowo w słowo to samo. „Dopóki Polska nie wróci do praw jej się przynależących, dopóki zbrodnia polityczna XVIII-go wieku na niej spełniona naprawioną nie będzie, dopóty wszelkie zawiechrzenia, obiecujące zmienić postać polityczną Europy, znajdują w Polsce i odgłos i gotowych w tym kraju ludzi, a zwłaszcza młodych, do udziału w nich, czy to one się zjawią pod godłem nowego despoty, czyli też wywołane będą przez wyobrażenia demokratyczne“²⁾.

Tą myślą i miłością ojczyzny przejęty a losem jej niepewnym, podobnie jak i inni, zaniepokojony, utworzył, on prawdopodobnie w r. 1815, wspólnie z Klemensem Kołaczkowskim i Gustawem Małachowskim tajny związek *Przyjaciół polskich*, na wzór niemieckiego *Tugendbundu*, celem „wzmocnienia braterskiego przywiązania“ pomiędzy Polakami i zjednoczenia ich do wspólnego działania, gdy stosowna po temu nadejdzie pora.

Efemeryczna ta konspiracya „nie wyszła po za rogatki warszawskie“, wiodła żywot suchotniczy i zakończyła go bez rozgłosu. Wnet jednak powstała druga, o wiele poważniejsza, wywołana już to ogólnem niezadowoleniem, już to przykładem innych narodów.

¹⁾ *Lettre du Général Chłapowski sur les événements militaires en Pologne et en Lithuanie.* (Berlin, 1832, str. 1).

²⁾ *Pamiętniki*, I, 14.

Kongres Wiedeński rozczarował nie tylko Polaków. Zamiast upragnionej wolności, jakiej spodziewały się wszystkie ludy, powołane przez Koalicję do walki z „despotą“ i „ciemnizytcielem“ Europy, ograniczył się Kongres do likwidacji spadku po Napoleonie i do przywrócenia dawnego porządku rzeczy. Restauracya Bourbonów we Francyi i w Hiszpanii, połączenie Belgii z Hollandyą pod berłem orańskim, wreszcie podział Włoch, nie różniły się wiele od tych przewrotów, jakich dokonywał Napoleon. A jeżeli wielka jego armia niosła, bądź jak bądź, na swoich bagnietach cywilizacyę i kulturę, dawała podbitym narodom, zgodne z postępem czasu urządzenia społeczne i jaką taką reprezentacyę, to legitymizm, zakrzepły w swoich pojęciach, zasadzał swoją politykę na bezwzględnej reakcyi, na przywróceniu dawnych stosunków, na tłumieniu wszelkich liberalnych objawów i dążności, przypominających Wielką Rewolucyę.

To zaślepienie, to nieprzystosowanie się do nowych warunków życia, to oczywiste sprzeniewierzenie się hasłom, rzuconym pomiędzy tłumy, w celu porwania ich do walki z „uzurpatorem“, musiało wywołać powszechne i nawet usprawiedliwione rozgoryczenie. Niezadowoleni, czując słabość swoją, chwycili się środków, przez rządy monarchiczne im zaleconych, zaczęli spiskować. W Niemczech był dla nich wzorem *Tugendbund*, utworzony za staraniem i pod protekcyą rządu pruskiego, gdzie indziej mieli gotowe kadry w wolnomularstwie, nie tylko tolerowanem, ale i popieranem przez koronowane głowy.

Z tych nasion, rzuconych niebacznie i pielęgnowanych, zeszedł na bujnym gruncie w porewolucyjnym okresie plon obfity. Cała Europa, zwłaszcza południowa i zachodnia, była wprost podminowana przez konspiracye rozmaitego rodzaju.

Czyż wobec tego Polacy, tyłu węzłami połączeni z Zachodem, naśladowający Francuzów w literaturze i obyczajach, także niezadowoleni i pokrzywdzeni, także posiadający swoje łoża masońskie, niegdyś do *Tugendbundu* wciągani, mogli się uchronić od tej konspiracyjnej choroby, gdy ona, jak rak, toczyła inne społeczeństwa, gdy stawała się rzeczą modną, gdy zalecano ją jako niezawodny środek przeciw despotyzmowi?

Przenigdy. Spiski były złem nieuchronnem w ówczesnych warunkach, złem tem fatalniejszym, że sprzeciwiały się wprost naturze polskiej, wrodzonej Polakom otwartości, wielomówstwu i lekkiemu usposobieniu. Ale przyszły, bo przyjść musiały. Gdy rządy, spostrzegając w końcu niebezpieczeństwo podziemnego ruchu, chwyciły się repressyjnych środków, gdy Aleksander I, ulegając wpływowi Metternicha, nagle z „czarnego stał się białym“, łoże wolnomularskie w swoim państwie zamknął i wszelkich towarzystw tajnych surowo zabronił, powstała u dołu łatwo zrozumiała reakcja. Z tym „nowym kursem“ schodziły się bowiem okoliczności, dające wiele do myślenia: zaprowadzenie ostrej cenzury, przebieg Sejmu 1820 r. i nieustanne prześladowania wojskowych ze strony W. Księcia. Wśród ludzi myślących i troskliwych o dobro kraju zaczęły się budzić rozmaite wątpliwości i obawy. I wtedy to major 4-go pułku piechoty, Łukasiński, „zapatrując się na smutne położenie wojska i nielepsze położenie całego kraju, uważając, że nikt nie myśli przynieść jakąkolwiek ulgę, postanowił sam szukać polepszenia“ i z Wolnego Mularstwa, natenczas jeszcze nie zamkniętego, utworzyć związek o celach narodowych i politycznych. Stało się to dnia 3 maja 1819 r. Do założycieli tego Narodowego Wolnomularstwa należeli, oprócz Łukasińskiego, Szreder, podpułkownik Kozakowski, i rzecz ciekawa a charakterystyczna, także Skrobecki, kapitan kwatermistrzowstwa, adjutant generała Haukego, figura rządowa.

Nie pisząc historii spisków ówczesnych, nie będziemy wchodzić w szczegóły, zaznaczymy tylko, że z Wolnomularstwa Narodowego wyłonił się wnet spiszek następny pod nazwą *Towarzystwa Patriotycznego*, że do niego przystąpił także Prądzyński i że brał on udział w głośnej, powszechnie znanej scenie na Bielanach, gdzie d. 3 maja 1821 r. składano przed żelaznym medalionem z popiersiem Kościuszki, zawieszonym na szpadzie Prądzyńskiego, przysięgę, przywiezioną przez Umińskiego z Wielkopolski a streszczającą się w tem, że każdy z obecnych „w obliczu Boga i Ojczyzny zaręczał słowem honoru dołożyć wszystkich sił dla podźwignięcia nieszczęśliwej, kochanej Matki“.

Opowiadano sobie później i pisano, że pierwsza myśl założenia spisków tajnych wyszła od generała Dąbrowskiego. Prądyński przeczy temu stanowczo i nie podobna przypuścić nawet, aby człowiek tak doświadczony, senator i wojewoda Królestwa Polskiego, świadomy dobrze intryg pruskich i trudności, jakie stawiano utworzeniu konstytucyjnej Kongresówki w Wiedniu, mógł wskazywać ziomkom swoim drogę konspiracyi, jako środek zbawienny i wiodący do celu.

Prawdą jest tylko tyle, że nieraz, w Winnej Górze, opowiadając starym wojskowym wydarzenia z rewolucyi Kościuszkowskiej i szczegóły dotyczące Legionów, kładł nacisk na potrzebę *utrzymania ducha narodowego*¹⁾. Z tego zalecenia, bardzo zresztą trafnego, wysnuli zapewne młodzi i mniej rozważni wnioski całkiem inne. Zdawało im się, że nie dość jest utrzymywać ducha narodowego przez działanie legalne, rozszerzać go przez oświatę pomiędzy ludem, dążyć do reformy stosunków włościańskich, starać się o zachowanie obyczajów narodowych i o stosowne tradycjom narodowym odpowiednie wychowanie młodzieży, lecz że należy koniecznie użyć do tego celu modnej wówczas i popularnej metody konspiracyjnej.

Wielka część winy spada w tym względzie na opozycją sejmową, na to stronnictwo, które, doktrynerstwem konstytucyjnym obalamucone, zaniedbywało najżywotniejsze sprawy, a w kwestyach mniej ważnych, podrzędnych, toczyło zaciekłe walki z rządem. Hasłem dla tej szkoły, czysto konstytucyjnej, było: „Fraszka niepodległość kraju, aby tylko była wolność i konstytucya“²⁾. Stworzyli ją głównie bracia Niemojowscy, Wincenty, wielbiciel Benjamina Constant³⁾ i Bonawentura. Pierwszy, ożeniony w r. 1810 z Katarzyną Umińską, siostrą generała, wymowny i popularny, nadawał ton opozycyi, drugi, mniej zdolny, wtórował bratu.

¹⁾ *Pamiętniki* Ludwika Sezanieckiego. (Poznań, 1863, str. 62)

²⁾ Prądyński, I, 20.

³⁾ Wydał w r. 1831 książkę: *O monarchii konstytucyjnej i rękojmiami publicznych*. Rzecz wyjęta z dzieł Benjamina Constant, przekładu Wincentego Niemojowskiego. 2 tomy.

Czy Umiński porozumiewał się z szwagrem, czy działał samorzutnie, przykładając czynnie rękę do utworzenia Towarzystwa Patryotycznego, niewiadomo — trudno jednak nie-dopatrzyć się pewnego związku pomiędzy działaniem Niemojowskich a konspiracją, przez Umińskiego do życia powołaną.

Umiński nie miał pomiędzy wojskowymi wielkiej sympatii. Kołaczkowski pisze o nim ¹⁾, że był człowiekiem bardzo wykształconym, lecz pełnym dziwactw, popędliwym i tyranem dla poddanych, że oddawał się grze namiętnie, że znał dobrze służbę konnicy, natomiast nie miał wyobrażenia o służbie innych broni, i że wskutek okrucieństw, jakich się dopuszczał; imię jego utraciło cały swój urok pomiędzy żołnierzami.

Sąd Prądyński jest jeszcze surowszym. Według niego, Umiński, „człowiek zupełnie zły, przejadł, przepił i przebulał piękny majątek po rodzicach“ jako też sukcesyę po bracie, a straciwszy wszystko, „puścił się na przemyśl, pożyczał, gdzie mógł co wykrzyzczyć, wyludzić i z gracza, jakim był dotąd, stał się skończonym szulerem“ ²⁾. Mimo to uchodził jednak za dobrego Polaka, za zagorzałego patryotę, a że umiał przytem imponować, więc przebaczano mu wiele i oddawano się chętnie pod jego komendę; oddał się także i Prądyński, wówczas jeszcze nie znający dobrze Umińskiego.

Tak stanęło Towarzystwo Patryotyczne, a bądź równocześnie, bądź później, za jego przykładem, bądź też całkiem oddzielnie, zaczęły powstawać inne organizacje tego rodzaju, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą, i wkrótce cały kraj pokrył się niewidzialną siecią spisków, które „stały się po r. 1820 najwyższym trybunałem, sądzącym sumienia zwykłych obywateli i najwyższych dostojników państwowych“. „One to stworzyły zagadkowych bohaterów i wyciskały piętno zbrodnicze na tych przedewszystkiem, co się śmieli im sprzeciwić w czemkolwiek. Stowarzyszenia mianowały się samozwańczo przewodnim i absolutnym mężem stanu, wytyczającym kierunki polityce narodowej“ ³⁾.

¹⁾ II, 18 i 28.

²⁾ I, 30.

³⁾ Aleksander Rembowski: Przedmowa do *Spadku piśmiennego po generale Maurycym hr. Haukem*. (Warszawa, 1905, str. XXX).

Z większą jeszcze goryczą wyraża się o spiskach uczestnik konspiracji, Paszkowski ¹⁾). „Mieniono patriotyzmem — tak pisze — co było junakieryą. Wykonywano przysięgę na sekret i łamano ją przy indagacyi, a niekiedy przez samą bojaźń, przez zwątpienie. Nie mogło być inaczej. Związkowi nie widzieli przed sobą materyalnych środków, mogących prowadzić do celu, a moralnych nie pojmowali, nie wierzyli w nie. Nie uzbrajali się w cnoty, w czystość obyczajów, w pochopność do pracy, które są jedyną potęgą przeciw arbitralności, a kochającą niezależność“.

Jeżeli temu przedstawieniu rzeczy zarzucić można pełną przesadę, bo i pomiędzy spiskowymi nie brakło ludzi z poświęceniem, skorych do pracy i cnotliwych, to zaprzeczyć niepodobna, że tajne związki były w życiu społecznem i narodowem pierwiastkiem bardziej szkodliwym, niż pożytecznym, że, podniecając w społeczeństwie gorączkę czynu, nie uczyniły nic, aby naród do czynnego działania przygotować, że kraj wydawały na pastwę losów i przypadku. I inaczej być nawet nie mogło, gdy spisek ograniczał się przeważnie do młodzieży i do oficerów niższych stopni, gdy nie należeli do niego ani posłowie, ani członkowie senatu, a wyjątkowo tylko ludzie, wybitniejsze zajmujący stanowiska. W „prowincjach zabranych“ przystąpiło wprawdzie do konspiracji wielu ziemian zamożnych, zacnych i wpływowych, ale właśnie ta gałąź spisku zmarnowała się zupełnie, jak okazały wypadki r. 1831. Nie dziwnego, że i Prądzyński, mimo swego gorącego patriotyzmu, rozczarował się niebawem. Od dawna miał on już pewne wątpliwości. Raził go udział w konspiracji Wierzbolowicza i Kozakowskiego. Pierwszy, „zdatny do pióra“, był „miękkim w ogniu“, w życiu prywatnem, dodamy nawiasowo, niezbyt skrupulatny, jak świadczy stosunek jego z siostrą przyjaciela Łukasińskiego; drugi uchodził pomiędzy kolegami za człowieka złego i po upadku powstania wstąpił natychmiast do szeregów rosyjskich.

Ponadto już przy układaniu statutów Towarzystwa Patriotycznego powstało nieporozumienie pomiędzy Łukasiń-

¹⁾ Tamże XLII. Por. zresztą opinię o spiskach Barzykowskiego. I, 252.

skim i Machnickim z jednej, a Prądyńskim i Teodorem Morawskim z drugiej strony. Ostatni chcieli ustanowić z góry prawa, według których naczelna władza związku miała się w razie potrzeby odnawiać, pierwsi pragnęli utrzymać w swoim ręku najwyższą władzę i możność przybierania sobie członków kierującego komitetu. Czy grała tu rolę ambicya osobista, czy przekonanie, trudno odgadnąć, wątpimy jednak bardzo, aby Prądyński dążył do własnego wyniesienia lub działał z zazdrości ku Łukasińskiemu. Zazdrości nie było czego, bo naczelnictwo w spisku groziło śmiercią, lub co najmniej więzieniem, a Prądyński do sprawowania władzy najwyższej, despotycznej, nie miał zgola usposobienia.

Przypuścić raczej należy, że działał on w dobrej wierze, że bystrym swoim umysłem sięgając w przyszłość, pragnął organizacyi związku dać trwale podstawy, stworzyć z niego przez stosowny dobór ludzi na naczelne stanowiska rzecz poważną, bo, jak sam powiada, nie widział wśród założycieli, do których przecież się sam zaliczał, „ani powagi dostatecznej, ani zdolności na utajonych naczelników narodu“¹⁾.

Mogło to zapatrywanie niepodobać się Łukasińskiemu i Machnickiemu, mogło zadraskać ich miłość własną, ale niemniej przeto było słusznem i zupełnie uzasadnionem.

Łukasiński, „szary major“ liniowego pułku, niewątpliwie człowiek pełen poświęcenia, nie posiadał jednak znaczenia takiego w społeczeństwie, któreby w danym wypadku zdołało porwać i pociągnąć za sobą naród. W owych czasach, więcej stokroć, niż dziś, oglądano się na tych, co mieli za sobą urok imienia, powagę stanowiska i przeszłość w narodzie znaną.

Tego społeczeństwa nie mogli poprowadzić ani Piotr Wysocki, ani Łukasiński, ani Machnicki.

Czy to było źle, czy dobrze, próżno dziś dochodzić, ale fakt jest faktem, i Prądyński, znając usposobienie ogółu, miał zupełną słuszość, gdy żądał, aby kierownictwo Towarzystwa powierzyć osobistościom znanym i uznanym w kraju. Przemawiał z niego wtedy nie „świetny sztabowiec“, się-

¹⁾ I, 37.

gający podstępnie po męczeńską koronę dyktatora konspiracyi, ale człowiek rozumny, przewidujący wypadki, troskliwy o przyszłość ojczyzny, skazany, niestety, na los Kassandry.

Po tym pierwszym zawodzie, przyszły wnet inne: lekkomyślne przyjmowanie członków i może jeszcze lekkomyślniejsze z ich strony traktowanie przyjętych na siebie obowiązków. „Każdy niemal był gotów na pierwsze wezwanie złożyć przysięgę dla Polski; ale iluż to prosiło zaraz, ażeby na nich nie wkładać żadnych obowiązków, ponieważ mieli swoje zajęcia lub nie czuli w sobie usposobienia. Róbcie tam bezemnie — mówili — ja się na wszystko zgadzam“ ¹⁾. Jakież to prawdziwe! jakież to czysto nasze, polskie! Któż, biorący dziś udział, nie w spiskach, ale w pracy publicznej u nas, nie spotyka się co chwila z podobną wymówką, z podobną obojętnością, z takim wstrętem do jakiegokolwiek wysiłku, wymagającego natężenia umysłu, poważniejszego zajęcia lub zaniechania codziennych przyzwyczajęń i rozrywek?

Spółczesność ówczesne zresztą, nie przygniecione jeszcze tyłu troskami, co obecne, nie pojmowało, że obowiązki, nawet dobrowolnie przyjęte, należy pełnić ściśle i sumiennie. Dosiąść konia z orężem w rękę gotów był każdy, do pracy powolnej i żmudnej brakowało zrozumienia i wytrwałości. Obok tego, przybierała konspiracja coraz to więcej charakter partyzantki. Tworzono spiski odrębne, które się w robocie krzyżowały i jakkolwiek do jednego dążyły celu, nie mogły się ani porozumieć, ani w jedną zlać całość. Wszystkie też, oprócz klęsk, prześladowań i zmarnowania tyłu egzystencji, żadnego nie przyniosły pożytku, przeminęły jak cień, a co gorsza, ułatwiły działanie żywiołom obcym i wrogo dla narodu polskiego usposobionym.

Dziś już nie jest tajemnicą, że zły duch Polski, Nowosilcow, dorabiał się na spiskach tajnych fortuny i karyery, że on, z nیکczemnych najnikczemniejszy, stawał się dla W. Ks. Konstantego i Aleksandra I mężem opatrznosciowym, że z mętów wyrastał na wielkiego człowieka. Mając od cesarza polecenie śledzenia spisków, prowadził on tę robotę ze szczególnem upodobaniem. Zorganizowano system policyjny w kraju

¹⁾ Tamże.

i za granicą, siecią szpiegów otoczono całe niemal społeczeństwo.

„W żadnym miejscu publicznego zebrania — opowiada współczesny świadek ¹⁾ — ani nawet w towarzystwach prywatnych, nie można było być pewnym ujścia baczności agentów policyjnych. Osoby, znane z uczuć patryotycznych, miały po jednym, a niektóre po kilku tajnych a nieodstępnych stróżów“. Znajdowali się oni wszędzie, zwłaszcza w miejscach publicznych, w kawiarniach, restauracjach, podsłuchiwali co mówiono i donosili do Biura Centralnego, gdzie królował Roźniecki; wciskali się do mieszkań prywatnych z takim natręctwem, że spokojny i nieunoszący się łatwo generał, wtenczas pułkownik Kołaczkowski jednego takiego szpiega zrzucił ze schodów, a drugiemu porządnie wygarbował plecy ²⁾. Tam, gdzie agent policyjny dotrzeć nie mógł, używano do szpiegowania służby domowej, zagranicą prowokatorów.

Oślawiony Birnbaum wciskał się do zgromadzeń studenckich na uniwersytetach niemieckich przebrany za akademika, miewał tam mowy zapalne i słał następnie denuncjacye do Warszawy.

Cała ta kunsztowna machina policyjna, opłacana z funduszów Królestwa, pochłaniała ogromne sumy, a co gorsza, demoralizowała społeczeństwo, w najspokojniejszych umysłach budziła nieufność do rządu, w gorętszych nienawiść i pragnienie zemsty.

Zapewne, w chwili gdy powstawało Towarzystwo Patryotyczne, nie był jeszcze system szpiegowski tak doskonale zorganizowany, ale po Sejmie 1820 r. bezwzględna repressya dała się już łatwo przewidzieć.

Czy przewidywał ją Prądzyński, wątpić należy; on sam nie o tem nie wspomina. Wystąpił z Komitetu dlatego, że musiał w obowiązkach służbowych opuścić Warszawę, a właściwie z tej przyczyny, że był do związków tajnych zrażony, że nie czuł w sobie usposobienia do roboty konspiracyjnej i że uważał wreszcie charakter polski za zupełnie niezdolniony do spiskowania, w czem się też nie mylił.

¹⁾ Skarbek: *Królestwo Polskie*, II, str. 99.

²⁾ *Wspomnienia*, III, str. 90.

Wszystkie te motywa są tak proste i zrozumiałe, że trudno o ich szczerości powątpiewać. Nieporozumienia z Łukasimskim mogły Prądyńskiego w powyżem postanowieniu utwierdzić, ale nie były weale głównym powodem ustąpienia jego z Komitetu. Zarzut intrygowania, jaki mu czyni Łukasimski¹⁾, tak często powtarzający się w podobnych robotach i nie poparty zresztą dowodem, odnieść należy zresztą do sporów o organizacyi związku i dziwić się nie można, że Prądyński, jakkolwiek cenil prawość Łukasimskiego, nie uważał go za osobistość odpowiednią na Naczelnika. Wszak uznał to i sam Łukasimski, kiedy miał zamiar mianować Naczelnikiem generała Kniaziewiczą.

Faktem jest natomiast, że Prądyński, powołany na przewodniczącego Komisyi demarkacyjnej od strony Prus, w czynnościach Komitetu udziału brać nie mógł, a sumiennie pojmując swoje obowiązki, figurantem być nie chciał, ukończywszy zaś pracę około rozgraniczenia w r. 1822, otrzymał polecenie zrobienia projektu na kanał Augustowski, łączący Wisłę z Niemnem. Nie mając gruntownego wykształcenia technicznego, wymawiał się z początku od tego zajęcia, ale uległ wreszcie przekonywującym argumentom swego zwierzchnika, generała Haukego.

„Ja na żaden sposób — mówił Hauke — nie mogę powiedzieć W. Księciu, że w polskich korpusach artyleryi, inżynieryi i kwatermistrzowstwa nie mam oficera, coby potrafił zrobić projekt kanału“. Ta słuszna uwaga poskutkowała i Prądyński wyjechał w Augustowskie, zabrawszy z sobą brykę pełną książek, z których dopiero w drodze uczył się sztuki zakładania kanałów, prostowania rzek i t. d.

Żelazna wytrwałość i nadzwyczajne uzdolnienie sprawiły, że ten dyletant w zawodzie technicznym stworzył rzecz doskonałą, że wykonał dokładny projekt i w kosztorysie chyby nie popełnił.

Podniety dodawała mu miłość, nadzieja połączenia się węzłem małżeńskim z tyle ukochaną przez niego Emilką, panną Emilią Rutkowską.

1) S. Askenazy: *Łukasimski*, II, str. 25.

Sądził bowiem, że po ukończeniu budowy kanału, zdoła, co było prawie rzeczą pewną, otrzymać posadę dyrektora tej wodnej komunikacyi, przejść ze służby wojskowej do cywilnej i stworzyć sobie upragnione ognisko rodzinne. W tej myśli oświadczył się o rękę swojej ubóstwianej i zyskawszy przyzwolenie panny i matki, wystawił dom w Augustowie, założył ogród, wziął ślub dnia 20 września 1825 r. i sprowadził żonę do nowej siedziby.

Dr. August Sokołowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CANOSSA.

(Ciąg dalszy).

III.

Po wiek XI, a nawet i później, imiona niewieście rzadko się pojawiają na kartach historii. Zasada chrześcijańskiej emancypacji kobiet dojrzewała powoli, a zresztą najszczytniejszy wzór, wzór Służebnicy Pańskiej, uzacniał kobietę, ale jej nie wyrwał z domowego zacisza. Imionami niewieściami, z tej epoki, które się zapisały w pamięci ludzkiej, są po większej części tylko owe kwiaty, wyrosłe w bujnym ogrodzie martyrologii chrześcijańskiej, z Agnieszką, Agatą i Cecylią na czele. Potem, w chwili wyjścia chrześcijan z katakumb, przy odnalezieniu legendarnem Krzyża Pańskiego, staje wyniosła postać matki cesarza Konstantyna, Heleny. Potem jeszcze na cichem wybrzeżu Ostyjskiem rozbrzmiewa głos św. Moniki w owym nieśmiertelnym pożegnalnym dialogu z św. Augustynem, kiedy wedle słów Skargi, matka „patrzac na morze i na ziemię, miała wdzięczną rozmowę z synem o niebieskiej ojczyźnie i dziwnych sprawach boskich na ziemi, na morzu i na niebie“. Później, w ustroniu gór Sabińskich, na pustelni w Subiaco, gdzie po dziś dzień dwa sąsiednie kościoły o tej rzewnej spójni świadczą, wyrabia się pierwowzór siostrzanej miłości w osobie św. Scholastyki, wiernej towarzyszki ukochanego brata, św. Benedykta. Wreszcie w niezgasłej po tylu wiekach aureoli mozaik rawennackiego grobowca błyszczy dotąd szlachetna

pamięć nieszczęśliwej córki wielkiego Teodozjusza, Galli Placidy.

Ale z nią, po raz pierwszy niejako w świecie chrześcijańskim zstępuje kobieta z domowego lub klasztorного zacisza w wir publicznych spraw i wypadków. W sąsiadującym o kilka kroków z mauzoleum Galli Placidy kościele San Vitale w Rawennie patrzy ze ściany na przechodnia twardem spojrzeniem swych szeroko rozwartych oczu dumna postać kobieca, górująca majestatem nad otaczającą ją świtą, a przybrana w złoci-ty strój, naszyty drogiemi kamieniami i uwieńczona ciężkim dyademem, z którego olbrzymie perły spływają strugą na szyję i ramiona. To Teodora, z szumowin cyrkowych w Bizanecyum na tron wschodniego cesarstwa przez Justyniana wywyższona *basilissa*, dzieląca z nim odtąd władzę, wmięszana we wszystkie sprawy publiczne, czy to kiedy potężny Belizaryusz przez nią popadł w niełaskę, czy kiedy za jej wpływem składano papieża Sylweryusza z urzędu, kierowniczką chwiejnej zawsze woli małżonka, a nieraz z po za kotary gyneceum i przeciw tej woli działająca. Równocześnie zaś niemal, kiedy cały Wschód korzy się przed wszechwładnym majestatem Teodory, na Zachodzie i Północy brzmią złowrogo inne dwa nazwiska kobiece: to Fredegonda i Brunhilda wśród zdrady, bezwstydu i mordów rozdierają pomiędzy sobą stuletnią już monarchię Merowingów. Groźne imię Justynianowej małżonki pojawia się zresztą po kilku wiekach znowu na kartach historii, kiedy inna Teodora, żona senatora rzymskiego Teofilakta, a potem córka jej Marozia, nazywająca się dumnie *Senatrix et Patricia*, zawładnęły Rzymem, którego dzieje wśród rządów i nierządów obu tych niewiast streszczają się przez szereg lat w dramatach ponurego zamku św. Anioła. Wreszcie z tego samego Bizanecyum, gdzie wśród zniewieściałych mężów wyrabiały się łatwiej silne indywidualności kobiece i gdzie w osobie cesarzowej Teodory powstał był prototyp ambitnej kobiety wieków średnich, wychodzi pod koniec X wieku, grecka córa cesarska, piękna Teofano, czuwająca jako wdowa po wcześniej zmarłym cesarzu Ottonie II nad koroną młodziutkiego syna, Ottona III, w którego marzycieliską duszę wszczepiała hieratycznymi tradycjami z ro-

dziunego Wschodu owe wygórowane pojęcia, jakie miał przez całe życie, o majestacie i posłannictwie wskrzeszonego przez przodków rzymskiego imperium.

Do miłości Boga, miłości macierzyńskiej lub siostrzanej, do miłości władzy lub własnej, któremi się kobiety nowej ery uświęcały, wsławiały na przemian lub zniesławiały, przynosi w XI wieku Matylda miłość nową, która odtąd po wszystkie czasy ma tak wielką w życiu niewiasty chrześcijańskiej grać rolę: miłość Kościoła. To też gdy wśród pielgrzymki pod sklepieniami przestworami bazyliki św. Piotra podróży ujrzy w rzędzie błogosławiących marmurowych lub spiżowych papieży grobowiec niewieści, kryjący przeniesione tu na rozkaz Urbana VIII z Mantuy zwłoki hrabiny Matyldy, nie zadziwi go, że Kościół obok prochów najwyższych swych stróżów, Namieśników Chrystusowych, dał gościnność szczątkom tej pani, co mu była służebnicą wierną w czynie i przywiązaniu, a służy odtąd za pierwowzór *pro devoto femineo sexu*, „dla pobożnego rodzaju niewieściego“.

I znów, jak zawsze, kiedy jakaś postać średniowieczna przed oczyma stanie, trzeba wprzód zajrzeć do panteonu tej epoki, do *Boskiej Komedyi*, poszukać, czy i jaki pomnik Dante jej postawił. W precudnych pieśniach końcowych *Purgatoria*, kiedy pielgrzym mistyczny staje u celu pokutnej wędrówki i dopełnia odkupienia, wprowadza go do rajy ziemskiego

Una Donna soletta, che si gia
Cantando ed iscogliendo fior da fiore,
Ond'era pinta tutta la sua via ¹⁾.

Ta „piękna Pani“, jak ją wieszcz bezimiennie przez szereg pieśni zowie, zanurza go z kolei w Lete, w rzece zapomnienia grzechów, wiedzie w owej słynnej apokaliptycznej processyi, wśród której pojawia mu się umiłowana

¹⁾ Niewiasta sama szła i rozśpiewana
I zbierająca z pośród kwiatów kwiecie,
Którem jej dróżka była malowana...

(*Czyściec*, XXVIII, w tłóm. E. Porębowicza).

Beatrycze, obmywa wreszcie w Eunoe, strumieniu pamięci dobrych uczynków. Piękna przewodniczka symbolizuje życie czynne w miłości Kościoła, a Dante na samym końcu, bo w ostatniej pieśni *Czyścica*, nazywa ją raz jedyny po imieniu, i to imieniem Matyldy. Czy to hrabina Matylda Toskańska? Spór o to pomiędzy komentatorami *Boskiej Komedyi* toczy się oddawna, ale chyba zostanie nierozstrzygnięty na zawsze. Bo w istocie przypuścić nie łatwo, aby poeta, który przemileczał walkę o inwestyturę i dramat rozegrany w Canossie, który nie wspomniał ani słówkiem o Grzegorz VII i Henryku IV, chciał był wymienić, a co więcej uwielbić Matyldę. Wszakże ta toskańska pani była przede wszystkim tarczą, zasłaniającą papieństwo przed naporem cesarstwa, w którego powszechności upatrywał Dante ratunek Kościoła, ratunek Rzymu i świata, a dziełem jej żywota, to owa wiekopomna donacya, królewskie wyposażenie Stolicy Apostolskiej. Któż zaś nie pamięta tej płomiennej inwektywy z XIX-ej pieśni *Inferna* przeciw papieżom potępionym za symonię — przyczem zapomnieć nie wolno, że to czasy przeniesienia papieństwa do Avignonu — gdzie poeta biada nad donacyą Konstantyna, którą wziął „pierwszy bogaty ojciec“, *il primo ricco padre*, a którą zwie z przekleństwem „macierzą złego?“ A jednak kto wniknął w „święty poemat“, *il poema sacro*, i kto drogą tą wejrzał głębiej w prawowierną duszę wieszczą, ten nie oprze się tak bezwzględnie utożsamieniu Matyldy z *Purgatoria* z Matyldą z Canossy. Bo za świadectwem samego poety, który Bonifacego VIII za życia na piekło skazał, policzek, wymierzony przez zuchwałego Nogareta w twarz tego papieża, trafia w twarz Chrystusa! Nienawiść do osoby nie narusza nigdy u niego świętości instytucyi, a więc może i tu, w sprawie Matyldy, wśród rozgrywającej się bezustannie walki w sercu wieszczą, walki wielkich miłości i wielkich nienawiści, przywiązanie do Kościoła przeważało nad niedościgłym, złudnym ideałem politycznym i społecznym. Zresztą zaś ta dusza, która w miłosnych *canzonach Vita Nuova* po raz pierwszy zerwała się do lotu — do kobiety, życia jej i czynów, inną zawsze przykłada miarę: umiłowaną ziemiankę, Beatryczę, wywyższa poeta do uosobienia wiedzy spraw

Bożych; z niewiast na wieczne potępienie skazuje zaledwie kilka, przeważnie mitycznych, jak Helenę, Didonę lub Manto; a nawet tam, w tem piekle, gdzie mu Wergiliusz tak surowo nakazuje wyzbyć się wszelkiej litości, mdleje ze współczucia i „pada jako martwe ciało“, słysząc żalną skargę nieszczęśliwej Franceski. Więc kto wie, czy pamięć szlachetnej hrabiny Toskańskiej nie zgłuszyła na ten raz gniewu Ghibellina i czy szukając żywego symbolu czynnego życia, nie znalazł go w niej i nie wcielił w swą rajską Matyldę.

Żywot Matyldy spisał współczesny jej mnich z zakonu osiadłych w Canossie Benedyktynów, Donizo. Niestety zamówienie pisarzy średniowiecznych, a już szczególnie kronikarzy z XI wieku, do wierszowanych kronik psuje te skąd inąd tak ciekawe zapiski. Bo w twardych heksametrach wykoszlawiona łacina tej epoki staje się jeszcze bardziej zawiła, ciemna, nieraz wprost niezrozumiałą¹⁾. Ale z tego na dwie księgi podzielonego panegiryku, z pochwalnych deklamacyj, nie rozróżniających znaczenia i wagi poszczególnych wypadków i poświęcających pokucie Henryka IV w Canossie, na którą kronikarz patrzył, nie więcej wierszy, co przygodnemu oblężeniu Mantuy, lub jakiegokolwiek zamku, przeziera jednak ze współczesnem świadectwem żywa prawda.

Potężny ród Canossów wywodził się od Sigifreda z Lukki, który, korzystając z pogromu państwa Longobardzkiego przez Karolingów, poszedł na północ do Lombardyi, aby tam zdobywać ziemie. Syn jego Azzo w nagrodę za służbę wo-

¹⁾ Na próbkę ówczesnej łaciny niech posłuży znaleziony przez Muratorego (*Rer. ital. script.* T. V) na marginesie kodeksu Donizona napis na nagrobek matki Matyldy margrabiny Beatryczy:

Quamvis peccatrix sum — Domna vocata Beatrix
 In tumulo (sic) missa — Quamquam fuerim Comitissa
 Quilibet ergo Pater Noster — Det pro mea anima ter.

Na obronę Donizona dodać należy, że jego łacina i wiersze są przecieź od przytoczonych dużo lepsze. Dwa pierwsze z tych wierszy są podobno wyrze na starożytnym grobowcu Beatryczy w Pizie. Na miejscu wyczytać ich nie zdołałem, bo napis niewyraźny.

jenną, pełnioną u biskupa Alarda z Reggio, otrzymał od niego sąsiednią skałę Kanuzyjską, na której pobudował zamek obronny, Canossę. Z chwilą otrzymania udzielnosci, a aż na trzy generacye, stanęli władcy na Canossie po stronie cesarstwa. Tenże zaś sam Azzo, za walne usługi oddane Ottonowi I, mianowicie za wyratowanie przyszłej cesarskiej małżonki, Adelajdy, z niewoli i pościgu Berengara z Iwrei, otrzymał w nagrodę marchię, złożoną z Mantuy, Modeny, Reggio i Parmy. Ostatni z dynastyi Ottonów, cesarz Henryk II, świadczył nadal łaski służącemu mu wiernie trzeciemu panu na Canossie, Tedaldowi, ale dom Canossów miał dopiero zajaśnieć pełnym blaskiem pod czwartym przedstawicielem rodu, a ojcem Matyldy, margrabią Bonifacym. Męstwem, przebiegłością, okrucieństwem i zamiłowaniem przepychu jest ten margrabia Bonifacy niejako protoplastą późniejszych wielkich condottierów włoskich, przemieniających się w dynastów, a zwrotem swej polityki przeciw cesarstwu, siewcą przyszłej idei Gwelfów. Kroniki o nim opowiadają, jak rządy swoje od tego rozpoczął, że znalezionych w komorze zmarłego ojca dwanaście worów z pieniędzmi rzucił pomiędzy przyjaciół, ufając, iż bogactw mu zawsze starczy, lecz że potęgę na wiernej drużynie oprzeć musi. Drużyny takiej potrzebował wobec innych panów lombardzkich, którzy zazdrosnem okiem spoglądali na wystrzelający coraz wyżej ponad ich głowy ród Canossów. Od dawna knowane spiski, próby zbuntowania przeciw Bonifacemu własnej jego rodziny, spełzły jednak na niczem, a zakusy współzawodników skończyły się pogromem ich w otwartem polu. Tymczasem zaś z łaski cesarskiej nowe na ród Canossów spadały dobrodziejstwa. Bo gdy ze śmiercią Henryka II wygasła dynastya saska, panowie włoscy, pragnąc wyzwolić się z pod przewagi cesarzy niemieckich, ofiarowali koronę włoską królowi francuskiemu Robertowi, potem Wilhelmowi, księciu Akwitanii, i całe północne i środkowe Włochy, od Pawii po Florencyę, zrzeczyły się przeciw nowemu królowi Niemiec, Konradowi Salickiemu. Przy Konradzie zostało zaledwie kilku stronników, ale pomiędzy nimi ten, który we Włoszech najwięcej znaczył, margrabia Bonifacy. To też gdy Konrad, poskromiwszy bunt, ruszył w tryumfalnym pochodzie po ko-

ronę cesarską do Rzymu, przechodząc przez bogatą Toskanię, oddał ją w nagrodę wiernych usług panu na Canossie, który się odtąd zwał *Duca et Marchio Tusciae*. Stosunek z Konradem zacieśnił się jeszcze, kiedy Bonifacy pojął za żonę krewniaczkę cesarską, Beatrycę Lotaryngską. Świat ówczesny zdumiał nad wspaniałością orszaku, z którym księżę włoski po narzeczoną na północ ruszył, a kroniki zapisują, że konie rycerzy srebrem były kute, aby gubione po drodze podkowy pouczały lud, jaki to pan tym szlakiem jedzie. Za powrotem do Włoch w Marago pod Mantuą przez trzy miesiące trwały uroczystości weselne, a jak z baśni czarodziejskich brzmią opisy tych godów, złotych zastaw, żywności dowożonych na mułach, kamieni młyńskich mielących korzenie i przyprawy, studni napełnionych winem, z których czerpano srebrnymi kubkami, wreszcie zgrai błaznów i skoczków zabawiających gości. Z tych opisów wieje już zapowiedź zbytku i przepychu, w jakim się lubowali odtąd panowie włoscy, a którego przykład dał na tym pierwszym włoskim dworze ten pierwszy włoski dynasta. To też Donizo o nim mówi, że... *mundi pompas innumeras habuit*.

Z Beatrycy Lotaryngskiej urodziła się w r. 1046 margrabiemu Toskańskiemu córka Matylda. A jakby na wróżbę jej losów, właśnie w tym okresie stosunek domu Canossów z cesarstwem, począł się psuć i rozluźniać. Bo cesarz Konrad legł był w grobie, zazdrosny zaś o władzę cesarską i surowo nad jej przewagą czuwający syn jego, Henryk III Czarny, nie znosił wassalów, pnących się zbyt wysoko w pobliżu tronu. Niedziw więc, że rozległe państwo Bonifacego, odgraniczające cesarstwo od Rzymu, jego bogactwa i mir, jakiego we Włoszech zażywał, obudziły nieufność cesarza. Dlatego postanowił wyrwać margrabię z tej niebezpiecznej niezawisłości, nowemi laskami przykuć go stale do siebie, a w ten sposób trzymać zawsze pod okiem, ale zdaleka od Włoch, na dworach swoich niemieckich. Lecz przebiegły pan na Canossie stał się nagle głuchy na pochlebne wezwania, z obawy zaś, aby cesarz nie użył przemocy, jawił się odtąd przed nim na czele siły zbrojnej, która go zabezpieczała przed gwałtem. Sidła, nastawiane ze strony cesarskiej, zasadzki, którym po dwakroć uszedł, przeżyły jednak coraz

bardziej stosunki i byłyby go niechybnie zawiodły na drogę buntu, gdyby nie śmierć, która go zabrała w r. 1052. Padł na łowach, zamordowany przez najętych siepaczy. Kto ich nastawił, o tem kroniki milczą. W jednej z nich tylko jest wzmianka, że była to zemsta za okrucieństwa, których się dopuszczał.

Ale odtąd w politycznej orientacji Canossy i jej mieszkańców nastąpił zwrot, a pod wpływem tego zwrotu snuły się dziecinne lata Matyldy. Nieufność cesarza do potężnej marchii, rozścielonej pomiędzy Niemcami a Rzymem, w Rzymie, gdzie Hildebrand rozpoczął budowę swego hierarchicznego systemu, prowadzącego fatalnie do starcia Kościoła z cesarstwem, musiała zrodzić chęć stworzenia z tej właśnie marchii przedmurza dla Kościoła przeciw cesarstwu. Henryk Czarny, wbrew woli, dopomógł zresztą i w inny sposób do zacieśnienia stosunków rodu Canossów z Rzymem, a mianowicie przez niezręczne powikłanie sprawy Lotaryńskiego dziedzictwa. Obie Lotaryngie, Górną i Dolną, złączył był bowiem ojciec jego, Konrad, pod berłem księcia Gozelona, a z tej unii powstało na zachód od cesarstwa wielkie i silne państwo, zbyt wielkie i zbyt silne na sąsiedztwo tak absolutnego władcy, jakim był Henryk Czarny. To też gdy po śmierci Gozelona syn jego, Gotfryd Brodaty chciał objąć rządy, cesarz odebrał mu niespodzianie Górną Lotaryngię, a tylko połowę działu jako lenno zostawił. Ale rzutki i bitny Gotfryd nie ugiął się przed wolą cesarską i przez zemstę za doznaną krzywdę, wezwawszy na pomoc Baldwina Flandryjskiego, począł najeżdżać i pustoszyć granice cesarstwa. Uporczywe, przez szereg lat trwające walki i wznowiane ciągle bunty zakńczyły się dla niego klęską: cesarz zabrał mu i Dolną Lotaryngię, ufając, że raz na zawsze pozbędzie się wroga. Tymczasem stało się inaczej. Ambitni, a z cesarzem na śmierć poróżnieni bracia, Gotfryd i Fryderyk, wyzuci z ojcowizny, schronili się w Rzymie, gdzie ich na dworze papieskim gościnnie przyjęto. Fryderyk, poświęciwszy się stanowi duchownemu, z opactwa w Monte Casino miał przejść po kilku latach jako Stefan IX na Stolicę Apostolską. Gotfryd natomiast, posłany zrazu przez Leona IX w ważnem poselstwie do Bizancyum, po śmierci margra-

biego Bonifacego wrócił do Włoch, zbliżył się do krewnej, bo także z Lotaryngskiego domu pochodzącej wdowy po Bonifacym, Beatryczy, i pojawiwszy ją za małżonkę, stanął na czele potężnej marchii Toskańskiej, dziedzictwa nieletniej swej pasierbicy Matyldy. W ten sposób cesarzowi w wygnanym niebezpiecznym sąsiedzie zachodnich granic cesarstwa wyrastał groźny wróg na południu.

Przeciw temu wrogowi skierowaną była zbrojna wyprawa Henryka Czarnego w r. 1055 do Włoch. Na spotkanie nadciągającego cesarza wysłał Gotfryd posłów z zapewnieniami wiernej uległości i gotowości do służby. Henryk odprawił poselstwo z niczem. Ale w ślad za wysłannikami sama Beatryx stanęła przed cesarzem i w śmiałych słowach jąła bronić swej sprawy: czasy burzliwe, spory wicherzące całe Włochy, nieustające dokoła walki zmuszają każdy ród do wybrania sobie stróża i obrońcy; takiego obrońcę Bóg jej w osobie pierwszego męża zabrał, więc inuemu oddała siebie i dom swój w opiekę; czyżby krewnej cesarskiej miało być wzbronionem to, do czego ma prawo każda inna kobieta? Henryk dał odpowiedź wymijającą: na Gotfryda nie wydał nowych wyroków, ale małżonkę jego zatrzymał na zakładniczkę i włókł ją jak niewolnicę przez cały ciąg swej wyprawy włoskiej za sobą, a opuszczając Włochy, zabrał do Niemiec, dokąd w spiesznym pochodzie zawrócił na wieść, że Gotfryd zbiegł do rodzinnej Lotaryngii i od tamtych granic nową na cesarstwo gotuje napaść.

Wystawić sobie łatwo, jak się wśród takich wypadków kształtował umysł i jakie się budziły uczucia w duszy młodej Matyldy: matka uprowadzona, prawie w niewoli, ojczym zbuntowany i zbiegły, ród Canossów w rozbiciu i sieroctwie, bez opieki i straży, a wszystko to za sprawą Henryka Czarnego i wszechwładzy cesarskiej. Jakżeby zaś dla rozstrzygającego o przyszłości Matyldy przeciwieństwa, po tych groźnych wrażeniach doznała ona wnet innych, kiedy miłosierna ręka papieża Wiktora II dźwignęła z tej toni ginący dom Canossów. Bo za pośrednictwem tego papieża na sejmie w Kolonii, zwołanym po śmierci Henryka III, obejmująca regencyę w imieniu pięcioletniego syna cesarzowa Agnieszka zwróciła wolność Beatryczy, a łaskę oraz

księstwo Dolnej Lotaryngii Gotfrydowi, tak, że wkrótce matka i ojczym Matyldy mogli ruszyć za papieżem po za Alpy, w powrocie do swych państw włoskich i do rodzinnej Canossy.

Odtąd ród Canossów stał na straży Stolicy Apostolskiej, Beatryx i Matylda wiernie, chwiejniej Gotfryd, którego krewka i zmienna natura gnała czasem do obozu nieprzyjaciół papieskich, za co strofowali go surowo Piotr Damiani i Hildebrand. Pod osłoną sił zbrojnych domu Toskańskiego wkraczał Mikołaj II do Lateranu, gdzie mu samozwańczy Benedykt X bronił wstępu; gdy zaś później przeciw wybranemu przez Hildebrauda i kardynałów Aleksandrowi II dwór niemiecki nazaczył na stolicę rzymską Cadalaa, biskupa z Parmy, a ten, przyjąwszy nazwisko Honorjusza II, ciągnął na południe, u podnóża Alp zastawiły mu drogę i wyгнаły go z Lombardyi wojska toskańskie, pod wodzą samej margrabiny Beatryczy i młodej Matyldy; w Rzymie natomiast walczył równocześnie za prawowitego papieża książe Gotfryd Brodaty. W czasach spokojnych dwór toskański najczęściej przebywał w Lucee, dokąd corocznie, jako do swej ulubionej dawnej stolicy biskupiej, zjeżdżał z dworem papieskim Aleksander II. Lukka po dziś dzień zachowała pamiątkę z tych lat, absydę wspaniałej katedry św. Marcina, którą założył i wznosił papież Aleksander. Z przepychem i świetnością odbyło się poświęcenie nowego kościoła wśród napływu pielgrzymów, przybyłych nietylko z sąsiednich miast włoskich, ale i z dalekiej Francyi. Papież w licznym orszaku kardynałów, opatów i biskupów prowadził z Rzymu ciała św. Maura i Hilarego¹⁾, aby je złożył w podziemiach nowej bazyliki, poczem otoczony dworem rzymskim i toskańskim dokonał uroczystej konsekracyi w obecności Beatryczy i Matyldy, które hojnie obdarzyły i wyposażyły nową świątynię.

¹⁾ Zapewne od tego patrona, św. Hilarego, pochowanego w katedrze, wzięła imię owa śliczna Ilaria del Caretto, której nagrobek, arcydzieło Jakóba della Quercia, wśród tylu dzieł sztuki, nagromadzonych w tym kościele, jest jego najcenniejszą ozdobą.

Wobec chwiejności ojczyma, który wśród sprzecznych interesów lotaryngskich i toskańskich wahał się wiecznie pomiędzy papieżstwem a cesarstwem, postanowił Aleksander II dodać Matyldzie stałego kierownika i doradcę. Znalazł go w osobie krewnego swego, później na biskupstwo w Luce i wikaryat papieski w Lombardyi wyniesionego Anzelma. Świętobliwy Anzelm wzrósł był w szkole surowej reformy Hildebranda, a zasady mistrza wszczepiał w duszę młodej wychowawicy. Przez niego i ponad nim czuwał zaś nad Matyldą sam Hildebrand. W tych żelaznych czasach nie łatwo o tkliwą nutę uczucia. A takim uczuciem tchną właśnie pełne ojcowskiej pieczołowitości listy Hildebranda, później Grzegorza VII, do Matyldy i jej matki. „Najmilszemi córami św. Piotra“ zwyczajnie je w tych listach zowie, zapewnia jak w nagrodę wierności i przywiązania bliskie są jego sercu, wzywa je do przybycia do Rzymu, a w jednym z tych pism dodaje w poufałym końcowym zwrocie, że rzadko pisze, bo mu ciężkie zajęcia czasu nie dają, „a pisząc do nich nie posługuje się nikim, jedno sam się roboty ima“. Zresztą pisma te są pełne nauk, rad i napomnień: w jednym z nich zachęca je do częstego przystępowania do Sakramentów, aby „przyjmując Ciało Pańskie rosły w wierze i nadziei“; w drugim zakliwa, aby unikały wszelkiej styczności z kapłanami symonistami, których „sektę“, jak mówi, właśnie w północnych Włoszech zwalczał; w innym wreszcie, późniejszym, już z przedednia konfliktu z cesarstwem, wspomina o młodym Henryku IV i donosi, że chce wysłać do niego „bogobojnych mężów, aby go upominali i nawrócili do Boga i do miłości świętego rzymskiego Kościoła i skłonili do godnego sprawowania rządów cesarstwa“. „Albowiem — dodaje w znamienym zwrocie — jeżeli nas nie posłucha, nie będziemy mogli nie wygnać go z Kościoła, bo zaiste lepszem jest dla nas w obronie prawdy stawić mu dla jego dobra czoło, choćby nam za to krew przelać przyszło, aniżeli schlebiając mu, zło znosić i wespół z nim runąć w przepaść“.

Ażeby Matyldę związać jeszcze ściślej z domem Lotaryngskim i rodowi swemu zapewnić jej bogactwa i ziemie, wydał ją ojczym za syna swego, urodzonego mu z pierwszej żony Agnieszki Habsburskiej, a noszącego po ojcu imię

Gotfryda. Z źródeł dojść trudno, kiedy się ten związek skojarzył. Najprawdopodobniej ślub przez prokuracyę, bo młody książę rezydował w Dolnej Lotaryngii, odbył się około 1069 r. W trzy czy cztery lata później, po raz pierwszy po zaślubinach, przybył młody Gotfryd do Włoch. Pożycie małżonków nie było szczęśliwe. Gotfryd od urodzenia ułomny, wskutek czego już u współczesnych nosił przydomek Garbatego — *il Gobbo*, nie mógł wzbudzać miłości. Zresztą oddany zupełnie stronnictwu cesarskiemu, przestawał ciągle na dworze niemieckim i walczył pod Henrykiem IV w morderczych wojnach saskich. Tak więc już sama różność kierunków politycznych dzieliła małżonków. Jedynym śladem tego związku są późniejsze dokumenty Matyldyńskie, wzmiankujące Gotfryda — *qui fuit vir meus* — „który był moim małżonkiem“. We Włoszech bawił Gotfryd tylko przelotnie, wracając najchętniej do swej dziedzicznej Lotaryngii, która wnet przez siostrę jego, Inę, miała przejść w inne, dostojniejsze ręce, w ręce słynnego jej syna, Gotfryda de Bouillon. Już bowiem w r. 1076, po siedmioletniem zaledwie małżeństwie, a ciąglem prawie rozłączeniu z Matyldą, zginął Gotfryd Garbaty z ręki morderców, nastawionych podobno przez Roberta, hrabiego Flandryi¹⁾. Dużo później, bo w r. 1088, kiedy Matylda liczyła już przeszło lat czterdzieści, za namową papieża Urbana II przyszło do ponownych jej związków z Gwelfem Bawarskim. Ale i w tem drugim, znów tylko z politycznych względów sklejonem małżeństwie, nie zaznała również szczęścia i małżonkowie po kilku latach się rozeszli.

Późniejszy biograf Matyldy z XVIII wieku, Fiorentini, opowiada, że Gotfryd Garbaty wmięszany był w spisek uknuty przez Wiberta, arcybiskupa Rawenny i Cencyusza przeciwko Grzegorzowi VII, spisek, zakończony owem zuchwałem porwaniem papieża podczas mszy odprawianej w wilię

¹⁾ Oto, jak kronika Lamberta z Hersfeldu opisuje jego śmierć: *Cum enim quadam nocte, quiescentibus omnibus ad necessitatem naturae secessisset, appositus extra domum spiculator confodit eum per secreta natrum relictoque in vulnere ferro aufugit. De tego ciekawy dla kultury komentarz Muratoro: *Esso luogo dovea ben essere fabbricato alla baloarda.**

Bożego Narodzenia o północy w Bazylice Liberianańskiej przed żłóbką. Twierdzenie to niema jednak źródłowego oparcia, a Muratori, największy aż po dziś dzień chyba znawca średniowiecznych włoskich źródeł, wprost temu przeczy. To pewna, że samo podejrzenie Gotfryda o udział w owym spisku byłoby już starczyło, ażeby Matyldę na zawsze od niego oderwać. Zamach ten, dokonany na rok przed pokutą Henryka IV w Canossie, stanowi bowiem niejako przełom w jej życiu: z tą chwilą poświęca się ona zupełnie na obronę sponiewieranego godności apostolskiej i oddaje całą na jej usługi. A przychodziło jej to tem łatwiej, że teraz stała już sama na czele opustoszałego domu Canossów i mogła wedle woli rozporządzać sobą i państwem. W r. 1070 odumarł ją był bowiem ojczym, Gotfryd Brodaty, w r. 1076 poszedł za nim syn jego, a jej małżonek, *il Gobbo*, wreszcie równocześnie prawie, co męża, straciła i matkę. Pobożna Beatryx spoczęła na Campo Santo w Pizie, gdzie po dziś dzień oglądać można jej grobowiec, starożytny sarkofag rzymski z płaskorzeźbą przedstawiającą Fedrę i Hippolita, ze znanych grobowców tego cudownego cmentarza bodaj najstarszy.

Aż do pokuty Henryka IV w Canossie pozostaje przecież Matylda żywiołem zgody i krzewicielką pokoju. *Facie hilari, mente quieta, corpore decora* — swobodna, spokojna i piękna, jak ją opisuje współczesny anonim, jest ona po tę chwilę promykiem słońca wśród chmur zalegających widnokrąg. Jej kobieca ręka wyrównuje przeciwieństwa, łączy rozdwojenia, uśmierza spory; jej czujne pośrednictwo łagodzi surowość Grzegorza, miarkuje porywczosć Henryka i oddala fatalny termin ich starcia. Potem dopiero, po pokucie króla, udaremnionej w skutkach jego zdradą, wśród rozgorzałej na dobre walki o inwestyturę, przedzierzga się ona w ową Amazonkę chrześcijańską, której typem została dla potomności. Drugi ten okres jej życia, nie leżący w ramach tego opowiadania, to okres epiczny trzydziestoletnich, nieustannych prawie bojów w służbie Kościoła przeciw Henrykowi IV i cesarstwu. W sztandarze, trzymanym już tylko przez tę silną dłoń niewieścią, widzi umierający na wygnaniu Hildebrand ostatni symbol nieśmiertelnej swej myśli; następcy jego, Wiktor III, Urban II i Paschalis II, za czynną pomocą

Matyldy na Stolicę Apostolską wyniesieni, otaczają ją czciami i zasięgają chętnie jej rady; jej przykład wytyka następnemu pokoleniu drogę, prowadzącą do potężnej ligi miast lombardzkich, zawiązanej w pół wieku po jej zgonie, a oswobodzającej Włochy; wreszcie donacya Matyldyńska, zapis wszystkiego mienia na rzecz Kościoła Rzymskiego, wywołany pobożną intencją — *pro remedio animarum meae et parentum meorum* — jak brzmi tekst oryginalny na marmurowej tablicy, przechowywanej w grotach watykańskich, utwierdza potęgę papieską we Włoszech. A choć w skutek niemożności zajęcia i obrony tak rozległego państwa nie cała scheda po Matyldzie papieżom przypadła, posiew jej nie zmarniał, kiedy wyzwolone przez nią z pod hegemonii cesarskiej miasta, jęły się same swobodnie rozrastać i przetwarzać w przeducudny kształt komuny włoskiej. To też w trafnem poczuciu przełomowego wpływu, jaki ta kobieta miała wywrzeć na stosunek Włoch do cesarstwa, u schyłku życia ruszał sam Henryk IV raz jeszcze do szturm na znieawidzoną wspomnieniem doznanych upokorzeń Canossę, aż sromotnie odbity przez Matyldyńskie wojska, na zawsze uchodził po za Alpy. Na to ostatnie zwycięstwo swej Wielkiej Hrabiny — *la Gran Contessa* — jak ją już współcześni nazywali, patrzył jej wierny kronikarz Donizo, który z bracią klasztorną podczas walki, toczącej się u podnóża skały, wzywał pomocy Świętych i śpiewał psalmy błagalne na murach zamku.

Sedis Apostolicae Propugnatrix, tytuł chwały, wryty z rozkazu Urbana VIII w pięćset lat przeszło po zgonie Matyldy na jej grobie, to zasługa tego drugiego okresu jej życia, które dzieli na dwie części dziejowy dramat, rozegrany w pamiętnym roku 1077 w jej rodzinnej Canossie.

IV.

Zima r. 1076 na 1077 była wedle świadectwa ówczesnych pisarzy niezwykle sroga. Na północ od Alp już w październiku poczęły padać gęste śniegi, które mróz w twarde ścinał bryły. Wszystkie rzeki zamarzyły i nawet Ren stanął. W dolinach szalały zawieruchy, a góry powlekły

się ślizgą lodową skorupą. Dziki zwierz schodził na niziny, gdzie ścigał ludzi i rabował trzody. Rycerstwo kryło się w zamkach, chłopstwo po zagrodach i na białych gościńcach życie zamarło. Wśród takich warunków szeszupła garstka podróżna przedzierała się w okolicy Mont Cenis do Włoch przez Alpy. Przodem szli górale, wyrębując toporami w lodowatych ścianach drogę. Za nimi postępował nieliczny orszak rycerski, wieziono kobiety, dźwigano broń i żywność. Mimo skracanych popasów i wytrwałych marszów droga szła mozolnie i powoli, bo członki tężały od zimna, a każdy krok należało zmierzyć, aby nie runąć w przepaść. Z trudem dotarli podróżni na szczyt wysokiej góry. Tam zdawało się, że o dalszym pochodzie mowy być nie może, gdyż z południowego stoku spadała prostopadła prawie ściana, pokryta śniegami i lodem, dla nogi ludzkiej niedostępna. Lecz ludzi tych gnał jakiś nieprzeparty pęd naprzód, w stronę południa. Mężczyźni na czworakach jęli się spuszczać w dolinę, kobiety na wołowych skórach ciągniętych przez górali staczano na dół, konie z podwiązaniem nogami zesuwały się własnym ciężarem jak tłomoki, aż wreszcie dziwny ten pochód stanął u stóp Alp, na równinie włoskiej.

W taki sposób na krańcach państwa, przez odległe drogi, bo bliższych strzegli bacznie zawzięci na niego książęta niemieccy, wkraczał nie koronowany jeszcze na cesarza, a od niedawna wyklęty król Henryk IV z nieszczęśliwą swą małżonką, królową Bertą, i maleńkim synem Konradem do Włoch, spiesząc na spotkanie z papieżem, aby ubłaganem na czas rozgrzeszeniem uratować przepadającą mu inaczej w przeciagu roku koronę.

Liczył on wówczas dwadzieścia i siedm lat. Jako pięcioletnie chłopię odziedziczył był po cesarzu Henryku Czarnym koronę niemiecką, a wraz z nią brał w spuściźnie po ojcu niechęć lub nienawiść niemieckich książąt, którzy drżeli przed twardą dla nich ręką cesarzy z Salickiej dynastji. Interes tych książąt polegał na tem, aby w czasie małoletności króla królewską władzę osłabić, własną wzmocnić, a charakter dziecka tak ukształcić, aby im i później, jako dorosły, niestał się za przykładem ojca twardym i groźnym panem. Dzieciństwo zeszło Henrykowi wśród kłótni o opiekę

królewską: bogobojnej matce, cesarzowej Agnieszce, porwał go gwałtem ambitny arcybiskup koloński, Hanno. Działo się to pod Kaiserswert, na jednej z wysp Renu, gdzie Agnieszka z synem bawiła w przejeździe do Niemegi. Z Kolonii na bogato przybranym statku, nadpłynął z hołdem arcybiskup; łatwo przyszło mu obudzić ciekawość dziecka i zwaćbić je na swój strojny i barwny pokład; ale w chwili, gdy król na nim stanął, uderzono we wiosła, statek odbił od brzegu i szybko popłynął ku Kolonii. Surowy Hanno musiał atoli wnet podzielić przywłaszczoną sobie opiekuńczą władzę z niemniej ambitnym i w kościele niemieckim znaczącym a zręczniejszym arcybiskupem Adalbertem z Bremy, który, schlebując wychowankowi, starał się go zjednać dla swej myśli przewodniej wyniesienia arcybiskupstwa Bremy na wielki patriarchyat Północy. Burdy i bójkki wśród niższego, dziedziałego kleru, zatargi o wpływ na dostojnego pupila pomiędzy książętami niemieckiego Kościoła, a u samej góry dzielący świat na dwa obozy spór papieża Aleksandra II z antypapieżem Honoryuszem, wśród gwałtownej reakcyi przeciw absolutnym rządóm zmarłego cesarza Henryka III powszechna decentralizacya władzy, u dołu wreszcie srogi ucisk poddanych, którym pod ciężkiem jarzmem zdawało się za świadectwem ówczesnych pisarzy, że naprawdę zbliża się już koniec świata i dzień strasznego sądu — to była atmosfera, w której wzrastał Henryk IV, z natury zdolny, śmiały i hojny, ale chowany wpierw w odosobnieniu i bezczynności przez arcybiskupa kolońskiego, potem w niekarności i rozluźnieniu obyczajów przez Adalberta z Bremy, którzy go w ten sposób od spraw państwa i rządów odwieść chcieli.

Wychowanie to wydało owoce, które rachuby opiekunów zawiodły. Bo skoro podrastający król ujął berło w niewprawne jeszcze dłonie, wyzwolił się odrązu z wszelkiej opieki i z pogardliwą wyniosłością począł rządzić samowolnie jak ojciec, tylko że przezorną zawsze samowolę ojcowską przemieniał w swawolę. W Niemczech poczęto szemrać: zawiedzeni książęta knuli spiski, lub przechodzili do obozu upornie przez młodego króla zwalczanych Sasów. I tylko groźna pamięć Henryka Czarnego czuwała nad synem, chroniła go z po za grobu jeszcze przed otwartym buntem, tak,

że tą tradycją ojca mógłby się był długo zasłaniać, gdyby nie właśnie na rok przed ową, do sromotnej ucieczki podobną przeprawą przez Alpy, niebacznie przez niego wszczęty a odrazu z żywiołową siłą wybuchający spór z Grzegorzem VII.

Umierający Henryk III polecił był małego syna Stolicy Apostolskiej, oddając go w opiekę czuwającemu przy łożu śmiertelnem cesarza papieżowi Wiktorowi II. Na krótko przed zgonem zaręczył pięcioletniego następcę z równoletnią Bertą, córką Ottona, margrabiego de Susa. Z tego związku wyniknął pierwszy konflikt z Rzymem. Bo gdy po dziesięciu latach za namową książąt niemieckich szesnastoletni już naówczas król, pasowany właśnie na rycerza, pojął za żonę Bertę, niesnaski wynikłe odrazu w młodem stadle, ponieważ królową, potem zupełne jej opuszczenie przez rozwiazłego małżonka, wreszcie żądanie, z którym wystąpił na sejmach, aby mu dozwolono porzucić Bertę i inne zawrzeć związki, ściągnęły na niego pierwsze nagany papieskie. Na sejmie w Frankfurcie stanął przed królem legat rzymski, Piotr Damiani, i w ognistych słowach jął bronić nierozwalności prawego związku, grożąc, że nigdy papież nie włoży korony cesarskiej na skroń człowieka, któryby takim przykładem zgorszył chrześcijaństwo. Król uląkł się i zamierzonego rozvodu zaniechał, a Berta wróciła do męża, ale tylko na dalszą poniewierkę, gdyż Henryk unikał odtąd wspólnej z nią i stałej siedziby, przebywając najchętniej z hulaszczą drużyną w swych zamkach kresowych. Całą bowiem młodość trawił na zwalczaniu turyngskich i saskich szczepów, które broniły rozpaczliwie dawnych przywilejów i wolności, nadanych im przez Ottonów, a ukróconych przez dynastję Salicką, wyszłą z wrogiej zawsze Sasom Frankonii. Jakby gniazdami sępów osnuwał młody król turyngskie i saskie wzgórza warownemi zamkami, których załogi miały czuwać nad okolicą i strzedz od buntów, a które w istocie ujarzmiły jej mieszkańców. Co dnia ruszały zbrojne załogi w pola, ściągając gwałtem daniny, zajmując pod pozorem dziesięcin bydło i trzody, niszcząc zasiewy i porywając w oczach ojców i mężów córki i żony, uprowadzane na hańbę do wnętrza ponurych burgów. Wnet cały kraj z książętami i bi-

skupami na czele stanął w rebellii, a ze zbuntowanymi łączyło się i z reszty Niemiec wielu takich, których Henryk wyniosłością obraził, lub samowolą skrzywdził.

Rokosze saskie, zburzenie przez lud znienawidzonych królewskich warowni, nawet ulubionego jego zamku w Harzburgu, z kąd chyłkiem wykradać się i uchodzić musiał, odwodziły uwagę króla od wypadków na południu i niewoliły zrazu do uległości wobec papieży: nie umiał czy nie chciał dostrzedz tej innej burzy, stokroć dla cesarstwa od buntów saskich groźniejszej, która za wcielaniem się myśli Hildebranda, nadszła z po za Alp na północ. Zresztą sam Grzegorz VII, po wstąpieniu na Stolicę Apostolską, bądź przez legatów wysyłanych do Niemiec, bądź za pośrednictwem krewnej królewskiej, hrabiny Matyldy i jej matki, znosił się często z młodym królem, okazując mu życzliwość i względy. I tak po elekcji odłożył konsekrację aż do nadejścia potwierdzenia wyboru przez Henryka, potwierdzenia zawarowanego cesarzom dekrétami synodu z r. 1059, i dopiero po otrzymaniu przychylniej odpowiedzi z Niemiec, przyjął święcenia. W listach, pisanych w owym czasie do Rudolfa Szwabskiego, Gotfryda Lotaryngskiego i do margrabiny Beatryczy dawał niejednokrotnie wyraz przyjaznym uczuciom dla Henryka IV, powołując się na zobowiązujące słowa umierającego cesarza Henryka III, w których syna opiece Stolicy Apostolskiej polecił. Nie była to gra polityczna, lecz nadzieja i próba zjednania dla swych zamiarów pierwszej i największej potęgi świeckiej. A *bona dicta*, jak mówi nawiśnie Donizo, dobre, uległe słowa, zawarte w odpowiedziach króla, przewyższyły zdaniem samego Grzegorza „w słodyczy i posłuszeństwie“ wszystko, co kiedykolwiek świadczyli papieżom poprzednicy Henryka IV. Podobnie i rok 1074, a drugi pontyfikatu Grzegorza, nie zamącił jeszcze dobrych stosunków pomiędzy Kuryą rzymską a dworem niemieckim. Dekrety synodu Lateraneńskiego, potępiające symonię i łamanie celibatu, ponieśli z rozkazu papieża legaci do Niemiec. Biskupom z Ostyi, Palestriny i Como, wysłanym w tem poselstwie, towarzyszyła na życzenie Grzegorza sanna cesarzowa Agnieszka, chroniąca się od czasu porwania syna przez arcybiskupa kolońskiego w Rzymie, na dworze papieskim.

Przez nią chciał teraz papież na Henryka IV wpłynąć, nakłonić go do zakończenia okrutnej walki z Sasami, zjednać sobie jego pomoc dla dzieła reformy w myśl synodalnych dekretów. Król przyjął poselstwo w Norymberdze, a na prośby legatów i namowy pobożnej matki oddalił wpieryw ze swego otoczenia kilku, już przez Aleksandra II wyklętych dworzan, pomiędzy nimi biskupów z Regensburga i Konstancji, którzy oddawna opierali się zuchwale rozkazom papieskim. Za to i za daną solennie obietnicę energicznego przeprowadzenia dekretów, dotyczących celibatu i symonii, w gorących słowach dziękował znów Grzegorz królowi. A jakżeby ostatnią próbą wyrwania go z bezpłodnych sporów, rozsadzających państwo i zgubnych walk z Sasami, w których narażał cześć i trawił siły, na dwadzieścia lat przeszło przed pamiętnym zjazdem w Clermont, podsuwał mu papież myśl krucjaty.

Ale społeczeństwo chrześcijańskie nie było jeszcze dojrzałe do tego najszczytniejszego dziejowego porywu, a Henryk IV, u którego żywioną latami zawiść do Sasów potęgowała teraz świeża pamięć zburzonych przez nich królewskich zamków i upokarzające wspomnienie nocnej ucieczki z obleganego Harzburga, myślał tylko o zemście. Jakoż miał ją wkrótce wyrzucić. W czerwcu 1075 r. na czele wojsk, jakich co do liczby i doboru oddawna w Niemczech nie widziano, ruszył na nową wyprawę saską. Pod Hohenburgiem, nad rzeką Unstrut, spotkał nieprzyjaciela. Chwiejna z początku walka przemieniła się szybko w morderczą rzeź, a zakończyła zupełnym pogromem Sasów. Po pogromie zaś, upojony zwycięstwem, przeciągnął król w tryumfalnym pochodzie przez podbite na nowo kraje, znacząc drogę zniszczeniem i pożogą, bo, jak mówi Lambert, „pożaru jego gniewu, *iracundiae ejus incendium*, ani lzy Sasów, ani potoki krwi, zalewające pola Turyngii, zgasić nie mogły“. Pognębniony, znękany naród wołał o ratunek, ale na próżno, bo książęta niemieccy, zgorszeni okrutnym odwetem króla, oddalili się wprawdzie od niego i odmówili mu nawet dalszych zaciągów, ale otwarcie po stronie zwyciężonych stanąć nie śmieli. Pozostawał więc dla nieszczęśliwych tylko jeden jeszcze, ostatni trybunał, w dalekim Rzymie, i wnet skarga za skargą

szła przed Stolicę Apostolską na młodego króla, jako na wiarołomnego małżonka, uwodziciela niewiast, krzywdziciela wdów i sierót, ciemiężcę zwyciężonych, który teraz mścił się na pobitych Sasach, więził ich biskupów i książąt, zagrabiał ich mienie, a lud bez miłosierdzia gniótł i uciskał. A wraz z takimi skargami nadeszły do Rzymu wieści, że król powołał znów do swego boku wyklętych dworaków, których na upomnienie papieża i na prośby matki oddalił był od siebie; wreszcie doniesiono Grzegorzowi, że wbrew surowym dekretom ostatniego synodu, Henryk na dawną modłę pierścieniem i pastorałem nadaje, tak jak przedtem, inwestyturę, że mianowicie nadał ją w ten sposób nowym biskupom w Bambergu, Medyolanie, w Spoleto i Fermo.

Grzegorz VII zrozumiał odrazu, że po zwycięstwie nad rzeką Unstrut inny i nowy Henryk przed nim staje i że zbliża się chwila rozstrzygająca dla stosunku Kościoła z państwem. Istotnie też, po dopięciu celu, do którego przez całą młodość dążył, zwrócił się król teraz do innych, dalszych obrachunków. Chwilę miał za odpowiednią, bo ostatnia wspólna wyprawa saska zszeregowała przy nim, choć przelotnie, wszystkich znamienitszych książąt niemieckich, a z drugiej strony dekrety o celibacie i symonii rozluźniły związek opornego episkopatu niemieckiego z Rzymem. Celibat i symonia były zresztą Henrykowi obojętne, ale nieobojętnem mu było odebranie przywileju inwestytury, czyli utrata dotychczasowego wpływu i władzy nad biskupami na rzecz papieża. Ufał więc, że równie twarde stanowisko zajmą w tej sprawie biskupi i duchowni niemieccy i że za ich poparciem wolę papieża, ukrócającą przywileje cesarskie, łatwiej złać potrafi. Prócz politycznych względów, utrzymania przewagi państwa nad Kościołem, parł zaś niezawodnie króla na drogę starcia i ten raz po raz odzywający się głos zwierzchniczy papieża, do którego poprzednicy jego nie byli przywykli, a który wśród świeżych powodzeń wojennych, podwójnie drażnił jego miłość własną.

W Goslarze, gdzie Boże Narodzenie święcił, wręczono mu nowe pismo papieskie. Grzegorz przemawiał teraz ostrzej: wypominał łamanie przepisów kościelnych i niedotrzymanie obietnic, wskazywał, jak czyny króla nie licują zgola

z korną treścią jego orędzi, slanych do Rzymu, żądał wreszcie natychmiastowego wypuszczenia na wolność więzionych biskupów saskich i wzywał do opamiętania i poprawy. Gdy zaś król pismo papieskie pogardliwie odrzucił, wezwali go legaci do usprawiedliwienia się w przeciągu dwóch miesięcy przed synodem w Rzymie. Odpowiedzią Henryka było zwołanie na dzień 24 stycznia synodu biskupów niemieckich w Wormacyi. Zjazd był ogromny, bo że w lot się rozeszła wieść, iż król na synodzie przeciwko papieżowi wystąpi, więc skwapliwie na takie wezwanie podążyli wszyscy, którym ciężyły reformy Grzegorza i którzy bądź już podlegali karom kościelnym, bądź w poczuciu winy drżeli na przyszłość przed surowością papieża. Na czele przybyłych stał chwiejny i trwożliwy Siegfried, arcybiskup moguncki, pierwszy dostojnik niemieckiego Kościoła, a obok niego wykłęty od niedawna przez Grzegorza za spiskowanie z Wiberem z Rawenny zuchwały kardynał Hugo. Pod ich wpływem, a pod kierownictwem samego króla, odbył się sąd na papieża, sąd gniewu, zemsty i trwogi. Wśród złorzeczeń i przekleństw ogłoszono Grzegorza za świętokupcę, cudzołożcę i czarnoksiężnika i ułożono formułę wyroku, wypowiadającego mu posłuszeństwo i składającego go z urzędu. Wyrok podpisali wszyscy prawie obecni biskupi, a więc przeważna większość episkopatu niemieckiego. Na pierwszym zaś miejscu widniał podpis królewski. Henryk wysłał natychmiast posłów do oddanych mu biskupów z Lombardyi i z Marchii Ankonitańskiej z wezwaniem do przyjęcia uchwał synodu wormackiego. Równocześnie zaś wystosował pismo do Grzegorza, rozpoczynające się od słów: „Henryk z Bożej laski król do Hildebranda nie papieża, lecz fałszywego mnicha“, a zakończone zuchwałym rozkazem, ażeby zstąpił natychmiast ze Stolicy Apostolskiej.

Podburzeni orędziem królewskim, przyłączyli się zebrani w Piacenzy biskupi z Włoch północnych bez wahania do uchwał wormackich i kapłan lombardzki, imieniem Roland, ruszył z pismem Henryka do Rzymu. Tam odbywał się właśnie w bazylice Lateraneńskiej synod, gdy przed Grzegorzem, otoczonym gronem kardynałów, biskupów i panów rzymskich, stanął niespodzianie wysłannik królewski

i wezwał papieża w imieniu Henryka i biskupów niemieckich i lombardzkich do opuszczenia Stolicy Piotrowej, zgromadzony zaś kler do stawienia się przed królem, który im nowego papieża naznaczy. W zebraniu powstał zgielek: prefekt miasta i panowie rzymscy z dobytymi mieczami rzućili się na posła, którego papież ledwo własną osobą zakryć i uratować zdołał. Po uciszeniu zgieleku na rozkaz papieski odczytano wyzywające pismo króla. Na dzień następny zapowiedział papież odpowiedź. Jakoż nazajutrz zebrali się znów wokoło papieża kardynałowie, biskupi, kler i patrycyat rzymski, a w gronie tem zasiadła także i nieszczęśliwa wdowa po Henryku III, a matka Henryka IV, cesarzowa Agnieszka. Papież powstał z tronu i na wezwanie zgromadzonych przemówił w te słowa: „Święty Piotrze, Książę Apostołów, nachyl, błagamy, ucho twoje ku nam. Wysłuchaj mnie, twego sługę, któregoś od dziecka żywił i wybawił z ręki bezbożnych, a zawistnych, za wierność moją ku tobie. Tyś mi świadkiem i Matka Najświętsza i brat twój pośród Świętych, Paweł, jako mnie święty twój Kościół Rzymski wbrew mojej woli do steru swego powołał i że nie jako łupieżca na Stolicę twoją wstąpiłem, i jakoby wolał był życia w pielgrzymstwie dokonać, aniżeli dla ludzkich celów i chwały doczesnej po twą władzę sięgać. Za twoją łaską, a nie przez moje zasługi, spodobało ci się, aby ludy chrześcijańskie mnie, następcy twemu posłuszne były i aby mi Bóg dał moc wiązania i rozwiązywania na ziemi i w niebiesiach. Z tą więc ufnością, na cześć i obronę Kościoła twego, w imię Wszechmogącego Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego, a na mocy danej mi przez ciebie władzy, zabraniam królowi Henrykowi, cesarza Henryka synowi, który się tak zuchwale przeciw Kościołowi twojemu stawił, sprawować rządy w Niemczech i we Włoszech, zwalням chrześcian ze złożonej mu przysięgi i zakazuję, aby mu ktokolwiek jako królowi służył, albowiem słusznem jest, aby utracił własną cześć, kto cześć Kościoła twójego ukraca. A że posłuszeństwa odmawia i nie wraca do Pana, którego przez obcowanie z wyklętymi i przez inne mnogie występki opuścił, że napomnieniami naszymi, których mu dla zbawienia jego duszy nie skąpiliśmy — czegoś ty świadkiem — gardzi, że się od Ko-

ściola twojego, który rozedrzeć chciał, oderwał — przeto w imię twoje wiąże go więzami klątwy, aby zaś wszystkim lud poznał, jakożes ty jest opoką i jako Syn Boży na tej opoce zbudował Kościół, którego bramy piekielne nie przemogą“.

Zadrżało w posadach na ten glos, wedle słów współczesnego annalisty, całe imperium, a niewymowną zgrozą przejęła Niemcy wieść, nadeszła z po za Alp o wyklęciu Henryka. Klótni i waśni było tam podostatkiem, ale żyła jeszcze świeża pamięć Henryka Czarnego, który składał papieży z urzędu, innych na Stolicę wynosił i rządził dowolnie papieństwem i Rzymem. Teraz z tego samego Rzymu padało słowo, odkazujące syna jego od rządów. Wnet odpowiadała klątwie druga klątwa: w imieniu kleru z północnych Włoch, Wibert, arcybiskup Rawenny, wykłął Hildebranda. Do rozdwojeń w cesarstwie przybywało nowe, najcięższe, do walk szczepowych i klótni politycznych, rozdarcie sumień. Stronicy Henryka nie mieli papieża, wierni Grzegorzowi traciłi króla. Jakiś lęk zabobonny ogarniał całą społeczność chrześcijańską wobec zachwiania się tych dwóch palladyów ówczesnego ducha i ówczesnej duszy, cesarskiej korony i tyary. Podobnie jak za ostatnich Karolingów, zbyt olbrzymia budowa świętego imperium kruszyła się w proch i świat cały zachodził w zmroki, które oświecały tylko jak błyskawice, miotane z dwóch biegunów klątwy. Bo w Niemczech nastąpił odrazu zwrot, którego się król nie spodziewał. Po pierwszej chwili zdumienia, zawrzało wszędzie. Książęta jęli porozumiewać się skrycie i zjeżdżać na tajemne narady nad przyszłością państwa i własnem położeniem wobec tych nowych, niebywałych wypadków, a wokoło nich gromadziło się coraz liczniej rycerstwo, wytracone ze zwykłych kolej, bo zachwiane w dotychczasowej niezłomnej wierności i posłuszeństwie. Prawdopodobieństwo obioru nowego króla wzniecało ambicje, budziło nadzieje, więc wznawiano wszystkie dawne żale do Salickiej dynastyi, za bezwzględność obu Henryków, ojca i syna, którzy ukrócali wolności książęce i spychali wassalów do rzędu zwykłych sług cesarskich. Biskupów natomiast przejął nagły strach przed tym papieżem, którego mocy nie doceniali i który zdawał im się bądź co bądź daleki i Alpami od nich odcięty, aż potężną ręką po

za te Alpy sięgnął i jak gromem w cesarstwo uderzył. To też trwożliwie, sami albo przez posłów, poczynali się znów do Rzymu zwracać, uniewinniając się rzekomym przymusem i odrzekając uchwał wormackich. Wszystkich zaś, i książąt i biskupów, łączyła znowu ta jedna wspólna myśl, że nadeszła wreszcie chwila złamania raz na zawsze samowoli cesarskiej i że choćby się Henryk miał na tronie utrzymać, trzeba z wypadków skorzystać, aby tronem zachwiać i upokorzonemu panu zostawić tylko cień władzy. Głuchy zrazu pomruk, wzmagał się i rósł z dniem każdym, aż wreszcie z siłą grzmotu dotarł do uszu królewskich.

Bo Henryk, ufny w młode swoje szczęście, wypróbowane w zwycięskiej wyprawie saskiej, uwiedziony pochlebstwami dworaków i uległością okazaną mu tak niedawno na synodzie w Wormacyi przez biskupów niemieckich, nie zdawał sobie zrazu sprawy z doniosłości i następstw klątwy. Zdawało mu się, że papież, którego złożył z urzędu, nie był już papieżem i że rzucona przez niego klątwa, nie była klątwą. To też spokojnie gotował się na nową wyprawę przeciw Sasom, a wprzód wybrał dzień na zebranie sejmku, na którym obiecywał naznaczyć nowego papieża. Ale wnet poczęły się wokół niego robić pustki; jeden po drugim z zaufanych stronników oddalał się chyłkiem i przechodził do obozu przeciwników. Król próbował groźby, potem prośby, ale jedna i druga zawiodły. Książęta sascy, wypuszczeni z niewoli, stawali odrazu na czele nowego buntu; inni, powołani na zjazd do Wormacyi, odpowiadali odmownie; na drugim sejmie, zwołanym przez króla w Moguncyi, nie jawił się nikt. Wreszcie doszła go wieść, że najznakomitsi znaczeniem i wpływem książęta niemieccy, Rudolf Szwabski, Welf Bawarski i Bertold Karynecki rozsyłają po ziemiach cesarskich wici, wzywając wszystkich książąt na zjazd i naradę w Tryburze. Wtedy nareszcie pojął, że klątwa Grzegorza odwróciła od niego Niemcy i że się zbliża dzień sądu.

Jakoż niebawem nadszedł termin zjazdu w Tryburze. W licznym poczcie stanęli tam w połowie października książęta niemieccy i w obecności patriarchy akwilejskiego i biskupa z Passau, jako legatów papieskich, rozpoczęły się obrady. Grzegorz, który do niedawna jeszcze książętom i Hen-

rykowi samemu oświadczał, że gotów jest przebaczyć i klątwę zdjąć, byle się król ukorzył, błędów odrzekł i pokutę odprawił, teraz po raz pierwszy przez usta legatów dawał przyzwolenie na wybór nowego króla. Z po za Renu, z blizkiego Oppenheim, gdzie Henryk ze szczupłą drużyną oczekiwał wyroku, przybywali co dnia wysłańcy królewscy z błagalnymi prośbami do książąt. Król obiecywał poprawę, władzę zaś książętom oddawał, byle mu zostawili imię i koronę królewską, a oszczędzili tak sromotnej hańby. Twarda odpowiedź brzmiała, że książęta, nauczeni tylokrotnem doświadczeniem, nowym przyrzeczeniem króla wiary dać nie mogą, i wraz z tą odpowiedzią rozpoczęły się na dobre przygotowania do nowego obioru, a następnie zbrojnego nastąpienia na drużynę królewską, kiedy nagle gruchnęła wśród zgromadzenia wieść, że Henryk rozpaczliwym wysiłkiem ściąga ostatnie, wierne mu jeszcze załogi z rozsianych po cesarstwie warowni i zamków i że gotuje się do walki. Niepewność jej wyniku przyspieszyła uchwałę książęcego sejmku. Wyrok brzmiał chytrze, bo rzecz odwlekał, ale tem pewniej godził w króla i władzę królewską. Rozstrzygnięcie sprawy pozostawiali książęta papieżowi, którego miano uprosić, aby przybył na walny sejm do Augsburga, tam obie strony wysłuchał i wyrok ferował. Gdyby atoli Henryk, po upływie roku od popadnięcia pod klątwę kościelną, nie uwolnił się z jej pętów, rzecz jego miała być przesądzoną na zawsze.

W tej zwłoce ostatecznych rozstrzygnięć ujrzał król i ostatnią deskę ratunku. Tymczasem zaś posłuszny wyrokowi, rozpuścił wojsko oraz szczupłą garstkę stojących przy nim dotąd wiernie dworzan i zamknął się jak na pustelni, w gluchem osamotnieniu w Spirze. Dnie i noce trawił na ciężkich rozmyślaniach. Zostawały mu dwie drogi: czekać na sejm w Augsburgu, albo ubiedz papieża i dążyć do Rzymu. Pierwszej obrać nie chciał. Cesarska krew burzyła się na myśl, że on, król niemiecki, syn Henryka Czarnego, u siebie, w swoim niejako domu miałby się ukorzyć przed papieżem, a to w obliczu nienawidzących go a bardziej jeszcze przez niego znienawidzonych wassalów. Przytem instynkt monarszy ostrzegał go słusznie, że przed takim senatem nie znalazłby łaski lub względu, że więc przybycie Grzegorza

do Niemiec i sąd, odbyty wobec książąt niemieckich w Niemczech, byłby sądem ostatecznym dla niego, dla dynastji i cesarstwa. Pozostawała druga droga, droga, której dalekim szlakiem wśród zmroków ówczesnych od wieków już ciągnęły szeregi pątnicze przed trybunał wielkich kar, ale i wielkich rozgrzeszeń. W Augsburgu czekała go hańba, w Rzymie tylko pokuta. Obrął więc drugie i postanowił iść do Rzymu. Ale że czas naglił i zbliżała się groźna rocznica klątwy, z której w terminie [miał się uwolnić, że lada chwila mogła nadejść wieść, iż Grzegorz już nadciąga, że książęta niemieccy poobsaczali wszystkie bliższe przesmyki górskie, prowadzące do Włoch, aby mu drogę do rozgrzeszenia zamknąć — więc dlatego na krańcach państwa, przez odległe gościńce wśród srogiej zimy przekradał się jak zbieg przez zamarzłe Alpy, aby tam, po za tą granicą paść jak najrychlej do stóp papieskich i uratować przepadającą mu inaczej w ciągu miesiąca koronę.

Zdzisław Morawski.

(Dokończenie nastąpi).

SENATOR NOWOSILCOW

I CENZURA ZA KRÓLESTWA KONGRESOWEGO.

(1819 — 1829).

Ze źródeł archiwalnych.

I.

Jalowość dziennikarstwa warszawskiego w początkach ery konstytucyjnej. — Znamiona większej ruchliwości w „Gazecie Codziennej“ hr. Kicińskiego. — Aktorka Jenny Philis. — Zajście w teatrze. — Polityjne repressye. — Protest „Gazety Codziennej“. — Opieczętowanie drukarni. — Rola Nowosilcowa. — Rozporządzenie cenzuralne z 22 maja 1819 r. — Kronika. — Prezydent Woyda. — „Sen Plutarcha“. — Postanowienie lipcowe namiestnika Zajęczka. — Zaprowadzenie cenzury ogólniejszej.

Zdawałoby się, że po wszystkich dotychczasowych szkicach i studyach, poświęconych działalności komisarza cesarskiego przy Rządzie Królestwa Kongresowego, senatora Mikołaja Mikołajewicza Nowosilcowa, poczynając od broszury Lelewela *Nowosilcow w Wilnie*, a kończąc na szeregu faktów wyjaśnionych w dziełach: Niemcewicza, Koźmiana, Morawskiego, Smolki, Askenazego, Mościckiego i w książce przez piszącego wydanej p. t. *Bajkow* — nie wieleby już pozostało dla uwydatnienia charakterystyki człowieka i męża stanu, który, bodaj czy nie najsilniej, wpłynął na osłabienie, a następnie na zupełne zniweczenie rękojmi zapewnionych ludności Królestwa przez kartę konstytucyjną z r. 1815.

Do historii ucisku, śledztw i prześladowania młodzieży szkolnej, uniwersyteckiej i wojskowej, w okresie trwania Królestwa Kongresowego, do owej historii, stanowiącej tło główne anormalnych stosunków wewnętrznych ówczesnych, nie wieleby pozostało do uzupełnienia.

Są to dzieje już ogólnie znane, a rola, jaką w nich odegrał Nowosilcow, nie zyskałaby wiele na przysporzeniu nowych, jaskrawszych nawet, barw do obrazu martyrologii, odтворzonej w przesmutnych Mickiewiczowskich *Dziadach*.

Mniej wszelako znanym jest dotychczas udział Nowosilcowa w restrykcyach, zaprowadzonych w parę lat zaledwie po nadaniu ludności Królestwa karty konstytucyjnej, w dziedzinie drukowanego słowa. Przywykliśmy jednoczyć rygory cenzuralne, wprowadzone w latach 1819 i 1822 do dziennikarstwa krajowego i wydawnictw dzieł wszelakiej treści, z nazwiskami ministrów: Potockiego, Staszica, Grabowskiego i radcy stanu Szaniawskiego i im przeważnie przypisywać *odium* zapoczątkowania rozładu, ujawnionego w przedstawicielstwie sejmowem 1820 r. To, co zaszło za kulisami zarządzeń administracyjnych namiestnika Zajączka, w kierunku skrepowania wolności drukowanego słowa, a w następstwie i uchylecia jawności sejmowej, znajduje gdzieniegdzie echo w pamiętnikach współczesnych. Lecz pozostała osłoniętą mgłą tajemnicy rozległa sfera intryg, obmyślonych i urzeczywistnionych ze szkodą zaufania rządzących do rządzonych w pałacu Brühlowskim i w pałacyku Frascati, w ciszy pracowni komisarza cesarskiego Nowosilcowa, który owych zarządzeń fatalnych był duchowym twórcą i prowokatorem. Przeniknięcie owej intrygi drogą rozejrzenia się w aktach archiwalnych, przekazanych badaczom dziejów Królestwa, może nam odsłonić jedną, mniej dotąd znaną, kartę działalności Nowosilcowa i wyjaśnić głębsze przyczyny owego szeregu kollizyj w stosunkach politycznych ówczesnych, które, krzewiąc rozgoryczenie i nieufność w sferach kierowniczych intelligencji miejscowej, doprowadziły wreszcie do listopadowego powstania ...

Dla pokolenia, które było świadkiem naocznym odrodzenia chwilowego dziennikarstwa warszawskiego po wypadkach lutowych 1861 r., dla pokolenia, które przeżyło mar-

twotę czterdziestoletnią owego czynnika, tak bardzo w życiu narodu wpływowego, urabiającego opinię, krzewiącego dodatnie i ujemne prądy poglądów na zadania życia społecznego, czynnika, stanowiącego zwierciadło, w którym się jestestwo duchowe narodu ze wszystkimi zmiennymi rysami swego oblicza najdokładniej odbija — dla takiego pokolenia, które było świadkiem niespodziewanego przewrotu w ustroju wewnętrznym państwa despotycznego, przez długie wieki zwycięskiego i niezwyciężonego, nie tolerującego swobody wierzeń, myśli i słowa, zmuszonego wreszcie siłą wypadków do wstąpienia na drogę reform, w których ta właśnie swoboda wierzeń, myśli i słowa stanowi zwykle najsilniejszą ich podstawę, dla pokolenia, które po latach kilkudziesięciu głuchego milczenia w dziedzinie prasy, naraz usłyszało chór potężny publicystów utalentowanych, wieszczących narodowi hasła i zasady dotychczas jedynie na szpaltach najliberalniejszych dzienników Zachodu głoszone — dla takiego pokolenia, nad wyraz ciekawem byłoby zestawienie obrazu dziennikarstwa warszawskiego z lat, zbliżonych do epoki ogłoszenia konstytucyi z r. 1815, z obrazem lat następnych, gdy po miodowych miesiącach swobód konstytucyjnych powoli zaciskać się zaczął na ustach publicystów kaganiec rozporządzeń policyjnych i zmusił je do grobowego milczenia.

Dziennikarstwo, jako stan wolny, zrekrutowany z pisarzy, wyłącznie pracy publicystycznej oddanych, wyłaniać się poczęło w stolicy kraju dopiero za Królestwa Kongresowego. Przedtem, za Księstwa Warszawskiego, dziennikarzy zawodowych nie było. Mężowie stanu, pracownicy różnych dykasteryj rządowych i pedagogowie przyjmowali udział w dziennikarstwie jedynie przygodnie. Kto miał ogółowi coś do powiedzenia, ten drukował artykuł swój w poczytniejszych pismach, zazwyczaj bezimiennie, jako referat suchy, bez zalet treści i stylu. Stąd też, jedyne, bardziej rozpowszechnione pisma codzienne, w rodzaju *Gazety Warszawskiej*, lub też *Korespondenta krajowego i zagranicznego*, wypełniane przeważnie dorywczezi przekładami nieciekawych poniekąd artykułików gazet niemieckich i francuskich, rzadko kiedy zamieszczały rzeczy oryginalne, programowe, obok niezdarne

i powierzchownie kreślonych sprawozdań i krytyk literackich i scenicznych.

Hasło romantyzmu ożywiło nieco ton i barwę pism warszawskich, wprowadziwszy do nich żywioł polemiczny i pewną tężyznę wysłowienia i dyskusyi. Już wówczas organizować się zaczął stan dziennikarzy zawodowych, naśladujących ciętość publicystów paryskich w traktowaniu spraw publicznych.

Na czele ich stanęła *Gazeta Codzienna, Narodowa i Obca*, pod redakcją Brunona hr. Kicińskiego i Teodora Morawskiego, której numer pierwszy ukazał się w większym formacie, o dwóch kolumnach, dnia 3 października 1818 r. Przybrawszy do współpracownictwa kilku młodych pisarzy, między innymi Franciszka Skomorowskiego, pedagoga, wydawcę *Ćwiczeń naukowych*, wprowadziła *Gazeta Codzienna* do dziennikarstwa miejscowego ożywczy prąd młodzieńczości, świeżości myśli i śmiałości poglądów, w przeciwstawieniu niejako do szablonu gazeciarskiego pism ówczesnych, w których szpeceracz czasów naszych rzadko kiedy spotyka się z jakimś artykułem znamiennym, z odbiciem ówczesnego nastroju pokolenia, obdarzonego na papierze swobodami konstytucyjnymi.

Nie było wszelako sądzonem *Gazecie Codziennej* Kicińskiego korzystać przez czas dłuższy z pozyskanego na opinię publiczną wpływu. Podcięto jej skrzydła już w pierwszych usiłowaniach szybowania przeciw wichrom srożącej się reakcyi.

Powód do pierwszego zamachu na wolność drukowanego słowa dał, marny sam z siebie, fakt wygwizdania przez publiczność w Teatrze francuskim zuchwałej aktorki Jenny Philis, która wystąpiwszy w operetce Nicolego: *Michał Anioł*, zjawiła się dnia 8 maja 1819 r. na scenie z „karamalem w gębie“ (jak pisze Niemcewicz) i takim jawnem lekceważeniem widzów wywołała niesforne okrzyki i poświsty, zakończone wtargnięciem policyi na salę i aresztowaniem hałaśliwszych demonstrantów.

Nazajutrz z rozporządzenia Wielkiego Księcia, zakomunikowanego namiestnikowi Zajączkowi, prezydent miasta Woyda polecił umieścić po rogach ulic, hotelach i na murach teatru obwieszczenie, zakazujące ubliżać aktorom pod zagro-

żeniem natychmiastowego uwięzienia opornych i kar policyjnych.

Zakaz tego rodzaju obudził szemranie wśród wszystkich sfer towarzyskich w stolicy, lecz gazety miejscowe nie śmiały się odezwać słówkiem protestu przeciw tak dziwacznemu rozporządzeniu, niepraktykowanemu nigdzie w krajach, szanujących wolność słuchaczy w objawach antypaty do aktorów, ubliżających nieprzyzwoitem zachowaniem się godności sztuki i swemu powołaniu.

Jedna tylko *Gazeta Kicińskiego* w Nr. 183 z 14 maja ośmieliła się w artykule p. t. *O nadużyciach policyi w państwie konstytucyjnem*, podznaczonym nazwiskiem Franciszka Skomorowskiego, wystąpić z protestem spokojnym, lecz stanowczym, przeciw zarządzeniu prezydenta Woydy.

„Gdyby w jakim kraju konstytucyjnym — pisał autor — zwierzchność policyjna wydała obwieszczenie, iż kto na widowisku publicznem świstać, sykać, lub wzgardę osobom to widowisko dającym okazywać, będzie — wyprowadzonym, pod areszt wziętym i policyjnie skazanym zostanie, pytam się, byłoby to konstytucyjnie, czy arbitralnie? Kupujący dzieło ma niezaprzeczenie prawo wyrazić o niem publicznie zdanie swoje. Może go zganić, może je chwalić, jak mu przekonanie wskazuje. Osoba, wystawiając siebie, albo dzieło swoje na widok publiczny, tem samem poddaje się sądowi publiczności etc.“

W Nr. 185 z 15 maja tenże Skomorowski w liście otwartym, adresowanym do wydawcy *Gazety Codziennej*, pytał: „Od jakiegoż to czasu i w jakim to kraju nieukontentowanie ze złej gry aktorów, przez publiczność okazane, uważane jest za wzgardę dla jego osoby? Co mówię — że uważane jest za przestępstwo policyjne i policyjnie jest dochódzone i policyjnie karane? Nie będę się rozwodzić nad tem, co każdy sam czuje. Ale wydawcy! obstaję za umieszczeniem niniejszego żądania w dzienniku waszym. Zróbcie to wy, coście tak piękny, pierwszy dali przykład. Policya musi cofnąć wyrok przez siebie wydany. Woła o to głos wszystkich, wołać będzie póty, coraz silniej, aż sprawiedliwość otrzyma, a jeśli wyraźna wola Rządu postanowienie to nakazała — w imieniu konstytucyi,

w imieniu praw naszych, wołamy do Rządu samego, aby nam sprawiedliwości nie odmówił“.

Pod artykułem Skomorowskiego umieściła redakcyja *Gazety* od siebie dopisek tej treści:

„Każdy prawy Polak, przywiązany do konstytucyi krajowej, śmiałoby przemówił, gdy ta konstytucyjna tarcza swobód naszych zgwałconą zostaje“.

Ów pierwszy widomy znak protestu gazeciarskiego obudził w Warszawie taki huczek, iż, jak pisze Niemcewicz, „w dniu jednym dwie edycye gazety tej wyszły i pewnie z bogacą wydawcę...“ (*Pamiętniki*, 1809 — 1820, tom II, str. 412).

Następstwem protestu było wydalenie z posad urzędniczych hr. Kicińskiego, Morawskiego i Skomorowskiego, oraz zapieczętowanie w dniu 19 maja 1819 r. drukarni *Gazety Codziennej*, istniejącej podówczas przy ulicy Gęsiej pod Nr. 2286, w domu starego kasztelana Piusa Kicińskiego, ojca redaktora br. Brunona. Jednocześnie Wielki Książę powołał do Belwederu trzech pomienionych literatów i należycie zmywszy im głowę, udobruchał się w końcu, podał im rękę i prosił, by nadal przeciw rządowi nie występowali. Na parę wszakże godzin przedtem namiestnik Zajączek usłyszał reprimendę z ust Wielkiego Księcia za to, że nie aresztował z miejsca zuchwałych gazeciarzy: *J'admire Votre faiblesse. Pourquoi ne les avoir pas coffré sur le champ?*

W całej owej aferze i w następnej, którą w swoim miejscu przytoczymy, zachowanie się Nowosilcowa było dwuznacznem. Czy z obawy wywołania oburzenia publicznego w formie ostrzejszej i narażenia przez to stanowiska swego wobec cesarza Aleksandra, który w pierwszych latach po ogłoszeniu konstytucyi okazywał się istotnie względny dla Polaków i swego własnego dzieła, czy też w przenikliwości swej nie chcąc zrażać ku sobie kierowników opinii publicznej, na której głośkaniu i faworyzowaniu bardzo mu w początkach karyery swej zależało, czy wreszcie jako członek honorowy Towarzystwa Przyjaciół Nauk, urzędując w niem wspólnie z Niemcewiczem i inteligencyą krajową, nie chciał zrazić ku sobie kolegów — senator Nowosilcow był przeciwnym rygorem, przeciw dziennikarstwu zwróconym.

Na sesyi ministeryalnej dnia 22 maja 1819 r. wniośł Nowosilcow, by zakaz policyjny demonstrowania w teatrze był cofniętym i by żadnych rozporządzeń cenzuralnych nie wydawano. Poparli Nowosilcowa w owym wniosku Stanisław Potocki i Tadeusz Mostowski, lecz namiestnik Zajączek opornie się stawil i przeprowadził uchwałę, poddającą pod uprzednią cenzurę wszelkie pisma peryodyczne.

Ogłoszenie owego pierwszego zamachu na rękojmie konstytucyjne nastąpiło tegoż dnia 22 maja 1819 r., kontrasygnowane przez ministra Potockiego i sekretarza generalnego Kosseckiego w słowach: „Wszystkie gazety i pisma peryodyczne bez żadnego wyjątku podlegać odtąd mają cenzurze rządowej“ art. 2 (Nr. 43 dod. do *Gazety Warsz.* z 1819 r. — *Dziennik praw Król.* t. VI, str. 329).

W trzy tygodnie później zdjęto pieczęcie z drukarni *Gazety Codziennej* i w Nr. 189 z 14 czerwca 1819 r. przed przytoczeniem ustawy o cenzurze, redakcja tegoż pisma umieściła artykuł w tych słowach: „Gdy postanowienie J. O. Ks. Namiestnika poniżej umieszczone ustanowiło cenzurę rządową na wszystkie pisma peryodyczne, a fizyczna niemożność zachodzi odsyłania do cenzora codziennych artykułów w *Gazecie* umieszczać się mających, przeto *Gazeta Codzienna* z końcem kwartału, po wydaniu zaległych numerów — ustaje. Zamiast tego wychodzić będzie dzieło nie peryodyczne, a więc cenzurze nie ulegające: *Kronika drugiej połowy roku 1819-go*“.

Władze administracyjne nie cofnęły się z obranej raz drogi zatargu z prasą.

Nazajutrz po ogłoszeniu *Gazety Codziennej*, d. 15 czerwca 1819 r. prezydent Woyda zwrócił się do jego wydawcy z komunikatem:

„Zaleca W-mu hr. Kicińskiemu, właścicielowi drukarni, którą w dniu onegdajszym z woli Rządu utworzono, ażeby żadnego pisma peryodycznego nie ważył się bez cenzury wydawać, z wydawnictwem zaś *Gazety Codziennej* zupełnie się wstrzymał, dopóki do jej wydania dalszego nie otrzyma wyraźnego pozwolenia Rządu“.

Bez względu na ów zakaz, w czerwcu 1819 r. ukazał się tomik pierwszy wydawnictwa p. t. *Kronika*, podznaczony

podpisami „autorów prawnie odpowiedzialnych“: br. Kicińskiego i Teodora Morawskiego, lecz gdy w trzecim zeszyście umieszczono artykuł p. t. *Sen Plutarcha*, wytykający pod osłoną allegoryi nadużycia Zajęczka i jego akolitów, dygnitarze Komisji Oświecenia, Okołów i Kossecki udali się do Belwederu ze skargą na doznana obrazę, w skutek czego Wielki Książę wezwał do siebie Kicińskiego i zgromiwszy go surowo, zagroził tak jemu, jako i domniemanemu autorowi *Snu Plutarcha*, Niemcewiczowi, wysłaniem ich do więzienia petersburskiego.

O wszystkich tych zajściach złożył Nowosilcow raport cesarzowi Aleksandrowi, który w piśmie odręcznym do prezesa Rady Administracyjnej, Sobolewskiego, dał wyraz swemu niezadowoleniu i oświadczył, iż dopiero teraz poznaje, że Polacy są niespokojni i krnąbrni i że Bóg dał mu w ręce dość siły, żeby wszelkie ich zamachy zniszczył i skruszył.

Przytaczając wyjątek z owego pisma, Niemcewicz z goryczą wypomina niesłuszność zarzutów Polakom uczynionych. „Kto tu myśli o buntach, o poruszeniach! Poddani z pokorą pod losy przeznaczenia, wdzięczni za wyświadczone nam dobro, za nadane swobody, czyż winą jest naszą, że uwierzywszy, że swobody te doprawdy nie dla żartu były nam dane, pismem i mową ujęliśmy się za ich zgwałcenie?“

Na zapowiedź dalszych restrykcji prasowych nie długo czekać przyszło dziennikarzom warszawskim, w pierwszym zaś rządzie wydawcom książkowej *Kroniki*.

Dnia 16 lipca 1819 ukazało się ponowne postanowienie księcia namiestnika Zajęczka, tym razem kontrasygnowane przez Staszica, rozciągające cenzurę na wszelkiego rodzaju dzieła i pisma w Królestwie wydawane, choćby peryodycznymi nie były. (*Dz. praw* t. VI, str. 362).

W trzy dni później, dnia 19 lipca 1819 r. wyszedł tomik II *Kroniki*, z dopiskiem u spodu: „Wolno drukować. X. Czarnecki, cenzor wojew. warszawskiego“.

Pod taką opieką cenzury *Kronika* długo istnieć nie mogła.

Zamknął ją Kiciński i umyślił utworzyć nowe pismo p. t. *Orzeł biały*, ku czemu dodały mu bodźca zebrania intelligencyi warszawskiej w domu rodziców Lelewela, gdzie przewodniczył rozumem, doświadczeniem i powagą sędziwy

kasztelan Pius Kiciński i gdzie wszelkie sprawy publiczne dawały temat do ożywionych dyskusyj, a zarazem treść do artykułów zamierzonego nowego pisma.

Pierwszy numer *Orła białego* pojawił się we wrześniu 1819 r. i odrazu zyskał licznych czytelników.

Ośmielony powodzeniem redaktor postanowił iść przebojem w kierunku obrony swobód konstytucyjnych Królestwa i zwrócił w pierwszym rzędzie strzały polemiczne przeciw osobistościom, które, zdaniem jego, w charakterze odstępców sprawy narodowej, zgubny wywierały wpływ w kołach do Belwederu zbliżonych. Do rzędu takich osobistości należał osławiony generał Roźniecki, dawny bitny i dzielny żołnierz napoleoński, lecz jako człowiek, z gruntu zepsuty, pijak, karcciarz i kobieciarz, zabiegający giętkością karku o protekcję dla siebie i swoich zauszniaków, którymi się otaczał i przez których jednal dla siebie względy zaufanych W. Księcia.

Akcyą, podjętą przez Kicińskiego w *Orle białym* przeciw generałowi Roźnieckiemu, miała nadspodziewanie ważne następstwa, spotęgowała wpływ Nowosilcowa na losy kraju, uczyniła go nieodstępnym odtąd doradcą W. Księcia i informatorem cesarza Aleksandra we wszystkich dalszych restrykcyjnych przeciw konstytucyi zarządzeniach, do tego stopnia, że to, co w dziejach Królestwa Kongresowego stanowi obraz powolnego zaniku swobód nadanych, aż do zupełnego ich zniweczenia i wywołania wybuchu listopadowego, można, bez żadnej przesady, odnieść do faktu, który poniżej opisanym będzie, a do którego dały assumpt artykuły *Orła białego* z pierwszych miesięcy r. 1820.

II.

„Orzeł biały“. — Generał Roźniecki. — Raport Nowosilcowa z 7 lutego 1820 r. — Reskrypt W. Księcia. — Raport Nowosilcowa do cesarza Aleksandra z 13 lutego 1820 r. — Dziennikarze wezwani do Belwederu. — Incydent Kuruty. — Skarga Nowosilcowa na cenzorów. — Komisya Badeniego i Grabowskiego.

W tomiku pierwszym *Orła białego* z 22 stycznia 1820 r. ukazała się notatka ironiczna w słowach:

„Wybory marszałków sejmikowych nie zależą wprawdzie od obywateli, jednakże przestrzeganie godności narodowej i tu jest ich udziałem. Świeży tego przykład dali obywatele jednego powiatu, którzy człowieka mniej godnego piastowania łaski przymusili do złożenia jej sposobem bardzo naturalnym — z zagrożeniem wydrukowania własnego jego życia“.

Zaraz po owym artykuliku, w tomiku II z 1 lutego 1820 r. redakcyja zamieściła nowy w tym kierunku pocisk:

„Przykład obywateli pewnego powiatu (zob. *Orła białego* t. I Nr. 10), którzy zagrozili marszałkowi wydrukowaniem jego życia, stał się zaraźliwym i nietylko do marszałków, ale nawet i do innych godności przechodzi. Oby z równym skutkiem! Gdyby się upowszechnił zwyczaj drukowania takich biografij, wytykających prosto i historycznie czyny osób, ileż to ludzi niegodnych odsunięto by od urzędów! Każdy starając się o jaki stopień przynajmniej wtedy zajrzałby do sumienia i obrachowałby się z niem, czy może śmiało tym w oczy spojrzeć, którym ma przodkować; czy — jeżeli by był urzędnikiem — nie umaczał ręki w groszu publicznym? jeżeli był żołnierzem — czy zawsze lubił zapach prochu? albo czy się czasem nie ukrywał po jakich młynach, karczemkach lub drwalniach“.

Bezpośrednio po powyższej wycieczce, mieści się obiektywna, lecz w zestawieniu z tem, co przytoczono, bardzo zjadliwa notatka tej treści:

„Sejmik powiatu siennickiego odbył się w dniu 24 z. m. Znaczną większością kresek wybranym został posłem — J. W. Jenerał Roźniecki“.

Wystąpienie *Orła białego* wywołało w sferach urzędowych oburzenie. Doszło ono do wiadomości W. Księcia, który w niepohamowanym gniewie rozkazał natychmiast sprowadzić do Belwederu redaktorów *Orła białego*, zgromił ich surowo i w swej obecności polecił zrehabilitować przeproszenie generała Roźnieckiego i wydrukować tekst przeprosin naza jutrz w następnym numerze dziennika.

Skrupił się przy tej sposobności gniew W. Księcia na generale Kuruta, którego wyrzucono faktycznie za drzwi pałacu. Dostało się też należycie Nowosilcowowi, który usły-

szawszy o tem, co zaszło, pospieszył do Belwederu, by wymóżyć na W. Księciu odwołanie danego redaktorom *Orła* rozkazu przeprosin Roźnieckiego.

Echem zajścia był raport Nowosilcowa, złożony W. Księciu w dniu 7 lutego 1820 r. w słowach (po polsku):

„W skutek rozmowy, którą Wasza Ces. Mość zaszczylić mnie raczyłeś, mam honor Mu donieść, iż mam w zamiarze przełożyć na jutrzejszem posiedzeniu Rady Administracyjnej z urzędu mojego, jako pełnomocny Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, iżby wyznaczoną była komisya *ad hoc* do dochodzenia opieszałości cenzury w dozwalaniu drukowania w pismach peryodycznych wyrazów wcale nieprzystojnych, nieprzyzwoitych i obrażających, a to celem usunięcia od obowiązków tego, ktoby w tej mierze winnym być się okazał“.

„Donosząc o tem W. Cesarzowiczowskiej Mości, ośmielam się przedstawić, czyli nie będzie wołą Jego, w s t r z y m a ć aż do dalszych Waszej Ces. Mości rozkazów wydrukowanie w jutrzejszym numerze Gazety, przygotowanego artykułu?“

W. Książę Konstanty zreflektował się i ochłonawszy z gniewu uznał się za przekonanego wywodami Nowosilcowa, wyłuszczonego przeciw przeprosinom publicznym Roźnieckiego w rozmowie ustnej. Jakoż zgodził się na cofnięcie odwołania w *Orle białym* i bez żadnych ogródek oświadczył zamiar słuchania rad i wskazówek tak doświadczonego, jak Nowosilcowa człowieka.

W reskrypcie do Nowosilcowa z dnia 10 lutego 1820 r. pisał W. Książę (po francusku):

„Z chwilą, gdy rząd sam się zajął sprostowaniem tego, co było niewłaściwem i ubliżającym dla armii w jednym z artykułów Nr. 1 dziennika *Orzeł biały*, nie mogę, Panie Senatorze, jak tylko chętnie przychylić się do prośby w sprawie odstąpienia od zamiaru mego, by odwołanie obrazy podpisanej przez p. Kicińskiego, jednego z redaktorów, było wydrukowaniem w następnym numerze owego pisma peryodycznego“.

„Pochlebiam sobie, że w tej okoliczności, jak również w każdej innej, Wasza Ekscellencya nie omieszka uznać, ile jestem skłonny do stosowania się do wskazówek i do za-

rządzeń tych, którzy są zaszczytzeni zaufaniem Jego Cesarsko-Królewskiej Mości w sprawach Jego rządu“.

„Przyjemnie mi jest przytem zapewnić cię, Panie Senatorze, o wysokiem mojem dla ciebie poważaniu.

Wódz naczelny

Konstanty“.

Zakulisowe sprężyny awantury dziennikarskiej nie były wiadomemi ogółowi. Dowodem tego jest notatka Pamiętników Niemcewicza (II, 420), w następujący sposób sprawę tę wyjaśniająca:

„Mleczal Nowosilcow w całej zawierusze o drukach, obrażony, że ni W. Książę, ni namiestnik, nie radzili go się wprzód, nim porywcze wyroki swoje wydali i ta uraza sprawiła, iż na końcu dopiero swoim sposobem uczynił doniesienie Imperatorowi, że wszystkie czynione mu doniesienia były przesadzone. Nie mogąc na W. Księcia, na Kurutę złożył winę, że bez naradzenia się z nikim, tak porywczo przynaglił namiestnika do wydania hańbiących publiczność obwieszczeń“.

Tymczasem raport Nowosilcowa z dnia 13 lutego 1820 r., złożony cesarzowi Aleksandrowi, w odmiennem świetle sprawę tę przedstawia. Jest on wysoce ciekawy i charakterystyczny, już ze względu na fakt, że odsłania nam w całej pełni rolę pełnomocnego komisarza w stosunku do W. Księcia i świadczy o stopniu zaufania monarchy do Nowosilcowa, którego zadaniem miało być widocznie kontrolowanie działań brata cesarskiego i raportowanie o wszystkim, co zachodziło w najbliższem jego otoczeniu.

Oto w przekładzie brzmienie raportu Nowosilcowa:

„Najjaśniejszy Panie!

„Z istotnym żalem zmuszony jestem oświadczyć Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości, iż widocznie jakiś zły duch, zazdrosny o spokój i szczęśliwość, któremi się poddani tego kraju pod sławnem berłem Twojem cieszą, wywołuje rozmyślnie, od czasu do czasu, nowe jakieś powikłania, w oczywistym zamiarze zakłócenia panującego tu porządku, a raczej, że istnieje tu garstka wichrzycieli (*un petit nombre de brouillons*), mających za zadanie rzucać kiedy niekiedy roz-

palone głównie (*des beudons de feu*) w celu wzniesienia za targów i niedopuszczenia, by raz na zawsze ustały“.

„Czynnikiem (jedynym na szczęście w tej chwili), którym się posługują dla wywołania owego fatalnego skutku, jest prasa „*l'impression!*“ (tak!) zarażona najgłupszemi (*les plus absurdes*) poglądami na swobodę druku i podniecana żądzą pisaniny (*une rage d'écrire*), jaka kilku młodzieniaszkami, co zaledwie wyszli z liceów, nie ukończywszy nawet kursu nauk, ovladnęła“.

„Od czasu skutecznych zarządzeń, podjętych przeciw studentom uniwersytetu i szkół licealnych, zapewnić mogę Waszą Cesarsko-Królewską Mość, duch najsurowszy i najprzenikliwszy nie zdołałby dopatrzeć się w zachowaniu publiczności w ogóle i w jakiejbądź jej warstwie powodu do nagany. Spokój był tak bezwzględny, jak tego życzyć tylko sobie można było. Lecz ponieważ cenzura i wszystko co dotyczy wydawnictwa książek i dzienników pozostaje ciągle w rękach Komisji Oświecenia, liczącej w swoich szeregach Platerów, Niemcewiczów i Lipińskich, nie dziwnego przeto, że z tej jedynie strony należało się spodziewać głupstw nowych (*de nouvelles sottises*)“.

„I w rzeczy samej zaszło to, czego się spodziewano, jak o tem Wasza Ces.-Król. Mość raczy się przekonać z odczytania tego, co następuje:

„Dziennik, noszący tytuł *Orzeł biały*, wydawany pod nową nazwą i formą przez tych samych młodzieńców, którzy byli redaktorami zamkniętej *Gazety Codziennej*, zamieścił w jednym ze swych numerów artykuł następujący“:

(Treść jego podana powyżej, p. A.).

„Złośliwość, tkwiąca w notatce o wyborze generała Roźnieckiego, zamieszczonej bezpośrednio po wzmiance o żołnierzu, który obawia się prochu i ukrywa się w młynie, nie uszła uwagi publiczności. Cel młodzieniaszków osiągniętym został, wszyscy o tem rozprawiali, lecz, przyznać należy, z oburzeniem“.

„Okrucieństwo (*l'atrocité*) tej akcji i niebezpieczeństwo, na jakie każdy mógłby być narażony, o ileby tego rodzaju nadużycia dłużej tolerowano, były widocznymi dla każdego, choćby trochę rozsądnego osobnika“.

„Jednakowoż sprawa była zbyt drażliwą, by można było znaleźć lekarstwo natychmiastowe przeciw takiej obrazie. Jenerał Roźniecki nie był wymienionym, nikt przeto nie śmiał dopatrzeć się jego osoby pod formą żołnierza, obawiającego się prochu, by stanąć w jego obronie. Troskliwość taka byłaby obraźliwszą od obrazu samej. Zresztą, młodzi ci ludzie wystąpili przeciw niemu podle (*avec une sorte de lâcheté*), gdyż ukryli się pod możliwemi pozorami“.

„Wszystkie te względy nakazały mi ograniczyć się na razie na zarządzeniu kilku środków, zdolnych wobec szkół położyć raz na zawsze koniec tego rodzaju wybrykom prasowym. Porozumiałem się w tej mierze z księciem namiestnikiem i postanowiliśmy przedstawić je na najbliższem posiedzeniu Rady“.

„Tak stały rzeczy, gdy Jego Cesarzowiczowska Mość dowiedziawszy się o tej sprawie zagadnął mnie w tonie dosyć podniesionym i oświadczył, że wezwie do siebie owych młodzieńców i zrobi im scenę dotychczas nigdy nie widzianą (*qu'il leur fera une scène, comme on n'en n'a encore jamais vue*); zaledwie zdołałem otworzyć usta, gdy rzekł: „A choćby czort do mnie przemówił, nie usłucham go!“ (*quand cela serait le diable, qui lui parlerait, il ne l'écouterait point*)“.

„Zamilkłem, a W. Książę oddalił się. W kilka godzin później wezwał do siebie młodzieńców, zmył im głowę (*leur lava la tête*) i kazał Kicińskiemu, głównemu redaktorowi, podpisać odwołanie tego, co było wydrukowanem w jego gazecie, następującej w przekładzie osnowy“:

„Wydawcy *Orła białego*, przeświadczeni, że artykuł wydrukowany w jednym z numerów tegoż pisma mógłby ubliżyć całej armii, uprzedzają fałszywe komentarze, które mógłby wywołać. Ponieważ nikt nie odczuwa lepiej nad nich poświęcenia, będącego siłą i dostojnością armii, która po wszystkie czasy naszych dziejów służyła jako przykład, proszą o przebaczenie im tego, cokolwiek mogło być dla niej obelżywem w pomienionym artykule“.

„Polecę zamieścić to oświadczenie w najbliższym numerze wtorkowym.

(podp.) *Kiciński*“.

„Niżej podpisany zobowiązuje się nie pisać nigdy przeciw wojskowemu, bądź Polakowi, bądź obcemu i przeprosić w numerze najbliższym Gazety wszystkich wojskowych za artykuł, dotyczący jednego z nich w numerach poprzednich.

(podp.) *Kiciński*“.

6 lutego 1820 r.

„Nazajutrz rano, w poniedziałek, Jego Ces. Mość przysłał mi przez generała Kurutę oświadczenie już wydrukowane na kartce papieru z zapytaniem, jakiego jestem co do niego zdania“.

„Uprosiłem generała Kurutę, by złożył u podnóżka Jego Cesarzewiczowskiej Mości oświadczenie moje, iż uważam za rzecz właściwszą nie czynić, aniżeli ogłosić owo odwołanie w tej formie, jak ułożonem było, że, zdaniem mojem, dałoby ono owym młodzieniaszkom nową sposobność do obrazy generała drogą prośby, zwróconej do armii, o przebaczenie, co więcej zaś, rozgłos nadać się mogący tej sprawie nie omieszkałby wyrządzić Roźnieckiemu krzywdy niepowetowanej“.

„Generał Kuruta oświadczył mi, że to, co mówię, nie sprawi skutku pożądanego, ponieważ ośmielił się już przedtem uczynić taką samą uwagę, lecz Jego Cesarz. Mość rozgniewał się o to i wyrzucił go za drzwi (*et l'a chassé de la chambre*)“.

„Odrzekłem, że w sumieniu własnem nie mógłbym dać innego zdania, gdyby mnie o nie zapytano“.

„W kilka godzin później przybył do mnie generał Kuruta, w chwili, gdy bawił u księcia namiestnika, by mi oświadczyć ze strony W. Księcia, abym się uspokoił, gdyż nie myśli bynajmniej stać się poplecznikiem (*champion*) Roźnieckiego i jego obrońcą, że pozostawia jemu samemu drogę wykłaniania się z afery, lecz że mu leżało jedynie na sercu bronić armii, którą owi młodzieńcy dotknęli, prawiąc o tem, że powinna być mężną, rzecz, której nie powinni byli ośmielić się wyrazić“.

„Ośmieliłem się wspólnie z księciem namiestnikiem zauważyć, że takiego wyrażenia w artykule nie było i że jeżeli Jego Ces. Mość raczy zauważyć, że tej obrazy względem armii niema w artykule skierowanym przeciw jej generałowi dywizyjnemu, nie widzę racji imputowania im owej intencji

i przywiódłem to, co już powiedziałem, że prosząc armię o przebaczenie, młodzi owi ludzie oświadczyliby zuchwale, że wszystko, cokolwiek napisali, odnosiło się wprost do Roźnieckiego“.

„Tegoż wieczora miałem szczęście zbliżyć się do Jego Ces. Mości na balu u hr. Potockiej. Cesarzewicz powtórzył mi też same słowa, co Kuruta, a ponieważ nie mogłem być innej niż poprzednio opinii w tej sprawie, Jego Ces. Mość uniósł się gniewem i rozkazał mi mówić o czem innym. (*Monsieur prit de l'humeur et m'ordonna de changer de conversation*). Lecz w pół godziny później W. Książę sam przystąpił do mnie i oświadczył, że najwięcej zawiniła tu cenzura“.

„Uznałem, że istotnie jej niedbalstwu i złej woli należy przypisać zło, które się stało i nadmienilem, że porozumiewszy się uprzednio z księciem namiestnikiem, postanowiłem z urzędu swego, jako pełnomocny Waszej Cesarskiej Mości, wnieść na jutrzejszem posiedzeniu Rady projekt ustanowienia komisji specjalnej, w celu rozpatrzenia działalności cenzury i starania się o wykrycie powodów, które tamują wykonanie rozkazów rządu w tej mierze uchwalonych, by cenzorowie winni w tej sprawie, jakoteż w wielu innych, które przytoczę, byli złożeni z urzędu“.

„Po chwili namysłu Cesarzewicz oświadczył, że jeżeli dam mu na piśmie to, com wyluszczył ustnie, zgodzi się na to, żeby cofnąć ogłoszenie odwołania, przez młodzieńców zre-dagowanego“.

„Odrzekłem, że usłucham natychmiast rozkazu, lecz ponieważ już była pora spóźniona, nie należało stracić chwili czasu dla wstrzymania druku artykułu, który miał się już ukazać nazajutrz. Cesarzewicz zgodził się na cofnięcie odwołania. Wydano rozkaz i artykuł się nie pojawił. Nazajutrz przedstawiłem, jak było umówionem, swój raport, a n t i d a t u j ą c go, lecz Jego Cesarz. Mość życzył sobie, by go ułożyć w języku francuskim, aby w tymże języku mi odpowiedzieć. Przerobiłem go tedy w formie, jak w załączniku lit. A., na co mi W. Książę odpisał pochlebnie, jak w załączniku lit. B.“

„W trakcie tego, na posiedzeniu Rady w poniedziałek, ja i książę namiestnik mówiliśmy możliwie silnie o naduży-

ciach prasy i o nieodzownej konieczności położenia im tamy, jak o tem Wasza Ces. Król Mość przekonać się raczy z odpisu protokołu, przesłanego przez namiestnika ministrowi sekretarzowi stanu“.

„W rezultacie postanowiono ustanowienie komisji, złożonej z wojewody Badeniego i jenerała Stefana Grabowskiego, z włożeniem na nią obowiązku roztrząśnienia działalności cenzury i wykrycia radykalnego zła, które tamowało jej dotychczas możność spełniania swego zadania. Ponieważ jednak nie można było się zapewnić, iż ta czynność znajdzie się w rękach odpowiednich, książę-namiestnik i ja jesteśmy zdania, by tę czynność powierzyć radcy stanu Sumińskiemu, przynajmniej odnośnie do gazet. Stoi on na czele policji i poczty, a, niewątpliwie, cenzura powinna stanowić część policji ogólnej. Skądinąd jest to człowiek dobrze myślący, roztropny i sprytny i będzie sobie uważać za powinność — radzić się nas w okolicznościach drażliwych. Tylko tym na razie środkiem będzie się można zabezpieczyć przeciw podobnym nadużyciom. W następstwie Badeni przedstawi projekt komitetu cenzury, który składać się będzie z arcybiskupa, kilku wojewodów i senatorów i w ogóle z żywiółów najpoważniejszych w kraju, które staną na czele akcji zapobiegawczej, by publiczność nie była tumanioną przez wartogłów i któreby mogły przeciwstawić się protestom przeciw utrzymaniu prasy w należytych szrankach. Środek ów tem jest naglejszy, że właśnie zbliża się czas Sejmu i że w tym okresie czasu najbardziej należy się obawiać wybryków prasy“.

„Roźniecki przybył tu dziś rano i właśnie odemnie wychodzi. Usposobienie jego jest zupełnie spokojne, bierze ową sprawę ze stanowiska człowieka rozsądnego, nie mogąc stosować do siebie obrazy, zwłaszcza gdy się jest dosyć znany z waleczności wśród armii, którą niejednokrotnie prowadził do boju. Martwi go jedynie to, że Jego Cesarzowiczowska Mość mógł wysnuć pewne wnioski ze złośliwych przytyk jego wrogów.

Pozostaję etc.

Nowosilcow“.

Warszawa 1/13 lutego 1820 r.

III.

Projekt cenzury ogólnej. Zajączek i Nowosilcow. — Uwagi Pana Senatora nad projektem prawa o cenzurze.

Projekt ogólnej ustawy o cenzurze dla Królestwa Polskiego stał się przedmiotem gorliwych zajęć namiestnika Zajączka.

Wzorem tego prawa stała się ustawa rosyjska o cenzurze, wydana dnia 9 lipca 1804 r. w następstwie prac komitetu specjalnego, do którego podówczas należeli: Michał Murawiew, ks. Adam Czartoryski, Seweryn Potocki, Mikołaj Nowosilcow, Teodor Klinger, Stefan Rumowski, Mikołaj Czeretkowski i Mikołaj Fusa.

W marcu 1820 r. projekt Zajączka przedstawionym został Nowosilcowowi, który w odezwie z dnia 11 marca uczynił nad nim uwagi następujące, w wielu punktach wysoce charakterystyczne.

„Jenerał Kossecki -- pisał Nowosilcow do Zajączka — złożył mi projekt wasz ustawy o cenzurze. Ponieważ jednocześnie uczyniliście mi zaszczyt życzeniem poznania mojej opinii w sprawie owej ustawy, spieszę z jej wyłuszczeniem, o ile tylko słabe moje środki i mała znajomość języka polskiego pozwolą, by należycie ocenić siłę i doniosłość niektórych jej wyrażień“.

„Układ przedmiotu i metoda podziału, zastosowane do redakcyi ustawy, zdają mi się nie prawie, lub bardzo mało pozostawiać do życzenia. Zasady, na których się operat wspiera, są słuszne, sprawiedliwe i zgodne z raportem komisyi. Lecz wyznaję szczerze, iż mam pewne wątpliwości co do dwóch artykułów następujących“.

„Pierwszy mieści się w tytule I-ym w art. 4-tym tego brzmienia: „Straż wolności druku zbiera się za każdym wezwaniem prezydującego, deliberuje jedynie w następstwie odwołania się wydawcy pisma, lub drukarza, od zdania cenzora...“

„Czy nie uważasz, Mości Książę, że należałoby dodać do tego: „i za rek wizycyą rządu“, gdyż jeśli się ogra-

niczy interwencyę owej straży jedynie do reklamacyi wydawcy lub drukarza, jak to powiedziano w wyrazie j e d y n i e, wszystkie materye cenzuralne, zależne od komisji oświecenia publicznego, mogłyby zawierać tyle nieprzyzwoitości (*incongruités*), ile się da, a byłyby zawsze po za zakresem interwencyi rządu, gdyż nikt z wydawców i drukarzy nie znajdzie swego wyrachowania w zwróceniu uwagi owej straży na wykroczenie, któreby się im zarzucić dało, podczas gdy jeśli się przyjmie to, co ja proponuję, rząd zawsze będzie mógł interweniować w wypadkach niedbalstwa cenzora, o ileby ten przepuścił rzecz buntowniczą, lub tendencyą swą niebezpieczną“.

„Drugi artykuł nosi tytuł: „O pismach politycznych“ i brzmi: „Wszelkie pisma peryodyczne, tudzież niepereryodyczne, w materyach politycznych, przed podaniem ich do druku podlegają cenzurze, władzom policyjnym powierzonej“.

„Może się mylę, nie znając dostatecznie języka polskiego — lecz mniemam, że artykuł ów, pomieszczony pod tytułem: „O pismach politycznych“ i zredagowany w ten sposób, oznacza, jakby powiedziano: „Wszelkie pisma peryodyczne, tudzież niepereryodyczne w materyach politycznych, przed podaniem etc“.

„Jeżeli takim jest sens przywiązany do tego wyrażenia, ośmielę się zauważyć, że takie rozporządzenie nie odpowie bynajmniej ani celowi, do którego zmierza rząd, ani duchowi, który winien przewodniczyć ustawie“.

„Sens, tkwiący w wyrażeniu „w materyach politycznych“, jest niezmiernie chwiejny i może być tłómaczony wedle tego, co kto sądzi o materyach politycznych. W Anglii utworzono prawa o paszkwilach (*libelle*), przewidziano ową niedogodność i nie zaniedbano wyjaśnić, na czem polegają polityczne paszkwile, podzieliwszy je na kategorye następujące: 1) paszkwil przeciw religii, 2) przeciw obyczajom i prawu przyrodzonemu, 3) przeciw prawu narodów, 4) przeciw konstytucyi i państwu, 5) przeciw królowi i rządowi, i 6) przeciw obu parlamentom“.

„Z tem wszystkiem, pomimo starań, jakie miano, by uniknąć wszelakiej dwuznaczności, doświadczenie nauczyło,

o ile taka klasyfikacya była niewystarczającą i jak szerokie pozostawiała pole do wykrętów dla ominięcia prawa“.

„Sądźmyż teraz o nadużyciach, jakie mogą wyniknąć z wyrażenia, tak mało określonego, jak „materya polityczna!“ Co więcej, mniemam, że to nie całkowita istota materyj, która w okolicznościach obecnych winna zwracać na siebie szczególną uwagę rządu, jeśli się mówi o formie, w jakiej owe materye podają się publiczności. Dzieło peryodyczne, czy takowe ukazuje się w terminach stałych, lub w określonej liczbie egzemplarzy, zawsze jest niebezpieczniejszem, aniżeli dzieło przestronne (*de longue haleine*), gdyż tylko rodzaj pisma, przez swą naturę, zdolny jest krzawić między ogółem idee, jakie ma na względzie i sprawiać należyte wrażenie na każdym, w wydarzeniach potocznych zarówno ze sfery politycznej, jako i życia prywatnego“.

„Opierając się na takich konsyderacyach, śmiałym wynurzyć opinię, że rząd snadniejby cel swój osiągnął, a ustawa odpowiedziałaby lepiej duchowi, który jej przewodniczył, gdyby art. 7 zredagowanym został w sposób następujący: „Każde dzieło peryodyczne, jakiejbądź natury, jakoteż i dzieła niepereryodyczne w materyach politycznych, winny być przedstawiane etc.“ i w tym wypadku tytuł II mógłby brzmieć: „O piśmiech peryodycznych politycznych“.

Nowosilcow“.

IV.

Sprawozdania dziennikarskie z obrad sejmowych 1820 r. — Pisma zagraniczne. — „Gazeta Hamburgska“. — Rezydent Struve. — Rozkaz Nowosilcowa. — Jego odezwa do hr. Capo d'Istria. — Odpowiedź Struvego. — „Gazeta Wroclawska“. — Zjazd Opawski 1820 r. — Instrukcyja cesarska. — Hr. Alopeus.

Sprawozdania gazet cenzurowanych warszawskich z przebiegu obrad sejmowych 1820 r. nie dają, bo dać nie mogły były, zupełnego obrazu owego sejmu, od którego — jak świadczy Koźmian w Pamiętnikach — zaczęło się „w istocie zupełne zwichnienie stosunków i szereg nadużyć i gwałtów — z jednej strony, niechęć i rozjątrzenie — z drugiej“ (III, 51).

Jakkolwiek dyskusya obrad za przewodem partyi kalijskiej braci Niemojewskich była w rzeczy samej namiętną i żywą, stanowiła ona, w zestawieniu z tem, co nasze żyjące pokolenie widziało na scenie parlamentów, wiedeńskiego, petersburskiego, paryskiego i rzymskiego, prawdziwą sielankę uczuć, co prawda, rozżalonych i podnieconych zamachami na konstytucyę z r. 1815, lecz nie wykraczających zgoła po za obręb parlamentaryzmu ludzi dobrze wychowanych i kulturalnych. Huki, podniesione przeciw Potockiemu i Staszicowi z powodu kontrasygnowania postanowień majowych i lipcowych 1819 r. o cenzurze, dopiero pod koniec sejmku, trzymały się w szrankach lojalności bezwarunkowej, w chwili otwarcia owego sejmku przez przybyłego do Warszawy Aleksandra I. A jednak Nowosilcow, nie mogąc się w prasie miejscowej dopatrzeć najłżejszego nawet uchybienia w sprawozdaniach z początków obrad owego sejmku, czujnym okiem zwrócił uwagę na pisma zagraniczne i tam starał się dopatrzeć echa niezadowolenia opozycyonistów sejmowych, aby z tego tytułu móżdż ukuć broń przeciw władzom cenzuralnym miejscowym, za niezbyt gorliwe czuwanie nad karnością publicystyki w sprawach Królestwa.

Takiego uchybienia dopatrzyl się Senator w jednym z artykułów *Gazety Hamburskiej*, opisujących przebieg pierwszego posiedzenia sejmku z r. 1820. Podejrzewając, że wiadomości o owym sejmie, powtórzone przez gazety berlińskie, mogły się były dostać do Hamburga drogą korespondencyi z Warszawy, przesłanej przez jednego ze stronnictwa Kaliszczan, zwrócił się był Nowosilcow przedewszystkiem do konsula pruskiego w Warszawie z reklamacyą, a następnie do posła rosyjskiego w Hamburgu, Henryka Struvego, z żądaniem wykrycia źródła podejrzaney o nielojalności korespondencyi.

Co było osnową i powodem do śledztwa Nowosilcowa w tym kierunku — niewiadomo. Napróżno starałem się pozyskać odpis inkryminowanego artykułu dziennika hamburskiego, zwróciwszy się w tej mierze do prof. Aleksandra Brücknera z prośbą, aby w bogatym zbiorze gazet, mieszczącym się w Berlinie obok gmachu biblioteki królewskiej, odszukać rzeczy pomienionych ustępów *Gazety Hamburskiej* (Nr. 164).

„Przerzuciłem „korespondenta“ — pisał mi prof. Brückner — nie tam niema. W Nr. 154 jest tekst przemowy cesarza Aleksandra przy otwarciu sejmku — bez słówka dalszej uwagi. Do Nru 164 pojawiają się króciutkie notatki o rewjach, najobszerniejsza o galówce z 11 września, dwie linie o otwarciu sejmku, potem dwie króciutkie uwagi o dalszych obradach — dziesięć razy więcej mówi o projekcie poborowym Arakcejewowa rosyjskim i o pani Catalani, a tysiąc razy więcej (*à la lettre*) o portugalskich sprawach i o niedoszłym pojedynku p. Omptedy. Więc nie tam niema!“

A jednak Nowosilcow podniósł tę sprawę do wyżyn przestępstwa przeciwpaństwowego i poruszył wszelkie sprężyny dyplomatyczne, raportując o tem, co zaszło do ministra spraw zagranicznych Imperium hr. Capo d'Istria, do posła rosyjskiego w Hamburgu, do posła pruskiego w Warszawie, by dotrzeć do źródła inkryminowanej notatki!

Dnia 23 października 1820 r. pisał Nowosilcow do Struvego:

„Spieszę z przesłaniem panu Odezwy, którą rząd Królestwa właśnie przesłał konsulowi generalnemu pruskiemu w sprawie artykułu *Gazety Berlińskiej*, dotyczącego pierwszej sesyi sejmku, tylko co zamkniętego“.

„Ponieważ artykuł tejże treści wydrukowanym został w Nrze 164 *Gazety Hamburskiej* z 13 t. m., uważałem za swój obowiązek zakomunikować panu poufnie pomienioną odezwę i prosić was o niezaniechanie niczego, co mogłoby doprowadzić do wykrycia: z jakiego to źródła wydawcy *Gazety Hamburskiej* zacerpnęli wiadomości tak zmyślonych (*controuvées*) i sprawdzić jednocześnie, czyli pomieniony artykuł i w ogóle wszelkie wiadomości o tym kraju, nie są przesyłane przez korespondentów miejscowych, a w tym wypadku wpłynąć na pomienionych redaktorów, by wyznali, czy otrzymali je osobiście, lub też jaką drogą do nich doszły?“

„Polegając na gorliwości znanej waszej w służbie Jego Ces. Król. Mości i na doświadczeniu, jakie wam daje dokładna znajomość spraw, tuszę sobie, że pan nie omieszka dotrzeć do źródła owych fałszywych wieści i że mi o nich niezwłocznie doniesiesz“.

Tegoż samego dnia napisał Nowosilcow do b. członka rządu zjednoczonych wysp jońskich, podówczas ministra spraw zagranicznych Cesarstwa, hr. Capo d'Istria, odezwę tej osnowy :

„Dzienniki hamburskie i berlińskie ogłosiły załączający się tu artykuł o pierwszej sesyi sejmu Królestwa“.

„Rząd tutejszy uznał za swój obowiązek zaprotestować przeciw fałszywym wersjom, których się redaktorowie pomienionych gazet dopuścili i w tym celu zwrócił się do konsula gen. pruskiego z odezwą tu załączoną“.

„Ze swej strony uznałem za rzecz nagłą wezwać na szego konsula, rezydującego w Hamburgu, by wykrył autorów owych wiadomości i objaśnił mnie, wedle możności, z jakich źródeł takowe zaczerpnięto“ etc. etc.

„Okoliczność ta — brzmi odezwa w końcu — zasługuje tem więcej na uwagę, iż ujawnia widoczną złośliwość, ze względu, iż taż sama *Gazeta Berlińska*, pomieściwszy w numerach poprzednich wzmianki o sesyach późniejszych, wraca do pierwszej, z rozmyślnym zamiarem krzewienia nowin z prawdą niezgodnych“.

W dniu 31 października 1820 r. nadeszła do Warszawy odpowiedź konsula Stravego :

„Bezwzględnie — brzmi jej osnowa — po otrzymaniu depeszy Waszej Excellencyi za Nr. 490, zabrałem się do wyśledzenia źródła artykułu warszawskiego, zamieszczonego w Nrze 164 *Korespondenta Hamburskiego*. Badając w tej mierze redaktora osobiście, miałem sposobność przekonać się, że ów artykuł nie nadszedł bezpośrednio z Warszawy, gdzie, jak mnie zapewnił, korespondentów nie utrzymuje, lecz że go zaczerpnął z *Gazety Wrocławskiej*. Przyrzekł mi dostarczyć owego numeru, o ile się nie zawieruszył, a nie omieszkać mieć zaszczytu przesłania go Waszej Excellencyi, jeżeli się odnajdzie w masie papierów redakcyjnych. Z tem wszystkiem przyznał się, że otrzymał ów artykuł od jednego z korespondentów berlińskich, lecz nie mam możności zmuszenia go do niedyskrecyi w tej mierze. Przyrzekł natomiast odwołać w *Korespondencie* jutrzejszym niewiarogodne informacye, zawarte w pomienionym artykule“.

„Zaleciłem mu jednocześnie, by nadal z większą oględnością traktował sprawy polskie i nie ufał *Gazecie Wro-*

ławskiej, która wespół z *Gazetą Poznańską* zdaje się być głównym źródłem, skąd czerpie wiadomości o Królestwie Polskiem“.

„Prosząc Waszą Excellencyę o zaufanie mojej wyjątkowej gorliwości, chętnie służyć będę dalszym poleceniom, jakimi będę zaszczyconym i pozostaję etc.

Henryk de Struve“.

Hamburg 31 października 1820 r.

„*Post scriptum.* Właśnie zawiadamia mnie redaktor *Gazety Hamburgskiej*, iż pomimo poszukiwań, numeru *Gazety Wrocławskiej* nie odnalazł, lecz obstaje ponownie przy tem, iż artykuł kwestyonowany stamtąd zaczerpniętym został.

Ut in litteris, H. de S.“

Dnia 11 listopada 1820 r. doniósł Nowosilcow hr. Capo d'Istria o bezskutecznym rezultacie swych dochodzeń w Hamburgu, z nadmienieniem, „że już przed otwarciem ostatniego sejmku *Gazeta Berlińska* pomieściła artykuł, zapowiadający, że sesye owego sejmku będą burzliwe (*seraient orageuses*), co mnie w swoim czasie skłoniło do zamieszczenia w gazetach Królestwa sprostowania w tej mierze“.

Struvementu zaś pod tą datą wynurzył Nowosilcow podziękowanie za gorliwość, okazaną w wyjednaniu od redaktora *Gazety Hamburgskiej* odwołania pożądanego. „Niemniej — kończy Senator — oczekiwać będę po waszej roztropności i gorliwości, zwrócenia baczonej uwagi na wszystko, cokolwiek nadal drukować się będzie o sprawach tego kraju“. (*Les nouvelles que l'on pourrait à l'avenir répandre sur les affaires de ce pays*).

Rewolucya w Neaplu pobudziła ks. Metternicha do wezwania mocarstw Świętego Przymierza na kongres, wyznaczony w Opawie na Szląsku austryackim, dokąd zaraz po ukończeniu sejmku warszawskiego pospieszył cesarz Aleksander w otoczeniu kanclerza Nesselrodego i ministra Capo d'Istria.

Dnia 18 października 1820 r. przybył tam cesarz austriacki Franciszek, 7 listopada król Fryderyk Wilhelm III pruski. Francya i Anglia wysłały również do Opawy swych przedstawicieli.

Z Opawy też w dniu 17 listopada nadeszła od ministra Capo d'Istria do Nowosilcowa odezwa, z załączeniem kopii instrukcyi cesarskiej, wydanej hr. Alopeusowi, posłowi rosyjskiemu w Berlinie, w przedmiocie nieprzyzwoitego (*indécent*) artykułu, który sobie pozwoliły (*se sont permis*) gazety pruskie wydrukować o pierwszej sesyi sejmu Królestwa Polskiego, o czem w dniu 30 listopada 1820 r. Nowosilcow zaawiadomił namiestnika Zajączka.

Aleksander Kraushar.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALFRED TENNYSON.

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA.

(Ciąg dalszy).

V.

„Idylle królewskie“.

Odkąd stał się poetą-laureatem, poczuwał się Tennyson jako uznana głowa narodowego piśmiennictwa żywiej niż przedtem do obowiązku stworzenia jakiegoś wielkiego, monumentalnego dzieła. Nic więc dziwnego, że intensywniej niż dotąd zajął go teraz umiłowany zdawna przedmiot, który też wkrótce po publikacji *Maud* ostateczne poetyckie kształty przybierać poczyna. Tym przedmiotem są stare podania o królu Arturze, który w historyi jest jednym z ostatnich przywódców Keltów brytyjskich w beznadziejnej walce przeciwko zalewającą wyspę w ciągu V i VI wieku szczepom anglosaskim, w średniowiecznej zaś pieśni i powieści stał się wcieleniem wszystkich najwyższych ideałów feudalnego rycerskiego świata. Postać taka w rękach nowożytnego poety z całym urokiem tej barwnej legendarnej szaty, w jaką przyoblekła ją literatura romantycznych wieków, mogła połączyć nową treść moralną i stać się symbolem energij duchowych żyjącego pokolenia; w tem ponętne światło zapewne i Tennysonowi temat od początku się przedstawiał. Owoce tego zajęcia poznaliśmy już we wcześniejszych zbiorach jego poe-

zyj, w balladach o pani zamku Shalott, o rycerzu Galahadzie, o Lancelocie i Ginewrze, oraz we fragmencie epickim o śmierci Artura; innych szczegółów i materyałów do genezy utworu dostarcza dzieło biograficzne syna. Dowiadujemy się, że Tennyson już od najwcześniejszej młodości ujęty urokiem legend o Arturze, pojedyncze ich części parafrazował prozą; z r. 1833 posiadamy szkic dzieła epickiego; około r. 1840 chwilowo górę bierze myśl dramatycznego opracowania, z pieśniami i muzyką — scenaryusz nam się zachował; wreszcie po *In Memoriam* i po *Maud* poeta definitywnie postanawia jąć się przedmiotu energicznie i ująć go w ramy epickie; gorliwe studjum źródeł literackich, oraz podróże do Bretanii i Cornwall, jako miejsce temi podaniami owianych, nadają kształty produkeyi i w r. 1859 pojawiają się pierwsze cztery *Idylle królewskie* (*Idylls of the King*). Sukces był natychmiastowy i nadzwyczajny: 10.000 egzemplarzy rozchwymano w pierwszym tygodniu. To zachęciło poetę, i najbliższe dziesięciolecie wypełnia dalsza praca nad dziełem. Nieuniknioną w pracy poetyckiej nad tym tematem była pewna kryzys, która też nastąpiła i u Tennysona około r. 1868. W wielu dziełach poezyi średniowiecznej mianowicie podanie o królu Arturze skojarzyło się i połączyło z odmienną zgoła przez treść i pochodzenie legendą o świętym Graalu, kielichu Ostatniej Wierzy Chrystusa Pana i o rycerskiem bractwie jego stróżów. Czy i jak połączyć ze sobą te dwa cykle, to i dla dzisiejszego poety ważne i trudne zagadnienie. Zmagał się z niem Tennyson ¹⁾, aż wreszcie około r. 1866 pokonał trudność w sposób, więcej moralnie głęboki, niż artystycznie doskonały, w idylli *The Holy Grail*, i odtąd niema już przerwy w produkeyi *Idyll* aż do r. 1872, gdy pojawiają się po raz pierwszy w całości w zbiorowem wydaniu dzieł poety; na kilka lat przed śmiercią, w r. 1885, dorzucił Tennyson jeszcze jeden utwór

¹⁾ Do włączenia motywu, jak się dowiadujemy z Pamiętnika lady Tennyson, ostatecznie namówiły go kobiety — ona sama, królowa Wiktorya i księżna Aleksandra; podobnie do ujęcia całego przedmiotu w jedną epopeję — czego jeszcze po r. 1860 bardzo się obawiał — w znacznej mierze skłonił go przyjaciel Sir James Knowles, autor książki o podaniach arturowskich (1862).

(*Balin and Balan*), doprowadzając w ten sposób liczbę do uświęconych wergiliuszowską tradycją dwunastu ksiąg czyli romane epickich, do których nazwę *Idyll* zastosował w jej pierwotnym starogreckim znaczeniu: *εἰδύλλια*, „obrazy poetyckie“, choć nie w pasterskim sensie idyllicznego nie zawierają. Jak stare powieści średniowiecznych poetów o „rycerzach-Okragłego stołu“, tak i te opowieści Tennysona przedstawiają się jako przygody poszczególnych bohaterów dworu Artura. Ale jedność epiczną nadaje im sama osoba króla; jego monarsza misja cywilizacyjna, obrócona w niwecz przez grzechy i błędy otoczenia, co nie dorosło do jego wielkości, jest centralną ideą poematu; to też pierwsza i ostatnia księga jemu są poświęcone; opowiadają, jedna jego przyjsście między ludzi i wstąpienie na tron, druga jego ostatnią klęskę i zejście z tego świata — i to i tamto okryte zasłoną cudu i tajemnicy.

Nadejście Artura (*The Coming of Arthur*), pisane w r. 1869, to ekspozycja całości; poezyna się od pierwszego wielkiego rycerskiego czynu świeżo ukoronowanego króla: niosąc dzielną pomoc królowi Leodogranowi, którego kraj pustoszą dzikie zwierzęta i dziksi od nich ludzie z wielkich niedostępnych lasów, Artur pierwszy wpuszcza słońce kultury do tych borów, buduje w nich drogi i w ten sposób godnie rozpoczyna cywilizatorskie dzieło swego życia. Zyskuje rękę nadobnej córki Leodograna, Ginewry (*Guinevere*); na uczcie weselnej pojawiającym się posłom Rzymu, „gasnącej monarchini świata“, śmiało odmawia daniny dla cesarza; poparty zgodnemi siłami swych potężnych zastępów, w dwunastu walnych bitwach zwycięża niesforne szczepy pogańskie i jako pierwszy swego rodu jednoczy pod swem berłem całą celtycką Brytanię. W rozmowach występujących w tej księdze osób wplecione są dzieje pochodzenia i pierwszej młodości Artura; w średniowiecznych formach podania figuruje on często jako dziecko cudzołóstwa lub kazirodztwa; Tennyson, by od początku otoczyć Artura tym nimbem jakiejś nadprzyrodzonej doskonałości, co go odróżnia od innych osób poematu, rozmyślnie przesłania dzieje rodowe Artura mglistą tkaniną fantastycznej tradycyi, że go jako niemowlę w ciemnej nocy fale morskie u stóp zamku na brzeg wyrzuciły i tam go zna-

leżli potężni czarodzieje Bleys i Merlin, odtąd wierni jego słudzy. Merlin to zrobił Artura królem mimo oporu tych, co go podejrzewali o nieprawę pochodzenie. Proroctwa znaki towarzyszą pierwszym krokom młodego króla: dostaje mu się miecz Excalibur, przez tajemniczą rękę wynurzony z głębi jeziora, opatrzony napisami „Bierz mnie“ i „Rzuć mnie“, do wód jeziora tedy wrócić przeznaczony; już tutaj także, przy koronacji Artura, spotykamy „trzy piękne królowe“, wieszczce jego przyjaciółki, z którymi niegdyś na magicznej łodzi odpłynię w dal życia wiekuistego. Pieśń rycerzy na weselu królewskim tchnie radosną nadzieją odrodzenia świata za sprawą tego wybrańca Bożego; takimi lirycznymi intermezami, jak dawniejsza *Księżniczka*, i ten utwór epiczny wzorzyście jest przetykany; tylko że tu nie przerywają one odmiennymi rytmami jednolitej harmonii epickiego opowiadania; od otaczających je miodopłynnych strumieni białego wiersza odróżniają się jedynie rymem i jedyną w swoim rodzaju wirtuozyą w powtarzaniu pewnych przewodnich słów, rozbrzmiewających przez całą piosenkę jakby zasadniczy motyw jej lirycznej melodyi¹⁾. Tak w tej pieśni rycerzy Artura, jakby głosy surm bojowych, wciąż w nowych wariacjach rozlegają się słowa: „Grzmij trąbo, błyskaj mieczu, dzwoń toporze o helmy! Walcz i giń za króla, żyj za niego i umieraj! Król niech panuje!“²⁾.

Następują pod wspólnym tytułem *The Round Table* (*Okrągły stół*) romance o znakomitych bohaterach dworu Artura. Pierwszy z tych obrazów — jeden z ostatnich chronologicznie, bo pisany z pewnym wysiłkiem w latach 1871-1872³⁾, pod nazwą *Gareth and Lynette* ukrywa znany z arcy-

1) Ten niezmiernie efektowny środek techniki stylistycznej poety, szczególnie w tych pieśniach w *Idyllach królewskich* prawdziwe tryumfy święcący, ale i gdzieindziej znakomite mu oddający usługi, ilustruje przykładami § 146 (str. 190) mojej niemieckiej książki *Tennysons Sprache und Stil* (Wiedeń, Braumüller, 1907).

2) *Blow trumpet -- flash brand -- fall battle-axe upon helm -- strike for the king and die (and live) -- let the King reign!*

3) Poeta żartem powiedział, że napisał tę pieśń *ad usum delphini*, »jako portret wzorowego młodzieńca dla obu swych chłopców«.

dziel średniowiecznych temat młodości Parcivala, kreśli więc najodpowiedniejszy dla pierwszej w rzędzie tych opowieści przedmiot: trudności, jakimi otoczony jest sam dostęp do wybranego stanu. Matka Garetha chce zachować syna od niebezpieczeństw i mozołów żywota rycerskiego, i trzyma go zdaleka od dworu. Gdy jednak budzi się w nim niepokonane pragnienie przygód i czynów bohaterskich, by go odstraszyć, nakłada nań warunek, że nie jako syn szlachecki, ale jako nikiemny kuchcik wstąpi na dwór królewski. Gareth przyjmuje na siebie to upokorzenie; rycerską swą naturę objawia dopiero, gdy zyskuje przyzwolenie króla na wyprawę celem wybawienia z niewoli pięknej Leonory; cierpliwie znosi w drodze pogardę jej siostry Lynetty i pokonuje szczęśliwie czterech potężnych przeciwników, których symboliczne nazwy „Gwiazda poranna“, „Słońce południowe“, „Gwiazda wieczorna“, „Noc i Śmierć“, wyraźnie nam powiadają, że chodzi tu o tryumf wytrwałości, o walkę ducha ludzkiego z opornym czasem (*the war of Time against the soul of Man*): to też ostatni z czterech, zwyciężony, okazuje się jako kwitnący młodzieniec; wybawca Leonory wraca na dwór jako uznany bohater i wynagrodzony jest ręką dumnej Lynetty. Epizodycznie do tej opowieści wpleciony jest obraz dworu Artura na zamku Camelot, otoczonym atmosferą tajemniczych dziwów: zamek to pojawia się, to znika we mgle, gdy się doń zbliżają wędrowcy, a czar ten podwyższają jeszcze zagadkowe jak wyrocznia odpowiedzi Merlina na zapytania przybyszów. Samego króla Artura poznajemy tu jako sprawiedliwego sędziego, rozstrzygającego spory między poddanymi i naprawiającego krzywdy, nawet przez własnych jego przodków wyrządzone.

Dalsze dwie idylle (*The Marriage of Geraint — Geraint and Enid*) należą do najwcześniejszych; tworzą one jedną całość i jako taka pod tytułem *Enid* w r. 1856 napisane, a w r. 1859 wydane zostały. I tutaj przedmiot dobrze znany z romanc średniowiecznych: bohater Geraint, to ów Erec u Chrystyana de Troyes i Wolframa z Eschenbach, który w szczęściu domowem zapomniał o dawnej dzielności rycerskiej, a gdy żona jego, Enida, nad tem ubolewa, posądza ją o niewierność i wystawia na szereg najcięższych prób:

w skromnym stroju musi mu towarzyszyć na uciążliwej wyprawie i wykonywać różne twarde rozkazy; ale niezmienną pozostaje jej pokora i uległość, niezmienną też stałość i wierność, gdy się spotyka z pokusą, niezmienną we wszystkich niebezpieczeństwach troskliwość o małżonka, niezachwianym jej bierny heroizm nawet wobec brutalnej przemocy; Geraint znowuż we wszystkich tych przejściach składa świetne dowody nieustraszonej odwagi i niezłamanej mocy, tak, że w końcu małżonkowie z nową do siebie ufnością w nowem szczęściu są zjednoczeni. Wstęp do tej idylli — później ze względu na objętość oddzielony jako osobna księga — opowiada wspomnienia Enidy o pierwszym jej spotkaniu z małżonkiem: jak Geraint, szukając odwetu za obelgę wyrządzoną jednej z dam orszaku królowej, przybył do nieznanego miasta w przeddzień wielkiego turnieju, zagościł u ojca Enidy, jako jej rycerz w turnieju zwyciężył i zawiódł ją jako żonę na królewski dwór. — I w tych dwóch idyllach nie brak obrazów i figur epizodycznych: do takich należy dumny, niepo- hamowany rycerz Edyrn, którego Geraint zwycięża w turnieju i którego dopiero to upokorzenie nawraca i czyni godnym towarzystwa bohaterów Okrągłego stołu. I tu w ciągu opowieści spotykamy wielokrotne przykłady zbożnej pracy króla nad podniesieniem i ucywilizowaniem kraju i narodu; ale też już tu dochodzą nas echa czarnego przewinienia, co niebawem w zniszczenie tę doskonałość obróci, mianowicie cudzołostwa królowej z pierwszym i najświetniejszym z paladynów jej małżonka, rycerzem Lancelotem. Ten grzech i na następną idyllę rzuca swe posępne cienie.

Balin and Balan, najpóźniejsza ze wszystkich opowieści, powstała dopiero w roku pierwszego zbiorowego wydania (1872) jako rodzaj wstępu do innej (o Merlinie i Wiwianie), z którą łączy ją wspólność kilku występujących osób; sam przedmiot jednak zajmował poetę już dawniej, czego dowodem zachowany nam szkic prozą, znacznie wcześniejszej daty. Po gloryfikacji pokornej wytrwałości i cierplivej wierności małżeńskiej, mamy tu obraz miłości braterskiej. Naczelne postacie o tak podobnie brzmiących nazwiskach, to bracia bliźniacy, sercem i losem złączeni, a różni zgola usposobieniem: Balin, dziki i popędliwy, przez otwarty gwałt na

dworze Artura ściągnął na siebie wyrok wygnania; po trzech latach przypadkowo przez króla napotkany, z łaski jego wraca na dwór z łagodnym i dobrotliwym bratem Balanem, który niebawem, gdy mu przychodzi wyruszyć samemu na rycerską wyprawę, przy pożegnaniu raz jeszcze ostrzega brata przed porywami gwałtownych namiętności. Istotnie Balin walczy ze swą naturą, pokonywa ją i nabywa szlachetnych i wykwintnych obyczajów rycerzy Artura; z uwielbieniem dzieciniego idealizmu patrzy na Lancelota i królowę; za pozwoleniem króla nosi koronę Ginewry jako znak w swej tarczy, którego widok powstrzymuje go od wybuchów; ale zabójcze technienie grzechu wnet niszczy te zarodki dobrego; ze wszystkich stron uderzają w szlachetną wiarę Balina podejrzenia i pogłoski o stosunku Lancelota do królowej; od szaleństwa do szaleństwa porywa go rozpacz; w zamku Pellama, rywala i wroga Artura, znieważa relikwię — świętą włócznię Longinusa, co Chrystusowy niegdyś bok przebiła; tą samą włócznią w obłędzie boleści walczy w lesie z własnym bratem; wzajemnie sobie zadają śmiertelne rany i poznają się dopiero w chwili skonania. Jeden z najosobliwszych wśród licznych epizodów w *Idyllach* w tej właśnie pieśni spotykamy: to dwór starego Pellama, co w zabobonnym kulcie relikwii i ascetycznem zamknięciu od świata szuka wyższej od Artura moralnej doskonałości; jak bezskutecznie, dowodem cynizm jego syna Garlona, którego drwiny budzą w sercu Balina drżemiące tam podejrzenie, zrodzone z podsłuchanej rozmowy miłosnej między Lancelotem a królową; dopełnia wreszcie miary jadu złości a wymownemi słowy przebiegła awanturnica Wiwiana; w jej osobie wkracza do poematu wcielona siła złego i fałszu, i zaraz w następnej księdze święci pierwszy swój wielki tryumf.

Merlin and Vivien należy do idyll wcześniejszych: pisana w r. 1856, była jedną z owych czterech, co wyszły w r. 1859. Wiwiana, której ojciec poległ w bitwie przeciw Arturowi, od początku nienawidzi go tą nienawiścią, co „silna jak miłość, jak ona nie zna obawy“¹⁾; podstępem, podając

1) »As Love, if Love be perfect, casts out fear,
So Hate, if Hate be perfect, casts out fear«.

(Według słów św. Jana — o miłości tylko — w pierwszym Liście, 4, 18).

się za niewinną ofiarę prześladowania, dostaje się na dwór Artura i tu rozsiewa złośliwe wieści, a na pośmiewisko całego dworu nawet nieskalanego króla odważa się wodzić na pokuszenie. Wreszcie oko jej pada na sędziwego mędrca i magika, doradcę królewskiego, Merlina; pochlebstwem wkrada się w jego łaski; oto na wstępie poematu — bo wszystko dotychczasowe wplecione jest w homeryckiej formie epizodu — zastajemy ją u stóp samotnego starca w lesie Broceliande i cała księga w jednej długiej scenie dyalogicznej przedstawia, jak przebiegła Wiwiana tysiąciami sztukami swej wymowy oplątuje zamglony smutnem przecuciem umysł starca, w końcu wydobywa z niego słowa i gesta najpotężniejszego z jego czarów, tensam czar zaraz potem na niego zarzuca, i Merlin leży jak zmarły, w tajemniczem uspieniu, „stracony dla życia i dzieła swego, i dla chwały imienia“¹⁾. Jak wszędzie, tak i w tej idylli, związek z ogólnym obrazem dworu Artura jest zachowany: tutaj przez potwarze i oszczerstwa, które rozsiewa Wiwiana, a które choć w małej tylko części z prawdą zgodne, jednak świadczą, jak dalekie kręgi zataczać już poczyna ten jeden grzech, co zatrueń moralną atmosferę zamku królewskiego. Dowiadujemy się także ze wspomnień Merlina, jak to niegdyś przed laty, na polowaniu za złotorogim jeleniem baśni gminnej, pieśń jednego z łowców natchnęła gromadkę do związania się w rycerskie bractwo Okrągłego stołu.

Lancelot and Elaine, czyli *Piękna dziewczica z Astolat* (*The Fair Maid of Astolat*), pod prostym tytułem *Elaine* ogłoszone wkrótce po napisaniu między pierwszemi idyllami w r. 1859, opowiada w odmiennej i obszerniejszej wersji znaną nam już historję *Damy z Shalott*. Lancelot, podobnie jak Geraint, w drodze na turniej na gościnnym zamku pozyskał serce pięknej Elaiue; ona go odnajduje i pielęgnuje, gdy stamtąd wraca raniony; ale Lancelot, pomny swej nieszczęsnej miłości dla królowej, wierny nawet w grzechu, bez pożegnania opuszcza zamek i pozostawia dziewczeczkę na pastwę tęsknoty i wczesnej śmierci; zwłoki jej, z ostatnim listem w rękę, niemy wioślarz przywozi pod schody królewskiego

¹⁾ »Lost to life and use and name and fame«.

pałacu. Ów wielki turniej, to doroczna walka o jeden z kamieni w kosztownym dyademie, przez króla samego niegdyś w lesie znalezionym; dotąd wszystkie z kolei bez trudu Lancelot zdobywał i składał w hołdzie królowej; teraz, gdy o dziewiąty i największy dyament ma walczyć, ona zrazu sama go wstrzymuje, potem znów jechać każe, i Lancelot staje w szrankach niepoznany, z obcą tarczą i znakiem Eleny na helmie; nagrodę zyskuje, ale ranę ciężką odnosi, a śmierć panienki goryczą żalu zatruwa serce jego i królowej. Tak to psuć i mącić się poczyna spokój i porządek na dworze królewskim, i coraz czarniejsze chmury nad głowami winnych się gromadzą.

Fatalny przebieg tej tragicznej sprawy krzyżuje teraz motyw inny: z podaniem o Arturze łączy się legenda o św. Graalu. Wiemy już, jak pasował się poeta z trudnością wprowadzenia tego przedmiotu w poemat; w r. 1868 przyszło zbawcze natchnienie, i w jednym tygodniu wrześnieowym napisał idyllę *The Holy Grail*, która w tem właśnie miejscu znalazła potem pomieszczenie w zbiorowym wydaniu. Jak przy poprzedniej pieśni, sięgnąć tu wstecz musimy do jednej z ballad we wcześniejszych zbiorach: wszak to Sir Galahad, czysty i bez skazy, z utęsknieniem szukał po świecie całym świętego zjawiska. Ale nie był on jedynym, co poszedł na taką wyprawę; bo Graal najpierw w nocnem widzeniu świątobliwej zakonnicy, a potem w blasku pioruna całej gromadzie rycerzy Artura w sali zamkowej się objawił i kilku z nich poprzysięgło niestrudzenie szukać go na ziemi. Artur nie pochwała tych ślubów; Galahad tylko i owa czysta mniszka istotnie wzięli kielich Chrystusowy; inni pójdą za błędnym ogniem mistycznych pragnień i niejeden z nich marnie zginie — a tymczasem pusto będzie wokoło króla, zabraknie obrońców ładu i prawa w szerokich jego ziemiach. Poznajemy z kolei losy i przygody rycerzy, co szukali Graala. Percivale — który opowiada całe te dzieje w zmierzchu starości towarzyszowi długich lat klasztorowego żywota — widział go tylko na jedną krótką chwilę nad głową Galahada, któremu Graal od początku wyprawy dzień i noc przyświecał i który, wytępiwszy wiele zlego w świecie, odpływa w promiennej chwale na cudownej łodzi w glorię niebiosów;

innemu rycerzowi, imieniem Bors, uwięzionemu przez jakiś naród pogański, na jeden jasny moment Graal się objawił w ciemnicy; ujrzał go i Lancelot, z ostrzem grzechu w sercu rozpaczliwie po łądach i wodach błądzący: na jedno oka mgnienie zaledwie zabłysło mu święte widziadło w ukrytej komnacie na szczycie wieży jakiegoś olbrzymiego, pustego zamku. Tylu więc widziało i tak widzieli — każdy według czystości serca swego i wzniosłości myśli. Artur nie poszedł z nimi, ich przysięg nie dzielił; pozostał wiernym ziemskiemu swemu dziełu i zadaniu; wie, że uczynił dobrze, ale też wie on lepiej i pewniej od nich, że „widzieli, co widzieli“, że nie marne to twory wyobraźni i puste przywidzenia — bo i on ma swe wizye, i jemu często jasnym się staje, że jest prawda, rzeczywistsza od otaczającego świata materyi, od światła i powietrza i ciała własnego, że w Bogu i w królestwie ducha jest wieczysta istność, a wkoło nas zjawiska tylko, płynne, zmienne, niestałe, bez własnego życia i bytu. Prawdziwie angielskie to wyznanie wiary w swem dziwnem połączeniu realistycznej etyki z mistycznym spirytualizmem: człowiekowi, co tu na ziemi kroczy prostą drogą powszedniego obowiązkowi, jakby w nagrodę pewniejszą się staje wizya tryumfu rzeczywistości ducha nad znikomością rzeczy cielesnych. Tę wielką ideę wypowiada opowieść o św. Graalu; ale idea to nie powiązana ściśle z moralną treścią i jednolitą akcją całej reszty *Idyll królewskich*; dlatego też cenić wprawdzie będziemy ten szereg obrazów osobistego nastroju religijnego, jakie nam w tych wizjach swych rycerzy daje poeta, cenić jeszcze bardziej będziemy to idealne wywyższenie postaci Artura jako jednoczącego świadomość celu w życiu ziemskim z filozoficzną intuicyą najwyższych rzeczy metafizycznych — ale razić nas musi to wszystko jako przerywające tok epopei, odwodzące umysł na wyżyny wprawdzie, ale daleko od przedmiotu, odbierające dzieło artystyczną jedność i zwarłość budowy.

Z następną idyllą (*Pelleas and Ettarre*) powracamy na poziom właściwej treści poematu; należała ona już do pierwotnego planu w r. 1859, ale wykonania doczekała się dopiero przed r. 1870. Bohater jej Pelleas, jak Balin w jednej z poprzednich idyll, wstępuje na dwór Artura z dzie-

cinnie naiwną wiarą w szlachetność i doskonałość swego otoczenia. Serce i służby oddaje bezdusznej kobiecie, której pogardę, jak Gareth dumę Lynetty w pierwszej z opowieści całego cyklu, znosi cierpliwie jako próbę swej wierności; więzić i poniewierać się daje na jej rozkaz; dopiero gdy ona najohydniej go zdradza z Gawanem, rycerzem Artura, co podjął się zdobyć jej uparte serce dla niego — rozpacz Pelleasa wybucha płomieniem; Percivale odbiera mu resztę wiary w czystość królowej i całego bractwa rycerzy Artura, i szalone słowa zapamiętałego w żalości młodzieńca węglem rozżarzoną padają w grzeszne dusze Lancelota i królowej. „Czas się dopełnia“, mówi do siebie zdradziecki Modred, synowiec Artura; istotnie dopełnia się miara zgnilizny i złego, co z jednej winy tak bujnie wyrosły. Dopełnia się i zakres pomysłów poetyckich, co wkoło tego jednego przedmiotu osnuć się dały; widzieliśmy już, jak w tej ostatniej idylli pojawiają się dwukrotnie motywy, podobne do użytych już poprzednio. Zanim jednak przechodzimy wprost do katastrofy, co teraz już wisi w powietrzu, wprowadza poeta do utworu jeden jeszcze temat, który, choć pierwotnie całkiem odrębny, niejednokrotnie w średniowiecznej poezji z cyklem o królu Arturze łączony bywał. Tym przedmiotem są dzieje występnej miłości Tristana i Izoldy, opowiedziane w idylli *Ostatni turniej* (*The Last Tournament*). Już w r. 1859 pociągało Tennysona nieprzepartą siłą to podanie, tak ukochane przez tylu poetów dawnych i nowszych; czyta starofrancuską romancę, by się bliżej z fabułą zapoznać; ale dopiero w maju r. 1871 pieśń przybrała ostateczne kształty. I tu powtarza się w zmienionej formie motyw jednej z poprzednich idyll: turniej o wspaniałą klejnot, przypadkiem znaleziony; jak ów już opisany, tak i ten turniej odbywa się w złowróbnym nieładzie; Artur wyruszył przeciw rycerzom-rabusiom, co otwarcie sztydzą sobie z jego władzy i lżą jego dwór; w miejsce jego Lancelot zasiada na tronie rozjemczym; ale przygnieciony ciężarem sumienia, nie dba o uświęcone prawa i przepisy, i tak w szary dzień jesienny, wśród szumu wiatru strącającego żółtkłe liście, w zgiełku i bezrządzie toczy się ten ostatni turniej na dworze Artura. Zwycięzcą zeń wychodzi Tristan, co właśnie wrócił z za morza, a wrócił, by łamać wiarę bre-

tońskiej swej narzeczonej w cudzołożnym związku z kornijską królową Izolda. W pełnej gorzkich żartów, długiej rozmowie Tristana z Dagonetem, wiernym błaznem królewskim, na wzór błazna w *Królu Lirze*, roztacza się nam przed oczyma obszerny obraz całego zepsucia, co wtargnęło na dwór i rozpanoszyło się wokoło króla, całego tragizmu usiłowań Artura, co „z cierni i ostów spodziewał się owocu, miodu w gnieździe os, ze zwierząt ludzi chciał uczynić“: królem błaznów i swym bratem nazywa go Dagonet.

Tristan w drodze do zamku Lyonesse, gdzie czeka go Izolda, w lesie, dokąd niegdyś na miesiąc szczęścia ją uwiódł, wspomina dzieje swej wiarołomnej miłości; potem w rozmowie z królową, gdy mowa o świętości złamanych przezeń przysięg i ślubów, swobodnie daje wyraz wszystkim tym wątpliwościom, co zdawna przeciw idealnym dążeniom Artura w pospolitych, światowych umysłach się rodziły. Ściemnia się, i Tristan teraz dopiero błyska przed oczyma Izoldzie naszyjnikiem z rubinów, co go zdobył dla niej na turnieju; ale w chwili, gdy jej go zarzuca na szyję, ginie nagle, gwałtowną, zdradziecką śmiercią od miecza jej małżonka.

Tejsamej mglistej nocy król Artur, wracając z krwawej wyprawy, nie zastaje w pałacu Ginewry; Dagonet tylko w ciemności, placząc, tuli mu się do kolan.

Żaden miłośnik tej czarownej, odurzającej poezji, jaką technie podanie o Tristanie i Izoldzie, nie może przebaczyć Tennysonowi tego okrutnego przedwczesnego zakończenia opowieści o nieszczęsnych kochankach¹⁾. Ale to też jedyne *fortissimo* jego epicznej Muzy, jedyny grzmot i piorun w *Idyllach królewskich* — bo sama główna akcja z melancholijnym wdziękiem jesieni rozplywa się we mgle smutku, pokuty i rezygnacyi. Taką przynajmniej jest atmosfera w ostatniej z idyll „Okrągłego stołu“, której tytuł *Guinevere*; pojawia się ona już w pierwszym wydaniu w r. 1859. Ginewra w kla-

¹⁾ W istocie pochodzi ono wprost z głównego źródła literackiego poety — powieści Tomasza Malory, który także dodaje, że Izolda skonała na trupie ukochanego (co już Tennyson pomija).

sztorze; z rozpaczą w duszy słucha wieści o strasznej wojnie, co się rozszkoła między królem a niegdyś pierwszym z jego rycerzy; wspomina te złote dni młodości, gdy rozkochało się jej serce w wysłanniku Lancelocie, zanim poznała króla i małżonka; teraz, po bolesnem rozstaniu z tamtym, tu w tej samotnej celi ostatni raz ją odwiedza ten drugi, którego zdradziła. Król Artur, po morderczej walce z Lancelotem, z resztą wiernych rycerzy przeciw zdrajcy Modredowi wyprawę gotować musi; siłę ludu zebrał wkoło siebie ten buntownik; i oto nad czołgającą mu się u stóp niewierną żoną w ten ponury wieczór jedyna i ostatnia z ust Artura dobywa się skarga na zmarnowane i zniszczone dzieło żywota. Przebacza Ginewrze i żegna ją słowem nadziei, że w przyszłym życiu niegdyś połączeni będą w jedności trwalszej i czystszej, niż ten stargany grzechem węzeł ślubów ziemskich. Jedyne to może miejsce w *Idyllach królewskich*, gdzie czytelnikowi po dwukrotnem i trzykrotnem czytaniu przestaje się udzielać moralna siła i powaga poety; widzimy dobrze do ostatniej chwili, jak straszliwym złem dla całego kraju i narodu stał się występek Ginewry; mimo to, wieje ku nam od tych długich wywodów Artura chłód samolubnej, nienaturalnej doskonałości, i tu, jeśli nie w innych jeszcze miejscach, chwilami prawie że przyznajemy słuszność tym śmiałym krytykom, co nie zawabali się nazwać tego bohatera „świętoszkien“ (*a prig*)¹⁾.

Odjeżdża Artur i ginie we mgle nocy jesiennej złoty rodowy znak smoka na jego helmie — i na tem zniknięciu w ciemnościach przeznaczonej drogi mógłby się kończyć poemat. Sam poeta czuł to i wypowiedział; ale miał, jak już wiemy, zdawna gotowe zakończenie inne, bogatsze w obrazy: ów drukowany już przed laty fragment o śmierci Artura;

¹⁾ Tennyson w swem dążeniu do zrobienia Artura absolutnym ideałem zmienił cały moral jego historyi: w średniowiecznych źródłach i on jest winien cudzołóstwa — kazirodztwa z siostrą przyrodnią, którego owocem i mścicielem jest Modred; zamiast Tennysonowskiej sceny małżeńskiego przebaczenia, mamy tam spotkanie skruszonej Ginewry z dawnym kochankiem Lancelotem w klasztorze, dokąd udała się dopiero po śmierci króla.

tym więc teraz uzupełnia opowieść, by naprzeciw tajemniczego na świat narodzenia, było odejście równie tajemnicze, by ziściła się przepowiednia Merlina, że Artur „w głębię wielką, nieznaną, skąd przyszedł, odchodzi“¹⁾.

The Passing of Arthur, drukowane po raz pierwszy w r. 1869, zawiera jako część główną i środkową właśnie ów rapsod z r. 1842, poprzedzony jednak opisem ostatniej bitwy Artura. Bez otuchy i nadziei idzie on w ten bój; znękał go ciągle wokół widok złego w świecie, którego przezwyciężyć, ani odmienić nie zdołał — a w ostatniej nocy przed walką we śnie duch poległego Gawana przepowiada mu koniec ziemskich trudów. Cały dzień w osłonie gęstej mgły walczą ze sobą wojska, i słychać tylko szczęk broni i krzyki konających; gdy wreszcie pod noc milczenie zalega pole i wiatr wieczorny otwiera widok na nie, król, w ostatniej jeszcze śmiertelnej rozprawie położony trupem Modreda, sam ciężko ranny, jednego jedyne go ze wszystkich swych wiernych rycerzy znajduje żywym koło siebie. Jemu teraz oddaje swój drogocenny miecz, Excalibur, by go wrzucił do jeziora opodal; dwa razy rycerz, ukrywając miecz dla siebie, wraca z kłamliwą wieścią, że rozkaz wykonał; ale Artur z jasnowidzeniem konającego dwa razy ponownie iść mu rozkazuje; po miecz, rzucony wreszcie, wychyla się z głębi wód tajemnicza ręka, chwyta go i wciąga; Artur teraz sam każe się nieść nad brzeg jeziora, i oto w oczach ostatniego z jego drużyny uwożą go w mglistą dal na tajemniczej łodzi trzy mistyczne królowe; a zrozpaczonemu towarzyszowi król obwieszcza, że płynie do Awilonu, krainy nieśmiertelności i wiecznej wiosny; świat pozostawia nowym rządóm, bo „nie na jeden sposób Bóg się wypowiada“²⁾. I słychać wnet z oddali odgłosy jakby ludnego miasta, co radosnymi okrzykami wita zwycięskiego króla.

Na tem kończy się ostatnia z *Idyll królewskich*.

Źródłem wszystkich tych opowieści, obok lektury różnych średniowiecznych romanc o przedmiotach z cyklów

1) »From the great deep to the great deep he goes«.

2) »The old order changeth, yielding place to new,
And God fulfils himself in many ways«.

Artura, św. Graala i Tristana, były dla poety przede wszystkim dwie wielkie kompilacje prozą, jednoczące, jakby encyklopedye, całą mnogość przeróżnych podań o królu i jego bohaterach: pierwsza z nich, to sławne celtyckie *Mabinogion*, czyli zbiór „bajek dla dzieci“, a raczej materiałów poetyckich dla młodych bardów walijskich, spisany w XIII w. na podstawie całej bogatej już wtedy poezyi bretońskiej, a może i anglo-normandzkiej; korzystał z niego Tennyson w znakomitem tłumaczeniu angielskim, które w latach 1838 – 1849 wydała Lady Charlotte Guest ¹⁾.

Drugim zaś takim dziełem, do dziś dnia w Anglii niezmiernie popularnem, a Tennysonowi od dziecka dobrze znanem, była praca rycerza Tomasza Malory p. t. *Morte d'Arthur*, wydana w r. 1485 przez pierwszego drukarza angielskiego, Caxtona; książce tej, napisanej z rzadkim talentem opowiadania prostą, naiwną, jędrną i plastyczną prozą, Tennyson i co do treści i co do stylu swej epepei najwięcej zawdzięczał ²⁾.

Obok tych dwóch głównych opracowań, mógł pocie dostarczyć szczegółów i trzeci jeszcze utwór, wcześniejszej od nich daty, który nawet w epilogu do *Idyll* wymienia, mianowicie dziwaczna *Historia Regum Britanniae* (*Historya królów brytyjskich*) przez walijskiego księdza Gotfryda z Monmouth około połowy XII wieku po łacinie spisana, „śmiała mistyfikacya“ ³⁾ wysoce uzdolnionego literata, podająca się za kronikę rzeczywistych wypadków i jako taka przez wielu średniowiecznych dziejopisarzy traktowana, a w istocie pier-

¹⁾ Stąd pochodzą idylle *The Marriage of Geraint* i *Geraint and Enid*. — Według świadectwa syna Tennysona poznał później (1856 r.) *Mabinogion* także w oryginalnej; taksamo poezye starych bardów walijskich w zbiorze, który zestawił i tłumaczeniami angielskimi opatrzył Forbes Skene p. t. *The Four Ancient Books of Wales* (1868 r.).

²⁾ Stąd pochodzi ogół *Idyll*. Trzy, mianowicie *Balin and Balan*, *Merlin and Vivien* i *Guinevere* są w przeważnej części dziełami fantazyi poety, opartemi na krótkich tylko ustępach u Tomasza Malory; taksamo oczywiście *The Holy Grail* w metafizycznych myślach oddala się od tego źródła.

³⁾ Tak ją nazwał Gaston Paris.

wsza na większy zakres kollekeya żyjących na ustach ludu baśni o ostatnim rycerzu celtyckiej niepodległości ¹⁾).

W te martwe kształty fabuł, w starych księgach odgrzebanych, Tennyson, jak powiedziano na wstępie, od początku tchnąc usiłował jakieś wielkie myśli nowożytne; jak wielki jego poprzednik Edmund Spenser za czasów Szekspira w epopei *Faerie Queene* w postaci Artura i rycerzy „Królowej wieszczek“ wcielił najwyższe ideały, przyświecające odkrywcom i wojownikom, politykom i teologom, co zdobyli Anglię królowej Elżbiety, tak i Tennyson uczynił ze swego poematu allegoryę moralną.

Jakież więc są te pojęcia oderwane, które poeta przyoblekł w barwną szatę baśni? Pewne symbole są jasne i jednoznaczne: Merlin, to potęga intelektu ludzkiego, twórca siła wiedzy i umiejętności; Wiwiana, to duch złego, przeczący wszystkiemu, co szlachetne, podstępem i potwarzą niszczący dzieła cnoty i rozumu; wyprawa i walki młodego Garetha w pierwszej z idyll „Okrągłego stołu“, to odwieczna walka czasu z duszą ludzką, dramat wytrwałych wysiłków jednostki, dążącej do wytkniętych w życiu celów. Głębsze i bardziej złożone są główne figury, skonstrastowane w poemacie: Artur, to — jak go sam poeta określa w epilogu — „ideał ludzkości w rzeczywistym człowieku wcielony“ (*ideal manhood closed in real man*), a naprzeciwko niego Ginewra i cały orszak występnych i błędzących, Lancelot i Tristan, Balin i Gawain, to ludzie, jak ich w nizinach tego nędznego życia istotnie spotykamy, targani namiętnościami naszej fizycznej natury, grzechem upodleni, a wznoszący się skruczą i pokutą ku niegasnącym znakom nadziei. Zasadniczym więc przedmiotem jest wojna zmysłowości człowieka ze swobodą i szczęściem nieśmiertelnej duszy — *Sense at war with Soul*, jak znów słyszymy w prostych słowach epilogu. Widzieliśmy

¹⁾ Przejął je z Gotfryda anglo-normandzki poeta Wace, a tego znowu parafrazował około r. 1205 wiejski proboszcz Laghamon w jednym z pierwszych obszernych dzieł angielskich po podboju normandzkim; tę wierszowaną kronikę wydał w r. 1847 bibliotekarz British Museum, Sir F. Madden; Tennyson ją zna i w notach swych cytuje.

jednakże, jak w idylli o św. Graalu ta myśl przewodnia ulega pewnej zmianie, pozbawiającej ją tej doktrynerskiej szablonowości, jaka w najprostszym ujęciu Niemile by nas razić musiała. Artur, to nie schemat człowieka, jakim być powinien, a niestety nie może; on dąży do wyraźnych i określonych ziemskich celów drogą codziennej pracy, a potępia romantyczną pogoń za wzniosłymi a nieuchwytnymi marzeniami. Widzieliśmy tam zarazem, co w najsilniejszym wierzeniu poety w tej walce cielesności z duchem jest żywotniejszą stroną i ma prawdę za sobą: że duch, to zwycięska rzeczywistość, a materya, to znikome złudzenie. A jednak Artur i jego świetni rycerze, państwo światła i sprawiedliwości, które przez wielkie czyny założył, wszystko mija, jak liść zwiędły w podmuchu wichru dziejowego; dzieło całego życia bohaterskiego króla w niwecz i rozkład się obraca, ideał tryumfuje w myśli i wierze tylko, a nie w twardych murach ziemskiej egzystencji; to smutne i bolesne – a tensam cię melancholii, co nad tem wielkiem dziełem, rozpostarty jest jako stała wspólna cecha, to mniej, to więcej wyraźna, nad całą twórczością Tennysona i był najwidoczniej zasadniczym składnikiem jego duchowej osobistości.

Takie rozmyślenia poddawają i nasuwają raczej, niż systematycznie wypowiadają *Idylle królewskie*; bo uniknął poeta, na ogół szczęśliwie, czysto mechanicznego allegoryzowania, tak, że owłada nami zupełnie czar samej bajki i płyniemy mile kołysani falą precudnego białego wiersza, wśród coraz nowych a zawsze nieskałanie pięknych obrazów. Nieuniknionem jednak jest, że wszystkim tym poetyckim wcieleniom oderwanych spekulacyj moralnych i filozoficznych niedostaje czasem krwi i kości, nie pulsuje w nich ten realizm, co jedynie obudzić może współczujące tętno naszego serca, wieje od nich martwota archaizmu; bo też zadanie zajęcia dzisiejszego czytelnika psychologią ludzi, w tak odległą i odmienną epokę przeniesionych, w samym założeniu było prawie beznadziejnie trudne. Odstraszają też *Idylle* szybko żyjących ludzi naszej ery swą objętością i nieuniknioną przy niej rozwlekłością, szczególnie w psychologicznych właśnie i w retorycznych partyach opowiadania; przez dzieło wierszowane na 167 dwukolumnowych stronicach bitego druku

mało kto, prócz zawodowego filologa, przebić się zechce i może¹⁾; to też sprawdził się na wielkiem dziele Tennysona często powtarzany krytyczny aforyzm, że wielka heroiczna epopea w naszych czasach jako rodzaj literacki jest niemożliwą. *Idylle* jako całość są znacznie mniej czytane od drobnych wierszy poety, a między krytykami znaleźli się tacy, co żalowali, że Tennyson nie ujął całego przedmiotu w szereg lapidarnych ballad w rodzaju *Damy z Shalott*, i tacy wreszcie, co prawdziwie natchnionemu fragmentowi romancy o św. Graalu (*The Quest of the Sangraal*) przez drugorzędnego poetę R. S. Hawkera, utworowi w kilkuset wierszach, pełnych celtyckiej namiętności i zachwyconego mistycyzmu, bez wahania przyznają artystyczną wyższość nad owocem wieloletniej literackiej pracy i wysokiej intelektualnej kultury mistrza-laureata.

Wspomnieliśmy kilkakrotnie o epilogu. Tennyson, jak wiemy, należał do szczerych wielbicieli ks. Alberta, małżonka królowej Wiktoryi; to też gdy w kilka lat po wyjściu pierwszych idyll książkę zamknął oczy na zawsze, poeta w pięknym wstępie poświęcił dzieło jego pamięci. Podnosi jego skromność, dobroć serca, takt i bezstronność, współzucie dla położenia klas pracujących, gorliwy udział w wielkich dziełach pokoju i postępu, tak, że w tym obrazie, na czele utworu postawionym, postać „Alberta Dobrotliwego“ sływa się niemal z tym ideałem monarchy, jakim jest sam bohater poematu.

Z tym prologiem tedy łączy się treścią epilog, dodany w r. 1872 do pierwszego wydania ukończonego w całości dzieła. Poeta zwraca się do owdowiałej królowej, z heroicznem poczuciem obowiązku trwającej na ciężkiem swem stanowisku; właśnie wtedy chwilowe niesnaski między Anglią a Kanadą zdawały się grozić oderwaniem i tej wielkiej ko-

¹⁾ Tak na ogół być musi, ale wiemy i o przykładzie odwrotnym z przed kilkudziesięciu lat: zmarły niedawno przywódca studyów nad średniowieczną literaturą angielską, Dr. Furnivall, otwarcie wyznał, że pod wpływem przeczytanego w młodości fragmentu Tennysona o śmierci Artura (z r. 1842), stał się miłośnikiem i niestrudzonym wydawcą zabytków piśmiennictwa ojczyzstego z tej epoki.

lonii, jak niegdyś Stanów amerykańskich, od kraju macierzystego. Tennyson, ofiarowując królowej swe skończone dzieło i wyjaśniając w kilku cytowanych już prostych słowach jego treść moralną, daje wyraz pewności, że zdrowy rozum (*common sense*), naczelna zaleta narodu angielskiego, wnet wszystkie trudności pokona, że wszystkie te cienie, co chwilowo na kraj padają, i namiętności społeczne, i sceptycyzm religijny, i deprawacya sztuki pod wpływem francuskim, rozplyną się niebawem we wschodzącem świetle postępu kulturalnego, i nastanie wielki dzień dla światowego imperyum — bo i tu proroczo rozbrzmiewa struna imperyalistycznego patryotyzmu.

Dr. Roman Dyboski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka.

— *Stulecie Gazety Lwowskiej 1811—1911*. Tom pierwszy. Część I—II. Z czterema portretami i podobizną. Napisali Ludwik Bernacki — Wilhelm Bruchnalski — Ludwik Finkel — Bronisław Gubrynowicz — Franciszek Jaworski — Kazimierz Ostaszewski-Barański — Michał Rolle — Stanisław Wasylewski Pod redakcją Wilhelma Bruchnalskiego. (We Lwowie, nakładem Redakcyi *Gazety Lwowskiej*, 1911). — Sformułowana przez Józefa Szujskiego teza o »młodszości« naszej cywilizacji jest słuszną i wieloma dowodami poprzeć ją można. Ale pojmuje się ją często zanadto skrajnie, idąc w tem określeniu za daleko, sądząc fałszywie, jakoby nasza cywilizacja była jeszcze młodszą, niż jest w istocie, jakoby zaczynała się jeśli już nie od dzisiaj, to najwcześniej od dnia wczorajszego. Stąd życie odsłania nam nieraz niespodzianki, pokazuje, że pewne objawy kultury, które za znacznie młodsze uważaliśmy, w rzeczywistości dalszych sięgają czasów. Tak jest i z naszym dziennikarstwem. Czytamy dzisiejsze dzienniki, widzimy, że ich jest tyle — choć mniej niż u narodów starszych cywilizacją — ale mało kto z nas zwraca uwagę na to, kiedy się to dziennikarstwo polskie zaczęło i czy są wśród dzisiejszych organów prasy takie, któreby wiekiem mogły godnie stanąć obok zagranicznych. Jeszcze wobec Warszawy mamy tę wiarę, ale gdy chodzi n. p. o Galicyę, *a priori* przyjmuje się tu tezę już nie o »młodszości«, ale o »najmłodszości« polskiego dziennikarstwa. Wiemy oczywiście, ale rzadko o tem pamiętamy, że taki n. p. *Czas* już siódmy krzyżyk dźwiga na sobie, a już nawet nie wiemy, że *Gazeta Lwowska* równo sto lat już istnieje. To jest, obecnie już to wiemy. Ona sama nam to powiedziała, urządzając sobie niedawno jubileusz.

Urządziła tę uroczystość nie sobie tylko, ale całemu polskiemu dziennikarstwu, co więcej polskiej nauce, polskiej kul-

turze. Bo wstępując w progi drugiego stulecia upamiętniła tę chwilę uroczystą wydawnictwem, godnem zaiste miana pomnikowego. W trzech wielkich tomach ma być zawarta historia *Gazety Lwowskiej*. Słusznie w przedmowie do pierwszego, obecnie wydanego w formie dużego tomu *in quarto* o kilkuset stronnicach, wydawca zaznacza doniosłość takiego dzieła. Równego mu polska literatura dotąd nie posiada (mniejsze i odmiennie pojęte — szkoda, że w tej Przedmowie nie wspomniane — wydały na swoje skromniejsze jubileusze *Czas* i *Przeгляд Polski*), a i zagraniczne piśmiennictwo bodaj czy więcej nad dwa, trzy podobne dzieła wykazać zdoła. Nienapisaną jest jeszcze dotąd historia polskiego dziennikarstwa i długo jeszcze nienapisaną pozostanie: póki za przykładem *Gazety Lwowskiej* nie pójda inne polskie czasopisma. Że ona ten przykład dała, że dała i przykład, ale i wzór zarazem, to polska nauka na zawsze pamiętać będzie tak obecnemu redaktorowi lwowskiego dziennika, p. Adamowi Krechowickiemu, jak i otoczonemu sztabem dzielnych współpracowników redaktorowi jubileuszowej księgi, p. Wilhelmowi Bruchnalskiemu.

W pracach ośmiu autorów spisane są te stuletnie dzieje. Siega się tu nawet jeszcze dalej niż sto lat wstecz, w czasy przed r. 1811, kiedy *Gazety Lwowskiej* jeszcze na świecie nie było, chociaż już w Galicyi wogóle pojawiały się pierwociny dziennikarstwa, przeważnie jednak nie polskie, ale niemieckie a nawet francuskie, jak najwcześniejsza *Gazette de Léopol* z r. 1776, wydawana przez niejakiego Chevalier Ossoudi. Idą za nią inne efemerydy, z nich najdłużej żyjący i najwybitniejszy *Dziennik patriotycznych polityków* (1792 — 1797), redagowany przez jakiś czas przez wybitnego ekonomistę Wawrzyńca Surowieckiego, popierany przez Józefa hr. Ossolińskiego, znaczący i tem, że miał jakiś dodatek literacki, pierwszą tego rodzaju próbę na gruncie galicyjskim. Aż w r. 1810 występuje w austriacko-galicyjskich sferach rządzących zamiar wydawania w stolicy kraju polskiej gazety urzędowej. Franciszek Kratter, gubernialny koncepista lwowski w memoryale do ówczesnego gubernatora Galicyi, hr. von Goës szczegółowo rozwija myśl wydawania pod nazwą *Gazety Lwowskiej* czasopisma peryodycznego w polskim i niemieckim języku, otrzymuje na to pozwolenie i oto 2 kwietnia 1811 r. ukazuje się pierwszy numer stuletniego dzisiaj dziennika. Kratter prowadził redakcyę do r. 1823 osobiście, potem dzierżyli ją kolejno niejaki Józef de Bensa, Mikołaj Michalewicz, pierwszy profesor literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim, w r. 1834 przy biurku naczelnego kierownika zasiadł człowiek wybitniejszy, pierwszy ze znanych w polskiem piśmiennictwie redaktorów *Gazety Lwowskiej*, Jan Nepomucen Kamiński i stanowisko to zajmował aż do końca r. 1847. W tym czasie rząd wykupuje od spadko-

bierców Krattera prawo własności dziennika, robi zeń ponownie organ urzędowy, gubernator hr. Stadion zrazu pertraktuje z Polem o objęcie redakcyi, wreszcie powierza ją Mateuszowi Sartyniemu, zajmującemu się badaniami lingwistycznymi. Rok 1862 przynosi znowu zmianę redaktora: jest nim odtąd Adolf Rudyński, za którego czasów rząd zwija wychodzącą dotychczas równolegle *Lemberger Zeitung*, później zaś zezwala na wydawanie *Przewodnika Naukowego i Literackiego*. W r. 1873 Rudyński umarł, a namiestnik hr. Agenor Gołuchowski powołał na jego miejsce Władysława Łozińskiego, po którego ustąpieniu w dziesięć lat później naczelnym redaktorem został p. Adam Krechowiecki, będący nim do tej chwili. Te dwa okresy, to najświetniejsze dotychczas *czasu Gazety Lwowskiej*. Ustalenie się przyjaznego stosunku pomiędzy austryackim rządem a polskim społeczeństwem w Galicyi sprawiło, że dziennik mógł być i rządowym i narodowym zarazem; owszem, jemu, jako oficjalnemu organowi prasy, przypisać należy w niemalej mierze duchowe spolonizowanie stanu urzędniczego, nawet obcego nam pochodzeniem. Obaj redaktorowie, nie sprzeniewierzając się zadaniom rządowego dziennika, skorzystali w pełni z możliwości wyraźnego ujawnienia polskiego charakteru, od dbałości o czystość języka *Gazety* aż do pilnego przestrzegania polskiego jej ducha, i pod tym względem niewątpliwie organ lwowskiemu namiestnictwa wśród podobnych w Austryi pierwsze zajmuje stanowisko. Także i pod względem doboru treści. Mimo że ma osobny dodatek literacki miesięczny, i w codziennych numerach sprawom literackim, artystycznym w ogólności poczesne przeznacza miejsce, równem staraniem otaczając także dział powieściowy; stąd czytany jest nie tylko przez sfery urzędowe, do których niejednokrotnie wnosi wyższą kulturę intelektualną, ale i w szerszych warstwach oświeconych, mimo konkurencyi wielu innych, pozornie samodzielniejszych czasopism, z biegiem lat powstałych. A pamiętać trzeba i o tem, że jako dziennik urzędowy mając debit wszędzie zagranicą, jest nieraz rozsądnikiem polskiego ducha w innych dzielnicach. Że tak do ostatnich dni pozostało, że literackiego działu *Gazety Lwowskiej* nie uszczuplono, mimo iż niedawno w wiedeńskim parlamencie z ławy rządowej oznajmiono zamiar okrojenia budżetu urzędowych dzienników i ograniczania ich do roli, że się tak wyrazimy, ściśle zawodowej, to już jest zapewne osobistą a godną najwyższego uznania zasługą p. Krechowieckiego.

O dziejach *Gazety Lwowskiej* mówi pierwsza część tego tomu. Druga zawiera biografie kilku redaktorów, ograniczając się tylko do nieżyjących już. Z tych rozdziałów najcenniejszym jest ustęp o J. N. Kamińskim, pióra p. Ludwika Bernackiego. Wykracza on po za biuro redaktora i zajmuje się w bardzo pouczający sposób także długoletnim dyrektorem

lwowskiego teatru i niesłychanie płodnym pisarzem scenicznym, podając między innymi zarówno repertuar za jego rządów, jak i napisane przez niego oryginalne, przerobione lub tłumaczone utwory teatralne; a tak rozdział ten do niepostawionej jeszcze budowli dziejów teatru w Polsce przynosi ważną i konieczną cegiełkę.

Pragnąc streścić w kilku słowach wrażenie, jakiego się doznaje, przeglądając ten tom, stwierdzić trzeba, że jeśli *Gazeta Lwowska* dumną być może z tego, że sto lat bez przerwy już istnieje, to jeszcze większą dla niej chlubą musi być to dzieło, upamiętniające jej jubileusz: tamto jest poniekąd szczęśliwym zrządzeniem losu, to jej własną zasługą; tamtego można jej serdecznie winszować, za to trzeba jej gorąco podziękować.

Dr. J. Płach.

— *Inwentarze pałacu Krasinskiich, później Rzeczypospolitej*, wydał Dr. Ignacy Tadeusz Baranowski. (Warszawa, 1910, str. XXVIII + 70). — Bogata i wzorowo prowadzona Biblioteka Ordynacyi hr. Krasieńskich w Warszawie przystąpiła do wydawania odnalezionych a niezmiernie ciekawych aktów, zapisków, pamiętników i t. p. rękopisów w osobnem wydawnictwie, którego nazwa: *Collectanea B. Ord. hr. Krasieńskich*. Właśnie przed nami leży tego wydawnictwa książka w liczbie porządkowej z rzędu trzecia, w której znajdujemy ciekawą historję słynnego pałacu Krasieńskich w Warszawie, oraz inwentarz tego pałacu z r. 1713.

Zbytecznem byłoby dodawać, jaką wartość posiada tego rodzaju publikacya. Przynosi ona pewne (bo na dokumentach oparte) i ciekawe wiadomości, tyczące się nietylko historii i życia jednej jednostki lub rodziny, lecz, co częstsze, odzwierciedlające całą epokę naszej przeszłości, bodaj w jakiejś jednej tylko ale ważnej za to chwili. Z takiego napozór suchego spisu inwentarza czy to biblioteki, czy też innych ruchomości w pałacu, można nabrać odrazu przekonania i pewności, co w danej chwili lub w danej sferze najchętniej było czytane i widziane; z takiego suchego zapisywania rachunków pałacowych można zaczerpnąć niezrównanych wiadomości, na co w danym czasie używano pieniędzy najwięcej, w czym się kochano, czem zajmowano. A jeśli te rachunki dotyczą, jak w powyższym wypadku, niejako historii budowy pałacu, wtedy korzyść jeszcze większa. Wtedy dowiadujemy się, jacy u nas pracowali mistrze, jacy architekci, rzeźbiarze i malarze, skąd u nas w Polsce czerpano potrzebny na wszystko materyał i robotnika, jakie gusta przeważały w kraju, co przywożono z zagranicy, a co czerpano z własnej ojcowizny. Tego rodzaju *Collectanea*, to materyał, to cegły i fundamenta do ważnych prac i dzieł. Im ich więcej będziemy mieli, tem szybciej i łatwiej odbudujemy na-

szą przeszłość, odbudujemy na razie.... bodaj jako wizerunek i portret.

Podanie głosi, iż referendarz koronny, starosta warszawski etc., Jan Dobrogost Krasiński, był razu pewnego zaproszony na ucztę do króla Jana III. Ponieważ »królewski gospodarz« posadził naszego referendarza przy stole nieco niżej niż jego przeciwnika, pan Dobrogost uraził się wielce na króla, zaczem na Jegomości zemścić się postanowił. Zemstą miało być nie innego, jak tylko postanowienie wybudowania pałacu jeszcze okazalszego, niż był wspaniały dwór królewski. Postanowienie wnet zamieniło się w czyn — w Warszawie stanął pałac, jeden z najokazalszych w Polsce ówczesnego czasu. »Przepych panował tam — czytamy w wyżej zacytowanej książce — niezwykle; pełno było marmurów, bogate obicia, kosztowne dywany, wielkie stoly, dźwigające na sobie ogromne ciężary naczyń srebrnych z herbami wojewody, bogate zbroje rozwieszane na ścianach budziły podziw gości. Dodajmy do tego piękne, częścią w Warszawie malowane szpalery, dodajmy bogatą galeryę, składającą się z włoskich i hollenderskich mistrzów, wśród których nie brakło i oryginałów Rubensa i Rembrandta«. Otoczenie pałacu i postać jego zewnętrzna niezem nie ustępowała wnętrzu. To też roilo się u Krasińskiego od gości swojskich i cudzoziemskich, zwłaszcza, że »pan Dobrogost utrzymywał francuską nadworną muzykę, która według wiarogodnego świadectwa Sobieskiego, dziwnie dobrze przedstawiała balety, teatru i maryonety«.

Piękny ten gmach istnienie i postać swą także zawdzięczał przedewszystkiem samemu właścicielowi, który, korzystając z niebywałego wówczas w Polsce ruchu architektów, rzeźbiarzy i malarzy (sprowadzanych przez Jana III do budowy Wilanowskiego pałacu), umiał ich pozyskać i do własnych przyciągnąć robót.

Jak się zdaje, plan ogólny pałacu i nawę korpusu głównego zrobił Józef Belotti, rodem z Medyolanu. Prócz tego pracowali Affayta, Solari, Veroni, a zwłaszcza słynny Schlüter, uczeń Dawida Saporiusa, który wykonał na froncie pałacu sławny »frontispice«, rzeźbę, wyobrażającą pojedynek mitycznego przodka Krasińskich, trybuna Marka Waleryusza z Gallem. Jest to ten sam Marcus Valerius, któremu podczas zapasów z Gallem na pomoc zleciał wielki kruk, który, usiadłszy na hełmie Galla, tak go dzióbaniem i trzepotaniem skrzydeł zmieszał, iż ten uległ Rzymianinowi. Stąd to przydomek Marka »Corvinus«, a od niego znów wywodzić się mają Korwin-Krasińscy.

Po śmierci Dobrogosta odziedziczyła pałac rodzina, aż w r. 1765 sprzedano go Rzeczypospolitej, która osadziła tam komisję skarbową, edukacyjną, sądy assessorskie, referendarskie, marszałkowskie i t. d. W r. 1782 pałac zgorzał, lecz

komisya skarbu wnet przystąpiła do godnej uznania odbudowy. W odnowionym pałacu już w r. 1789 (14 maja) odbył się wspaniały obchód narodowy ku czei Małachowskiego, wielkiego marszałka Czteroletniego Sejmu. W r. 1831 ucierpiał pałac wiele od kul rosyjskich. Odbudowany został z biegiem czasu lokalem Izby sądowej.

To krótki zarys historii cennego i głośnego pałacu. Szczegóły znajdzie ciekawy w omawianym tomie, a zajmą one niewątpliwie każdego, który bodaj mały dla przeszłości naszej interes żywi. Dzieje pałacu wypełniają mniej niż połowę książki. Reszta zapelniona jest wspomnianym już »Spisem ruchomości« z r. 1713, następnie »Inwentarzem Pałacu Warszawskiego Jasnje Wielmożnego Imci Xiędza Adama Krasińskiego, Biskupa Kamienieckiego«. Ten inwentarz spisany został »bajecznym« wprost stylem. Czasem jedno zdanie wynosi stronicę całą. Oto przykład: »Z sali najpierwszej dolnej wyszedłszy do salki schody kamienne na górę ze wszystkim dobre, wokoło nich palisady także kamienne nic nie nadpsute, nad schodami z obu stron sklepienie żadnej nie potrzebujące reperacyi, wyszedłszy na górę ze schodów sala przez całą szerokość pałacu ciągnąca się, w niej posadzka nadpsuta mocno z tarcic, okien pięć bez krat z okiennicami popsutemi i szkłem potluczonym jedno i drugiego połowa tarcicami zabite, na drugiej stronie od ogrodu okien tyleż po większej części tarcicami zabitych, z obu stron tej sali są ganki palisadami kamiennymi otoczone, do tych ganków odrzwi kamienne tarcicami do połowy zabite, gontami z wierzchu od dyszczu pokryte, u góry w murze w tej sali jest ośm sztuk drzewa na rusztowanie do suffitu którego nie masz i t. d.

Tom powyższy kończy się »rachunkami« pana Dobrogosta za pałac, bardzo ciekawemi. Książkę zaś całą zdobi rycina, wyobrażająca pałac Krasińskich w pełnej świetności.

A. E. Balicki.

— Tadeusz Stanisław Grabowski: *Romantyzm polski wśród Słowian*. (Księgarnia Altenberga, 1910, str. 44). — P. T. S. Grabowskiego już dziś zaliczyć można do najgrunowniejszych znawców Słowiańszczyzny. Wszystkie jego w tym kierunku dzieła, szkice i drobne artykuły wykazują szeroką znajomość różnorodnych pobratymczych plemion, bystrość prawdziwą w rozsądzaniu ich kultury, historii literatury, oraz wartości społecznej. Powyższe studyum temi samemi odznacza się zaletami. Mile zaś nam jest ponad wszystkie inne, głównie dlatego, że mowa w niem o nas samych. Wykazuje w tym obszernym szkicu autor wpływ, jaki wywarła nasza literatura w XIX wieku na słowiańskie szczepy i plemiona. Wpływ ten stosunkowo wielki nie był. Dlaczego, tłumaczy to sam autor:

»Nie trzeba myśleć, że te echa (romantyzmu polskiego) wszędzie są tak częste i głośnie. Niestety — tajemniczą zagadką dróg ludzkiej myśli i natchnienia, ten właśnie najbujniejszy, najbardziej porywający, prometeuszowski okres w naszej twórczości poetyckiej nie odezwał się w takiej mierze i tak wczesnie w poezji pobratymców naszych, jakbyśmy się tego spodziewali. Nie tutaj miejsce dociekać przyczyn słabości i »późności« tego oddźwięku. Złożyły się na nie powody natury politycznej, przedewszystkiem brak pełnego uświadomienia narodowego u większości Słowian, tego uświadomienia, które się w pewność siebie zamienia i bez troski o dobro i prawa swego narodu może swobodnem spojrzeniem pobiegnąć po za ciasne granice własnej ziemi, po za potrzeby chwili, po za troski i myśli codziennego życia. Jednem słowem, może sięgnąć do obcych i wśród nich szukać wzorów, mistrzów, natchnień dla dopełnienia swego duchowego rozwoju. Większość słowiańskich plemion wydobywała się dopiero z okowów uśpienia i niewoli, lub spoczywała w pieluchach odrodzonego żywota«.

Zaczyna p. Grabowski studjum swe od Kaszubów, tych najbiedniejszych Słowian pomorskich. Wpływ tam naszej literatury oczywiście najmniejszy, boć i piśmiennictwo kaszubskie najuboższe. Ceynowa, Jarosz, Derdowski, z dzisiejszych Lorentz i Majkowski (założyciel pisma *Gryfa*) — oto najwybitniejsi kaszubscy poeci, będący zarazem polonofilami.

Nie inaczej ma się rzecz z Łużyczanami, na których (rzecz to zrozumiała) daleko większy wpływ wywarło piśmiennictwo czeskie, niż polskie. »A przecież — mówi autor — już w dawniejszej epoce bardzo uboższego zresztą piśmiennictwa łużyckiego mogliśmy odnaleźć pewne ślady ducha polskiego. Szczególnie kaznodziejstwo łużyckie, które jest jedynym objawem, a zarazem stróżem idei narodowej w XVIII wieku, nosi na sobie to piętno«. Nasz Skarga niezawodnie oddziałal na nie, zwłaszcza, że duchowieństwo łużyckie, jako jedyny czynnik, krzewiący uświadomienie w społeczeństwie, wychowało się na lekturach pobratymczych, słowiańskich. To też zarówno u J. Bogatskiego, jednego z najwybitniejszych kaznodziei XVIII wieku, jak i Handrija Lubjeńskiego w pierwszej połowie XIX wieku, wpływ ducha wymowy i patriotyzmu naszego Złotoustego odbił się silnie.

Oczywiście olbrzymi wpływ piśmiennictwa polskiego widzimy u Czechów. Jest to, jak gdyby »odplacenie się« piśmiennictwu czeskiemu za pierwsze wieki naszej cywilizacji i rozwoju naszego języka. P. Grabowski wlicza cały szereg najulubieńszych u Czechów pisarzy naszych z przed laty stu. Karpiński i Kniaźnin, Niemcewicz i Brodziński, Rzewuski, Czajkowski, Dzierzkowski, Witwicki, Kraszewski, Siemieński, Bielawski, Mickiewicz, Zaleski, Zoryan — ba, nawet Szczygiel-

ski, Chojecki, Dulski i Zieliński — to najulubieńsza lektura ówczesnej intelligencji czeskiej, romantyczna strawa, którą równocześnie przetrawiano zapamiętane w kołach literatów czeskich, przystosowując ją do życia i chwili dziejowej Czech.

Wybornym badacz polskiego romantyzmu okazał się Neruda, gruntowny znawca naszego piśmiennictwa. Krausohorska zasłużyła się wiekopomnem dziełem: znakomitym przekładem *Pana Tadeusza*, »tak dobrym, że go się dzisiaj uczniom daje w szkołach czeskich, jako wzór pięknego języka natchnionej poezji«.

Vrchlický-Frida, Svatopluk Čech, Zeyer, wreszcie Edward Jelinek — oto nazwiska najwybitniejszych poetów czeskich, znających naszą literaturę wybornie i pod jej wpływem i urokiem stale zostających!

Po Czechach omawia p. Grabowski *Słowaczyznę*, gdzie mniejszy wpływ wywarli tacy, jak Słowacki i Krasiński, główny natomiast Mickiewicz, oraz romantyczna powieść polska. Podobnie — choć w mniejszym stopniu — ma się rzecz ze Słowiańcami, gdzie Sienkiewicz był główną przyczyną i pośrednikiem pomiędzy poezją polską i słowiańską. Gdy z końcem ubiegłego wieku piśmiennictwo słowiańskie nie miało jeszcze wcale rodzimej powieści, Sienkiewicz stał się głównym źródłem tego rodzaju lektury i ulubieńcem czytającego świata. A jak ogromną zyskał sobie popularność i uwielbienie wśród najszerzych warstw, dość powiedzieć, że dzisiaj głównym jego tłumaczem jest chłop krainiński, samouk i samorodny przyjaciel Polaków, M. P o d r o w s k i — dość powiedzieć, że dzisiaj niema jednej, bardziej oświeconej wsi słowiańskiej w Krainie, Styryi lub Gorycyi, w którejby wieśniacy nie znali najdokładniej *Trylogii* Sienkiewicza.

Na końcu mówi autor o Chorwacyi, gdzie idea zblżenia się chorwacko-polskiego dochodzi do poważnych rezultatów, gdzie wpływ polskiego piśmiennictwa datuje się już od czasu »illiryzmu«, a trwa do dnia dzisiejszego wybitny i poważny.

»Zakończenie« zamyka to arcyciekawe i pożądane studjum, gdzie na ostatnich kartach takie czytamy słowa: »Większe i szczerze zainteresowanie się nasze resztą Słowiańszczyzny, przedewszystkiem tej słabszej i uciemieźzonej, odkryłoby przed nami już gotowe owoce wpływów polskiego ducha na pobratymców, wpływów jeszcze wcześniejszych, niżeli romantyzm; odkryłoby przed nami w dalszym ciągu rozległe pole działania na przyszłość, ideę duchowego przewodnictwa wśród milionów błędnych i nieświadomych, przewodnictwa, które, zwłaszcza w obecnej chwili, samo się nam narzuca i żąda przeciwstawienia Polski — dotychczasowej, zbankrutowanej przewodniczce Słowian — Rosyi«.

Jakkolwiek p. Grabowski pracuje głównie na polu krytyczno-literackim, a polityką »wszechsłowiańską« nie wiele się zajmuje, przecież ten zwrot w sprawach »politycznych« słuszny jest i rozsądny. Pomagać sobie, a nieszkodzić, znać się, rozumieć i popierać — winno być hasłem naszym istotnem i rzeczywistem. Zyska na tem Słowiańszczyzna, zyskamy i my także.

A. E. Balicki.

— *Tragische Motive. Das Unbewusste von Held und Heldin von Fritz Wittels.* (Egon Fleischel & Co., Berlin, 1911). — W niemieckim ruchu księgarskim bardzo częstemi zjawiskami są zbiory drobniejszych rozpraw krytyczno-estetycznych, częstszymi niż np. — nawet stosunkowo — u nas, gdzie tego rodzaju studia pozostają przeważnie w rocznikach literackich czasopism. Ale te zbiory rozpraw są niemal zawsze tylko zewnętrznem zestawieniem artykułów, związanych powinowactwem danych tematów, ale ponad to i ponad osobę autora nie połączonych z sobą niczem innem, nie tworzących razem jednolitej całości, z jednego ducha a nie tylko z jednego pióra się wywodzącej. I dlatego krytyka polska, dalej od nich stojąca, może je snadnie pominąć. Warto natomiast zapoznać i polskich czytelników z książką p. Fritza Wittelsa, mimo że nazwisko to jest u nas albo zupełnie nieznanem, albo też przytaczanem było niedawno i na szpaltach naszych dzienników przy sposobności głośnego procesu prasowego, toczącego się o jego powieść *Ezechiel der Zugereiste*, w której pewne wiedeńskie kola — także i wiedeńsko-polskie — słusznie czy niesłusznie dopatrzyły się pamfletu. O *Tragicznych motywach* zaś dlatego warto pisać, że książka ta posiada to, czego właśnie owym innym zbiorom rozpraw niedostaje: ma jeden zasadniczy punkt wyjścia, z którego wszystkie poszczególne jej części się wysnuwają.

Już Kant stwierdził, że obok świadomych zmysłowych pojęć i wrażeń jest w duszy ludzkiej daleko większe pole pojęć i wrażeń nieświadomych tak, że niejako karta naszej duszy tylko w niewielu punktach jest illuminowaną, w innych nęci ciekawość ciemnościami. P. Wittels staje właśnie na tym kantowskim gruncie, rozdziela zwłaszcza wolę na świadomą i nieświadomą, a łącząc to psychologiczne pojęcie z socyologią, wywodzi, że świadoma wola jest podległą przejawom postępującej naprzód cywilizacji i kultury, nieświadoma natomiast jest terenem wrodzonych człowiekowi instynktów, nieunormowanych tamtą kulturą. »Włamanie się nielogicznego i nieetycznego nieświadomego w świadome, oto — zdaniem Wittelsa — przyczyna wszelkiego tragizmu«. Takie zapaliwszy światło w swo-

jej latarce, p. Wittels oświeca nią kilka ze znanych powszechnie tragicznych postaci, jak Brutusa lub Belzacara, Medeę lub Lady Macbeth, Rhodopę lub Judytę. Oświecenie jest niemal zawsze nowe, przez to zaciekawiające, nieraz okazujące właśnie owe ciemne dotychczas punkta na karcie duszy tych osobistości. Z drugiej strony jednak oczywistymi są także wady i błędy takiego oświecenia: nie tylko to, że jest ono bądź co bądź jednostronnem, bo zasadniczo nieświadomości oddaje przewagę nad świadomością, ale prócz tego posiada ono zawsze tylko względną wartość: naprzód bowiem neguje ono *a priori* duchową prymitywność danych postaci, przyjmuje, że one są tak ze świadomości i nieświadomości skomplikowane, co może, ale nie musi być prawdą, powtóre zaś, kto raz podjął się badania pojęć, uczuć i wrażeń nieświadomych, też zaprzął się do pracy, niemającej kresu, bo gdzież jest pewność, że się zapaliło w latarce już tak ostre światło, iż przed niem nie ukryje się ani jeden najdrobniejszy czarny punkcik — a może ten jeden nieodkryty jeszcze punkcik jest ośrodkiem działania danej figury tragicznej.

W tych okolicznościach, zamiast prowadzić bezcelową polemikę z autorem, przypatrzmy się raczej, jak w szczegółach wygląda praktyczne zastosowanie jego teorii. Więc np. czemu Brutus zabił Cezara? On sam mówi u Szekspira: »Nie, żem Cezara mniej kochał, ale żem Rzym więcej kochał«. Wittels uważa ten republikański motyw za wyraz świadomości bchaktera, za oficjalną niejako pobudkę, nieświadomej zaś a za to istotnej szuka gdzieindziej. Plutarch opowiada, że Cezar w młodszym latach obcował z Servilią, szalenie w nim zakochaną, i właśnie wtedy wydała ona na świat Brutusa, który uważał się za syna Cezara, i — przed samym sobą nie przyznając się do tego — miał do Cezara żal podwójny: że shańbił jego matkę, że jego jawnie za syna nie podawał; więc gdy inni spiskowcy chcą ratować rzeczpospolitą i dlatego zgładzić wszystkich, którzy jej zagrażają, Brutus chce tylko śmierci Cezara, bo chociaż świadomie i on rzekomo ratuje republikę, nieświadomie dąży do owładnięcia dziedzictwem ojca. Tragedya Brutusa dokonywa się w chwili, gdy on spostrzega, że pobudką jego czynu były nie świadome, oficjalne motywy, ale nieświadome, instynktowne. Albo weźmy z kolei tragedję Belzacara: w nieświadomych regionach duszy ludzkiej, nawet królewskiej jest pojęcie istoty, wyższej od nas, Boga; Belzacar jednak wznosił się tak wysoko, że świadomość jego potęgi przygluszyła w nim tamtą nieświadomość i dopiero, gdy ukazała mu się tajemnicza ręka, pisząca na ścianie złowrogie słowa, pojęcie Jehowy błyskawicznie znowu uprzytomniło się królowi, który zabija się zapewne sam, a nie, jak u Heinego, pada zabity. Dla każdego znawcy Hebbła jasnym jest, że teoria Wittelsa ze sto-

sunkowo największym prawdopodobieństwem da się do tego właśnie poety dramatycznego zastosować. To też Wittels nie mógł go pominąć i wziął z niego aż dwa problemy: Rhodopę żonę Kandaulesa (*Gyges i jego pierścieni*) i Judytę. Zdaniem autora, każda kobieta ma w duszy wrodzone pragnienie popisywania się swą urodą przed mężczyznami; kultura ograniczyła ten popęd, niemniej jednak żyje on w sferze nieświadomości. Tak jest i z Rhodopą. Wprawdzie mąż, chcąc się swą własnością pochlubić, wydaje ją nagą na łup oczom Gygesa, a żona, dowiedziawszy się o tem, każe temu ostatniemu zabić Kandaulesa, ale czyni to nie z obyczajności, tylko dlatego, że »mąż stał się cielesnym przedstawicielem jej złej myśli, którą głęboko w dziedzinę nieświadomości zepchnęła. Mąż albo Gyges, współwinny, musi paść, aby myśl, to jest nieobyczajność, znowu nie ożyła«. Judyta zaś, w małżeństwie nietknięta, z natury zmysłowa, wiedząc przytem, że gdyby Holofernes zdobył miasto, wszystkie kobiety, a przede wszystkim ona, najpiękniejsza, padnie jego ofiarą, wołała sama iść do jego obozu; zabija go potem, aby usunąć tego, który widział wybuch jej nieświadomej zmysłowości, ale o tem, że zabija wroga ojczyzny, nie myśli, o tem dopiero mówi, gdy odzyskuje w niej znowu panowanie świadomości, chcąc zatuszować niejako wszelkie ślady działania nieświadomości. Pozostają jeszcze dwa kobiece charaktery tragiczne: Medea i Lady Macbeth. W bohaterce Eurypidesa (nie Grillparzera) Wittels widzi matkę, która nienawidzi swoje dzieci, ponieważ one pożądlivej kobiecie kradną miłość jej męża — przyczem stawiając tak tragiczny problem, autor zdaje się nie spostrzegać, że w takim razie Medea jest po za nawiasem jego zasadniczej tezy, bo w niej rozgrywa się walka pomiędzy dwoma równorzędnymi uczuciami: macierzyństwem a zmysłowością, nie zaś konflikt uświadomionych i nieświadomych uczuć. W Lady Macbeth znowu Wittels dostrzega mniejszej winy, niż się to powszechnie czyni: nie w niej rodzi się myśl zamordowania króla, ale u jej męża, który co prawda ze względu na nią — aby żonie zaimponować swoim dostojnictwem — staje się zbrodniarzem (Wittels, który już poprzednio zestawiał Judytę z Charlottą Corday i... p. Dobrodzicka, tutaj przypomina trucielijską sprawę kapitana Hofrichtera); Lady Macbeth podsycza tylko ambicję męża i zachęca go do zbrodni, bo jako kobieta pozbawioną jest poczucia socyalnego.

Tyle mówi Wittels o poszczególnych tragicznych postaciach. Z dwóch rozpraw, zajmujących się ogólnie kwestyami psychologiczno-estetycznymi, pominąć można paradoksalny ustęp o »tryumfie rachitisu«, ale z największem za to zaciekawieniem przeczyta się rozdział p. t. *Hellada i histerya*. Wittels zestawia tu dwa oczywiste, i w Polsce także na jaw występujące fa-

kty, równoczesne a jakościowo sprzeczne: zamilowanie współczesnej publiczności teatralnej w przedstawieniach klasycznych greckich dramatów (wystarczy wskazać n. p. na tryumfalny pochód *Orestei*) i upodobanie w neoklasycznych tragediach w guście Hofmannsthała. Fakty te są sprzeczne, mimo że w obu razach chodzi o motywy starożytne: bo przecież Aischylos to szczery, prostolinijny antyk, Hofmannsthal to historyczne jego zwyrodnienie, tak, że epoka, która podziwia jedno, powinna drugie odrzucać. Wittels domyśla się, że i gdzie bije wspólne źródło obu tych upodobań, ale zanim rzecz jasno wyluszczyź zdolał, uniesiony zwykłą u niego dyalektyką zbacza na manowce, od zasadniczego pytania odbiega. My, podejmując wypuszczoną z rąk Wittelsa nitkę sądzimy, że owym źródłem jest żyjąca w sferze nieświadomości teoretyczna niejako zbrodnicość człowieka, dzięki kulturze etycznej i towarzyskiej — a może i dzięki kodeksowi karnemu — nie objawiająca się na zewnątrz w postaci zbrodniczych czynów, ale istniejąca jako upodobanie wyobraźni w wizjach strasznych zbrodni, szczególnie *contra naturam*. I dlatego zarówno matkobójca Orestes Aischylosa, jak i Elektra Hofmannsthała, są dzisiaj popularnymi bohaterami tragicznymi, że zaś pierwszy duchowo i estetycznie odmienny jest zasadniczo od drugiej, to dla szerokich kół teatralnych jest tylko zmianą dekoracyj, nie istoty rzeczy. Teatr nowoczesny spełnia tu poniekąd ponownie jak za czasów Hellady dzieło oczyszczającej *katharsis*, bo nieświadoma zbrodnicość dzisiejszego widza, znalazłszy na chwilę zaspokojenie w teatralnej wizji, ustępuje potem miejsca świadomej kulturze etycznej, społecznej i... kodeksowi karnemu.

Dr. J. Flach.

Z literatury powieściowej.

— Maciej R. Wierzbński: *Kniaź i Księżna*. Romans z XVIII wieku. 2 tomy. Z portretem autora. (*Nowości literackie*, tom 43 i 44). (Warszawa, 1911, nakładem Księgarni St. Sadowskiego). — Podobno — tak przynajmniej często autorowie mówią krytykom — należy sądzić książkę nie z tego punktu widzenia, czy i o ile spełniła to, czego jej czytelnik w niej szukał, ale z tego stanowiska, o ile jest tem, czem ją chciał mieć jej twórca. P. Maciej R. Wierzbński, którego szkice więzienne *W przeklętym domu* swego czasu pokrótce tu także omówiliśmy, na początku romansu o *Kniaziu i Księżnej* wypisuje znane słowa Talleyranda: *Qui n'a pas vécu avant 1794, n'a pas connu la douceur de vivre*. Oczywiście więc tu jest właściwy punkt wyjścia do sądu o tych dwóch tomach, sądu, nie polegającego na spełnionych lub niespełnionych życzeniach

czytelnika czy krytyka, tylko na spełnionym lub niespełnionym zamiarze samego autora.

Jakiem było jego przedsięwzięcie? Naturalnie chciał pokazać tych, którzy »żyli przed r. 1794« i dzięki temu poznali »słodycz życia«. Gdzie ich szukać? Talleyrand mówi oczywiście o swoich rodakach, o Francuzach: wskazuje na to sama choćby data historyczna, wzięta z przelomowych chwil Rewolucyi. W żadnym innym narodzie, w żadnym innym społeczeństwie rok ten w ten co tam sposób nie odgranicza od siebie dwóch epok sztuki czy możliwości życia, bo przewrót, jaki się dokonał w całej Europie pod wpływem Rewolucyi i w życiu towarzyskiem, po za granicami Francyi ujawnił się znacznie później. Tak było n. p. z Niemcami, tak z Anglią — jeśli tam w ogóle ten przewrót się dokonał — tak było i z Polską. Rok 1794 oznacza u nas powstanie Kościuszkowskie, które w życiu towarzyskiem nie jest wcale słupem granicznym. Prędeż już taką wagę możnaby przyznać bądź rokowi 1772, bądź 1795, datom pierwszego i ostatniego rozbioru. Ale do nich chyba cytowanych powyżej słów Talleyranda zastosować niepodobna. »Kto nie żył przed r. 1794, albo 1772, albo 1795 — nie zaznał słodyczy życia« — to naprzód byłoby fałszem historycznym, bo życie towarzyskie w Polsce — niestety — rozbiorami w swym rozwoju nie zostało powstrzymanem i wielu Polaków i na ruinach ojczyzny piło tę »słodycz życia« — powtóre, tak »spolonizowany« francuski cytat brzmiałby jak bluźnierstwo czy krwawa ironia, kiedy w oryginale jest on tylko dziejową prawdą.

Co z tego wynika? Oto to, że za sztandarem, na którym wypisane są owe słowa Talleyranda, iść może liczna rzesza Francuzów, ale tylko Francuzów, nie Hollendrów, nie Anglików, nie Niemców, a już w żadnym wypadku nie Polaków, czy innymi słowy, że p. Wierzbński, mając zamiar pokazania, jak ludzie z przed r. 1794 używali życia, powinien był powieść swą osadzić wyłącznie na gruncie francuskim. Dla Polaków nie było tu miejsca, szczególnie dla Polaków, których nazwiska złączone są z wypadkami w dziejach Polski około r. 1794. I to zarówno wtedy, gdyby autor ich przedstawiał jako reprezentantów ówczesnego »towarzystwa«, jak i wtedy, gdyby w nich chciał widzieć wyjątki czy wyrodki. W jednym i w drugim wypadku można było tak zrobić jedynie, podkreślając silnie, bardzo silnie sprzeczność pomiędzy używaniem życia przez tych reprezentantów czy wyrodków, a nieszczęśliwym stanem ich ojczyzny. Bez tego momentu będą to tylko polskie nazwiska, które oczywiście zamierzonej przez autora tezy nie potrafią w ten sposób podtrzymać, jakby to zdołały figury, wzięte ze społeczeństwa francuskiego, o którym wylą-

cznie Talleyrand myślał i do którego ów cytat jedynie się odnosi.

Zgoda więc w zupełności na księcia Armanda de Lauzun, jako bohatera takiej powieści. Owszem, ten potomek wielkiego *Fulmen Galliae* z czasów Henryka IV, a później wielkiego buntownika, ten piękny, hulaszczy arystokrata do takiej roli nadawał się znakomicie, a że w r. 1794 właśnie gilotyna Rewolucyi ścięła mu głowę, to roli jego nie psuje, przeciwnie, krwawo dowodzi, jak ci, co »żyli przed r. 1794«, drogo nieraz w tym samym roku płacić musieli za to, że »poznali słodycz życia«. Z bogatego w wypadki życia tego »kawalera«, z jego niezliczonych przygód miłosnych mógł p. Wierzbiński obficie czerpać, zapelnąć nimi nie dwa, ale dziesięć tomów, i nie potrzebował przytem koniecznie wprowadzać do romansu ks. Izabelli z Flemingów Czartoryskiej i ks. Repnina, aczkolwiek wtedy co prawda powieść nie miałaby tego, co teraz, efektownego tytułu. Wyszło to książęce na złe już dlatego, że mimo tego tytułu Lauzun jednak pozostał głównym bohaterem; ponieważ zaś w pojęciu Don Juana, jakim książę był, tkwi nieodzownie zmienność celu affektów, więc skierowanie tego strumienia miłości w jedno trwale łożysko paczy charakter Lauzuna, z postaci o charakterze kulturalno-historycznym robiąc figurę po za sferą danego czasu, bo taka monogamiczna, że się wyrazimy, miłość, nie była przecież uwarunkowaną epoką przed r. 1794 i nie a nie do odmalowania tej epoki się nie przyczynia. Ale jest jeszcze książę Repnin. Ze i on takim dokumentem czasu być nie może, to wynika już z dotychczasowych naszych wywodów. Co gorsza, nawet gdy się romans p. Wierzbińskiego oddzieli od wysuniętej naprzód tezy, za Talleyrandem powtórzonej, przedstawienie stosunku »Kniazia« do »Księżnej« jest w powieści bardzo wadliwym. Ma się bowiem przed sobą w tych obu tomach jakby trzecią, końcową część trylogii, ze wszystkich trzech najmniej ciekawą. Ostatecznie bowiem w tej niewesołej historii zaciekawić mogłyby tylko dwa pierwsze jej stadya: jak się rozpoczęło to, co z wielu względów naturalnem nie było, i dalej, jak ono, już raz rozpoczęte, wyglądało w pełni rozwoju; trzecie stadyum: rozluźnianie się nienaturalnego związku, jest najmniej interesującym, bo jest tylko niejako zwycięstwem natury, chwilowo pokonanej. A tymczasem w powieści p. Wierzbińskiego owe dwa ciekawe stadya należą do przeszłości, teźniejszością jest trzecie, najmniej ciekawe.

Kniaziowi i Księżnej nie można więc przyznać wyższej wartości artystycznej. Ani historycznej także. Wreszcie zaś nie wahamy się przyznać, że o ile wmięszane są tu nazwiska polskie, romans budzi niesmak. Historia ma prawo badać wszystko, bo ma obowiązek to czynić; powieść, nie rządzona tą koniecznością, jest także i w tamtem prawie ograni-

czoną pewnemi względami. P. Wierzbński nam osobiście przypomniał pewnych romansopisarzów niemieckich, którzy w swe bardzo erotyczne pseudohistoryczne powieści wplatają chętnie co najwybitniejsze i najszanowniejsze nazwiska polskie, chyba nie z życzliwości dla Polaków i nie z chęci popularyzowania ich historii. Niesmak ten zaś jeszcze w wyższym stopniu wywoła psychologiczny rysunek Repnina. Mniejsza o to, że autor przedstawił go szablonowo, jako dzikiego Moskala, na przemian to niewolnika, to brutalnego tyrańca kochanej Polki, powtarzając charakterystykę stosunku W. Ks. Konstantego do Joanny Grudzińskiej, jak go przedstawia Wyspiański w *Nocy listopadowej*. Ale z niesłychanem zdziwieniem czyta się w drugim tomie (str. 288 i n.) taką spowiedź kniazia wobec polskiego konfederata: »Przebaczcie mi... wszystko, com uczynił złego... Biję się w piersi i wyznaję, ja grzesznik, pątnik, w skrusze i pokorze ciężkie moje winy wobec was, bracia... Byłem ciemiężcą waszym, siepaczem, nahajką... Ja w sali sejmowej plugawą obelgą w twarz zaczął bryznałem i tak... znieważylem wasz naród... Byłem biczem Bożym... Prawda, że chciałem... Lecz pomyśl waćpan, czemu musiałem chcieć?... Czemu musiałem być tym biczem Bożym?... Może dlatego, aby inny wstąpił w was duch, aby duma narodo-wa natchnęła was do dumnych czynów i wyprowadziła na drogę odrodzenia?... Może pod odebrany polickiem naród zechce chcieć«. Na tę spowiedź w książce znikąd nie pada ani słowo odpowiedzi. A przecież to jest albo bezdennie głupie, albo szyderstwo z Boga i z Polski. W jednym i drugim wypadku wstydzic się powinien p. Wierzbński, że to napisał, *Nowości literackie*, że to w popularnym wydawnictwie Polakom do czytania dają. Może się doczekamy jeszcze kiedy w polskiej powieści podobnej »spowiedzi« Murawiewa Wieszatiela?

Dr. J. Flach.

— Józef Andrzej Teslar: *Gawędy duszy*. (Gebethner i Sp., 1910, str. 52). — Tenże: *Rabbi Johanan*. (Kraków, Gebethner i Sp., 1911, str. 51). — Tenże: *Z mojej włóczędzy*. (Kraków, Gebethner i Sp., 1911, str. 107). — Nic trudniejszego, jak pomylić się w ocenie dorobku, zwłaszcza czysto literackiego, autora młodego, dopiero co »w świat inny a szeroki« występującego. Łatwo niedocenić jego talentu, łatwo przecenić pod pierwszym wrażeniem siły młode, pełne życia i zapału. Omyłek też w podobnych wypadkach liczy historia krytyki (mówimy oczywiście o krytyce sumiennej) bardzo wiele, a dotyczą one nieraz pisarzy najgenialniejszych. (U nas typowym przykładem takich omyłek są pierwsze pisma Kraszińskiego, na podstawie których nikt chyba nie przepowiedziałby *Irydyona* lub *Psalmów*). Mimo to pokusa zawsze jest wielka, aby, mając

takiego autora przed sobą, nietylko ocenić to, co już jest, lecz spróbować z tego, co jest, dalsze wysnuć wnioski.

P. J. A. Teslar w krótkim odstępnie czasu darzy nas trzema tomikami własnych myśli i uczuć. Są w tych tomach utwory pisane prozą, niektóre wierszem o charakterze wybitnie lirycznym. Uczuciowość — oto najpierwsza cecha powyższych poematów. A jest ona istotnie szczerą i naturalną. Niema w niej nigdzie obludy i fałszu, niema nieznośnej pozy i koturnu. W ostatnich czasach przywykliśmy do tego, że każdy niemal »autor«, »twórca«, czy »wierszorób« zadrukowywał setki stronnic własnymi »bólami« i »nieszczęściami«, z których połowa była urojona i zmyślną, druga natomiast telnęła przesytem i nudą.

U p. Teslara nic z tego nie widzimy, a objaw to bardzo pocieszający. Wprawdzie i on »cierpi« i »boleje«, wprawdzie i jemu smutno i fraszobliwie, jednak smutno mu tak, jak smutno człowiekowi, stojącemu przed ciężką a nieznaną i daleką drogą, którą przejść musi, by dotrzeć do celu. Lecz postanowienia ten człowiek (czytaj: autor!) posiada z góry pewne i wielkie: »Więc przyjdź — mówi — wybrana i umiłowana od pierwszego błysku słońca nad głową moją — przyjdź Prawdo!... i usiądź za moimi plecyma, kiedy w posępie i zadumie trudzić głowę będę... Przemawiaj ty do mnie z ócz otchłannych słodyczą i ciszą opiekuńczego Ducha stróża mego przez ziemski żywot mój« i t. d. Ta Prawda ma jedynie towarzyszyć autorowi, ona jedna ma mu być kierownikiem w myślach i dociekaniach. Tych dociekań, »gawęd«, jak je p. Teslar nazywa, mamy pięć: O życiu, śmierci i wierności, O pokoju i dumie, O walce i tajemnicy zwycięstwa, O smutku, łzach i radości i O miłości..

Wszystkie te ustępy cechuje polot nawet poetycki, wszystkie noszą na sobie piętno szerszego horyzontu i szlachetnego »na świat wejrzenia«. Czasem autor w ton groźniejszy wpada: »Ale nad tymi, którzy już nigdy psiego oblicza, a jaszczurczego nie zmieniają wejrzenia, nie będziesz miała w sercu ni kruszyny litości, ni wybaczenia!... Bo oni są tymi, którzy nienawidzą Jęgo i bojowania Jęgo — i dlatego On nienawidzi ich całą swoją potęgą! Miłosierdzie Jęgo stoi zawsze otchłannie nad nimi rozpięte — lecz podli Judasze raczej powróz na plugawy kark zarzucą i obwieszą się na uschłej wierzbie, niżby mieli zawrócić się ze swej czarnej ku przepaściom drogi!... Duszko! czyliż takich możesz oszczędzać?...«

Myliłby się atoli ten, ktoby sądził, że może utwory powyższe pesymizmem są przesiąknięte. Nie, niema go; jeśli jest, to tylko jako uświadomienie sobie tego zła, które na świecie istotnie istnieje. A byłby to objaw znów bardzo a bardzo pocieszający. Tak mało dziś mamy utworów *ad astra* wiodą-

cych, że każdy głos w tym kierunku powitać musimy z żywą radością, jak wita się czystą gwiazdę pośród obrzękłych chmur.

Czy p. Teslar ma talent? Twierdzimy, że tak, a opieramy się na powyższych tomikach. Droga rozwoju i biegu tego talentu nieznana, pewnemi wydają się nam jednak szczerłość pisania, serdeczność uczucia i konieczność wypowiedzenia się. A ostatnich tych słów za paradoks nie uważamy. Dziś bowiem istnieją legiony pisarzy takich, którzy nic do pisania i do powiedzenia... nie posiadają.

Przestrzedz autora pragniemy na razie przed przewagą formy nad treścią, przed zbytnią rozlewnością pióra (głównie w *Rabbi Johanan*), przed pewną jeszcze tu i ówdzie płaczliwością i zbytnią pieśczołliwością stylu i języka. Usterki te dzisiaj drobne i nieznaczne, przy nieuwadze mogą doprowadzić do monotonii i maniery.

Ogółem wrażenie po przeczytaniu tych utworów — chodzi nam głównie o prozę — odebraliśmy dodatnie, więcej (co do formy) zauważyliśmy zalet niż wad. Dlatego też z przekonania życzyć należy autorowi powodzenia i dobrych owoców w danej twórczości i pracy.

W końcu wspomnieć się godzi o prawdziwie artystycznej szacie zewnętrznej powyższych tomów. Zasługa w tem główna wzorowej Drukarni »Czasu«.

A. E. Balicki.

TEATR KRAKOWSKI.

Repertuar miesiąca kwietnia ułożony został głównie dla gościnnych występów p. Ireny Solskiej. O artystce tej, której nie uważamy jako gościa, lecz jako stałą współpracowniczkę krakowskiej sceny, pisaliśmy na tem miejscu już tyle razy, że nowego do powiedzenia chyba nic nie zostaje. Wiemy, jak p. Solska starannie obmyśla każdą powierzoną jej rolę, jak piękną linią i poza gra w sztukach t. zw. »deklamacyjnych«, poetyckich, jak znów podbija widownię naturalnością i swobodą w utworach konwersacyjnych. W tego też rodzaju sztukach leży główne pole popisu p. Solskiej.

Wieczory, w których »gościnnie« p. Solska występowała, wypełnione były wznowieniami utworów dawniejszych, dobrze nam znanych i niejednokrotnie już omówionych. Dlatego powtórnie o nich pisać nie będziemy, zaznaczymy tylko, że nie wszystkie były wznowione jednakowo starannie i pięknie. W niektórych całość ratowała prawie wyłącznie wyborna gra p. Solskiej lub innych pojedynczych artystów.

O wiele lepiej natomiast przedstawiają się pod względem reżyserji w miesiącu kwietniu wszystkie nowości. Z nich pierwszą z rzędu była sztuka w 3 aktach H. Rostworowskiego p. t. *Echo*. Ten sam autor wystawił roku zeszłego sztukę p. t. *Pod górę*. Omówiliśmy ją na tem miejscu dosyć szczegółowo, dla autora życzliwie, sądząc, że gdy p. Rostworowski pozbędzie się pewnych wad, usunie niektóre zasadnicze w pisaniu myłki i usterki, może z czasem stać się pisarzem dla sceny nawet pożytecznym. Pisaliśmy wtedy, że szkodzi autorowi i jego sztuce zbyt na scenie »filozofowanie« i sentencyonalne rozmyślanie nad człowieczem życiem. W sztuce *Pod górę* już ten fakt szkodził bardzo, robiąc z całości chaotyczną gmatwaninę przeróżnych pomysłów. W *Echu* to całe filozofowanie i rzekomo obserwacyjne »czuwanie« autora nad życiem i jego bohaterami okazało się wprost śmiesznem i nieudolnie zabawnem. Wszystkie ty-

radę Artura, lwia część dyalogów, to tylko frazesy, puste i czeze słowa bez znaczenia i wagi. Ach nie! Prawda, że one mają znaczenie, tylko... tylko nikt nie wie »co to znaczenie znaczy«. Frazesy te bowiem spowite w mroczno-symboliczno-uczuciowy nastrój są tak głębokie, że dna ich sensu trudno dopatrzeć. Opowiadania w tym rodzaju, jak o czerwonej lampce, o podeptanych dywanach duszy — to są tylko puste, sztuczne i banalne już dzisiaj dźwięki.

Jak zaś umysł autora zajęty jest strażowaniem ludzkiego życia, niechże wystarczy szczegół, że gdy się Artur łączy na scenie z Amelką, w tej samej chwili za sceną gładzą... głupie kury. Nie udało się p. Rostworowskiemu ani robienie »Stimmngu«, nie zajęły również symbole i efektowne rakietyki zimnych a białych iskier.

O cóż chodzi w tym utworze? Lepiej treści nie podawać, gdyż tak brutalna. Z konieczności tylko słów parę. Jedno małżeństwo, Zygmunt i Elżbieta, nie żyją z sobą w zgodzie, a nie żyją dlatego, że ona jemu mężowi odmawia pewnych zupełnie uprawnionych praw i żądań. Ona kocha naprawdę Artura, ale cóż, gdy Artur woli znów Amelkę. Że zaś ta Amelka, znienawidzona przez Elżbietę, w trzecim akcie umiera, przeto Artur »idzie w świat«, oczywiście na zatracenie. Do zaokraglenia tedy zupełnego romansu między nim a Elżbietą brakło rzeczy najważniejszej, bo Artura samego... To osnowa sztuki, wypełnionej frazesami lub wzajemnymi wymyślaniami małżeństwa na siebie. Gdy zaś (w akcie drugim) stała się (po szampanie!) rzecz taka, iż Zygmunt został mężem Amelki, wtedy długa była na scenie debata: z czego Amelce nie dobrze? czy... z tego... czy też może z nieświeżego homara?

Tego rodzaju sceny, w tak brutalnej a zarazem niby ironicznie podane formie, nie zjawily się dotąd nawet w najradykałniejszych sztukach. Z upodobaniem wprowadził je na scenę właśnie powyższy autor.

Zbudowana dalej ta sztuka źle i niescenicznie. Sztuczne w niej »pauzy« wloką się w nieskończoność, urywany dyalog męczy i nuży, główne w niej figury narysowane zostały niezręcznie i niejednolicie. Jeszcze najlepiej przedstawia się postać jowialnego wiejskiego proboszcza (nie trudna dziś do skopiowania przy tylu świetnych wzorach!) i postać smutnej Amelki, która nic zupełnie nie mówi, tylko głęboko Artura kocha, aż wreszcie przez (rozmyślnie, jeśli się nie mylimy!) przeziębienie pozbawia się życia. Postać trudna, ale nie nowa, używana często (głównie u naszych powieściopisarzy, wybornie u Orzeszkowej).

Pan domu, Zygmunt — właściwie ze sztuki nie wiadomo, jakim jest. Czy to ma być dobry, poczciwy nasz polski hreczkosiej z twardym, zdrowym rozumem, czy też drag nieokrze-

sany i fernal na pięknym stanowisku? Nie wiemy tego, bo autor na to odpowiedzi nie dał i z tej też prostej przyczyny nie możemy żadnych a żadnych stawiać p. Solskiemu zarzutów za takie a nie inne pojęcie swej roli. P. Solski grał Zygmunta może za »grubo«, ale, jeśli go tak rozumiał, grał go zupełnie dobrze.

Elżbieta, to kuzynka przeróżnych kobiet z utworów Przybyszewskiego. Jako taka dała obszerne pole do popisu dla p. Solskiej. Grała też ta artystka Elżbietę *con amore*, wprost świetnie.

Artur, to »nastrojowiec« i zatraceniec, jakich włóczy się po naszym piśmiennictwie jeszcze teraz legion! Grał go p. Weychert, a grał tak świetnie, nadał mu rysy tak szlachetne i czyste, że rolę tę liczymy p. Weychertowi jako jedną z najgłówniejszych.

Bardzo dobrze proboszcza grał p. Siemaszko, bez zarzutu smutną Amelkę p. Janiczówna — słowem, autor nie powinien nigdy powiedzieć: »Ja napisałem *Echo*«, lecz zawsze i wszędzie głosić: »Oni (ci artyści!) stworzyli tę sztukę, wyciągając mnie z topieli«...

Nie po raz to pierwszy zresztą dzieje się, że nasi aktorowie z niczego lub z śmiecia arcydzieła robią!

Smutne tedy było tegoroczne w teatrze »Prima Aprilis«, gdyż właśnie 1 kwietnia ono *Echo* oglądać mieliśmy zaszczyt. Bez echa przeszło, bez echa zostanie. Dla autora tylko ów wieczór kwietniowy powinien ważnym być bodźcem do poważnego zastanowienia się nad sobą i swym... dramatycznym talentem.

Dnia 8 kwietnia wystawiła Dyrekcyja »poemat dramatyczny« M. Maeterlincka p. t. *Aglawena i Selisetta*. Powiedzmy z góry, że poemat ten tylko czytany być winien. Jest bowiem pisany tak subtelnie, tak eterycznie, a zarazem tak naprawdę pięknie i poetycznie, że te wszystkie jego delikatne i mimozowate piękności na scenie albo zatracają się całkiem, albo w znacznej mierze, choćby poemat ten grano tak starannie, jak u nas. A jednak przyznajmy i to, że mimo zupełnej »niesceniczności« i wszelkiego braku akcyi, poemat ten w teatrze nie nużył i nie męczył. Tak piękne w nim słowa, taka wielka prostota i serdeczność uczucia.

Jest ich w poemacie na początku czworo: Meleander i Selisetta, dwoje kochanków przy boku starej babki i młodszej siostry Yssaliny. Dobrze im tak razem, spokojnie i zacisznie. Nagle przyjeżdża Aglawena. Miłość Meleandra poczyna się dwoić: kocha Selisettę, kocha również Aglawenę. Cierpi i boleje nad tem Selisetta, wreszcie postanawia sama dobrowolnie się szczęściu z drogi usunąć. Wychodzi na wysoką, zmurszałą wieżę i rzuca się w morze... W obrazie poematu

ostatnim umiera, zostawiając po sobie smutek i żal. Miłości Meleandra i Aglaweny braknie tej duszy trzeciej!

Grubo pomylili się ci, którzy *Aglawenę* i *Selisettę* zalicyli do tego samego rodzaju utworów Maeterlineka, do którego należy taki u. p. *Intruz*, *Wnętrze* lub *Słepcy*. W powyższym poemacie miłosnym symboliczność i »nastrojowość« o tyle tylko istnieją, o ile one w podobnych chwilach i sytuacjach są naprawdę. Ta symboliczność i nastrojowość nie jest w *Aglawenie* sztuczną, owszem zupełnie naturalną. Jest ona pożądanem a pięknie pomyślanem *accessorium* do miłosnego śpiewu.

Jaka idea tego poematu? Zaiste, jedna z najszlachetniejszych, o jakich mówić można. Oto, nie może być szczęścia tam, gdzie się swem szczęściem ból i smutek drugim w zamian daje. Ten pewnik da się wysnuć z całego poematu, a przyzna każdy, że zdanie to bardzo głębokie i szczytne. Negacya, zaprzeczenie egoizmu i samolubstwa — oto rezultat powyższego, miłosnego hymnu.

Jak wspomniano, poemat ten napisany został bajecznie prostym językiem i stylem, niema w nim ciemnej a pathosowatej gmatwaniny myśli i sentencji, niema koturnu i pozy, niema straszenia widza chorobliwemi wizjami i majakami. Jest tylko szczerze, prawdziwe wzruszenie, któremu każdy śpiewak więcej czuły bezwiednie poddać się musi.

Szkoda, że nie mamy tłumaczenia pod ręką. Wyjątki z *Aglaweny* przekonałyby o tem dowodnie. Wystarczy jednak podnieść i zanotować wrażenie ze sztuki w teatrze, mimo, iż utwory takie na scenie nigdy pełni blasku i eteru osiągnąć nie mogą.

U nas grano, względnie przedstawiano ten poemat arcyprzednio. I dekoracya była prosta, a trafna i barwna, i kostyminy aktorów dobrze utrafone. Strój cały, zwłaszcza u pań, polegał tylko na długich, powłóczystych o jednym tonie szatach, co postaciom nadawało pewien charakter czegoś niezmiernie, dalekiego. Aglawenę grała p. Wysocka, Selisettę p. Solska. Która lepiej? Trudno odpowiedzieć. Każda z nich przedstawiała się tak pięknie, dobierała ruchów tak szlachetnych i miękkich, mówiła tak ciepło i serdecznie, że o przewadze jednej artystki nad drugą mówić trudno. Różnica była tylko o tyle, o ile żądał jej tekst, to jest, że Aglawena jest więcej kochanką-kobieta, pełną majestatu i czaru, Selisetta natomiast cichym, serdecznym ptakiem, którego urok i czar nie mniejszy, lecz więcej trwożny a mniej pewny siebie.

Mniej podobał nam się p. Weychert. Wprawdzie mówił ślicznie, ale (w nieszczęśliwym do tego kostyumie) poruszał się jakoś za wolno, za ciężko. Przytem tu i ówdzie wyraz twarzy nie odpowiadał słowom tekstowi. Wogóle w kwietniu, grał p. Weychert za często, bo co »premierę« miał role głó-

wne i to, tu i ówdzie, do siebie podobne. Nie wszystkie dlatego wypadły dobrze i oryginalnie. Znakomitą była kreacya w *Echu*, słabszą już w *Aglawenie*. P. Wolska stworzyła typ staruszki (Meligrany) wprost »portretowy« (tak dobrze uchwycony), a nieznaną dziewczuszką bardzo pięknie oddała rolę Yssaliny, młodszej siostry Selisetty.

Właściwie w kwietniu, to tylko Maeterlinck godny był odwiedzin (nie mówiąc oczywiście o przedstawieniach, w których występowała p. Solska). Reszta bowiem »nowości«, to były tylko »premiery« — dla premier.

Jeszcze najlepszą z nich okazała się komedia w 3 aktach A. Rivoire'a i L. Bernarda (tłumaczyła L. Pytlińska) p. t. *Mój przyjaciel Tadxio* (*Mon ami Teddy*). Wprawdzie arcykomiczną ona nie jest, »umierać« ze śmiechu na niej nie będzie nikt, ale jest bardzo miła, można powiedzieć, nawet »dystygowana«. Prosta jej osnowa. Pani Magdalena Morel rozwodzi się (przekonawszy się wprzód o zdradzie) z mężem swym Didier'em. Mocno do tego przyczynia się Amerykanin Teddy Kimberley, który uroczą Magdalenę kocha głęboko a szczerze. On to snuje pajęczę nici (godziwe jednak!), aby Magdalenę o mężowskiej zdradzie przekonać i do rozwodu nakłonić. To wszystko mu się udało. Była jednak raz chwila niebezpieczna, a to wtedy, gdy po wolną już Magdalenę zgłosił się konkurent inny... lecz, że ten, patrząc na sprawę małżeństwa zupełnie »ekonomicznie i materyalnie«, nie dziwnego, że szlachetny Teddy stanął wreszcie u celu. Te trzy akty, okraszone drobnymi, zabawnymi epizodami i sytuacyami, dają się wysłuchać z miłą przyjemnością.

Grano je u nas dobrze, lecz za wolno (wiecznie to samo!), robiąc z nich koniecznie komedię ciężką i poważną. Na wzmiankę zasługują niemal wszyscy, wszyscy bowiem grali z humorem i starannie. By nie przepisywać afisza, wymieniamy tylko postacie główne. I tak zabawnym (choć zawsze jednakim) był p. Mielnicki w roli Marka. Jego uroczą żoną a potem rozwódką była p. Jarszewska. Jakóba Bertina doskonale grał p. Leszczyński. Słowa uznania należą się pp. Siemaszce (Verdier), Kosińskiemu (D'Alone), Słubickiej (Raucher). Bohaterem Teddy'm został p. Weychert. Rola ta odcinała się od rodzaju kreacyj innych tego artysty. Ciekawą też i miłą była bardzo. Może tu i ówdzie brakło jej żywości, którą nawet »Amerykanin« Teddy mieć chyba musiał.

Ostatnią w kwietniu nowością była trzyaktowa sztuka Dr. Tadeusza Kannenberga p. t. *Marzyciel*. — Marzycielem w utworze tym jest niejaki pan Jan, który kończy wprawdzie technikę i inżynierem zostaje, ale którego dusza rwie się tylko do rysunków, do malarstwa. On tęskni za tem, siostra zaś jego Ola za wolnością. W ten sposób wytwarza się

między dziećmi a rodzicami (administratorami dóbr) nieporozumienie, wreszcie konflikt, rezultatem którego ucieczka Oli z jakimś Markiem, człowiekiem żelaznej ręki. Ten Marek długo starał się o rękę Oli, odepchnięty przez jej ojca, za jej wiedzą wywiózł ją i zaślubił. — To akt pierwszy. Zdawaloby się po nim, że zapoczątkowane rozprzężenie rodzinne rozwinie się dalej, że nasz »marzyciel« i jego siostra Ola w jakiejś walce o ideały połamią skrzydła, lub może... może w krwawym zwycięstwie wolność dla drugich wywalczą.

Nie z tego później. W akcie drugim widzimy »marzyciela« już inżynierem (naturalnie z narzeczoną i »z modelką« przy sobie razem), ale inżynierem tak głupim i niedołężnym (autor mówi, że »poetyckim«), iż wszystkie przez protekcyę powierzone sobie roboty wykonywa nieudolnie, tak nawet nieudolnie, że grożą one katastrofą miastu (?!). Wtedy i miasto i włożone pieniądze w te prace ratuje szwagier jego Marek, oddając dalszy ciąg robót w ręce »eksperta« Czecha (!) Jan, oburzony i obrażony, jedzie teraz czuwać przy umierającym kuzynie, który (nawiasem mówiąc) nie ma woli. Ten kuzyn (neurastenik i nerwowiec) umiera, Jan ze złością wyrzuca Marka za drzwi (mimo, iż ten przychodzi »marzyciela« od zguby ratować) a sam *urbi et orbi* ogłasza, że teraz nowe rozpocznie życie.

Niektóre sceny barwne są w tej sztuce, żywe i charakterystyczne. Całość chaotyczna, zbudowana słabo, bez związku i połączenia. Mamy wrażenie, że tak samo powstawała sztuka powyższa, jak i inżynierskie plany Jana.

Grano *Marzyciela* na ogół dobrze. Zwłaszcza rólkki drobne, drugorzędne wypadły najlepiej. Rola ojca w grze p. Sosnowskiego, matki w interpretacji p. Krysińskiej, typy radców miejskich (pp. Szymborski, Brandt, Mielnicki, Stępowski i Nowicki), postać Czecha Dostala p. Maks. Węgrzyn, rysownik w grze p. J. Węgrzyna — wszystkie te postacie odtworzone były bez zarzutu, miejscami wprost wybornie. — Role główne spoczywały w rękach następujących: Jan — p. Weychert, Ola — p. Morozowiczówna, Marek — p. Maryański. Artyści ci grali bardzo starannie. Ze czasem nie wiedzieli, co począć z sobą na scenie — nie ich w tem wina.

* * *

W miesiącu kwietniu rozstrzygnęła Rada Miejska w Krakowie konkurs na dzierżawę teatru miejskiego na dalsze lat sześć. Dyrektorem - dzierżawcą został dotychczasowy dyrektor p. Ludwik Solski.

* * *

Dnia 3 kwietnia obdarzyło publiczność krakowską dziewiątym już wieczorem klasycznym dobrze znane i zasłużone »Akademickie Koło« Artystyczne Miłośników Dramatu klasycznego w Krakowie. Tym razem ku zadowoleniu wszystkich wskrzeszono komedię Goldoniego p. t. *L'amore militare*, *Miłość żołnierska*, graną już u nas w Warszawie w r. 1781, w pysznem tłómaczeniu: »Jejmość Panny Maliston«. Wybór nie mógł być trafniejszy. *Miłość żołnierska* ma w sobie wiele ruchu i życia, co bardzo amatorom, zwłaszcza młodym na rękę. To też grano tę komedię wybornie. Panowie tacy, jak Sobieniowski (kupiec), Borowicz (Sanchez), Henoch (Brawura), Reklewski (Alonzo) a zwłaszcza Grek (Trufaldyn) grali z taktowną swobodą, werwą i humorem. Dzielnie sekundowały im panie, zwłaszcza Janikowska (Rozyna — rola bez zarzutu), Horowiczowa (Dati — kreacya godną rutynowanej aktorki) i Grześnińska (Karolinka — urocza i pełna temperamentu służąca).

O Goldonim pisaliśmy na tem miejscu obszerniej lat temu trzy, dziś zaznaczamy tylko, że komedye jego po dziś dzień jeszcze pełne są świeżości i siły. Taka *Miłość żołnierska* n. p., której treścią tylko miłości żołnierskie, pomyślnym oczywiście uwieńczone skutkiem, posiada tyle rozmachu, wdzięku i stylu, że winna wejść w poważny, klasyczny repertuar.

Mniej potrzebne na tym wieczorze były *Syrakuzanki* czyli *Uroczystość Adonisa*, sielanka Teokryta XV (rozbita na trzy obrazki, z ilustracją muzyczną B. Walewskiego). Sielanki Teokryta są piękne i wartościowe; nie można atoli robić z nich osobnych komedyj czy teatralnych sztuk. Dyalogi — muszą pozostać dyalogami tylko. Inna rzecz, że te obrazki wyreżyrowane były barwnie i starannie, a pp. Malczewska, Stożañska i Dworski drobne swe rôleki odegrali zręcznie.

Dla zaokraglenia sprawozdania podajemy w interpretacyi koła streszczenie powyższej sielanki i objaśnienie szczegółów tamże zawartych:

»Rzecz dzieje się w Aleksandryi, a rozpoczyna się w domu wieszczki Praksynoe. Obrazek czysto miejski i zgoła mimiczny, pełen ruchu i urozmaicenia, zawiera z talentem niepospolitym rzucone rysy charakteru kobiecego, zarówno ogólnie psychologiczne, jak lokalne. Składa się jakby z dwóch części: pierwsza przedstawia drogę dwóch przyjaciółek, przebywaną z trudem do pałacu królewskiego, druga opisuje wspólny przystrój świąteczny, przygotowany na akt uroczystości, tudzież samą uroczystość, której główną część stanowi śpiew o Adonisie, streszczający obrządek.

»Ażeby zrozumieć szczegóły obrządku, trzeba wiedzieć, kto był Adonis i co realnego mit ten w sobie zawiera. Był on synem Feniksa i Alfezybei, córki Agenora, jak pisze Hezyod, gdy późniejsza legenda innych daje mu rodziców: mło-

dzian, ukochany wielce przez Afrodytę, która w szkatulce oddała go niemowlęciem na przechowanie Persefonie bogini podziemia, ta zaś również zdjeta miłością, nie chciała go już oddać. Rozstrzygnął Zeus postanowieniem, iż Adonis jedną trzecią część roku bawić ma w państwie podziemnym u Persefony, drugą u Afrodyty, a ostatnią według własnego wyboru. Adonis oddał i tę część Afrodycie. Z zawodu myśliwy, w młodzieńczym wieku został przez dziką rozszarpany. Afrodyta gorzko go oplakiwała. — Mit pochodzenia fenickiego, jak i sama Afrodyta i wiele innych bóstw przez Greków przyswojonych, obszedł wszystkie dzielnice Hellady, przedostał się do osad Azji Mniejszej, a za Ptolomeuszów osiadł w Egipcie. Zbyt widocznie symbolizuje przejścia natury, zwłaszcza roślinności kwitnącej wiosną i latem (pobyt Adonisa u Afrodyty), zamierającej w zimie (pobyt u Persefony). Gdy zaś zima trwa krótko na południu, większą zatem część roku Adonis cieszy się z Afrodytą. — Uroczystość w różnych miejscowościach w różnej porze roku była odprawiana».

»W Aleksandryi z wielką odbywała się okazałością i trwała dwa dni. Pierwszy był dniem radosnym: Adonis z podziemia wracał do Afrodyty. Układano postać jego wyobrażającą pięknego młodzieńca i wyśpiewywano nad nim okolicznościowe peany. Nazajutrz był dzień smutku: przy odpowiednim śpiewie odprowadzano go na wybrzeże i wrzucano do morza, zupełnie tak, jak opisuje nasza idylla. — Było to wyłącznie święto kobiet«.

»Szczegóły tej idylli tchną taką prawdą i życiem, iż nie ulega wątpliwości, że Teokryt malował je z osobistej obserwacji, a zatem tworzył za pobytu w Aleksandryi«.

Całość wieczoru wywarła znów jak najkorzystniejsze wrażenie i nowy laur wplotła w wieniec chwały tego pracowitego Koła.

A. E. Balicki.

MUZYKA W KRAKOWIE.

W ostatnim koncercie Dyrekcyi koncertów krakowskich wystąpił Jacques Thibaud. Znakomity skrzypek, cieszący się w Krakowie najpowszechniejszą sympatją, witany gorąco, przedstawił się w występie tym jako artysta głęboki zaiste; w koncertach poprzednich nie ujawnił Thibaud tych cech swojej gry, które teraz wystąpiwszy, podniosły go w naszych oczach. Program koncertu, dzięki bardzo szczęśliwej inicjatywie Dyrekcyi, uległ pewnej zmianie, wzbogacił się mianowicie o utwór E. Chaussona (1855 — 1899) *Poëme*, którego porywająco,

plomienny charakter inwencji był najszcześniejszym sposobem rekomendacji nieznanego u nas, a tak bardzo na poznanie zasługującego, kompozytora. Akkompaniowała w koncercie tym, jak zawsze z niezawodną dokładnością i odczuciem, p. Zofia Dawidsonówna.

Wieczór ten zachęcił do zestawienia bilansu całego sezonu koncertowego, doprowadzonego do skutku dzięki staraniom i przedsiębiorczości p. Teofila Trzcieskiego. Najgorętsze uznanie wyrażamy kierownikowi Dyrekcyi koncertowej za dobór sił artystycznych tego sezonu i artystyczną inicyatywę w całym przedsiębiorstwie. Pięknym usiłowaniami nie dorównało zainteresowanie naszych kół muzycznych, ilość słuchaczy zostawała nieraz znacznie nawet w tyle za jakością produkcji. Praca w warunkach takich, połączona z ofiarami materialnymi, zakończona może i niedoborem, nie mogłaby trwać długo. Mamy nadzieję, że Zarząd miasta umożliwi p. Trzcieskiemu dalszą pracę, dając mu do spełnienia dogodniejsze warunki niż dotychczas. Jeśli bowiem względy natury moralnej nie będą miały szans zrównoważenia się z rachunkiem amortyzacyjnym, Kraków zostanie pozbawiony produkcji muzycznych w poważnym stylu, ustępując przeznaczoną dla nich salę Starego teatru kinematografom lub »Uranii«. Mamy jednak nadzieję, że sprawy te ułożą się pomyślnie i że w przyszłym sezonie powitamy znów p. Trzcieskiego jako kierownika Dyrekcyi koncertów krakowskich.

Z własnym koncertem wystąpił p. Stanisław Barcewicz, dyrektor Konserwatorium warszawskiego. W liczbie nielicznych skrzypków polskich jest Barcewicz dziś jeszcze pierwszym, prawdziwym mistrzem tonu, którego wielkość i ciepło porywa. Temperament, mimo podeszłe lata artysty, nie wygasł, wyciska też piętno swoje nawet na tych utworach, których charakter wymagałby raczej stłumienia go. W ustępach melodyjnych była gra p. Barcewicza rzadką rozkoszą dla uszu, natomiast trudności techniczne polifonicznych węzłów w kompozycjach Bacha pozostawiały, po przejściu przez nie smyczka, wrażenie, jakby pokonanie ich było niezupełne. Występ p. Barcewicza obudził serdeczne przyjęcie artysty u publiczności, która natargiwie żądała naddatków, wywalczywszy kilka numerów nadprogramowych.

Po długich przygotowaniach i kilkakrotnem odkładaniu terminu koncertu, wykonało Towarzystwo Muzyczne III Symfonię G u s t a w a M a h l e r a dnia 25 kwietnia. Rzadkie to w każdym razie w muzycznym życiu krakowskim zdarzenie nie zdołało zająć naszych melomanów tak, jak się tego wszyscy spodziewali. Niewielka sala Starego teatru, pomniejszona znacznie w skutek ustawienia ogromnej estrady, świeciła pustkami, kompromitującami wprost opinię miasta »kulturalnego«. Cały

wielki koncert, doprowadzony do skutku przy ogromnym nakładzie energii i trudów, nosił na sobie cechy przedsięwzięcia bardzo poważnego. Miło mi było to stwierdzić, aby się samemu przekonać, że sceptyczne moje oczekiwania nie były trafne. Koncert ten nie był istotnie »bomba«, nie zauważyliśmy żadnych poranionych; raczej na sali eksplodował temperament niektórych słuchaczy, głośno protestujących przeciw wykonaniu Symfonii Mahlera. W warunkach jednak, w jakich wykonano Symfonię Mahlera, w naszym małym i biednym światku muzycznym był koncert ten podobnym do *dreadnaughta...* »w nurtach Rudawy«! Mówiąc jednak poważnie, było wykonanie Symfonii Mahlera rzeczą bardzo zbyt kowną, rzeczą stojącą w rażącej dysharmonii ze stanem finansowym Towarzystwa Muzycznego i z istotnymi potrzebami muzycznymi naszego miasta. Eksperyment był drogi, deficyt zaś, jaki z tego koncertu wyniknął, jest z pewnością dotkliwszy od korzyści, jaką z Symfonii tej odnieśli nasi megalomelomani i dwóch i pół, tak zwanych w Krakowie, kompozytorów.

Twórczość Gustawa Mahlera nosi na sobie cechy »fanatycznego zapалу«. W Symfoniach, z których wspomniała VIII słuchaliśmy we wrześniu w Monachium, wypowiada się raczej głęboki intelekt, niż potężny talent muzyczny. Twórczość Mahlera jest w sprzeczności z jej zasadami. Mahler komponuje muzykę ściśle programową, w zasadzie zaś będąc przeciwnikiem »programu«, podaje dzieła swoje słuchaczowi jako muzykę »absolutną«, każąc mu oryentować się w niej na własną rękę. Bez komentarza, bez przewodnika w tym chaosie pomysłów szlachetnych i banalnych błądzi się nieświadomie, intencje kompozytora przyjmują w pojęciu słuchacza zupełnie odmienne znaczenie od tego, które nadawał im twórca. Tak n. p. pierwszą część Symfonii III, której tytuł programowy miał tłumaczyć słuchaczowi, że kompozytor pragnął przedstawić w niej wrażenia odnoszone na łonie natury, możemy bezpiecznie uważać za muzykę wielkiego miasta, powiedzmy Wiednia, z charakterystyczną mu *Burgmusik*, która najpierw podąży do zamku i dokładnie za pół godziny wraca. W tematach budzącego się Pana poznamy także... piekarza z Lerchenfeldu i z pewnością się nie pomylimy. Taka sama dowolność w rozumieniu muzyki jest atrybutem słuchacza w dalszych częściach Symfonii. Rozmowa drzew i kwiatów zmienia się w sentymentalną scenę ludzką na stokach Hütteldorfu, gdzie w niedzielne wieczory akkompaniują *flämmom* i *gschpusi* miłośnicy trąbki, grając bardzo znane melodye pocztowe. Kolej podziemna zawiezie każdego, chcącego poznać co mówią okolice Wiednia, punktualniej i wygodniej, niż malowane dyliżanse Schwinda i Spitzwega. Na takie tłumaczenie pierwszej, drugiej i trzeciej części swojej Symfonii zgodziłby się może i sam Mahler, traktujący słucha-

cza... przez pół seryo. Odlączywszy treść programową od muzyki Symfonii tej »samej w sobie«, musimy uznać w Mahlerze potężnego technika instrumentacji; koloryt jego orkiestry jest jednak ostry, mało pociągający ucho.

Część czwarta, piąta i szósta III Symfonii może atoli mieć tylko jedno wytłómaczenie. Mahler, plastyk muzyczny, ucieka się w nich do słowa poezji. Powtarza to samo w Symfonii II, IV i VIII-iej. Wybór poezyj w Symfoniach tych świadczy o głębokiej kulturze duchowej Mahlera, zestawienia zaś najbardziej odległych tematów dokonywane są z genialną wprost śmiałością i logiką. Symfonie Mahlera łączą się z sobą jak ogniwa łańcucha, są rozwojem śmiałych idei. Dziwaczne na pozór połączenie hymnu *Veni creator Spiritus* z ostatnią sceną *Fausta* w Symfonii VIII jest gigantycznie wielkim pomysłem. W III symfonii zaczął Mahler partycję wokalną od sola altowego, śpiewającego najgłębszy, utwór poetycki Nietzsche'go upojną pieśń Zarathustry: *O Mensch gib Acht, was spricht die tiefe Mitternacht*. Odpowiedź na myśli zawarte w niej: *Doch alle Lust will Ewigkeit* śpiewa chór w słowach naiwnej pieśni z *Cudownego rogu chłopca*: *Die himmlische Freud, die kein Ende mehr hat!* Zarathustra i wiara chrześcijańska... Z głębin wyrazu muzycznego w pieśni Zarathustry przeniósł nas Mahler w naiwne sfery dziecięcej melodyki, rozkolysanej na naśladowanych przez chór chłopięcych dźwiękach dzwonów *bin-bam*. Zakończenie kolosalnej Symfonii stanowi podniosłe w nastroju *adagio*, oscyllujące między Beethovenem a Wagnerem.

Pomysły w III Symfonii Mahlera nie są wolne od różnorakich wpływów obcych; reminiscencye melodyjne i rytmiczne zachęcają do uczynienia zarzutu, że muzyka jego jest »muzyką kapelmistrzowską«. Nie wchodząc w to, jaką wartość przedstawiają następne dzieła Mahlera (dotychczas dziesięć Symfonij) i znakomite jego pieśni, musi mieć słuchacz dla Symfonii III, pomimo zasadniczych zarzutów uczynionych jej stylowi i treści muzycznej, uszanowanie, jako przed dziełem wielkiego i poważnego artysty. Nawet pomimo braku zadowolenia akustycznego, pomimo chwilowego poirytowania na tok myśli muzycznych, odczuwa każdy, że płaskim konceptem zbyć dzieła nie można. I chociaż zgola nie uznajemy potrzeby wykonywania Symfonij Mahlera w Krakowie, gdzie nie zna się ani Liszta, ani Brucknera, ani tylu innych dziś już prawdziwych klasyków muzyki, mimo to musimy protestować przeciw bardzo nieodpowiednim i bardzo »niekulturalnym« tonom niektórych recenzyj krakowskich o dziele Mahlera. Mniej niesmaku estetycznego mieli niechybnie nieliczni słuchacze koncertowi, niż liczni czytelnicy niektórych dzienników krakowskich!

Wykonanie Symfonii jednało słuchacza, choćby sceptycznie patrzącego na to trudne zadanie. Komplet około stu

muzyków złożony z trzech orkiestr wojskowych raz jeszcze udowodnił, jak wysoki poziom artystycznej poprawności osiągnęły orkiestry krakowskie. Powinnować można panom kapelmistrzom Dambergerowi, Hockowi i Sitterowi, tak przez nich wyrobionego materiału! Ile w drużynach tych kryje się pięknych talentów muzycznych, ile tam dobrze wykształconych muzyków, o tem mógł się przekonać, kto miał sposobność pracować w tym świecie. Około zgrania się całego ogromnego aparatu położył dyrektor Nowowiejski wiele trudów, uwieńczonych tak pięknie. Mahler ujmował niektóre tempa w sposób odmienny, przejawiał umyślnie wiele momentów; nie jeden epizod powinien był także być ujęty głębiej. Na ogół jednak cała część instrumentalna wyszła bardzo dokładnie. Partię solową śpiewała panna Wanda Hendrichówna. Partytura żąda wszakże głosu kontraltowego, jedynie odpowiadającego charakterowi pieśni Nietzsche'go. Chór był za słaby i mało dźwięczny. W programach podano przekład polski tekstów w części IV i V. Zamiast użyć gotowych, pięknych przekładów, n. p. skończenie doskonałego tłumaczenia Jerzego Żuławskiego (*O słysz! co mówi północ z głębi cisz...*), wydrukowano na programach tłumaczenie rzadko nieudolne. Popelniono także pomyłkę w oznaczeniu Goethe'go jako autora pieśni aniołów, pochodzącej w istocie ze zbioru *Des Knaben Wunderhorn*, wydanego przez Brentana. Naturalnie, że najnieomylniejszy apostoł kultury w Krakowie powtórzył to gładko.

Początek koncertu stanowiła *Wyspa umarłych* S. Rachmańnikowa, poemat symfoniczny wedle obrazu Boecklina. Kompozycja długa i monotonna, skonstruowana nieinteresująco, pozbawiona zupełnie wszelkiego melosu.

Życzymy Towarzystwu Muzycznemu, aby na progu nowej swojej ery służyło sztuce, nie snobizmowi, genezą bowiem wykonania III Symfonii Mahlera był respekt przed snobizmem krakowskim.

Dr. Zdzisław Jachimecki.

Przegląd polityczny.

Kraków, 30 kwietnia.

W polityce zagranicznej Austro-Węgier odgrywa Serbia jedną z najważniejszych i prawie zawsze najwięcej interesujących ról. Serbowie w Królestwie serbskiem są z urodzenia politykami i — dziennikarzami. W tym małym kraiku jest panującą ulica, ale ulica jednego miasta, Belgradu. Na tej ulicy spacerują jednak sami politycy, byli ministrowie — w Serbii musi każdy z ludzi więcej inteligentnych być raz co najmniej ministrem — lub przyszli ministrowie, dalej dziennikarze serbscy lub obcy i cały szereg osób, żyjących z polityki, agentów, urzędników i t. d. „Ulica“ w Belgradzie odgrywa zawsze rolę „ludu“ serbskiego, a dzienniki belgradzkie, których jest w tem małym mieście bez liku, rolę opinii serbskiej. Ten „lud“ i ta „opinia“ są zawsze w agitacji, zawsze zaniepokojone, obrażone lub obrażające. Ten „lud“ i ta „opinia“ wywierają wpływ na króla i na ministrów, właśnie stojących u rządów, albo są tylko narzędziem w ich ręku, lub w ręku innych polityków, dążących do rządów. To też niema sprawy politycznej, dotyczącej przedewszystkiem polityki zagranicznej, któraby nie przybrała w Serbii obrotu zupełnie niespodziewanego, któraby tam nie stała się choć chwilowo „sensacyjną“; każda „sensacya“ wzmacnia bowiem wpływ polityków i wpływ dzienników, daje im sposobność do krzyczenia, pisania, telegrafowania — jednym słowem, do „ratowania“ ojezyny.

Tak stało się i tym razem, kiedy w ubiegłym miesiącu odbywały się przygotowania do odwiedzin króla Piotra serbskiego na dworze austriackim w Peszcie. Każdy rozsądny i spokojny polityk musiał sądzić, że dla tego króla, dla którego dwory europejskie od lat siedmiu były zamknięte, którego dopiero w ostatnim roku przyjął jego krewny król włoski, a przedtem sułtan, że dla tego króla musiało przyjęcie na dworze tak ekskluzywnym, jak dwór austriacki, być najwięcej pożądanem. Przez to przyjęcie wchodził król Piotr w szereg rodzin panujących i został niejako rehabilitowany z zarzutów, jakoby był brał udział w zamordowaniu Aleksandra Obrenowicza. Także dla polityków serbskich powinno było to przyjęcie wydawać się najlepszym środkiem do uregulowania stosunków z monarchią austriacko-węgierską, które głównie dla eksportu serbskiego bardzo są ważne. Taki sąd o przyjęciu króla Piotra był rzeczywiście powodem, dlaczego rząd serbski czynił kroki w Wiedniu. Na wiadomość, że król Piotr ma się udać do Pesztu, zaczęły jednak „ulica“ i „opinia“ występować z krzykami, że ojczyzna jest zagrożona. Dzienniki były w bęben, „ulica“ krzyczała, a podczas tego czyniły się przygotowania do wyjazdu króla. Nie ulega wątpliwości, że pomimo to wizyta króla Piotra byłaby miała miejsce, gdyby nie chwilowe przeziębienie Cesarza, które zmusiło wizytę na spokojniejszy czas odroczyć. Pewnem jest, że odroczenie nastąpiło nie z powodów politycznych, ale wyłącznie z powodów słabości Cesarza, ale pomimo to daje się wyciągnąć z tego nauka, że niema sprawy politycznej, która w Serbii nie przyjęła charakteru niespodziewanego. Nic się nie dzieje tam logicznie, wszystko wbrew logice, nie pod wpływem rozwagi politycznej, wszystko pod wpływem namiętności i przeceniania siebie, wszystko pod wpływem pojedynczych osobistości, dla których „opinia“ publiczna i „lud“ serbski stają się w danej chwili sposobnym dla ich celów narzędziem.

To pytanie, czy król Piotr przyjedzie, czy nie, do Pesztu, zajmowało prawie cały miesiąc uwagę publiczną w monarchii austriacko-węgierskiej i dawało do czynienia jej dyplomacyi i dyplomacyi serbskiej. W lecie przyjdzie wizyta do skutku, wtedy już wszystko będzie w spokoju.

Sprawy wschodnie były w ubiegłym miesiącu prawie wyłącznym przedmiotem uwagi publicznej w Europie, raz ze względu na dalej jeszcze trwające powstanie w Albanii, powtóre na wieści o rozdzieleniu w komitecie młodotureckim w Turcyi. Co do powstania albańskiego, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że król Czarnogóry, przebiegły Nikita, machał w tem ręce. Powstanie rozszerzyło się głównie w północnej Albanii, która jest niedostępna i głównie dlatego cieszyła się najrozmaitszemi przywilejami. Ani podatków tam stary rząd turecki nie ściągał, ani nie pobierał rekrutów, Albańczycy północni żyli w zupełnej wolności jako lud, kierujący się tylko własnymi tradycyjnymi prawami. Nowy rząd Młodoturków zaczął kierować się tendencją rozszerzenia swojej władzy, przeciwko czemu wystąpili Albańczycy; powstanie było więc obroną dawnej wolności w ich oczach, dawnego bezprawia w oczach Turków. W pogranicznej Czarnogórze znajdowali Albańczycy wsparcie: przechodzący granicę czarnogórską znachodzili tam przyjęcie, utrzymanie, broń i wracali napowrót na pole walki. Pomiędzy Albańczykami a Czarnogórcami mogło być łatwo przyjść do pewnego zbliżenia albo do sojuszu. Stosunki na Wschodzie są zaś tego rodzaju, że tam jeden kamień, toczący się, może pociągnąć za sobą mnóstwo innych i poczynić zniszczenia. W Serbii obawiano się, że Czarnogóra skorzysta z powstania, ażeby otrzymać od Turcyi, siłą lub dobrowolnie, jakiś skrawek terytorjum. W Zofii bawiło także, podobnie jak w Czarnogórze, kilku przywódców albańskich, którzy usiłowali wciągnąć Bułgaryę do uczestnictwa w powstaniu. Tak zaczynały się ruszać zawsze niespokojne żywioły na Wschodzie, które z początkiem wiosny zawsze tam nowe rozpoczynają życie. Nowy prezydent ministrów w Bułgaryi, Geschow, wypowiedział wprawdzie mowę, w której jako program rządu bułgarskiego, zaznaczył utrzymanie dobrych stosunków ze wszystkimi państwami sąsiednimi, mianowicie z Turcyą. Równocześnie jednak dodał, że koniecznem jest do tego, ażeby Turcyja ułatwiła Bułgaryi to zadanie przez usunięcie przyczyn nieporozumień i przez uspokojenie opinii publicznej bułgarskiej. „Żaden rząd — powiedział p. Geschow — nie może walczyć w pań-

stwie parlamentarnem przeciwko opinii publicznej. Byłoby nieszczęściem, gdyby nasza polityka nie osiągnęła pod wpływem rozognionej opinii publicznej swojego celu". Ta odezwa pod adresem Turcyi znalazła tam nie bardzo przyjazne echo — stosunki na Wschodzie są w stanie niezbyt uspokajającym.

Obecnie będzie koniecznem, ażeby rząd turecki najpierw stłumił powstanie, a później zaprowadził w Albanii pewien stały *modus vivendi*. Jak długo się nie uda Turcyi dojść w Albanii do ustalenia pewnego stanu rzeczy, tak długo może wybuchnąć z tego drobnego zarzewia wielki pożar.

Do zaniepokojenia na Wschodzie przyczyniły się także wiadomości o rozdwojeniu w komitetach młodotureckich, rządzących właściwie Turcyą po za plecami i sultana, który żadnego niema znaczenia, i ministerstw, wyznaczanych właśnie przez te komitety. Że w łonie komitetów młodotureckich przyszło w ubiegłym miesiącu do rozdwojenia, to zdaje się pewnem. Przyczyna leżała, jak zawsze w tego rodzaju sprawach, w rozmaitych osobistych walkach, ale także i w pewnych zasadniczych sprawach. Z jednej strony odgrywa tam niemałą rolę antagonizm przeciwko szerzeniu się wpływu Żydów syonistów, z drugiej walka przeciwko wpływowi łóż wolnomularskich, jakie są wzorem dla całej organizacyi komitetów młodotureckich. Po za tem wszyskiem nie wypada tracić z oczów stosunku pomiędzy komitetem młodotureckim a ministerstwem, który zawiera w sobie zarodki konfliktów. Komitet młodoturecki jest z natury rzeczy, jako nie wykonujący faktycznie władzy, w zupełnie innych stosunkach, jak ministerstwo, muszące się liczyć z wymogami i polityki i życia praktycznego. Komitet jest dotąd jeszcze przekonany, że zasady panowania demokracji na wzór Francyi, gdzie większa część jej członków spędziła lata i skąd czerpała ona swoje przekonania polityczne, powinny być wprowadzone w życie także i w Turcyi. Nie potrzeba podnosić, jak fałszywą jest ta teoria w zastosowaniu do takiego państwa, jak Turcyja, które składa się z najrozmaitszych żywiołów i polega na zasadzie teokracji. To też każde wystąpienie komitetu było teoretyczne i stało w sprzeczności z wymo-

gami życia. Z tego stosunku pochodziły ciągle konflikta pomiędzy komitetem a rozmaitemi ministerstwami tureckimi, tudzież większością w parlamencie tureckim. Obecnie nastąpił rodzaj secesyi w komitecie; sześćdziesięciu członków z niego wystąpiło, tak, że dalszy rozwój jest niepewny. Że te niesnaski i walki wewnątrz Turcyi są dla tego państwa bardzo niebezpieczne, łatwo pojąć, jeżeli się zważy, że to państwo otoczone jest dokoła samemi nieprzyjaciółmi, państwami, czyhającemi na likwidacyę spadku tureckiego. Jak długo Turcyja wewnątrz jest solidarną, a mianowicie jak długo jej armia jednej ulega woli, tak długo nikt nie ośmiela się wystąpić czynnie. Biada Turcyi w chwili wybuchu silniejszej walki wewnętrznej. I w Turcyi sprawdzi się zasada, że żadna teoria polityczna lub socyalna nie da się przeprowadzić naraz, że do wszystkiego potrzeba czasu, że ludność turecka musi dopiero być wychowana do wolności, do umiejętności polityki. Co Turcyę w obecnej chwili trzyma i co jej dało stałość wobec wszystkich jej wrogich dążeń, to fakt, że jest pod względem wojskowym silną i że wojsko dotąd nie jest rozdzielone na partye. Z drugiej strony stoi Turcyja pod strażą rywalizacyi mocarstw, które każde wystąpienie państwerek Wschodu starają się uniemożliwić celem jak najdłuższego utrzymania *status quo*.

W Rosyi pozostał p. Stołypin u władzy. Wszystkie wieści o zachwianiu jego stanowiska, o zastąpieniu go przez ministra finansów, p. Kokowcowa, okazały się płonne. O ile można sądzić, było to nie przesilenie ministeryalne, ale poprostu biurokratyczna walka, jaka pomiędzy p. Stołypinem a jego przeciwnikami, a właściwie mówiąc, jego konkurentami się odbyła. W Rosyi rządzi właściwie nie car, ale biurokracya; to co na pozór okazuje się walką przeciwko carowi, jest walką przeciwko wszechwładnej biurokracyi, to, co się wydaje walką o zasady w rządzie, jest w gruncie rzeczy zawsze walką osobistości o miejsca w tym rządzie. Tak było i tym razem. P. Stołypin pobił p. p. Trepowa i Durnowa, został u władzy, jego przeciwnicy cofnęli się — czekając na nową sposobność do uderzenia. Albowiem w biurokracyi toczy się zawsze walka — *pour arriver*.

Podczas tych drobnych zajść odbył się w ubiegłym miesiącu ważny akt, który w przyszłości będzie miał niemałe znaczenie i właśnie dlatego w opinii publicznej przeszedł niepostrzeżenie: mamy na myśli zawarcie układu co do sądów polubownych pomiędzy Anglią a Ameryką. Te dwa państwa anglo-saksońskie postawiły zasadę, że wojna pomiędzy nimi jest wykluczona. Od takiego układu do stałego przymierza jest niedaleko. Nie ulega wątpliwości, że ogólna polityka europejska musi się dzisiaj liczyć z faktem, iż w razie możliwej walki którego z państw kontynentalnych przeciwko Anglii, Ameryka za nią stać będzie. Ma to ogromne znaczenie szczególnie pod względem sił morskich, albowiem Ameryka jest pod względem floty państwem, zajmującym dzisiaj w świecie drugie miejsce po Anglii. Te dwa państwa morskie, razem złączone, stanowią siłę nie do przewyciężenia.

W wewnętrznej polityce austriackiej panowała chwilowo cisza. W tej ogromnej, z niezliczonych kółek się składającej maszynie parlamentarnej, austriackiej i węgierskiej, żadne kółko nie było w ruchu. Izba w Wiedniu była rozwiązana, w Peszcie nie odbywała posiedzeń, żaden sejm i sejmik nie był zebrany — jednym słowem wszędzie była cisza, przerywana przygotowaniem do wyborów w Austrii i konferencyami ministrów austriackiego i węgierskiego w sprawach obu połowom monarchii wspólnych. Chodziło tutaj o uregulowanie postanowień procedury w sprawach karnych wojskowych. Po najrozmaitszych zajściach, w których przyszło nawet do wspólnej konferencji obu prezydentów ministrów u Cesarza, zgodzono się podobno na przeprowadzenie t. zw. zasady terytoryalnej. Każda połowa monarchii ma w sprawach karnych wojennych zupełną hegemonię jurysdykcyi; Węgry o tyle w lepszym były położeniu, że miały język państwowy uznany ustawą, podczas gdy w Austrii tego języka nie było, tak, że ta zasada terytoryalności pod względem językowym dla Austrii mniejsze miała znaczenie, jak dla Węgier.

Cóż powiedzieć o ruchu wyborczym? Wszędzie widać rozbitcie na partie i partyjki, wszędzie brak haseł, wszędzie

brak karności i solidarności. Co z tego obecnego chaosu się wybije na wierzch, co się skryształizuje w pewną stałą formę, to dopiero przyszłość okaże. Jak na teraz, nie widać jeszcze nigdzie tych stałych form, a czas nie tak już jest daleki, gdzie wyborcy staną przed urną. Pewne uspokojenie można z tego czerpać, że ten stary świat zawsze tak się trząsł, zawsze przyszłość była niepewna, a świat się trzyma.

* * *

NOWE KSIĄZKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Jan Kucharzewski: *Maurycy Mochnacki*. (Kraków, Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910, str. 550).

Stanisław Ostrowski: *Z dziejów pułku*. Pułk dwunasty piechoty Księstwa Warszawskiego. Z 10 rysunkami St. Bagińskiego. (Warszawa, 1910, Gebethner i Wolff, str. 167).

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Na Skalnem Podhalu*. V. (Kraków-Warszawa, Gebethner i Sp., 1910, str. 94).

Szymon Askenazy: *Nowe wczasy*. (Warszawa-Kraków, Gebethner i Sp., 1910, str. 475).

Szymon Askenazy: *Dwa stulecia XVIII i XIX*. Badań i przyczynki. II. (Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp., 1910, str. 581).

Marya Konopnicka: *Pan Balcer w Brazylii*. (Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp., 1910, str. 396).

Acta Rectoralia Almae Universitatis Studii Cracoviensis. Tomus secundus continens annos 1536 — 1580. Editionem curavit Stanislaus Estreicher. (Cracoviae. Sumptibus Academiae Litterarum Cracoviensis, 1909, str. 380).

»Biblioteczka uniwersytetów ludowych i młodzieży szkolnej. 121«. L. Kubala: *Bitwa pod Beresteczkiem*. (Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp., 1909, str. 95).

S. Okołowiczówna i H. Orsza: *Nasze czytanki*. Książeczka czwarta. *Lato*. Z 20 rysunkami. (Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp., 1910, str. 106).

Józef Brzeziński: *Hodowla drzew i krzewów owocowych*. Dzieło nagrodzone pierwszą nagrodą na konkursie Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydanie drugie, przejrzane i dopełnione. (Warszawa, 1910, nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1910, str. 558).

Leopold Fonck S. J.: *Praca naukowa*. (Warszawa, 1910, str. 314).

Edward Bogusławski: *Podania o Piaście, zapisane w Kronice tak zwanego Gallusa (Mnich-a-Anonima) i legenda o św. Germanie.* (Z powodu artykułów w tym przedmiocie pp. Gajslera, Bruchnalskiego i Brücknera). Odbitka ze sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii. Posiedzenie dnia 4 lutego 1910 r. Rok III, zeszyt 2. (Warszawa, 1910, str. 41).

Leon Puzyna: *Uwagi o naszej reorganizacji rolniczej i istniejących projektach.* (Kołomyja, 1910, str. 35).

»Przegląd Filozoficzny«. *Wyjaśnienie i opis.* Prace oznaczone na konkursie »Przeglądu Filozoficznego«. (Warszawa, Rok XIII, str. 362).

Żeliszaw Grotowski: *Rozwoj zakładów dobroczynnych w Warszawie.* (Warszawa, 1910, nakładem Księgarni E. Wende i Sp., str. 264).

Dr. Lubor Niederle: *Starożytności słowiańskie.* Tom I. Zeszyt II. Przekład z czeskiego. Wydał Ksawery Chamic. (Warszawa, 1910, str. 608).

Lucyusz Komarnicki: *Dotychczasowy stan stylistyki polskiej i najważniejsze postulaty jej na przyszłość.* Odbitka z »Nowych Torów«. (Warszawa, 1910, czcionkami Drukarni Naukowej, str. 35).

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II. Tom XXVIII. Ogólnego zbioru tom 53. Z 6 tablicami. (Kraków, 1910, nakładem Akademii Umiejętności, str. 294).

Pornografia. Głosy polskie w najważniejszej sprawie moralności społecznej. (Lwów, nakładem Towarzystwa im. Piotra Skargi, str. 62).

X. Zdzisław Zakrzewski: *Z tej biednej ziemi...* Wierszem i prozą. Ku uczczeniu 500-letniej rocznicy Grunwaldu. (Kraków, 1910, str. 25).

Teodor Jeske-Choiński: *Z pogoni za prawdą.* Serya piąta. (Poznań, nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha, str. 372).

Z sesji zimowej Sejmiku galicyjskiego r. 1910. (Kraków, 1910, nakładem stronnictwa »Prawicy Narodowej«, str. 133).

Michał Sobieski: *Uzasadnienie metody obiektywnej w estetyce.* (Kraków, 1910, nakładem Akademii Umiejętności, str. 141).

Rivista d'Italia.

Marzo, 1911.

SOMMARIO:

G. Marchesini: Il problema dell'educazione politica. — G. B. Rizzo: L'ordinamento delle facoltà di scienze nelle università italiane. — A. de Blasio: Capanna-ovile di epoca preistorica. — R. Almagià: Teobaldo Fischer. — G. Jeradi: Le associazioni di classe e l'economia dello Stato. — E. Serao: Alla conquista del Vello d'oro. — E. Zincone: Il fallo di Lisimaco. — F. de Dominicis: L'evoluzione economico-sociale della Germania dal 1870.

IL RISORGIMENTO ITALIANO. F. Guardione: Il contributo straniero nell'epopea garibaldina.

BOLLETTINO BIBLIOGRAFICO.

L'ITALIA NELLE RIVISTE STRANIERE.

Aprile, 1911.

SOMMARIO:

E. Caffi: Il movimento impressionista nell'arte, nella scienza e nella vita. — A. Pilot: Un lirico burlesco veneziano del 600. — G. Lanzalone: La morale dell'egoismo e del piacere. — M. Savi Lopez: Vecchi castelli. — F. Bernardini: Finalità dell'arte e del teatro. — A. Ottolenghi: Pei nuovi orizzonti italo-austriaci.

IL RISORGIMENTO ITALIANO. I. Grassi: Note e documenti per la storia della «Giovane Italia».

BOLLETTINO BIBLIOGRAFICO.

L'ITALIA NELLE RIVISTE STRANIERE.

~~35060~~

„PRZEGLĄD POLSKI“

pismo naukowe i literackie, wychodzi rok czterdziesty piąty w Krakowie, w pierwszych dniach każdego miesiąca, w zeszytach zawierających 8 — 10 arkuszy druku w 8^{ce} (rocznie do 120 arkuszy druku).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor
Prof. Dr. Jerzy hr. Mycielski.

Prenumerata „Przeglądu Polskiego“ z przesyłką pocztową wynosi:

w Austrii	Kor. 32.—	rocznie	Kor. 8.—	kwartalnie
w Niemczech	„ 37.50	„	„ 9.40	„
we Francji, Belgii, Włoszech i w Ame- ryce.	„ 40.—	„	„ 10.—	„
w Królestwie Pol- skim i Cesarstwie Rosyjskiem	Rsb. 16.—	„	Rsb. 4.—	„

Cena pojedynczego zeszytu Kor. 3.

Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administracji „Przeglądu Polskiego“: Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie oraz urzędy pocztowe w kraju i za granicą.

**Dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla du-
chownych prenumerata „Przeglądu Polskiego“ wynosi:**

rocznie w Austrii	Kor. 24.—
„ w Niemczech	„ 28.—
„ we Francji i t. d.	„ 35.—

którą przyjmuje wyłącznie tylko Administracja.

skub.

13001

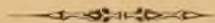
Tom 180.

Nr. 540.

PRZEGLĄD
P O L S K I.

ROK CZTERDZIESTY PIĄTY.

Zeszyt XII. Miesiąc Czerwiec 1911 r.



W KRAKOWIE,
EKSPEDYCJA W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1911.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Homer zmartwychwstały, przez Dr. Tadeusza Sinkę	279
II. Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec, przez Dr. Józefa Flacha	305
III. Canossa (dokończenie), przez Dr. Zdzisława Morawskiego	332
IV. Jenerał Ignacy Prądzyński w świetle własnych pamiętników, korespondencyj i nowszych badań (ciąg dalszy), przez Dr. Augusta Sokołowskiego	344
V. Kronika literacka	365
K. Makuszyński: Dusze z papieru. 2 t. —	
E. Łuskińska: W obronie piękności kraju.	
W. Fred: Literatur als Waare.	
<i>Z literatury powieściowej.</i> F. Werner: Der Pad-	
denhof. — F. von Hohenegg: Operettenköni-	
ge. — E. A. Poë: Kruk (tłóm. B. Beaupré).	
VI. Teatr krakowski, przez A. E. Balickiego	385
VII. Przegląd polityczny, przez * *	397
VIII. Jan Popiel. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego	405



HOMER ZMARTWYCHWSTAŁY.

I.

W walce z materyalistami, wywodzącymi świat z przypadkowego skupienia się atomów, powołują się polemiści przez całe wieki na przykład *Iliady* i *Odyseji*, zapytując swych przeciwników, dlaczego powstania owych poematów także nie objaśniają przypadkiem: jak w nich jedność planu i celowe przystosowanie szczegółów do całości świadczą o mądrym autorze, taksamo ład, porządek i celowość świata dowodzą istnienia najwyższego Stwórcy. W takim sformułowaniu spotykamy ten teleologiczny dowód istnienia Boga i u Voltaire'a (*Dialogues philosophiques: Lucrèce et Posidonius*) i u polskiego Jezuity, Ignacego Wilczka, który w poemacie *O Jedynym Bogu* (*De Deo uno*, z r. 1777), pisze (za Cyceronem: *De nat. deor.* II 93 n.): „Powiedz, Epikurze, jeśli u ciebie przypadek jest tak wystarczającą przyczyną, to czemuż nie uczyłeś, że w ten sam sposób powstała *Odyseja* i *Iliada*?” U obu autorów pobrzmiwają echa tej wiekowej opinii, według której *Iliada* i *Odyseja* były wzorami epopei, a Homer ideałem epika. Opinii tej nie podkopała ani krytyka Karola Perrault (*Siècle de Louis le Grand*, 1687), u którego po raz pierwszy pojawia się twierdzenie, że *Iliada* mogła być dziełem wielu poetów — ani analiza X. d'Aubignaca (*Dissertation sur l'Iliade*, napisana w r. 1664, wydana w r. 1715), dowodzącego, że Homer nigdy nie istniał, a *Iliada* jest zbiorem licznych rapsodyj — ani metodyczne wykazanie w *Iliadzie*

sprzeczności, niejednolitości planu, a raczej braku wszelkiej jednolitości przez X. Terrassona (*Dissertation critique sur l'Iliade*, 1715). Te i tym podobne sądy dowodziły tylko, że Homer nie przypadła do „polerowanego gustu“ Francuzów XVII i XVIII wieku, jak im nie smakował „barbarzyński“ Szekspir — ale nie obaliły wiekowej sławy największego z epików. Pod ich wpływem jednak przestano zachwycać się „sztuką“ Homera, a zaczęto podziwiać jego „pierwotny geniusz“. Pochodne echo poglądów, głoszonych zwłaszcza przez Anglików, jak Aleksander Pope (we wstępie do przekładu *Iliady* z r. 1720) i Robert Wood (1769 r.) znajdujemy u Ignacego Krasickiego w rozmowie między Homerem a Wergiliuszem. (*Rozmowy zmarłych*, XXIV). Czytamy tam między innymi takie słowa Homera: „Szczęśliwa była dla mnie pora, iż naśladować nikogo nie mogłem; miałem więc otwarte pole i sposobność do objawienia myśli i ukształcenia wyrazów: Mówisz, że dałem prawa rymotworcom: jedynym moim było przyrodzenie; jego postać stawiały mi codzienne widoki; działanie, zastanawianie się ciągle a czule nad niemi“.

Zabójcą Homera i zaprzeczyicielem jego doskonałości był, jak wiadomo, dopiero Niemiec, Fryderyk August Wolf. Jego *Prolegomena ad Homerum* (1795 r.) „nie zawierają wprawdzie ani jednej oryginalnej myśli, a obrabiają same obce pomysły (d'Aubignaca, Wooda, Herdera, Heynego) w doskonałej pod względem stylistycznym formie, która pięknie zasłania brak własnych rezultatów“ (zdanie Niemca, G. Finslera: *Homer*, 1908, str. 526), ale wyszły w czasie tak przygotowanym do przyjęcia bezosobowego powstawania poezji (ludowej), że i na współczesnych (jak Goethe, Humboldt, Herder, obaj Schleglowie) wywarły wielkie wrażenie i zaciążyły na cały następny wiek nad studjami Homerycznymi, zwłaszcza w Niemczech. Wobec nieznamości pisma w Grecyi Homerowej — rozumuje Wolf — nie mógł jeden poeta począć i ułożyć tak obszernych poematów, jak *Iliada* i *Odyssea* (15.693 i 12.160 heksametrów). Nie miałyby one nawet racji bytu, jako przeznaczone dla niepiśmiennych słuchaczy, którym rapsodowie recytowali krótsze pieśni o wojnie trojańskiej i jej bohaterach. Takie pieśni, przekazywane ustnie z jednego pokolenia rapsodów w drugie, zebrała po raz pierwszy i zredago-

wała w dwa zachowane poematy dopiero komisya ateńska z polecenia Pizystrata. Z pieśniami o gniewie Achilleśa i jego zgubnych skutkach połączono inne, n. p. o walce Achilleśa z Hektorem, a na nić podyktowanej podaniem o wojnie trojańskiej jedności przedmiotu nanizano wszystko, co się dało odnieść do tego przedmiotu. O jakiejś jedności kompozycyjnej w *Iliudzie* mówić nie można; natomiast nie trudno wykazać sprzeczności, które nie uszły już uwagi starożytnych. Łatwo było Schillerowi (*Xenien* 264) dowcipkować, że starożytny spór siedmiu miast o pochodzenie Homera można teraz rozstrzygnąć, dając każdemu kawałek z poety, rozszarpanego przez wilka; łatwo mu było (tamże 366 — 370) nagradzać każdego z rapsodów, jako autora jakiejś części *Iliady*, gettingngską kiszka — „atomistycznej“ teoryi Wolfa nie można już było obalić dowcipami.

Wolf, zdaniem Goethego, oswobodził nas śmiało od imienia Homera. Bezpańskie poematy zaczęli filologowie sekcyonować, a taka czynność, bardzo instruktywna dla uczniów, mniej pożyteczna bywa dla przedmiotu sekcyi. Dość oględnym operatorem był jeszcze Gotfryd Hermann (*De interpolationibus Homeri*, 1832; *De iteratis apud Homerum*, 1840), wydzielający z epopeij Homerowych trojaki elementy, przedhomerowe, homerowe i pohomerowe. Mianowicie, zdaniem jego, nieduże pieśni o gniewie Achilleśa i powrocie Odysseusa, ułożone przez Homera, późniejsi rapsodowie naśladowali, rozszerzali, zmieniali, aż jakiś redaktor połączył te naśladownictwa ze skażonemi już oryginałami, przyjmując do swego zbioru także obce pieśni dawniejsze, n. p. arysteję Agamemnona (*Iliada* XI). Radykalniej krajał *Iliadę* Karol Lachmann, zaprawiwszy się w tej czynności na *Nibelungach*. Skalpel jego krytyki (*Betrachtungen über Homers Ilias*, 1837 i 1841), rozłożył poemat na 16 samodzielnych pieśni, które jeszcze przed ostatecznem połączeniem doznały wielu kontynuacyj, rozszerzeń i zepsuć. Przykład Lachmanna podziałał bardzo zgubnie. Zaroilo się w Niemczech od analizatorów *Iliady* i *Odyssei*, ale też, jak po przejściu mrowiska, z obu poematów zostały tylko szkielety. Jeśli w r. 1837 H. Netto (*Bibliotheca Homerica*) naliczył 750 pism o Homercze, to w 46 lat potem K. H. Beniken potrzebował do omó-

wienia literatury o dwóch pieśniach Lachmanna 1550 stron wielkiego oktawu. Prócz pewnych sprzeczności, uznanych przez wszystkich zwolenników Lachmanna, prawie każdy następny badacz odkrywał jakieś nowe i na ich podstawie konstruował jakieś pierwotne pieśni i oznaczał ich granice — zwykle inaczej, niż mistrz. Ta niezgodność rezultatów nie budziła jednak wątpliwości co do wartości samej metody i używanych kryteriów: krajano dalej. Pewną zaporę w tej atomizacji *Iliady* stanowi teoria historyka G. Grote'go, który w drugim tomie swej *History of Greece* (1846 — 1856) podjął poniekąd myśl G. Hermanna, przyjmując jako części składowe dzisiejszej *Iliady*: Achilleidę (ks. I, VIII, XI — XXII) i małą *Iliadę* (ks. II — VII), połączone później lepiszczem dodatków. Pod wpływem tej teorii, spopularyzowanej w Niemczech przez L. Friedländera (*Die homerische Kritik von Wolf bis Grote*, 1853), zaczynają uczeni szukać w *Iliadzie* jakiejś pra-*Iliady* (*Ur-Ilias*), stanowiącej jądro poematu i ostoję jego jedności, niezatartej przez wszystkie rozszerzenia i przeróbki. Tylko W. Christ (niedawno w czwartym wydaniu swej *Griechische Literaturgeschichte*, 1905), starając się dogodzić wszystkim i pogodzić wszystkie teorie, konceduje Lachmannowi drobne rapsodye — w liczbie aż 40 — ale sądzi, że te rapsodye ułożył sam Homer, mając przed oczyma jednolity plan poematu, oparty o gniew Achillesa. Sprzeczności i nierówności tłómaczą się tem, że i sam Homer nie trzymał się w późniejszych rapsodyach zbyt wiernie założeń poprzednich i Homerydzi nie zbyt ściśle dostosowywali swe dodatki do oryginału. O pra-*Iliadzie* mówi także Jebb (*Homer, an introduction to the Iliad and the Odyssey*, 1887), a próby jej rekonstrukcyi na podstawie językowej znajdujemy u Ficka (*Die Ilias*, 1886) i Bechtel'a (w K. Roberta: *Studien zur Ilias*, 1900).

Kryterium językowe, pozwalające na podstawie starszych (eolskich) i młodszych (jońskich) form gramatycznych i wyrazów rozróżniać w poematach Homerowych partye starsze i młodsze, wprowadził do kwestyi Homeryckiej G. Curtius (*Über den gegenwärtigen Stand der Homerischen Frage*, 1854). Christ (*Die Interpolationen bei Homer vom metrischen und sprachlichen Gesichtspunkte beleuchtet*, 1879), a potem cały szereg uczonych, jak Hoffmann, Giseke, Hertel, Kluge uży-

wali w tych samych celach kryterium metrycznego, oznaczając partye starsze i młodsze na podstawie budowy heksametriu. Nim podamy inne kryteria, służące do rozwiązania kwestyi Homeryckiej, musimy zaznaczyć, że i *Odyseea*, w której jeszcze Wolf uznawał podziwienia godny związek akcyi, rozpadła się pod lupą analizy filologicznej na niesharmonizowane ze sobą części składowe.

Według Adolfa Kirchhoffa (*Die Homerische Odyssee*, 1879), nasza *Odyseea* jest dziełem redaktora, który złączył ze sobą cztery samodzielne poematy: starą pieśń o powrocie (Nostos) Odyssseusa, ściganego gniewem Posejdonu, połączył najpierw z pieśnią o Telemachu (Telemachia), potem rozszerzył pierwszy szereg przygód drugim, wziętym z poematu o powrocie bohatera, ściganego gniewem Heliosa, wreszcie do pieśni o powrocie dodał poemat o ukaraniu zalotników (Tisis). Z Kirchhoffem zgadza się U. Wilamowitz-Moellendorf (*Homericische Untersuchungen*, 1884) o tyle, że w dzisiejszej *Odyseei* widzi tylko ostateczną redakcyę istniejących już przedtem utworów, ale nie sądzi, jakoby części późniejsze były planową kontynuacyą jakiegoś pierwszego poematu. Przeciwnie, redaktor (*diaskeuasta*) miał przed sobą samodzielne poematy epiczne, które powstały już przez złożenie z dawniejszych utworów. Tak opowiadania Nestora, Menelaosa, wielkie części podróży do piekieł, przepowiednie Tejresiasa są przeróbkami poematów z epicznego cyklu. Te źródła *Odyseei* starał się dokładniej odróżnić Otto Seeck (*Quellen der Odyssee*, 1887), przypisując ich często mechaniczne zestawienie ostatniemu redaktorowi, Homerowi. Wreszcie A. Gercke (*Telegonie und Odyssee*, 1905) zrekonstruował pierwotny przebieg i zakończenie tulaczki Odyssseusa, w Telemachii odkrył naśladownictwo Telegonii, gdzie także syn szukał ojca, a w próbie z lukiem i wymordowaniu zalotników widział zapożyczenie ze starego eposu o zdobyciu Ojchalii. Ostateczny rezultat krytyki filologicznej w *Odyseei* taki. Telemachia jest niepierwotna, Kalypso to powtórzenie Kirki, Fajakowie dodani później — precz więc z księgą I — VIII! Dalej Nekyja jest wtrętem; Odyssseus przybył jako stary żebrak do Tesprotyi, a stąd do Itaki; przemienienie go przez Atenę jest wymysłem; scena poznania z Penelopą miała pierwotnie inny przebieg; druga

Nekyja i widzenie się Odysseusa z Laertesem jest interpolacją. Cóż więc zostaje jeszcze z ksiąg IX — XXIII? Mniej, niż z pra-Iliady. Tak nietylko Homer przestał istnieć, ale i jego dzieło rozpadło się na niezależne od siebie fragmenty, niezgrabnie ze sobą połączone przez redaktora, *diaskeuastę*. To, co wieki podziwiali, przedstawia się jako lachman, poseszywany z najrozmaitszych materiałów, starych i nowych, dobrych i złych, mniejszych i większych, jako szata, której nie można nosić w porządnym towarzystwie. „Poezye Homera są przezwycięzoną potęgą (*überwundene Macht*), nie wywierają żadnego trwałego wrażenia“ — pisał w r. 1884 Wilamowitz (*Hom. Unters.*, str. 381).

II.

Jeśli mimo to przynajmniej pewne partye przecież wywołują silne wrażenie, to zdaniem wielu tylko dlatego, że się w nich zachowała pierwotna poezya ludowa. Początki tej teoryi sięgają jeszcze połowy XVIII wieku. Już w r. 1744 pisał Neapolitańczyk Giambattista Vico, że Homer jest tylko wykładnikiem współczesnego sobie ludu, który w śpiewie opowiadał swą historję, a Duńczyk, Jerzy Zoëga, dowodził za jego przykładem (w r. 1788), że w starej Grecyi były cale ludy Homerów: jak język, tak poezya była wspólnym produktem wszystkich — co jeden acjdos wymyślił, to drugi kontynuował, rozwijał, upiększał. Lykurg, Solon, Pizystrat są zbieraczami pieśni ludowych. Te same idee Herder ożywił swym entuzjazmem, a Wolf potwierdził powagą swej erudycyi. Epopea ludowa staje się czemś mistycznym w oczach romantyków: „Epopea Homeryczna nie jest dziełem, któreby było poczęte i wykonane — pisze Fryderyk Schlegel — urodziła się ona i urosła naturalnie“. A Jakób Grimm posuwa się jeszcze dalej, twierdząc, że prawdziwa epopea nie potrzebuje poety, tworzy się sama, jest produktem organicznym, to znaczy rośnie jak zwierzę czy roślina nieświadomie pod wpływem siły wewnętrznej, twórczego ducha ludu. Ze względu na tę siłę wewnętrzną, która jej rozwój czyni niezależnym od czynników zewnętrznych, nazwał ją dynamiczną Henryk

Steinthal (*Das Epos*, 1868). Demonstrował on powstawanie epopei ludowej na przykładzie epicznej poezji Serbów, Estonów i Finnów (*Kalewala*), zwracając uwagę na jej płynny charakter, który się ustala i utrwala dopiero pod ręką jakiegoś redaktora. Ludowa poezja epiczna ma trzy stopnie rozwoju: na pierwszym pieśń czy romanca uświetnia tylko jeden czyn; na drugim spotykamy cykl romanc, szereg rozmaitych pochodzeniem pieśni o tym samym bohaterze. (Tu należą serbskie pieśni o królewiczu Marku i hiszpańskie romance o Cydzie). Na trzecim mamy do czynienia z organiczną epopeą, w której od początku wszystkie pieśni miały tworzyć jednolitą całość: przykładami na taką organiczną epopeę są *Nibelungi*, fiński *Kalewala*, opracowany przez Lönnrota i *Iliada*. Ostoją jedności jest w niej usposobienie Achillesa, spór jest dynamicznym początkiem, żal o Patroklosa dynamicznym końcem. W obrębie tych granic porusza się śpiewak dowolnie, ale zawsze ulega jedności. Te poglądy Steinthala wpłynęły silnie na analizę i objaśnienie *Iliady* przez L. Erhardta (*Die Entstehung der homerischen Gedichte*, 1894). Zastrzega się on wprawdzie, że przez poezję ludową nie rozumie nie mistycznego, ale poetę uważa tylko za organ, tubę tworzącej społeczności. Każdy śpiewak zależy od tradycyi zbiorowej i jej etycznej tendencji. Ta tradycya stanowi o organicznej jedności wszelkich pieśni w tej samej epoce tworzonych. Najulubieńsze z nich osiągnęły przez ciągle powtarzanie najwyższy stopień doskonałości. Systematyczne łączenie tych pieśni w dłuższe szeregi wyszło od samych śpiewaków, którzy w celu osiągnięcia pewnej całości istniejący materiał przerabiali i przestawiali, niszcząc dawne związki, stwarzając nowe — nie bez sprzeczności z dawnymi. Z pod tej pracy śpiewaków niepodobna wydobyć dziś dawniejszych pieśni. Pizystrat zebrał i utrwalił tradycję śpiewacką, ale nie był redaktorem całości, bo ta jest dziełem śpiewaków.

Ludowość poezji Homerowej ilustruje Robert Pöhlmann (*Zur geschichtlichen Beurteilung Homers*, 1894) znowu analogiami epicznej poezji serbskiej, wielkoruskiej i kirgiskiej, twierdząc, że u tych ludów, gdzie każdy śpiewa i przekazuje dalej spadek ojców, znajdujemy najstarszą formę

eposu. Taksamo jeszcze Achilles i Patroklos opiewają sławne czyny (*kléa*) mężów. Z pośród masy wybijają się zdolniejsi śpiewacy, tworzy się osobny stan śpiewaków, jak w *Odyssei*. Taki zawodowy śpiewak, produkując się na dworach szlachty, dostosowuje się do jej poglądów i sposobu myślenia, ale treść do śpiewu czerpie zawsze z mitu, podania i historii. Tu znajduje nie przewodnią, na którą niza swe wymysły. Taki zawodowy śpiewak czuje się wywyższonym nad tłum przez dar poezyi. Plan *Iliady*, by gniew Achillesa uczynić osią akcyi kilkunastodniowej, pochodzi od jednej indywidualności poetyckiej. Takie indywidualności wyrobiły technikę poetycką, dokonały kompozycyi obu poematów z dawniejszych pieśni, a piętno swoje wycisnęły na jednolitym poglądzie na świat, widniejącym z całości. Pomysły Steintala, Erhardta i Pöhlmana łączy E. Drerup (*Homer*, 1903) w hipotezę, że z płynnej epiki ludowej (eolsko jońskiej, t. j. ogólnogreckiej przed przybyciem Dorów) skryształizowały się najpierw poszczególne pieśni epiczne w formującym się właśnie w Argolis i Attyce dyalekcie attycko-jońskim. W tych pieśniach mamy mykeńską poezję bohaterską. Z wędrówką jońską dostały się one do Azji Mniejszej, gdzie je dalej przekazywano w starej formie, choć mowa ludu znacznie się już zmieniła. Tam też genialny poeta Homer ułożył z nich wielką, jednolitą epopeę. Pojedyncze pieśni, które weszły w skład *Odyssei*, powstały na Krecie, gdzie kwitnęła baśń żeglarska. We włoskiej przeróbce tego dzieła, dokonanej przy współudziale autora przez Cinquini'ego i Grimoda (Bergamo, 1910), Drerup ilustruje powstanie *Iliady* także bizantyńską epopeą o Digenisie Akritasie, która zachowała się w kilku redakcyach literackich, a obok tego żyje wśród ludu dalej w formie krótszych, samodzielnych pieśni. Autor zastrzega się przytem, jakoby poematy Homera uważał za zlepek takich pieśni ludowych. Są one samodzielnymi kompozycyami z materiału pieśni ludowych. Ale rozwój tych pieśni leży na długo przed Homerem.

Ostatni wyraz poglądów na ten rozwój pieśni przed Homerem znajdujemy w trzecim tomie *Völkerpsychologie* W. Wundta (*Die Kunst*, 1908, str. 383 nn.). Według niego spisane przez Radłowa pieśni Czarnych Kirgizów przedstawiają

pierwszą fazę poezji epicznej, jeszcze płynnej, nieskrystalizowanej. Każdy członek szczepu zna do pewnego stopnia stare tematy pieśni i potrafi o nich śpiewać, ale przy wieczornym popisie w namiocie występują tylko najzdolniejsi, którym najłatwiej przychodzi ujmowanie opowiadania w formę rytmiczną. Taka określona forma metryczna jest niezbędna do wytworzenia się poezji zbiorowej. Bo to, co wyśpiewał szczególnie uzdolniony aoidos, pozostaje, dzięki wierszowi, w pamięci słuchaczy, staje się wzorem dla innych, jeśli opowiadają tę samą historię. Również pewne frazesy stają się stałymi formułami, pewne obrazy stałą ozdobą opowiadania, nawet pewne czyny stałym inwentarzem opowiadań, a to tem bardziej, że metryczna improwizacya potrzebuje balastu do wypełnienia luk przy przejściu z jednego przedmiotu do drugiego. Wprawdzie publiczność kirgiskiego śpiewaka stoi wszędzie na tym samym stopniu kultury i dlatego śpiewak, który recytuje stare, znane opowiadania, jest wszędzie pożądanym, ale w inny musi uderzać ton wobec równych sobie, w inny wobec znakomitego przywódcy szczepu. To dostosowanie się do rycerskich słuchaczy, które spotykamy i u greckich rapsodów i u średniowiecznych Truwerów czy Spielmannów, istnieje już u Kirgizów i może doprowadzić do rozwinięcia się z baśni pieśni bohaterskiej. W bohaterskich pieśniach Serbów tradycya jest stalsza. Całe wiersze wracają w odpowiednich miejscach. Że królewicz Marko rozplatał mieczem jednego czy kilku Turków, że on i jego koń pili wino z kotła: te i tym podobne szczegóły opowiadane są przy różnych sposobnościach prawie temi samymi słowy. — Jeszcze dalej postąpił ten proces w historycznych pieśniach Wielko-Rosyan, gdzie wprost główna treść pieśni powtarza się w niezmiennym kształcie, a tylko szczegóły śpiewak dorabia w wierszach, a jeśli to nie idzie, to w prozie. Pieśni te, połączone ze sobą jednością bohatera, ewentualnie jakiegoś ważnego zdarzenia, recytowane są przez zawodowych śpiewaków, oczywiście tylko epizodycznie, bo słuchacze i tak znają całość. Kto je później spisuje, może poprzestać na uporządkowaniu epizodów według treści i uzupełnieniu luk małymi wstawkami.

Zdawałoby się, że ten proces skostnienia, znieruchomienia twórczości zbiorowej jest typowy dla wszelkiej epiki ludowej. Jakoż spotykamy go tam, gdzie śpiewacy, pozbawieni zewnętrznych podnieć, zasklepiają się w tradycyi. Natomiast nowe ożywienie się twórczości pojawia się w społeczeństwach, przechodzących zmianę kultury. Tak było u Jończyków, którzy przejęli z lądu stare tematy epiczne w stałej formie i w te stare dzbany wlewali nieraz nowe wino, burzące się coraz silniej od indywidualności. (Por. O. Immisch: *Die innere Entwicklung des griechischen Epos*, 1904). Ostatecznie jednak i tu przyszło znieruchomienie, stanowiące niezbędną warunek utrwalenia poematów Homerych w piśmie.

W inne oświetlenie wstępuje kwestya powstawania eposu, gdy zastanawiamy się nie, jak powyżej, nad poetyczną formą opowiadania i połączeniem licznych epizodów w zamkniętą całość, lecz nad pochodzeniem i przekształcaniem przedmiotów, które wchodzi do poezyi na rozmaitych stopniach jej rozwoju. Pierwszym treściowym zawiązkiem eposu jest jedność akcyi, objawiająca się u Kirgizów w osobie bohatera Manasa. Ale każda jego awantura stanowi samodzielny epizod, opowiadany bez względu na to, co było przedtem i co będzie potem. W skutek tego epos kirgiskie nie jest zamknięte, nie hamuje improwizacyi śpiewaków, pozwala im dowolnie dodawać, co im się podoba. Przyczynę tego widzi Wundt w braku tła historycznego, w braku wielkiego historycznego zdarzenia czy szeregu zdarzeń. Wspomnienia walk ze sąsiednimi szczepami tureckimi i tradycya o nawróceniu na Islam są tak blade, że nie nadają kierunku czynom mitycznych bohaterów tych opowiadań. To samo, co Czarni Kirgizowie opowiadają w wierszach o Manasie, jest treścią prozaicznych baśni o innych bohaterach u innych szczepów tureckich, a nie różni się wiele od baśniowych opowiadań innych ludów, n. p. polinezyjskich o Mani. Taksamo na fińskiego *Kalewałę* złożyły się pieśni czarodziejskie, utwory liryczne i baśnie, mające analogie w baśniach licznych ludów pierwotnych. Pod względem treści stoi więc *Kalewala*, mimo jedności bohatera i akcyi, najdalej od eposu, a najbliżej baśni; także treść kirgiskich pieśni o Manasie składa się z sze-

regu mitologicznych baśni, choć nie brak w nich śladów wojen i zwycięstw Muzułmanów. Natomiast w pieśniach Wielko-Rosyan stanowią polityczne stosunki południowej Rosyi z wieku XI i XII wyraźne tło opowiadań treści baśniowej i mitycznej. Wreszcie serbskie pieśni o Marku, oddalone od eposu formą czystych romane, najbardziej zbliżają się do niego treścią: walki z Turkami z XIV wieku i bitwa pod Kossowem, grób niepołległości Serbów, stanowią tło tego cyklu romane. Marko jest osobistością historyczną, a choć nie odegrał wybitniejszej roli dziejowej, to serbscy śpiewacy ubrali go w sławę bohatera narodowego, zakrywając nią mitologiczny charakter wielu jego rysów i czynów.

Z tych przesłanek wyprowadza Wundt wniosek, że na epos wyższego stylu składają się dwa poniekąd niezależne procesy: z jednej strony forma poezyi przechodzi z luźnego połączenia poszczególnych pieśni w zamkniętą całość, w której dawna pieśń staje się epizodem – z drugiej strony treść pierwotnie czysto baśniowa przemienia się pod wpływem wspomnień historycznych w poezję bohaterską. Te wspomnienia historyczne nie mogą się jednak ograniczać do tradycyi wielkich bitew, do imion królów i wodzów; szereg przekazanych zdarzeń musi mieć jakiś (rzeczywisty czy zmyślony) początek i koniec, między którymi leżące wypadki przedstawiają się jako epizody większej całości. Takim wspomnieniem historycznym był dla Greków upadek Troi, dla Germanów najazd Hunnów i klęska Burgundów. Do owego zdarzenia, przechowywanego w pamięci, znaleźli Grecy początek w starym motywie baśniowym o porwaniu Heleny i zastąpili nim prawdziwe, ale zapomniane przyczyny wyprawy na Troję. Przez to powstały ramy, w które można było wstawić obok imion osób historycznych mnóstwo materiału z podań i baśni. Te samodzielne niegdyś opowiadania stają się teraz epizodami większej całości. Tak odwieczny motyw bohatera błądzącego, który po wielu przygodach i nieszczęściach przybywa szczęśliwie do celu, umieszczony na tle wojny trojańskiej, jest osnową *Odysei*.

Źródłami więc epopci są: historia i baśń, a nie mit, tem mniej mit fizyczny. Wobec tego najnowsza hipoteza Gerckiego, że Odysseus był pierwotnie demonem wegetacyj-

nym, zstępującym na zimę do podziemia i wychodzącym stamtąd z zakwitającą roślinnością, demonem, którego identyfikowano z Helioseem, odkąd go połączono z Penelopą-Księżycem, jest tak samo bezpodstawna, jak szukanie w nim przez innych uczonych Posejdoną, Hermesa i Apollina. Usener widział nawet w Tersytyesie dawnego boga, a jego antagonizm wobec Achillesa tłómaczył starym mitem fizykalnym o walce zimy z latem.

Te i tym podobne tłómaczenia postaci eposu popierano dowodami analogicznymi, etymologicznymi i kultowymi. Odysseus dlatego, że jeździ po morzu, ma być Posejdonem, dlatego, że wędruje po dalekich krajach — Hermesem, dlatego, że w dzień letniego przesilenia wypuszcza w gaju Apollina strzały — Apollinem. Takie analogie, jak między bohaterami eposu i jakimikolwiek mitami fizykalnymi, możnaby wynaleść w każdym człowieku; niepewność ich wyraża się najlepiej w różnicy zdań, co do identyfikowania bohaterów z pewnymi bogami. Co do znaczenia bohaterów, postawił Usener (*Götternamen*, 1896, str. 263) zasadę, że wszyscy bohaterowie, których historyczność nie jest stwierdzona lub prawdopodobna, byli pierwotnie bogami. Wobec niemożliwości dowodu, że którykolwiek z bohaterów Homera był osobistością historyczną, ogłosił Usener (*Der Stoff des griechischen Epos*, 1898) całą wojnę trojańską za odbicie niebieskiej walki o gród w chmurach, a potem (*Heilige Handlung*, 1904) dowodził, że epiczne zburzenie Iliasu jest projekcją świętej czynności delfickiej, zwanej Ilaia, a symbolizującej zdobycie zamku, w którym demon zatrzymuje w lecie wody niebieskie. O roli bohaterów w tych mitycznych zdarzeniach miały nas uczyć imiona bohaterów, oczywiście trafnie etymologizowane. Tymczasem trudno przypuścić, aby śpiewacy Homeryczni mieli jeszcze świadomość pierwotnego znaczenia swych postaci i wyznaczali im w akcji eposu role, odpowiednie do tego znaczenia. Jeśli Achilles rzeczywiście nazwany jest od rzeki Acheloos, to równie dobrze możnaby powiedzieć, że stary śpiewak porównał gwałtownego młodzieńca z szybko spadającym strumieniem górskim, jak, że syn Tetydy był pierwotnie bożkiem rzecznym. Ale analogia Manasa czy Marka, którzy pod historycznymi imionami kryją rysy baśniowe, każe

raczej przypuszczać, że i bohaterowie Homera noszą ludzkie nazwiska, choć ludzie o tych nazwiskach może nie brali udziału w wyprawie trojańskiej. Trzeci argument pierwotnej boskości bohaterów polega na tem, że w rozmaitych miejscach Grecyi możemy stwierdzić kult Achillesa, Agamemnona, Menelaosa, Diomedesa i innych bohaterów trojańskich. Nie stety nie można dowieść, że te kulty są starsze od poezyi Homerowej; wobec tego możemy przyjąć, że dopiero postacie eposu stały się przedmiotem kultu, co przy notorycznym wpływie pieśni Homera na rozwój religii greckiej jest bardzo prawdopodobne.

Jedna myśl z przytoczonej rozprawy Usenera (*Der Stoff des griechischen Epos*) zasługuje na wyróżnienie, mianowicie zaakcentowanie związku epopei Homerowej z kultem przodków. Ten, kierując się w podaniu bohaterskim ku wybitnym postaciom przeszłości i przechodząc do uświetnienia ich czynów w poezyi epicznej, staje się temsamem kultem bohaterów. Ale w miarę zacierania się wspomnień historycznych, zaciemniają się coraz bardziej przodkowie żyjących rodów książęcych i szlacheckich. Żyją oni w podaniu i poezyi tylko jako mityczni reprezentanci poszczególnych szczepów i rodów. Epos łączy tych herosów szczepowych z wielkimi walkami przeszłości, zachowanymi w wiernej pamięci. W ten sposób bohaterowie eposu stają się osobistościami, które mimo charakteru mitycznego, mają żywy związek z teraźniejszością przez swe połączenie z pewnemi krainami, szczepami i rodami. Takie stosunki panują w eposie Homerowem. Historyczności czy niehistoryczności jego bohaterów dowieść niepodobna. To tylko pewna, że wspomnienie historyczne prowadzi nie do nich, lecz do wielkiego zdarzenia wyprawy trojańskiej. Ten kult przodków, wyrażający się ostatecznie w epicznej poezyi bohaterskiej, wycisnął na poezyi Homerowej charakterystyczne piętno wykształconego eposu: to epos nie jest poezyą dla ludu. Rozbrzmiewa ono na dworach książąt i panów, uświetnia przodków rodu, którzy rzekomo sami brali udział w walkach i zwycięstwach przeszłości. Dlatego filozofia eposu jest identyczna z poglądem na świat tych uprzywilejowanych kół, które czują jeszcze w żyłach swoich krew starych bohaterów; obowiązują w niem

wyłącznie ich pojęcia o enocie i honorze, o troskach i rozkoszach życia. Grecki *aojdos*, jak francuski *truver*, czy niemiecki *Spielmann* napelniają swą poezję myślami i dążeniami tych kół, w których podnoszą swój śpiew; a na tem większy mogą liczyć poklask, im wyżej wynoszą wobec wnuków siłę i sławę starych protoplastów rodów bohaterskich. Przez to obraz epicznych bohaterów i ich czynów nabiera olbrzymich rozmiarów, a w następstwie musi wzrosć także mitologiczne tło owych akcyj. Nie wystarczają już demony i gieniusze codziennego życia, nie wystarczają czary baśni ludowych: na życie i czyny bohaterów wpływają potężni bogowie. Owe czary i cudy, znane śpiewakowi, który albo sam wyszedł z ludu, albo podczas swych wędrówek z ludem się styka, przenoszą się teraz na bohatera eposu. Bohater baśni staje się herosem, pochodzącym od boga lub bogini i mającym prawo do pobytu między bogami — po śmierci. Ale rysy baśniowe nie zupełnie się w nim zacierają. Dwa główne typy baśniowe, Silny i Mądry, wyraźnie przebijają z głównych postaci poezji Homerowej, z Achillesa i Odysseusa. Tak śpiewak epiczny pośredniczy między poglądem na świat, panującym wśród ludu, a tym, który jest własnością górnych i rządzących.

Metoda porównawcza, która próbowała rozświetlić genezę poematów Homerowych analogiami epiki serbskiej, fińskiej, kirgiskiej i t. p., nie rozwiązała kwestyi Homeryckiej. Ostatni jej przedstawiciel doszedł, jak widzieliśmy, do przekonania, że poezya Homerowa jest poezją dworską, nie ludową, a owe analogie etnologiczne rzucają co najwyżej pewne światło na jej prehistoryę, nie rozjaśniającą w niczem dzisiejszego stanu obu poematów. Surowy krytyk rzekomej ludowości Homera, Michał Bréal (*Pour mieux connaître Homère*, 1906), zwraca uwagę na to, że styl poezji ludowej jest ciemny, nie narratywny ani deskryptywny, posiekany na drobne dyalogi i niepowiązane szczegóły. Homerowa ciągłość recytacyi, stała pogoda myśli, która od czasu do czasu za barwia się jakby promieniem wyższej inteligencyi, nie wyszły z ludu, ani też dla ludu były przeznaczone. Lud w tej poezji jest tylko żerem żelaza. „I ginęły narody“ — to jego rola w eposie. Aristei bohaterów słuchali rycerze. Ich wyż-

sza kultura towarzyska opromienia cały poemat. Hektor jest już wzorem kawalera średniowiecznego. Honor rycerski głoszą i Ajas i Diomedes. Także kobiety zachowują się jak damy. Panie z towarzystwa Miletu czy Smyrny odnajdowały w nich swe portrety.... Na rok przed pojawieniem się książki Bréala pisał Wilamowitz (*Griech. Lit. Kultur der Geg.*, I, 8, wydanie pierwsze, 1905, str. 5): „Próby objaśniania powstania epepei Homeryckiej na podstawie przewrotnego przyjmowania epiki ludowej, występującej spontanicznie w pewnej fazie rozwoju ludzkości, nie udały się. Nadzwyczaj cennych analogij dostarcza jedynie epos romańskie, specjalnie staro-francuskie, zwłaszcza co do przekształcania przedmiotów historycznych“. A dalej (str. 7): „Epos jest dworskie. Ta wojownicza fantazya, to bohaterstwo, nawet ci bogowie są nawskróś szlacheccy... Kontrast między światem bogów Homera, a wiarą ludu, nawet narodu na kontynencie europejskim jest ogromny. Taksamo rzecz się ma z państwem, nie krępującem zupełnie tych zaufanych w siebie panów“. Nie warto mnożyć cytatów. Za pierwszy pewny rezultat pracy nad poematami Homerowemi można dziś uważać stwierdzenie, że nie jest to poezya ludowa, ale dworska, a tem samem artystyczna.

Nie mniejsze nadzieje jak z etnologią łączono z archeologią, odkąd Schliemann odkopał w r. 1873 na wzgórzu His-sarlik w Troadzie, jak sądził, skarbiec Priama, bramę skajską, wielką wieżę, mur, otaczający Troję, pałac Priama i ołtarz ilijskiej Ateny. W Mykenach wydobył potem na jaw siedzibę Agamemnona, owe mury, w których rozbrzmiewały pieśni aoidów o wyprawie trojańskiej... Wykopaliska Schliemanna w Troi kontynuował, jak wiadomo, po r. 1890 W. Dörpfeld, który opisy Homeryckie lokalizował na szóstej warstwie His-sarliku. Pałac Odysseusa, nawet chlewy Eumajosa odkrył Dörpfeld na Leukadzie. Nie wdając się na razie w trafność, a nawet możliwość tych identyfikacyj topograficznych, zaznaczamy tylko to, że zabytków kultury mykeńskiej zaczęto wcześniej używać do objaśniania kultury Homerowej. Schliemann i Dörpfeld ogłosili pałac z Tyryns za prototyp najlepiej znanego z Homera pałacu Odysseusa, a mimo protestu Jebba przyznali im rację Helbig (*Das homerische Epos aus*

den Denkmälern erläutert, pierwsze wydanie, 1884), Iwan Müller, a D. Joseph rozprawadzał ich poglądy w książce: *Die Paläste des homerischen Epos mit Rücksicht auf die Ausgrabungen Heinrich Schliemanns* (drugie wydanie, 1895). Ale prace Puchsteina, Münsterberga i van Leeuwena wykazały różne typy domu Homerowego, a F. Noack (*Homerische Paläste*, 1903) dowiódł zupełnej odrębności domu Odysseusa od pałacu tyrynckiego. Tem mniej można było opisy Homerowe illustrować znacznie starszemi zabytkami kultury kreteńskiej. — Rohde zajął się w swej *Psyche* (1894) sposobem grzebania w epoce mykeńskiej i stwierdził, że był on wtedy zupełnie inny, niż u Homera, co świadczy naturalnie i o różności wierzeń w życie pozagrobowe. Więcej jeszcze takich różnic wynalazł E. Meyer w drugim tomie *Historyi starożytnej* (1893) i na ich podstawie oddzielił starożytność mykeńską od średniowiecza Homerowego, jakkolwiek sądził, że elementy jego eposu, mianowicie poszczególne pieśni bohaterские, sięgają jeszcze czasów mykeńskich.

Zwrócono dalej uwagę na to, że kultura mykeńska nie zna żelaza, z którem spotykamy się u Homera, że pałace i fortece mykeńskie wskazują na inny porządek państwowy, niż ten, który znamy z Homera. Mimo to W. Reichel (*Homerische Waffen*, 1894, 1901) dowodził, że *Iliada* i *Odyssea* wykazują wyłącznie uzbrojenie mykeńskie, które nie zna jeszcze metalowego pancerza. Ten dostał się do *Iliady* dopiero na początku wieku VII za pośrednictwem jednolitych jońskich uzupełnień poematu. *Odyssea* zna tylko uzbrojenie mykeńskie. Odkrycia Reichela wyzyskał dla wydzielenia z tekstu *Iliady* partyj mykeńskich (mykeńsko-eolskich) i jońskich Karol Robert (*Studien zur Ilias*, 1900). Wprawdzie już dawniej Wilamowitz akcentował to, że Homer umyślnie przedstawia dawną przeszłość inaczej, niż współczesność, że umyślnie archaizuje, ubierając bohaterów w zbroje, jakie mógł oglądać na ścianach dworów szlacheckich, ale P. Cauer (*Grundfragen der Homerkritik*, wydanie pierwsze, 1895) wystąpił przeciw takiemu pojmowaniu różnic kulturalnych w poematach Homerowych i skonstatował cały szereg punktów, według których można wyróżniać w nich warstwy różnych kultur. Zdawało się, że tu leży najpewniejsze kryterium do stwierdzenia różnych pochodzeniem i cza-

sem partyj. Tak głosi jeszcze A. Gercke w artykule: *Homer und seine Zeit* (*Deutsche Rundschau*, 1909, Heft 9).

Tymczasem już w r. 1906 próbował A. Lang (*Homer and his age*) inaczej objaśnić rzekomą oboczność różnych kultur, zwracając szczególniejszą uwagę na uzbrojenie. Według Reichela i Roberta używano w epoce mykeńskiej tylko ogromnej tarczy, obok której niepotrzebny był pancerz i nagołenniki; te części zbroi weszły w użycie dopiero po wprowadzeniu małej, okrągłej tarczy jońskiej. Bohater, używający ogromnej tarczy mykeńskiej, chcąc bez zmęczenia się dostać się jak najbliżej ku nieprzyjacielowi, jechał do bitwy na rydwanie. Wobec tych twierdzeń Lang podnosi, że niektórzy bohaterowie, jak Odysseus i Ajas, nigdy nie jeżdżą na rydwanie, choć Ajas słynie ze swej olbrzymiej tarczy; dalej, że Hektor, choć nieraz jedzie w bój na wozie, wraca pieszo do miasta z ogromną tarczą na plecach (*Iliada*, VI, 116 nn.), a nie każe się zawieść. Na obrazach, zwłaszcza egipskich, wojownicy, walczący z rydwanów, mają właśnie małe tarcze; a na zabytkach mykeńskich, n. p. na znanej klindze sztyletu (u Baumeistra: *Denkmäler*, I, str. 987, nr. 1190) spotykamy trzy różne formy tarcz. Dlatego nie można łączyć ani rydwanu z wielką tarczą, ani pancerza z małą. Wszak nieraz tarcza nie wytrzymała pchnięcia dzidy, pancerz zawsze się przydał. Tak i średniowieczni rycerze europejscy obok pancerza mieli i tarcze. Wielkość i ciężar tarczy i jakość zbroi bohatera zależała od jego osobistej siły i od zwyczajów jego ludu. Dopóki główną bronią zaczepną był luk, wielka tarcza bardzo się przydawała do zasłonięcia bohatera przed gradem strzał. Do sparowania rzuconej ciężkiej lancy wystarczała mniejsza tarcza. Gdzie używano obu tych broni zaczepnych, jak w czasach Homera, najodpowiedniejsza była tarcza średnia. Pospolitości luku w czasach mykeńskich dowodzą liczne zabytki, na których widzimy łuczników, strzelających do nagich ludzi z wielkimi tarczami. Jeden rycerz, w bawelnianym pancerzu, z tarczą, zarzuconą na plecy, ilustruje Homerowego (*Iliada*, II, 529 i 830) *linothōrēks*. I u Homera spotykamy łuczników, jak Pandara, Teukra, Parysa, słyszymy o sławnym łuczniku Heraklesie. Ale w ogóle łucznicy są w pogardzie.

Tak różność uzbrojenia bohaterów Homerowych odpowiada rzeczywistym stosunkom, przyczem poeta dla uniknięcia monotonii i urozmaicenia opisu bitwy, zwraca uwagę raz na broń zaczepną, drugi raz na odporną, raz każe walczyć luką, to znów kamieniem, włócznią, rzadziej mieczem. Ta broń była przeważnie brązowa (choć spotykamy żelazne grotty strzał, siekiery, topory, maczugę, osie wozów), ale i żelazo jest równie używane, zwłaszcza do wyrobu sprzętów domowych. (*Iliada*, XVIII, 34). Boi się Antyloch, by Achilles nie poderznął sobie gardła żelazem, a więc nożem, podobnie jak żelazem zabijano woły na pogrzebie Patroklosa. (*Iliada*, 23, 30). To użycie żelaza poświadczone jest przedewszystkiem przez ową bryłę żelaza (*sólos autochóonos*) (*Iliada*, 23, 826 n.), którą Achilles ofiarowuje na nagrodę zwycięzcy w rzucie dyskiem, dodając, że posiadaczowi wystarczy do potrzeb gospodarskich na pięć lat, wobec czego posyłanie do miasta po żelazo dla pasterza czy rolnika będzie zbyteczne. A jeśli tak było, to nie dziwnego, że w *Odysei*, gdzie częściej jest mowa o zajęciach i sprzętach gospodarskich, częstsze też są wzmianki żelaza. Nazwanie zaś hartującego żelazo kowala *chalkeusem* (brązownikiem) (*Odysea*, IX, 931 n.), mogłoby nawet podsunąć myśl, że i epitet broni „brązowej“ jest konwencyonalny w czasach, gdy ta broń była faktycznie żelazna. Ale takie przypuszczenie (Erhardta) nie jest konieczne. Prostszy jest pogląd wyżej podany, według którego w tym samym czasie używano broni brązowej i żelaznej. Gdy Odysseus (*Odysea*, XVIII, 13) rozkaz usunięcia broni z megaronu motywuje obawą przed bójkami wśród zalotników i kończy przysłowiem: „Bo samo żelazo ciągnie męża do siebie“, to samo jego istnienie dowodzi długoletniego używania broni żelaznej. Jakoż na Cyprze znaleziono przedmioty żelazne obok waz geometrycznych, więc z X wieku, a nie brak ich także w grobach dipylonńskich i pod Herajonem olimpijskim (wiek VIII — VII).

Jak broń mykeńska i jońska, jak brąz i żelazo, tak i inne kryteria z zakresu kultury okazały się niewystarczającymi do odróżnienia w poematach Homerowych różnych warstw cywilizacyjnych, a co za tem idzie, różnych co do czasu partyj. Tak rzekomą różnicę w przedstawieniu władzy

królewskiej i państwa, jaka ma zachodzić między *Iliadą* a *Odysseą*, sprowadzili Finsler (*Das homerische Königtum, Neue Jahrbücher f. d. klass. Altert.*, 1906) i Lang (*Homer and his age*, 1906) do obserwacji, że Homer już nie widział dawnych królów z Tirynsu, Myken, Hissarliku, a władzę królewską przedstawia rozmaicie stosownie do potrzeby, inaczej u Priama, inaczej u Agamemnona. W *Odyssei* panują stosunki wyjątkowe, w nieobecności króla szlachta (złotnicy) zachowują się zuchwalej, niż kiedyindziej. Ale powiedzenie Odysseusa (*Odyssea*, XVIII, 139), że popełnił wiele zuchwalstw w zaufaniu w ojca i braci, jest identyczne z wyrzutami Priama, skierowanemi do Parysa i innych synów (*Iliada*, XXIV, 260 n.) i dowodzi, że w obu poematach spotykamy ten sam obraz stosunków państwowych. Taksamo jest ze stosunkami socyalnemi. Gercke (*Homer und seine Zeit*, 1909) przykłada wielką wagę do tego, że w *Iliadzie* żonę się zwykle kupuje, w *Odyssei*, zwłaszcza Telemachii, panna młoda dostaje posag. Wobec tego wystarczy przypomnieć (Rothe: *Ilias*, 1910, str. 87 n.), że n. p. w *Iliadzie* (XXII, 21) Priam otrzymał (nowym zwyczajem) wielki posag za żoną swą, Laothoe, podczas gdy w tej samej księdze (w. 472) Hektor kupił sobie (dał wielkie dary, starym zwyczajem) Andromachę. W pieśni o miłostkach Afrodyty z Aressem (*Odyssea*, VIII, 318), a więc w jednej z bardzo młodych partyj, Hefajst żąda zwrotu darów, za które dostał Afrodytę, a więc znów występuje tu ów zwyczaj rzekomo starszy. Podobną oboczność starszych i młodszych pojęć i zwyczajów znajdujemy w zakresie wierzeń (istota i działalność bogów) i rytuałów (pogrzebowych, kultowych). Starożytny epik szafuje niemi stosownie do zamierzonych celów artystycznych z taką samą swobodą, jak starożytny czy nowożytny tragic, Ajschylos czy Schiller. Rothe (*Ilias*, str. 85) zwraca uwagę na średniowieczną cudowność, panującą w *Dziewicy Orleańskiej* i zestawia z nią natchnione racjonalizmem XVIII wieku słowa Talbota (III, 6): *Unsinn, Du siegst* i t. d. A przecież ta scena nie pochodzi od niezręcznego interpolatora, tylko wypłynęła z głębi duszy samego Schillera, jak wiele podobnych „anachronistycznych“ wynurzeń Eurypidesa. Jeśli Homer nie wspomina nigdzie o pi-

śmie, posągach, obrazach i pieniądzach, to z jego milczenia nie można wnosić, że tych rzeczy nie znał. Uwzględnienie cywilizacji sąsiednich każe przyjąć ich istnienie, pozwala odnajdować alluzje do nich. A. Lang przypomina, że Szekspir nie wspomina nigdzie o tytoniu, którego używanie było już bardzo rozpowszechnione w jego czasach. Słusznie też Rothe przypomina Robertowi, który najbardziej nadużył tego kryterium, jego własne zdanie (*Studien*, str. 12): „Przeczyć swobodnemu wymysłowi poety, wszędzie dopatrywać się rzeczywistości, to znaczy zupełnie zapoznawać istotę poezji, a z światła, jakie rzucają zabytki mykeńskie, czynić pochodnię Naupliosa“ (która ściągała zaskoczone burzą okręty na eubejskie rafy).

Z chwilą, gdy stwierdzono odrębność kultury mykeńskiej i Homerowej (V. Inama: *Omero nell'età Micenea*, 1907; P. Goessler: *Die kretisch-mykenische Kultur und ihr Verhältniss zu Homer*. Preuss. Jahrb., 130, 1907), przedstawienie Drerupa (*Homer*, 1903), który opisuje zabytki mykeńskie dla objaśnienia Homera, stało się bezprzedmiotowe. Jeśli mimo to w włoskiem opracowaniu swej książki (*Omero*, 1910) Drerup, zaznaczywszy (str. 76 i 242), że kultura Homerowa i mykeńska nie są identyczne, poświęca kulturze kreteńsko-mykeńskiej kilkadziesiąt stron i kilkaset ilustracyj, to tej obszerności nie usprawiedliwia możliwość istnienia pewnych ech kultury mykeńskiej, ale nie kreteńskiej, u Homera. Względy księgarskie nie powinny być brać góry nad naukowemi. A w nauce obowiązują dziś wyniki fryburskiej dysertacji Diedricha Fimmena (*Zeit und Dauer der kretisch-mykenischen Kultur*, 1909). Pewne daty egipskie pozwalają na ustalenie absolutnej chronologii pewnych wykopalisk kreteńskich i mykeńskich. Tu należy stwierdzenie, że epoka późno-mykeńska przypada na czas przed r. 1350, a więc przeciąganie jej do r. 1000 i jeszcze niżej, jest niedopuszczalne. Głosił to już w r. 1905 (*Gr. Litt.*, str. 11) Wilamowitz, pisząc, że ze względu na styl Homer należy do sztuki nie przedbelleńskiej, tylko współczesnej geometrycznej. Przyznaje jednak, że mimo zupełnej odmienności obu kultur, nie brak u Homera wspomnień o dawnych obyczajach, co jest tem naturalniejsze, że te wspomnienia zwi-

zane były ze samymi bohaterami i ich historyami. Nadto nie jest nieprawdopodobne, że aż do wieku VIII czy IX-go zachowały się zbroje i stroje owych dawnych czasów. Homer mógł widzieć przedmioty ozdobione dawnym sposobem i na ich wzór opisać n. p. tarczę Achillesa. Jeszcze bardziej stanowczo wyraża się o tej sprawie Wilamowitz w najnowszym swem dziele (*Staat und Gesellschaft der Griechen, Kultur der Gegenwart*, II, 4, 1, 1910, str. 7): „Niewątpliwym jest faktem, po pierwsze, że przed Grekami istniała obca, ani nie semicka, ani nie egipska, ani nie grecka kultura, którą Grecy zburzyli tak, że wiele trwało wieków, póki sami nie doszli do równej poniekąd wysokości i to bez istotnej pomocy ze strony starego spadku; po drugie, że Homer oddzielony jest od owych starych czasów kilkoma wiekami i ma tylko mętne, legendarne wspomnienia o ich historyi, obyczajach i formach życia. U pół wykształconych znajduje oczywiście zawsze podziw i poklask dziecinny dyletantyzm, który poezję bierze za historję, uważa za pewnik jej zgodność z wykopaliskami i terenem i dlatego tak długo objaśnia Homera albo wykopaliska i miejscowości, aż ową zgodność przywróci. Poważnie z tem polemizować wtedy dopiero będziemy obowiązani, gdy dowiodą zupełnej harmonii między podaniem o Thidreku a budowlami Teodoryka w Rawennie albo między dworem Karola Wielkiego z starofrancuskiego eposu i z przedstawienia Einharta“.

Konkluzją tych wszystkich wywodów jest drugi pewnik, że Homera nie można objaśniać zabytkami kultury mykeńskiej, jak nie można lokalizować jego topograficznych opisów w terenie i jak nie można na podstawie rzekomych różnic kulturalnych wydzielać starszych i młodszych warstw poematów. Nietylko więc etnologia, ale i archeologia okazały się niedostatecznymi kluczami do rozwiązania kwestyi Homeryckiej. Filologia musi traktować ją własnymi środkami, a wśród tych pierwsze miejsce zajmuje język. Nie darmo archeolog Robert prosił o współpracownictwo językoznawcę Bechtela, by ten kryteriami językowemi potwierdził jego operacye archeologiczne, przedsięwzięte w *Iliadzie*. Ponieważ jednak kwestya języka Homerowego łączy się ściśle z poprzedzającą Homera historją szczepów greckich, poświęcić jej na-

leży parę uwag według przedstawienia Wilamowitza (*Staat und Gesellschaft d. Griechen*, str. 17 u.). Przed wędrowkami Dorów, którzy położyli kres kulturze kreteńsko-mykeńskiej najpierw na Krecie, potem na Peloponnezie, cała Hellada była zamieszкана przez szczepy, zwane później w Azji Mniejszej Eolami i Jonami. Na Peloponnezie ostali się oni przed Dorami i później przybyłymi Elejczykami i Etolami jako Arkadowie (Messeńczycy byli także Arkadami). W Grecyi północnej ujarzmili najeźdźcy, zwani Tessalami, starą ludność, poddanych Achillesa i Jasona, i przyjęli od nich z czasem język eolski, w Beocyi wydali nawet znaczną kulturę. Tylko na Eubei i w Attyce utrzymała się stara ludność na brzegu morza, po za które musiałaby była wywędrować. Reszta poszła do Azji Mniejszej. Tu pielęgnowali ci Eolowie i Jonowie w eposie wspomnienia o świetnej przeszłości, kiedy to ich przodkowie królowali w złotostrojnych zamkach Grecyi. O gorzkich czasach wędrowek woleli milczeć; chętniej opowiadali o wspólnej wyprawie swych bohaterów przeciwko Iliosowi (choć tej krainy nigdy nie zajęli) i o ich powrocie z tej wyprawy. Ale bogów wzywali dalej ze starych siedzib, Zeusa z Olimpu, Hesperosa z Ety, Posejdona z Helikonu, Hermesa z Kylleny.

To, co przytoczyliśmy, nie jest tylko indywidualnem zapatrywaniem Wilamowitza, ale własnością wielu dzisiejszych uczonych (por. E. Meyer: *Geschichte des Alt.*, I, 2², 268 n.), którzy zgadzają się na to, że jakkolwiek kultura kreteńsko-mykeńska, ogólnie mówiąc egejska, należy do jakiejś ludności nie-greckiej, to przecież pod koniec jej trwania przejęła ją zdobywca ludność grecka, mianowicie jońska (Kretschmer: *Glotta*, I, 1907, dodaje: i achajska, czyli eolska) i jej przedstawiciele mieszkali na dumnych zamkach w Mykenach, Tiryns, Orchomenos i t. d., póki ich stamtąd nie wyparli Dorowie. E. Meyer umieszcza początki śpiewu bohaterskiego jeszcze w owej mykeńskiej epoce Eolo-Jonów. Jakoż podania o bohaterach trojańskich, przyniesione do Azji Mniejszej z łądu, sięgają z pewnością tej epoki. Ale w wiersze, mianowicie w mówione heksametry, przelali je dopiero Jonowie maloazyatyccy. Jońskiem pochodzeniem heksametru objaśnia się zjawisko, że i wszystkie inne szczepy greckie

posługują się od początku VI wieku w wierszu bohaterskim prawie wyłącznie jońszczyzną. Gdyby istniały były jakieś eolskie czy doryckie epepe w heksametrach, to Kyrenejczycy, Koryntyjczycy, Trachińczycy byliby używali w swych poezjach epicznych własnego dyalektu. Ale owych epepei nigdy nie było, jak nigdy nie było eolskich heksametrów mówionych. Z całej poezji przedjońskiej zachował się niejeden mit, ale ani jeden wiersz (Gruppe: *Griech. Mythol.*, str. 648). Jeśli jednak wyparta z kontynentu przez Dorów ludność grecka dopiero w Azji Mniejszej różniczkowała się w późniejszych Eolów i Jonów, to przedtem różniczkowaniem się mówiła jakimś wspólnym, ogólnogreckim dyalektem. Taki dyalekt przyjmuje i E. Meyer (*Forschungen zur alten Geschichte*, 1892, str. 132 n.) i Wilamowitz (*Über die ionische Wanderung*, 1906) i Kretschmer (*Glotta*, I, 1907). Hipotezę E. Meyera wyzyskał dla objaśnienia języka Homera Drerup (*Homer*, 1905, str. 47 n. i 108 n.), twierdząc, że ów ogólnogrecki dyalekt, z przewagą eolszczyzny nad jońszczyzną, przeszedł w późniejszy jonizm najpierw w Attyce i Argolis. Tu więc panował przez pewien czas mieszany dyalekt eolsko joński, tu też przybrał pochodzący z eolskiej Tesalii śpiew bohaterski tę formę językową, która po przeniesieniu owej poezji do Azji Mniejszej, przedstawia się nam jako „mieszany“ język Homera. Wywody Drerupa podziela Rothe (*Ilias*, str. 18). A choć samo ujęcie podań bohaterskich w heksametr, więc pochodzenie pieśni bohaterskich umieścimy dopiero w Azji Mniejszej, to i tak nie będziemy mogli sądzić, że te pieśni ułożone były najpierw w dyalekcie eolskim (mało azyatyckim), który potem zatąpiono przez joński, zatrzymując formy eolskie tylko w miejscach, gdzie ich broniło metrum. Eolizmy Homera przedstawiają się w świetle dzisiejszych hipotez o greckiej ludności przeddoryckiej, jako archaizmy. Tem samym znika wszelka podstawa badań Ficka i Bechtela, którzy restytuowali w „starych“ częściach *Iliady* i *Odysei* dyalekt eolski.

Szczegółowe badania języka partyj, uznanych za starsze, i porównanie go z językiem partyj niby młodszych dowiodło, że tu i tam spotyka się tensam język, może w skutek nieprzerwanej tradycyi śpiewackiej identyczny, ale fakty-

cznie identyczny. Zawiodła nawet statystyka abstraktów, których przypuszczalnie miało być więcej w *Odysei*, niż w *Iliadzie*. Causer (*Grundfragen*², 392 n.) powołuje się na obserwację Croiseta (*Hist. de la litt. grecque*, I, 1887, p. 389), że z rzeczowników na $-i\eta$, $-\acute{o}\nu\eta$ i $-\tau\acute{\upsilon}\varsigma$ *Iliada* ma 39, *Odyseea* 81. Tymczasem Croiset już w wydaniu swej *Literatury* z r. 1898 (str. 368) sprostował błąd w liczeniu, popełniony przez to, że najliczniejsze rzeczowniki, na $-\acute{o}\nu\eta$, wspólne obu poematom, zaliczył tylko do *Odysei*. Zamiast stosunku 1:2, otrzymaliśmy stosunek 3:4. Ale Amerykanin J. A. Scott (*The relative antiquity of the Iliad and Odyssey tested by abstract nouns*, *Class. Rev.*, XXIV, 1, 1910) przeliczył jeszcze raz substantiva na $-\acute{o}\nu\eta$ i $-\i\eta$ i przekonał się, że w *Iliadzie* jest ich nie 58, jak podawał drugi raz Croiset, ale 79, czyli prawie tyle, co w *Odysei*. Jeśli dalej w *Iliadzie* spotykamy 5, w *Odysei* 9 rzeczowników na $-\tau\acute{\upsilon}\varsigma$ (starożytny suffiks, nieznan już Hezydowi i elegikom), to przemawiałoby to za starszością *Odysei*. Więcej tego rodzaju przykładów przytacza panna Melian Stawell (*Homer and the Iliad*, 1909), A. Shewan: *The Odyssean books of the Iliad* (*Class. Quarterly*, 1910) i *The Lay of Dolon*, 1911; J. A. Scott: *Odyssean words found in but one book of the Iliad* (*Class. Philol.*, 1910), wreszcie Rothe (*Ilias*, Anhang, 7). Za trzeci pewnik w badaniach Homerowych możemy dziś uznać skonstatowanie, że kryterium językowe nie wystarcza nawet do wykazania młodszości *Odysei*, cóż dopiero różnego wieku poszczególnych partyj *Iliady*. Podobną bezwartościowość kryterium metrycznego głosił już w r. 1897 H. Drabeim (*Die Entstehung des hom. Hexameters*, *Jahrb. f. klass. Philol.*, 657 n.), a zbiory Hoerensa (*De vetustiore versus heroici forma in Homeri carminibus inventa*, 1901) zademonstrowały, że ślady jakiejś starszej budowy heksametru rozmieszczone są po wszystkich księgach Homera tak tych, co uchodzą za starsze, jak młodszych i że nie mamy środków do odróżnienia, co jest rzeczywiście stare, a co naśladowane. I to jest czwarty pewnik

Pozostają jeszcze dwa kryteria, któremi głównie operowali filologowie od czasów Wolfa, by wykazywać niejednolitość *Iliady* i *Odysei*, wydzielać z nich partye starsze i młodsze, oryginalne i naśladowane. Jednym kryterium są powta-

rzania się. Poświęcił im Rothe osobną monografię (*Die Bedeutung der Wiederholungen für die homerische Frage*, 1890), więc tylko króciutko streścimy jego wywody. Według dokładnych zestawień E. Schmidta (*Parallelhomer*, 1885), na 27.853 wiersze *Iliady* i *Odysei* powtarza się $\frac{1}{3}$, t. j. 9.253 wiersze. Od tych powtarzań się roją się partye, uznane za esencyonalne i stare, podczas gdy niektóre partye młodsze mają ich znacznie mniej. Ta obserwacya w połączeniu ze sprzecznością osiągniętych rezultatów dowiodła kruchości i tego kryterium. Powtarzania frazesów i formuł idą na karb konwensu epicznego; powtarzania całych motywów i scen znane są z ludowej poezyi Serbów czy Kirgizów: dają one improvizującemu śpiewakowi sposobność do wypełnienia luk między jednym a drugim przedmiotem, słuchaczowi do wypoczynku. Równa ostrożność potrzebna jest przy wyrokowaniu, czy jedna z dwóch postaci czy scen paralelnych jest rzeczywiście odbiciem i naśladowaniem drugiej, czy też obie pochodzą od tego samego autora i mają specjalne przeznaczenie. Rothe stosuje metodę usuwania scen równoległych do Schillerowskiej *Dziewicy Orleańskiej* i sądzi, że według niej trzebaby pojedynk Joanny z Montgomerym (II, 7), wzorowany na *Iliadzie* (21, 34 — 155, Achilles i Lykaon) przypisać innemu autorowi, niż pojedynk z Lionelem (III, 10), naśladowany z Szekspira (*Henryk VI*, I, 5)

Takie analogie z literatur nowożytnych pozwalają Rothemu (*Die Bedeutung der Widersprüche für die Homerische Frage*, 1894) obalić i ostatnie kryterium, używane do rozbijania jednolitości poematów Homera, kryterium sprzeczności. Przy operowaniu niemi trzeba pamiętać o tem, że poeta niemal w każdej scenie stwarza sobie takie suppozycye, jakich właśnie potrzebuje, a o poprzednich unyślnie zapomina i każe zapomnieć. Tak na początku *Iliady* bogowie są obecni, bo Homer potrzebuje do akcji Apollina, Hery i Ateny; potem dla odwleczenia spełnienia obietnicy, danej przez Tetydę Achillesowi, bardziej dogadza mu ich nieobecność, więc donosi, że wszyscy bogowie wyjechali poprzedniego dnia do Etyopii. Tak wiele osób znika gdzieś po spełnieniu swej roli i nagle zjawia się dopiero tam, gdzie ich znów potrzeba. Nie brak jednak i zapomnień się autora (*quandoque bonus dor-*

mitat Homerus): król Paflagonów, Pylajmenes, ginie w *Iliadzie*, V, 576, a w *Iliadzie*, XIII, 658 spotykamy go postępującego za zwłokami syna. Tego rodzaju zapomnienia się wykazano i w nowszych utworach artystycznych, n. p. w *Orlando furioso* Ariosta lub *The Newcomes* Thackeraya. A Homer tworzył nie dla czytelnika, tylko dla słuchacza, który n. p. słuchając pieśni XIII, nie pamiętał o tem, co było w pieśni V. W rozmaitych dramatach starożytnych i nowożytnych osoby wypadają z roli, mianowicie dlatego, że taki zwrot był potrzebny autorowi do pewnego umotywowania dalszej akcji lub do wprowadzenia jakiegoś efektownego epizodu. I Homer nieraz zbyt pobieżnie czy nie dość prawdopodobnie wprowadza takie epizody, jak tejhoskopia, pożegnanie Hektora z Andromachą, Nestor w namiocie z Machaonem i Patroklosem, podejście Zeusa przez Herę, opis tarczy Achillesa, opis igrzysk na pogrzebie Patroklosa, Achilles i Priam... Czuje się formalnie, jak mu się spieszyło, by w miejscu najodpowiedniejszym ze względów kompozycyjnych umieścić jedną z tych pereł prawdziwej poezji, więc mniejsza o umotywowanie. Nie będzie traktował poematów Homera jak nauczyciel pełne błędów zadanie ucznia ten, komu więcej chodzi o wynalezienie intencji poety, niż jego rzekomych błędów. A te błędy pojawiają się przeważnie dopiero pod lupą prozaicznej logiki, która wobec poety ma te same wymagania, co n. p. wobec historyka czy filozofa: wszystko, co nie jest niezbędne, jest zbyteczne; wszystko, co zbyteczne, jest rażące; wszystko, co razi, jest nieautentyczne, jest wtrętem, interpolacją i t. d. Taką logiką zmasakrowano tak sumiennego i kulturalnego autora, jak Horacyusz. Jakże wobec niej miał się ostać „niepiśmienny“ Homer? W Horacyuszu dziś zaledwie kilka wierszy budzi pewną wątpliwość. A w Homerze?

Dr. Tadeusz Sinko.

(Dokończenie nastąpi).

Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec.

Rok temu stwierdziliśmy, że jednym z charakterystycznych objawów dzisiejszej twórczości dramatycznej w Niemczech jest przewaga motywów historycznych i mitycznych nad realistycznymi i współczesnymi. Ścisłe biorąc, przewaga ta w dramacie drukowanym istniała tam zawsze, lecz z tamtej pierwszej kategorii sztuk tak mało dostawało się na scenę, że w liczbie odegranych dzieł, druga grupa miała za sobą bezwzględną większość. Dzisiaj i to się zmieniło na korzyść dramatów historycznych i mitycznych, przyczyną zaś tego zjawiska jest nie tyle wyższa niż dawniej wartość jednych a niższa drugich sztuk, ale zmiana zasadniczych warunków techniki teatralnej. Nie ulega bowiem wątpliwości, że i w przeszłości pomiędzy dramatami historycznymi, drukowanymi tylko a nie wystawionymi, znajdowało się niejedno dzieło niepośledniej wartości. Nie dauem mu jednak było ożyć na scenie, bo zarządy teatrów bądź nie posiadały odpowiednich środków materialnych do kosztownej zazwyczaj wystawy tego rodzaju utworów, bądź też, mając je, nie chciały ich zużywać na dzieła autorów albo mało, albo wcale nie znanych. Teraz to się zmieniło. Z jednej strony kierownicy teatrów są i śmielsi i szczodroblwsi i wiedzą zresztą, że przytem przeważnie, wobec upodobania dzisiejszej publiczności, odzyskają z powrotem koszt, wyłożone na taką wystawę, z drugiej zaś strony tam, gdzie z tych lub

owych powodów tego bogactwa w inscenizacji nie ma, tam taniem a wygodnym wyjściem z kłopotu jest uproszczony sposób wystawy, polegający na dawaniu wyobraźni widza impulsu jedynie nie zadowolenia, co da się zastosować zwłaszcza wobec sztuk o podkładzie mitycznym i bajkowym.

Śledząc zaś za literacko-psychologicznymi źródłami tego fenomenu, dojdziemy zawsze do nieszczęsnego naturalizmu, którego pośrednie działanie widocznie o wiele ma być dłuższem od bezpośredniego. Bo scharakteryzowane powyżej zjawisko jest równocześnie i reakcją przeciw naturalizmowi i jego następstwem. Z jednej strony rzeczywistość już nam w sferze sztuki nie imponuje: sztuka nie ma już za zadanie odtwarzać wiernie rzeczywistość — przeciwnie ma być inną, wyższą, piękniejszą od niej; im bardziej szarą w trudnych warunkach życia staje się rzeczywistość, tem barwniejszą ma być sztuka; im trzeźwiejszą, chłodniejszą tamta, tem poetyczniejszą i gorętszą ta; tam my, codzienni ludzie „na miarę krawca“ — tu herosowie „na miarę Fidyasza“; tam bojaźń przed uczuciem, o ile ono może nas wykoleić z normalnego toru życiowego — tu upodobanie w nieokiełzanych, wybuchających namiętnościach; Schillerowi niedawno jeszcze zarzucano, że za mało jest realistycznym, dzisiaj niemal za tchórzostwo a co najmniej za kompromisowość poczytuje mu się, że od rzeczywistości tylko na kilka kroków odszedł; z *Fausta* wczoraj lubowano się w najrealistyczniejszym jego motywie, w dzieciobójczyni Gretchen, dzisiaj zachwytem obdarza się przedewszystkiem fantastyczno-symbolistyczną II gą Część. Ale w tej samej mierze jak reakcja przeciw naturalizmowi, objawia się i jego dalej trwający wpływ. Naturalizm nie wyłącznie, lecz między innymi swemi znamionami miał uporeczywą dążność do skrzywienia prostych, zdrowych linii, nadania im piętna chorobliwości, czasem zwyrodnienia — i dążność ta przeżyła sam naturalizm. Życie codzienne, realne coraz bardziej bądź prostuje te krzywizny, bądź usiłuje je ukryć lub zatrzeć: od tego jest w nowoczesnem życiu hipokryzja, t. zw. dobre wychowanie, opinia publiczna, wreszcie ...sanatorium, a w ostatecznym razie i ... kryminal. W historii to wszystko częściowo także było, lecz z dawien dawna znosiliśmy w historii wiele rzeczy, których w terażniejszości

nie znieśliśmy, co więcej siłą wyobraźni wiele z tego, co i w teraźniejszości istnieje, ale nas razi, przenosimy w przeszłość, aby nas nie raziło: kazirodztwo n. p., jako motyw dramatu współczesnego, wstręt obudzi — wplecione w dramat historyczny, dzięki tej „dalekości“ wymknie się z pod naszego sądu moralnego, wejdzie w sferę czysto estetyczną. Naturalistyczna dążność do przedstawiania stanów chorobliwych, zwłaszcza w dziedzinie erotyki, wygnana z krainy współczesno-realistycznej, chroni się do państwa mitu i historii, i tu pielęgnują ją troskliwie i poeci i publiczność, pisząc i popierając dramat, bardzo daleki od schillerowskiego, bliższy już wagnerowskiemu.

I.

Jeżeli chodzi o stwierdzenie jednym nazwiskiem prawdziwości powyższej charakterystyki najnowszej niemieckiej literatury dramatycznej, to wystarczy wymienić Edwarda Stuckena i jego dramaty cyklu *Der Gral*. Takie utwory pisano i drukowano w Niemczech i dawniej, ale nie wystawiano ich nigdy, tem mniej nie były one tem, czem są tu wymienione: najwybitniejszą literacko-teatralną nowością całego sezonu. Bo obok całej niechęci do dramatów mitycznych, bronił im wstępu na deski sceniczne duch Ryszarda Wagnera, który zaspokajał swemi Lohengrinami, Tannhäuserami i Tristanami w zupełności upodobanie do motywów celtycko-germańskich podań średniowiecznych, a raczej sam jeden mógł niechęć do nich u publiczności przewyciężyć. Nie oznaką upadku kultu Wagnera, ale symptomem zaniku niechęci do średniowiecznych mitów było wielkie przed dwoma laty powodzenie dramatu Hardta *Tantris der Narr*, dowodem zaś, że na tej drodze idzie się dalej, jest ten właśnie gralowski cykl Stuckena. Nazwa ta przynależy tym trzem dramatom o tyle, że mistyczny św. Gral ukazuje się w dali, jak w *Parzifalu* Wagnera, oraz że osoby wzięte są z grona rycerzów i dam, grupujących się około króla Artusa i Amfortasa. Zasadniczą myślą jednak jest, podobnie jak niejednokrotnie u Wyspiańskiego, tęsknota za krainą Śmierci, zwaną tu Ave-

lun, i z całym przepychem języka poetyckiego tak w jednym z dramatów opisana:

Das ist Avelun, das Eiland der Seligkeiten,
 Das stumme Asyl der weiland Frau Venus Geweihten.
 Avelun, wo alle durch Tränen und Herzenshämmern
 Frühwelken, erlöst vom Sehnen, wie Blumen dämmern.
 Wo die an Liebe Gestorbenen gefeit sind vor Gram,
 Wo die durch Liebe Verdorbenen befreit sind von Scham.
 Wo nackte Kinderseelen Goldäpfel pflücken
 Und mit roten Asphodelen die Schläfen sich schmücken
 Und an Weidenufern sich lagern auf moosigen Bänken
 Und sich wunschlos umschlingen mit magern, traumschönen
 [Gelenken.

Wo bleiche Männer im Schatten von Erlen-Stämmen
 Weissbrüstigen Mädchen die Goldsträhnen kämmen.
 Wo bleiche Männer mit schlanken Gespenstmädchen spielen,
 Bis müd ihren Fingern die kranken Lianen entielen.
 Kalt ist der Druck ihrer Hände im Wirbel des Reigens;
 Hier hat Lachen und Weinen ein Ende am Ufer des Schwei-
 [gens;

Hier tönt kein festliches Tosen beim Tanz und beim Bade;
 Sie sind schön und gefühllos wie Rosen am Traumgestade-
 Und wollten sie schluchzen — vergebens: Sie können nicht
]trauern!

Sie gedenken vergangenen Lebens, doch ohne Bedauern.
 Sie sind müde das Liebesdürsten und müde den Kummer.
 Sie dienen nur zwei Fürsten: dem Tod und dem Schlummer.

Pierwszego ogniwa tego cyklu bohaterem jest *Gawân*, synowiec króla Artusa ¹⁾. W błogosławioną noc Bożego Narodzenia na dwór „Okrągłego Stołu“ w Camelot przybywa tajemniczy Zielony Rycerz i wyzywa śmiałków do boju: daje siekiere, niech ją kto podejmie, niech mu nią głowę zetnie,

¹⁾ *Gawân*. Ein Mysterium von Eduard Stucken. (Erich Reiss, Verlag, Berlin, str. 97). Przedstawione (po za zapomnianem wystawieniem w Monachium 1907 r.) po raz pierwszy w berlińskich *Kammerspiele* 30 marca 1910 r. (P. a.).

ale gdy tego dokona, przysiędz musi, że za rok stawi się w nieznanym sobie zamku przybysza i własną głowę pod tensam topór położy. Z rycerzy Artusa nikt nie ma odwagi przyjąć wyzwania, więc król sam z tronu zstępuje, by nie padła hańba na „Okragły Stół“. Wtedy zgłasza się młody Gawân i składając żądane przyrzeczenie, Zielonemu Rycerzowi siekierą głowę odcina. „Nastaje niczem nieprzerywana cisza, długa pauza. Nagle podnosi się oblany krwią, pozbawiony głowy kadłub Zielonego Rycerza, schodzi po stopniach na dół, przystępuje do własnej głowy, chwyta ją za włosy na karku i podnosi wysoko, jak Perseusz głowę Meduzy. Poczem idzie ku swemu rumakowi, stojącemu przy bramie, wkłada nogi w strzemiona i wsiada w siodło. A siedząc na koniu trzyma w rękach głowę ku obecnym, jakby chciał, aby na ten widok skamienieli. I nagle odcięta głowa poczyna mówić“, przypominając Gawânowi jeszcze raz jego ślub. Tym dziwnym barokkowym efektem — podobnym zresztą do postaci spacerującego z własną głową pod ramieniem samobójcy w Wedekinda *Frühlings Erwachen* — kończy się pierwszy akt. Gawâna widzimy dopiero za rok potem: jeszcze ma dwa dni przed sobą, by dojść do nieznanego sobie Zielonej Kaplicy i z przyrzeczenia się wywiązać. W zimową zawieruchę wstępuje do zamku rycerza Bernlaka de Hautdésert, który swą gościnność tak daleko posuwa, że bardzo chętnie patrzy na zaloty szatańsko-pięknej młodziutkiej żony Maryi. Gawân zostaje w zamku na noc, ale pokusie nie ulega, od zalotnicy bierze tylko pocałunek i pasek, czyniący posiadacza niepokonanym. Wieczorem wyrusza w dalszą drogę; o północy, w sam czas, przybywa do Zielonej Kaplicy. Tajemniczy rycerz wstaje na jego przywitanie z trumny. Gawân wie, że śmierć niechybna go czeka; ma jedną tylko, ale wielką winę na sumieniu, złamanie słowa rycerskiego: bo Bernlakowi zaręczył, że za gościnę odda mu na odjeźdźnym wszystko, co w jego zamku tej nocy dostanie, a oddał mu tylko pocałunek, pasek na żądanie Maryi zatrzymał. W przedśmiertnej chwili wzrok jego pada na posąg Madonny, która przy całej niebiańskiej czystości ma przecież oblicze zalotnej Maryi de Hautdésert — jak Dehmel już przed Stuckenem złączył Venus z Madonną. Na kolana pada przed statua, jej winę

swą wyznawa i oto posąg jak w misteryum Maeterlincka o *Siostrze Beatrix* ożywia się, klęczącemu przebacza, a na jej słowa, jak w średniowiecznych legendach, śmierć, uosobiona w Zielonym Rycerzu, który zarazem jest tamtym Bernlakiem de Hautdésert, musi ustąpić i Gâwan pije wieczne życie z mistycznej misy św. Grala.

Zaznaczywszy już powyżej dziwaczne zakończenie pierwszego aktu, oraz zbyt wyraźne analogie literackie, można o *Gawânie* teraz już bez surowszej nagany mówić. Nazywając dramat „misteryum“, Stucken wystawił sobie zresztą *glejt* bezpieczeństwa: ani ubóstwo zasadniczych konturów akcyi, ani bogactwo arabeskowych linii pobocznych, ani schematyczność głównych postaci nie mogą w tych warunkach uchodzić za wady utworu, który ma, jak przystało na ten rodzaj poezyi dramatycznej, pewną dostojną powagę i uroczystą wzniosłość, i zarówno zewnątrzniemi pierwiastkami, jak i szlachetnością idei przemawia głębiej jeśli nie do serca, to przynajmniej do wyobraźni widza. Z drugiej strony jednak *Gawân* jeszcze nie daje podstawy do sądu o dramatycznym uzdolnieniu autora. Dopiero dwa dalsze ogniwa cyklu, gdzie akcyja schodzi z wyżyn misteryum do niższego nieco poziomu dramatu mitycznego, dostarczą tego materiału. W obu pozostaje na drugim planie to, co się zwykło uważać za kardynalną cechę rycerzy św. Grala: służba Boża i służba dla pana, natomiast z trójliścia rycerskich obowiązków niemal wyłącznie jeden tylko problem: służba dla dam, stanowi ośrodek akcyi, występując pod rozmaitemi pozytywnymi i negatywnymi postaciami, jako wierność dla kochanki i jako wiarołomstwo, jako miłość czysta i jako zdroźna.

W *Lanvâlu* bohater poślubił potajemnie Finngulę, czarowną rusalkę z grona „łabędzich dziewic“¹⁾. To jedna z cór królewskich, przez złą macochę w jeziorze utopiona, w łabędzia przemieniona, nawpół śpiąca, nawpół żywa, pół dyablica, pół czysta dziewica. Gorąca i wierna miłość ją zbawi. Tę zrazu daje jej Lanvâl i żyją szczęśliwi, chociaż wciąż nad

¹⁾ *Lanvâl*. Ein Drama von Eduard Stucken. (E. Reiss, Berlin, 1910, str. 154). Przedstawione po raz pierwszy w wiedeńskim *Burgtheater* 18 stycznia 1911 r. (P. a.).

nimi wisi groźba nieszczęścia, bo jak Amor swej kochance Psyche, jak Lohengrin swej żonie Elzie, tak Finngula mężowi przykazywa, by nigdy nie pytał o jej pochodzenie, ni gdy przed ludźmi nią się nie chlubił. Ale Lanvân, wplątany w rycerską przygodę, zmuszony jest zaślubić Lionors, siostrzenicę króla Artusa. Wzbrania się, głosi, że jest już żonaty z inną, ją wzywa, by się ukazała przed dworem i prawdzie zaświadczyła. Finngula się nie zjawia. Lanvâl ma do wyboru: albo jako kłamca być pozbawionym czci, albo zaślubić Lionors, która go kocha i wszystko mu przebacza. Wybiera to drugie. Na uczcie weselnej zjawia się wreszcie, teraz już nie wołana, Finngula, lecz jako widmo, jako Czarny Rycerz. Lanvâl, podniecony świadomością winy, mieczem zabija kochankę, sam za chwilę pada z ręki mściwego brata Lionorsy: oboje kochankowie spotkają się w tajemniczym jeziorze Avelun. Mniej tragicznie kończy się konflikt erotyczny *Lancelota* ¹⁾. I tutaj jest tak częsty w niemieckiej literaturze dramatycznej problem rozdziału jednego serca męskiego na dwa kobiece. Lancelot de Lac uległ niegdyś, lat temu już dziesięć, Ginoverze, wiarołomnej żonie króla Artusa. Chce się uwolnić z pęt grzesznej miłości, a dopomóż mu ma w tem Elaine, uroczą córką Amfortasa, co jej zapewne tem łatwiej przyjdzie, że nad rywalką góruje wdziękiem i świeżością młodości. Ale dawna miłość trzyma bohatera na uwięzi, chociaż Elaine z zaparciem swej godności goni za nim, jak Kasia z Heilbronn za rycerzem Jerzym Wetter vom Strahl. Lancelot ucieka przed nią, wypiera się jej, mimo że ona nosi jego dziecko w łonie. Elaine w rozpaczę topi się w jeziorze, jej zwłoki przywozi ponury okręt do Camelot, a w rękach trupa, jak w rękach eurypidesowskiej samobójczyni Fedry, kartka, ostatnie słowa miłości. Lancelot złamany nie zabija się, ale jak Tannhäuser za grzechy zdrożnej miłości wyrusza w pobożną pokutniczą pielgrzymkę. Król Artus, odgrywający tutaj niezbyt zaszczytną rolę zdradzonego męża, godzi się z żoną.

¹⁾ *Lancelot*. Drama in fünf Akten von Eduard Stucken. (E. Reiss, Berlin, 1909, str. 140). Pierwsze przedstawienie w berlińskich *Kammerspiele* 3 stycznia 1911 r. (P. a.).

Jako całość *Der Gral* jest dziełem prawdziwego talentu. Nie podzielamy zdania niektórych krytyków, zarzucających autorowi, że jego postacie są tylko głośniami w średniowiecznej legendzie nazwiskami, a nie żywymi ludźmi. Tu bowiem trzeba uwzględnić, że zawsze, ilekroć poeta, mający talent, ale nie wyjątkowy geniusz, za bohaterów bierze sławne z historii czy podania osobistości, wydają się nam one mniejszemi w rzeczywistym dramacie, niż w naszej wyobraźni. Ktoby tę trudność pokonał, byłby genialnym. Takim Stucken oczywiście nie jest. Ale w granicach istotnego talentu i w granicach epoki, w której sam żyje, poeta daje tu rzecz na ogół poważną, nie tętniącą bezpośrednio życiem, przeciwnie w nazbyt bogatej szacie przeładowanego barwami i woniami języka mgłą osnutą, lecz właśnie przez tę właściwość przenoszącą widza w świat poezji, w duchu Schillera pojętej jako *ein Spiel*. Scenicznie i dramatycznie te trzy utwory nie są najsilniejszym słowem najnowszej literatury niemieckiej, jako poezya jednak są niewątpliwie jej najpiękniejszym kwiatem, nie na swobodzie coprawda, lecz w dusznej cieplarni wyhodowanym, a do niemieckiego piśmiennictwa wprowadzają nowego człowieka, zaciekawiającego i obcych miłośników poezji.

Wieki średnie są w ogóle dla dramatu niemieckiego zawsze pożądanem tłem dla motywów bajkowych, które w jasnym świetle nowoczesnym dziwnie wyglądają. Hans Müller, autor omawianej tu swego czasu *Szkoły lalek* ze sfer aktorskich, grywanej z powodzeniem na pierwszej wiedeńskiej scenie, zyskał obecnie na innej, już drugorzędnej, niemały sukces swym *Cudem Beatusa*¹⁾, w którym niewątpliwie wielki udział wzięła wystawa teatralna w stylu średniowiecznej Hiszpanii. Ferdynand, król kastylijski, wbrew zakazowi Rzymu, pojął za żonę siostrzenicę; Bóg go ciężko pokarał, bo dziecko z tego małżeństwa, Maria Dulce, nie tylko matkę życie kosztowała, ale sama od urodzenia jest

¹⁾ *Das Wunder des Beatus*. Drama in vier Akten von Hans Müller. (E. Fleischel & Co., Berlin, 1910, str. 163). Pierwsze przedstawienie w *Hof- und Nationaltheater* w Mannheim 17 listopada 1910 r. (P. a.).

sparaliżowaną. Nie pomogli najslawniejsi lekarze, i królowa już zrezygnowała, żyjąc odtąd tylko w świecie marzeń i snów, za jedyne promień słońca mając miłość Arigosa, syna jej wychowawczyni Urakki. Wtem zjawia się na dworze w Leon nieznanym nikomu pieśniarz niemiecki, Beatus, swobodna, wesół natura. Jednym spojrzeniem uzdrawia chorą, zyskuje jej miłość, z nią i koronę. Ale ma wroga w zapomnianym, odepchniętym Arigoso. Więc żeby lud podburzony uspokoić, przysięga uroczyście, że tylko trzy dni nacieszy się młodą żoną i pójdzie przeciw Maurom, z którymi stary król jakoś rady sobie dać nie może. Lecz Maria Dulce z podniecia Urakki poczyna bać się Beatusa, widzieć w nim czarownika. Odmawia się mężowi i dopiero, gdy on ma już na bój wyruszyć, aby go wypróbować, czy dla niej nawet przysięgę gotów będzie złamać, nęci go ku sobie. Rozpala się namiętność małżonka: teraz żony nie porzuci, niech rycerze sami, bez niego idą na wojnę. Znowu lud się burzy, tym razem jeszcze głośniej: rycerzom dowodzi Arigoso, gdy on zwycięży, skończy się królestwo Beatusa. Walka się toczy, już szeregi kastylijskie pierzchają przed pogromcami, wtem rzuca się między nich rycerz, podobny zbroją do Beatusa — i Maurowie padają. Lud wita radośnie mniemanego zwycięzcę, ale on musi wyznać, że w bitwie udziału nie brał, odpoczywał wtedy po miłosnych rozkoszach. Rzecz się wyjaśnia: to Maria Dulce, jak mickiewiczowska Grażyna, przybrała zbroję męża. Niemniej Beatus jest winien złamania przysięgi. Więc Maria Dulce zabija się, a on idzie w świat, szukać z powrotem dawnej ojczyzny:

Lebt wohl. Die Wipfel wiegen sich im Wind,
 Die Strassen leuchten her... Du meiner Heimat
 Tiefdunkler, grüner Wald, rauschst du mir zu?
 Rufst du den Sohn, vergessene Mutter Erde?
 Ich komm! Ich komm!! — Die Träne wandert mit.

Ze streszczenia *Cudu Beatusa* widać, że sztuka ma właściwie dwa problemy, jeden w pierwszej, drugi w następnej części dramatu. Pierwszy, to kontrast pomiędzy królową, cierpiącą, obok fizycznego kalectwa, na smutek, spowodowany

wany znowu grzechem jej ojca — a Beatusem, który o sobie sam mówi, że jest

Ein Sorgenverscheucher und kein Grillenfänger,
Weltpriester dieser mailich schönen Welt,

problem o tyle niewłaściwie przeprowadzony, że reprezentantem „radości życiowej“ jest z patryotycznych, a nie rzeczowych pobudek niemiecki pieśniarz. Rychło jednak ten pierwszy motyw luzuje drugi, bardziej uzasadniony na średniowiecznym gruncie, zjawiający się n. p. już u ówczesnego epika Hartmana von der Aue (w poemacie *Erec der Wunderaere*): konflikt rozkoszy ziemskiej z obowiązkami rycerskimi. Oba zagadnienia, a zwłaszcza pierwsze, nie wymagały koniecznie katastroficznego rozwiązania, szczególnie w postaci samobójstwa bohaterki. Na scenie jednak, gdzie refleksja mniej silnie niż w czytaniu działa, dramat, dzięki dobrze zbudowanym sytuacyom i pięknemu językowi, mógł się szczerze podobać.

Że w gronie poetów, opracowujących motywy średniowieczno-bajkowe, znajdzie się tym razem Ludwika Fuldę¹⁾, to nikogo dziwić nie może, bo zgrabny ten wierszopis miał do nich zdawna skłonność, a jeśli czasami tworzył sztuki współczesno-realistyczne, to wtedy a nie teraz można go było podejrzywać o schlebianie modzie. Jego *Pan i służa*, oparty — jak to autor sam szczerze zaznacza — na pomysłe sławnego włoskiego nowellisty Bandello, zajmuje się motywem bardzo prawdziwym, w życiu, i dzisiejszem, że przypomnimy n. p. stosunek cesarza Wilhelma II do Bismarcka, o którym Fulda zapewne także myślał, pisząc ten dramat. Oto często „pan“, zwłaszcza gdy jest nim tylko na podstawie urodzenia, nie osobistych kwalifikacyj, a więc n. p. monarcha, jest niższym od swego „sługi“, co zazwyczaj obaj dobrze czują. I wtedy „pan“ często „sługę“ nienawidzi. Tak jest i u Fuldy: król perski Kosru wie o tem, że jego wezyr, Artaban, jest rozum-

¹⁾ Ludwig Fulda: *Herr und Diener*. Schauspiel in drei Aufzügen. (Stuttgart, 1910, J. G. Cotta, str. 153). Odegrane po raz pierwszy w berlińskim *Deutsches Theater* 30 października 1910 r. (P. a.).

niejszym, a, co wówczas jeszcze więcej znaczyło, również dzielniejszym od niego, że Artaban to a nie Kosru pobił wroga, że w rycerskim pojedynku jeśli Artaban nie pokonywa jawnie króla, to tylko dlatego, że chce mu oszczędzić wstydu. Dotąd wszystko jest w porządku. I wtedy jeszcze, gdy Kosru nerwowo szuka pola, na którym mógłby okazać się wyższym od Artabana, a oczywiście zawsze uleść mu musi, nowego doznać wstydu, za co go coraz głębiej nienawidzi. Idę dalej i biorę Fuldę w obronę nawet tam, gdzie krytyka niemiecka już go zaczęła: gdy Kosru ostatecznie po bezskutecznych wysiłkach nie mogąc przewyższyć wezyra zabija się, to jest to zapewne mało prawdopodobnem, gdy się weźmie na seryo koloryt czasu i miejsca — średniowieczny władca Persyi raczej zabiłby Artabana — ale psychologicznie nie jest to nieuzasadnionem. Lecz na tem kończy się też nasza zgoda z Fuldą, a odtąd i ja muszę się z nim sprzeczać. Że Kosru ma żonę, przeciwko temu nic mieć nie można. Ta żona może wobec Artabana zająć dowolnie jedno lub drugie stanowisko: albo nienawidzić go będzie za to, że chociaż „sługa“ jest wyższym od swego „pana“, a jej męża, i tego ostatniego jeszcze podjudzać przeciw niemu będzie, wzorem Lady Macbeth — albo też właśnie dlatego, że jest godniejszym, imponować jej będzie, a wtedy zajmie ona stanowisko przeciw mężowi, a za Artabanem, co, nawiasem mówiąc, byłoby dla Kosru jedną więcej pobudką do samobójstwa. Fulda, nie bacząc, że siłą jego są sytuacje proste, nie wybiera żadnych z tych dwóch ewentualności, tylko obie kombinuje, wyprowadzając je ponadto jeszcze z nader skomplikowanej podstawy. Oto przed laty Artaban był dziewczęciem króla, przywiózł mu narzeczoną, obecną królową Odatis. Ona w druźbie się zakochała, on był nieczułym — może tylko wiernym panu — i w czasie wspólnego noclegu podczas podróży przedślubnej pomiędzy sobą a Odatis postawił goły miecz (nie mógłże spać na osobnem miejscu?). Odtąd Odatis go nienawidzi. Fulda nie spostrzega, że wprowadzając ten motyw, stawia odrazu rzecz na zupełnie odrębnym torze: bo teraz dla Odatis przynajmniej jest obojętnem, czy Artaban jest wyższym czy niższym od Kosru, jej wystarcza obrażona duma wzgardzonej przez mężczyznę kobiety. Ale i sam Artaban jako taki jest psycholo-

gicznie fałszywym. Gdy jego służbistość wobec króla dochodzi aż do tego zaparcia się ludzkiej godności, że panu ofiarowuje własną żonę, którą gorąco kocha, a do której i Kosru affekt czuje — to jest to moment dla nas nieznośny, a Fuldzie nie nie pomoże powoływanie się na Grillparzera dramat *Ein treuer Diener seines Herrn* z podobną sytuacją, bo właśnie i ten utwór też jest z tegosamego powodu nie do zniesienia. Wreszcie zauważyć trzeba, że i gładki, potoczysty wiersz Fuldy dzisiaj już mniej budzi zachwyty: podobał się w czasach bezbarwnej i bezdusznej prozy, dzisiaj wobec wspaniałości wiersza takiego n. p. Stuckena wyda się bezkrwistym i bezbarwnym.

Kończą się wieki średnie, kończy się dramat legendarnobajkowy. Nowsze czasy, światłem historyografii bardziej rozjaśnione, wymagają od twórców zdecydowanego charakteru historycznego. Poczet tych dramatów historycznych rozpoczyna zaraz głośny autor i głośne dzieło: Karola Schönherra „tragedya ludowa“, *Wiara i ojczyzna* ¹⁾. Nie w rocznych przeglądach niemieckiej literatury dramatycznej, ale w miesięcznych naszych sprawozdaniach z niemieckiej belletrystyki była już nieraz mowa, że budzący się w niemiecko-austriackich krajach koronnych, w Austrii, Styrii, Tyrolu ruch literacki ma przeważnie charakter protestancki z wyraźnem zabarwieniem antykatolickiem w myśl hasła *Los von Rom!* W dramacie ta tendencja występuje tutaj, o ile wiemy, po raz pierwszy, odrazu z impetem, a dodajmy bezstronnie: także z talentem, którego Schönherrowi nikt nie odmówi, aczkolwiek każdy spostrzeże, że talent to brutalny. Jesteśmy w czasach t. zw. *Gegenreformation*, za panowania cesarza Ferdynanda II. Wrogo przeciwko protestantom usposobiony, postanawia bodaj najsurowszemi środkami wykorzeń te „nowinki“ ze swoich dziedzicznych krajów. Kto nie wyprze się „niemieckiej Biblii“, musi sprzedać ojcowiznę i iść precz. Godzi się przypomnieć, że już raz wielki poeta niemiecki,

¹⁾ *Glaube und Heimat. Die Tragödie eines Volkes von Karl Schönherr.* (Leipzig, L. Staackmann, 1911, str. 115). Pierwsze przedstawienie w *Deutsches Volkstheater* w Wiedniu 17 grudnia 1910 r. (P. a).

większy od Schönherra, spotkał się z podobnym motywem, ale umyślnie go zmienił, aby nie drażnić katolików, chociaż sam był także protestantem. Wszak źródłem do *Hermana i Doroty* była Goethemu stara kronika, opowiadająca o wypędzeniu luteranów z dzierżaw katolickiego arcybiskupa salcburskiego. I oto, co wówczas zrobił Goethe: konflikt religijny przeniósł na grunt narodowy, z tamtych wygnańców zrobił Niemców, uciekających przed Francuzami, co więcej, religijną bezstronność posunął tak daleko, że o najidealniejszej postaci poematu, o proboszczu, nikt stanowczo powiedzieć nie może, czy katolikiem on, czy też protestantem — a skutek tego postępowania był taki, że całe Niemcy, bez różnicy wyznania, czytają i kochają to dzieło. Tak postąpił poeta XVIII wieku; poeta XX wieku jego śladami nie poszedł.

Rodzina chłopca Rotta mieszka w alpejskiej wsi. Sam gospodarz i stary jego ojciec potajemnie wyznają augsburską konfesję, jawnie, ze strachu są katolikami, by jak brat Rotta, Piotr, nie tulać się po świecie; Rottowa natomiast jest wierną katoliczką, protestantyzmu i protestantów nienawidzi. Czasy są okrutne: wysłannik cesarza z siepacami idzie od chaty do chaty, śledzi za niemiecką Biblią, w którym domu ją znajdzie, ten musi się gotować do drogi za kilka dni. Korzysta z tego tylko bogaty Englbauer: kupuje grunta i gospodarstwa tych, którzy emigrować muszą, kupuje dlatego, że chce każdemu dziecku zapewnić posiadłość: i teraz lada dzień przyjdzie mu na świat dziecko, oczywiście syn, więc trzeba spieszenie jeszcze jedno gospodarstwo dokupić, bo Englbauer nie może przecież bezdomnym biedakiem przyjść na świat. Krzyk, płacz we wsi. Rott boleje nad tem, ale się nie zdradza: nawet gdy pchany tęsknotą za rodzinną ziemią Piotr wraca pokryjomu, brat go się wypiera, wygania go z chaty, by się nie narazić na podejrzenie, że heretykowi udzielił przytułku. A stary jego ojciec także katolika udaje, bo wie, że wnet umrze, a chce złożyć kości na rodzinnej ziemi, więc dopiero przed samą śmiercią wyzna prawdę. I trzeba dopiero okrutnych gwałtów owego cesarskiego „dzikiego rycerza“, trzeba krwawych ofiar innych mieszkańców wsi, przywiązanych do nowej wiary, aby Rott wyznał publicznie, kim jest w istocie. Nie minie go sroga kara: musi sprzedać ojcowi-

znę, opuścić wieś. Więc pójdą we troje, bo i żona mu będzie towarzyszyć i syn, wesoly, swobodny chłopak Spatz. Zostanie tylko stary Rott. Nie, i on pójdzie, bo edykt cesarski mówi, że kto kacerzem umrze, zakopany będzie tam, gdzie podłe psy się grzebie. Więc stary Rott ma do wyboru: albo być zaprzańcem do końca życia, albo już teraz stać się wyznawcą. Wybiera to drugie. Pójdą we czworo. Nie. Rycerz zapowiada, że małoletni zostaną, będą wychowywani w wierze katolickiej. Więc i Spatz?... Chłopak sporów religijnych nie rozumie, ale rodziców i dziadka tak kocha, że rozłączyć się z nimi nie chce, nie może; raczej topi się w młynówce. Matka zrozpaczona żąda zemsty: mężowi wkłada do rąk siekierę, niech zabije wściekłego rycerza. Już się Rott zamierza toporem, ale on nie chce się zbrodnią splamić: siekiera mu z rąk wypada, dłoń się przebacząco ku rycerzowi wyciąga, który ją wzruszony przyjmuje... Ze zwłokami synka na wozie odjeżdżają Rottowie... we dwoje: stary ojciec w ostatniej chwili zachwiał się, ziemi ojców opuścić nie ma odwagi, wyprzysięga się „niemieckiej Biblii“.

Uwieńczona „nagrodą Grillparzera“ sztuka Schönherra wywołała szeroki rozgłos. Gdy już poczynał on cichnąć, poruszono w pewnych trzeciorzędnych organach niemieckiej prasy katolickiej niebezpieczną sprawę rzekomego plagiatu, dokonanego przez autora na powieściach pani E. von Handel-Mazzetti, piszącej także o tych czasach, ale z wręcz przeciwnego stanowiska. Dowód kradzieży literackiej się nie udał, jako oparty na zbyt drobnych poszlakach i w rezultacie sprawa dostarczyła Schönherrowi nowego tryumfu, jak każde nieuzasadnione oskarżenie. Nam, zdała stojącym, łatwiej zdobyć się na bezstronny, spokojny sąd. Ten mówi, że dramat Schönherra korzeniami sięga istotnie dramatycznego gruntu: chłopskie przywiązanie do ziemi i chłopskie przywiązanie do wiary ojców są rzeczywiście bardzo silnymi i równo silnymi uczuciami; gdy pomiędzy nimi wyniknie walka, będzie tragiczną, zakończy się niewiadomo której idei zwycięstwem, a napewne złamaniem danego człowieka. Że tutaj tą wiarą jest protestantyzm, to rzecz znaczenia już drugorzędnego, przypadkowego: były wypadki w historii, dawniejszej i nowszej, gdzieindziej i u nas, że tą wiarą był katolicyzm, a „dziki

rycerz“ działał w imię protestantyzmu lub n. p. prawosławia. Więc nie przeciw katolicyzmowi zwraca się w konkluzji sztuka Schönherra (choć w intencji autora taki zamiar niechybnie istniał), ale głosi potrzebę tolerancji religijnej, zatem ideę wzniosłą. Jako dramat rzecz jest silnie, ale odrazu z takim rozmachem w pierwszej odsłonie postawiona, że dalsze wydadzą się powtórzeniem obrazów pierwszej, bez stopniowania grozy tragizmu. Jest w tem niezapreczenie pewna męcząca jednostajność, którą odczuwał sam autor i chciał jej przeciwdziałać, wprowadzając parę młodych kochanków z gościńca, bezdomnych wesołych włóczędzów, z piosenką na ustach, ramię splecione z ramieniem, idących w świat, by dziecku swemu, mającemu się narodzić, dać lepszą ojczyznę. Sama przez się ta para miłych lekkoduchów jest bardzo sympatyczną, w tym jednak dramacie razi, bo pomiędzy nimi a grozą całej reszty akcyi niema żadnego pomostu, my zaś już nie żyjemy w epoce Szekspira, który scenę zamordowania Dunkana zestawiał bezpośrednio z błażństwem pijanego odźwiernego. Przepyszną jest natomiast inna epizodyczna figura, ów chciwy ziemi Englbauer. Końcowa scena, pojednanie się Rotta z rycerzem, ma zapewne symboliczne znaczenie: ofiara fanatyzmu religijnego przebacza... ale komu i co? Wykonawcy rozkazów cesarskich, czy samej ich treści, nietolerancji? W pierwszym wypadku do przebaczenia nie przyłączy się właśnie katolik: bo rycerz mógł jako narzędzie wyższej woli wykonywać ją bez okrucieństw, do których go nie jego mandat, ale jego konieczność popychała. Jeśli to zaś ma być pojednanie się z samą *Gegenreformation*, to trzeba było na nie przygotować grunt w poprzednim biegu dramatu; takie, jak jest, jest za pospieszne, nieumotywowane, jest teatralnym efektem wątpliwej wartości, nie rozwiązaniem węzła tragicznego. W każdym zaś razie psychologię rycerza należało pogłębić, bo dziki żołdak przez całe niemal trzy akty, a przy samym końcu wzruszony człowiek, to jakoś nie bardzo się z sobą łączy.

W pochodzie historycznym zatrzymać się warto chwilę przy dramacie, pragnącym być tem, czem dzieła sceniczne rzadko kiedy chcą być, a jeszcze rzadziej są: psychologizmem, raczej psychopatycznym studjum wybitnej osobistości

historycznej, w którym fabuła schodzi zasadniczo na drugi plan. Bohaterką *Zabawek carowej*¹⁾, pióra Maxa Dauthendey'a, poety o marce zdecydowanie „modernistycznej“, jest cesarzowa rosyjska, Katarzyna I. Jej karyera była, jak wiadomo, bardzo niezwykłą. Z niskiego pochodząc stanu, wychowana u pastora Glüicka w Marienburgu na Inflantach, wyszła za szwedzkiego dragona, którego wnet Rosyanie podczas wojny wzięli do niewoli. Zabrana przez faworyta cara Piotra Wielkiego, Menszikowa, spodobała się samemu władcy, została naprzód jego kochanką, po kampanii szwedzkiej prawowitą żoną i carową, po śmierci zaś Piotra cesarzową Rosyi — karyera świetna, dowodząca, że ta kobieta miała bądź co bądź niepospolity rozum i nadzwyczajny spryt. Historia zanotowała również jej namiętność i zmysłowość, przechodzącą powszednią miarę: nietylko Menszikow cieszył się jej względami, ale i wielu innych. Dauthendey opiera się na tych faktycznych danych, w myśl prawdopodobieństwa kreśląc charakter Katarzyny jako połączenie wyjątkowego sprytu z dziką, przewrotną lubieżnością. W Prologu, rozgrywającym się w namiocie Menszikowa, Katarzyna jest już branką feldmarszałka, już w nim budzi pożądanie, chociaż z drugiej strony zręcznie uwalnia męża z niewoli, odrzucając jednak jego plan, by odegrała rolę Judyty wobec Holofernesa. W pierwszym akcie jako kochanka Menszikowa sięga ambycją już wyżej, ku tronowi i na dobre zaczyna się bawić, tak carem, który chciałby ją posiadać, ale nie za tak wysoką cenę, jak i feldmarszałkiem, wahającym się ciągle pomiędzy zazdrością a chęcią dogodzenia monarsze. I te drażniące innych „zabawki carowej“ wypełniają dalsze odsłony, przyczem coraz bardziej okazuje się, że Piotr jest dla niej tylko carem, stopniem do własnego tronu, Menszikow zaś upragnionym kochankiem; ale że za chłodny, za powściągliwy, więc ona go podnieca, budząc w nim najsilniejsze i najgroźniejsze uczucie: zazdrość, jawnie przed nim z innymi kokietując, aby on

¹⁾ *Spielereien einer Kaiserin*. Drama in vier Akten, einem Vorspiel und einem Epilog von Max Dauthendey. (Albert Langen, München, str. 235). Pierwsze przedstawienie w monachijskiem *Schauspielhaus* 15 maja b. r. (P. a.).

ich mordował, a ona radowała się tym jego miłości dowodem. Ostatecznie sztuka, rozpoczęta w r. 1702, kończy się w r. 1727 śmiercią carowej, przed zgonem wypowiadającej zdanie, którego stylistyczna forma niechaj służy zarazem za próbkę wyrażeń autora:

Das Leben ist wie Wodka (!): niemals nährt es
 Und gibt nur Appetit zum Weiterleben.
 Und durstig gehen wir, wenn wir mal gehen;
 Durstig, wie wir es nicht uns träumen konnten,
 Als wir bescheiden angekommen sind.

W całości dramat Dauthendeya, bardzo niesympatyczny w treści, której drażliwości autor wcale nie osłabia, owszem zaostrza, jest ciekawym, chociaż nieudanym eksperymentem udramatyzowania motywu, odpowiedniejszego do powieści, bodaj z tego powodu, że bohaterka w ostatniej odsłonie musi być o dwadzieścia pięć lat starszą, niż w pierwszej, zrazu bujną, pożądliwą, ale i pożądaną młodą kobietą, w końcu zwiędłą i już tylko bez wzajemności pożądaną. Mówiąc pospolitym, chociaż w wierszowaną formę ubranym stylem autora, Dauthendey, chciał udramatyzować nienasycony apetyt miłości pierwotnej kobiety, ale przedsięwzięcie, w ogóle może w dramacie niemożliwe do wykonania, jemu stanowczo się nie udało.

Wszedłszy już w świat erotyki, zostańmy w nim jeszcze na chwilę, lecz *mutatis mutandis*. Więc miasto na wpół jeszcze dzikiej Rosyi, niech będzie wysoko już kulturalna Austria, chociaż czasy Maryi Teresy nie są tak bardzo odległe od epoki Katarzyny I; brutalną miłość, potrzebującą do podniecenia wódki, niechaj zastąpi wytworny zapach paryskich perfum, wśród których woni miłość tak się zlewa z flirtem, że nie wiadomo, gdzie się jedno kończy, drugie zaczyna; weźmy nie nieokrzesanych żołdaków i ich równie prymitywne żony lub kochanki, ale eleganckich kawalerów i urocze damy; zostawmy w tym zmienionym tonie erotyczne popędy starzejącej się kobiety; duszną atmosferę tamtego dramatu zamieńmy na swawolno-żartobliwą, Dauthendeya na H u g o n a H o f m a n n s t h a l a, a otrzymamy jego *Kawalera*

z różą¹⁾. Właściwie jest to tylko libretto do opery Ryszarda Straussa, najgłośniejszej muzycznej nowości tego roku, ale jak tegosamego poety *Elektra* nie przestała być dramatem, chociaż wspomniany kompozytor dołączył do słów muzykę, tak i ta rzecz istnieć może także sama w sobie, jako komedia. A dodać przytem trzeba, że jeśli jako opera była poniekąd niespodzianką, bo Straussa z tej strony jeszcze się nie znało, to przeciwnie jako komedia da się łatwo wyprowadzić ze znanych już składników poetyckiej psyche twórcy. Na lutni Hofmannsthalą drgają bowiem najdonioślej i najczęściej dwie struny: jedna tragiczna, z historycznym krzykiem bólu, z przytłumionym patosem groźnych, zbrodniczych namiętności; druga trochę swawolna, trochę lubieżna, dźwięcząca zgrabną gracyą, światową elegancyą. Pierwsza to *Pani w oknie*, *Wesele Soboci*, a zwłaszcza *Elektra*, *Edyp i Sfinks*, *Uratowana Wenecya* — druga to *Awanturnik i śpiewaczka*, przeszloroczny *Krystyny powrót do domu* i tegoroczny *Kawaler z różą*. Tamte albo się rozgrywają w czasie bliżej nieoznaczonym, albo za starożytnej Hellady, te mają za tło zawsze wiek XVIII, wiek Casanovy i Cagliostro, wiek — ostatni podobno — wytwornej rozwiązłości, eleganckiej lekkomyślności życiowej. I tem tylko ostatnie Hofmannsthalą dzieło różni się od poprzednich, to jedynie w niem jest nowem, że nie Włochy, ale Austria jest polem akcji i że w następstwie tego obok wiedeńskiej arystokracji ma się tu humorystycznie zabarwione figury z mieszczańskiego świata nadunajskiej stolicy.

Mąż pani feldmarszałkowej księżnej Werdenberg poluje gdzieś w Kroacyi, ona jest w Wiedniu sama, a że miłości pragnie, im bardziej dostrzega, jak jej młodość ulata, więc kocha się w ślicznym chłopaku „z wielkiego domu“, Oktawianie, pieśczośliwie zwanym Quin-quin. Gdy kurtyna się po raz pierwszy podnosi, sytuacja nie wymaga komentarza: dama leży w łóżku, kochanek, siedząc obok na stołeczku,

¹⁾ *Der Rosenkavalier*. Komödie für Musik von Hugo von Hofmannsthal. (S. Fischer, Berlin, 1911). Pierwsze przedstawienie w *Królewskiej Operze* w Dreźnie. (P. a).

czule ją obejmuje. Za chwilę ktoś się dopomina o pozwolenie wejścia (jesteśmy w wieku XVIII, w czasach, kiedy damy odbywały swe *lever* rozmawiając z przyjaciółmi): to kuzyn księżnej, baron Ochs auf Lerchenau. Oktawian ani się ukryć ani uciec nie może, przebiera się więc szybko w kobiece suknie, co w teatrze jest tem łatwiejszem, że rolę tę gra artystka, i udaje pokojówkę. A tak ładnie wygląda, że gość odrazu poczyną tę mniemaną dziewczynę zaczepiać, chociaż do księżnej przyszedł, aby jej oznajmić o swych zaręczynach z panną von Fannival, córką bardzo bogatego, świeżo do stanu szlacheckiego wyniesionego mieszczanina wiedeńskiego. Baron prosi zarazem kuzynkę, by mu z pośród swoich krewnych dała kogoś na dziewosłęba, czyli na „kawalera z różą“ dla narzeczonej. Księżna wymienia nazwisko Oktawiana i pokazuje jego medalion, oczywiście... dziwnie — podobny do twarzy pokojówki. Parę scen rodzajowych, charakteryzujących biedę i skąpstwo barona, oraz wielką stopę życiową księżnej — i koniec pierwszego aktu. W drugiej odsłonie Oktawian wywiązuje się ze swego obowiązku wobec panny Zofii Fannival, ale już tutaj przewidzieć można, że Amor gotuje się do nowej psoty i rychło skojarzy tych dwoje młodych ludzi, zwłaszcza, że baron zbyt obcesowo traktuje swą mieszczańską narzeczoną. Pannę to oburza, Oktawiana jeszcze bardziej, przychodzi do sprzeczki, nawet bójki, baron jest ranny, panna zwraca mu słowo, ale ojciec grozi jej klastorem, jeżeliby się ośmieliła opierać jego woli. Kochankowie muszą się chwycić innego sposobu. Baron otrzymuje bilecik od rzekomej pokojówki z zaproszeniem na schadzke. W trzecim akcie Lerchenau siedzi przy nakrytym stole z Oktawianem, znowu za dziewczynę przebrany. Trochę go irytuje „jej“ podobieństwo do „kawalera z różą“, ale spodziewa się miłych rozkoszy z ładną dziewczyną. Nagle jednak pokazują się na ścianie jakieś widziadła, za chwilę wpada nieznaną mu kobieta i mówi (jak u Molière'a w *Monsieur de Pourceaugnac*), że jest jego porzuconą żoną, jakieś dzieciaki otaczają go kołem, krzyząc: „Tatuś, tatuś!“, robi się hałas piekielny, policya nadchodzi, baron przedstawia Oktawiana jako swoją narzeczoną, mówiąc, że jest córką Fannivala, policya wzywa go, Fannival przyznaje, że baron jest jego zię-

ciem, ale Oktawiana się wypiera, oburza się na postępowanie Lerchenaua, na domiar zamieszania zjawia się i księżna, baron do cna skompromitowany opuszcza ten dom, feldmarszałkowa poznawszy położenie oddaje Oktawiana Zofii, zdobywszy się na cicha, pełną godności rezygnację:

Heut'oder morgen oder den übernächsten Tag.

Hab'ich mirs denn nicht vorgesagt?

Das alles kommt halt über jede Frau.

Hab'ich's denn nicht gewusst?

Hab'ich nicht ein Gelübde tan,

dass ich's mit einem ganz gefassten Herzen
ertragen werd!...

Heut oder morgen oder den übernächsten Tag.

So hat halt Gott die Welt geschaffen

und anders hat ers halt nicht können machen.

Pięknym miłosnym dyalogiem Oktawiana i Zofii kończy się komedia Hofmannstalla. Oceniając ją, trzeba się lojalnie zastrzedz, że nie może to być sąd ostateczny, bo bądź co bądź do jej całokształtu należy muzyka, nie tylko wspomagająca tekst tak, jak go przed sobą mamy, lecz również powodująca, że jest on, przynajmniej w swej stylistycznej formie, takim, jakim go czytamy. Z tem zastrzeżeniem komedia Hofmannstalla wydaje się nam jednym z najdosłowniejszych dzieł poety, przypominającym nietylko w kolorycie kulturę wieku XVIII, ale w fakturze najlepsze francuskie komedye tego okresu. Punkt ciężkości leży tu w akcyi, zręcznie wymyślonej i zgrabnie przeprowadzonej, upstrzony *ad usum* nie wiadomo czy muzyki Straussa czy w ogóle gustów publiczności teatralnej niejednokrotnie swawolnemi momentami, którym złośliwy przyczepi łatkę tak zw. „pikanterii“, ale nikt nie odmówi estetycznego wyrazu. Pod względem rysunku charakterów rzecz przedstawia się słabiej: z pięciu głównych osób trzy, Oktawian, Zofia, Fannival są dość szablonowe, a co do pierwszego zaznaczyć się nawet musi, że jego zwrócenie się od księżnej do Zofii jest wprawdzie w rzeczywistości bardzo prawdopodobnem, w dramacie jednak następuje zbyt pospiesznie i bez wszelkiej walki wewnętrznej,

którejby się oczekiwało po pierwszej, bardzo romansowej scenie z feldmarszałkową. Staranniej przeprowadził poeta charakterystykę dwóch dalszych osób: księżnej i barona, dając jej rysunek bardziej psychologiczny, jemu bardziej zewnętrzny, teatralny. Wprowadzenie *Kawalera z różą* na scenę dramatyczną byłoby zapewne eksperymentem, ale bardzo ciekawym i pożądanym, szczególnie dla nas, którzy u siebie w domu nie zobaczymy go niewątpliwie nigdy na scenie operowej.

Już się jest blisko czasów, kiedy dramat historyczny ustąpić będzie musiał miejsca na rzecz sztuki współczesnej. Zostaje jeszcze tylko epoka napoleońska, przez Francuzów zawsze, przez Niemców po dłuższej przerwie znowu w obecnej dobie często w teatrze do życia powoływana. Zanim na zakończenie tej pierwszej części przeglądu najnowszej literatury dramatycznej Niemiec zapoznamy się z wybitniejszą tego sezonu sztuką historyczną, osnutą właśnie na tle epoki napoleońskiej, po drodze przystanąć wypada przy innej, mniej głośniejszej, chociaż opatrzonej nazwiskiem, do którego część krytyki niemieckiej przywiązywała wielkie nadzieje, razem z Hofmannsthalem i Eulenbergem widząc w nim odnowiciela dramatycznej poezji. To Henryk Lilienfein, który tego roku napisał trzyaktowy dramat pod dziwnym tytułem *Byk z Olivery*¹⁾. Oczywiście więc autor przenosi czytelnika do Hiszpanii. Jest to w r. 1808 i 1809, czas kampanii hiszpańskiej Napoleona, tak dobrze pamiętnej w dziejach polskich Legionów. Na podstawie opowiadania w *Histoires d'autrefois* Emila Souvestre Lilienfein tworzy taki dramat. W zamku Olivera mieszkają zwycięzcy Francuzi. Pan domu, grand hiszpański magrabia de Barrios, zaprasza ich na ucztę, aby ich podczas niej wybić do nogi. Zdradziecki plan wychodzi na jaw, francuski generał Guillaume skazuje na śmierć margrabiego, jego córkę Juanę i syna Manuela — gotując w ten sposób całemu rodowi, od Cyda się wywodzącemu, zagładę.

¹⁾ *Der Stier von Olivera*. Ein Schauspiel in drei Akten von Heinrich Lilienfein. (Stuttgart, 1910, J. G. Cotta, str. 135). Pierwsze przedstawienie w berlińskim *Neues Theater* 14 października 1910 r. (P. a.).

Gdy Barrios i Juana błagają generała, by miał litość bodaj nad niewinnym chłopcem, Guillaume ulaskawia wszystkich pod warunkiem, że Juana, która z jego brzydoty i kalecstwa — generał stracił jedno oko — szczyła, zostanie jego żoną. Hiszpanka godzi się, oczywiście z postanowieniem zdradzenia męża i dlatego, że ją do małżeństwa zmusił, i dlatego, że taki stary i szpetny, i że to wróg jej ojczyzny, i wreszcie dlatego, że ma kochanka, margrabiego de Palos, głównego przywódcę buntujących się przeciw najezdzcom Hiszpanów. Copostanowiła, wykonywa temu łatwiej, że Guillaume, który — jak się chlubi — nie zaznał dotąd kobiety, niewieściej duszy wcale nie rozumie. Co więcej, Juana, zdradzając męża z Palosem, knuje z nim razem spisek przeciw cesarzowi, mającemu tędy przejeżdżać. Generał dowiaduje się o wszystkim, i o tem także, że Napoleon gniewa się na niego, podejrzliwie patrzy na jego małżeństwo z Hiszpanką, wprost o zdradę go posądza. Jako zdradzony mąż zabija wiarołomną żonę, jako Francuz i żołnierz Napoleona rehabilituje się przed nim, wsiadając zamiast niego do cesarskiej karocy i jadąc przez wąwóz, gdzie czekają go kule spiskowców. Ale gdzie jest „byk z Oliveri“? Są aż dwa, jeden w naturalnej postaci, drugi symboliczny. Oto Francuzi, gospodarując w mieście, zabijają wspaniałego byka, przeznaczonego na najbliższe igrzyska cyrkowe, co Hiszpanów do wściekłości doprowadza. To jeden byk. Drugim już nie bykiem, ale „bykiem“, jest... generał Guillaume. Juana, zmuszona do poślubienia go, przysięga, że się zemści, że jak picadores i banderilleros drażnić będzie męża — „byka“, aż mu jako matador zada cios śmiertelny. Co prawda, zapomniała, przypinając mężowi rogi, że rozjuszony byk czasem przed śmiercią rogami toreadora przebijają... Cała historia jest wydartą z rzeczywistego życia kartą, bo na tle dawnych wojen nie jest bynajmniej niemożliwą. To też mniej wybredna publiczność teatralna, żadna „sensacyi“, po przedstawieniu sztuki Lilienfeina zapewne z zadowoleniem poszła do domu, wdzięczną będąc autorowi za silne wzruszenia. Sąd estetyczny tę wydartą z rzeczywistego życia kartkę lekceważy, właśnie dlatego, że jest taką, a ponadto żadnego psychologicznego interesu nie przedstawia. Generał Guillaume niczyjego współczucia nie budzi; każdy mu

powie: *Tu l'as voulu, Georges Dandin!* W rezultacie Lilienfein pokazał tylko, że on, któremu krytycy zarzucali, iż jego dramaty są tak eteryczno delikatne, jak... jego nazwisko, potrafi być także brutalnym.

Najgłośniejszą jednak nowością ubiegłego sezonu była Artura Schnitzlera „dramatyczna opowieść“ o *Młodym Medardzie*¹⁾. Pisano i mówiono o nim na długo, zanim ją w książce przeczytano, a na scenie ujrzano. Była to, szczególnie w Wiedniu, prawdziwa „sensacya“ literacka i teatralna. Zaciekawiał naprzód sam fakt, że poeta, znany dotychczas niemal wyłącznie jako autor dramatów współczesnych (z historycznych napisał tylko *Der grüne Kakadu* i renesansowy *Der Schleier der Beatrice*), porwał się tym razem na wielką sztukę historyczną, do tego z czasów pobytu Napoleona w Wiedniu — co Wiedeńczyków bardzo nęciło — i z bohaterami ze sfery stołecznego mieszczaństwa — co się Wiedeńczykom jeszcze bardziej podobać musiało. „Sensacyę“ zaś teatralną stanowiła okoliczność, że *Młody Medard*, coś na kształt naszej *Nocy listopadowej*, jest dramatem, wymagającym rozwinięcia całego aparatu scenicznego: szesnaście odsłon ze zmianą dekoracyj, siedemdziesiąt i kilka osób, imiennie na afiszu wymienionych, po za statystami.

Punktem wyjścia był dla autora nietylko historyczny fakt pobytu cesarza w Schönbrunnie w r. 1809, ale niemniej autentyczny epizod z październikowych dni: nieudany zamach na Napoleona. Sprawcą był Fryderyk Staps, siedemnastoletni syn pastora z Naumburga. Młody chłopak widział „boga wojny“ po raz pierwszy na świetnym erfurekim zjeździe i wtedy jeszcze spokojnie o nim ojcu pisał. Ale towarzystwo innych rówieśników, lektura wolnościowych dramatów Schillera, wreszcie ogólna atmosfera w Niemczech, wroga Napoleonowi (wszak Henryk Kleist wyraźnie wzywał rodaków do zamordowania go: *Schlagt ihn tot! Das Weltgericht fragt euch nach den Gründen nicht!*) sprawiły, że w Stapsie dojrzał

¹⁾ *Der junge Medardus*. Dramatische Historie in einem Vorspiel und fünf Aufzügen von Arthur Schnitzler. (S. Fischer, Verlag, Berlin, 1910, str. 210). Pierwsze przedstawienie w wiedeńskim *Burgtheater* 24 listopada 1910 r. (P. a.).

stanowczy plan zabicia ciemńey Niemiec. Odjeżdżając tajemnie z domu ojcowskiego, wyraźnie w stylu *Dziwicy Orleańskiej* mówi z namaszczeniem o tej wielkiej misyi. I rzeczywiście 12 października 1809 r., gdy cesarz, prowadzący wówczas układy pokojowe z Austryą, dla przeglądu wojska schodził znanymi schodami schönbrunnskiego pałacu, generał Rapp dojrzał w tłumie podejrzanego młodzieńca i kazał go niepostrzeżenie aresztować. Przy rewizyi znaleziono przy nim wyostrzony nóż kuchenny. Staps zamysłów swoich wcale nie ukrywał, a cesarz, który bez wahania całe hekatombey ludzi na śmierć wysyłał, z niewyjaśnionych przyczyn chciał go wyratować. Więc naprzód poddał mu daremnie myśl, by udawał waryata, potem chciał go ulaskawić, jeżeli wyraził za swój postępek, ale Staps ubolewał tylko, że mu się nie powiodło. Ostatecznie Napoleon musiał go skazać na śmierć, a jest w tem dużo ironii historycznej, że wirtemberscy, zatem niemieccy żołnierze rozstrzelali niemieckiego zapaleńca. Jedynym, nieoczekiwanym skutkiem zamachu było to, że pod jego wrażeniem Napoleon co prędzej zawarł pokój z Austryą. Takim jest pierwowzór bohatera dramatu Schnitzlera; że autor zrobił z niego Wiedeńczyka, to wprawdzie nie jest zgodnem z historią, ale ostatecznie da się wytłómaczyć lokalnym patryotyzmem, bo Naumburczyk byłby Wiedeńczykiem, chociaż także Niemiec, tak obcym, jak n. p. Hiszpan. Że, jak zobaczymy, Schnitzler wplątał w tę sprawę miłość, to również ma pewne uzasadnienie w podanym przez generała Rappa domyśle Napoleona, jakoby niemieckie kobiety Rappa podburzały Stapsa. Ale źródło, z którego Schnitzler tę miłość czerpie, jest bardzo mętne. Proces myślenia był u niego zapewne następujący: Medardowi i jego mieszczańskiemu otoczeniu należy dać odpowiednie w wysoko urodzonym; wszak nie na darmo wprowadziło się do literatury typ *das süsse Wiener Mädel* i jej romanse z baronami, hrabiami etc.; zresztą można ponadto obie płci rozmieścić odwrotnie: pannę w pałacu, kawalera w zwykłej kamienicy. Tak, ale to ma być historia polityczna; więc dobrze będzie do społecznego kontrastu dodać narodowościowy: niech jedno ma niemiecką, drugie francuską krew w żyłach. Więc jaki arystokratyczny *emigré*? Tak, zapewne, wystarczyłby od

biedy, ale czemu nie wejść na jeszcze wyższy szczebel drabiny społecznej, czemu nie dać potomka rodziny królewskiej, pretendenta do tronu, zajmowanego obecnie przez uzurpatora. To i zaostry konflikt dramatyczny i wytlómaczy nienawiść do Napoleona. Ale kto nim być może? Oczywiście jakiś Bourbon. Tak, ale jak wytlómaczyć jego pobyt w Wiedniu, czy w okolicy? Przecież rząd wiedeński z obawy przed Bonapartem nie tolerowałby go. A tu trzeba koniecznie tej tragicomicznej postaci: pretendenta, święcie o swoich prawach przekonanego, a przez nikogo na seryo nie branego. Co za kłopot! Ale prawda: czemu nie miałby nim być jakiś Valois? Wygaśli w r. 1589? Kto o tem pamięta... Niech więc będzie „książę de Valois“, marzący o powrocie na tron ojców... nie, chyba pra-pra-ojców... Jak na dramat historyczny, fikcyja to jednak — zbyt śmiała. A nawet gdyby to nie była „opowieść historyczna“, to i tak pomysł byłby bardzo nie-szczęśliwy: bo przecież ten „książę de Valois“ ma być figurą tragi-komiczną, a nie zupełnie śmieszna lub zwaryowaną, a takim byłby ten, kto w r. 1809 uważałby się za Walezyusza.

Przejdźmy po kolei ale szybko te szesnaście odsłon. Medard, syn Franciszki Klähr, wdowy po księgarzu, który jako żołnierz czekając w mrozie na Napoleona, mającego odbyć wojskową paradę, nabawił się śmiertelnej choroby, Medard chce się zaciągnąć do narodowej milicyi, walczyć przeciw cesarzowi Francyi. Ale losy chcą inaczej. Siostra jego Agata ma romans z młodym ks. de Valois, synem owego pretendenta. Rodzina jego o małżeństwie naturalnie słyszeć nie chce, więc kochankowie topią się w falach modrego Dunaju. Medard postanawia pozostać w Wiedniu, na rodzinie księcia pomścić śmierć Agaty. Dwa trupy w prologu, w pierwszym akcie ich pogrzeb na cmentarzu. Tu Medard spotyka siostrę Franciszka, Helenę. Czemu ją, niewinną, łzy, niewiadomo, dość, że ją łzy, ma w następstwie tego pojedynku z jej kuzynem, margrabią „de Valois“, odnosi rany, za co jednak może znaleźć wynagrodzenie w namiętnej miłości Heleny (sytuacja godna francuskich klasycznych i romantycznych poetów dramatycznych!). Medard jej nie kocha, na jej zaproszenie spędza wprawdzie u niej noc w zamku, ale na to tylko, aby

potem jej upadek publicznie rozgłosić. Pomysł z dziwacznych najdziwniejszy: Helena, panienka zapewne dobrze wychowana, narzeczona innego, zapraszająca do swego „dziewiczego“ pokoju na noc kochanka, jest równie anormalną, jak Medard, który na niewinnej Helenie za śmierć siostry mścić się chce, obchodząc się z nią jak z dziewczką publiczną. To nawet brzydsze od jej postępowania, i aż dziwna, że Wiedeńscy nie spostrzegli się, że autor ich tutaj zołhydza. Ale *fatum* chce, że Medard zapala się od ognia Heleny. Jej miłość jest mu teraz rzeczywistością, snem wszystko inne: śmierć ojca, ofiary Francuzów, samobójstwo Agaty, ucisk ojczyzny, nienawiść do Napoleona. Otrząsa się z tego stanu dopiero pod wrażeniem tragicznego wypadku w rodzinie: jego wuj, zadenuncjonowany przez podłego zdrajcę, zostaje rozstrzelany (znowu cmentarz, znowu pogrzeb!). Medard ponownie przysięga zemstę, a zagrzewa go do niej Helena z osobistych pobudek: gdy Napoleon zginie, rodzina Valois wróci na tron francuski(!). Medard poznaje, że jest tylko narzędziem w jej ręku, że gdyby zabił cesarza, to nie byłby to czyn patryoty niemieckiego, tylko zapłacone dzieło najemnika Walezyuszów, i dlatego wzbrania się to zrobić. Helena podejmuje przedsięwzięcie sama. Mają ją za kochankę cesarza, bo w interesie rodziny była u niego na audyencyi, ma więc możliwość zbliżenia się do niego. Czeka na niego na schodach zamku w Schönbrunnie, ze sztyletem w zanadrzu. Wtedy Medard zabija ją. Uwięziony dowiaduje się ku swemu zdumieniu, że cesarz ma go za wybawcę swego, bo poznano prawdziwy zamiar Heleny. On protestuje, zamysł swój wyjawia, skłamać nie chce nawet, gdy cesarz, pragnąc go uratować, żąda od niego jedynie przyrzeczenia, że nigdy już nie będzie godził na jego życie. Rozstrzelany, na rozkaz Napoleona ma być pochowanym „z wszelką czcią i w poświęconej ziemi, jako tej wojny ostatni i najdziwniejszy bohater“.

Czy istotnie bohater? „Bóg chciał go zrobić bohaterem, bieg rzeczy zrobił z niego głupca“, mówi o nim jedna z osób dramatu. Medard w swojej niezdolności dokonania czynu podobnym się niby wydaje bardzo, bardzo zdaleka, do Hamleta. Tylko dwie są między nimi różnice: po pierwsze Szekspir *a priori* przedstawia królewicza duńskiego jak takiego słabego człowie-

ka, w którym hipertrofia myśli zabija energię czynu, Schnitzler zaś chciał, by się w Medardzie widziało bohatera czynu; powtóre zaś ostatni „czyn“ Medarda kwalifikuje go istotnie jako „głupca“. Po co zabiwszy Helenę wyznaje, że chciał także zabić cesarza? Przecież właśnie zyskawszy tamtem zabójstwem zaufanie Napoleona, mógłby łatwiej dokonać drugiego. Ale jemu chodzi o to tylko, by zginąć, a zginąć z szerokim giestem jako wróg cesarza, podczas gdy w rzeczywistości jest on ofiarą niezdrowej miłości. Ale Medard nie jest nawet „bohaterem“ sztuki w znaczeniu dramaturgicznym — jest tylko epizodyczną figurą w walce Heleny de Valois z Bonapartem. To jest główny zrab akcyi, jak w ogóle, pogodziwszy się raz z istnieniem tych fantastycznych Walezyszów, w nich musi się widzieć najlepiej w dramacie odtworzone środowisko. Schnitzler tedy nie pozyskał tu nowych laurów, laurów twórcy dramatu historycznego, lecz potwierdził raz jeszcze, że jest przede wszystkim mistrzem w odtwarzaniu smętnych półcieni życiowych tragikomedyj. Drugie środowisko, mieszczański świat wiedeński z patriotami i delatorami, z codzienną biernością i odświętnymi porywami, udał mu się równie dobrze, jak ta smutna, nastrojowa para „prastarego pana“ i jego „prawnuczki“, błądząca po cmentarzu. W całości *Młody Medard* pozostanie w twórczości autora tem, czem dla Poety w *Weselu* Wyspiańskiego są powstałe pod wpływem zjawienia się Czarnego Rycerza rojenia o jakimś wielkim dramacie, wcielającym w sobie dumnego ducha przodków — rojenia piękne, ale bezpłodne.

Dr. Józef Flach.

(Dokończenie nastąpi).

CANOSSA.

(Dokończenie).

V.

Tymczasem na prośby książąt niemieckich wyruszył Hildebrand z Rzymu na sejm do Augsburga. Spełniał dalszy punkt programu: papież miał rozstrzygać i sądzić, a Stolicę Apostolską wynieść jako trybunał po nad trony i władze świeckie. Książęta obiecywali wysłać na południowe stoki Alp przewodników, którzyby przeprowadzili papieża przez wąwozy górskie, oraz zbrojną straż na osłonę dalszej drogi w krajach cesarskich. Po stronie włoskiej otaczał go dobrowolny orszak, przysłany przez Hrabinę Matyldę, której poddani po królewsku przyjmowali przeciągającego przez jej ziemie papieża. W kilkudniowych marszach dotarł Grzegorz do Vercelli i po krótkim przystanku zbierał się właśnie do dalszej drogi na północ, kiedy doszła go wieść, że Henryk IV przedarł się przez Alpy i stanął na równinie lombardzkiej. Wieść była mętna: nie mówiono o pokutniku, skradającym się bocznymi gościńcami do Rzymu, ale o mścicielu, który następuje na czele ogromnego wojska, aby poskromić papieża i sięgnąć po koronę cesarską. W takich warunkach postanowił Grzegorz wstrzymać pochód i czekać, aż się rzecz wyjaśni. A że Vercelli nie było pewnem schroniskiem, więc na namowę Hrabiny Matyldy zawrócił drogę w Apenniny i zamknął się w jej obronnej Canossie.

Wkrótce w ustronnym zamku zaroilo się od dostojnych gości, bo w ślad za papieżem przybyli do Canossy margrabia Esteński, Azzo, potem swiekra króla Henryka, Adelajda Sabaudzka z synem Amadeuszem, wreszcie najbliższy druch i powiernik papieski, Hugo, opat z Cluny. Przybywali oni w zamiarze pośredniczenia jeszcze i w tej godzinie pomiędzy Grzegorzem a Henrykiem, w nadziei zażegnania ostatecznego rozłamu obu władz, spajających dotychczas społeczeństwo chrześcijańskie. A wnet na białych gościńcach, wiodących z północy, pojawili się inni przybysze, zdrożeni pielgrzymi, którzy nieśmiało podchodzili pod mury Canossy i pukali do bram zamkowych. Byli to wyklęci biskupi niemieccy, do niedawna zbuntowani przeciw woli i rozkazom papieskim poplecznicy protestującego króla i twórcy zuchwałych Dekretów Wormackich — teraz, po klątwie rzuconej na Henryka, po sejmie w Tryburze i ucieczce Henryka do Włoch, pokorni i trwożni pokutnicy, żebrzący absolucyi u stóp groźnego papieża. Papieżowi zaś donoszono równocześnie, że Henryk, który prawie samotrzeć, z wierną, nieszczęśliwą Bertą i małym synkiem przybył do Włoch, znalazł na nizinach włoskich odrazu liczną drużynę. Garnęli się bowiem na wyścigi do niego panowie i biskupi lombardzcy, nie doceniając przewrotu, jaki się tymczasem dokonał w Niemczech. Dla pierwszych król niemiecki, zstępujący z Alp, był wedle żywej tradycyi zawsze jeszcze tym wszechwładnym panem Rzymu, który dowolnie wynosił na Stolicę Apostolską, lub strącał z niej papieży; dla drugich, posłusznych na skinienie ambitego Wiberta z Rawenny, nadszedł w osobie Henryka wy-czekiwany oddawna oswobodziciel z pod jarzma papieskiego, pod którym hardy kler lombardzki ugiąć się nie chciał. Tylko jeżeli Włosi nazbyt lekceważyli wypadki zaszłe w Niemczech, to szczęściem dla papieża król ze swej strony nie zdał sobie odrazu sprawy, na jakie oparcie mógł liczyć w Lombardyi. To też zamiast skorzystać z szeregujących się przy nim dobrowolnie stronników, oddalał ich jak niewczesnych natrętów i pomny tylko na dobiegającą wkrótce rocznicę klątwy i groźne wyroki tryburskie, gnał za papieżem i pędził ku Canossie.

W Bianello, zamku leżącym w pobliżu Canossy, u podnóża Apenninów, stanął na ostatni popas. Przed papieżem, nie znając papieskich względem siebie zamiarów, odrazu stanąć nie śmiał. Świadomy natomiast wpływu i znaczenia zażywanego u Grzegorza przez Hrabinę Toskańską, zwrócił się najpierw do Matyldy, prosząc o wyznaczenie mu spotkania i o pośrednictwo. Za zezwoleniem papieża, a w towarzystwie Adelajdy Sabaudzkiej, margrabiego Esteńskiego i opata Hugona, ruszyła więc Matylda z Canossy do sąsiedniego zamku w Bianello, ażeby spotkać króla, wysłuchać jego próśb i przedłożyć je papieżowi. Prośby te były dwojakie: najpierw i przede wszystkim wzywał Henryk papieża o zwolnienie z klątwy, która go inaczej w tak bliskim, kilkodniowym już tylko terminie, pozbawiała korony; ale do tej prośby łączył drugą, a mianowicie, aby papież nie dawał wiary skargom wnoszonym przez książąt niemieckich — *qui ad accusandum eum stimulo invidiae magis quam zelo justitiae exarserunt* — „których na niego bardziej bodziec zazdrości, aniżeli gorliwość w obronie sprawiedliwości zawzięł“. Tak więc król do podwójnego celu dążył: siebie samego chciał przed wyrokiem tryburskim zabezpieczyć, ale równocześnie papieża od spójni z książętami niemieckimi oderwać. Papież jednak zbyt dobrze znał chwiejność i zmienność przeciwnika, żeby odrazu uczynić zadość tej dwojakiej, a tem samem dwuznacznej prośbie. To też odpowiedź, niesiona do króla przez Matyldę, brzmiała odmownie. Kościół — mówił Grzegorz — nie może rozstrzygać sprawy oskarżonego w nieobecności oskarżycieli; wszelako jeżeli Henryk na prawdę tak ufa w swoją niewinność, to tem śmielej powinien stanąć na sejmie w Augsburgu, gdzie papież wedle prawa i słuszności rzecz rozsądzi. Król zrozumiał, że papież nie zrzeka się prawa przesłuchania książąt niemieckich, czyli odprawienia nad nim sądu i wydania wyroku, przed którym drżał. Więc wznowiona prośba brzmiała jeszcze ustępliwiej. Zapewniał, że gotów jest każdej chwili stanąć przed sądem, którego się, ufny w sprawiedliwość papieską, nie lęka; ale przypominał kornie, że zbliża się złowroga rocznica klątwy i że bezpowrotnie straci koronę i państwo, jeżeli dzień ten nadejdzie, zanim rozgrzeszenie uzyska; więc na każde zadośćuczynienie się godził, byle papież prze-

baczył i otworzył mu bramy kościelne. Ale Grzegorz jeszcze i teraz się wahał. Jeżeli król na prawdę winy żałuje — brzmiało dalsze, twarde orędzie — to niechby mu oddał koronę i inne odznaki władzy, na dowód i przyznanie, że wielkość występku uczyniła go niegodnym imienia i dostojęstw królewskich. Matyldzie i jej towarzyszym wydały się te warunki za ostre. Cały dwór, zgromadzony w Canossie, wstawiał się u papieża za Henrykiem, błagając o litość — *ne calamum conquassatum iudicii austeritate penitus contereret* — „ażeby złamanej trzciny srogością wyroku do reszty nie zdeptał“. Bo jak sam Grzegorz wkrótce potem do książąt niemieckich pisał, wyrzucano mu, że „nie surowością apostołską, ale okrucieństwem tyрана się rządzi“.

Rozstrzygające spotkanie pośredników z królem nastąpiło w kaplicy św. Mikołaja, na drodze z Bianello do Canossy¹⁾. Król, bliski rozpacz, bo czas uchodził i za ledwie

¹⁾ Najważniejsze źródła do historii pokuty króla Henryka IV w Canossie są: 1) list Grzegorza VII do książąt niemieckich po rozgrzeszeniu króla (Mansi: *Sacrorum conciliorum nova et amplissima collectio*. Tom XX), 2) Kronika Lamberta, 3) cytowana już w ciągu tego studium wierszowana kronika Donizona (Muratori: *Rer. Ital. Script.* Tom V). W skromnym, ale cennym studium (*Canossa*. Guida storica illustrata. Reggio. Edit. L. Bassi, 1894) ustalił inspektor zabytków, prof. Naborre Campanini w ścisłym a przekonywującym zestawieniu tekstów Donizona, chronologię wypadków zaszytych w Canossie. Dotąd ostatnie, decydujące spotkanie króla z Matyldą w kaplicy św. Mikołaja naznaczali historycy na trzeci dzień pokuty Henryka pod murami Canossy. Było to może jeszcze dramatyczniejsze, ale zgoła nieprawdopodobne, aby król, nie wiedząc, czy mu Grzegorz przebaczy, stanął jako pokutnik w samej Canossie. Otóż śladów kaplicy św. Mikołaja ani na miejscu, ani w kronikach Canossy niema. Jest natomiast taka kaplica obok Bianello, Capella S. Nicholai de Montezane — czyli Mongiovanni, należąca w końcu XI wieku do Ugone Malaspiny, krewnego Matyldy. Tam niezawodnie zaniósł król ostatnie swoje rozpaczliwe błagania do Matyldy, które złamały opór papieski, a pokuta w Canossie nie była niepewnym wyczekiwaniem zmiłowania groźnego papieża, tylko zwykłą średniowieczną pokutą wyklętych.

kilka już dni dzieliło go od dopełnienia się roku kłątwy, ze łzami błagał Hugona, opata z Cluny, aby raz jeszcze stanął przed Grzegorzem i wyżebrał mu przebaczenie i łaskę, a na odpowiedź, że chyba jedna Matylda gniewnego papieża przedjednać zdoła, padł na kolana przed dostojną krewniaczką, z ostatniem zaklęciem o zmiłowanie i ratunek. I nareszcie żarliwe jej wstawiennictwo skruszyło surowość papieża, Grzegorz zezwolił, aby Henryk na przepisana kościelną pokutę podeszedł bliżej i stawił się przed nim.

W dziejach świata, obfitujących w przejmujące obrazy, nie wiele chyba znajdzie, któreby dramatyczną siłą dorównały pokucie Henryka IV w Canossie. Wśród górskiego pustkowia na skalistym zrębie sterczący zamek, a w nim pod osłoną ramienia dzielnej niewiasty bezbronny starzec, spoglądający z wyżyn zamkowych na pielgrzyma, który w pokutnej opończy, boso po śniegu i grudzie pnie się mierzwi pod górę, aby tam, on, władza świata, ukorzyć się przed nim, świata tego sumieniem. Walka nierówna, bo z jednej strony papież, zahartowany trudem długiego już żywota, z drugiej zaś — *rex errore juventutis suae seductus* — „król uwiedziony błędem swej młodości“, jak mówi współczesny mu annalista; ale pomimo tych różnic przykład najbardziej dotykający i przez to właśnie tak przejmujący zwycięstwa zasady nad siłą, a w dziedzinie historii jedyny, niebywały obraz takiego zetknięcia się dwóch idei, na których, jak na dwóch równych filarach, spoczywała aż po owe czasy budowa świata, obraz spadkobiercy Karola Wielkiego i Ottonów, padającego do nóg papieskich, cesarstwa, ścielącego się w proch przed Kościołem.

Grzegorz rozkazał otworzyć pierwszą bramę potrójnych murów, które okalały zamek i w drugim ich kręgu stanął król. Towarzyszący mu orszak zatrzymał się w polu. On zaś, wyzbywszy się wszelkich oznak dostojności, w grubej, pauciej sukni, bosi i zziębły, pozostał sam, wodząc oczyma po ponurych ścianach zamku, o które były jego skargi i, jak pisał później papież do książąt niemieckich, „błagalne wołania o ratunek i pocieszenie apostolskiego miłosierdzia“. W zamku litościwe serca Matyldy i Adelajdy miękły znów na widok takiego poniżenia i znów gorące prośby zwracały

się do papieża o folgę i skrócenie kary. Grzegorz atoli ebciał złamać dumę przeciwnika i wypróbować wprzód jego skrucbę, więc bez względu na nowe błagania, strzegł niewzruszenie przepisanego trwania pokuty. A król stał i stał na mrozie i wietrze przez cały dzień pierwszy i przez dzień następny i jeszcze przez długi dzień trzeci, żebrząc zmiłowania i łaski. Nareszcie czwartego dnia rozwarły się wrota zamkowe i Grzegorz wyszedł na spotkanie wstępującego w nie pokutnika. Król, łkając, rzucił mu się do nóg, a papież, sam łzami zalany, wznosił do góry dłoń, zakreślił nad głową wyklętego rozgrzeszający znak krzyża i dźwignąwszy z ziemi, wprowadził go do kościoła. Rozpoczęła się Msza św., a gdy nadeszła chwila Komunii, Grzegorz rozłamał hostyę na dwoje i zwrócony do wiernych, wezwał utajonego w Przenajświętszym Sakramencie Chrystusa na świadectwo swej niewinności wobec miotanych na niego, jako na „falszywego mnicha“ potwarzy i oskarżeń, błagając Boga, aby go na miejscu, przed ołtarzem pokarał śmiercią, gdyby winnym był, nieprawdę mówił i Sakrament niegodnie przyjął. Zaczem, wśród radosnych okrzyków zgromadzenia, ukląkł, spożył Ciało Pańskie i z drugą połową hostyi zwrócił się do króla, wzywając go na takie same świadectwo i taki sam sąd Boży. Król, jak pisze Lambert, wzdrygnął się, odwołał teraz sam do sejm książęcego i wyznał, że pod nieobecność oskarżycieli żadnem zadośćuczynieniem niewinności swej, jak należy, stwierdzić nie zdoła. W tym więc duchu na żądanie Grzegorza złożył uroczystą przysięgę, zobowiązując się stawić w oznaczonym przez papieża terminie i miejscu przed sejm książęcy, aby odpowiedzć na wniesione oskarżenia i poddać się wyrokom, które wedle rozstrzygnięć papieskich zapadną. Przysięgę poręczyła Matylda, Adelajda i zebrani na zamku książęta, poczem papież i król zasiedli do stołu dla przyjęcia wspólnego posiłku.

Tego samego dnia jeszcze opuścił Henryk zamek, żegnany po raz ostatni przez Grzegorza. Celu bezpośredniego dopiął: rozgrzeszony nie drżał już przed spełnieniem się wyroków tryburskich, miał choć na chwilę wolne ręce wobec wrogich mu książąt niemieckich. Ale w dumnym sercu tłużył gniew, bo pałał już żądzą zemsty za sromotne upokorze-

nie, którem królewskość swą pokalał. Świta czekająca opodal powitała go gorszym od głośnych wyrzekań wzdardliwym pomrukiem i wśród zimowego zmroku, którego cień i na jego duszę padał, nie wiedząc prawie kędy drogę zwrócić, milczący i posępny uchodził z Canossy.

VI.

„Z nadzieją, która za daleko sięga“, przedsiębrał Grzegorz VII spełnienie swych zamiarów, jak sam wyznawał w cytowanym już w ciągu tego opowiadania piśmie do powiernika, opata z Cluny. I w rzeczy samej nadzieja go zawiodła: potężnego gmachu teokracji, którego sklepienie nad całym światem chciał rozpiąć, zbudować nie zdołał i jak za jego czasów, tak i do dziś dnia pozostał stosunek Kościoła do państwa bolesnem często, a dotąd nierozwiązaniem zagadnieniem. Bezpośrednie skutki wszczętej z cesarstwem walki i upokorzenia Henryka IV w Canossie pomściły się natomiast zaraz na papieżu i Rzymie. Nowy bunt króla już w rok po odbytej pokucie i zwolnieniu go z klątwy; wyniesienie oddanego mu Wiberta z Rawenny pod imieniem Klemensa III na uzurpowaną Stolicę Piotrową; przyjęcie z rąk tego antypapieża korony cesarskiej; dwukrotny napad na Rzym i obleganie Grzegorza VII w zamku św. Anioła; odsiecz niesiona oblężonemu przez Roberta Gwiskarda i za tą odsieczą najstraszniejszy może, jaki dzieje zapamiętały, pogrom Wiecznego Miasta przez dzikie zastępy normandzkie, pogrom, w którym na zawsze opustoszały gęsto aż po owe czasy zaludnione, dziś ciche i martwe pagórki Caeliusa, Awentynu i południowej strony Eskwilinu; wreszcie, wśród złorzeczeń pogorzałych Rzymian opuszczenie Rzymu przez papieża i śmierć jego w Salerno, w tulaczey gościnie u normandzkich książąt, a zdala od ruin stolicy; potem długa jeszcze i uporczywa walka o inwestyturę, z rozdarciem świata na dwa wrogie obozy, cesarski i papieski; a na koniec, połowiczne tylko załatwienie sprawy kompromisem Konkordatu Wormackiego i następująca po nim twarda antikościelna reakcja epoki Hohenstanfów — to było doraźne i widzialne następstwo „zbyt daleko sięgającej nadziei“ Hildebranda.

A przecież myśl wielkiego papieża rozsadzała świat, parla go na nowe tory i zwyciężała na całej linii. Bo myśl ta, tryumfująca w Canossie, zadała cesarstwu cios śmiertelny, zepchnęła władzę świecką w świecki zakres i gasząc mistyczną aureolę, która otaczała dotychczas skroń cesarską i olśniewała umysły aż do pomięszania zupełnego zupełnie odmiennych dwóch zasad, wyzwoliła nareszcie sumienie ludzkie z pod jarzma państwa. Przez długie pasmo trzech stuleci, od Karola Wielkiego aż do Hildebranda, rzadko współrzedną, a zwykle podrzędną tylko była rola papieżstwa wobec cesarstwa, którego widoma głowa, cesarz, stawał się jakąś nieokreśloną prawem, ale uświęconą tradycją i zwyczajem, mglistą hieratyczną postacią, obejmującą przez siłę władzy w coraz to szerszem kole nienależny jej rząd dusz. Wywyższeniem Kościoła na jedyny uprawniony trybunał w zakresie duchownym uratował więc Hildebrand Zachód od grożącego mu inaczej niechybnie Bizantynizmu, od odmiennej może w formie, ale w treści takiej samej, co na Wschodzie, śmiertelnej petryfikacyi Kościoła w państwie. Że przełamanie tak dawnej i zakorzenionej tradycyi musiało zrazu cały świat zawichrzyć, że tak wielki przewrót wymagał równie wielkich ofiar w ludziach, w ich dziełach i myśli, to rzecz naturalna. Lecz Hildebrand znał duszę współczesną i wiedział, że choćby przez zerwanie tamy, krępującej wolność Kościoła, sprowadził na świat nowy potop, to z potopu tego wywiedzie, jak arkę, nienaruszoną tej duszy wiarę. A nieomylność jego sądu potwierdziły bliskie następne lata. Bo nic nie świadczy wymowniej o głębokości wiary średniowiecznego społeczeństwa, jak to właśnie, że przetrwała ona i ową najcięższą chwilę, tych powstających przeciw papieżom antipapieży, te bunty duchowieństwa i owe długie, ciężkie pasowanie się berła z pastorałem, tak że jeszcze wśród najgorętszego wrzenia tej walki, a już w niespełna ośmnaście lat po dramacie rozegranym w Canossie, mógł z taką chwałą zabrzmieć w Clermont porywający okrzyk — *Deus lo volt* — na hasło pierwszej krucjaty.

A jak w dziedzinie religijnej sterczy Canossa jako słup graniczny, oddzielający władzę duchowną od świeckiej, Ko-

ściół od państwa, tak myśl Grzegorza VII, streszczona w tym jego tryumfie, oznacza w zakresie politycznym wyzwolenie nacyonalizmu z pętów, nałożonych mu potąd przez wskrzeszone sztucznie rzymskie, a już nie rzymskie imperium. Wiek XI, Hildebrand i Canossa, to walka berła z pastorałem na gruncie religijnym; wiek następny, to wynikła z tamtej jeszcze ta sama walka, w imię tych samych zasad i pod temi samemi znakami, ale już na tle innem, na tle budzącego się poczucia narodowości, stającego odrazu w poprzek przeciw cesarstwu rzymskiemu *Teutscher Nation*. Po jednej stronie ostatnie wielkie wcielenie idei średniowiecznego cesarstwa w spiżową postać Barbarossy — po drugiej cały świat nowy, zrywający się do życia i zaraz w pierwszej tego życia dobie próbujący otrząść się z przyniatającej przewagi jednego, wszechwładzę monopolizującego szczepu. We Włoszech za przykładem Hildebranda, jego myślą natechnione, zrzeszają się odporne siły najpierw w Lidze Weronezyjskiej, potem w szerszej, bohaterskiej Lidze miast lombardzkich, na czele zaś tego ruchu stają papieże tego pokroju i miary, co Aleksander III i Innocenty III, później Grzegorz IX i Innocenty IV. Zbyt łatwo lub zbyt chętnie zapominają dzisiejsi Włosi, co zawdzięczają Grzegorzowi VII i jego następcom, którzy, wyzwalając Kościół, stwarzali Włochy i rzucali zasiew pod to wspaniałe żniwo XIII wieku, u którego kolebki staje św. Franciszek, a u schyłku Dante. Matyldyńską przekazaną im schedą w całości papieże zawładnąć nie zdołali, bo ani im sił po temu starczyło, ani się mogli skutecznie bronić przeciw roszczeniom do tej spuścizny, wnoszonym i ponawianym ciągle przez cesarzy niemieckich z tytułu lenna lub niejasno zakreślonych granic. Ale w tych wolnych w istocie teraz ziemiach rozrastały się miasta, w których tętniło młode włoskie życie i kształtował się najdoskonalszy twór nowoczesnego społeczeństwa — kommuna włoska. Myśl i czyn Hildebranda podzieliły świat na dwa obozy, cesarski i papieski, szeregujące się na długie lata po nim pod znakami Ghibellinów i Gwelfów. Lecz właśnie w rodzajnym współzawodnictwie tych dwóch stronnictw, jakby w dwóch sąsiadujących ze sobą żyznych ogrodach, rosła precudna kultura

przedświtu Odrodzenia, aż oba ogrody wydały najpiękniejsze dwa swoje kwiaty, pierwszy Dantego, drugi Florencyę.

Takie myśli snuły mi się po głowie pośród ruin Canossy, a w szeregu przesuwających się obrazów i wspomnień stanął mi w pamięci i ów skwarny poranek czerwcowy z przed laty kilku, kiedy będąc w Salerno wszedłem do kościoła św. Mateusza. W pomroku wnętrza starożytnej świątyni normandzkiej, fundowanej przez Roberta Gwiskarda, a upiększonej po dwóch wiekach przez bohatera Nieszporów Sycylijskich, Jana z Procidy, nie zdołałem się jeszcze rozeznąć, kiedy mi w bocznej nawie błysnął przed oczyma ogromnymi literami wyryty na ścianie napis: *Dilexi justitiam, odi iniquitatem, propterea morior in exilio* — „Umilowałem sprawiedliwość, nienawidziłem nieprawość, dlatego umieram na wygnaniu“. To grób Hildebranda, przekazujący wyrzeczone na pożegnanie z doczesnością słowa wielkiego papieża, kiedy wypędzony z Rzymu, w maju 1085 r. dogorywał w Salerno i z łoża śmierci składał jeszcze ostatnie świadectwo umilowanej myśli i całej swojej przeszłości. Świadectwo tragiczne, jak tragicznym był taki koniec po trudzie i znoju takiego żywota. Ale tragizm to podniosły, bo Opatrzność daje właśnie na podniecie i kordyał życiowy podobne przykłady pogrobowych zwycięstw zwyciężonego, ucząc, że ze śmiercią w poniewierce wygnańczej tego, który je począł, nie umierają myśli, które godne były tryumfu Canossy.

Słońce przesunęło się dawno na drugi skłon i chyliło już ponad pasmem zachodnich Apenninów w stronę Tyrreńskiego morza, kiedy opuszczał Canossę. W Cianello obróciłem raz jeszcze wzrok w tył, aby pożegnać, zapewne na zawsze, okolicę. Mgły rozścieliły się u podnóża gór, a ponad niemi skała, dźwigająca zamek, czerwieniała jak słup ogniasty w blaskach zachodu i szare przedtem mury Matyldyjskiej twierdzy sterczały teraz złote, w glori w wieczornej zorzy.

Taką została mi Canossa w pamięci i w oczach.

Tegosamego jeszcze dnia stanąłem w Bolonii i w śliczną księżycową noc, która bladym światłem zacięra na sta-

rych pomnikach szczyrby wieków, a wskrzesza w nich jakieś tajemnicze, senne życie, witałem znane mi już z kilkakrotnych poprzednich pobytów, ale od kilku lat niewidziane kąty. Tym razem pod świeżem wrażeniem chwil, spędzonych w Canossie, przyciągały mnie przedewszystkiem owe pamiątki bolońskie, które się do tej nawiązują epoki, do epoki wielkich zapasów Kościoła i Włoch z cesarstwem, do epopei rozpoczynającej się w Canossie, a zakończonej pod rusztowaniem nieszczęśliwego Konradyna w Neapolu. A właśnie tu, w Bolonii, odzywa się jakby echem trubadurów ostatnia tej epopei zwrotka w starych murach pałacu del Podestà, na placu Neptuna. Bo tu więzili Bolończycy przez dwadzieścia trzy lat wziętego w niewolę w bitwie pod Fossaltà króla-poetę, Enzia, syna cesarza Fryderyka II. Bolonia, dumna z tak dostojnego jeńca, otaczała go względami i czcią, ale strzegła jak oka w głowie, odrzucając z pogardą wysokie okupy, ofiarowywane po kilkakroć przez cesarza za wolność ukochanego syna. Niewolę osładzała młodemu więźniowi miłość pięknej Lucii Viadagola. *Ti voglio bene*, to śliczne włoskie dłuższe określenie krótkiego słowa *amo*, brzmiało w tych murach na ustach rozkochanego króla, aż z przedstawieniem słów zamieniło się w nazwę Bentivogliów, których znakomity ród od tej pary kochanków, Enzia i Lucii, początek swój wywodził.

Nocną przechadzkę po Bolonii zakończyłem pod pochyłemi wieżami, które jak dwa fantastyczne wykrzykniki rysowały się czarno na tle księżycowego nieba. Do niższej z nich, ale potężniejszej kształtem i śmielszej pochyłością Garisendy porównuje Dante w jednej z końcowych pieśni *Inferna* tytana Anteusza, kiedy nachyliła się, aby go wraz z Wergiliuszem złożyć — *al fondo che divora Lucifero con Giuda* — na dnie piekieł. O tym Anteuszu, synu Ziemi, mówi legenda grecka, że pasował się z Herkulesem, a powalony kilkakrotnie, przez samo dotknięcie matki ziemi, czerpał z jej łona nowe sily, na nowe wciąż zapasy. Wtedy Herkules oplół go ramionami, dźwignął i udusił w powietrzu. Podobne były losy długich walk Włochów z cesarstwem. Póki cesarzowie wracali na północ po za Alpy, póty czerpali zawsze z rodzinnych Niemiec potrzebną moc na nowy podbój

lub rząd we Włoszech. Ale skoro z Fryderykiem II, zwa-
bieni związkami krwi i odurzeni czarem południowych stref,
ostatni potomkowie Hohenstaufów porzucili prawie na dobre
północne swe gniazda i przenieśli punkt ciężkości państwa
do Włoch, oderwane to od mocodajnej ziemi rodzinnej impe-
rium porwały Włochy w młode ramiona i zgmiotły je w zdra-
dliwym uścisku.

Zdzisław Morawski.

JENERAŁ IGNACY PRĄDZYŃSKI

w świetle własnych pamiętników, korespondencji i nowszych badań.

(Ciąg dalszy).

Małżeństwo państwa Ignacych Prądyńskich było w całym tego słowa znaczeniu szczęśliwe, choć w r. 1825 nie zanosilo się na to z początku. Panna Emilia nie posiadała majątku, a otrzymała wychowanie niemal że wielkopańskie. „Wszystko, co ją otaczało, począwszy od jej babki, w znacznym stopniu arystokratki, wszystko jej powtarzało codziennie, że się na to urodziła, aby być wielką panią. Powtarzano jej co chwili, już po oświadczeniach Prądyńskiego, że na to ma iść za mąż, ażeby się niczem innym nie trudnić, jak jedną tylko zabawą, że ma żyć w najpierwszych towarzystwach, jeździć kareta, bywać po balach, teatrach, przyjmować i oddawać nieustannie wizyty“¹⁾.

Tymczasem warunki, w jakich znalazła się po zamążpójściu, nie wystarczały na wystawne i próżniacze życie. Pensya podpułkownika wynosiła, oprócz kwatery i furazu, 8.833 złp.²⁾. Można więc było utrzymywać się z tego w owych czasach przyzwoicie, nawet dostatnio, ale bez karet, balów, teatrów i bez prowadzenia wystawnego domu.

¹⁾ *Korespondencya Prądyńskiego i jego żony* w Archiwum Akademii Umiejętności w Krakowie. List Prądyńskiego, pisany do matki z więzienia, bez daty, o ile wnosić można w r. 1828.

²⁾ Prądyński do rodziców 26 czerwca 1815 r.

Pani Prądzyńska, co na pochwałę jej powiedziec należy, zrozumiała swoje położenie odrazu i zastosowała się do niego bez szemrania zupełnie. Żyła skromnie, na balach, zabawach i w teatrach bywała rzadko, pilnowała gospodarstwa i dzieci, była najlepszą żoną i matką, czasami tylko ulegała wielkopąnskim aspiracyom swojej matki.

Kiedy po uwięzieniu męża sprowadziła się z Augustowa do Warszawy, pani Rutkowska namówiła ją do kupienia powozu i koni, ale na życzenie Prądzyńskiego pozbyła się wnet i jednego i drugich¹⁾. Dlatego też W. Książę, któremu znoszono wszystkie wiadomości i plotki z całego miasta, wyrażał się o pani Prądzyńskiej z największym szacunkiem, podczas gdy żonom innych więźniów rozmaite czynił przykrości, a pani Ludwikowej Sobańskiej kazał nawet wyjechać z Warszawy, mówiąc, że siedzi w Warszawie jemu na przekór, a nie z miłości do męża, bo takiego straszdyła, jak Sobański, kochać nie może²⁾.

Że Prądzyński, mając taką żonę, ubóstwiał ją na równi ze swoją matką, to chyba inaczej być nie mogło. Ale to przywiązanie nie odwodziło go bynajmniej od spełniania obowiązków względem Ojczyzny. Bez wahania szedł w ogień, w licznych potrzebach narażał swoje życie i tylko niska zawzięć lub złość ukryta może go obwiniać, jak to czyni Mierosławski, o jakieś konszachty z nieprzyjacielem ze słabości dla ukochanej „Emilki“.

Miodowe miesiące młodego małżeństwa nie trwały długo. Po kilku zaledwie tygodniach spadło na Prądzyńskiego, jak grom, wezwanie od generała Haukego, aby niezwłocznie stawił się w Warszawie, rzekomo w sprawie dotyczącej budowy kanału. Niestety, nie o kanał tu chodziło.

Wiadomo, że skutkiem denuncyacji pułkownika Sznajdra, objaśnień Skrobeckiego, a wreszcie skutkiem nikczemnej zdrady Karskiego, odkryto i Wolnomularstwo Narodowe i Towarzystwo Patryotyczne.

Wtedy już Łukasiński, badany przez komisję śledczą, wspominał o związku, założonym przez Prądzyńskiego, Ko-

¹⁾ List Prądzyńskiego do matki wyżej wspomniany.

²⁾ *Pamiętniki*, I, str. 165.

łaczkowskiego i Małachowskiego. Pociągnięto więc do odpowiedzialności Prądyńskiego i Kołaczkowskiego. Pierwszy, z pomocą generała Blumera, członka komisji śledczej, „wyłgał się i wykręcił“ szczęśliwie. Kołaczkowski przyznał, że do związku należał, ale całe swoje opowiadanie „ubrał w zabawną barwę“ i w ten sposób, a może ze względu na swoje kuzynostwo z ks. Łowicką, uniknął dalszych prześladowań. Skończyło się na tem, że W. Książę powiedział do żony: „Żanciu, twój kuzyn także do tego należy, jest założycielem“ i długo patrzył na Kołaczkowskiego z ukosa ¹⁾, chociaż mimo to, zapewne dla dogodzenia Żanci, nazywał go swoim kuzynem.

Łukasiński, Dobrzycki i Dobrogójski zostali skazani na kilkoletnie więzienie w twierdzy w Zamościu. Tam, jak utrzymuje Prądyński, ułożono łapkę na Łukasińskiego i wywołano pomiędzy więźniami bunt w celu opanowania fortecy. Przywódcą tej rewolty miał być Łukasiński, a obok niego Sumiński.

Kto zna kruczki i podstępny policyi rosyjskiej, ten nie będzie ani na chwilę powątpiewać o prawdziwości opowiadania Prądyńskiego.

Odnalazł on, będąc w Zamościu podczas powstania w papierach po komendancie twierdzy, Hurtigu, wyraźne dowody owej szatańskiej intrygi, a nie miał przecież najmniejszego powodu tworzyć jakiejś fantastycznej legendy na tle tragicznych losów Łukasińskiego. Zachodzi tylko pytanie, czy prowokacya wyszła z inicjatywy W. Księcia, czy też była dziełem gorliwości policyjnej?

Odpowiedź jest trudna. W. Ks. Konstanty nazywał sam siebie człowiekiem honorowym, ale mimo to, przy śledztwach używał lub pozwalał używać wybiegów, podstępów i środków, świadczących, że jego pojęcie honoru było dość elastyczne. W czasie, kiedy zbuntowali się więźniowie, rzekomo przez Łukasińskiego podburzeni, bawił W. Książę z żoną u wód w Ems, następnie brał udział w rewiach i paradach wojskowych, urządzanych dla niego pod Koblencją, wreszcie od

¹⁾ Kołaczkowski: *Wspomnienia*, III, str. 95.

pierwszych dni października zatrzymał się we Frankfurcie, gdzie ks. Łowicka odbywała kurację winogronową¹⁾.

Nie ulega jednak wątpliwości, że sprawa Łukasińskiego zajmowała go bardzo i że wszystkie rozkazy w tym względzie wychodziły od niego, co zresztą stwierdza Kuruta, powołując się w pismach znanych nam do Hurtiga²⁾ na wolę W. Księcia. Otóż W. Książę postanowił, aby obaj główni przywódcy buntu zostali ukarani chłostą o wiele boleśniejszą, niż uczestnicy poprzedniej w tym rodzaju rewolty, w obecności wysłanego w tym celu do Zamościa jenerała Malletskiego.

Równocześnie atoli, bo tego samego dnia (14 października), jedzie z polecenia Kuruty do Zamościa szef biura w ministerstwie wojny, przydzielony do sekretaryatu W. Księcia dla przesłuchania Łukasińskiego i oczywiście wydobycia z niego dokładnych zeznań.

Co się dalej stało, nie wiadomo na pewne. Czy Łukasiński, patrząc na barbarzyńskie katowanie Sumińskiego i chcąc uniknąć podobnych męczarni, zastosował się do woli W. Księcia, czy też chłocście poddaony, uczynił to później, rozstrzygnąć trudno, dość, że tym lub innym sposobem zeznania z niego wyciśnięto.

Cesarz, gdy mu o tem doniesiono, udzielił dla wszystkich winnych, oprócz ukaranych, amnestyę i oświadczył bratu, że uważa całą tę sprawę za zupełnie ukończoną i nie chce o niej więcej słyszeć.

W. Książę woli monarszej sprzeciwić się wprawdzie nie mógł, ale po cichu rzecz prowadził dalej. Sekretny komitet, złożony z Nowosilcowa, Kuruty, Rautenstraucha i Hübnera, powoływał osoby, wymienione przez Łukasińskiego i działał jako komisya śledcza.

Rewolucya w Petersburgu po śmierci Aleksandra I dostarczyła nowego materiału. Z zeznań Dekabrystów okazało się, że po upadku Towarzystwa Patriotycznego powstał w Polsce spisek nowy. Zawiązali go Seweryn Krzyżanowski,

¹⁾ *Z korespondencji ks. Łowickiej. (Przegląd Polski, 1882, III, str. 194).*

²⁾ Rkp. Bibl. Czartoryskich, nr. 3941.

podpułkownik w pułku konnych strzelców gwardyi, Albert Grzymała, referendarz w Radzie Stanu i Andrzej Pliehta, sekretarz Rady Stanu.

Postępując z największą ostrożnością, nie przypuszczając do tajemnicy tych, co byli w stosunkach z Łukasińskim, nie mieli oni właściwie jasno określonego programu. Oczywiście przyświecała im głównie myśl oswobodzenia ojczyzny, bo „niepodległość Polski była wtedy jedyną gwiazdą na horyzoncie młodego pokolenia“¹⁾, ale nie zastanawiali się wiele nad tem, jak ten cel osiągnąć. O zbrojnym powstaniu marzyli chyba w dalekiej przyszłości, a gdy zetknęli się z konspiratorami rosyjskimi i usłyszeli od nich, że rewolucya ma się rozpocząć wymordowaniem członków rodziny panującej, ogarnęło ich przerażenie. Szlachetność, wrodzona P-lakom, wstręt do rozlewu krwi w ogóle, a w szczególności do zbrodni królobójstwa, wreszcie przekonanie, że oni, ludzie mało znani i bez znaczenia, nie zdołają pociągnąć za sobą społeczeństwa, odwiodły ich od dalszych związków z Dekabrystami. Ale było już za późno.

Śledztwo petersburskie wykryło istnienie spisku i rozpętało nową burzę nad Polską. Zaczęły się aresztowania liczne, coraz to liczniejsze, nappełniło się po brzegi więzienie u Karmelitów, pomiędzy uwięzionymi znalazł się także Prądzyński.

Wezwany jeszcze przed temi wypadkami (w listopadzie 1825 r.) do Warszawy i przyjęty z początku przez W. Księcia nadzwyczaj łaskawie, otrzymał nagle rozkaz stawienia się przed wyżej wspomnianym sekretnym komitetem. Tu zaczynają go pytać o zgromadzenie na Bielanach i o szczegóły odnoszące się do Towarzystwa Patryotycznego. Prądzyński przeczy wszystkiemu. Nazajutrz wiezie go Hauke do Belwederu, gdzie W. Książę pokazuje mu zeznania Łukasińskiego i towarzyszy, powiada, że wie już o wszystkim i żąda jedynie przyznania się, że do Towarzystwa należał. „Bo mi już — tak mówi — brakuje tylko twoje jedno przyznanie, a cała rzecz będzie zupełnie i na zawsze skończona“.

¹⁾ Orpiszewski: *Kilka wspomnień*. (Rocznik Tow. hist. lit. 1867).

W takim położeniu nie mógł Prądyński nic innego uczynić. Rzekł więc: „Mości Książę, należałem do tajnego związku, jak Waszej Cesarzewiczowskiej Mości wiadomo, dodaję atoli, że już od dawnego czasu przestałem do niego należeć, a nawet przekonany jestem, że całe to przedsięwzięcie upadło“.

W. Książę był zachwycony, ucałował go serdecznie i zażądał jeszcze pisemnej deklaracji. Deklaracja, napisana przez Prądyńskiego, nie zadowolniła cesarzewicza. Zaczął wyrzucać Prądyńskiemu, że nie jest szczerym, że tylko do tego się przyznał, co już jest wiadomem, a gdy Prądyński prosił, aby Książę sam dawał mu pytania, na które odpowie z całą otwartością, zapytał Konstanty, dlaczego milczał wobec komitetu, a zwłaszcza wobec Nowosilcowa? Wtedy Prądyński, już nie panując nad sobą, rzekł z widocznem rozdrażnieniem: „Pana Nowosilcowa, równie jak wszyscy moi współrodacy, nie mogę uważać jak tylko za zabitego nieprzyjaciela (*un ennemi juré*) imienia polskiego“.

Tyle też trzeba było, aby wprowadzić W. Księcia w największą pasję. „Ha! — zawołał — otóż zdemaskowałeś się zdrajco! Tem jednym słowem odkryłeś tajniki duszy i rzeczywisty swój sposób myślenia. Pan Nowosilcow wam się nie podoba dlatego, że jest Rosyaninem. A czy zapominasz, że ja także Rosyaninem jestem? Pewniebyście chcieli pozbyć się stąd nas wszystkich Rosyan. Pan Nowosilcow wam się tutaj nie podoba za to, że jest wiernym poddanym swojego monarchy i że czujne ma oko na wasze zbrodnicze zabiegi i obrzydłe manigancye (intrygi). A czy wiesz, że tem jednym słowem popełniłeś zbrodnię stanu i że to słowo wprowadzi cię na rusztowanie? Tak, na rusztowanie i to za wyrokiem jednego pana Nowosilcowa. On cię będzie sądził, pomimo waszej konstytucyi, z której ja drwię. I na cesarza nie rachuj, bo on się dowie razem o twojej zbrodni i śmierci. Cesarz daleko, a tutaj ja jestem tylko panem. W Polsce potrzeba nawet sroższych, niż dotąd, przykładów, bo wy tu wszyscy jesteście Jakobinami, rewolucjonistami, liberalistami, zwolennikami Lafayetta, uczniami jenerała Dąbrowskiego, Dąbrowskiego, który wcale nie skończył, jak na to zasługi-

wał, ponieważ, gdyby się względem niego zachowała sprawiedliwość, on powinien był wisieć“.

Tę przemowę, trwającą przeszło godzinę, zakończył cesarzewicz zwykłym, gdy był w gniewie: „Idźcie precz!“ i dodał, wskazując na Prądyńskiego: „Bierzcie go z sobą. Rautenstrauch, wiesz jaką ja deklarację mieć chcę od niego; niechaj mi taką napisze. A pan pomnij, że od niej zależy jego ocalenie lub zguba“.

Stało się rzeczywiście według woli W. Księcia. Prądyński napisał to, co mu Rautenstrauch podyktował, ale żadnego nowego nazwiska nie wymienił. Potwierdza to i Kolačzkowski, gdy powiada, że Prądyński „do niektórych szczegółów mniej ważnych się przyznał, zamilezawszy główniejsze“¹⁾, ale zaraz potem dodaje, że W. Książę, mimo danego Prądyńskiemu słowa honoru, zeznania jego podał do wiadomości komisji śledczej, co Prądyńskiego w taką wprawilo rozpacz, że postanowił się zagłodzić. Jakoż w istocie Prądyński, stawiony przed komisją, oświadczył, iż nic więcej nie powie nad to, „co z niego już wyłudzone“, głodzić zaś zaczął się dopiero później i z innego powodu.

Zachowanie się jego w tem ciężkiem położeniu nie może podlegać zarzutom. Podobnie jak z nim, obszedł się W. Ks. Konstanty także z Łukasińskim. I jego przyjął do tego stopnia „wspaniałomyślnie“, że Łukasiński chciał się mu „do nóg rzucić i wszystko wyjawić“, a następnie dał, co ważniejsze, słowo honoru W. Księciu, „iż już do niczego należeć nie będzie“. Cóż dziwnego więc, że Prądyński słowu cesarzewicza i swojego naczelnego wodza zawierzył? Inaczej chyba uczynić nie mógł i wątpimy bardzo, aby ktokolwiek na jego miejscu odważył się powątpiewać o honorze członka panującej rodziny i brata cesarskiego. Zresztą odpokutował za to dostatecznie.

W nocy z dnia 25 na 26 lutego 1826 r. porwany od boku żony i zawieziony do Karmelitów, przesiedział w tem ponurem więzieniu trzy lata i jeden miesiąc, chociaż raz tylko wołano go do komisji śledczej i właściwie o nic nie był oskarżony, oprócz o należenie do Towarzystwa Patriotycznego,

¹⁾ III, str. 90.

co już według rozkazu cesarza Aleksandra miało zupełnie pójść w zapomnienie.

Ale W. Książę, w dziwnem swoim usposobieniu, raz ludzkim i wspaniałomyślnem, to znów brutalnem i do okrucieństwa nawet skłonnem, znajdował szczególniejsze upodobanie w dokuczaniu tym, którzy w jakikolwiek sposób odważyli się sprzeciwić jego rozkazowi. Więc chociaż cenił Prądyńskiego i nazywał go znakomitym oficerem, to z chwilą, kiedy ten oficer wzbraniał się złożyć zeznania takie, jakich wymagał W. Książę, postanowił go upokorzyć, a może i złamać.

W istocie było więzienie dla Prądyńskiego nadzwyczaj ciężką karą. Zamknięty w celi, której przekątnia wynosiła zaledwie cztery kroki, pozbawiony prawie zupełnie światła dziennego, bo zakratowane okno zasłaniał kosz z desek tak, że u góry tylko niewielki pozostawał otwór, oderwany od ubóstwianej żony, skazany na bezczynność i trapiiony obawą gorszego jeszcze losu, popadł on na wstępie w rozpacz, a niebawem i w ciężką chorobę.

Pierwszą pociechę przyniósł mu sąsiad Roman Załuski, więziony już od kilku tygodni. Rozmowa, jaką prowadzili przez szczelinę wydłubaną nad piecem, uspokoiła cokolwiek Prądyńskiego, ale nużył go niesłuchanie brak wszelkiego zajęcia. Dopiero po przesłuchaniu w komisji śledczej, kiedy indagacye były już na ukończeniu, zaczęły się dla uwięzionych względnie lepsze czasy, o tyle, że mogli przynajmniej, acz z pewnemi trudnościami, otrzymywać książki.

Prądyński, przyzwyczajony do pisania, zażądał jeszcze papieru i pióra. Zarząd więzienia odniósł się w sprawie tak ważnej do W. Księcia. Ten przysłał swego szefa sztabu, jenerała Kurutę, z zapytaniem, co Prądyński pisać zamierza? „Pisałbym *mémoire* o Polsce“, brzmiała odpowiedź. Nazajutrz zjawił się Kuruta, przyniósł kilka liber papieru z ponumerowanemi arkuszami, pióra, atrament, kilka bardzo dobrych map i zachęcił w imieniu W. Księcia Prądyńskiego do pisania.

Prądyński, zawsze jeden cel mający na oku, wziął sobie za temat wojnę pomiędzy Austryą a Prusami z jednej

i Rosyą z drugiej strony ¹⁾). Oto, jak tłómaczy to swoje postanowienie i jak streszcza swoją pracę: „Wychodziłem z zasady, że Kongres Wiedeński tak nienaturalnie poprowadził granice polityczne w Polsce, tak przeciwnie interesom mocarstw, że prędzej czy później musi przyjść do wojny, bądź to, że cesarz przynaglony będzie koniecznością upomnieć się o nadbrzeże Bałtyku i podgórze Karpatów, bądź to, że niemieckie rządy uznają jako zbyt dla siebie uciążliwe usadnienie się potęgi rosyjskiej nad Wisłą. Rozbierałem plany kampanii, jakie dla obu stron przystawać mogą i na ich zasadzie wyprowadzałem konieczną konsekwencyę przygotowania zawczasu teatru tej wojny w Polsce. Do tego zdawało mi się nieodbitnie potrzebnem niezwłoczne umocnienie fortyfikacyami stałemi Warszawy, potem wystawienie fortecy mocnej, ale co do objętości mniejszego już rzędu, w Modlinie, mniejszej jeszcze w Serocku, fortecy nad Wisłą, jednej powyżej Warszawy ku granicy austryackiej, a drugiej naprzeciwko Torunia w Nieszawie. Fortyfikacye takież na lewym brzegu Niemna naprzeciwko Kowna. Myślą moją było, czego oczywiście w memoirze nie powiedziałem, że te wszystkie fortyfikacye, zaopatrzone w wojenne rynsztunki i, jako na ziemi Królestwa Polskiego leżące, polskimi zawsze garnizonami obsadzone, wieleby sprzyjały przyszłemu powstaniu narodu polskiego, które, przeczuwałem, że jest niezawodne, ale w dalszej przyszłości, niż nastąpiło“.

Czy W. Książę przeniknął intencye autora memoryału, nie wiadomo, to pewne jednak, że jego plany zastosowano później w istocie, wznosząc powyżej Warszawy twierdzę Dęblińską i otaczając samą stolicę silnemi fortyfikacyami.

Ukończywszy tę pracę, przetłómaczył jeszcze *Trzydziestoletnią wojnę* Schillera, ale potem nastąpiła przerwa i powróciła dawniejsza tęsknota za żoną i wolnością, powróciło melancholijne usposobienie, podniecane tragicznemi wypad-

¹⁾ Myli się zatem Kołaczkowski (III, str. 92), gdy pisze, że Prądzyński »na rozkaz W. Księcia musiał się zająć projektem wojny z Austryą«. Jest to okoliczność ważna, bo wynika z niej, że Konstanty o takim starciu wcale nie myślał.

kami, jakie zaszły w murach więzienia. Udusił się wtedy młody oficer saperów Sabiński, poderżnął sobie gardło brzytwą b. pułkownik wojsk polskich Tarnowski, Wołynianin, na szczęście uratowany, zachorował ciężko X. Dembek, ks. Ksawery Ogiński dopuścił się brzydkiej denuncyacji względem więzionego również u Karmelitów Wiktora Ossolińskiego.

Wszystko to odbijało się silnie na wrażliwym umyśle Prądyńskiego i rozstrajało go zupełnie. Szukał ulgi w rozmowie z kolegami, doszedł do wielkiej biegłości w powolnem i uciążliwym pukaniu przez ścianę, ale popadał wnet w zadumę i zwątpienie. Nagle, w nocy usłyszał wycie i szczekanie na ulicy i poznał głos swojego ulubionego pieska, Boutona, który psim instynktem wiedziony, odszukał miejsce pobytu pana.

Za protekcją żołnierza Marcina, usługującego Prądyńskiemu, uzyskał wreszcie Bonton wstęp do Karmelitów i przez kilka dni przebywał w celi pana, ku największej jego radości, ale wnet stracił chęć do jedzenia i widocznie zatęsknił za psią swobodą. Wypuszczony, wygrzebał sobie przejście pod murem i odtąd odbywał wizyty swoje bez kontroli odźwiernego. Za jego też pośrednictwem zawiązał Prądyński z żoną korespondencję, która trwała aż do tragicznej śmierci wiernego psiny.

Tymczasem położenie więźniów uległo znacznej zmianie. Zwolna poznajomili się oni z żołnierzami i za dobrą zapłatą, bo byli to przeważnie ludzie zamożni, uzyskali możność porozumiewania się z miastem i w murach więziennych względnie większą swobodę.

Posłuchajmy, jak te stosunki przedstawia Prądyński w wspomnianym już liście do matki, która zarzucała mu, że mało dba o siebie i zanadto jest oszczędnym.

„Co do mnie — tak pisze — lubo musiałem tutaj nieustannie walczyć przeciwko wpływowi moich, odemnie daleko pieniądzejszych kolegów, wyciągających mnie codziennie na wydatki pod tytułem składek, kolei rozmaitych i t. d., to przecież sam sobie wszystkiego zupełnie tak znowu nie odmawiałem. Niech no Emilka Mamie powie, ile mi kolacyów, fruktów, herbat i t. p. naprzysyłała; niechaj porachuje, ile pieniędzy tutaj wyekspensowałem. A przecież skarb płaci na

moją jedną osobę 5 złp. dziennie, oprócz opalu, doktora, apteki. Przy tej okazji muszę też zdać moim paniom sprawę z moich terażniejszych wydatków“.

„Najglówniejszym jest wódka, która tutaj każdego z nas pewno 30 złp. miesięcznie, czasem i więcej kosztuje. Albowiem wtenczas, gdy się sprawa przed Sądem Sejmowym rozpoczynała, potrzeba było koniecznie tym, co szli pod sąd porozumieć się między sobą, z tymi nawet kolegami, co po innych siedzieli więzieniach. Od tego zależał wypadek sprawy, kajdany może dla kilku“.

„Trzeba więc było przekupić całą wartość, to jest, nie licząc domowników, dwunastu oficerów i kilkadziesiąt żołnierzy. To wszystko brało więc od nas regularne pensye, ale też za to doskonale służyło“.

„Ja, lubo nie będący pod sądem, ani potrzebujący też znoszenia się z drugimi, nie mogłem się jednak wyłączać od tych składek, bo przecież korzystałem także z wolności widywania się z drugimi, a co więcej, miałem przystęp do okna“.

„Dzisiaj, gdy nas tylko trzech, dawanie pieniędzy po dawnemu byłoby nad nasze siły, ale że się wszyscy nasi stróże wciągnęli do brania, musimy ich zbywać przynajmniej dobrymi słowami i wódką, bez której bylibyśmy wystawieni codzień na bardzo kwaśne humory“.

„Ale też piją! Prawdziwe są u nas szynki; ani im się opędzić można. Mamy wirtuozów oficerów, co na dzień po kilkanaście dużych kielichów tęgiej wódki wychylają, sami się o nią dopominając“¹⁾.

„Drugim moim wydatkiem jest opłacanie naszej tajemnej korespondencji, tego atoli wydatku żałować nie można. On to nam przecież jedyną pociechę przynosi, jakiej doznajemy. Wiele wydaję na papier, pióra, atrament; więcej jeszcze na ten przedmiot wydawałem dawniej, albowiem przez bardzo długi czas ja, jako faworyzowany, czyli raczej dlatego, że nie byłem pod sądem, miałem pozwolenie pisania. Ale jednak wszyscy pisali; bardzo była czynną tajemna korespondencya. Z obawy rewizyi, która tu nad Karmelitami

¹⁾ Dla wyjaśnienia dodać należy, że straż więzienna składała się z żołnierzy i oficerów rosyjskich.

nieustannie wisi, nikt nie śmiał trzymać u siebie materyałów piśmiennych, brali je więc u mnie jak gdyby w sklepie“.

Największą pomoc i osłodę przynosiły więźniom kobiety. A dam tych było sporo. W pierwszym rzędzie oczywiście żony, matki, siostry, dalej przyjaciółki i opiekunki rozmaitego rodzaju.

Namieśtnikowa Zajączkowa, zostając od wielu lat w najściślejszych stosunkach z Grzymałą, przysyłała swojemu faworytowi nie tylko obszernie listy, ale i potężne kosze, napełnione wybornymi wiktuałami. Pani Tomaszowa Łubieńska, znana w swoim czasie w Paryżu pod imieniem *la belle Polonoise*, opiekowała się z równą gorliwością Sewerynem Krzyżanowskim.

Amor grał w tej tragedyi pierwszorzędną rolę.

Wszystkie te panie oddawały więźniom liczne i ważne usługi, chociaż narażały się na kompromitacyę i gniew W. Księcia.

Raport komitetu śledczego, napisany przez generała Rautenstraucha, przysłano do Karmelitów w trzech egzemplarzach. O jeden postarała się pani Łubieńska, o drugi ks. Zajączkowa, o trzeci pani Prądzyńska.

Komendant więzienia, kapitan Niewodowski, surowy służbista, ale przytem w gruncie dobry człowiek, posiadający zaufanie W. Księcia, zaprzyjaźniwszy się z kilkoma więźniami, nie stosował do nich zbyt ściśle obowiązujących przepisów a w konsekwencyi nie mógł być także srogim i dla innych.

Zresztą żona jego, Hiszpanka, brała bez skrupułu upominki od bogatych dam i łagodziła oczywiście surowość męża.

W ten sposób ostre przepisy W. Księcia poszły zwolna w zapomnienie. Drzwi od kaźni otwierano, urządzano sobie wspólne obiady, wieczorami grywano w wista lub faraona, śpiewano, deklamowano, słowem bawiono się w najlepsze.

Ażeby zaś uniknąć jakiej niespodzianki, więc, ponieważ warta była regularnie pijana, schodził jeden z więźniów na dół, zamykał bramę i klucz kładł na stoliku, przy którym komendant w szlafroku dawał szlemy lub rozbijał bank w faraonie. W razie niespodziewanego przyjazdu majora placu lub generała Kuruty, miano dosyć czasu, na odgłos dzwonka u bramy, rozbiedz się po kaźniach i wzorowy przywrócić porządek.

Korzystając z swobody, zaczęto wydawać *Dziennik Karmelitański* albo też urządzano uroczyste przyjęcia członków do związku Templaryuszów, którego założyciele Majewski i Łągowski podpułkownik pokutowali za swoje winy w więzieniu.

Ale pogodny horyzont zachmurzył się niebawem.

Delegacya Sądu Sejmowego, pragnąc według możliwości dopomóc uwięzionym i wiedząc, że Prądyński siedzi tak długo u Karmelitów, zażądała, aby go stawiono przed nią celem przesłuchania.

Odpowiedziano zrazu, że Prądyński w obowiązkach służbowych znajduje się daleko od Warszawy, później, w nadziei przyznania się do wszystkiego z jego strony doniesiono Delegacyi, że Prądyński wrócił już, poczem woźny doręczył mu pozew.

Korzystając z tej okoliczności, wziął on się natychmiast do pióra i napisał, w odpowiedzi na pozew, protest, w którym wywodził, że jest więziony „wbrew zaręczeniu danemu przy świadkach przez W. Księcia, wbrew kodeksowi karnemu i wbrew konstytucyi“, zaczem protestuje przed Delegacyą złożoną z senatorów, obowiązanych do przestrzegania przepisów prawnych i ustaw konstytucyjnych.

W tej chwili wszedł do jego celi urzędnik rosyjski z przybocznej kancelaryi Cesarzewicza i zabrał wszystkie papiery, książki, wraz z protestacyą.

Nazajutrz zjawił się Kuruta, a wypytawszy więźnia o zdrowie i powodzenie, oświadczył, że W. Książę winszuję Prądyńskiemu znajomości ustaw, bo uważał go dotąd tylko za „odznaczonego się oficera“, biegłego w naukach wojskowych, a teraz widzi, że niema przedmiotu, którego by nie znał dokładnie. Żądanie Sądu legalnego jest według W. Księcia słusznem i po ukończeniu sprawy toczącej się przed Sądem Sejmowym, będzie Prądyński stawiony przed sąd wojenny, który go osądzi na tej samej zasadzie i w taki sam sposób, jak był osądzony Łukasiński.

Wysłuchawszy tej odpowiedzi, widząc straszną przyszłość przed sobą, postanowił nieszczęśliwy więzień skrócić swoją mękę przez śmierć głodową. Zamknął się przeto zupełnie od świata i nie przyjmował wcale pokarmu. Rzec

podobna nie mogła długo pozostać w tajemnicy. Kapitan Niewodowski złożył raport W. Księżciu, ten przysłał swego przybocznego doktora Kalischa, ale prośby i groźby nie odniosły żadnego skutku.

Prądyński trwał w swoim zamiarze i rozdrażniony do najwyższego stopnia, zwrócił się do Kalischa z następującymi słowy :

„Panie doktorze, ty jesteś służalcem W. Księcia, teraz ja na ciebie wkładam obowiązek zanieść mu moje słowa. Wkrótce stanę przed tym Sędzią najwyższym, który i mnie i jego zarówno sądzić będzie. Tam ja wzywam W. Księcia. Ja pokładam nadzieję w miłosierdziu Boskiem, on zaś niech ze swojej strony obrachuje się ze swojemi zbrodniami“!

Przestraszony taką determinacją Kalisch, wybiegł co prędzej z celi i wrócił z Kurutą. Kuruta siedział u Prądyńskiego przez kilka godzin, prosił, zaklinał — wszystko na próżno. Wtedy użyto innego środka: przez żonę wice-prezydenta miasta, Lubowidzkiego, skłoniono p. Prądyńską, aby napisała list do męża. Przerażona kobieta uczyniła temu żądaniu zadość i na jej usilne błagania oraz gdy Kuruta zaręczył w imieniu W. Księcia uroczyście, że Prądyński byle tylko przyszedł do sił i odzyskał zdrowie natychmiast żonie i obowiązkom swoim zwrócony zostanie, uległ w końcu nieszczęśliwy więzieniu, ale mimo to półtora roku jeszcze przesiedział u Karmelitów, wypuszczono go bowiem na wolność dopiero z początkiem marca 1829 r.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad karmelickim epizodem z życia Prądyńskiego, bo zawiera on bardzo wiele szczegółów ciekawych, bądź całkiem nieznanymi, bądź znanych tylko niedokładnie, bo charakteryzuje wybornie ówczesny system rządowy w Królestwie.

Ponad Namiestnikiem, ponad Sejmem, ponad Radą Administracyjną i Radą Stanu, górują dwie osobistości: W. Książę i Nowosilcow.

Pierwszy, jakkolwiek z porządku usunął się zupełnie od wszelkiego udziału w sprawach cywilnych, to jednak, jako Naczelnny wódz armii polskiej i brat królewski, posiadał we wszystkich gałęziach administracyi wpływ wielki, niemal de-

cydujący, i w Królestwie i w guberniach zabranych, poddanych jego władzy.

Po śmierci Namiestnika Zajączka (18 czerwca 1826 r.) zarządzał on bezwarunkowo całą administracją Kongresówki i ustanowił dlatego przy sobie osobną kancelaryę do spraw cywilnych ¹⁾.

Zapewne, w szczegóły nie wglądał, bo nie miał na to czasu, ale opozycyi nie znosił, tych, co woli jego sprzeciwić się odważyli, nienawidził. Lubeckiego nazywał „człowiekiem próżnym, zdolnym do wszelkich nikczemności, byle cel swój osiągnął“ ²⁾.

Odkrycie spisków ugruntowało jeszcze bardziej samowolę W. Księcia, i jak wspomnieliśmy już, podniosło znaczenie i wpływ Nowosilcowa. Z jednej strony podniecał on opozycyę sejmową, z którą utrzymywał stosunki, z drugiej śledził pilnie tajne towarzystwa, działając po myśli cesarza Aleksandra i skarbiąc sobie łaskę Konstantego. W Konstantym, mimo że się „opolaczył“ i przyznawał poufnie słuszność aspiracyom polskim, odzywała się zawsze krew rosyjska. Stąd pochodziła pewna solidarność pomiędzy nim a Nowosilcowem.

„Chcecie się stąd pozbyć nas wszystkich Rosyan“ wołał w passyi największej do Prądyńskiego, i zapomniał wtedy nie tylko o konstytucyi, ale i o najświętszych swoich przyrzeczeniach. Słowo honoru, wobec świadków dane, złamał, przed Delegacyą sejmową kłamał świadomie, a przyciśnięty do muru, uciekał się do sądów wojskowych, gdzie był pewnym zwycięstwa.

W ten sposób społeczeństwo polskie, poddane samowoli jednego człowieka o charakterze gwałtownym i nieobliczalnym, gnębione przez wyrafinowany system policyjny, służący celom intryganta-karyerowicza, znalazło się w położeniu niezmiernie trudnem i drażliwem.

W tych sercach, przepelnionych goryczą, przejętych miłością ojczyzny, traciła coraz bardziej grunt kompromisowa polityka, a utwierdzało się natomiast przekonanie, że ten stra-

1) Karnowicz, str. 65.

2) Tamże, str. 76.

szny system trwać dłużej nie może, że znosić go dalej niepodobna.

Tak myślała przedewszystkiem młodzież. Starsi, poważniejsi, podnosili ulepszenia wprowadzone przez Lubeckiego, rozwój przemysłu, ustanowienie Towarzystwa Kredytowego, wzrost dobrobytu, ale i oni także, tęskniąc do niepodległości, ulegali gorętszym ¹⁾.

W Ks. Konstancy, Nowosilcow, Towarzystwo Patryotyczne i Sąd Sejmowy uczynili wszystko, co było potrzeba do przygotowania i wywołania rewolucyi ²⁾.

Zaprawdę dziwny zbieg okoliczności, gdzie żywioly, w głowę sobie przeciwne i wrogie, do jednego zdawały się dążyć celu.

Bezpośredniej katastrofie przeszkodziły na razie dwie rzeczy: zupełny brak przygotowania ze strony polskiej i polityka Mikołaja I.

Spiski dawały na uczucie, ale nie stworzyły nic rozumnego. Program ich był niejasny, bo jakkolwiek dążyły do niepodległości, to niewiadomo, w jakiej wyobrażały ją sobie formie, czy w zupełnem oderwaniu się od Rosyi, czy też w unii personalnej. Nad tem i nad środkami, których użyć należało do osiągnięcia upragnionego celu, nikt się nie zastanawiał. Cała czynność konspiracyjna ograniczała się do przyjmowania członków i do propagandy w duchu patryotycznym, chociaż łatwo można było przewidzieć, że taka taktyka prowadzi w konsekwencyi do czynu, poprostu do rewolucyi. Więc gdy policya wykryła spiski, gdy zaczęły się straszne prześladowania i społeczeństwo popadło skutkiem tego w stan gorączkowego podniecenia, zapanowała zupełna bezradność.

Mikołaj tymczasem, rozpoczynszy wojnę z Turcyą i prowadząc ją z razu nieszczęśliwie, zmienił nagle swoją politykę względem Polaków. Senatorom, zasiadającym w Sądzie Sejmowym, dał wprawdzie „wygovor“, ale obok tego zaczął sobie widocznie jednać opinię.

¹⁾ Orpiszewski: *Kilka wspomnień*, l. c., str. 287.

²⁾ Mochnacki: II, 58.

W r 1828 kazał wystawić w kościele OO. Kapucynów w Warszawie kaplicę na pomieszczenie serca Jana III i oświadczył przy tem, „że ma sobie za prawdziwe ukontentowanie, iż może uczyć grobowcem, z własnych funduszków wzniesić się mającym, drogie szczątki bohatera, wybawcy chrześcijaństwa i przez to może dać jawny dowód czci, jaką jest przejęty dla cnót i znakomych przymiotów jednego z najdosłojniejszych poprzedników swoich“. Po zdobyciu Warszawy przysłał do Warszawy dwanaście dział tureckich, jako „ofiarę zadość czyniącą ceniom młodego bohatera, który przed czterystu laty poległ w chwalebnej walce przeciwko Turkom pod murami tej twierdzy“; w rok później kazał zawiesić w kościele św. Jana, obok chorągwi Mahometa, zdobytej pod Wiedniem, buńczuki tureckie, wzięte w ostatniej kampanii, a ponadto na odnowienie zamku królewskiego w Krakowie ofiarował 10.000 złp. i zezwolił, aby w całym kraju zbierano na ten cel składki; wreszcie zapowiedział koronację swoją na rok 1829.

Czy to znaczące manifestowanie królewskości polskiej przez Mikołaja wywarło pewien wpływ na społeczeństwo, trudno dziś powiedzieć.

Otoczenie cesarza było z przyjęcia, jakiego doznał podczas koronacji w Warszawie, zupełnie zadowolone. Benken-dorf, szef trzeciego oddziału, obdarzony nieograniczonym zaufaniem monarchy, pisał do Dybicza: „Znalazłem tu usposobienie roztropne i przygotowane na przyjęcie woli panującego. W prowincjach rosyjsko-polskich, podobnie jak i w Królestwie, nie liczą już na zjednoczenie. Cesarz jest ubóstwiany; kobiety i mężczyźni zachwycają się jego szlachetnym i swobodnym obejściem, uprzejmością cesarską i następcą tronu, wzbudzającym najpiękniejsze nadzieje“¹⁾.

Źródła polskie przedstawiają rzecz całkiem inaczej. Według nich przyjęcie było chłodne, zachowanie się Mikołaja sztywne. Prądzyński, który jechał na czele orszaku, poprzedzającego parę cesarską, pisze: „Z okien, napelnionych widzami, powywieszano kobierce, bo tak było przykazane, tak,

¹⁾ N. K. Szylder: *Imperator Njkołaj I, jewo żyżń i carstwowanie*. (Petersburg, 1903, tom II, str. 216).

że ulice miały rzeczywiście pozór uroczysty. Ale panujące grobowe milczenie, skutek strachu i ówczasowego usposobienia umysłów, było przerażające. Uczyniło wrażenie na samym Konstantym, który chcąc je zamienić na odgłos radości, wysuwa się na przód orszaku i pędząc ku tłumom ludu, wrzeszczał: Krzyczcie hurra! Ale lud, w którym jedynie uczucie strachu zwykle wzbudzał, nie mógł go zrozumieć i pierzchał przed nim w boczne ulice“¹⁾.

Jeszcze jaskrawiej maluje usposobienie ogółu Kołaczkowski²⁾.

„Wszystko odbyło się stósownie do programu i pod okiem ojcowskiej policyi, porządnie, chłodno i spokojnie, przy okrzykach urzędowych. Lecz okrzyki te nie szły od serca, wesołość była przymuszona, każdy od największego do najmniejszego, który znał naszą przeszłość, czuł się obrażony w narodowym uczuciu swoim; wiedziano bowiem, iż żadna myśl szczerą uroczystości tej nie przewodniczy, korona nie była królewską, przez co cesarz zawsze chciał dowieść, iż Królestwo Polskie jest tylko w jego oczach i narodu rosyjskiego podbitą prowincją, jak carstwo Kazania, Astrachanu i t. d.; arcybiskup był przytomny, lecz nie namaszczał i nie koronował³⁾, gwardye najbliższe cesarza były rosyjskie. Zamierzony cel więc zbliżenia, pogodzenia, zjednoczenia obydwóch narodów spełził zupełnie na niczem. Nienawiść, nieufność, zazdrość odtąd z każdym dniem rosły i roznieciły niezadługo płomień, którego żadna potęga nie była już w stanie uśmierzyć“.

Niepodobna przypuścić, aby człowiek tak umiarkowany, jak Kołaczkowski, do Belwederu zbliżony, od prześladowań W. Księcia i weksacyj policyjnych wolny, usiłował przedstawić położenie ówczesne w sposób przesadny i z rzeczywistością niezgodny.

W istocie pod tą spokojną na pozór powierzchnią wrzał nieustannie ogień niezadowolenia, ostatnimi wypadkami podniecony.

¹⁾ I, str. 180.

²⁾ III, str. 122.

³⁾ Mikołaj włożył sobie sam koronę na głowę, podobnie jak przy koronacyi w Moskwie.

W opozycyjnych kołach poselskich powstał zamiar podania adresu cesarzowi z żądaniem przywrócenia jawności obrad sejmowych, wolności druku i zniesienia komitetów śledczych. W razie odrzucenia petycji, co było do przewidzenia, miano chwycić za broń i rozpocząć powstanie.

Z tym projektem zgłosili się posłowie Trzeiński i Zwierkowski do Piotra Wysockiego, który od grudnia 1828 r. stał już na czele nowego spisku. Wysocki przedłożył rzecz związkowym, a ci przyjęli plan „z najwyższym zapalem, nie wątpiąc bynajmniej, że naród uzna prawość działań wojska“¹⁾.

Zastanawiając się dziś nad pomysłem Trzeińskiego i Zwierkowskiego, dziwić się trzeba tej lekkości, z jaką ludzie dojrzały, zajmujący bądź co bądź wybitne w społeczeństwie stanowisko, traktowali sprawę tak ważną, decydującą o losach całego narodu. Bo jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że powstanie, podjęte w tej chwili, gdy cała armia rosyjska była za Dunajem, miało widoki powodzenia, to posłowie wiedzieli chyba, a przynajmniej wiedzieć byli powinni, że wymaga ono należytego przygotowania, że ruch zbrojny nie może się oprzeć na garstce patryotycznej i dzielnej młodzieży, lecz musi liczyć przede wszystkim na udział całego wojska, zwłaszcza jenerałów i oficerów wyższych stopni, na życzliwe usposobienie i zapal szerokiej mas ludowych. A gdy tej pewności zgola nie było, gdy spisek Wysockiego, świeżo zawiązany, ograniczał się do szczupłego grona podchorążych i akademików, to ruch, wywołany przez Trzeińskiego i Zwierkowskiego, musiał się skończyć na prostej burdzie ulicznej, która pochłonęłaby była wiele ofiar i pogrążyła kraj w największe nieszczęście.

Ale, pominiawszy nawet te okoliczności, zachodziło pytanie bardzo ważne, co czynić z rodziną cesarską, zgromadzoną wtedy w Warszawie?

Mochacki, polegając na relacji Adama Gurowskiego, ma na to gotową odpowiedź: spiskowi postanowili wymordować wszystkich. Że taka myśl potworna, niedorzeczna i niepolityczna mogła się płatać po głowach niedowarzonych,

¹⁾ *Pamiętnik Piotra Wysockiego*. Biblioteka ludowa. (Paryż).

temu przeczyć nie chcemy. Wszak przytoczony już przez nas autor *Kilku wspomnień*, podaje rozmowę kilku młodych ludzi, z której wynika, że zbrodniczy projekt „zaledwie nie był przyjęty“. Ale na podobnej gadaninie polegać trudno, a br. Gurowski, w Warszawie i w Paryżu na emigracyi krzykliwy patriota i czerwony demokrat, następnie renegat i służalec Paskiewicza, nie zasługuje wcale na wiarę. Mniej jeszcze Wincenty Smagłowski, jak z jego zeznań niedawno ogłoszonych wnosić należy, głowa słaba i albo skończony waryat, albo półgłówek ¹⁾.

Z tego, co dotąd powiedziano, łatwo sobie przedstawić ówczesne położenie. Ścierały się widocznie w społeczeństwie dwa prądy: rewolucyjny, który chciał już teraz podnieść powstanie, i umiarkowany, nawołujący do rozwagi w przekonaniu, że stan obecny da się utrzymać, że narodowi, tyle razy w nadziejach swoich zawiedzi nemu, należy dźwigać się stopniowo z upadku, a nie rzucać się w przedsięwzięcia ryzykowne, bez odpowiedniego przygotowania i bez pewności zwycięstwa. I kierunek ten zwyciężył na razie.

Wysocki powiada krótko: „Rzeczona petycyja nie wzięła żadnego skutku; posłowie z pobudek politycznych do poparcia jej bronią jeszcze nas nie upoważnili“, a na pytanie: „Czyliby nie należało użyć właściwych środków, jakie w ręku mieliśmy swoim, odpowiedzieli, że nie czas jeszcze“.

Tak skończyła się ostatnia koronacya rozdźwiękiem. Nie przywróciła ona zaufania pomiędzy tronem a narodem, nie stłumiła fermentu nurtującego niezadowolone społeczeństwo, była tylko chwilowem zawieszeniem broni, z którego nikt skorzystać nie umiał. Nie skorzystał zwłaszcza Sejm 1830 r. Opozycyjnie usposobiony, wyrzucający rządowi wszystkie naruszenia konstytucyi, nie uspokajał, lecz podniecał, był, jak słusznie powiada Mochnacki, „małym dla braku inicjatywy w powszechnem i głównem działaniu na-

¹⁾ Aleksander Kraushar: *Spisek koronacyjny z r. 1829 w świetle pryncypl historycznej*. (*Przegląd Polski* z r. 1909. Zeszyt VII i VIII). Najtrafniej może scharakteryzował Smagłowskiego E. Łuniński w rozprawce: *Spisek Smagłowskiego a ks. Reichstadt*. *Wspominków z dni historycznych kart kilka*. (Warszawa, 1910, str. 187 — 237).

rodowem“; parł świadomie czy nieświadomie do rewolucyi, a równocześnie odrzucał petycję Szanieckiego „o zniesienie pańszczyzny“, uskarżał się na zaniedbanie oświaty ludowej, a zapomniał, że sam poprzednio nie poparł wcale dwukrotnej petycji, w której domagano się, aby w każdej gminie osobną założyć szkołę.

Nastrój i obrady tego niefortunnego Sejmu dawały już przedsmak rewolucyi i jeżeli opozycya o niej myślała, to miała obowiązek kraj do powstania przygotować, działanie spisku w swoje ująć ręce.

Ale o to nikt się nie zatroszczył. Niepoprawni doktrynerowie konstytucyjni, nagadawszy mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy rządowi, pewni, że dokonali wielkiego dzieła, rozjechali się do domów, pozostawiając kraj na łasce losu i wypadków.

Dr. August Sokołowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka.

— Kornel Makuszyński: *Dusze z papieru*. Tom I i II. (Lwów, Towarzystwo wydawnicze, 1911, str. 203 + 240). — U nas w Polsce książek o teatrze jest tak mało, że ile razy pojawi się jakaś w tym rodzaju, budzi zawsze zaciekawienie i niemalże zainteresowanie. Wprawdzie o teatrach pisze się często, ale są to tylko mniej lub więcej udane sprawozdania i krytyki z bieżącego repertuaru, informujące publiczność przeważnie szybko pod bezpośrednim wrażeniem tak o wartości odegranej sztuki, jakoteż o grze aktorów. Tego rodzaju feljetyony czy sprawozdania nieraz napisane są świetnie i oryginalnie, przeważnie atoli bez dłuższego obmyślenia i zagłębiania się. Brak na to — powód ważny — piszącemu czasu.

Czego jednak nie dostaje «codziennym» krytycznym sprawozdaniom, to już musi posiadać na dany temat osobno wydana książka, która już przez to samo, że jest «książką» a nie «odeinkiem», winna mieć cechy i zalety dzieła przetrwanego i dobrze obmyślanego. Bezpośrednie wrażenie odebrane z przedstawienia miało już czas ustąpić miejsca przedmiotowemu, spokojnemu rozważaniu, którego wynikiem jest już sąd mniej więcej stały, pewny i umotywowany. W ten sposób — z biegiem dni i miesięcy — niejeden utwór lub gra, na «premierze» w teatrze potępiona, może nabrać wartości, odsłonić przeoczone zalety i cechy dodatnie, i — znów naodwrot — niejednokrotnie sztuka przyjęta pod pierwszym wrażeniem entuzjastycznie, po pewnym czasie okaże się temu samemu człowiekowi jako (i tak bywa!) krzycząco-świecąca błyskotka, pełna barwnych piórek na zewnątrz, wewnątrz natomiast będąca tylko papierem lub drewnem, źle do tego oheblowanym.

P. K. M a k u s z y ń s k i, literat i krytyk teatru lwowskiego, ma świadomość tych wszystkich różnic, jakie zachodzą między feljetonem a poważną książką, na ten sam temat pisaną; mimo to w powyższe dwa tomy włożył tylko to, co już raz we feljetonach napisał.. Sam nazywa *Dusze z papieru* niczem in-

nem, jak tylko »zbiorem bezpretensjonalnych szkiców, będących obrazem artystycznego dorobku teatru lwowskiego za przeciąg lat kilku. Zbiór ten jest przypadkowy i dorywczy, gdyż przypadkowy i dorywczy jest repertuar polskich teatrów, chłonących lakomie i bez należytego wyboru wszelki import«. — Nie zapiera się również autor, że do widzianych sztuk odnosi się »bezpośrednio, styka twarzą w twarz, co było może często powodem zbytńich, lecz szczerych zachwyceń«. P. Makuszyński powtórnie podkreśla, że te »ulatne szkice nie mają najmniejszych do niego pretensyj, a mogą spełnić jeden tylko użytek: komuś, co kiedyś będzie pisał historię polskiego teatru, posłużyć za przykład wyrazu chwili, jednego dnia — nie więcej«.

Już na to ostatnie możnaby autorowi odpowiedzieć, że dla tego kogoś, kto będzie kiedyś pisał historię polskiego teatru, zgola nie potrzebne było powtórne przedrukowywanie szkiców już raz wydrukowanych. Badacz prawdziwy — wiadomości czerpać będzie u samego źródła, a więc z tych właśnie dzienników, gdzie feljetyony o teatrze były umieszczone i gdzie (t. j. w tych dziennikach) jest najważniejszy »obraz« danej chwili.

Ale nie o to chodzi. Przez zbiorowe wydrukowanie swych szkiców ułatwił autor poznanie ich tym, którzy dotąd feljetonów tych nie czytali, a szperać za nimi po rocznikach ani czasu ani ochoty nie mają. I tylko dla takich czytelników, tylko dla tego ogółu teatrem się zajmującego książka powyższa może mieć przeznaczenie i znaczenie. Chodzi teraz o to, co ona tym czytelnikom daje naprawdę, jaka jej wartość i jaka korzyść po przeczytaniu?

Najpierw, długo każdy namyślać się będzie, co znaczy ów naprawdę niewinny a przecież bardzo pretensjonalny tytuł: *Dusze z papieru*? Co to za »dusze« i kogo autor przez nie rozumie? — zaiste odgadnąć trudno! Czy to mają być owi autorowie wystawionych w teatrze sztuk, czy też bohaterowie tych utworów — nie wiemy i dopóki p. Makuszyński sam nie objaśni, wiedzieć tego nie będziemy. Jeszcze większą metafizyką traci pochodzenie tych dusz! Z papieru?! Wielkie słowo, tylko nie wiadomo, kto tutaj z papieru? Czy znów owe dramata i komedye, czy znowu osoby w nich działające (lub nie-działające), czy może aktorowie, którzy »z papieru« (?) ludzi żywych tworzą? O aktorach i ich grze słowa w książce niema, do autorów zaś i ich dzieł ten »papier« również nie przystaje. Choć bowiem autorowie ci na papierze piszą (a może który na pergaminie?), przecież miałby się p. Makuszyński z pyszna, gdyby takiemu nieboszczykowi Fredrze lub Ibsenowi, albo z dzisiejszych p. Żuławskiemu lub Hauptmannowi powiedział, że oni, albo ich twory, to... dusze z papieru!! Obrazy, urazy i pojedynków byłaby moc cała!

Ale mniejsza o tytuł! To ważne, co pod nim. A pod nim, t. j. pod tym dziwnym tytułem znajduje się kilkadziesiąt szkiców, omawiających sztuki tak autorów polskich (tom I) jakoteż zagranicznych (tom II). Jak są te szkice pisane? Powiedzmy z góry, że, co się tyczy języka i stylu, żywe są, barwne i dowcipne. Lecz i przy tem zastrzeżenia trzeba poczynić!! Dowcip p. Makuszyńskiego wybredny nie jest, a już o wiele w *Duszech z papieru* słabszy, niż w omawianych przez nas szkicach p. t. *W kalejdoskopie*. Dowcip ten polega tylko na niespodziewanych przez czytelnika zwrotach i wykrzyknieniach, które, nie mając z opisywanym przedmiotem nic wspólnego, zadziwiają swoim niepotrzebnym istnieniem. Weźmy przykład, zaraz z pierwszego szkicu o Fredrze, a raczej o *Slubach Panięskich*. Szkic ten napisany wcale ładnie i zgrabnie, pełen szacunku i uwielbienia dla Fredry, razi pewnego rodzaju niepotrzebną mieszaniną hałaśliwego humoru z uczuciem naprawdę szanownem i poważnem. Ten »humor« objawia się n. p. w takich »enuncyacyach« autora. »Więc — pisze p. Makuszyński — mnie zupełnie odbiega ochota sprawdzać, czy Klara bucik ma stylowy i zawiązany dobrze, a Anieli chciałoby się szepnąć, aby sobie nie zaprzętała rozkochanej głowy Tarnowski, że ją z uznaniem »porządną panną« mianował, a Klarę... »także bardzo porządną«.

Liche co się zowie dowcipy! Naprzód jest już dzisiaj obowiązkiem krytycznego krytyka kontrolować, czy Klara ma stylowy bucik, czy nie (chyba, że p. Makuszyński pozwoliłby aktorce grającej Klarę wyjść na scenę w »amerykanach« lub »jnp-e-culotkach«), ale, co ma w tej chwili do czynienia Tarnowski z Aniela? — doprawdy, dociec trudno! Aha, już wiemy! Jest to zezek i umizg w stronę »galeryi« i »proletaryatu«. Ten się (we Lwowie, a może i po za Lwowem) z tego w głos zaśmiewać będzie!

A w tym tonie »dowcip« i »humor« p. Makuszyńskiego obraca się najczęściej, mimo, że ani autorowi nie przynosi pożytku, ani też książce uroku nie dodaje. Autorowi pożytku nie przynosi z tej prostej przyczyny, że każdy rozsądny powie mu: przepraszam pana, ale ten rodzaj dowcipu i żółci był własnością p. Nowaczyńskiego, a pan albo ma, albo winien mieć swój własny i oryginalny! Książce zaś szkodzi, gdyż nieraz w szkicu napisanym przez autora bystro i poważnie rozrywa tok myśli i z rzeczy nieraz zbyt zasadniczej robi prostą, cyrkową krotoczwilę. Podobać się to może i — podoba nawet — ale nadużyte, niesmaczną manierą się staje; zresztą, tego rodzaju »ekscentryczność« schlebia gustom tylko umysłowych »fistrów« i »burżujów«. A chyba dla takich p. Makuszyński feljetonów swych nie pisze?

Otóż w tego to rodzaju formie opowiada nam p. Makuszyński o sztukach, jakie teatr lwowski w przeciągu ostatnich lat kilku wystawił. Że zaś repertuar Lwowa prawie identyczny z krakowskim, przeto nawet my, biedni mieszkańcy nie-Lwowa, ocenić możemy wartość wywodów autora.

Przedewszystkiem z góry zarzut jeden, a zdaniem naszym, ciężki i ważny. Oto p. Makuszyński, rozprawiając o jakimś utworze autora (granym oczywiście na scenie), nie mówi i nie pisze o tym właśnie utworze i jego znaczeniu dla rozwoju (czy zastoj) twórcy, lecz na podstawie tej jednej czy dwóch sztuk mówi już o autorze samym i całym. Tego chyba nie można, a tak czyni p. Makuszyński. Prawda, że w każdym niemal dziele odzwierciedla się dusza i talent twórcy; lecz, cóżby powiedział sam autor omawianej książki, gdyby ktoś, patrząc w teatrze na *Mindowę* Słowackiego, omawiał na podstawie tego jednego dramatu (lub dwóch a nawet trzech) całą twórczość Słowackiego? A przecież p. Makuszyński ostro sądząc (zdaniem naszym bardzo słusznie!) na przykład *Samotnych* Hauptmanna, lub *Łódź kwiatową* Sudermanna, albo też *Pochodnię pod korcem* d'Annunzia, już przy tej sposobności wypisuje zbyt ostre wyrzuty i zarzuty prawie że całkowitej twórczości tych pisarzy, zapominając niejednokrotnie, iż prócz powyższych pisali oni dzieła inne, a lepsze i oryginalniejsze. Temu zaś uogólnianiu jednego utworu z całokształtem pisarskiego charakteru danych autorów daje p. Makuszyński nawet techniczny w książce wyraz, tytułując każdą omawianą sztukę nazwiskiem autora. A więc najpierw wypisuje się szumnie napis: »Henryk Ibsen«, a potem osobno skromnie tytuł dramatu: *Pani zanku Östrot*, mimo, że ani ta *Pani zanku*, ani też uwagi tam pomieszczone o całym Ibsenie pojęcia nie dają zupełnie.

Zarzut nasz drugi dotyczy sposobu krytykowania. Wspomnieliśmy już o formie pisania p. Makuszyńskiego, czysto zewnętrznej, wiele również pozostawia do życzenia »zawartość«, »treść« tych szkiców! Nie mamy bynajmniej zamiaru rozwodzić się nad wyższością krytyki czy to t. zw. subiektywnej, czy obiektywnej. Zdaje nam się jednak, iż w każdym razie winno być w krytyce dobrej, a zwłaszcza sprawozdawczej, przedmiotowe ujęcie treści (w tym wypadku wystawionej sztuki), następnie wykazanie jej cech i zalet lub też wad i błędów, w końcu zaś omówienie jej znaczenia dla twórczości jej autora, wpływu na otoczenie i t. p. Nie mogą zaś istnieć albo entuzjastyczne wykrzyknienia i »brawa«, albo też złośliwe drwiny — nie poparte poważnym argumentem. Tamte mogą podobać się tłumowi i »animować« czytelników, nie zastąpią atoli poważnego i rzeczowego sądu.

Konia z rzędem temu, kto, nie znając »osobiście« jakiejś ze sztuk przez p. Makuszyńskiego omówionej, po przeczytaniu

jego sprawozdania dowie się, co w tej sztuce jest, jaka jej wartość, jakie znaczenie? Chyba wyjątkowo trafić się to może!

Jak wspomniano wyżej, *Dusze z papieru* wcielone zostały w tomy dwa. Rozmyślnie zapewne obejmuje tom pierwszy szkice o pisarzach naszych, rodzimych, tom zaś drugi o autorach obcych, zagranicznych. Kto pilnie przerzucił obie te części, ten zauważył niechybnie, iż znacznie większą wartość posiada tom drugi, ten właśnie, gdzie p. Makuszyński omawia twórczość pisarzy obcych. Jest to czysto osobiste wrażenie nasze, ale tak nam się wydaje, że mówiąc o pisarzach polskich, jest nasz sprawozdawca mocno za entuzyastyczny, jakiś dziwnie pobłażliwy, w pochwałach hojny, ba, nawet do uniesień skłonny. Odwrotnie ma się rzecz z zagranicą. Porządne cieżgi dostali wspomniani już Sudermann, Hauptmann a zwłaszcza d'Annunzio, ostro skrytykował autor Björnsona (*Gdy młode wino zakwita*), słusznie wydrwiono Maugtham'a (*Lady Frederick*). Zgoda na to, bo zarzuty p. Makuszyńskiego sprawiedliwe i wyjątkowo uzasadnione. Lecz, czyż nasi pisarze tylko na »entuzyazm« (!) zasługują? Chwali się to autorowi »papierowych dusz«, iż tak życzliwy dla wyrobu krajowego! Owszem, obowiązkiem jest każdego teatralnego krytyka żądać, aby przedewszystkiem zachęcano, popierano i wyszukiwano talenta własne, lecz trzeba z nimi obchodzić się równie surowo a sprawiedliwie, jak z twórcami zagranicy. Tymczasem — daruje autor — nie można pisać tak czule, jak właśnie p. Makuszyński napisał, o takiej lichocie, jak n. p. *Sasiadka* p. Jaroszyńskiego, lub aż w takim stopniu, co autor, entuzyazmować się »biedną« *Panną Maliczewską*, lub też wplatać liść laurowy do wieńca dla p. Krzywoszewskiego za... *Aktorki!* Również grubo przesadzone wydać się muszą zdania takie, jak n. p. te z powodu *Aszantki* pisane: »Jeśli jeszcze — mówi autor — cokolwiek warte skompromitowane mocno literackie proroctwa, bez wahania rzecz można, że Włodzimierz Perzyński wejdzie do literatury jako jeden z tych, którzy w niej poczynają rozdziały i których nazwiska kilkakrotnie się podkreśla. Komedia polska znalazła opiekuna (?) wśród najmłodszych... i t. d.« — P. Perzyński talentem jest bezsprzecznym, ale, żeby już dziś był »opiekunem komedii polskiej«, o tem chyba on sam nie myśli, bo nawet, znając siebie, myśleć nie może. Tego zaś rodzaju kadzidla, jakimi szczerze p. Makuszyński autorów okadza, a feljetony zadymia, mogą tylko prawdziwe młode talenta odurzyć i połamać. A przykładów na to w historyi literatury (nawet naszej) mamy dość!!

Są i w tomie pierwszym oceny (zdaniem naszym) zupełnie trafne a barwne przytem i żywe. Do takich zaliczamy szkic o *Kajetanie Węgierskim* p. Nowaczyńskiego i o komedyi *Za cenę łez* p. Żuławskiego. Ostatni ten utwór osądził autor

surowo a słusznie, lecz znów nie można łączyć osoby i rodzaju twórczości poety z tym jednym wybrykiem niesamowitego humoru. Wszak p. Żuławski napisał jeszcze wiele, wiele innych książek i utworów.

Zadziwia również umieszczenie w powyższych tomach szkicu o panu Kurt Kraatz'u i o jego *Zaśartym automobiliście*. Że jako krytyk teatralny kiedyś p. Makuszyński musiał o tem pisać, to było tylko *malum necessarium*. Ale »feljeton« o tej »krotochwili« (płaskiej, płytkiej a cyrkowej) przedrukowywać w książce — to znów już całkiem zbyteczne, tembardziej, iż sam autor mówi w przedmowie, że »zbiór ten jest niekompletny, że pominięto w nim wiele scenicznych drobiazgów, usunięto też feljetonowe sądy o dziełach scenicznych«. P. Kraatza trzeba było także do »drobiazgów« zaliczyć i nie pisać o nim wcale.

Rozwiedliśmy się trochę dłużej nad *Duszą z papieru*. Uczyniliśmy to dlatego, że mowa tam o teatrze, a książek na ten temat tak mało, tak bardzo u nas mało. Każda więc »zjawka« w tym kierunku winna zwrócić na siebie baczną uwagę. Powtóre uważamy p. Makuszyńskiego za talent krytyczny bystry i nie zasuszony. Nie możemy atoli pogodzić się z tem, by krytyki jego były tylko feljetonami, dziennikarskimi fajerwerkami ku zadowoleniu lwowskich »bywalców teatru« (czytaj »dramatu«. O horror, cóż operetce zostanie??) pisawami. A nie chcemy się z tem pogodzić choćby jeszcze i z tej przyczyny, że p. Makuszyński zapowiada tego rodzaju książek ciąg dalszy. »Ciągu dalszego« życzymy mu szczerze, ale innego, więcej pogłębionego, więcej przetrwionego, takiego »ciągu«, któryby był nie przedrukiem tylko pospiesznie i powierzchownie pisanych »odcinków« dziennikarskich, lecz był naprawdę książką czyto o całym teatrze lwowskim, czy też choćby o jednym tylko teatralnym roku.

Nie mamy prawa (śmiesznem by to było!) udzielać autorowi jakowychś »rad i wskazówek«, mimo to, przemocą pod pióro ciśnie się uwaga, że jeśli *Dusza z papieru* mają mieć wartość także na przyszłość i dla przyszłości, nie mogą być przemijającymi efemerydami, pisanymi ku zadowoleniu »filistrów« i nie krytycznych głów.

A. E. Baliński.

— *W obronie piękności kraju*. Skreśliła Ewa Łuskińska. Wydanie Towarzystwa upiększania miasta Krakowa i okolicy. (W Krakowie, 1910). — Bogate, posiadające wysoką oświatę Niemcy, zrozumiały pierwsze znaczenie ochrony zabytków dzieł sztuki. Pojęto tam, że jest to sprawa ogromnego znaczenia dla całej kultury. Rząd zagarnął zabytki pod swoją opiekę, a czynne, energiczne stowarzyszenie *Heimatschutzverein*, zawiazane w r. 1904, skutecznie szerzy zamilowanie i poszanowanie zabytków przeszłości. Ruch ten ogarnął następnie Francję, Szwajcaryę, An-

glię. U nas dopiero w ostatnich latach obudził się żywy ruch na tem polu, dzięki działalności konserwatorów, a następnie Towarzystw Miłośników Krakowa, Opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury, wreszcie Towarzystwa upiększenia miasta Krakowa i okolicy. To ostatnie właśnie wydało broszurę p. Ewy Łuskińskiej, która, pisana żywo i barwnie, ma na celu zwrócenie szerokim masom uwagi na zabytki sztuki, ich piękno i znaczenie.

P. Łuskińska, idąc za przykładem broszury Schultza p. t. *Die Entstellung unsres Landes*, umieściła w swej książce szereg zdjęć fotograficznych z zabytków architektonicznych i krajobrazu, przeciwstawiając im przykłady ujemne, będące owocem ostatnich przewaźnie lat.

Zestawienie tego rodzaju uczy ogromnie dużo, naoecznie przekonuje o wartości zabytków przeszłości i ich pięknie. Autorka, przechodząc przez wieś polską i nasz krajobraz do miast, dobitnie wykazuje zniszczenie, jakie szerzyły ostatnie lata i skutki tego niwelowania piękna kraju.

W Polsce pod tym względem panowała długo bezwzględna obojętność — czas był największy uderzyć na alarm, wykazać wartość i znaczenie zabytków przeszłości. O dziejach danego narodu, jego losach i kulturze opowiadają nie tylko kroniki i pamiętniki. Obok tej pisanej historyi istnieje druga, więcej żywa i silniej może do nas przemawiająca, zamknięta w murach zabytków przeszłości. Od wieków umiano zawsze cenić ową pisaną historyę; odmiennie odnoszono się często do dzieł sztuki i jej zabytków.

Z chwilą zapanowania nowych poglądów, z napływem świeżych prądów, przekształcano dzieła epoki poprzedniej, zastósowywano je do nowych wymagań i potrzeb. Czyniono to jednakże w dobrej wierze: wyobrażenia artystyczne, jakie w pewnej chwili panowały, w przekonaniu ówczesnych ludzi były najlepsze, w imię więc tego przekształcano często bezwzględnie. W ten sposób n. p. kościoły nasze noszą na sobie nieraz ślady rozmaitych stylów, są dokładnem odbiciem tych prądów, jakim ulegała sztuka naszego kraju. Często w gotyckiej katedrze spostrzeżemy renesansowe kaplice, barokkowe ołtarze i ambony, nawet pojawia się nieraz lekka, strojna dekoracya rococo. A przecież, mimo tej mieszaniny stylowej, wewnątrz robi artystycznie harmonijne wrażenie. Czem to należy tłómaczyć? Oto zdaje się tem, że obok, jeżeli nie arecydziel, to przynajmniej wysoka wartość posiadających zabytków, epoka następną przekształcała lub dodawała dzieła równej wartości artystycznej.

Dla ludzi z wieków minionych sztuka nie była czemś oderwanem od życia, czemś zbytkownem, bez czego można się było obejść; przeciwnie, była wewnętrzną ich potrzebą, prawie

koniecznością. To też gdy stawiano domy mieszkalne, starano się nadać im wytworne, artystyczne piętno; to samo możemy spostrzedz w dawnych strojach, meblach, w całym urządzeniu domowym. Wieki poprzednie przekształcały, czasami nawet niszczyły zabytki poprzednich lat, ale zarazem tworzyły arcydzieła nowe.

A dzisiaj? Dzisiaj nie tworzy się prawie nic — natomiast wiele się niszczy i burzy. W ostatnich pięćdziesięciu mniej więcej latach dokonywa się w naszych miastach i wsiach przemiana, jakiej dotychczas nie widziano. Z dniem każdym zmienia się charakter kraju, ginie jego piękność, znikają resztki wykwiśniętej kultury przeszłości. Zabytki, które przetrwały wieki, burze wojen, pożarów, padają ofiarą spekulacyj finansowych lub źle zrozumianego postępu. Ginie zbiorowe dzieło, jakie wytworzyła praca wieków na tle przyrody. A w zamian daje się tandetę, pozbawioną wszelkiej wartości artystycznej.

Rok każdy prawie przynosi nową klęskę, padają stare domy, a w miejsce ich pojawiają się ohydne pudła czynszowe. Znikają pełne cichego uroku dworki podmiejskie, wsie zamieniają się w proletaryackie osady. Padają pod siekierami lasy, drzewa stare wyrosłe przy drogach lub otaczające kościoły, nawet czasami nie z chęci zysku, lecz z bezmyślności. Brzydota wtargnęła wszędzie, załala nasze wsie, miasta, wycisnęła piętno na naszych mieszkaniach.

Świat wyrównuje się i gwałtownie szarzeje. Przypatrzmy się ulicom nowożytnym naszych miast: takie same spostrzeżemy na południu, północy, we wszystkich częściach świata, gdzie tylko dotarła cywilizacya. Wszędzie spotkamy domy bez wyrazu, pozbawione wszelkiego piętna twórczości artystycznej, różniące się tylko liczbami. Gina narodowe charakterystyczne cechy — zaginął strój, znikają zwyczaje, a teraz upodobnia się całe otoczenie. Brzydota i tandeta — oto, czem nas obdarzyły ostatnie lata ze swym bajecznie rozwiniętym przemysłem fabrycznym, który zarzuca swojemi wyrobami całą ziemię, niszcząc resztki rękodzieła artystycznego.

Czas ostateczny spojrzeć prawdzie w oczy. W architekturze doszliśmy do rozpaczliwego stanu; niegdyś królowa sztuk plastycznych, dzisiaj architektura przestała być właściwie sztuką, przestała być twórczą. Gromadzi się teraz wszystkie możliwe formy, popisujemy się wiadomościami stylowemi bez cienia artystycznego poczucia. Sztuka jest zawsze odbiciem życia danego społeczeństwa w pewnej epoce; to też styl każdy w architekturze jest logicznym wynikiem duchowych i materialnych potrzeb i wyobrażeń danej chwili. Ze zmianą poglądów, potrzeb, w miarę wzrostu wymagań najróżnorodniejszych, zmienia się także styl. Pewna więc forma, przeniesiona w inne

czasy, w zmienione zupełnie odmienne warunki życia -- będzie czemś nieszczerem, niewynikającym z potrzeb chwili, będzie mniej lub więcej udatną kopią, ale tylko kopią. W wyjątkowych okolicznościach tylko chęć naśladowania stylów poprzednich epok nie prowadzi do bezmyślnego powtarzania i to przeważnie dzięki niezajomości dokładnej danego stylu. Tak n. p. było w epoce romantycznej, w chwilach nawrotu do gotyku. Niektóre zabytki z tych czasów, pomijając cały szereg dziwactw, mają pewną wartość artystyczną li tylko dlatego, iż było to, skutkiem niedokładnej znajomości dzieł z tej epoki, raczej fantazyowanie na temat gotyku, niż naśladowanie.

Już przed kilkunastu laty obudził się w Anglii, a następnie w Niemczech, ruch, zmierzający do odrodzenia architektury, który rezultatów ostatecznych jeszcze nie osiągnął, nie stworzył nowego stylu, któryby był wiernem odbiciem prądów nurtujących w naszych czasach, ale który zerwał z bezmyślnem naśladowaniem zabytków przeszłości — wniósł napowrót w architekturę swobodę twórczości, uwzględnił wymagania nowożytnych potrzeb.

Jak w życiu, tak i w sztuce nie zjawia się nagle, bez poprzednich usiłowań w tym kierunku. Tylko Pallas w zbroi wyskoczyła z głowy Jowisza — po za tem wszystko na świecie musi przechodzić fazy powolnej ewolucyi. Dlatego też architektura czasów naszych, o ile ma iść dalej drogą logicznego rozwoju, z konieczności musi się oprzeć o przeszłość. W zabytkach wieków minionych, po za ich artystyczną wartością, jest jeszcze jedna rzecz niezmierniej wagi — oto wiedza, zdobyta długimi latami doświadczenia, umiejętność przystosowania się do miejscowych warunków.

Powszechnie jest wiadomem, że warunki klimatyczne, atmosferyczne, gleba i t. d., wywierają dominujący wpływ na życie ludów, ich poglądy, ustroje państwowe, a w dalszym ciągu i na sztukę. Owocem takiego umiejętnego przystosowania do warunków kraju jest n. p. nasza zagroda wiejska. Wysokie, spadziste dachy, które spotykamy na Północy, nie są czemś przypadkowym, wynikiem panowania chwilowej mody, ale powstały one z konieczności, ze względu na obfite opady atmosferyczne, deszcze, śniegi.

Zabytki architektury u nas różnią się dość wybitnie od zabytków, stawianych w tym samym stylu w innych krajach. Przyczyna główna tej zmiany leży właśnie w przystosowaniu do odmiennych warunków. I tutaj leży niezmiernie doniosłe znaczenie ochrony zabytków. Są one przykładem, wzorem przekształcania rozumnego dzieł, przejętych z obcych ziem i zastósowywania ich do charakteru naszego kraju. Pomijając już monumentalne dzieła przeszłości, przypatrzmy się, w czem leży urok i piękno naszych chat, krytych słomą, dworców szla-

checkich, cichych kościołów wiejskich. Wiele tu znaczą owe ciekawe okapy, piękne podcienia, ganki, będące wykwitem rodzimej, ludowej sztuki, lub też umiejętnem przerobieniem, dzięki zmianie materiału, form, stylów historycznych, ale przede-wszystkiem piękno ich wynika z zupełnego zharmonizowania z otaczającą przyrodą. Spokojne lagodne kształty i linie naszych domów wiejskich zlewają się zgodnie z falistemi liniami naszego krajobrazu. A zgodności tej nie wytworzył jeden człowiek, ani dziesiątki lat, ale jest ona owocem pracy pokoleń, które wśród wieków całych wytwarzając i doskonaląc formy, zgodnie z potrzebami i naturą kraju, stworzyły odrębne, samoistne piękno. Dlatego też obrona zabytków przeszłości, to nie romantyzm, rozczulanie się nad ruderami, ale obrona owoców pracy twórczej przeszłości — w imię przyszłości. W Anglii najpierw zrozumiano wartość tych skarbów, zamkniętych w budownictwie rodzimem. Współcześni architekci zwrócili się do sztuki ludowej, do zagrody chłopskiej, w «której — jak mówi Mokłowski — niema nic takiego, coby nie było wynikiem lat licznych rozwoju, nie mieściło w sobie stężalych wiekowo warstw kulturalnych. To też dzisiejsze budownictwo angielskie, szczególnie domy, przeznaczone dla jednej rodziny, są dalszem, logicznem rozwinięciem form zagrody włościańskiej, są podobnie jak ona pozbawione wszelkich zbytecznych ozdób, a piękne są swą prostotą, spokojnemi liniami. Gdy u nas zwrócono się do sztuki ludowej, popełniono początkowo wiele zasadniczych błędów. Bardzo często, zamiast na podstawie zebranych materiałów tworzyć i rozwijać formy — naśladowano, zapominając o tem, że zagroda chłopska, choćby najlepszego typu, dzisiejszym potrzebom już nie odpowiada. W projektach architektów często spotkać można tego rodzaju błędy logiczne, jak n. p. przenoszenie owych «sobót», t. j. krytych ganków, otaczających drewniane kościoły, które tam są konieczne, jako ochrona drewnianych ścian przed deszczem i śniegiem i zapobiegają gniciu — do kościołów murowanych, gdzie one stają się nonsensem, lub też przenoszenie zdobniczych motywów ludowych, n. p. szarotki stylizowanej na ordynarne domy czynszowe. A przede-wszystkiem pamiętać należy, iż sztuka ludowa ulegała również wpływom wielkiej sztuki; dowodem tego nasze dworki, nawet chaty, gdzie często spotykamy reminiscencye renesansu i barokku. Naśladując więc te rzeczy, będzie się powtarzało kopie. Już nasze dworki szlacheckie ucza, w jaki sposób należy korzystać z wzorów ludowych: »Przebieg i dwór szlachecki, często drewniany, tysiącem węzłów w układzie i zdobieniu z kolebą chłopską związany, był i jest czemś wyższem, do wytworniejszego życia przystosowanem«. (Mokłowski: *Sztuka ludowa w Polsce*). Nie kopiowanie więc, ale logiczne rozwijanie form i przystosowywanie ich do nowych

potrzeb może być hasłem przewodniem nowożytniej architektury.

Ostatniemi czasy zerwano u nas brutalnie tę łączność dzieł architektonicznych z przyrodą, zniszczono przez to jej charakter i piękno. Ciche kościoły nasze, tak odpowiednie potrzebom i charakterowi wsi, zastąpiły szumne »katedry«, będące świadectwem zupełnego zepsucia smaku i fałszu, gdzie kamień zastępuje gips, a marmur malowane drzewo. Nieszczerość i tandeta pojawiły się w miejsce dawnych zabytków. Kiedyś może opisów naszego kraju słuchać będą jak baśni o cudnych ziemiach, bo rzeczywistość piękna w niczem nie będzie przypominać, gdyż giną nietylko zabytki sztuki, ale zmienia się do gruntu charakter naszego kraju, ginie jego piękno. Niszcząc daleko jest łatwiej, niż tworzyć; wieków całych będzie potrzeba, aby zatrzeć ślady dzisiejszego barbarzyństwa. Niszcząc zabytki przeszłości, resztki wykwintnej kultury ojców naszych, zabijamy równocześnie w sobie poczucie piękna i dochodzimy do zupełnej niemocy twórczej. Często wpływy chwilowe, wypadki dziejowe, nawet bez większego znaczenia, oddziałują na dusze ludzkie. Cóż się stanie z ludzkością, jeśli żyć będzie ustawicznie wśród brzydoty, zupełnej szarzyzny? Jakie pokolenia będą wyrastać w ohydnych domach czynszowych, w wstrętnych osadach wiejskich? Brzydota nie uszlachetni ich dusz. I pod tym względem szczególnie *caveant consules*.

Oświecać więc należy jak najszersze masy. Z chwilą, gdy zbudzi się poszanowanie zabytków przeszłości, należyte ocenienie ich piękności — zwróca ludzkie uwagę na swe otoczenie, a gdy porównywać będą stan dzisiejszy z przeszłością, zbudzi się w nich tęsknota twórcza za pięknem nowem. I tą drogą dojdzie może ludzkość do odrodzenia estetycznego.

Mieczysław Skrudiłk.

— *Literatur als Waare*. Bemerkungen über die Wertung schriftstellerischer Arbeit von W. Fred. (Berlin, 1911. Im Verlage von Oesterheld & Co.). — *Literatura jako towar...* Bez zmiany w słowach, a tylko w zmienionem odpowiednio znaczeniu możnaby tu powtórzyć, co Mefistofeles mówi do Fausta:

...Das will Euch nicht behagen;
Ihr habt das Recht, gesittet Pfiu zu sagen.
Man darf das nicht vor keuschen Ohren nennen,
Was keusche Herzen nicht entbehren können.

Bo któż widział przyznawać jawnie, że literatura także jest towarem. Kupują ją wydawcy, sprzedają ją pisarze, ale jedni

i drudzy wstydzą się przyznać otwarcie, ci, że kupują, tamci, że sprzedają. P. W. Fred ma tę odwagę. Mówi głośno to, co wielu po cichu myśli, i stąd pochodzi wielki w Niemczech rozgłos tej małej książeczki. Dla nas jest ona ciekawą przedewszystkiem jako wierny zapewne obraz materialnego położenia niemieckich pracowników pióra, o którym my albo nie nie wiemy, albo przeważnie fałszywe i zbyt korzystne mamy wyobrażenie. P. Fred zastrzega się na początku, że mówić będzie nie o rzeszy pisarzy, którzy z jakiegokolwiek powodu nie mają uznania, ale tylko o tych, którzy już do niego doszli. Już zasadniczo widzi, że i oni w gorszych są warunkach ekonomicznych, niż inni pracownicy sztuki. Malarz u. p. osiągnąwszy sławę może dowolnie wysoko oznaczać ceny swoich obrazów, pisarz dramatyczny zaś lub powieściowy i w tym najszcześniejszym wypadku żądania swoje musi ograniczać pewnymi pozytywnymi a stałymi normami: dramat, nawet najlepszy, może być pokazywanym na scenie tylko po zwyczajnych cenach biletów wstępu do teatru, stąd tantiemy autorskie zawsze będą tęsame, a ich wysokość zmieniać się będzie w miarę ilości przedstawień danej sztuki; powieść, choćby najlepsza, nie może kosztować więcej niż przeciętna cena tomu, a stąd znowu honorarium autorskie zależy tylko od ilości sprzedanych egzemplarzy. Obok innych różnic, jeszcze i ta znaczną odgrywa rolę: obraz lub rzeźba mają cenę stosownie do wartości artystycznej, a niezależnie zupełnie od wielkości dzieła; tutaj zaś jest inaczej: jednoaktowy dramat przyniesie autorowi zawsze daleko mniej zarobku, niż sztuka, zapelniająca cały wieczór, choćby artystycznie była od tamtego bezporównania gorszą; honorarium za powieść w trzech tomach będzie zawsze znacznie wyższem od wynagrodzenia za krótką nowellę, choćby ona była arcydziełem, a tamten romans tylko porządną robotą. Najjaskrawiej występuje to na jaw w dziennikach i czasopismach, gdzie powszechnie oblicza się honorarium »od wiersza« lub »od arkusza«. W szczegółowych roztrząsaniach p. Fred rozróżnia trzy kategorie literatów: 1) takich, którzy przeważnie tworzą większe dzieła o tematach dowolnie dobranych, i sprzedają je na dowolnie również obranym targu (autorowie dramatyczni, powieściopisarze); 2) takich, którzy nie pozostając w stałych stosunkach z pewnymi wydawcami, tematy i technikę swoich prac dostosowują jednak do wymagań pewnej grupy publiczności i jej pośredników, t. j. wydawców; wreszcie 3) dziennikarzy w stałym związku z pewnymi czasopismami i wydawcami. W pierwszej kategorii najlepiej, stosunkowo nawet bardzo dobrze są sytuowani materialnie autorowie dramatyczni; kto stale dla scen pracuje — bez względu na wartość artystyczną swych dzieł, a nawet poniekąd, gdy raz już sławę pozyskał, bez względu na po-

wodzenie danego dramatu, może liczyć na 10 — 15 tysięcy marek rocznego minimalnego dochodu, przeciętnie zaś na 20 — 30 tysięcy, w szczęśliwych wypadkach na 50 — 100 tysięcy. Nieco gorzej mają się autorowie powieści: honorarium za pierwszy druk romansu jest wprawdzie w Niemczech dość wysokie, dochodzi niekiedy do 30 a nawet do 50 tysięcy marek, w zwykłych jednak warunkach jest znacznie mniejsze, dlatego, że z księgarskiej ceny tomu autor, w skutek wielkich kosztów pośrednictwa, dostaje zaledwie piątą część, przyczem wydawcy niemal bez wyjątku trzymają się tej zasady, że honorarium autorskie wypłacają dopiero po zaspokojeniu żądań własnych, drukarni, pośredników i t. d. Najniepomysłniejszą jest dola literatów trzeciej kategorii: zważywszy zależność od »aktualnych« tematów, trudność umieszczenia prac, niskość wynagrodzenia »od wiersza«, trzeba, zdaniem p. Freda, przyjąć jako *minimum* 3 tysiące marek dochodu rocznie, 10 tysięcy jako *maximum*, przeciętnie około 6 tysięcy. Autor skarży się tu przede wszystkim na dwa szkodliwe dla zawodowych literatów zwyczaje wydawców: przetrzymywanie, a później odrzucanie nawet zamówionych rękopisów, oraz wchodzące obecnie w modę u wielkich dzienników ubieganie się o artykuły podpiswane nazwiskiem nie fachowca, ale głośnego skądinąd człowieka, n. p. polityka, lekarza.

Takimi są wywody p. W. Freda. Odnoszą się one do niemieckich stosunków, ale z pewnemi koniecznemi zmianami i do naszych. Autor ujmuje zagadnienie jednostronnie, do czego się zresztą sam przyznaje, uważając za śmieszny nonsens twierdzenie, że pracę literacką należy oceniać nie jako towar, ale ze stanowiska idealnego: uznania, sławy, zadowolenia wewnętrznego i t. p. Nie da się zaprzeczyć, że tak daleko w idealizmie iść nie można, z drugiej jednak strony nie może tu rozstrzygać wyłącznie ekonomiczne kryterium. Udowodnimy to na jednym bodaj przykładzie. Jeżeli jestem kupcem i sprzedaję u. p. kawę, to jest to mi obojętnem, kto tę kawę kupi, byleby za nią należycie zapłacił; obojętnem mi jest także, co on z tą, u mnie kupioną kawą zrobi. Jeżeli natomiast jestem u. p. powieściopisarzem, to mej powieści nie sprzedam wydawcy pisma n. p. socjalistycznego, gdy jestem konserwatystą, ani też nie sprzedam rękopisu, nawet drożej, księgarzowi, który powieści albo nie zamierza wydać, albo chce ją jakoś nieodpowiednio wydać. Widocznie więc w tej kwestyi, na ogół bezwątpienia i w pierwszym rzędzie ekonomicznej, znaczą wiele i pewne idealne momenty.

Dr. J. Flach.

Z literatury powieściowej.

— *Der Paddenhof*. Roman von Franz Werner. (Dresden, Carl Reissner, 1910). — Przypadek tylko dal nam do rąk tę książkę, która pod niewiele mówiącym tytułem a nic nie mówiącym nazwiskiem nieznanego autora kryje w sobie jeden z ciekawszych niemieckich *Polenromane*. Nie w tem leży jego znaczenie, że Ludwik Stengel, syn owdowiałej bogatej chłopki niemieckiej na polskiej ziemi, ma stosunek z polską dziewczką, Józefą Majewską. Rzecz to chyba znowu nie tak nadzwyczajna, matka sama poniekąd winna, że mając młodego syna, trzymała w domu wyjątkowo piękną dziewczynę; Polka ona, ale tak samo dobrze mogłaby być Niemką, że zaś przytem jest naturalną córką jakiegoś fantastycznego polskiego hrabiego Rybaka, to szczegól, dla zasadniczej sprawy chyba zupełnie obojętny. Owszem, ta polska dziewczka, po za tym pierwszym grzechem, obciążającym co najmniej w połowie i Niemca, Ludwika Stengla, wydaje się być porządną, nie ma już potem ani kochanków ani męża, chociaż do jednych i do drugiego łatwo byłoby jej przyjść; procesuje się, po urodzeniu syna, o alimenty, ale przecież to jej prawo, a zresztą na upór starej Stenglowej innej rady nie było; co więcej, ona w końcu traci sama życie, chcąc je uratować Ludwikowi, z inną — Niemką — ożenionemu i przez tę złą kobietę do śmierci umyślnie popychanemu, tak że gdy ostatecznie za zgodą autora bogate gospodarstwo dziedziczy syn Ludwika i Józefy, nikt, nawet z niemieckich czytelników, tem się nie gorszy.

Możnaby w tem zakończeniu powieści widzieć dowód raczej sympatyj p. Franciszka Wenera dla Polaków, niż nienawiści do nich. A jednak autor takie właśnie uczucia a nie inne żywi względem nas. Dowodzą tego nietylko rozsiane po całym tomie drobniejsze złośliwe i uszczypliwe uwagi o narodowym charakterze Polaków, o ich niższości kulturalnej i etycznej, lecz także i przedewszystkiem dominująca w powieści postać niejakiego »Pończochy«. Pod tem nazwiskiem kryje się »*Kuschnier* z r. 1848« — przyczem ten dziwaczny wyraz oznacza zapewne »kosyniera«, a przekręcenie słowa tem bardziej razi, że p. Werner często przytacza zupełnie poprawnie dłuższe polskie frazesy a nawet całe zdania. Jak brzmi — właściwe nazwisko »Pończochy»: może Barbarski, może Kamiński, może Marczyński, w każdym razie oczywiście był to znowu polski hrabia, bardzo wybitny działacz narodowy. Autorowi nie wystarczy zohydzenie tego człowieka z politycznych względów, dodaje mu jeszcze właściwości ubliżające mu jako człowiekowi. Barbarski swego czasu uciekł z katolicką żoną ewangelickiego właściciela dóbr, przyczem zabrał jego kasę. Popułnił i inne brzydkie a tajemnicze sprawy, a w końcu osiadł tutaj

jako znachor pod nazwiskiem »Pończocha«. Gdzieś bowiem znalazł rzeczyciwstego Pończochę, któremu umarł brat; Barbarski odkupił papiery nieboszczyka, zapewniając sobie w ten sposób bezpieczeństwo przed władzami. Jako »lekarz cudotwórca«, nietylko zarabia bardzo wiele, ale ponadto cieszy się bezgranicznem zaufaniem u ludności, nawet niemieckiej, a używa go planowo ku szkodzie żywiołu niemieckiego: on to n. p. starej Stenglowej poradził, aby tak syna ożeniła, bo wiedział, że zła żona przyniesie upadek bogatej niemieckiej rodzinie. P. Werner przedstawia posiedzenie kilku miejscowych polskich patriotów, jak »Pończocha«, proboszcz Dombrowski i fizyk okręgowy dr. Kaczmarek. Radzą oni nad sposobami wskrzeszenia Polski, zagłady Niemców. Oba zadania są coraz trudniejsze, bo i powstanie wojenne jest dzisiaj już prawie niemożliwem (powieść dzieje się, jak zobaczymy, w r. 1862), i sami Polacy przeważnie pogodzili się z obcym panowaniem, owszem lepiej się nawet pod niem czują, niż dawniej pod własnem. Trzeba więc czekać na jakąś wielką europejską wojnę, a tymczasem tępić i niszczyć Niemców bodaj częściowo i urywkowo. Taką działalność rozwija »Pończocha«, aż usiłowania zięcia Stenglowej, nauczyciela Hermanna, zmierzające do zdemaskowania przybłądy, osiągają skutek i »Pończocha« zabrawszy ile mógł pieniędzy, swoje i cudze, znika ze wsi. Pani nauczycielowa Hermannowa, powtarzając prorocze słowa męża, tak mówi: »Na przyszłą wiosnę 1863 Polacy (*die Polacken*) zrobią znowu rewolucyę i na to on zbierał pieniądze. W Rosyi zrobi się początek, stamtąd pójdzie to dalej. A teraz on ich wszystkich oszukał. Kogo? Czy innych patriotów polskich?

Streszczać właściwej fabuły powieściowej, po tem, co się już z niej podało, chyba nie potrzeba. Jedna tylko jeszcze jej strona wywoła nieco żywsze zaciekawienie. To niedola i bardzo niski poziom umysłowy niemieckiego nauczycielstwa ludowego, bądź nie brzydzącego się donosicielstwem, bądź będącego jego ofiarą. Jest w tem dziwna niekonsekwencya: rząd zakłada seminarya nauczycielskie, a równocześnie inspektorowie, pełniący nadzór szkolny, wyszydzają i tępią w podwładnych ducha seminaryjnego, chwalać dawną nieuczoną metodę. Dopiero przy końcu powieści świta tu dla nauczycielstwa nowa, lepsza dola.

Dr. J. Flach.

— *Operettenkönige*. Ein Wiener Theaterroman, von Franz von Hohenegg. (Verlag von Hermann Lane, Berlin). — Mała wartość literacka, a wielki rozgłos, jak się to często dzieje z powieściami, piętnującymi pewne wybujałości współczesnego życia a będącymi do tego *romans à clef*. Tym razem chodzi o dzisiejszą produkcyę operetkową wiedeńską, która istotnie, niezależnie od mniejszej lub większej wartości artystycznej, nabiera wyglądu industrialnego. Kilka »firm«, jak Fall,

Lehar, Oskar Strauss, łącznie z librecistami, zaopatruje cały rynek operetkowy swojemi wyrobami, niedopuszczając konkurentów, a pracując często z płodnością, wzbudzającą podejrzenia, czy to są rzeczywiście ich własne dzieła, czy też obce, temi rozgłośniami nazwiskami może tylko podpisywane. P. Franciszek von Hohenegg (zapewne pseudonim) jest, albo przynajmniej wydaje się wtajemniczonym w te zakulisowe, a w tym wypadku może raczej kantorowe sprawy i przedstawia działalność takiej spółki operetkowej, złożonej z trzech wspólników: Mikoczy, dyrektor *Donauthheater*, Hans Neddard, kompozytor, Alfons Bonn , librecista. Spółka operuje z całym geszefciarskim sprytem, uczestnikom przysparza majątku, chociaż każdy z nich, gdy tylko może, drugiego oszukuje, a zgodni są z sobą, gdy chodzi o oszukanie innych. Jest dwusetne przedstawienie operetki *Die lustigen Weiber von Wien*. Byłoby na sali pusto, bo operetka się już opatrzyła, ale rozdawszy na prawo i na lewo bilety wolnego wejścia, urządziwszy po mistrzowsku klakę, ma się na drugi dzień rano w dziennikach artykuły o świetnem powodzeniu, zapowiedzi trzeciej setki przedstawień. Mikoczy swoją drogą już zabiega o nową operetkę, oczywiście tego samego Neddarda, bo jego nazwisko jest bajecznym magnesem. Ale cóż, kiedy sławny kompozytor nie kwapi się do pracy, bo w sercu nosi nieszczęśliwą miłość. Kocha się namiętnie w diwie operetkowej, Mizzi Rittmann, która o nim nie chce słyseć. Mikoczy wydaje Bonn mu polecenie zbadania przyczyny tego smutnego faktu, sprowadzenia śpiewaczki w objęcia kompozytora, *coûte que coûte* — na razie kosztem maksymalnym 5.000 kor., które w rachunkach kasy teatralnej zapisuje się na conto »dobroczynności«. Bonn  po nitec dochodzi do kłębka. Mizzi Rittmann, która do niedawna bynajmniej westalką nie była, kocha się w biednym studentcie, obdarzonym niezwykłym talentem muzycznym, ale nikomu nie znanym, w Franciszku Hallerze. Ona dla niego porzuciła wesołe życie, wolny czas spędza z nim w jego skromnej izdebce lub na przechadzkach w »Wiedeńskim Lesie«, on dla niej chce sławy, pieniędzy, dla niej komponuje operetkę *Ein Liebestraum*. Co jest już gotowe, razem próbują: on gra, ona śpiewa. Neddard i Bonn  podsłuchują ich i postanawiają w szatański sposób wyzyskać, okraść studenta. Haller traci odrazu i nadzieję sławy i pieniędzy, i kochankę. Pierwszą zabiera mu ta spółka operetkowa, udając, że się nim chce zająć, dopomódz mu do wystawienia operetki. Drugą zabiera mu oczywiście... polski hrabia, bo w sensacyjnych niemieckich romansach zawsze musi pokutować taka figura. Oto Mizzi Rittmann, zanim się dostała do Wiednia, podróżowała wraz z operetkowym towarzystwem po Galicyi. Przedstawienia cieszyły się największem

powodzeniem u oficerów, nudzących się w małych garnizonych miastach. Wszyscy ubiegali się o względy pięknej śpiewaczki, ale nadaremnie; jeden hr. Eugeniusz Bielski udawał zupełną obojętność i tem sprawił, że Mizzi sama do niego przyszła, sama mu się oddała, zносиła jego tyranję, nawet brutalność i dopiero losy ich rozłączyły. Teraz, gdy w miłosnem rozmarzeniu spacerującą po lesie, zaskoczyła gwałtowna burza, Mizzi wraz z kochankiem chroni się do jakiegoś nieznanego sobie zamku. Naturalnie jest to zamek hr. Bielskiego, naturalnie pan domu powtórnie wywiera demoniczny wpływ na piękną diwę, naturalnie student wpada w groźną chorobę, leży w szpitalu. Tu dowiaduje się, że dzisiaj właśnie ma być w *Donaultheater* pierwsze przedstawienie operetki.... Neddara i Bonnégó *Ein Liebestraum*. Ucieka ze szpitala, kupuje miejsce na galerję i zamtąd krzyczy oszalały: »Złodzieje! złodzieje! Oni mnie okradli!...« Na chwilę robi się w teatrze zamieszanie, ale policya wnet wyprowadza obłąkanego, przedstawienie idzie swoim torem, wśród owacy dla kompozytora, librecisty i dyrektora, a w porannych dziennikach jest długi artykuł o sensacyjnem powodzeniu nowej operetki i krótka notatka o odkrytych w Praterze zwłokach samobójcy niewiadomego nazwiska. Mizzi ma chwilę zadumy, ale zaraz potem wybiera tapety do swego buduaru w zamku hr. Bielskiego; Neddara i Bonnégó cieszą się, że Haller był na tyle »ogłędny«, iż nie pozostawił listu, wyjaśniającego powód rozpaczliwego kroku.

Dodawszy do tej głównej osnowy epizodyczną figurę ulubionego tenora operetkowego Springera, który, potrzebując dużo pieniędzy, angażuje się do kilku teatrów naraz, ma stąd ciągle procesy a radzi sobie kompromitując pannę Bonnégó, by mógł w ten sposób gwałtem dostać bogatego teścia — dodawszy »dostawców« tego librecisty, z których jeden czyta stare roczniki humorystycznych czasopism, wylawia z nich dowcipy i sprzedaje je Bonnégómu, inny z zapomnianych romansów poddaje mu treść nowego libretta — dodawszy kilka drobniejszych obrazków z tego samego świata, otrzymamy treść *Krółów operetki*. Psychologii bardzo mało (taki Haller n. p. jest niemożliwie naiwnym, gdy w starym protektorze Mizzi widzi szlachetnego dobroczyńcę i sądzi, że jest pierwszym jej kochankiem), artyzmu nie, ale całość zajmująca, a co najważniejsza, czytelnik wiedeński i nietylko wiedeński domyśli się łatwo, jak w rzeczywistości brzmią nazwiska Neddara, Bonnégó, Mikoczy'ego, Springera; Mizzi Rittmann albo nie istnieje, albo... ma kilka pierwowzorów, a hr. Bielski.... tego panu von Hohenegg zapewne dostarczył jaki dostawca Bonnégó.

Dr. J. Flach.

— E. A. Poë: *Kruk*. Przełożyła Barbara Beaupré. (Kraków, 1910, str. 96). — Bardzo słusznie zauważyła w króciutkiej przedmowie tłumaczka Poëgo, że umysł tego wielkiego pisarza cechuje przedewszystkiem: dociekanie, chęć zbadania ostatniej wszystkiego przyczyny, oraz pragnienie poznania przebiegu procesu, w jakim łączy się i rozwija życie całego wszechświata. Ale umysł Poëgo, to nie umysł materialisty wynalazcy. Jego dociekanie nie jest oparte na jakowychś matematycznych podstawach, lub ostatnich wynikach wiedzy pozytywnej, n. p. przyrodniczej. Nie, te wszystkie wglębienia się w mroczne tajemnice bytu i ducha cechuje u Poëgo tylko genialna i fantastyczna intuicya, a wdzięk i urok oraz wysoki stopień prawdopodobieństwa nadaje im przedziwnie piękne poetyckie zabarwienie.

Szkice powyższe, pisane prozą a przeplecione wierszem, podobne są do siebie wszystkie przez jedną, główną podstawową nutę. Nutą tą, melodią, w którą wsluchany i wmyślony poeta żyje niezemskim prawie życiem, jest Śmierć. Słowo to jednak odmienne ma znaczenie u Poëgo, niż u ogółu ludzi. Dla poety tego nie oznacza ono jakiegoś skończenia się życia, jakiejś bolesnej katastrofy, lub ostatecznego człowieczego nieszczęścia; owszem, rzecz ma się wprost przeciwnie. Ze śmiercią przychodzi według Poëgo dalszy byt, a wyższy i doskonalszy, objawiający się przedewszystkiem w cudniejszym i subtelniejszym odczuwaniu otoczenia, głównie jako harmonijnego i wonnego ruchu, jakiejś słodkiej a pachnącej zarazem melodii. W ten sposób powstaje jakoby zmysł w człowieku szósty. Mówi o tem poeta w *Dyalogu Monosa i Uny*, gdzie dwie kochanków dusze po zmartwychwstaniu opowiadają sobie o przebiegu śmierci. »I naraz — opowiada Monos — z powszechnego rozbicia wszystkich przyrodzonych zmysłów powstał we mnie zmysł nowy, szósty zmysł zupełnie doskonały. Działanie tego nowego zmysłu sprawiało mi dziwną rozkosz czysto fizyczną, w której intelligencya nie brała udziału. Wszelki ruch ustał w fizycznym moim organizmie. Żaden nerw, żadna struna, żadna arterya nie drgały już najlżejszą nawet wibracją, a przecież zdawało mi się, że to w mózgu moim zrodziło się to coś, o czem niepodobieństwem jest dać najlżejsze nawet wyobrażenie czysto ludzkiej umysłowości. Pozwól mi określić to coś, jako wahadło myślowe. Była to jakby moralna personifikacya abstrakcyjnego pojęcia, jakie ludzie wytworzyli sobie o czasie. Ten szósty zmysł, zrodzony na gruzach wszystkich innych, był pierwszym krokiem niedoczesnej duszy mej na proggu wieczności!!...«

Za śmiercią Poë tęskni, o niej rozmyśla i marzy. A przychodzi ta koscielka rozkoszna w różnej formie i różnych kształtach.

Ciekawe n. p. pod tym względem jest opowiadanie p. t. *Owalny portret*, którego osnowa jest taka. Pewien malarz zaślubił cud-dziewicę. Kochał ją bardzo, lecz więcej ona jego. Bo gdy on po za ubóstwioną swoją widział i kochał jeszcze sztukę, tak ona po za nim nie widziała świata, a drżała na widok farb i płócien, które odrywały od niej męża-kochanka. Zdarzyło się raz, że malarz ten postanowił wymalować portret żony. W tym celu zabrał ją na długie tygodnie do ciemnej komnaty, gdzie tylko ze stropu sklepienia blado padało światło. »Malarz — pisze autor — włożył całą duszę w dzieło to, które postępowało z dnia na dzień, z godziny na godzinę. A że był to człowiek dziwny, namiętny, pogrążony w myślach i gubiący się w marzeniach, nie chciał więc widzieć, że światło, wpadające tak skapo i posepnie do wieży zamkowej, wyniszcza siły i wyczerpuje duch żywotny jego młodej małżonki, która nikła w oczach, co było widocznem dla wszystkich, prócz niego... Lecz z czasem, gdy dzieło bliskiem już było ukończenia, malarz nie dopuszczał już nikogo na wieżę i oszalały gorączką pracy, nie odwracał już oczu od płótna, nawet, by spojrzeć na twarz swej żony. I nie chciał widzieć, że barwy, które roztaczał na płótnie, odkradzione są ze świeżych jagód tej, która siedziała naprzeciw niego«. Wreszcie z ostatniem dotknięciem płótna przez malarza zamarło życie w modelu, tej cudnej małżonce artysty. Przyszła śmierć, wywołana rozkochaniem się malarza w sztuce. Powiedzmy to lepiej, a okaże się, że rozmiłowanie się artysty w pięknie sztucznem zabiło piękno żywe, naturalne. I oto stajemy przed drugą cechą bogatego umysłu Poëgo, a jest nią serdeczne umiłowanie piękna przyrody, lekceważenie natomiast i nienawiść rąk ludzkich, które, aczkolwiekępują w przemyśle i wynalazkach naprzód, niszczą przeciw to jedyne, nieskazitelnie doskonale piękno, jakim jest przyroda cała, a raczej wszechświat cały.

Wyraz temu uczuciu daje poeta w kilku opowiadaniach, najsilniej w *Wyspie Czarodziejki*, gdzie uwielbienie dla przyrody dochodzi szczytu. Kocha też poeta wszelką samotność, ale nie śmiertelną ciszę. Człowiek samotny, siedzący bez ruchu na szczycie skały (w opowiadaniu *Milczenie*) nie zważa na burze i huragany, spokojnym jest wśród gromów i błyskawic, drży jednak z przerażenia, gdy naokoło niego rozsiadło się głuche Milczenie, gdy powstrzymało się życie w roślinach i ptakach, w wodach i powietrzu. Wszelki bowiem ruch (oczywiście w przyrodzie) jest dla subtelnego ucha poety melodyą i harmonią, milczenie zaprzeczeniem życia, melodyi, zaprzeczeniem nawet śmierci samej, która, jak to widzieliśmy, jest dla poety rozkoszą prawdziwą.

Nie każda jednostka znajdzie przyjemność w rozczytywaniu się w Poëm. Jest on przeznaczony dla natur głębszych,

bardzo wrażliwych i również intuicyą obdarzonych. Lecz kto Poëgo raz polubił i czytać począł, ten nie zapomni o nim i nie zarzuci go nigdy.

Na polskie przekłada tego pisarza p. Barbara Beaupré, a przekłada go i w prozie i w wierszach wzorowo, nietylko pod względem języka i formy, ale (co przy Poëm zwłaszcza bardzo ważne) doskonale pod względem oddawania jego nieraz arcy-subtelnych pojęć i wyrażeń.

A. E. Balicki.

TEATR KRAKOWSKI.

Jedyną nowością w miesiącu maju, a zarazem ostatnią kończącego się sezonu, były wystawione w sobotę, dnia 6 maja *Szczury* Gerhardta Hauptmanna, »berlińska tragikomedia w 5 aktach«. Doprawdy szczęśliwym czuje się podpisany, że nie musi »omawiać« tej tragikomedii, podawać jej treści, rozwodzić się nad jej wartością i znaczeniem. Uczyni to w następnym zeszycie *Przeglądu Polskiego* w artykule o współczesnym niemieckim dramacie, prof. Dr. Józef Flach. Nam pozostaje tylko złożenie sprawozdania z wrażenia, jakie wywarł ten utwór z krkaowskiej zasłyszany sceny, oraz z gry naszych aktorów. Wrażenie było wręcz ujemne. Podobnie, jak w Niemczech, tak i u nas oczekiwano tego najnowszego hauptmannowskiego dzieła z zaciekawieniem, spotęgowanem jeszcze recenzjami i polemiką pism zagranicznych. Zaciekawienie ustąpiło miejsca najzupełniejszemu rozczarowaniu, graniczącemu nawet z niesmakiem, nie mówiąc już o tem, że nawet wielbiciele talentu Hauptmanna wzruszali ramionami nad rodzajem tej przedziwnej kompozycji. Bo czegoż to w tej sztuce niema! Jest poród biednej służącej Polki (na szczęście na strychu za sceną!), jest nauka deklamacyi prowadzona przez b. dyrektora teatru, są frazesy i tyrady o »szkole« Goethego i Schillera w przeciwstawieniu do sztuki współczesnej, jest niby wyapoteozowana miłość macierzyńska, będąca w gruncie rzeczy jakąś cudnie nienaturalną robotą, jest niewinny romansik (*recte* miłość) między panną Walburgą, córką papy dyrektora teatru, a Erykiem Spittą, kandydatem na teologa, w rzeczywistości zaś aspirantem desek scenicznych, jest jakiś niemiecki »bradiaga«, morderca pospolity, są policyjanci i inne jeszcze osoby, przeróżne dyalogi i inne okropności — niema tylko na tem wszystkim cech prawdziwego talentu i »lwiego pazura« bodaj samego już Hauptmanna.

Moralność pani Dulskiej nazywa się u nas »tragifarsą«, *Szczurom* na imię »tragikomedyą«. Ale »tragifarsa« nasza, choć brutalnej treści, jednak prawdziwej i na scenie nieodrażającej; »tragikomedyą« niemiecka, zbudowana sztucznie, pełna tylko robionej grozy i jakiegoś nibyto arcyfilozoficznego dziwowania się poety nad życiem ludzkim, będącego niczem innym, jak tylko wytworem słabnącego a jednak rumor czynić pragnącego talentu.

Zastrzegamy się raz jeszcze, że słowa powyższe, to tylko wynik wrażenia, odebranego przez nas, a zarazem większości (co najmniej!) teatralnych słuchaczy. Znamy sztuki tak »realizmem« i »naturalizmem« naszpikowane, że cuchną jak rzeczywiśta padlina, znamy i widzieliśmy mieszaninę pierwiastków »realnych« z »idealniejszymi« również (tego rodzaju bowiem utworów ostatnimi czasy był legion); połączenia atoli »strychu« z »salonem«, »kryminału« ze »sztuką« takiego, jak w tym utworze nie znaleźliśmy jeszcze. Dal nam je poeta tej miary, co Hauptmann. Być może, że specjalną intuicją obdarzony jakiś hauptmannowski wielbiciel i w tej także sztuce wykaże pierwiastki nowe, śmiałe i oryginalne — dla nas *Szczuromy* pozostaną tylko szczurami, piwnicznymi szczurami.

Wyreżyserowano i odegrano u nas utwór ten zupełnie starannie. Rolę bohaterki, owej bezdzietnej matki, która z miłości dla męża pragnie mieć dziecko koniecznie (jedynak bowiem umarł!) i w tym celu odkupuje od panny-służącej jej noworodka, rolę pani Johnowej odegrała p. Wysocka. Rola to typu charakterystycznego, obfitująca w cechy i rysy nawskroś codzienne, »realistyczne«. P. Wysocka znalazła tu nie małe pole do popisu. I w akcie pierwszym, gdzie słodyczą i obietnicami od służącej dziecko wycyganić pragnie, i w odsłonach następnych, gdzie lęka się utraty tego dziecka a zarazem niewydania się tajemnicy, jak wreszcie w akcie ostatnim, gdzie wścieka się z bólu, że prawdziwa matka dziecko własne chce zobaczyć, wszędzie i we wszystkich tych przejawach p. Wysocka wydobyła najsilniejsze akcenta prawdy i bólu. Rolą swą przejęta była tak, że aż miejscami tu i ówdzie przerysowała ją, czy to w giestykulacji, czy też w wyrazie twarzy (zwłaszcza oczu!). Po za tem odtworzenie tej postaci należy do wielkich kreacji tej artystki. — Męża Johnowej, dobrego i poczciwego murarza zupełnie dobrze odegrał p. Sosnowski. — Ciekawą sylwetkę niemieckiego dyrektora teatru (pierwej: zwykłej »szmiry«) stworzył p. M. Węgrzyn (Hassenreuter). Zasluga tem większa, że w gruncie rzeczy niewiadomo dobrze, po co ten b. dyrektor w sztuce tej istnieje i jakim też winien być naprawdę. — Walburę grała p. Janiczówna, nadając postaci jej dobre cechy szczerzego liryzmu i dziewczęcej naturalności. — Jej adoratorem był p. Jarszewski (Eryk Spitta). Podobnie, jak

póldiotycznego amanta w *Chorym z urojenia* Molière'a, tak też i tego poczciwego z gruntu, ale chuderlawego i nie energicznego Spittę odegrał p. Jarszewski zupełnie dobrze. Rólki te wskazują, że w postaciach drobnych, nie wymagających ani poetycznego nastroju, ani też górnolotnego pathosu p. Jarszewski może być siłą użyteczną. — Sympatycznego staruszka, ojca Spitty stworzył p. Szymborski. — Niemilą i niewdzięczną rolę służącej Pauliny najzupełniej dobrze odegrała p. Jarszewska. — Na osobną wreszcie wzmiankę zasługuje p. Kopczevska (Alicya) i p. Miarczyński (Bruno). P. Kopczevska opracowuje każdą rolę bardzo starannie i stale posuwa się naprzód; p. Miarczyński zaś zapowiada również nie mały talent w rolach głównie charakterystycznych.

Ogółem niemilą tę sztukę ratowała u nas tylko wyborowa gra aktorów, mimo, iż dzięki właśnie tej grze wszystkie ujemne pierwiastki *Szczurów* wyszły na jaw w całej pełni.

Piękny wieczór święciliśmy w teatrze naszym dnia 13 maja. Jubileusz długoletniej pracy scenicznej obchodziła a zarazem, ustępując z teatru, żegnała się z publicznością pani Bronisława Wolska. Kilkadziesiąt lat służby w jednym zawodzie, a służby wzorowej, skutecznej, pełnej chluby i chwały, to coś więcej, niż dokazanie czynu choćby wielkiego i sławnego, lecz jednorazowego a często może przypadkowego tylko. Każda praca ciężką jest i mozolną, każda ma swoje jasne i ciemne strony (tych oczywiście więcej!), lecz nie każda narażona jest na tyle zawodów i przykrości, co właśnie praca aktorska. Zmienne w niej szczęście, zmienne powodzenie, zawisłym się jest nieraz nie tylko od swego talentu, lecz od przeróżnych innych okoliczności i stosunków. Nie liczne tylko jednostki pełnym obdarzone talentem wychodzą z tych ogniowych prób jako zwycięzcy i gwiazdy, własnem a jasnem świecące światłem. A i te jeszcze zupełnie szczęśliwemi nazwać się nie mogą, choć imię ich jako »artystów« między ludźmi słynie. Inaczej bowiem ma się rzecz z artystą malarzem, rzeźbiarzem, architektem, muzykiem... inaczej z artystą-aktorem. Tamtych dzieła w natchnieniu i talencie poczęte trwać będą długo, pokolenia długie podziwiać i sławić je będą; z przeciwnych krańców ziemi ludzie przyjeżdżać będą, by wchłaniać w siebie piękność obrazów, posągów, budowli, poeci wreszcie w tysiącach przedruków każdemu znajomi się staną. Inaczej z aktorem. Ten, choćby najslawniejszy, żyje naprawdę tylko dla tych, dla tego pokolenia, które na niego patrzy, które go słyszy. Po za imieniem i nazwiskiem nie zostawia aktor dla przyszłości pamiętek żadnych. Prawda, jest portret, jest fotografia. Tak, ale i portret i fotografia, przechowują tylko jeden aktorski gest, jeden wyraz! Wiele i to, lecz gdzie reszta? Gdzie głos, gdzie ruchy, gdzie setki chwil w roli innych?

Pokolenie, które na wielkich i w sztuce prawych aktorów patrzyło, zda pokoleniu następnemu tylko sprawozdanie o tem, co było. Tych »dziel«
zaś i »arcydziel«
scenicznych nie pokaże jednak i nie przechowa. To też tem większy obowiązek spada na tych sprawozdawców, aby bodaj w słowie pamięć wielkich i zasłużonych artystów jak najdokładniej i najsumienniejsz przyszłości przekazali.

Zasługuje zaś na tę pamięć p. Wolska w stopniu bardzo wysokim. Wzorem może być, jest i będzie przywiązania do sceny i ukochania tego właśnie »świata«. Mimo rozlicznych przykrości, jakich się zwłaszcza w tej sferze doznaje, zachowała ona jasną pogodę umysłu i serca. Śladem artystów »dawnych«, tych największych, posiadała i miała do ostatnich chwil ów dziwnie piękny i szlachetny giest, jakiś uroczysty majestat i pełne godności spojrzenie i znalezienie się. Rzecz dziwna, że tak trudno dopatrzeć się tej wielkiej cechy i zalety u artystów dzisiejszych. W najwyższym stopniu miała ją Modrzejewska, w bardzo wybitnym prawie wszyscy nasi artyści szkoły t. zw. »starej«, u nas w Krakowie podziwiać można tę cechę było głównie w grze p. Wolskiej.

Feljetony pism codziennych nakreśliły szczegółowo przebieg życia tej wybitnej artystki. Powtarzać tego samego nie potrzebujemy, podkreślimy tylko szczegół ten, że polem największych tryumfów a zarazem przedmiotem jej najtkliwszej miłości był zawsze dla p. Wolskiej teatr krakowski. Tu powstały postacie tak wielkie i głęboko odczute, jak Wdowa z *Balladyny*, Kasztelanowa z dramatu Korzeniowskiego, Pani Dobrońska ze *Ślubów Panięskich*, Pani Jowialska i długi, długi szereg innych. Nawet w utworach nawskróś »modernistycznych«
umiała p. Wolska znaleźć właściwą a zawsze wysoką i szlachetną nutę. Dowodem tego Maeterlincka dramat p. t. *Aglawena i Selisetta*.

To też w serdecznym holdzie podziękowano artystce tej za pracę niezmordowaną (mimo późnych lat), za uniołowanie sceny gorące a tklive, za talent rzetelny i jego złote owoce.

Długie, niekończące się (a nie hałaśliwe) brawa, przemówienia (p. Solskiego i artystów innych), podarki, bukiety, wieńce i telegramy — oto zaledwo skromny, bo zewnętrzny wyraz uczucia, jakie dla p. Wolskiej żywi grono artystów, publiczność i krytyka. Daj Boże każdemu scenicznemu artyście żegnać się z otoczeniem po pracy tak, jak żegnała się, idąc na dobrze zasłużony odpoczynek, p. Wolska.

Na uroczyste to przedstawienie obrala sobie sędziwa artystka rolę Kasztelanowej z jednoaktowego dramatu J. Korzeniowskiego p. t. *Pani Kasztelanowa*. Jak p. Wolska rolę tę gra, opisać się nie da, widzieć potrzeba koniecznie. Surowość wielkiej pani, matrony, z jednej strony, a tklivość serca

z drugiej, szlachetność i godność w każdym celu, w każdym ruchu, wyniosłość i duma na czole i twarzy, uśmiech dobroci na ustach — oto charakterystyczne cechy tej wielkiej kreacyi. Reszty dopowiada głos, domawiają słowa, mówione tak, jak tylko mówić umieją artyści z tej dawnej, dobrej szkoły. Co w grze p. Wolskiej jeszcze szczególnego podkreślić należy koniecznie, to skończoną harmonię, jaka cechuje każdą przez nią odtwarzaną postać. Stąd to kreacje p. Wolskiej mają zawsze wyraz najidealniej wymalowanego portretu. Postać takiej n. p. Kasztelanowej stać będzie w oczach na zawsze, jako wspaniałe portretowe arcydzieło. Świetnie gra p. Wolska, ale też patrzyła i wzrosła wśród najsubtelniejszego rozkwitu polskiej sceny.

Inni artyści, którzy w tem uroczystem przedstawieniu udział brali, odegrali swoje role arcyprzednio. I tak, stylowo i pięknie odtworzył postać polskiego Jenerała p. Sosnowski, biednego syna Kasztelanowej Władysława z uczuciem odegrał p. Kosiński, a już wielkie »brawo« należy się p. Jarszewskiej za kreację Teresy. Bez zarzutu także wypadła rola Zaliwskiego w grze p. Jednowskiego.

Po *Pani Kasztelanowej* odegrano (bardzo szczęśliwie dobrane!) *Określane* Korzeniowskiego (komedią w 2 aktach ze śpiewami). Treścią tej mniej już znanej sztuki jest niewinne *Qui pro quo*, rzucone na obrzęd okreśnego. Szczere tryumfy święciła w komedyi tej p. Janiczówna (Tekla Kaliniecka), zupełnie dobrze grał p. Siemaszko (Dobrzyckiego), p. Krysińska (Erazmowa), p. Morozowiczówna (Klarę), a p. Szymborski (Pszenczkiewiczza). Tylko p. Stanisławski jako młody Dolczycki niepotrzebnie miał minę zawcześnie zgrymaszonego i podstarzałego młodzieńca.

A cóż powiemy o samych utworach? Mile one bardzo i napisane dobrze (zwłaszcza *Pani Kasztelanowa*). Co nas razić tylko będzie zawsze, to owa w nich świadomie wzięta celowość i tendencyjność. W *Pani Kasztelanowej* atak na stare, rodowe przesady (sprawa rzekomego mezaliansu), w *Okreśnalem* kampania przeciw przesadzie w studyach i nieszczeremu »filozofowaniu« — oto bezpośrednia przyczyna powstania tych utworów. Ta tendencyjność obniża oczywiście artystyczną wartość prawie wszystkich dzieł Korzeniowskiego. Na sympatyę atoli zasługuje dlatego, że w dobrej poczęta myśli, do szlachetnego użyta celu.

Kończymy sprawozdanie z tego wieczoru, przesyłając jeszcze raz sędziwej artystce słowa wielkiego podziwu dla jej niezmordowanej pracy i talentu, głębokiej wdzięczności za tyle pięknych kreacyj, za umiłowanie wreszcie sztuki szlachetnej i wielkiej. Daj Boże widzieć p. Wolską przy jak najdłuższem życiu i zobaczyć ją jeszcze (o co ją proszono) na naszej sce-

nie! Bo doprawdy trudno pomyśleć o *Ślubach*, *Jowialskim*, bez p. Wolskiej — Dobrójskiej, Jowialskiej.

Wspaniale zakończył p. Solski i sezon ostatni i pierwsze sześćoście swego kierownictwa. Oto zaprosił do Krakowa na szereg gościnnych występów p. Kazimierza Kamińskiego, dawnego ulubieńca Krakowa, obecnie reżysera i artysty teatrów warszawskich. Jak nasza publiczność Kamińskiego ceni, jaką gra jego atrakcją jest dla teatru i jaki budzi zapal, niechże wystarczy dowód ten, że od chwili ostatnich gościnnych występów Modrzejewskiej po dziś dzień nigdy teatr nie był tak do ostatniego miejsca wysprzedany, jak teraz z przy czyny przyjazdu tego znakomitego artysty.

Bo też artystą w każdym calu znakomitym jest Kamiński w istocie. Nikt w Polsce drugi nie zapatruje się na leżącą przed nim rolę tak samodzielnie, tak oryginalnie i tak pomys łowo, jak właśnie Kamiński. Człowiek ten wżera się poprostu w tekst, na atomy rozbija całą powierzoną sobie kreację, a potem w mistrzowski sposób składa z tych drobin postać nową, skończoną i doskonałą. Wprost wierzyć się nie chce, co Kamiński potrafi zrobić nawet z najblahszej sztuczki, z najwięcej drewnianego manekina! Artysta ten, jakby poprzy siągnął sobie, że na każdą rzecz, na każdy szczegół innem, niż inni, popatrzy okiem. Stąd też niepodobny do żadnego z artystów naszych, stąd też Kamińskiego naśladować tak bardzo a bardzo niebezpiecznie.

Oryginalne patrzenie na powierzoną sobie rolę, to cecha gry tego artysty pierwsza. Zrozumienie i odczucie p s y c h y odtwarzanej postaci, to zaleta druga. Kamiński z postacią, którą ma na scenie pokazać, obcuje zawczasu i długo. Chodzi z nią niejako pod ramię, ogląda i bada ze wszystkich stron, lubi z nią przeróżne na przeróżny ton prowadzić pogawędki, aż wreszcie do takiego z nią zbratania dochodzi, że on i postać ta, to jedno. Jedno wcieliło się w drugie. Artysta w obcego, żywego człowieka, ten znów człowiek w artystę. Na scenie różnić ich niepodobna, nie sposób bowiem dojść, w którym miejscu kończy się praca aktora-artysty, a w którym zaczyna się samoistne życie odtwarzanej postaci.

Kamiński obmyśla odpowiednio maskę, obmyśla odpowiednio chód, osobne pochylenie się ciała, odrębny sposób mówienia, poruszania rękoma, a czyni to wszystko w największej zgodzie z p s y c h ą swojego »bohatera«, którego w sobie postanowił wcielić. Nie znamy drugiego artysty, któryby tak mistrzowsko umiał się charakteryzować, przeinaczać od stóp do głowy. Nie sztuka bowiem nasunąć na czaszkę

inną perukę i nadać twarzy inny od własnego wyraz, ale sztuką jest mieć zgoła nie swoją głowę, a tę nową zrobić tak, że tylko taką mógł mieć ten, kogo Kamiński odtwarza.

A dykcyą u tego artysty! Czy mówi on po cichu, czy głośno, czy głosem podniesionym, czystym, czy też pijackim, chrapliwym, czy szybkim, czy ślamazarnym — zawsze słyhać go wszędzie wybornie, zawsze każdy widz bez natężenia słowo jego w ucho swobodnie łowi.

Przejdźmy jednak do szczegółów, do pojedynczych ról. Tu na wstępie jedno zapytanie, a zarazem żal i wyrzut! Dlaczego p. Kamiński, który przez ostatnie lata tyle razy w nowych występował sztukach, tu w Krakowie grał po za innemi, w utworach takich, jak *Bogaty wujaszek* (sztuczycldo setnie prze-fabrykowane!) i *Intruźna posada*, gdzie nie wiadomo, co więcej podziwiać, czy naiwność autora, czy też próbę cierpliwości publiczności? Prawda, że p. Kamiński w obu tych sztukach jest nieporównany, ale cały Kraków pamięta go w tych kreacyach dobrze i pragnąłby zamiast starych oleodruków nowe oglądać obrazy. Szkoda, wielka szkoda, że gościnne występy tego artysty oparły się (po za trzema utworami) na repertuarze starym, na kreacyach dobrze znanych i zapamiętanych. Nagrodzi nam tę stratę p. Kamiński razem następnym, oby jak najprędzej!

Rollą pierwszą z rzędu, w której podziwialiśmy warszawskiego gościa, była postać Dr. Jury w *Koncertie* Hermanna Bahra, sztuce omówionej przez nas na tem miejscu dokładnie. Wtedy tego Jurę grał u nas p. Stanisławski, a grał go zupełnie dobrze, co więcej, nawet w myśl samego autora. Był więc sobie Dr. Jura Bahra i p. Stanisławskiego ezleczyną z kośćciami dobrą i poczciwą, wierzącą święcie, że żona, która od niego »na chwilę« uciekła, »za chwilę« też powróci. Zupełnie coś innego zrobił p. Kamiński! Najpierw ucharakteryzował się wspaniale. Jego Jura, to niezmiernie sympatyczny młodzieniec o jasnej, pogodnej twarzy, ruchliwy atoli i nerwowy nieco. Naprawdę zaś jest zdenerwowany po otrzymaniu wiadomości, że żona mu uciekła. Wprawdzie on wierzy w »przyzwyczajenie« małżeńskie, ale, któż obojętnym i pewnym siebie zostanie na wiadomość o ucieczce żony, którą się kocha bardzo? Pewnym siebie był Bahr i p. Stanisławski, zdenerwowany p. Kamiński, a chyba tak być powinno! Dyalog, prowadzony z żoną uwodziciela; a potem w akcji drugim z uwodzicielem samym, to szczyt doskonałości w roli konwersacyjnej. Ten Jura p. Kamińskiego był takim serdecznym, kochanym chłopcem, że żal się robiło, gdy schodził ze sceny.

Zaraz na drugi dzień grał nasz gość Czarnoskalskiego w *Rozbitkach* Błizińskiego. Ktoby poznał, że to wczorajszy Jura, że to twarz i chód Kamińskiego? Przepyszna, ty-

powa arystokratyczna głowa, wydłużona nieco w tył, piękna w rysunku, mimo, iż twarz już zniszczona, lysina jak kolano! Lekkie zgarbienie w ramionach, posuwisty chód, bajecznie raz »wiszące«, to znów »leżące« ubranie dopełniają reszty. Nie, jeszcze jeden szczegół ważny. Oto Kamiński wstawia sobie nowy rząd wystających górnych zębów, przez co zmienia się dykeja, zmienia rysunek ust w ogóle.

A gra sama? Cienia przesady, nigdzie śladu rutyny, scenicznej pracy — po scenie chodzi nie Kamiński, nie aktor, tylko »rozbitek«, arystokrata p. Czarnoskalski. To człowiek zupełnie dobry. Cóż jednak winien, że teraz już pieniędzy i majątku niema, że dlatego musi pożyczać, a nie zawsze oddawać. Ale ten Kamińskiego Czarnoskalski pamięta, że pan z panów, że »szeroki giest«, to jego podstawowa nuta. Chłopey z cukierni przynieśli tort — trzeba dać za drogę. Kamiński-Czarnoskalski odruchowo szuka po kieszeniach »drobnych«. Niema ich! Wtedy nie traci fantazyi, czekających na napiwek chłopców wymyśla, że już za młodu uczą się... żebrać. A scena rachunku i pożyczki z Dziendzierzyńskim? Perły to gry!

Zainteresowanie się *Fryderykiem Wielkim* z Kamińskim w roli tytułowej było niesłychane, choćby ze względu na aicydzieło gry p. Solskiego. Jak grał Kamiński? Zupełnie różnie od p. Solskiego. Solski zrobił z Fryderyka (a zupełnie dobrze) dokuczliwą zrzędę, bestyę wściubską do wszystkiego, skąpeca i cheiweca, Kamiński dał więcej majestatu, z Fryderyka zrobił coś naksztalt Macchiavella, świadomego swjej brudnej, choć patryotycznej pruskiej duszy. W pierwszych dwóch odsłonach podobał się nam więcej p. Solski, w ostatnich dwóch p. Kamiński, właśnie dlatego, że świadomie z całym cynizmem i wyrafinowaniem robił z ludzi padalców i szubrawców. Scena n. p. ze suką była wprost kapitalna. Fryderyk-Kamiński opowiada, skarży się, że mu w nocy zdechła suka. Udaje żal i śledzi pilnie, jakie to wrażenie wywiera na ministrach. Ci oczywiście o mało, że za suką nie płaczą. Fryderyk z tego szyderczo kontent, lecz daje zaraz do zrozumienia, że świadom jest obłudy w udanym żalu otoczenia. Scena z Ziethenem (przedostatnia odsłona) była wprost nieporównana. Dodać zaś przytem należy, że z tej nudnej roboty Nowaczyńskiego p. Kamiński wykroił sobie tekst prawie, że całkiem on inny od tekstu p. Solskiego.

Jak nawet taka lichota, jak *Sąsiadka* Jaroszyńskiego może utrzymać się na scenie dzięki bodaj jednemu artyście, dowodem Warszawa. U nas ta »komedya« padła bez żalu i wrażenia, w Warszawie uratował ją Kamiński, grając rolę Eustachego. Ten Eustachy, to »literacki« wykołajeniec, to ptaszek niebieski, który nie orze, nie sieje, ale za to wyludza pieniądze, uwodzi mężatki, zostaje na utrzymaniu kolegów i kobiet.

Tego to pana grał Kamiński. Zaiste, że aż szkoda było tego artysty do takiej *Sąsiadki*. Ale rola jest znakomita.

Widzieliśmy różnych Shylock'ów, znakomitych i świętych, poprawnych i starannych, ale tak niesłychanie wstrząsającego wrażenia, jak po grze Kamińskiego, nie doznaliśmy nigdy. Doprawdy, aż żal było tego nienawistnego Żyda, aż ująć się za jego chciało sprawą, tak był szczery i wielki w swym bólu i rozpacz, tak potężny i groźny w swej nienawiści do chrześcian. Antonio idzie do Shylocka pożyczyć pieniędzy. Shylock wchodzi właśnie na plac wenecki, a wchodzi jako żydowski patryceusz, cudny, typowy, bogato ubrany. Tylko zły błysk oczu chrześcianom rzucany świadczy o jego nienawiści w duszy, zresztą myślalbyś, że to jakiś doża czy senator. Pieniądzy pożycza po odpowiednim namyśle... po wypowiedzeniu monologu, w którym dyszy wściekłość i chęć odwetu. (Nie widzieliśmy jeszcze tak mówionego monologu, z taką prostotą a zarazem głębią duszy!). Shylock idzie na kolację do Antonia. Ale ma złe przeczucia; już wyszedł z domu, jeszcze się wraca, przysiada na ławce pod ścianą, przykazy różne Jessyce wydaje, wreszcie odchodzi. Wraca w końcu. Po drodze spotyka rozśpiewane maski. Z podelba na nie spogląda, chciałby ten tłum zabić i okiem przeszyć, tak mu się podejrzany i nienawistnym wydaje. Przyspiesza kroku, jest już pod domem, nagle uderza głową o petlę, na której spuściła Jessyka klejnoty Lorenzowi. Shylock już wie, już odgadł, już wpadł w szal, ból, rozpacz, wściekłość, chce biedz, gonić, ścigać, pada bezprzytomny na ulicy.

Przyszedł po paru dniach do niego Tubal. Opowiada mu, jak to Jessyka trwoni majątek. Shylock kurczy się, wije, przygarbia pod słuchaniem tych słów. Tubal opowiada, jak to Antonio stracił cały majątek. Twarz Shylocka rozjaśnia się, całą postać przeży z rozkoszą, Shylock odżył — funt mięsa z pod serca Antonia wykroi. Już jest w sądzie. Jaki pewny siebie, jaki górujący nad przeciwnikiem, jaki zażarty i nieublagany, jaki tryumfujący! Z jakąż zwierzęcą rozkoszą rzuca się na Antonia, rozdziera mu kaftan, koszulę, obnaża pierś. Wtem... pod Shylockiem rozpada się ziemia, na niego wałę się góry nieszczęść. Funta mięsa wyciąć nie może, by nie utoczyć krwi. O, jak wyrafinowany ten chrześciański adwokat, ten »Daniel« sprawiedliwy! Shylock lka u nóg tego adwokata, szlocha z wściekłości i bezsilności, płacze nad niemocą swoją i całego żydowskiego narodu. Powstał złamany, zmiażdżony.

Takim jest Shylock Kamińskiego, takim Kamiński w Shylocku. Każdy giest, każdy ruch, każde spojrzenie jest w tej roli ostatnim wyrazem gry. Żalujemy tylko jednego, a to, że p. Kamiński (widocznie rozmyślnie) nie wyzyskał sceny ostrzenia noża. Ostrzy ten nóż nasz artysta w głębi sceny, prawie

tyłem przy tej czynności zwrócony do widowni, tak, że wyrazu twarzy Shylocka w tej chwili widzieć niepodobna. Po za tą uwagą, słów pochwały nie staje za tę europejską kreację.

I Bajdalskiego, rejenta z *Pana Damaxego*, i hrabiego Waldhofa z *Bojatego wujaszka*, i Jusowa, naczelnika wydziału z *Intratnej posady* dobrze znamy i dobrze mamy w pamięci. Postacie to arcykapitalne w masce, charakterystyce i w komizmie. Waldhofa tylko przerysował p. Kamiński nieco, robiąc go zbyt niedoleźnym i starym i zbyt ograniczonym. Ale jakie przytem ruchy, jaki sposób mówienia, jakie pyszne drżenie rąk i nóg. A Jusow w tej arcynudnej i nieznośnej *Intratnej posadzie!* Łatwo tu (scena pijatyki) o szarżę, o tani efekt — nic z tego, wszędzie głęboki, naturalny komizm.

Dzięki też stokrotne znakomitemu artyście za przyjazd i osłodzenie nam ostatniego sezonu, który do pierwszorzędných nie należał wcale. Dzięki tem większe, że tak trudno u nas o skończenie dobrą grę, o szlachetny giest, o poezję i piękno w tej aktorskiej grze. P. Kamiński to ma, więc jest nietylko świetnym, ale wyjątkowym aktorem. Stara szkoła na wymarcie lub na emeryturze, pośród nowej, współczesnej, pełnej sił i rozwoju, Kamiński jeden, Solski drugi stoją na czele całego pokolenia. Najznakomitsi to artyści polscy, jedni z naczelných wszystkich europejskich teatrów. Możemy bez narodowego szowinizmu powiedzieć sobie z dumą, że gdyby ci dwaj ludzie objechali Europę tak, jak Modrzejewska, podobną cieszyliby się sławą i chwałą.

Który z nich wyższy i większy? Tego powiedzieć i wymierzyć nie można. Stoją na przeciwległych, ale równorzędnych sobie krańcach i biegunach. Solski gra więcej syntezą, Kamiński analizą — obie te metody w rękach swých mistrzów doprowadzone zostały do szczytu doskonałości. My zadowoleni tylko bądźmy, że takich artystów pośród siebie mamy.

Kończymy to sprawozdanie o Kamińskim jeszcze raz gorącą podzięką, a zarazem prośbą, by zawsze o Krakowie pamiętał, a jeśli nie na stałe, to na gościnę coraz częściej do nas przyjeżdżał, a przyjeżdżał z repertuarem coraz nowszym i świeższym. Bo teraz, jeśli się szło do teatru, to tylko dla p. Kamińskiego, a nie dla tych naiwných *Wujaszków*, *Intratnych posad* lub *Wielkich Fryderyków*. O tej ostatniej sztuce pisaliśmy w swoim czasie obszernie a surowo. Dziś nie tylko, że sądu nie zmieniamy, lecz owszem zaostrzamy go silnie. *Wielki Fryderyk* Nowaczyńskiego po za pierwszym, błyskotliwym wrażeniem i pyszną grą (głównie Solskich i Kamińskich), okazał się robotą nudną, pustą, wypoconą z mózgu i zapleśniałej erudycyi.

Grą swą tak Kamiński przygniół całe otoczenie, że niemal wyłączną uwagę zwracało się na niego. Sprawiedliwość

atoli nakazuje wspomnieć o artystach innych, bez względu na to, czy grali dobrze, czy źle.

Bardzo korzystnie przedstawiła się artystka nowozaangazowana, p. Pytlińska. Jej rola Maryi w *Koncertie* dowodzi wielkiej elegancji w ruchach, spokoju i umiarkowania w scenach gwałtowniejszych, inteligencji w pojmovaniu tekstu, talentu w rysowaniu roli. Również jej Portia w *Kupcu weneckim* wiele miała uroku i wdzięku. Zarzucilibyśmy może za mało siły i żarliwości w scenie sądu, gdzie Portia-adwokat była w interpretacji p. Pytlińskiej nieco za zimna i poważna. Obie te jednak role świadczą o nowej artystce bardzo korzystnie. Daj Boże, aby w osobie p. Pytlińskiej scena krakowska pierwszorzędną zyskała siłę.

Mniej podczas gościnnych występów Kamińskiego podobał się nam p. Stanisławski. I jego Antoni (*Pan Damazy*) i baron Riedeck (*Bogaty wujaszek*) mieli nieznośny jakiś grymas pozy i nienaturalności, zamiast werwy i młodzieńczości. Najwięcej raziło to w *Kupcu weneckim* w roli Bassania. Wszakżeż ten Bassanio, to jeden z najpiękniejszych kochanków i młodzieńców, uosobienie światła, życia i wiosny. P. Stanisławski zrobił z niego fabrykanta Niemca, ciężkiego, niesmacznego, zadowolonego tylko ze siebie i z ogródków, pełnych bomb i damskich kapeli. W ogóle *Kupiec wenecki* grany i wystawiony był nędznie. — P. Mielnicki jako Graziano (już samo imię »Graziano« mówi, jakim się być winno!) wywoływał salwy śmiechu swoim... humorystycznym pojmovaniem roli. — P. Arkawinówna Jessykę grała bez wdzięku i poezji, p. Turowiczówna zbyt się widowni narzucała, jako Nerissa, powiernica Portii. — Jeden p. Jarniński w roli trefnisia Lancelota złożył dowody niemalych scenicznych zdolności. Już rok ten artysta z górami jest na naszej scenie, a dotąd ledwo go zauważyć można było. Czy takie postępowanie ze strony Dyrekcji nazywa się popiepraniem zdolności i młodych talentów? Rólką młodego Gobbo zwrócił p. Jarniński baczność na siebie uwagę.

O *Rozbitkach* i *Panu Damazym* pisaliśmy dwa miesiące temu. Dziś zarzuty swoje podtrzymujemy, zaznaczając, że ani p. Kosiński, ani p. Stanisławski do ról tych wiejskich, szlacheckich chłopaków wcale się nie nadają, tak, jak zupełnie blade gra w *Rozbitkach* rolę Gabryeli p. Zarzycka, a już zgola bez gracy i wdzięku rolę hrabianki (!) Micii w *Bogatym wujaszku*. Rodzaj ról takich, jak panna Maliczewska, daje p. Zarzyckiej pole do prawdziwego popisu, tu brakło jeszcze elegancji i »dystynkcji« w ruchach, oraz prawdziwie poetycznego zabarwienia tych postaci, Dobrze Stefana w *Sąsiadce* gra p. Kosiński, a już doskonale Żadowa w *Intratnej posadzie*. Wiele tu było siły i dramatycznego giestu. P. Janiczówna i p. Jarszewska wszędzie grały bardzo starannie, tak w *Wielkim Fryderyku*, jak

i w *Intratnej posiadzie*. Uwagę ogólną zwróciła na siebie p. Borzewska, jako Zofia ze *Sąsiadki*. Także jedna z tych sił, które są na afiszu, a nie istnieją dla sceny. Tymczasem p. Borzewska, życzliwie a mądrze pokierowana, może się stać cenną siłą, wiele w niej bowiem temperamentu i scenicznego zapалу.

Nie sposób mówić o każdym z grających z osobna. Uczynimy ten przegląd sił, gdy ustalona zostanie cała lista nowego personalu. Dziś, kończąc to sprawozdanie za miesiąc maj, kończymy i zamykamy cały sześcioletni okres kampanii p. Solskiego, główną uwagę zwracając Dyrekcji teatru na niedostatek aktorskich sił, których nietylko ubyć nie powinno, lecz owszem przybyć.

W najbliższych zresztą numerach *Przeglądu Polskiego* postaramy się o podanie przedmiotowego *résumé* z całej sześcioletniej działalności obecnej Dyrekcji. Dziś, winszując serdecznie p. Solskiemu nowego wyboru i ciesząc się zeń szczerze, życzymy wszystkim wesołych a swobodnych wakacyj; niech nowe sześciolecie pocznie się z nową ochotą, energią i zapalem.

A. E. Balicki.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 maja.

Za dwa tygodnie mają się odbyć wybory do Rady państwa, ale pomimo tego już krótkiego czasu nie słyhać nigdzie ogólnych haseł, pod któremi mogłyby się połączyć masy wyborców. Jedyne symptomy, jakie ogólnie wychodzi na jaw, to rozbieżności we wszystkich obozach. Pomiędzy Niemcami nie przyszło do zamierzonego połączenia; chrześcijańsko-socjalni chcieli zawrzeć kompromis z liberalnymi, ażeby zwartym szeregiem stanąć przeciwko socyalistom — kompromis nie przyszedł do skutku, albowiem liberalni, z pp. Lecherem i Sylwestrem na czele, odrzucili projekt. W samej partii chrześcijańsko-socjalnej nie brak także zawiści i walk wewnętrznych. Nawet w obwodach wyborczych wiedeńskich, jakie dotąd były uważane za warownie partii, przyszło do walki wewnętrznej, tak, że nie wiedzą wyborcy, jakich mają obrać kandydatów. Pomiędzy Niemcami liberalnymi również panuje niezgoda, wszędzie brak jest zaufania do starych, wszędzie jednak brak nowych. Podobnie dzieje się i Czechom, którzy wykluczają jednego za drugim ze swoich dawnych wielkości z szeregów pojedynczych stronnictw. Nawet socjaliści, którzy dawniej patrzyli z pogardą na niesnaski wewnętrzne w stronnictwach *bourgeoisów* i chęłpili się solidarnością swojego obozu, rozpadli się tym razem na narodowościowe części — z jednej strony Niemcy, z drugiej Czesi — a ci ostatni stoją na uboczu i pomimo decyzji kongresu międzynarodowego so-

cyalistów w Kopenhadze, nie łączą się z socyalistami niemieckimi.

Cóż zaś powiedzieć o Galicyi? Tutaj także rozbitcie na stronnictwa i walka pomiędzy kandydatami w łonie samych stronnictw. Mamy Wszechpolaków, mamy demokratów, mamy ludowców, mamy socyalistów, mamy Żydów — jedyne stronnictwo konserwatywne pozostało, jak od lat tyłu, niezmiennione. Jest jednakowoż, pomimo tego rozbitcia, tym razem wielka różnica pomiędzy Galicyą a innymi częściami Austrii, różnica, na którą warto zwrócić uwagę.

W całej Austrii, z wyjątkiem Galicyi, brak jest dzisiaj kandydatów intelligentnych o wyższym polocie i o głębszych zapatrywaniach politycznych. Jako ogólną cechę, charakteryzującą obecne wybory, można podnieść właśnie fakt, że masy wyborców, tak niemieckich, jak czeskich, a zapewne także i południowo-słowiańskich, nie mają zaufania do inteligencyi, ale szukają posłów głównie pomiędzy ludźmi bez wyższego wykształcenia, w sferach niższych. Hasło to wyszło swojego czasu z obozu chrześcijańsko-socyalnego, który, jak wiadomo, postawił na pierwszym planie tak zwanego *kleiner Mann*. Ten *kleiner Mann* odgrywa jeszcze dotąd rolę, o tyle, że nie wierzy on nikomu, ale z tą różnicą co do przeszłości, że on zaczyna niedowierzać dzisiaj wszystkim innym ze swoich dawnych reprezentantów. Ponieważ jednak *kleiner Mann* nie zorganizował dotąd systemu wyborczego, więc nie wychodzą kandydatury inteligencyi na porządek dzienny, ale kandydatury oparte na dawnej organizacyi wyborczej, a obok tych także inne, oparte na zastępstwie interesów gospodarczych tego *kleiner Mann*. Zaczynają się ruszać pojedyncze przemysły, kupcy, cukiernicy, rzemieślnicy i szukają pomiędzy własnymi sferami zastępców; tak w Wiedniu fryzyerzy mieli swojego kandydata fryzyera, restauratorzy swojego kandydata restauratora i t. d. Na tej drodze odbędą się wybory jednak dopiero w przyszłości — jak na dzisiaj, to trwał jeszcze dawny stan rzeczy, a ponieważ był to stan przejściowy, więc panował właściwie chaos.

W Galicyi inny widać było pod tym względem obraz. Tam szukano inteligencyi; we wszystkich stronnictwach, nawet w stronnictwach, opartych na ludzie, widać było chęć

wybrania ludzi z nauką i z wiedzą. Stąd pochodzi, że podczas gdy w innych prowincjach Austrii przeważali pomiędzy kandydatami ludzie z niższych sfer, bez wykształcenia, w Galicyi widać było wielu nowych kandydatów z inteligencji. Że to zjawisko wyjdzie na korzyść Galicyi, to rzecz pewna, tem więcej, jeżeli się zważy brak takich ludzi w reszcie stronnictw austriackich.

Jaki ostateczny obraz przedstawí nowa Izba, trudno dzisiaj przewidzieć, skoro, pomimo krótkiego przeciągu czasu, dzielącego nas od wyborów, dotąd nie można wiedzieć, w jakim kierunku pójdą masy. Dwie rzeczy zdają się dzisiaj pewne: i przy obecnych wyborach będą kwestye narodowościowe główną odgrywały rolę. I w Czechach, gdzie dotąd Czesi uważają wybory za rodzaj odwetu za obstrukcyę Niemców w sejmie pruskim, i na Morawie, gdzie pomimo kompromisu trwa dawna walka czesko-niemiecka, jest walka narodowościowa na pierwszym planie. Podobnie ma się rzecz ze Słowianami i Włochami na południu monarchii, a niestety i z Rusinami i nami w Galicyi. Nadzieje, jakie przywiązywano do powszechnego prawa głosowania, że przez nie zostanie kwestya narodowościowa na drugi usunięta plan, i przy obecnych wyborach zapewne się nie ziszczą.

Także i hasło, jakie rząd bar. Bienertha wypowiedział przy rozwiązaniu Izby, mianowicie hasło połączenia stronnictw umiarkowanych przeciwko socyalistom, także się zapewne nie ziści. Nie widać tego połączenia ani w obozie niemieckim, ani w obozie czeskim — w dwóch pod tym względem najważniejszych obozach.

Walka wyboreza toczyć się będzie według zasad — to jest bez zasad.

W polityce europejskiej zwrócona była uwaga na sprawy wschodnie i na sprawy marokkańskie. W sprawach Wschodu chodziło głównie o walkę Turcyi przeciwko Albańczykom. W gruncie rzeczy była to sprawa, obchodząca tylko Turcyę, jeden z tych rokoszów, jakie należą w Turcyi do codziennych zjawisk. Armia turecka dlatego jest także tak dobra, że ciągle jest w czynności, skoro co chwila musi prowadzić walkę na jednej z granic tureckich: raz w Arabii, to znowu w Albanii — to się tam ciągle powtarza.

Tym razem trwał jednak rokosz albański dłużej jak zwykle i przybierał większe jak dotąd rozmiary. Bardzo być może, że Albańczycy wspierani byli przez ochotników włoskich — wiadomo, że w samych Włoszech, na pobrzeżu, leżącym naprzeciw Albanii, znajduje się kolonia albańska, licząca przeszło 200.000 mieszkańców, utrzymująca własne pisma i prowadząca silną agitację. Że Albańczycy otrzymywali pomoc ze strony włoskiej, że także jeden z rodziny Garibaldich uformował zastęp ochotników, że drogą morską dochodziła do Albańczyków broń z Włoch i zapewne także z Grecyi — to ogólnie twierdzono.

Większe znaczenie jednak miało poparcie, jakiego Albańczycy doznawali od Czarnogóry i w części od Rosyi. Czarnogórcy wspierali to powstanie czynnie, Rosya za pomocą prasy i pressyi dyplomatycznej. Pewnego poranku ogłosiła agencya oficjalna rosyjska rodzaj komunikatu, w którym rząd rosyjski oświadczał, iż polecił swojemu ambasadorowi w Konstantynopolu, ażeby oświadczył rządowi tureckiemu, iż Rosya oczekuje najkategoryczniejszego oświadczenia co do pokojowych zamysłów Turcyi wobec Czarnogóry. Turcyja ma równocześnie cofnąć swoje wojsko od granicy czarnogórskiej, poczem Czarnogóra cofnie także swoje wojsko.

Cały ten tego komunikatu był tak kategoryczny i zarazem tak groźny, że czytając je, zdawało się, że Rosya chce wypowiedzieć Turcyi wojnę. Najeiekawszym objawem było jednak, że komunikat nie zrobił wrażenia. Jak się czasy zmieniają! Gdyby Rosya tak przed trzydziestu laty coś podobnego była ogłosiła, to w całej Europie powstałaby bojaźń, zamieszanie, spadek kursów; tym razem nic się podobnego nie stało. Komunikat nie wywołał bojaźni, ale zadziwienie, że państwo europejskie mogło w ten sposób do państwa samodzielnego bez właściwej przyczyny się odezwać; nie przełęknięto się Rosyi, ale uważano ten komunikat za *faux pas* dyplomatyczne. I dyplomaci rosyjscy musieli do tego samego dojść przekonania, albowiem w kilka dni później ogłosili, że komunikat nie zawierał właściwej myśli rządu rosyjskiego, że nie o groźbę chodziło, ale o przyjacielskie zwrócenie uwagi Turcyi na stosunki na granicy czarnogórskiej, które łatwo mogły doprowadzić do wybuchu i że Rosya nietylko do Tur-

eyi, ale także i do Czarnogóry zwróciła się z podobną radą przyjacielską. Podobne oświadczenie miał złożyć także i poseł rosyjski w Konstantynopolu, p. Garikow.

Nie ulega wątpliwości, że ogłoszenie tego komunikatu ze strony Rosyi było wielką niezręcznością. W dyplomacyi odgrywa forma ogromną rolę, często ważniejszą, jak sama rzecz. Przez komunikat Rosya popełniła błąd w formie, a więc ułatwiła przez to ogromnie stanowisko Turcyi, która korzystając z tego błędu, zajęła stanowisko mocarstwa obrażonego i skutkiem tego nie dała żadnej odpowiedzi na komunikat.

Na tem sprawa jednak nie została załatwiona. Rosyi chodziło o to, ażeby krok jej nie był izolowany, ażeby także inne mocarstwa do niego się przyłączyły. W gruncie rzeczy wszystkie mocarstwa były przekonane, że krok Rosyi nie był usprawiedliwiony. Wszak nie chodziło tutaj o wojnę pomiędzy dwoma państwami, ale o rokosz wewnątrz jednego państwa. Czarnogóra nie miała tam nic właściwie do czynienia; jej wmięszanie się było krokiem, wspierającym rokosz, a poparcie tego kroku przez Rosyę było także niczem innym, jak poparciem rokoshu Albańczyków. Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie musiał wywołać krok Rosyi pomiędzy Albańczykami; powstanie już było na wygaśnięciu, a tutaj nagle rozeszła się wieść, że Rosya występuje w imieniu Czarnogóry przeciwko Turcyi. To musiało wywołać nową nadzieję, a z nową nadzieją — nowy opór.

Nie więc dziwnego, że pomiędzy państwami europejskimi mało było gotowych do przyłączenia się do kroku Rosyi. W pierwszej linii zwróciła się Rosya do swojego sprzymierzeńca, Francyi; o ile sądzić można, sprzymierzeniec nie odpowiedział negatywnie, ale przyłączył się do manifestacyi Rosyi niezbyt chętnie. Najważniejsze pytanie zachodziło co do stanowiska Austro-Węgier, a więcej jeszcze co do stanowiska cesarstwa niemieckiego. Tak krok Rosyi wywołać może ugrupowanie się mocarstw według modły ogólnej, a nie według tego, o co właściwie chodzi.

Co jednak całej sprawie nadawało niebezpieczny charakter, to wewnętrzne stosunki w Turcyi. Tam istniał dotąd dawny konflikt pomiędzy rządem a komitetem tajnym turec-

kim. Właściwa walka toczyła się pomiędzy naczelnikiem stronnictwa militarne go, Machmudem Sze fketem Paszą a komite tem, mającym swoją siedzibę w Saloniki. Machmud Sze fket otrzymał władzę w kwietniu 1909 r. Jego czynności za wdzięcza Turcy a, że przeciwrwolucya, jaką usiłował wznie cić Abdul Hamid, została przytłumiona i że zmiana sultana mogła się być odbyć stosunkowo spokojnie. Właśnie wtedy okazało się najlepiej, że w Turcy i konieczną jest jeszcze silna dyktatura wojskowa, bez której wszystkie marzenia o reformach były płonne. Komite t tajny wychodził jednak z zupełnie innego punktu widzenia. Dla niego rozstrzygające były formułki, jakie ważne są w państwach zachodnich o rządach konstytucyjnych. Dla komite tu była więc każda dyktatura wojskowa rodzajem groźby, to też z całą siłą przeciwko niej występował. Rząd turecki, a właściwie ministerstwo tureckie znachodziło się w tak trudnych warunkach istnienia: stało ono pomiędzy partyą wojskową z Mahmudem Sze fketem na czele, a komite tem, który wywierał dotąd znaczny wpływ. Trudność zwiększały stosunki w parlamencie, w którym komite t tajny nie posiadał większości. Stąd pochodziło, że żadne ministerstwo tureckie nie było w stanie utrzymać jednej stałej linii działalności, że ciągle były nieporozumienia, walki w parlamencie i walki w partyi wojskowej. Jako środek leczni czy podawano, ażeby komite t wystąpił ze swojego tajnego stanowiska i ukonstytuował się jako partya parlamentarna. Do tego jednak nie przyszło; de cyzya, powzięta w r. 1910 co do rozwiązania komite tu, nie została wykonana. W ostatnim miesiącu wystąpili z ministerstwa ministrowie finansów i oświaty publicznej, przez co walka pomiędzy rządem a komite tem chwilowo została uspokojona. Walka jednak dalej trwa, a wobec niej zachodzi wielkie pytanie, czy partya wojskowa nie zechce użyć zajęć polityki zagranicznej za środek do położenia końca sporom wewnętrznym, czy nie zechce ona przeć do wojny. W tem leży właściwe niebezpieczeństwo dla polityki europejskiej.

Jakiś czas zdawało się, że sprawa marokkańska doprowadzi także do wybuchu wewnątrz Europy. Francya zajmowała tam coraz większe obszary i pytanie zachodziło, czy po zajęciu całego sultanatu marokkańskiego zechce się ona stam-

tać cofnąć, czy też nie uformuje czegoś podobnego do stosunku Anglii do Egiptu. Bardzo wielki interes miały w tem Niemcy i zdawało się, że walka między Niemcami a Francją niezadługo wybuchnie. Do tej walki oczywiście musiano się przygotowywać, tak, że najpierw stanęło przed Europą pytanie, czy w tej walce może cesarstwo niemieckie liczyć na swojego sprzymierzeńca, na Austro-Węgry. To pytanie, podobnie jak cała ta sprawa marokkańska, polegało na hipotezach, na przypuszczeniach, że Francya zechce nadużyć swoich sukcesów wojennych w Marokku. Ponieważ jednak Francya ciągle oświadczała, że takich zamysłów nie ma, że chodzi jej tylko o przywrócenie spokoju w Marokku, więc wszystkie dalsze przypuszczenia były płonne. Pomimo to rozszła się nagle w dziennikach wieść, że Austro-Węgry nie chcą wspierać swojego sprzymierzeńca, Niemiec, w polityce marokkańskiej, zaczęły w dziennikach pojawiać się artykuły na temat niewdzięczności Austrii, w której to walce nawet urzędowe niemieckie organa wzięły pewien udział. Skąd to wszystko powstało i w jakim celu, trudno było ocenić. Twierdzono, że cała ta kampania zwrócona była przeciwko ministrowi hr. Aehrenthalowi, który wtedy właśnie miał powrócić z urlopu, na jaki się udał z powodu choroby. Czy rzeczy tak się mają, trudno ocenić. Jedno jest pewne, to, że jak nagle ta sprawa marokkańska przybrała tak niebezpieczny charakter, tak nagle zniknęła ona z porządku dziennego; przy końcu miesiąca nikt o niej nie mówił, co nie wyklucza, że w dalszym przeciągu czasu zajmie na nowo uwagę publiczną.

Podczas tych wszystkich zajęć na polu polityki zagranicznej inne ważniejsze pytanie zajmowało uwagę publiczną, przedewszystkiem w monarchii austriacko-węgierskiej, ale równocześnie i w całej Europie, można powiedzieć w całym świecie: pytanie co do stanu zdrowia cesarza Franciszka Józefa. Cesarz Franciszek Józef od tygodnia bawił w Gödöllő, a chociaż przychodziły stamtąd uspokajające wiadomości, to przecież już sam fakt, że monarcha 81-letni, który dotąd nie czuł się nigdy chorym, tym razem podlegał symptomom słabości, budził ogólny niepokój. Czem jest Franciszek Józef dla swoich ludów, czem on jest dla całej polityki światowej,

to dawało się najlepiej. uczuwać w tych obecnych niepokojach o stan jego zdrowia. Można śmiało twierdzić, że nie ma ani w monarchii, ani na całym świecie dzisiaj nikogo, ktoby nie życzył mu wyzdrowienia. Monarcha, który na taką ogólną sympatyę, na taką cześć zasłużył, ma najlepszy dowód, jak jego życie jest potrzebne dla ludów i dla ludzkości.

JAN POPIEL.

Wspomnienie pośmiertne.

Dusza wzniosła, umysł szeroki, słowo jędrne, śmiałe, proste; w zmiennych kolejach życia niezmienna jednolitość przekonań i zasad, wiary, miłości i służby. Żołnierz, ziemianin, w starości pisarz przygodny niby, a na prawdę lepszy od wielu zawodowych; katolik, Polak, szlachcic; zbyt odrębny, zbyt sam sobą, niepodobny do innych, żeby był typem, wzorem być może i powinien, bo nosił w sobie przez całe życie i do wysokiej doskonałości wyrobił najszlachetniejsze składowe pierwiastki szlachcica, Polaka i katolika. Duch polski w całej swojej czystości, złożony z sumienia i honoru, pobożności i odwagi, przywiązania do ziemi, miłości i harmonii w rodzinie. Tacy byli, tak czuli i myśleli dobrzy z XVII wieku, ci, co się bili pod Chocimem i pod Wiedniem. Tylko co w nich było instynktem, niemylnym, świętym, ale instynktem, to w katoliku-Polaku i szlachcicu wieku XIX, pod wpływem i rozbiorów i wszystkich nieszczęść późniejszych, stało się jasną i niewzruszoną świadomością swojej wiary, swoich zasad, potrzeb swojej ojczyzny i obowiązków jej syna. Katolicka prawowierność i gorliwość stała się gruntowną, głęboką znajomością katolickiej nauki, Kościoła, jego istoty, jego przeznaczenia, jego praw. Miłość ojczyzny i gotowość służby stała się gruntowną głęboką znajomością społeczeństwa ludzkiego, a w szczególności swojego, i warunków jego równowagi, siły, jego bytu. Dusza była staropol-

ska, umysł był nowoczesny. Znał i rozumiał wszystkie pojęcia, potrzeby, stosunki dzisiejsze — ich naturę, ich pochodzenie od dawniejszych, ich złe i dobre pierwiastki i siły. Pomogło mu do tego wychowanie domowe, otoczenie, wszystkie kolejne doświadczenia; ale nadewszystko własna praca myśli, wrodzony popęd do poznawania i rozumienia, do nieustannego kształcenia się, do łączenia widzialnych skutków z odległymi przyczynami, do dochodzenia praw rządzących światem, warunków równowagi i harmonii. Był w nim człowiek dawnych wieków i człowiek dzisiejszy: nie obok siebie, a w niezgodzie i rozterce z sobą, tylko owszem zrośnięci, zjednoczeni, w zupełnej zgodzie, opartej na doskonałym poznaniu i na wiernem zachowaniu zasad osobistego i zbiorowego społecznego życia. To połączenie, w tym stopniu bardzo rzadkie, było jego charakterystyczną cechą i może powodem czy sekretem jego osobnego wśród współczesnych stanowiska; a gorący zapal w duszy, a trzeźwość i rozwaga w umyśle, stałość niewzruszona w przekonaniach i zasadach, wreszcie osobny jego własny tok myślenia i jędrny dosadny sposób wyrażania myśli, składały postać w swoim rodzaju jedyną — kiedy koleje i zasługi życia składały postać wyjątkowo szlachetną. Dobrze określono go słowami: „To pół rycerza, a pół księdza“. Miał rycerza naturę, pojęcie życia, szlachetność, gotowość poświęcenia, miłość spraw dobrych i walki w ich obronie; z księdza miał wiarę i gorliwość u świeckich rzadką, miał naukę swojej wiary, miał zdolność i popęd nauczania, wykładania i tłumaczenia wiary, jakiś dar czy talent doktora i missyjonarza. Kazań ani lekcyj nie prawił, ale rozmową uczył rozumieć wiarę i Kościół, utwierdzał tych, co wierzyli, budził zbawienne pytania i rozmyślania w niewierzących lub obojętnych. Nie myśląc o tem, spełniał kapłański urząd nauczania w rzeczach wiary, a dla sumień był podporą i drogowskazem, bo w każdym położeniu, w każdej niepewności umiał wskazać, co należy zrobić, albo czego zaniechać.

Takiego drugiego nie było w jego pokoleniu. W przyszłych, daj Boże, żeby się znaleźli równie dobrzy — ale podobnych, z takim usposobieniem, z taką fizyognomią chyba nie będzie.

Ojciec oddał go wraz z braćmi do gimnazyum w Nis-sie; sam niedawno opisał, jakie ono było dla nauk skute-czne, dla obyczaju zdrowe. Ale po szóstej klasie wystąpił z niego i przeniósł się do szkoły wojskowej. Ojciec rozu-miał, że niema narodu bez wojskowych, i jednego z synów przeznaczał na żołnierza. Ten, ze zdolnością i zamiłowaniem do nauk matematycznych, nadawał się do tego zawodu — nie na brząkającego pałaszem oficerka, ale na takiego, co zna sztukę wojenną. Wstąpił do służby; jako oficer inżynierji był w Weronie, kiedy się miała zacząć wojna włoska (ze swoim kolegą i przyjacielem, Kazimierzem Kicińskim) — był pod Solferino, miał pod sobą biuro telegraficzne. Po skoń-czonej wojnie wystąpił ze służby austryackiej, przeszedł do innej. Gotował się i odbywał się zabór Państwa Kościelnego. Ochotnicy młodszy i starszy zaciągali się do wojska papieskiego, z Francji i Belgii, z Hiszpanii; z Polski było ich może wszyst-kiego kilku. Popiel był między nimi. Cokolwiek się myśli o kwestyach politycznych, należy wyznać wiarę czynem w okolicznościach, tak ważnych i stanowczych, i stanąć pod chorągwią Papieża. Katolik powinien oświadczyć się przy nim; rycerz powinien bronić słabszego przeciw mocniejszemu, a Polak powinien pokazać się przed Kościołem i przed świa-tem jako katolik, choćby na znak, że nie wszyscy w Polsce obojętni lub złudzeni pozorami. To nie jest tylko walka o świeckie panowanie Papieża, to jest pod temi pozorami ukryta, przekradziona, walka z chrześcijaństwem, zamach nie na świecką władzę, ale podkop i mina pod budowę, pod istotę Kościoła. Mało kto u nas widział to i rozumiał; ale rozumiał Popiel i jego ojciec. Młody oficer odbył oblężenie Ankony; pod Castel-Fidardo nie był. Papież bronił się dla zasady, dla stwierdzenia swego prawa, ale był za słaby, żeby zwyciężyć; Włochy były za słabe, żeby uderzyć na Rzym, którego strzegło wojsko francuskie. Wojna się skończyła. Popiel wystąpił z papieskiego wojska.

W tych służbach wojskowych jakie przebywał przygody, niebezpieczeństwa, jakie dawał dowody odwagi i sprawności? W listach jego do rodziców, we wspomnieniach jego najbliż-szych, znajdzie się zapewne szczegółów wiele i wejdą one w ten obszerniejszy i dokładniejszy życiorys, który o nim

napisanym być powinien. Tu, na razie, zapisujemy tylko jedną wielką przykrość, jakiej doznał: intrygę, donos fałszywy do ministra wojny Monsignora Merode, jego niesprawiedliwą niechęć. Ale usprawiedliwił się łatwo, fałszywe oskarżenie odparł, prawdę wyjaśnił i wyszedł ze służby papieskiej z krzyżem komandorskim św. Grzegorza.

Wyszedł z jednej służby wojskowej, czekała go druga. Wrócił do rodziców; służył i pomagał ojcu, wyręczał go w gospodarstwie w Kurozwękach i tam zastał go rok 1863. Dobrego nie przewidywał nic, nie wierzył nawet (jak wierzyli inni) w jakiegokolwiek skutki interwencji dyplomatycznej; ale mówił on, mówił jego ojciec, że „kiedy cały naród rzuca się w przepaść, to trzeba się z nim rzucić“. Popiel poszedł do powstania. Prawdziwy wojskowy, dobry oficer, był niezmiernie pożądanym w tym zbiorze ochotników nie wyćwiczonych żołnierzy, a był rzadkim. Bardzo też pożądanym był Popiel. Zygmunt Jordan miał powierzoną formację dwóch oddziałów i wkroczenie do Królestwa; dowództwo nad jednym z nich oddał Popielowi. Oddział rozbity zaraz po przejściu granicy, o milę zaledwo od Wisły, pod Komorowem 20 czerwca. Popiel wyszedł cało, nawet nie ranny. Jak się zachował — mężnie jak rycerz, a przytomnie jak biegły oficer — to opowiada Jordan w raporcie do ówczesnego rządu narodowego. Raport ten (nie mamy go pod ręką) powinien być ogłoszonym w *Życiu* Popiela, bo jest najchlebniejszem dla niego świadectwem. Mógł on na tem poprzestać: swój dług już spłacił, życie narażał, ale to mu nie wystarczało, nie chciał ustąpić, ani wystąpić. W sierpniu sformował drugi oddział i wyszedł z nim. Ten rozbity pod Głanowem, a w rozsypce zaginał młodszy brat Popiela, Waclaw, tak, iż zdawało się, że zginał, a Jan wracał z męką w sercu: będzie musiał powiedzieć rodzicom, że im nie przyprowadza drugiego syna! Szczęściem to było im oszczędzone wszystkim, Waclaw się znalazł.

W r. 1864 Jan wyjechał zagranicę: dla wytchnienia, dla ukojenia w smutku i pocieszenia na duchu. Był w Rzymie, był w Hiszpanii. Ale po powrocie co robić? Do Królestwa wracać nie można, bo śmierć albo Sybir, a coś robić trzeba. Został w Galicyi, wziął w dzierżawę część Wysocka

od Stefana Zamoyskiego, przyjaciela, i gospodarował. Ale kiedy od powstania przeszły już lata, ojciec próbował, czy nie daloby się dostać pozwolenia powrotu i bezpiecznego pobytu, i jakoś udało się szczęśliwie. Osiadł na Wójczy, którą mu ojciec wydzielił jako schedę; w r. 1872 ożenił się z hrabianką Jadwigą Borkowską (córką Stanisława i Adeli z Larissów) i rozpoczął nowe życie, nowe powołanie, ziemianina, ojca rodziny. Nie mógł nic robić, niczego się jać: musiał być tylko gospodarzem, sąsiadem, obywatelem wiejskim. Ale w tem powołaniu i zadaniu jest świętość, jest depozyt przeszłości. Jest obowiązek zachowania ziemi i przechowania, podania dalszym pokoleniom polskiego ducha, obyczaju, tradycyi, zabezpieczenia powagi i godności domu, powagi i równowagi społeczeństwa. Popiel pełnił to zadanie z całym przejęciem, z całą religijną czcią tego obowiązku. W sprawach miejscowych, gminnych, w sprawach powiatowych i gubernialnych czynny był i służył ile tylko mógł; oczywiście mógł bardzo mało. Ale służył i działał przez to, że był i jaki był, przez to, że swój dom zrobił niejako środkowym punktem okolicy, że ściągwał do siebie ludzi i wywierał na nich wpływ, politycznie, cywilizacyjnie i religijnie oświecający, kształcający. Z rozmowy, z dyskusyi, z każdego słowa i z całego życia dobywały się i udzielały się pojęcia rozumne, zdrowe zasady. Głęboka znajomość ludności wiejskiej, jej dobrych i złych stron, jej uprzedzeń i podejrzliwości, a w postępowaniu z nią schlebiana nigdy, zawsze poważanie i gotowość do rady lub pomocy. Nie najmniejsza jego zasługa nie najmniejsze dobro, jakie drugim wyświadczał, to, że przyjmował młodych ludzi na praktykę gospodarczą. Wprawiał ich do gospodarstwa; ale to było raczej mniej ważne. Ważniejsze to, że z nimi mówił, że ich kształcił. Lubił mówić i miał dar mówienia; rozmowy z nim były więcej nauuczające, jak wiele wykładów, i słusznie też mówili nieraz rodzice, że oddać chłopca do Popiela to tak, jak oddać go na uniwersytet.

Kto widział i podziwiał w nim wielkie mnóstwo wiadomości i nauki, ten zrozumieć nie mógł, gdzie i jak on znalazł czas, żeby tak wiele czytać, tak wiele się uczyć. Wpływ domowy, wpływ ojca, znakomitego wykształceniem, niemniej

jak charakterem, wpływ otoczenia, w którem byli ludzie niepospolici, tłumaczy wiele, ale jednak nie wystarcza. Musiała w nim samym być pojętność bardzo niezwykła, a obok niej wrodzona chęć nauki i dar uczenia się łatwo i szybko. On mówił o sobie, że się uczył bardzo mało, a to prawda, że skończył tylko szóstą klasę gimnazjalną; na żadnym uniwersytecie nie był nigdy. Czego zaś nie znał? co było mu obcem? Języki i literatury, starożytne i nowsze, znał nie tak, jak pierwszy lepszy średni wykształcony człowiek, ale głęboko, rzetelnie, prawdziwie. W historii, powszechnej czy polskiej, miał znajomość i rozumienie wszystkich stosunków, wszystkich źródeł tego lub owego dziejowego prądu; w czasach bliższych przynajmniej rzadką znajomość psychologii historycznych ludzi. Mówił, że o filozofii nie miał najmniejszego pojęcia, a jednak znał wszystkie systemy, wszystkie ich wzajemne zależności od siebie i pierwiastki wspólne. Historię Kościola, a dopieroż znajomość doktorów i pisarzy, naukową znajomość wiary, jej artykułów, miał w stopniu, jakiego nie zdarzyło nam się widzieć u żadnego człowieka świeckiego. Kwestye ekonomiczne i społeczne, dziś górujące nad innemi, znał nie ze słuchu tylko lub z praktyki, jak wielu ludzi nawet wykształconych, ale ze studyów ważniejszych dzieł, dawniejszych czy świeższych. Skąd on miał czas, żeby wiedzieć tak wiele, tego nie umiemy wskazać, ale że wiedział bardzo wiele, to zaświadczy każdy, kto się z nim w życiu spotykał. Na praktyce gospodarczej u niego odbywało się więc poniekąd i uniwersyteckie kształcenie, a ten uniwersytet był w najzdrowszym najczystszych duchu i w całym znaczeniu słowa patriotyczny, polski i katolicki.

Te zajęcia raz tylko były przerwane wyborem na posła z krakowskiego okręgu większej własności. Jego natura, jego śmiała otwartość z trudnością poddawała się konieczności przemilczenia, niezupełnego a przynajmniej łagodnego wypowiedzenia przekonań w obronie tego, co się ma za dobre, czuła się skrępowaną. Nie starał się więc o powtórny wybór, nie pragnął go.

Lata płynęły, nadechodziła starość — i miała przejść przez doświadczenia, jeszcze boleśniejsze od dawnych. Wojna japońska, konstytucya w Rosyi, z nią chwilowe złudzenie ja-

kiejś zmiany na lepsze — ale rzeczywistość zmiany na gorsze. Bomby, morderstwa, napady i rabunki, bezrobocie po fabrykach na korzyść fabryk niemieckich lub rosyjskich; młodzież szkolna, w imię niby patryotyzmu wezwana i upoważniona do opuszczenia rządowych szkół rosyjskich, przez to rozpróżniaczona, rozzuchwalona, pozbawiona przyszłości, a jej miejsce we wszystkich zawodach zajmą Moskale i Żydzi; literatura zepsuta, przewracająca głowy i sumienia. Słowem, zepsucie, zepsucie Polski, jakiego przedtem nigdy nie było, jakiego nikt nie przypuszczał. Popiel przypuszczał dawno. On po morderstwach politycznych z r. 1863 przepowiadał, że z tego zasiewu zejdzie plon; ale i on nie myślał, żeby zepsucie mogło przybrać takie rozmiary, tak się rozlać szeroko, tak głębokoko wnikać. W tych okolicznościach, pod temi wpływami obudził się w nim, już starym, popęd do pisania, którego nie czuł w młodym, ani w męskim wieku. Potrzebował powiedzieć prawdę, potępić co złe, wezwać do upamiętania: ze skutkiem, czy bez skutku, ale na to, by prawda powiedziana była. Zaczął pisać, a to, co napisał, ogłaszał w pismach, tych, co on, przekonani religijnych i politycznych. Jego ojciec był znakomitym stylistą; on miał ten dar w stopniu nie tak wysokim, ale go miał; a jego siła uczenia i przekonania, jego miłość prawdy, jego oburzenie na złe, wyrażały się w słowach pełnych mocy, energii, śmiałości, a wiele oryginalnych przez jego właściwy sposób myślenia i mówienia. Nie możemy dziś tu rozbiierać, ani nawet wyliczać tych jego pism; przypomnany tylko na razie, jak sądził i poddawał pod sąd politykę posłów polskich w Dumie i jej skutki, a zapytany przez ich organa „do kogo pije“, odpowiedział: „D o w a s p i j ę“. Krótkie to było, ale było oskarżeniem i osądzeniem nie tylko ludzi żyjących i ich działania, ale całego kierunku, całego ducha działań od dawnych emigracyjnych czasów — i ich skutków.

Nabrał chęci pisania, a więcej czasu, mniej pracy gospodarskiej, pozwalało folgować tej chęci. Nie wszystko, co pisał, było okolicznościowe i polityczne; ale wszystko było przejęte tą samą zasadą i dążnością. Czy ze wspomnień i z obserwacji kreślił sliczną charakterystykę *Wsi polskiej*, dawnej i dzisiejszej, czy roztrząsał kwestyc filozoficzne, czy

po latach wielu odwiedziwszy znówu Rzym, porównywał ten, jaki znał niegdyś, z tym, jaki teraz zobaczył. W tych pismach także był pół rycerzem, pół księdzem; ale i był Polakiem i szlachecciem z XVII wieku, mową, zacięciem, niekiedy humorem i kawalerską fantazyą przypominał starych pisarzy. Bardzo nam miło i zaszczytnie zapisać, że obok warszawskiego *Słowa*, obok *Przeglądu katolickiego* i *Myśli katolickiej*, obok *Przeglądu Powszechnego*, nasz *Przegląd* był tem pismem, w którym rzeczy swoje lubił ogłaszać.

Sprawami kościelnymi zajęty, służący im jak od śmierci Ludwika Górskiego nikt ze świeckich podobno nie służył im czynniej, wybrał się przed trzema laty do Rzymu z pielgrzymką z Królestwa. Przystało mu stanąć na jej czele, w jej imieniu przemówić; przystało też dawnemu żołnierzowi papieskiemu, który miał prawo nie być w Rzymie zapomnianym. Niestety, ta podróż pokazała się być nad jego siły. Prywatną audyencyę u Ojca św. i u sekretarza stanu miał, ale z pielgrzymką pójść nie mógł, bo zachorował ciężko. I od tego czasu jego zdrowie zaczęło podupadać. Czynność, bystrość umysłu, zapał w duszy, były te same, ale i rodzina była w ciągłym o niego niepokoju, i sam czuł, że się zbliża do końca. Przed końcem miał jeszcze znieść nowe boleści: zbrodnia w Częstochowie, stan coraz oplakańszy Królestwa, coraz niepewniejszy Galicyi; oczekiwanie śmierci ukochanego stryja, Arcybiskupa warszawskiego — ten go przeżył — wreszcie niespodziewana ciężka choroba żony. Ta go dobiła; serce, oddawna chore, nie przetrzymało już tej ostatniej próby.

Sześćdziesiąt pięć lat znajomości, czterdzieści ośm lat przyjaźni, rosnącego ciągle przywiązania i uszanowania, wiele przebytych razem smutków, całe życie rzecz można, w różności zdań czasem, ale w zgodności uczuć i przekonań zawsze, to zdawałoby się dosyć na to, by człowieka dobrze poznać. Tak, to dosyć, by poznać jego wartość, jego cnoty i zalety, by go podziwiać szczerze a kochać gorąco.

Ale co w nim piękniejsze, co rzadsze? Czy ten charakter, ta zgodność słowa i uczynku z przekonaniem i sumieniem? czy ta wierność niezłomna swoim zasadom? czy odwaga w ogniu, a trudniejsza może od niej odwaga cywilna, nieustraszona, rąbiąca prawdę jak siekierą, nie obwijająca

jej w bawelnę? czy wysoka cywilizacya w umyśle i wielki zasób nauki? Czy wreszcie wiara, miłość Boga i Kościoła, gorąca, czynna, posłuszna, śmiała a nauczająca, i życie duchowe, życie modlitwy i praktyki, nienastające a proszące o łaskę i pomoc dla siebie, dla swoich, dla Polski? Która jego połowa piękniejsza, rycerska czy księża?

Otóż to dopiero najpiękniejsze, że żadna: najpiękniejsza, to ta doskonała jedność i harmonia obu, składająca całość postaci, a przenikająca żywot cały, od jego spraw najważniejszych do codziennych i drobnych. Warunki jej wyniósł z domu, który miał ten szczęśliwy dar i umiejętność, że wyrabiał w dzieciach od początku świadomość zasad i ich miłość, dobrowolne im posłuszeństwo. Wyrabiał też i ducha wiary, ducha pobożności — i zamilowanie życia umysłowego, kultury, cywilizacyi. Wziął więc Popiel od rodziców grunt duszy i umysłu, i kierunek życia; ale na tym gruncie co sam orał i zasiewał, to sam w sobie chodował, kształcił, przewycięzał, doprowadzał do dojrzałości i równowagi, to on sam chyba mógłby wskazać — nie wystarcza na to sześćdziesiąt z górą lat znajomości, ani czterdzieści z górą lat przyjaźni.

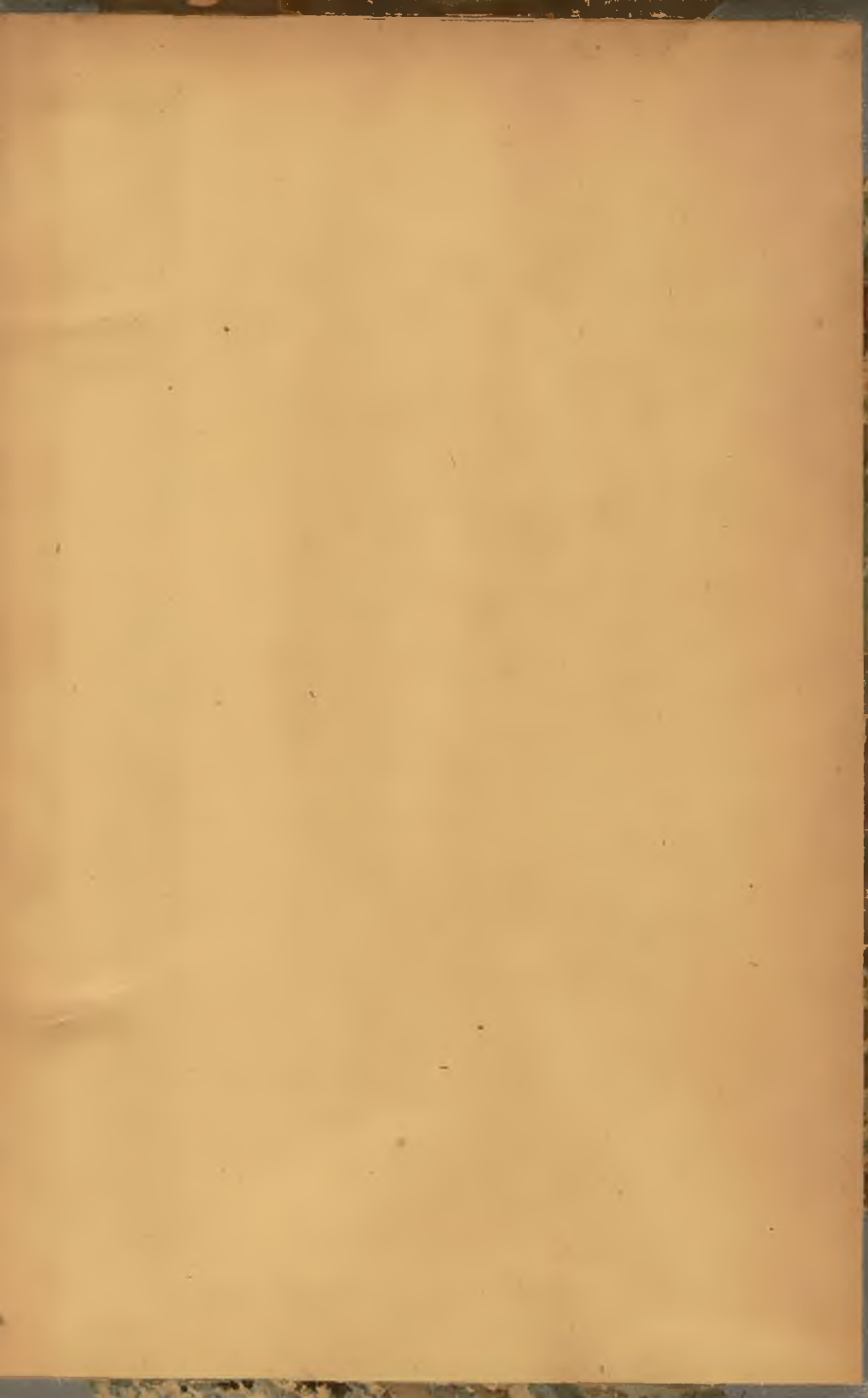
Te wystarczają na to, by wiedzieć, jaki on był, a rozumieć, ile w życiu przeboleł. Od r. 1863 do najnowszych i nieszczęść i objawów zepsucia, nasze pokolenie przebyło wielkie mnóstwo cierpienia. Czuliśmy je wszyscy, ale mało który tak głęboko, tak boleśnie, jak Popiel. Znał naturę społeczeństw ludzkich, znał położenie Polski; dlatego nieprzyjacielem był i tajnych rządów, i tych hasel czy doktryn, które głoszą postęp, a sprawiają rozkład. Żołnierz, powstaniec, wojnę szanował; rewolucyi był nieprzyjacielem, bo wiedział, że co innego rewolucya a co innego powstanie, i że „kto chce iskier z czarta kuźni, by przepalić czarta moc — ten świat w głębszą spycha noc“. Za to, zwłaszcza zaś za to, że był katolikiem i akeji katolickiej byłby żądał od naszych reprezentacyj w parlamentach (gdyby ona była możliwą!), okrzyczany za wstecznika, u naszej opinii w łaskach nie był. A jednak w takich ludziach, jak on, w takich żywotach i domach, jak jego, są te słowa, „które duch dawnej Polski potomności chowa“. Dzisiejsza potomność nie chce tych słów rozumieć

i słuchać, ale jeżeli ona siebie i Polski nie zepsuje i do reszty nie zgubi, to potomność późniejsza usłyszy te słowa, weźmie je do serca i odżyje.

Na zakończenie to, co po śmierci Popiela pisali o nim inni. W liście jednego człowieka młodego czytamy: „Szczęśliwy jestem, że go znał, że takiego znał, że widział taki hart i taką czystość polskiego ducha. Jakżeby dla niego stworzone to świadectwo *Bonum certamen certavit, fidem servavit*“. A drugie słowa wyszły z serca, które mu było nierównie bliższe jak moje i jeszcze daleko więcej go kochało: „Teraz wyobrażam go sobie w postaci tych rycerzy, którzy klęczą na obrazach przed Najświętszą Panną, tacy mali i pokorni, a tacy szczęśliwi tem, że temu Panu całe życie służyli. I on też widzi w pełni tę prawdę, która naszym oczom zakryta, a której całe życie wiernie bronił“.

St. Tarnowski.





Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030002014550



II 4501/45/4/1911